



Autor bestsellerowego
Bielszego odcienia śmierci.

BERNARD

MINIER

PASKUDNA HISTORIA

BERNARD

MINIER

PASKUDNA HISTORIA

Przełożyła
Monika Szewc-Osiecka



Dom Wydawniczy REBIS

TEGO AUTORA POLECAMY RÓWNIEŻ

Bielszy odcień śmierci

Krag

Nie gaś światła

Tytuł oryginału
Une putain d'histoire

Copyright © XO Éditions, 2015

Copyright © for the Polish translation
by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2015

Copyright © for the Polish edition
by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2015

Redaktor
Elżbieta Bandel

Projekt i opracowanie graficzne okładki
Michał Pawłowski/www.kreskaikropka.pl

Fotografie na okładce
© Mark Owen/Arcangel Images
© Dave Reede/All Canada Photos/Corbis/Profimedia

Wydanie I

Poznań 2015

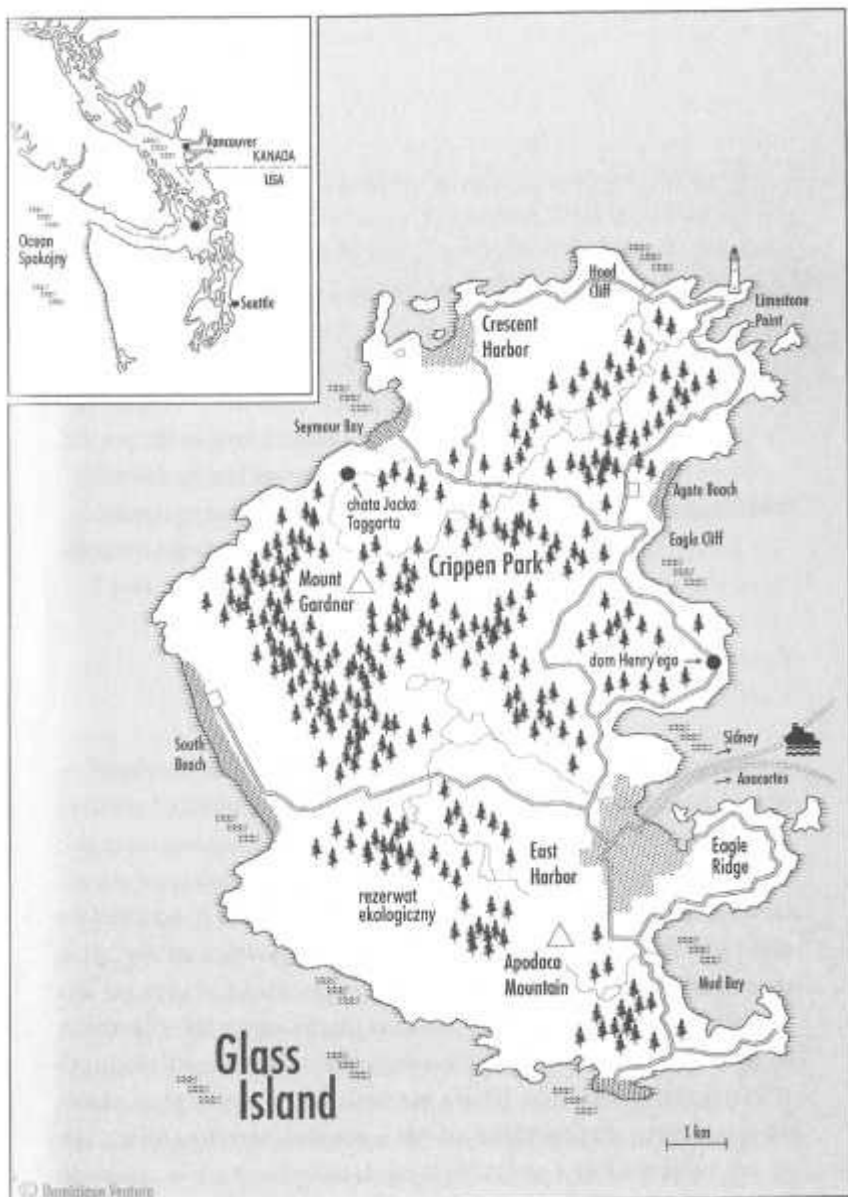
ISBN 978-83-7818-772-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl www.rebis.com.pl

lesiojot

Przyjaciółom z dzieciństwa

Czytelnicy zorientowani w topografii Ameryki Północnej wiedzą, że nazwa Waszyngton odnosi się zarazem do stolicy Stanów Zjednoczonych położonej na Wschodnim Wybrzeżu (w Dystrykcie Kolumbii) oraz do stanu na północnym zachodzie kraju. To właśnie w nim rozgrywa się ta historia.



*Na początku jest strach.
Strach przed zatonięciem.
Strach przed innymi - tymi, którzy mnie nienawidzą, którzy
chcą mi się dobrać do skóry.
I jeszcze - strach przed prawdą.*

Na początku jest strach

- Nigdy nie wrócę na wyspę. Choćby do moich drzwi zadzwoniła sama Jennifer Lawrence i błagała mnie o to, nie wrócę. Uprzedzam na wstępie: to, co opowiem, wyda się wam niewiarygodne. To nie jest jakaś banalna historia, zastrzegam. O nie. To paskudna historia. Tak, wyjątkowo paskudna... Oto pewien obraz, żeby, jak to mówią, wyostrzyć wasze apetyty: z otchłani wylania się ręka - blada, wyciągnięta do nieba, z rozczapierzonymi palcami - która po chwili ostatecznie pogrąża się w odmętach. Dookoła mnie wyje wiatr, deszcz i bryzgi piany chłoszczą mi twarz, a ja płynę i oddalam się od tej upiornej kończyny. Płynę, usiłuję płynąć, unosząc się na spienionych grzbietach fal, opadając w trzymetrowe doliny, płynę na wpool nieżywy ku cypłowi wyspy, kaszląc, krztusząc się i drżąc z zimna. A oto inny obraz: płonący dom, przed nim ja - na kolanach, wrzeszczący jak jakiś histeryk - a wszędzie dookoła rozświetlające noc koguty. I jeszcze coś wam powiem. Wiem, że będzie wam trudno mi uwierzyć. I mówiąc szczerze, nie mogę mieć wam tego za złe. A jednak właśnie tak to było. Dokładnie tak.

Siedzi w fotelu i przygląda mi się tymi swoimi ciemnymi oczami. Jest wysoki, przystojny. A jego marynarka musi być

warta więcej niż całe moje oszczędności. Przed chwilą zerknął na zegarek. Nic nie mówi. Ile on może mieć lat? Czterdzieści pięć? Pięćdziesiąt? Musi mieć powodzenie u kobiet.

- Od czego mam zacząć? - pytam.

- Od początku - odpowiada. - Tak będzie najlepiej.

- Ile mam czasu?

- Tyle, ile ci trzeba, Henry.

- Świetnie. Oczywiście nie ma pan obowiązku mi wierzyć.

Nic nie mówi. Niczego po sobie nie pokazuje. Ten mężczyzna

- mój ojciec. Ma rację, wróćmy tam, gdzie wszystko się zaczęło. Do samego początku.

PRZED POCZĄTKIEM

Sierpniowa noc. Hałasy. Stukot, skrzywienie, regularne bryzgi wody. A potem bardzo wysoki świst niesiony echem po zatoce, skrzywienie przypominające pocieranie nadmuchanego balonu. Zgrzyt o wysokiej częstotliwości. I chlupot wody, plusk fal. Siędzę w morskim kajaku i patrzę na warstwę mgły. Cisza. Wodę dookoła oświetla księżyc. Wstrzymuję oddech. Pojawia się czarna płetwa, dwie, trzy cztery... Jest ich jedenaście. Moje serce zaczyna bić szybciej. Wielkie drapieżniki o czarno-białym ubarwieniu powoli wylaniają się z mgły, płyną w szeregu, jak w bojowym szyku; ich zastrzone płetwy rozcinają powierzchnię wody rozjaśnioną blaskiem księżyca w pełni. Ruch wiosłem, potem drugi: ostrożnie płynę w ich stronę.

Kilka rzeczy, które warto wiedzieć o orkach

Orka to superdrapieżnik, najgroźniejszy drapieżnik na świecie; nie ma żadnych naturalnych wrogów. Jest na samym szczycie łańcucha pokarmowego. To niezwykle inteligentne zwierzę. Każde stado orzek osiadłych ma rozwinięty język, złożony dialekt, odmienny od dialektów innych stad, jest to też jeden z niewielu gatunków, które przekazują swoje umiejętności następnym pokoleniom. Orki osiadłe mają bardzo wysoko rozwinięty zmysł społeczny.

Są też orki wędrowne. Jeszcze groźniejsze, jeszcze bardziej zuchwałe. Przemierzają oceany w absolutnej ciszy i najczęściej w samotności. To właśnie im orka zawdzięcza miano „wieloryba- -mordercy”. Bez wahania atakują duże morskie ssaki: foki, lwy morskie, morświny. Boją się ich nawet rekiny i wieloryby. Orki wędrowne nie wiedzą, co to strach. To zabójcy doskonali...

Orka jako drapieżnik nie ma rywali, ale rzadko atakuje człowieka, chyba że w niewoli. Byłoby dobrze, gdyby można było wygonić tych wszystkich turystów i statki, które od czerwca do października po chamsku wpychają się na ich - a także moje - terytorium, i zostawić orki w spokoju. Tak jak ja to robię, płynąc cicho kajakiem w tę sierpniową noc, w porze, gdy nie ma tu nikogo, tylko one i ja. Wystarczy mi, że się z nimi przywitam, patrzę, jak przepływają, i pozwalam im żyć. Tak jak one pozwalają żyć mnie. Nigdy mnie nie niepokoiły. Nigdy nie próbowały mnie wyrwać z mojego aktualnego życia. Nie próbowały mi zaszkodzić. A n i mnie zabić...

Dlaczego niektórzy ludzie nie potrafią zachowywać się w ten sposób?

Orka drapieżna jest najbardziej okrutnym ze ssaków morskich, ale człowiek wędrowny to najbardziej okrutny ssak na całym świecie.

To powszechnie znana prawda. Ja miałem ją dopiero odkryć.

Październikowa noc. Fale biją o burtę. Za plecami dziewczyny wylania się z mroku jego głowa. Dziewczyna spogląda w stronę nocnego nieba. Na tle księżycy widzi przelatujący sznur morskich ptaków. Na brzegu jej powieki zawisa słona łza. Usta ma otwarte, oddech płytki; serce podeszło jej do gardła tak wysoko, że ma wrażenie, jakby za chwilę miała je wypluć na śliski pokład łodzi.

Znowu słyszy metaliczny zgrzyt za plecami. Skrzywienie. Jakby ktoś coś ostrzył. We włosach, między okami sieci, czuje uderzenie wiatru.

Wyobraźcie sobie jej strach. Dziewczyna ma niecałe siedemnaście lat. Wyobraźcie sobie taki strach, jeśli potraficie. Strach lak wielki, że miażdży kości i rozdyma serce do rozmiarów grożących eksplozją. Strach, który napina i usztywnia mięśnie, tak że stają się jak liny, które nasiąkły wodą, a potem wyschły i stwardniały na słońcu.

Pokład łodzi tańczy, kołysząc się na falach, i dziewczyna z trudem utrzymuje równowagę. Tym bardziej że jej ramiona i głowę oplata ciężka rybacka sieć. Czuje przez włosy jej twarde węzły, wdycha zapach glonów, ryb, oleju napędowego i soli, od którego żołądek podchodzi jej do gardła. Nie ma pojęcia, jak się tu znalazła - po prostu odczuwa na ramionach cały ciężar tych splełanych, wilgotnych i śmierdzących powrozów, wodorostów przypominających rzemieńce, łańcuchów. Ciężą jej, a woda, którą są przesiąknięte, spływa po jej ciele. I jeszcze ten deszcz, który bębni o czaszkę. Chciałaby widzieć więcej, ale jest ciemno. Tak strasznie ciemno...

On jednak jest tutaj, i to bardzo blisko. Kiedy staje przed nią w szeleszczącym kapturze, w jego oczach na chwilę pojawia się błysk; choć trwa to zaledwie sekundę, dziewczyna widzi, w jego źrenicach, co ją czeka. Z przerażenia traci dech w piersiach. Oprawca trzyma się knagi umocowanej na nadburciu. Ale ona widzi tylko cienie, jakby kłęby zabarwionej na czarno waty, skrawek bladego księżyca niczym pazur rozdierający noc, czarne drzewa, czarny brzeg, wiatr - i ciasną przestrzeń niewielkiego kutra, niebezpieczną, pełną haków i zardzewiałych krawędzi, o które już się pokaleczyła.

Między dużą wciągarką a kabiną - to tam kat dokona swojego odrażającego dzieła.

- Nie powinnaś była tego mówić. - Jego głos jest zimny, odległy i obcy. - Rozumiesz teraz?

Przestępuje z nogi na nogę, utkwivszy w niej wzrok. Dziewczyna drży z zimna. Ma otwarte usta, suchy, obłożony język. Nagle jej się odbija. On obejmuje ją ramieniem, mimo splełaniny sieci, lin i zwałów wodorostów, w której uwięzione jest jej ciało - jakby chciał ją zaprosić do jakiegoś groteskowego jiga, absurdalnego tanga - i popycha.

- Nie!

Dziewczyna nie ma przed oczami obrazów z dzieciństwa, o których mówi się w filmach i książkach. Jest sama. Pośród tej mrocznej październikowej nocy nie ma nikogo, jedynie ona i on. Widzi przed sobą tylko ciemny, złowrogi kształt cylindrycznego kołowrotu z przyczepionymi po bokach

okrągłymi pływakami i welon sieci, który jeszcze łączy ją z kutrem - jej wodnica, linia życia. Chwilę później napastnik popycha ją, tak że upada do tyłu, w otchłań. Rozstępuje się pod nią zimne, czarne lustro wody. Otwiera usta, by złapać oddech, zachłystuje się, kaszle. Walczy, by nie wciągnął jej ciężar sieci, ale fale nacierają, przykrywają ją, po czym cofają się, by znów przypuścić atak. Jej umysł ogarnia przerażenie i panika. Dziewczyna krzyczy, ale natychmiast znowu się zachłystuje i dostaje czkawki. Jej żołądek pełen jest morskiej wody. Silnik zmienia obroty i nagle zostaje porwana w kilwater kutra: sunie za nim z ogromną prędkością, podrzucana, miotana i obracana wokół własnej osi jak bąk.

Po omacku szuka między okami trału jakiegoś wyjścia, drąc paznokciami liny. Jej ciało sztywnieje w zimnej, zdecydowanie zbyt zimnej wodzie. Kręci jej się w głowie. Im większa jest prędkość kutra, tym bardziej wciąga ją w głąb. Jakaś duża ryba - halibut albo łosoś - miota się obok niej. Jej głowa jak sępłwik wędki nurkuje pod falami, a potem się wynurza, i za każdym razem dziewczyna łapczywie łyka morskie powietrze. Coraz mniej łyków, coraz mniej powietrza... Nagle, pośród tych ruchomych, słonych ciemności, w jednym przeblasku widzi wszystko i wszystko rozumie - całe jej życie staje się jasne i klarowne.

Na długo przed wschodem słońca jest już martwa.

Jej oczy otworzyły się jak u lalki, a skóra stała się biała i połyskująca niczym skóra ryby schwytanej w sieci.

W ten sposób to musiało przebiegać, w każdym razie ja tak to widzę...

JEDEN

1

PROM

22 października 2013 roku mniej więcej o siedemnastej czterdzieści pięć (było już prawie całkiem ciemno) powiedziała:

- Henry, chcę, żebyśmy sobie zrobili przerwę.

To pewnie tam wszystko się rozegrało. W ostatecznym rozrachunku na zawsze pozostają w pamięci właśnie takie chwile. Są dla naszej egzystencji jak punkty odniesienia, jak latarnie na morskim brzegu. W każdym razie to tam ją straciłem - w sensie zarówno dosłownym, jak i symbolicznym.

Zakładam, że rozpoczęcie tej historii na pokładzie promu jest dość logiczne, prawda? Spędziłem siedem lat na porośniętej lasami wyspie niedaleko Seattle. I nie ma dnia, żebym o niej nie myślał. Miejsce akcji? Gdzieś między Anacortes na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku a Glass Island, na pokładzie promu *Elwha*. Czas? Niespokojna noc, pełna gniewu i ciemności, prawdziwa zawierucha.

Pamiętam, że tego wieczoru było straszliwie zimno, lało jak z cebra i słyszeliśmy, że morze poza zasięgiem świateł promu warczy jak wiecznie wygłodzona, wściekła bestia. Ponieważ silnik o mocy tysiąca koni parowych ryczał piekielnie, a w uszach świstał nam porywisty wiatr, mówiła podniesionym głosem. Ja również.

- Co?! Co ty gadasz?!

Zamrugwała, spuściła wzrok i znów na mnie spojrzała.

- Wiem, że powinnam była ci o tym powiedzieć wcześniej, ale...

- O czym powiedzieć? Naomi, o czym?

Z powodu tego cholernego hałasu ja też musiałem krzyknąć, żeby mnie słyszała.

Prom się kołysał, tak że musieliśmy prawie tańczyć w miejscu. Byliśmy na odsłoniętym dolnym pokładzie, niedaleko samochodów, podczas gdy reszta pasażerów siedziała sobie wygodnie na górze, w ciepłe, na zamkniętych pokładach, i rozmawiała o tym, jak minął dzień.

To Naomi nalegała, żeby tutaj zejść. Jakby nie chciała, żeby widziano nas razem.

- Henry, chcę, żebyśmy sobie zrobili przerwę. Dali sobie wolne... na jakiś czas... Żeby spojrzeć bardziej obiektywnie. Stało się coś... Muszę to przemyśleć. Muszę... zrozumieć...

- Co? Co ty gadasz? Co zrozumieć?

Co do mnie, to nie rozumiałem niczego. Wiatr uniósł czarny kosmyk, który wystawał spod jej kaptura. Podniosła wzrok i spojrzała na mnie.

- Henry, odkryłam prawdę.

Patrzyła mi prosto w oczy. Naomi ma - miała - oczy w kolorze ametystu, z refleksami niezapominajki i ultramaryny, ciemniejszą, prawie czarną obwódką wokół tęczówki i opalizującą rogówką: jak kot.

- Jaką prawdę? - zapytałam.

Zakreśliło mi się w głowie.

- Odkryłam, kim jesteś.

No właśnie. Tak to się zaczęło.

Rozstanie, jakich co roku zdarzają się miliony w tych czasach, kiedy wszyscy chcą szczęścia, ale nie chcą za nie płacić. Tamtej jesieni mieliśmy po szesnaście lat.

- A kim ja jestem? Na Boga, o czym ty mówisz?

Tym razem nie odpowiedziała.

- Skąd te wszystkie tajemnice? - Nie wytrzymałem. - Dlaczego nie wysyłasz już do mnie esemesów, dlaczego przede mną uciekasz? Nao, co się dzieje?

Poczułem skurcz żołądka. To trwało już tydzień. Każdego

ranka kłuło mnie w sercu na widok pustego wyświetlacza telefonu. Żadnej wiadomości... Ilekroć dokonywałem tego odkrycia, robiło mi się słabo. Jeszcze kilka dni temu nie było ranka, żebym po przebudzeniu nie znalazł czułego esemesa. Zaledwie parę słów, ale każde z nich świadczyło o głębi naszych uczuć. Ja pisałem do niej co wieczór przed zaśnięciem. Wczorajsza wiadomość była trochę pompatyczna: *Nigdy nic nas nie rozdzieli. Kocham cię. Zawsze będę cię kochał.*

Wiem, czym jest zerwanie.

Widziałem bladą twarz Josha Landisa, który prawie płakał w tamtym nędznym pubie, kiedy Casey Hinshaw oznajmiła mu, że to koniec. Widziałem Tess Parsons, fajną dziewczynę, która przez kilka tygodni była wstrząśnięta po tym, jak ta szmata Shanna McFaden wrzuciła do sieci filmik, na którym były chłopak Tess - Danny Lovasz - przysięgał na wszystko, że Tess nic dla niego nie znaczy. Więc wiem, czym jest zerwanie.

Ale mnie i Naomi nie mogło się to przydarzyć. Nasz związek miał trwać do końca życia: „DŚNRR: Dopóki Śmierć Nas Nie Rozłączy” - to była nasza mantra.

Wiem, co myślicie: szesnaście lat...

No i co z tego? Są ludzie, którzy poznają się w tym wieku i zostają razem do końca życia.

Tamtego wieczoru patrzyłem na nią. Wyglądała smutno. Nie-skończenie smutno. Co było przyczyną tego smutku? Ja? Czy ktoś inny? Pytania rozbijały się o ściany mojej czaszki jak fale o kadłub promu. To była moja kobieta, dziewczyna, którą kochałem. Z którą chciałem spędzić resztę moich dni. Cholera, miałem wrażenie, że moje wnętrzości pożera jakiś olbrzymi krab.

- Powiesz mi, co się, do cholery, dzieje? Co ja zrobiłem? Poznałaś kogoś, o to chodzi? - nieświadomie zacząłem krzyczeć jeszcze głośniejsze.

Spojrzała na mnie i wtedy po raz pierwszy poczułem, że dzieli nas otchłań, lata świetlne. Jeszcze parę tygodni wcześniej byliśmy sobie tak bliscy. A teraz - tak dalecy.

- Naomi...

Wyciągnąłem rękę i delikatnie złapałem ją za nadgarstek.

- Zostaw mnie!

Doznałem szoku. Wyrwała się gwałtownie, jakby włożyła palce do gniazdka, jakby się mną brzydziła. Cofnęła się. O krok. I jeszcze o krok. I nagle się rozpląkała.

- Nie rozumiesz, co się dzieje? - zawołała i cofnęła się jeszcze bardziej. Po jej policzkach płynęły łzy. — Czy ty i twoi kumple nie widzicie, co ta wyspa z nami robi? Nie rozumiesz, jak to wszystko się skończy?

Zastanawiałem się, o czym ona, u licha, mówi.

- Jak to wszystko się skończy? Ja i moi kumple? - pytałem z niedowierzaniem. - O czym ty mówisz?

Zrobiłem krok w jej stronę, a ona się cofnęła. Zrobiłem kolejny. Ona także. Wyglądało to jak taniec. Niebezpieczny, ponury i gorzki taniec.

Wyszliśmy spod zadaszenia, jakie tworzyły na środku statku wyższe pokłady. Lodowaty deszcz lał się na nas, bębnił o nasze głowy, spływał mi za kołnierz, ale nie zwracałem na to najmniejszej uwagi.

- Naomi - powtórzyłem łagodnie i podszedłem bliżej.

- Nie zbliżaj się - powiedziała, cofając się.

Oparła się biodrami o nadburcie w miejscu, gdzie jest ono niebezpiecznie niskie, blisko dziobu. Dalej był już tylko łańcuch, a za nim - wzburzone morze. Musiała się zatrzymać.

- Przypominam ci, że to są także twoi kumple - powiedziałem. - Czy nie byliśmy zawsze najlepszymi przyjaciółmi na świecie? Sądziłem, że jesteśmy jak rodzina. „Mój bliźni, mój bracie”, pamiętasz?

Z niesmakiem pokręciła głową.

- Odejdź - załkała. - Proszę, odejdź.

Teraz w jej głosie było coś jeszcze. Ona się mnie bała. Jak to możliwe?

- Naomi...

- Henry, proszę.

Jąkała się, łzy - a może to był deszcz - spływały jej po policzkach. Za plecami Naomi ryczało wygłodzone morze. Białe grzebienie jak gejzery o wysokości domu rozbijały się o burtę

pięć metrów od nas, a nasze twarze co chwilę obmywały chmury wodnego pyłu.

Chwyciłem ją za nadgarstki.

- Zostaw mnie, kurwa! - krzyknęła. Złym głosem.

Wkurzyłem się. I wykonałem o jeden ruch za dużo.

Potrząsałem nią, jakbym strząsał gruszki z drzewa, żeby się opamiętała. Tam - na dziobie, przy nadburciu, kilka centymetrów od otchłani. Wiem, wydaje się to szalone. Wrzeszczała. Wrywała się. Jak histeryczka. Wyglądała, jakby się strasznie bała. Pewnie sądziła, że zamierzam ją wyrzucić za burtę. Jak coś podobnego mogło jej przyjść do głowy? Jak mogła sobie wyobrazić, choćby przez moment, że byłbym do tego zdolny? Sądzę, że dzisiaj właśnie to boli mnie najbardziej.

Odepchnęła mnie z całej siły i pośliznąłem się. Uderzyłem tyłkiem o mokry pokład. Nadciągnęła kolejna chmura wodnego pyłu i spadła na mnie jak prysznic. Kiedy Naomi zdołała się wyrwać, na chwilę odrzuciło ją do tyłu. Przerażony patrzyłem, jak kołysze się nad otchłanią, bez kaptura, który zerwał podmuch wiatru, z falującymi włosami, wytrzeszczając oczy ze strachu; za jej plecami wznosiły się grzbiety fal z grzebieniami piany.

- Hej! - wrzasnął facet z obsługi, zbiegając po schodach (musiał nas zauważyć przez okno ze stanowiska pilota albo w kamerach monitoringu). - Co wy wyprawiacie?

Ale Naomi w ostatniej chwili złapała równowagę, odepchnęła się biodrami od nadburcia, ominęła go i wbiegła na schody prowadzące na górne pokłady.

- Naomi!

Ruszyłem w pościg, ale ona już zniknęła na szczycie schodów. W dodatku facet złapał mnie za rękaw.

- Niech pan wraca na górę! Jest pan nieprzytomny czy co? Nie widzi pan, jak tu jest niebezpiecznie?

O tak, widziałem.

Popędziłem na górę, pokonując po dwa stopnie, i w roztargnieniu spojrzałem na wiszącą pod sufitem kamerę, która filmuje wąskie schody na całej długości.

Szukałem jej. Wszędzie. Na wszystkich zamkniętych pokładach, w tłumie pasażerów siedzących przy stolikach i na fotelach z przodu, wśród stojących przy barze, wchodzących i wychodzących z toalety, wśród uczniów wracających ze szkoły i nawet na zewnątrz, na otwartych pokładach, gdzie w taki wieczór nie było żywej duszy i gdzie wiatr zawodził jeszcze bardziej niż na dole.

Ale Naomi nie było.

Nigdzie.

Wróciłem do naszego stolika przemoczony, z twarzą lśniąca od deszczu. Charlie pierwszy mnie zauważył i wytrzeszczył gały.

- O kurwa, Henry! Jesteś cały mokry! Gdzie Naomi?

- Nie mogę jej znaleźć - powiedziałem.

Kayla i Johnny podnieśli wzrok znad smartfonów.

- Co? Przecież byliście razem, widzieliśmy, jak schodziliście.

- Pomyśleliśmy, że może macie ochotę zrobić to w samochodzie - zażartował Johnny.

Nie zareagowałem.

- Henry, co się stało? - zapytał Charlie na widok mojej przynębionej miny.

- Nie wiem, gdzie się podziała. Wszędzie jej szukałem. I nie znalazłem...

- Ale byliście razem.

- Wiem... Wiem.

- Okay.

Wstał i rzucił okiem na tamtą dwójkę.

- Zostańcie tutaj. Jeśli się pojawi, dzwońcie do nas. A my idziemy szukać Naomi.

Podzieliliśmy się zadaniami. Obeszliśmy wszystkie miejsca, w których już byłem.

Nagle w mojej pamięci jak w błysku flesza pojawia się pewien obraz: widzę siebie, jak biegam po korytarzach, przyglądając się twarzom i sylwetkom, i moją uwagę przyciągają pewne szczegóły. Na przykład obecność Jacka Taggarta na pokładzie. Siedzi w głębi, przy ostatnim stoliku, obok drzwi, które

wychodzą na rufę promu, a choć są godziny szczytu, ma stolik tylko dla siebie. Wszyscy albo prawie wszyscy na pokładzie znają Jacka i nikt nie ma ochoty na przeprawę w jego towarzystwie. Taggart mieszka sam w środku lasu, w najmniej gościnnej okolicy wyspy, u podnóża Mount Gardner, najwyższej góry Glass Island, która wznosi się na wysokość dwóch tysięcy czterystu ośmiu stóp, czyli siedmiuset trzydziestu trzech metrów. Ma opinię typa spod ciemnej gwiazdy - a opinie, wierzcie mi, czasem są uzasadnione. Tego wieczoru układa puzzle. Na promach zawsze są puzzle.

- Musiała się zamknąć w damskiej toalecie - powiedział Charlie. - Sprawdziłaś?

- Oczywiście, że nie.

- A więc na pewno tam jest. - Jego pewność siebie była za-
rażliwa. Charlie to gość, który rzadko ma wątpliwości, chyba że chodzi o dziewczyny. Płył przez życie na pełnych żaglach. Położył mi rękę na ramieniu: - Coś poszło nie tak?

Przez ułamek sekundy widziałem w jego oczach nie współ-
czucie, lecz zainteresowanie i ciekawość. Skinąłem głową. Wziął mnie pod rękę i zaprowadził do naszego stolika.

- Znaleźliście ją? - zapytała Kayla.

Charlie gestem poprosił ją, by dała spokój.

- Zabrała się z kimś innym - powiedział kilka minut później siedzący obok mnie Charlie. Jego twarz rozjaśniały tylne światła stojącego przed nami samochodu i blask wskaźników na desce rozdzielczej.

Siedziałem za kierownicą, na dolnych pokładach panował półmrok. Miałem makabrycznego doła. Wiedziałem, że ma rację. *Elwha* (to słowo w języku Indian Czinuków oznacza „poryw” albo „wapiti”) może pomieścić ponad tysiąc osób i sto czterdzieści cztery samochody. To prawdziwy tłum. Równie dobrze mogła nie chcieć jechać z nami i znaleźć miejsce w samochodzie któregoś z uczniów naszej szkoły - dziewczyny albo chłopaka.

Z trzewi promu odezwał się odgłos syren. Koguty zaczęły się

obracać, rzucając pomarańczowy blask na naszą przednią szybę. Włączyłem wycieraczki i powoli ruszyliśmy w ogonku samochodów w stronę rozmytych świateł East Harbor, mijając członków załogi promu ubranych w żółte kamizelki i machających odblaskowymi pałkami.

JAK MILCZĄCY SMYCZEK

Nazywam się Henry Dean Walker.

Lubię książki, horrory, orki i Nirvanę, i mam szesnaście lat.

Mieszkam na Glass Island, wyspie położonej na północ od Seattle, kilka mil morskich od Pacyfiku, na zachód od Bellingham i hrabstwa Whatcom, ostatniego punktu przed granicą z Kanadą. Glass Island należy do archipelagu San Juan, który liczy siedemset pięćdziesiąt wysp i wysepek w czasie odpływu i ponad sto podczas przyływu. Na ich brzegach znajdują się urokliwe małe porty, a ich powierzchnię pokrywają lasy i drogi. Drogi są wszędzie: przytulone do urwisk, przerzuczone nad ujściami rzek i cieśninami, wijące się w naszych bezkresnych lasach jak strumienie. Oto obraz Ameryki.

Tutaj przedłużeniem dróg są promy. A zamiast rekinów mamy orki. Zimą, wiosną i jesienią pada deszcz. Albo mgła jest tak gęsta, że nie widać brzegu ani nawet koron świerków, tym bardziej tych, które porastają Góry Kaskadowe wznoszące się sto kilometrów na wschód. Latem także pada, ale mniej. W sezonie zjeżdżają tutaj turyści z całego świata, by oglądać orki. Od wczesnego rana stoją w korkach na drogach prowadzących do przystani promów, zapełniają hotele i kwatery archipelagu, upijają się, robią tysiące zdjęć, które wkrótce zostaną skasowane lub zapomniane w pamięci ich komputerów, a jachty i żaglówki dziesiątkami stoją na kotwicach w marinie. Winnymi tego letniego szaleństwa, trwającego od lipca do października, są trzy filmy: *Uwolnić orkę 1*, *Uwolnić orkę 2* i *Uwolnić orkę 3*. Częściowo kręcone były na wyspach i tak bardzo rozślawiły orki, że pierwszy lepszy pajac, który I u przyjeżdża, pragnie tylko jednego: przed powrotem do siebie zobaczyć choć jedną z nich.

Ale kiedy turyści wyjadą, na Glass Island powraca spokój.

I zażyłość... Tutaj wszyscy się znają. Jesteśmy wśród swoich. To jedna z cech szczególnych naszej wyspy: w przeciwieństwie do ludności Seattle czy Vancouver, a nawet Bellingham, tutejsi mieszkańcy nie zamykają drzwi, kiedy wychodzą na zakupy, a czasem nawet wtedy, gdy kładą się spać. Oczywiście luksusowe rezydencje letniskowe na Eagle Cliff czy Smugglers Cove, które przez siedem miesięcy w roku stoją puste, są bardziej strzeżone, ale tylko odrobinę. Trzeba przyznać, że nasza wyspa to taka „naturalna forteca”. Przede wszystkim niełatwo się tu dostać: promem z Anacortes płynie się bitą godzinę do East Harbor, a stamtąd odchodzi raptem dziesięć dróg asfaltowych i tyleż gruntowych, zamkniętych dla spacerowiczów: wstępu na nie strzegą zardzewiałe łańcuchy albo barierki z napisem WŁASNOŚĆ PRYWATNA. Miejsc, do których można przybić łodzią, wcale nie jest dużo. Poza tym obowiązuje zakaz biwakowania i są tylko dwa hotele, więc latem większość turystów wynajmuje pokoje u mieszkańców wyspy.

Jak już powiedziałem, każdy każdego zna. Tutejsi ludzie nie mają tajemnic. Albo muszą je ukrywać na samym dnie swojego serca.

Taka właśnie jest Glass Island. A przynajmniej myślałem, że taka jest.

Opisuję jej wygląd, bo jest ważny. Ale nie jestem tu u siebie. W zasadzie. Nigdzie nie jestem u siebie - dużo podróżowaliśmy i przeprowadzaliśmy się wiele razy. Moje mamy i ja. Mieszkaliśmy w dużych miastach, takich jak Baltimore, i w trudno dostępnych miejscach, jak Marathon na Florydzie, Port Oxford w Oregonie i Stowe w Vermoncie. Jakbyśmy przed czymś uciekali. Ciekawe przed czym. Jak dotąd nie otrzymałem na to pytanie żadnej odpowiedzi poza lekceważącym zbywaniem ze strony obu matek: „Henry, daj spokój, czego ty się doszukujesz? Lubimy ładne miejsca, to wszystko!”. Zdarzyła nam się nawet nagła wyprowadzka w środku nocy: „Henry! Szybko! Ubieraj się!”. Miałem wtedy dziewięć lat. Wbrew temu, co myślę, nie zapomniałem o tym.

Od ośmiu miesięcy mieszkaliśmy w Odessie w Teksasie. Miesiąc później wyprowadziliśmy się na Glass Island. Czyli (proszę spojrzeć na mapę) na drugi koniec kraju. Jesteśmy tu już siedem lat. Myślę, że to rekord.

Kocham moje mamy. Mają na imię Liv i France, bez „s”, jak nazwa kraju. Kocham je. Bardzo, naprawdę. Ale czasem uważam, że są zbyt... zapobiegliwe. Na przykład mam formalny zakaz umieszczania swojego zdjęcia na Facebooku czy w jakimkolwiek innym serwisie społecznościowym, na portalu towarzyskim czy na własnym blogu. Uważacie, że to dziwne? Ja także. Powiedziałem im o tym. Ich odpowiedź: „Henry, nie rozumiesz, że wszystko, co wrzucacie do Internetu, pozostaje tam na wieczność, i że dla ludzi, którzy tym rządzą, nie istnieje coś takiego jak życie prywatne? Mają je gdzieś. A nawet gorzej: chcą na nim zarabiać. Surfowanie po Internecie jest jak spacerowanie nago po domu o ścianach ze szkła. Wiesz, co mam na myśli? Pewnego dnia staniesz się dorosły albo będziesz chciał usunąć rzeczy, których będziesz się wstydził. Wiesz, co ci odpowiedzą? „Bardzo nam przykro, szanowny panie. Trzeba było myśleć o tym wcześniej...” (Liv).

„Zresztą obiecują, że będą chronić twoją prywatność, ale kiedy rząd zobowiązał ich do przekazania poufnych danych, jakoś nie mieli dylematów, ledwie wyrazili sprzeciw, dranie” (znowu Liv).

(France - w języku migowym): „Zero zdjęć, zero filmów. Zrozumiano?”

Zapisałem w notesie nowe słowo: „dylematy”. (Marzę o tym, by zostać pisarzem, filmowcem albo muzykiem - nie wiem jeszcze, kim dokładnie, ale na pewno artystą, cokolwiek to słowo dziś oznacza).

To samo jest przy okazji robienia zdjęcia klasowego: Liv i France proszą mnie, żebym tego dnia został w domu. W każdym razie od czasu, gdy takie rzeczy wrzuca się do sieci, bo w jednym z kartonów mamy „roczne albumy” z czasów mojej podstawówki. Dlaczego nigdy nie próbowałem się dowiedzieć?

Przysięgam, że próbowałem. No, trochę. Nie aż tak bardzo. Właściwie prawie wcale...

Myślę, że bałem się odpowiedzi.

I jeszcze ten sen, który często mi się śni. Nie, nie często: co noc albo prawie co noc. Ostatniej nocy także. Kiedy zasnąłem, nad morzem grzmiało. Sen zawsze jest taki sam. Przedmieście nocą, całe rodziny zamienione w zbiorniki na niepokojące sny. Na brzegu mojego łóżka siedzi mama, widzę, że się boi. Ile ja mogę mieć lat? Ze trzy, może mniej. A ponieważ mama się boi, ja boję się dwa razy bardziej. I coś jeszcze: to nie jest mama Liv ani mama France, to jakaś inna mama. Piękna jak słoneczny dzień. Ale przestraszona, bardzo przestraszona. „Henry, nie hałasuj, on tu jest”, mówi. Nie mam odwagi zapytać, o kogo chodzi, ale sposób, w jaki wypowiada słowo „on”, przeraża mnie i zalękniony chowam się głębiej pod kołdrę. Ona wstaje i patrzy przez okno na dół, na ulicę. Co tam widzi? Pewnie nic. Oprócz pograżonych w mroku fasad domów i samochodów zaparkowanych w alejkach i wzdłuż chodników, samochodów, które wyglądają jak żywe, ale drzemią ze zgaszonymi światłami. Potem wraca do mnie, blada, ale uśmiechnięta, głaszcze mnie po głowie: „Wszystko w porządku, nikogo nie ma, chcesz dzisiaj spać z mamą?”. Gdy słyszę to pytanie, z mojej piersi spada olbrzymi ciężar. Kiwam głową z wielką stanowczością.

Jest łagodna, bardzo łagodna letnia noc, ale skażona jakimś niepokojącym przygnębieniem.

Wróćmy do moich mam: kocham je jak nikogo na świecie. Myślę, że dzięki nim otrzymałem najlepsze wykształcenie, jakie można otrzymać - i nie mówię tu tylko o zdobywaniu wiedzy.

Jeśli są we mnie jakieś niedoskonałości, to w żadnym wypadku nie ich wina. Pozwólcie więc, że o nich opowiem: Liv jest niewysoka, impulsywna, ciemnowłosa i krępa; France jest wyższa, ma jaśniejsze włosy, jest łagodniejsza, powolniejsza - jak wieczór spędzony na podziwianiu

zachodu słońca nad cieśniną Juan de Fuca albo ten kawałek, *Adagietto* z *V Symfonii* Mahlera. Nie są moimi prawdziwymi matkami; jestem adoptowany. (Shane Cuzick na podwórku szkolnym: „Hej, Einstein, która jest twoim ojcem?”). Oblesny rechot jego przydupasów Pauliego i Ryana, dwóch kretynów, z których pierwszy był już zawieszony na pięć dni, a drugi na trzy miesiące. Shane natomiast zaliczył wizytę w biurze szeryfa Kruegera i o mało nie wyleciał ze szkoły, gdy złamał rękę Malcolmowi).

Między dziewiątym a trzynastym rokiem życia lunatykowałem. Znajdowano mnie w środku nocy nieświadomego, w piżamie, w salonie zalanym księżycowym światłem - jak tego chłopca z *Bliskich spotkań trzeciego stopnia*. Raz nawet Liv zastała mnie na tyłach domu. Stałem boso w mokrej trawie przed otwartą dobudówką - zapaliłem światło i wpatrywałem się w nie zafascynowany jak ćma. Było po północy. Po tej historii, gdy tylko zasnąłem, zamykały drzwi i okna, zawiesiły też dzwonek na klamce drzwi do mojego pokoju. Zanim skończyłem czternaście lat, miałem kilka epizodów, a potem to się nagle skończyło. Mama Liv nazywała mnie: „mój mały marzyciel-wędrowniczek”. Na szczęście z biegiem czasu to przezwisko się ode mnie odczepiło.

Lekarz twierdził, że to wynik naszych licznych przeprowadzek. Że we śnie cofam się i szukam mojego dawnego domu, pierwszego domu - tak powiedział - i że nie rozpoznaję tego, w którym jestem. Myślę, że coś w tym było, bo gość nie wiedział nic na temat naszej historii. Mówił, że jest taki okres, pod koniec dzieciństwa, kiedy te anteny, którymi odbieramy tajemnice świata o wiele lepiej niż dorośli, działają wyjątkowo mocno. Zanim jeszcze okres dojrzewania, hormony, racjonalizm dorosłych i system edukacyjny zabiją w nas zmysł cudowności.

Kiedy otwieram księgę mojego dzieciństwa i w pamięci przewracam jej kartki, okazuje się, że jest niewyobrażalnie bogata: spodnie rozerwane na tyłku przez psa Stubbsów, kiedy wysiadałem ze szkolnego autobusu, a zwierzak z jakichś mrocznych powodów ukrytych w jego ciasnym mózgu nagle

się na mnie rzucił. Szczury, do których strzelałem z karabinka na sprężone powietrze na wypiskiu Cowan Point - górze odpadów, przegniłych, poplamionych materacy, opakowań po piankach Swiss Miss i pudełek po Quinoa Flakes, resztek jedzenia pogryzionych przez inyszy, zsuwającej się jak gówniany Everest między gęstymi krzakami jeżyn i morw do potoku Cowan Creek. Matka Jimmy'ego Lombardiego, której uroda olśniewała jak słońce i która latem zawsze nosiła rozpięte dwa górne guziki bluzki. Stary, nienawidzący dzieci Terrence, który w dzień i w nocy nie odslaniał rolet, tak że wymyślaliśmy niestworzone historie o tym, co się działo w jego domu: o porwanych dzieciakach, o kobiecie przywiązanej od czterdziestu lat do fotela, o potajemnych zebraniach gangu starsuszków - wszystko, co tylko można sobie wyobrazić - a nawet o istotach pozaziemskich, które, nie pytając dlaczego, wybrały sobie tego zepsutego starucha na forpocztę swojego podboju Ziemi.

Było wreszcie zakończenie roku szkolnego i kolejne wakacje. Na naszej wyspie bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu lipiec i sierpień oznaczały święto, lody, turystów, muzykę, przedstawienia, wyścigi rowerowe, żagle łopoczące na wietrze, śmiechy, emocje, nowość - i przygodę... Tak zwany sezon zaczynał się 4 lipca paradą pojazdów: radosny tłum, petardy i pęki kolorowych balonów na fasadach domów. Dla dziesięcioletniego chłopca lato było niemal tak samo cudownie długie jak podróż przez Atlantyk w piętnastym wieku, a powrót do szkoły prawie tak odległy jak Indie dla Krzysztofa Kolumba.

Tak wyglądała nasza wyspa w oczach dziecka: najpiękniejsze, najbardziej niezwykle, najbardziej niezrównane miejsce na ziemi. A ja jak czaszółka miałem tylko jedno pragnienie: spędzić całe życie na tej jednej skale. Ale jeśli dziecku podoba się wszędzie, w przypadku szesnastolatka sprawa wygląda inaczej. Teraz wyspa - na której przez wiele miesięcy pada deszcz, a lato jest zbyt krótkie, odizolowana, oddzielona od kontynentu godziną jazdy promem - stała się dla mnie tym, czym jest w rzeczywistości: więzieniem.

Jak już mówiłem, marzę o tym, żeby zostać pisarzem.
Albo filmowcem.

Niech was więc nie dziwi mój język: jestem zwykłym młodym człowiekiem, normalnie wykształconym - w takim stopniu, w jakim powinni być wykształceni wszyscy moi rówieśnicy, to znaczy nie tak jak ci opóźnieni kretyni ze szkoły, którzy wściekali się na Walta Whitmana, kiedy profesor od literatury kazał nam analizować *Żdźbła trawy*. „Stuknięty bękart”, „pieprzony poe- ta-pedał” - oto niektóre z komplementów, jakimi uraczyli tego wielkiego człowieka na Twitterze. Poza tym (co jest dowodem na moją normalność) lubię horrory i Nirvanę. Ściany mojego pokoju wytapetowane są plakatami z filmów *Teksańska masakra piłą mechaniczną*, *Wysłannik piekieł*, *Martwe zło 2*, *Hostel*, a nawet *Dracula* Toda Browninga. „Zawsze miło wejść do twojego pokoju, Henry: jakby się było w muzeum horroru” (Liv). Co roku też odbywamy z Charliem pielgrzymkę do Experience Music Project w Seattle tylko po to, żeby obejrzyć wspaniałą interaktywną galerię poświęconą zespołowi z Aberdeen.

Mój ulubiony tekst? *W kleszczach lęku*.

Ulubiony horror? *Egzorcysta* (a także *Omen* i *The Ring*).

Ulubiona płyta? *In Utero*.

Nazajutrz po smutnym śpięciu na promie zasnęłam. Nie usłyszałam budzika. Usłyszałam za to głos Liv, która krzyczała z dołu: „Henry! Henry! Widziałeś, która godzina?”. Szybko wzięłam prysznic, wrzuciłam na siebie pierwsze ciuchy, jakie wpadły mi w rękę, złapałam książki do matmy i biologii. Na schodach sprawdziłam telefon i po raz kolejny ścisnęło mi się serce. Nie było esemesa.

Dwie po siódmej. Wiedziałem, że Naomi od dawna nie śpi. Była rannym ptaszkiem. Ale teraz nie było już nadziei, o tym również wiedziałem.

Tego ranka mama France czekała na mnie w kuchni i chroniąc się przed zimnem, zaciskała wokół siebie poły flanelowego szlafroka; w jej dłoni dymiła filiżanka kawy. Do szyb kleiła się gęsta mgła. (idy byłem jeszcze na schodach, ustawiłem otwartą dłoń przed I warzą, dotykając kciukiem podbródka, co oznaczało:

Mamo.

Uśmiechnęła się do mnie, zacisnęła pięści i przyłożyła je do siebie:

Zimno.

Głośno odpowiedziałem, że nie: mama France jest głuchoniema, ale potrafi czytać z ruchów warg. Połączyła palce wskazujące i kciuki obu dłoni i odsunęła je od siebie, unosząc brwi:

Jajka?

Dałem jej znak, że nie, i w pośpiechu wypilem kawę. Ruszyłem do drzwi, czując na plecach ciężar jej spojrzenia. Z jadalni dochodziły jakieś głosy, jeden należał do Liv. Pachniało jajecznicą, smażonym boczkiem, grzankami z borówkami i kawą. Mieliśmy parę klientów poza sezonem. Tego dnia wyjeżdżali do Kolumbii Brytyjskiej. Musieli znaleźć adres w Internecie: Liv i France prowadzą *bed and breakfast*. Nie miały takich planów, kiedy się tu sprowadzały, jeśli sądzić po burzliwych dyskusjach, jakie czasem wybuchają (Liv podnosi głos, a France z niezwykłą szybkością wymachuje rękami na wszystkie strony). Liv długo marzyła o tym, by zostać wiolonczelistką orkiestry symfonicznej w Seattle albo zdobyć nagrodę Beatrice Herrmann dla najlepszej młodej artystki typowanej co roku przez Tacoma Philharmonic. Jest świetną wykonawczynią (a

jej największą fanką jest France, która uwielbia patrzeć na jej grę i potrafi spędzać wiele minut, zafascynowana ruchem smyczka jak kot), ale jest na to za mało zdecydowana i trochę za stara. France pracuje dla słynnej korporacji informatycznej z siedzibą w Redmond, która prowadzi proaktywną politykę wobec niepełnosprawnych; czasami France nie wraca stamtąd przez cały tydzień. W czasie wakacji i w weekendy pomagają jednak Liv w utrzymaniu domu. W pokojach umieściły stare kufro-szafy, duże, głębokie łóżka, lniane i bawełniane tkaniny, przedmioty wyszperane na targach staroci, kwiaty, paprocie, dywany, książki i łapacze snów. Sam budynek to domek w stylu typowym dla północno-zachodniego wybrzeża Pacyfiku kryty cedrowym gontem, z narożnymi oknami i tarasem, z którego rozciąga się oszałamiający widok na cieśninę i góry. Zboczem biegnie ścieżka złożona z płyt i stopni prowadząca do pomostu (początkowo stałego, później zdejmowalnego), przy którym stoi łódź motorowa. Jeśli chcecie znać moje zdanie, dom należałoby trochę odnowić: dach jest zielony od mchu, farba się łuszczy, rynny są zapchane liśćmi, ramy okien są wyżarte przez sól, a zbocze zbyt gęsto porastają jeżyny i drzewka-samosiejki - ale czujemy się tu dobrze, a całe wnętrze jest ciepłe i przytulne jak gniazdo.

Takie było życie na Glass Island: przyjemne, spokojne i wolne od wyzwań. Jak gra milczącego smyczka. Na jednym z pni ktoś wyrzył słowa:

RAJ UTRACONY

Nie wiem, kto to zrobił, może turyści, którzy co roku wpadają w ekstazę, oglądając tutejsze widoki, i przez chwilę marzą o tym, by porzucić mieszkanie w mieście, stresujące życie pod dyktando technologii i wyścig z czasem, i zamieszkać tutaj. Ale te słowa są dobrym streszczeniem historii, która teraz nastąpi. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, ale raje są właśnie po to, by je tracić.

A każdy początek ma swoje źródło w zbrodni.

KRÓLESTWO

W tej chwili na Ziemi żyje 7 212 913 603 ludzi. Każdego dnia na naszej planecie rodzi się 422 tysiące osób, a umiera około 170 tysięcy, co oznacza trochę powyżej 12 milionów miesięcznie i 154 miliony rocznie. (Jeśli uważacie, że wasze życie, maleńkie życie osobiste, wasze ego i wszystko, co z nim związane, jest ważne, odnieście to do przedstawionych liczb; i jeśli wierzycie w Boga, zrozumcie, że jako urzędnik ma On chyba zbyt wiele akt do przejrzania w tym samym czasie i za mały budżet).

Na świecie jest 6,8 miliarda abonentów komórkowych sieci telefonicznych i 2,8 miliarda użytkowników Internetu.

Ale jest tylko jeden Charlie.

Charlie to mój najlepszy przyjaciel. To gatunek sam w sobie i - bez cienia wątpliwości - wyjątkowy człowiek.

Garść informacji o moim przyjacielu Charliem:

Charlie wiecznie się spóźnia. Charlie jest prawiczkim. Charlie ma kompleksy na punkcie swojego wyglądu. Nosi koszule z kołnierzykiem przypinanym na guziki. Ma obsesję na punkcie seksu. Uwielbia sprośne historie (my mówimy o nich świńskie). Charlie jest cyniczny. Bezczelny. Izabawny. A nawet bardzo zabawny... Ale tak naprawdę, gdy ma się szesnaście lat, ważne jest nie tyle to, jakim się jest, ile to, na jakiego się wygląda: Charlie udaje cynika, udaje beczelnego. W rzeczywistości Charlie to mistrz: najlepszy przyjaciel, jakiego można sobie wyobrazić.

Tamtego ranka, 23 października, wszedłem do sklepu jego rodziców, Keñs Store & Grill, w górnej części Main Street („Artykuły Spożywcze, Benzyna & Olej napędowy, Napoje, Wideo” głosi duży napis wokół wyblakłego malunku pięciomasztowca i historycznej wzmianki „Od 1904”; na zewnątrz jest też napisane: „Breakfast & Burritos, świeże kanapki, free Wi-Fi, fantastyczny sklep, wyśmienity garmaż, doskonale dania z grilla i bar *friendly*”...). Za oknami tłoczyły się poranne jesienne ciemności i mgła pachnąca morzem, rybami i olejem napędowym, jak we wszystkich portach świata. I jeszcze odgłosy: niestrudzony szczęk masztów w porcie, zardzewiałe skrzypienie kołysanego morskim wiatrem szyldu sklepu, krzyki mew przebijające się przez mgłę, pojękiwania wiatru, które wznosiły się i opadały, wznosiły się i opadały, głuchy, odległy i tajemniczy żywioł morza, wrrr-wrrr-wrrr niewidocznej jednostki motorowej wypływającej z portu.

Wewnątrz panowała cisza - jeśli nie liczyć brzęczenia zepsutej świetlówki w opustoszałym sklepie i delikatnego buczenia rzędu zamrażarek z prawej strony. Ja zmierzałem ku dystrybutorowi stojącemu po lewej.

Rozległ się czysty dźwięk monet, które wrzuciłem do maszyny. Charlie powinien już tu być. Gdzie on się podziewa?

W oświetlonej szybie automatu zobaczyłem odbicie mojej bladej twarzy, przygnębionej i niespokojnej, a do podajnika podjechał czekoladowy baton, gdy nagle za moimi plecami huknęła muzyka. Podskoczyłem, jakby podłoga zamieniła się w trampolinę. Przenikliwe, ostre dźwięki: AC/DC, *The Razor's Edge*. Kiedy się odwróciłem, w mojej klatce piersiowej eksplodował strach, jak to się mówi w powieściach Stephena Kinga i Lovecrafta. Na podłodze, w odległości około czterech metrów ode mnie, zauważyłem wystające zza rzędu zamrażarek stopy Charliego.

Nieruchome. Lekko rozsunięte. W ułożeniu „za dziesięć drugą”. Rozpoznałem muzykę: to dzwonek jego komórki, którą

musiał mieć w kieszeni spodni. Rozpoznałem też jego buty Air lordans.

- Charlie! - zawołałem. - Charlie, do cholery, Charlie!

Rzuciłem się w jego stronę. Muzyka umilkła i zapanowała cisza, gęsta jak zalegająca na zewnątrz mgła. Charlie się nie ruszał. Przez chwilę pomyślałem, że zemdlął albo umarł w trakcie naprawiania zamrażarek.

- Charlie!

- Kurwa, Henry, mógłbyś wrzeszczeć trochę ciszej?

Był tam, leżał na podłodze. Jak najbardziej żywy. Jego okrągła, mądra głowa spoczywała między stopami manekina reklamującego, jak to mówią, letnią kolekcję (powód, dla którego do tej pory nie zmienili jej na zimową, był dla mnie tajemnicą), a jego spojrzenie skierowane było wprost na przykryte wąziutkim kawałkiem niebieskiej tkaniny krocze wspomnianego obiektu.

- Nie widzisz, że się koncentruję?

- Co ty wyprawiasz?

- A jak myślisz? Próbuję ją sobie wyobrazić z cipką.

- Co?

- Jaka by to była cipka, jak sądzisz?

- Kurwa, Charlie!

Wstał, otrzepał dłonie, ziewnął i się przeciągnął.

- No co? Nie mów, że nigdy nie widziałeś...

(O nie, Charlie, proszę, nie dziś).

- Zabraniam ci...

Podniósł ręce na znak zgody i wsunął kosmyk włosów za lewe ucho. Charlie ma włosy czarne i sztywne jak pióra kruka, rozdzielone prostym przedziałkiem, przez który widać skórę głowy. Ponieważ są ciut za długie, ciągle wpycha je za uszy.

- Okay, okay. Nie mówmy już o tym. - Zza lady, na której stoi kasa fiskalna, wyjął plecak i czarną deskorolkę Zero z trupa czaszką, potem sprawdził w telefonie, kto do niego dzwonił, a mnie znowu ścisnęło w dołku na myśl o mojej beznadziejnie milczącej komórce. - Cholera, znowu reklama. Wiesz co, Henry?

Powinieneś od czasu do czasu wyluzować, odpuścić trochę. -

Spojrzał na mnie z zaspaną miną, jak każdego ranka.

Wyszliśmy ze sklepu i zanurzyliśmy się z powrotem w październikowe ciemności i pachnącą morzem mgłę.

- A ty powinieneś przestać się brandzlować - powiedziałem, kierując się do samochodu.

- Jasne - odparował, zamykając drzwi sklepu. - Czasem tak go froteruję, że jest bardziej pękaty niż karczoch! Gdyby masturbacja była dyscypliną olimpijską, zgarnąłbym złoty medal! Jestem Usainem Boltem onanizmu!

Prawie wykrzyczał te słowa, a ja niespokojnie spojrzałem na okno znajdującego się za sklepem domu jego rodziców, którzy za żadne skarby nie opuściliby niedzielnej mszy i twardo wierzyli, że świat został stworzony w siedem dni. Ale po raz kolejny wyczułem, że Charlie gra - jak ci komicy, którzy muszą zapewnić show, nawet jeśli są w żałobie albo rozstali się właśnie z miłością swojego życia. Taki był Charlie. Mój najlepszy przyjaciel.

Przyjechałem na tę wyspę siedem lat temu, to znaczy w wieku dziewięciu lat. Ale Charlie, Naomi, Johnny i Kayla mieszkają tu znacznie dłużej, niektórzy nawet od zawsze. To ich królestwo - a także moje, od kiedy zdecydowali, bym został jednym z nich. Jak powiedział Henry Miller, wszystko, co dzieje się na ulicy, jest fałszem, pochodną, jest literaturą. A ulica należała do nas. No, prawie. Byli też Shane, Paulie i Ryan - trzej nieudacznicy - i jeszcze paru typków z archipelagu. Ale pod ich nieobecność to my byliśmy panami świata.

Nasze królestwo rozciągało się od najmniejszej otoczonej lasem zatoczki aż po South Beach, najdłuższą plażę na wyspie leżącą na południu, na wprost cieśniny Juan de Fuca, która prowadzi na Pacyfik: kilometry plaży usiane są wyrzuconymi przez morze pniami drzew, z których najświeższe mają kolor jasnego masła, a leżące najdłużej - szarego popiołu. Rozciągało się od samej góry Main Street, gdzie znajdują się tereny do bejsbolu, piłki nożnej i

koszykówki, a także katolicki kościół Świętego Franciszka - aż po przystań promową w pobliżu centrum handlowego na palach, w którym mieści się między innymi sklep z pamiątkami i ciuchami podpisanymi „Glass Island”, Blue Waler Ice Cream Fish Bar i restauracja chińska. Rozciągało się od lini niskiej wody, gdzie brodziliśmy pośród bulgocących małży aż po magiczny las Crippen Park, z jego powykręcanymi drzewami i fantastycznymi kształtami.

Sięgało także sąsiednich wysp, wśród których latem pływaliliśmy na kolorowych kajakach: zwykle szare skały najeżone sosnami, mieniające się słonecznym blaskiem cieśniny, większe, ale niezamieszkanne połacie ziemi, gdzie wydeptane wśród wysokich paproci i drzew ścieżki prowadzą do zatoczek, o których nie wiedzą turyści.

To było nasze królestwo, a my byliśmy najlepszymi przyjaciółmi na świecie, nierozłącznymi jak palce jednej dłoni.

Charliego, Johnniego, Naomi, Kaylę i mnie łączyła przyjaźń na śmierć i życie. Tak w każdym razie wtedy myśleliśmy. Jak już mówiłem, wszyscy oni dorastali na tym otoczonym wodą kawałku lądu. Stworzyli między sobą osobliwą więź - w pół drogi pomiędzy czystą, prostą przyjaźnią a czymś głębszym, bardziej instynktownym. Bardziej mistycznym. Jak zwierzęta żyjące w stadzie.

Kiedy mieliśmy po dwanaście, trzynaście lat, regularnie wspinaliśmy się na szczyt najwyższego klifu na wyspie - Hood Cliff - o który rozbija się fala przybojowa, i po kolei posuwaliśmy się tyłem w stronę urwiska z zamkniętymi oczami i dłońmi wyciągniętymi przed siebie. Reszta stała przy krawędzi i trzymała się za ręce, tworząc żywy łańcuch. Była to jedyna bariera chroniąca przed długim spadaniem, którego niechybnym finałem byłaby kupka dwustu sześciu ludzkich kości roztrzaskanych o skały. Kiedy czuliśmy pod plecami napięte ręce, zatrzymywaliśmy się. W uszach słyhać było wycie wiatru, serce waliło jak oszalałe. Morze, jak okiem sięgnąć, usiane było wypami. W głębi, sto kilometrów dalej, były góry. Umieraliśmy ze strachu.

Był też obrzęd, który nazywali chrztem. Tak. Bo to był

sakrament. Nie żebyśmy wtedy wiedzieli, co dokładnie oznacza to słowo. Ale tam, w środku lasu, podczas tej ceremonii, byliśmy instynktownie przejęci jej sakralnym charakterem.

Kiedy zostałem ochrzczony, płakałem. Miałem trzynaście lat, nie byłem jeszcze taki stary. Płakałem, ponieważ wiedziałem, że postępując w ten sposób, odkrywają przede mną najbardziej tajemniczy aspekt łączącej ich więzi. Był to dowód największego zaufania i miłości, jakie kiedykolwiek okazali obcemu. Dorastali razem, byli jak stadne zwierzęta albo niektóre owady społeczne. I oto za pośrednictwem tego rytuału przyjęli mnie do swojego grona. Na zawsze.

Ceremonia sama w sobie nie była jakaś szczególnie widowiskowa. Tamtego dnia ścieżką przez las zaprowadzili mnie nad rzekę. A potem, kiedy znaleźliśmy się na brzegu, zawiązali mi oczy

- Rozbierz się - nakazali chórem.

- Co?

- Rozbierz się - powtórzyła łagodnie Naomi.

- Nie bój się, Henry - powiedziała Kayla. - Nie nabijamy się z ciebie.

- Nikt cię nie filmuje - powiedział Charlie. - Masz moje słowo.

Posłuchałem ich.

- Majtki też.

Zawahałem się, a potem je zdjąłem. Trzęsły mi się ręce.

- Wejdz do wody.

Zrobiłem to, o co mnie prosili. Chwiejąc się i ślizgając na gładkich i nierównych otoczakach, w lodowatej wodzie, która obmywała mi łydki. Włoski na moich ramionach i dłoniach zjeżyły się jak opilki żelaza przyciągane magnesem. Czuję się kruchy, śmieszny. Od lat nikt nie widział mnie nago, nawet Liv i France. Czuję, jak penis kurczy mi się z zimna i wstydu.

- Jeszcze trochę.

Dotarłem do miejsca, w którym prąd był bardzo słaby, a stojąca woda o wiele mniej zimna, właściwie prawie ciepła. Promienie słońca głąskały moje plecy i kark. Letni prąd

przesuwał mi się po skórze, stałem w wodzie po pępek.

Ktoś zdjął opaskę. Oni także byli nadzy. Otaczali mnie kręgiem.

Podchodzili do mnie po kolei.

„Mój bliźni, mój bracie”, powiedział Johnny, przytulając mnie.

„Mój bliźni, mój bracie”, powiedział Charlie, przytulając mnie.

„Mój bliźni, mój bracie”, powiedziała Kayla, przytulając mnie.

„Mój bliźni, mój bracie”, powiedziała Naomi, przytulając innie.

Każdy z tych uścisków był oczywiście czysty i niewinny. A jednak zakochałem się w niej właśnie tamtego dnia. Kiedy ujrzałem ją nagą w tej czystej wodzie, w samym środku lata, w sercu tamtego lasu. Kiedy poczułem dotyk jej skóry, ochłodzonej wodą ze strumienia, a jednocześnie rozgrzanej promieniami słońca; woda z jej włosów spływała mi na ramię, jej serce biło tuż przy moim sercu, jej piersi wyglądały jak pączki kwiatów. Kiedy zobaczyłem, jak pływa, a potem wyzima wodę z kręconych, czarnych włosów, kiedy spojrzała na mnie swoimi lśniąco-ciemnymi, ametystowymi oczami.

- No to jesteś jednym z nas - powiedział Johnny, wychodząc z rzeki i wycierając się. - Zostałeś ochrzczony.

Nawet Charlie, który zazwyczaj nie przepuszcza okazji, by ponabijać się z bigotów z East Harbor, tamtego dnia powstrzymał się od kpin. Nigdy nie widziałem, żeby był tak poważny. Uśmiechnął się do mnie. I - podobnie jak było z zakochaniem się w Naomi - poczułem, że jego i mnie połączyła przyjaźń silniejsza od więzi z resztą grupy.

Jakkolwiek może się to wydać dziwne, Charlie, Johnny i ja zaczęliśmy się kumplować przy okazji pogrzebu. Wcześniej mijaliśmy się już w mieście, na plaży i w szkole, ale byłem dla nich obcym: gościem, który późno przyjechał z kontynentu,

wychowywanym przez dwie matki-lesbijki - krótko mówiąc, czymś pomiędzy chłopakiem a kosmitą.

Wszystko się zmieniło w dniu pogrzebu Jareda Larkina, a raczej podczas stypy w domu Larkinów. Jared miał dwanaście lat, tak jak my. Popęlnił samobójstwo.

Jego też właściwie nie znałem. Był w naszej klasie, ale niczym nie zwracał na siebie uwagi: średni uczeń, nieśmiały, wątpy, o niepozornej twarzy - dziewczyny go ignorowały. Grał na trąbce w szkolnej orkiestrze. Nigdy nie należał do tych, których wybiera się do drużyn sportowych, przeciwnie, raczej zawsze czekał na prawie pustej ławce, a aroganccy kapitanowie drużyn krzywili się na jego widok i wzdychali: „O nie, profesorze, nie on! To niesprawiedliwe, mamy już Finka w drużynie!”. Wieczorem wracał prosto do domu, z nikim nie rozmawiając.

Dopiero później się dowiedzieliśmy, że Jared miał depresję. Zapytałem wtedy mamę Liv, co to znaczy, a ona odpowiedziała: „To choroba duchowa, Henry, choroba duszy: odbiera smak rzeczy, odbiera smak życia”. Pamiętam, że spytałem, czy można się tym zarazić. Jared już raz próbował. Jego ojciec w porę go zauważył: stał nieruchomo na końcu ich pomostu, w pełni księżycy, jakby zafascynowany ogromem migocącego oceanu, a potem skoczył do wody, przyciskając ręce do ciała. Ojciec przybiegł i skoczył za nim. Uratował go w ostatniej chwili. Musiała go ogarnąć absolutna trwoga - pewność, że walka jest z góry przegrana. Wyobraźcie sobie: mieć syna, małego chłopca, kochać go ponad wszystko i nie wiedzieć, jak go obronić przed krążącymi wokół niego cieniami.

Druga próba była udana.

Jak twierdzi Bree Westhersby, jego jedyna przyjaciółka, leżał w łóżku, dopóki jego rodzice głęboko nie zasnęli, a potem wy dostał się z domu przez okno i cicho doszedł do końca pomostu. Ale co ona może wiedzieć? Jeśli tak było, to nawet się nie zatrzymał, dotarł do końca i plum!

Zastanawiam się, czy w głębi swojego jestestwa nie postrzegał tego świata z większą przenikliwością niż my, czy nie rozumiał lepiej niż my jego próżności i okrucieństwa, czy nie pojął wcześniej niż inni, że tym, co nas zgubi, jest nasz egoizm...

Na stypie, która odbywała się po pogrzebie, obecna była cała klasa Jareda. W pewnym momencie miałem dość: najmłodszy, w czarnych, zbyt mocno ściśniętych pod szyją krawatach, wyglądali, jakby przebrali się na jakieś szkolne przedstawienie; Liv i France jako jedne z nielicznych osób były przy rodzicach Jareda. Musiałem trochę odetchnąć, więc wyszedłem z domu i powoli spacerowałem dookoła. Możecie mi wierzyć albo nie, ale to był jeden z pierwszych wiosennych dni. Nigdy nie widziałem równie pięknej wiosny, tak pełnej kwiatów, z tak pachnącą bryzą i czystym niebem. Przyroda się odradzała - przeżyła zimę - i zastanawiałem się, czy Larkin też by nie przeżył, gdyby tylko wytrzymał te kilka dni więcej. Wiem, to idiotyczne, ale miałem dwanaście lat. Poszedłem boczną alejką, między pomalowaną na żółto ścianą krytą gontem a wysokim drewnianym ogrodzeniem. Po drugiej stronie warczała kosiarka. Zamarłem na widok nieruchomej huśtawki, której prawdopodobnie nikt już nie będzie używał i która szybko zardzewieje, a zwłaszcza na widok roweru i piłki do kosza leżących pod drzewem: to były piłka i rower Jareda... Wpatrywałem się w nie przez chwilę, wstrząśnięty, ze łzami w oczach, a potem ruszyłem dalej. Dotarłem do rogu domu, tam gdzie na żółtej ścianie kładł się cień dużej lipy, i usłyszałem głosy dobiegające zza węgła:

- Biedny Jared - powiedział pierwszy. Wydawało mi się, że poznaję głos chłopaka z mojej klasy.

- Gdybyśmy mogli wiedzieć, co się działo w jego głowie - odezwał się inny, i tym razem rozpoznałem nosowy głos Charlesa Scolnicka, z którym w tamtym roku byłem w jednej klasie.

- A niby jak? - Ten głos należał do dziewczyny. - Z nikim nie rozmawiał.

- Chodzi ci o to, że nikt nie zwracał na niego uwagi - odparował Charlie. - Jakby nie istniał...

Zapadła cisza, w wiosennym powietrzu, na tle cienia i promieni słonecznych przepłynęła przede mną smużka papierosowego dymu. Charlie znowu zabrał głos:

- Widzieliście? Pearson nawet nie przyszedł na pogrzeb.

- Może nie lubi pogrzebów - powiedziała dziewczyna.

- Dupek z tego Pearsona, tak, naprawdę wyjątkowy dupek - podsumował Charlie.

Pearson był naszym profesorem od języków i w całej rozciągłości zgadzałem się z Charliem: gość o zacofanym, nadętym i sekciarskim umyśle, który pewnego dnia poradził mi, żebym czytał coś innego niż tylko Stephena Kinga. Wiedziałem, że Pearson wydał książkę. W bibliotece szkolnej były dwa egzemplarze, prawdopodobnie jedyne dwa, które udało się sprzedać. Jej tytuł brzmiał: *Być może duchy nieistniejących miast*, i byłem pewien, że to cytat z jakiegoś autora, bo taki typ jest niezdolny do żadnej oryginalnej myśli.

- To jakiś bękart, wiedziałem to od razu, kiedy tylko go zobaczyłem - przyznał pierwszy głos.

- Co sądzicie o Henrym Walkerze? - zapytał nagle Charles Scolnick.

Wstrzymałem oddech, a mój puls gwałtownie przyśpieszył.

- Wydaje się spoko - powiedział pierwszy głos.

- Tak, jest ciekawy - poprawił Charlie, a ja zaczerwieniłem się po czubki uszu.

- A to dlaczego?

- Ten gość - ciągnął Charlie - odzywa się tylko wtedy, gdy nauczyciele go pytają, ale zawsze zna, kurwa, właściwą odpowiedź. Ma świetne oceny, ale nigdy się nie podlizuje. Zauważyliście? Jakby miał gdzieś, co o nim myślą nauczyciele.

- No, to jest megaklasa - stwierdził pierwszy głos, a ja poczułem, jak pęcznięję z dumy.

- Mnie się wydaje sympatyczny - odezwała się dziewczyna.

Moje serce zaczęło bić jeszcze szybciej.

- Powinniśmy z nim pogadać - powiedział Charlie - zaproponować mu, żeby z nami poszedł, tylko raz... żeby zobaczyć... Co o tym sądzicie?

- Ale po co? - zapytała dziewczyna, zdezorientowana.

- Larkin - odpowiedział smutno Charlie. - To, co się stało, skłoniło mnie do myślenia. Co o nim wiemy? Może gdyby Jared miał takich przyjaciół jak my, czułby się mniej samotny, gdyby miał kogoś, z kim może pogadać, nie

doszłoby do tego. - Zrobił pauzę. - Nie, naprawdę, nie chcę kolejnego samobójstwa na tej porąbanej wyspie.

- Za dwa tygodnie masz urodziny, zaproś go, to się przekonasz... - zaproponowała dziewczyna.

Usłyszałem, że się ruszają i czym prędzej zwaiałem. I tak dwa i pół roku po tym, jak sprowadziłem się na wyspę, otrzymałem pierwsze zaproszenie na urodziny.

Podoba ci się ta muzyka?

Dźwięki płynęły z głośników jak płynny stop metali, jak pierwotny, dziki potok ochrypłych i szyderczych głosów oraz gitarowych riffów.

- Zdecydowanie - powiedziałem. - Co to jest?

- Nirvana.

Podał mi dwa albumy. Nie były to płyty CD ani tym bardziej MP3, ale winyle... Pierwsza okładka przedstawiała pływającego niemowlaka próbującego chwycić unoszący się w basenie banknot, druga - posąg kobiety o anielskich skrzydłach, bardzo urodziwej, z tym że przez jej skórę widać było kości, żyły, a przede wszystkim jelita. Ogromnie mi się spodobały.

- A ja mam w pokoju plakaty horrorów - powiedziałem.

Siedzieliśmy w kącie kanapy, w pobliżu kolumn. Na jego urodzinach było mniej osób, niż się spodziewałem, niemniej jednak trochę ich przyszło: sześciu chłopaków i tylko dwie dziewczyny.

- Na ścianach?

- Mhm.

- Jakich?

Wymieniłem z piętnaście. Zobaczyłem, jak jego oczy rozbłysły.

- Aż tyle? O kurde! Duże?

- Mam też inne. Taaakie - odpowiedziałem, rozkładając ramiona.

- Jakie inne?

- Starocie: *Dracula, Frankenstein, Hellraiser, Candyman....*

- Dwóch ostatnich nie znam. Ale wydaje mi się, że to

super- sprawa. Wiszą na ścianach? Wszędzie? Serio? O kurwa!

- Na drzwiach też.

- O szlag! To musi być naprawdę odjazd! *Pita, Hostel...* matka by mnie chyba zabiła, gdybym sobie powiesił w pokoju takie plakaty! Twoje, eee... twoje mamy są naprawdę w porzo, wiesz? No. A powiedz, mógłbym zobaczyć? Mam na myśli twój pokój, nie matki. Nie przeszkadzałoby ci? Naprawdę bym chciał.

- Nie ma problemu.

- Super. Gdybym wiedział, że mamy w East Harbor muzeum horroru, zaprosiłbym cię wcześniej!

Roześmiałem się. I tak to się zaczęło.

- Masz jakieś wieści od Naomi? - zapytał w samochodzie.

Pokręciłem głową.

- Ja też nie.

W milczeniu pokonaliśmy budzącą się dopiero Main Street, a następnie, gdy byliśmy już blisko portu, skręciłem w Pierwszą Ulicę, na parking dla pasażerów promów.

Każdego ranka my, mieszkańcy wyspy, odprawiamy ten sam rytuał. Ustawiamy się w kolejce do promu, na długo zanim jego przysadzista sylwetka morskiego pitbulla ukaże się u wejścia do zatoki. Na pokładzie mieści się maksymalnie sto czterdzieści samochodów, a nikt nie ma ochoty czekać na następny. Ci, którzy mieszkają blisko, zostawiają nawet kluczyki w stacyjce i wyskakują, by dokończyć śniadanie.

Nie było jej...

Wjeżdżając na parking, machinalnie dostrzegłem jednocześnie kilka rzeczy; niektóre były zwyczajne, inne nie:

1. Jak co rano uczniowie młodszych klas z torbami na pasku wysiadali z autobusu szkolnego i kierowali się w stronę trapu dla pieszych, głośno gadając.

2. Jak co rano ojciec Malcolma Barrignera, pijak, ubrany w żółtą kamizelkę, przygotowywał się do kierowania ruchem.

3. Jakiś wysoki, siwy gość ubrany na czarno wrzucił monetę do automatu z gazetami przed Blue Water Ice Cream Fish Bar („Zadzwoń i odbierz zamówienie: Blue Water 425-347- 9823”), a następnie z „Seattle Timesem” i „Islands’ Soun- derem” w dłoni wrócił do forda crown victoria w kolorze szary metalik. Nie był stąd, ale w tym tygodniu widziałem go w tym miejscu o tej samej porze już po raz trzeci.

4. Naomi nie było na parkingu.

Kayla i Johnny w starym, przeżartym rdzą pick-upie gmc byli już za to na przystani. Oświetlony ze wszystkich stron prom wypływał z siebie tymczasem rzekę połyskujących białych reflektorów aut przybyłych z kontynentu, a trzy kolejki samochodów czekały, by zająć ich miejsce. Ich właściciele, którzy w większości poszli na kawę, wracali teraz z kubkami w rękę, siadali za kierownicą i uruchamiali silniki. Mgła się nie podniosła, noc dopiero zaczynała blednąć i ledwie dało się dostrzec zarys porośniętych świerkami wzgórz dookoła zatoki.

Gdzie jest Naomi?

Mój umysł zaczął błędzić. Kręci potajemnie z Nate’em Hardingiem, nauczycielem od teatru, przystojnym czterdziestolatkiem, który, jak wieść gminna niesie, przeleciał prawie wszystkie atrakcyjne laski uczestniczące w jego zajęciach. Została kochanką jakiegoś żonatego faceta - być może Matta Brooksa, rybaka, a przy tym szpanera, łazęgi i rozrabiaki, o którym prawie cała wyspa wie, że sypia z żoną aptekarza (nazywaną tak pomimo faktu, że sama także pracuje w aptece i ma wyższe wykształcenie niż jej mąż). Albo, co gorsza, jest z tym dupkiem Shane’em. Przed oczami duszy mignął mi obraz nie do zniesienia: Naomi całująca Shane’a, tuląca się do niego; Naomi kochająca się z Shane’em. Zeszłego lata, kiedy byliśmy na plaży, Shane podszedł do Naomi, by do niej zagadać. Miał na sobie kąpielówki i wyglądał już jak mężczyzna. Jego

umięśniona klatka piersiowa, brzuch i uda były bardzo męskie, a ja miałem okrutną świadomość, że wyglądam przy nim jak chuchro. Żartowali i śmiali się, prawie dotykając się biodrami i podkurczając duże palce stóp na gorącym piasku, a ja ledwie się powstrzymałem od zrobienia jakiegoś głupstwa, sprovokowania go w ten czy inny sposób, co byłoby samobójstwem... Obrazy przepływały jedne po drugich. Cierpienie, jakiego mi przysparzały, na moment sprawiło mi paradoksalną przyjemność.

Auta przed nami ruszały. Złapałem za komórkę, by zadzwonić do Johnny'ego.

- Co ty wyprawiasz? - zaniepokoił się Charlie.

Gdy przyszła nasza kolej i kierowani przez pracowników w żółtych kamizelkach wjeżdżaliśmy na pokład, rozległ się dźwięk telefonu. To była Kayla.

- Henry?

Kiedy się do mnie zwracała, w jej zaskakująco ochryplym i zmysłowym głosie niezmiennie wyczuwałem podejrzaną słodycz, jakieś niewypowiedziane zaproszenie. Miałem w pamięci tamtą noc, kiedy wstawiona i na haju wpila się wargami w moje usta i wpychała w nie język, gdy tymczasem Naomi i Johnny znajdowali się w lesie, zaledwie kilka metrów dalej. Kayla była bardzo ładną dziewczyną, w oczach innych na pewno atrakcyjniejszą niż Naomi. Żaden gość na wyspie poza mną nie oparłby się jej rudym włosom, gęstym, ciemnym brwiom złączonym nad wielkimi, zielonymi oczami i zwinnemu ciału o wąskiej talii, doskonałych proporcjach, a przede wszystkim o obfitych piersiach, które rozwinęły się znacznie wcześniej niż u innych dziewcząt.

- Wiesz, gdzie jest Naomi? - zapytałem. Mimo woli mój głos zdradzał niepokój.

- Nie, myślałam, że ty wiesz.

- To znaczy... że nie dzwoniła do ciebie?

Cisza.

- Nie.

- Kayla, czy ona ci coś wspominała... na nasz temat?

Znowu cisza.

- Henry, bardzo mi przykro. Prosiła, żebym o tym nie mówiła.

- Kurwa, Kayla!

- Kazała mi obiecać.

- Ma randkę, tak?

- Henry...

- To dlatego jej nie ma?

- Henry, proszę.

- Ma... Ma kogoś innego?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Kayla, do cholery!

- Posłuchaj, obiecałam jej...

- Czy ona kogoś ma?

- Henry, ja...

- Tylko to mi powiedz.

- Nie wiem... - i dodała po chwili wahania: - Wiem jedynie, że chciała zerwać. To wszystko.

Nagle poczułem się tak, jakby cały mój świat rozpadał się na kawałki. Siedziałem skulony, z dłońmi na kierownicy. Charlie był Już na zewnątrz, na pokładzie. Patrzyłem przez przednią szybę na samochody stojące ciasno w korytarzach promu, w których hulał wiatr, ale nie widziałem nic prócz obrazów Naomi.

To się stało w lecie 2011 roku - drugim pod względem rekordowych upałów w historii Stanów Zjednoczonych, najgorętszym od .siedemdziesięciu pięciu lat: wtedy zrobiliśmy to po raz pierwszy. W czterdziestu sześciu spośród czterdziestu ośmiu stanów od czerwca do sierpnia panowały temperatury wyższe niż zazwyczaj. Jedyne wyjątki stanowiły Oregon i Waszyngton. Tamtego lata Naomi była piękna jak nigdy dotąd. Dużo pływała i żeglowała po stronie Crescent Harbor, dzięki ćwiczeniom fizycznym jej sylwetka stała się umięśniona i smukła, a słońce jeszcze przybrązowiło jej naturalnie śniadą cerę. Tamtego lata także Johnny i Kayla zaczęli ze sobą chodzić i byli cali w

skowronkach; nie przepuszczali żadnej okazji, by wymknąć się we dwoje. Charlie popołudniami pomagał rodzicom w Keñs Store & Grill. W ten sposób w trakcie długich letnich miesięcy często spotykaliśmy się z Naomi sam na sam, choć obydwójce mieliśmy wakacyjne prace na pół etatu. Często wracaliśmy do domu późnym wieczorem. Ani jej matka, ani moje mamy specjalnie nas nie kontrolowały, skoro część dnia spędzaliśmy w pracy, a do tego było lato. W czasie wakacji wiał wiatr wolności i dawali mu się ponieść także rodzice. Była to zasługa okresowej łagodności klimatu, obfitości piosenek płynących z radia, długich, nieco zbyt zakrapianych wieczorów i samego świata, który jakby lekko się uspokoił.

Stało się to na dwa dni przed Labor Day i końcem wakacji.

Tego wieczoru schroniliśmy się przed potężną burzą pod rozłożystym świerkiem rosnącym na skraju pustej plaży. W nasypie, między korzeniami a najniższymi gałęziami, znajdowało się zagłębienie, w którym kajakarze zostawiali kajaki. Przytulne, dyskretne miejsce, prawie niewidoczne od strony plaży. Dolek wypełniony suchym mchem i piaskiem, zadaszony iglastym sklepieniem. Może był to wpływ atmosfery końca wakacji? Uczucia nostalgii, jakie w nas zasiała? Mieliśmy iść do nowej szkoły: skok w nieznaną. I właśnie tam to zrobiliśmy, w odległości zaledwie kilku metrów od skupisk niebieskich małży, pałdi i rozgwiazd uwieczonych w kałużach pozostawionych przez przypływ. Pamiętam ciepły letni wiatr spływający po jej twarzy i piersiach, kiedy zdjęła kostium, pamiętam czystą wodę na jej wargach, moje dreszcze i erekcję w przemoczonych kąpielówkach. Tamtego lata czytałem *Spójrz ku domowi, aniele*, *Mniej niż zero* i *Sexusa*. Miałem czternaście lat.

Wysiadłem z forda i nieprzytomnie podążyłem za Charliem między rzędami aut. Kiedy znaleźliśmy się na górze, poszliśmy do naszego stolika usytuowanego daleko od baru, nad którym unoszą się opary kiepskiej kawy i zupy z mięczaków (sam jej

wygląd zniechęciłby najgłodniejszego pasażera: sprawia wrażenie wymiocin zebranych od podróżnych, których poprzedniego dnia dopadła choroba morska). Sadowiąc się na kanapie, rzuciłem Kayli wściekłe spojrzenie, a ona z zakłopotaną miną odwróciła wzrok w stronę okna.

A potem wszyscy udawali, że pochłonęły ich poranne zajęcia. Johnny i Kayla próbowali w pośpiechu powtarzać materiał, którego nie przejrżeli wcześniej, Charlie oparł głowę na skrzyżowanych ramionach i nadrabiał niedobory snu. Ja myślałem tylko o jednym.

W końcu Charlie podniósł głowę i zadał to pytanie:

- Nie wydaje wam się dziwne, że jej nie ma?

Wszyscy wiedzieliśmy, że nieobecność to coś, co pasuje do Naomi w równym stopniu jak człowieczeństwo do taliba. Naomi traktowała szkołę o wiele bardziej serio niż my. Nie była z tych, którzy - jak mawia Charlie - „liżą nauczycielom dupę tak głęboko, że gdyby jedna albo druga strona chciała wystawić język, nie byłoby wiadomo, do kogo on należy”, a i tak miała najlepsze oceny. Bardzo się od siebie różniliśmy: Naomi była pełna entuzjazmu, spontaniczna, gadatliwa, otwarta, angażowała się w szkole w mnóstwo działań, była typem przywódcy; ja byłem bardziej powściągliwy, mniej ufny i zdecydowanie mniej „stadny”, ale zarówno ona, jak i ja zajmowaliśmy pierwsze miejsca w szkolnym rankingu. Naomi lubiła wielkie hasła i wielkie słowa, takie jak „rewolucja”, „nieposłuszeństwo obywatelskie”, „opór”, „totalitaryzm”, „przeciwwładza”; lubiła naprawiać świat do spółki z Charliem, Kaylą i kilkoma innymi osobami, które zawsze były gotowe podnieść z prochu ziemi sztandar utopii. Ja zaś słuchałem ich, od czasu do czasu wydając z siebie ostrożne pochrząkiwania i „ochy”, i widziałem w nich niepoprawnych donkiszotów, salonowych rewolucjonistów pozbawionych poczucia rzeczywistości - takich, co to gdyby powierzyć im stery kraju, w mniej niż tydzień doprowadziliby go do upadku.

- Tak - odezwała się Kayla - uważam, że to bardzo dziwne. Henry, o czym rozmawialiście wczoraj na promie?

- Powiedziała, że chce przerwy.

- I jak zareagowałaś?
- No... Wkurzyłem się.
- W jaki sposób się wkurzyłeś?
- Co? No nie, Kayla, a jak myślisz?! Pokłóciliśmy się, to wszystko. Potem ona się rozryczała i poszła.

Pominałem fakt, że w pewnej chwili o mało nie wypadła za burtę.

- Ktoś z was miał z nią kontakt od tego czasu? - zapytał Charlie.

Wszyscy zaprzeczyliśmy.

Pogrążony w myślach odwróciłem głowę - i zauważyłem go. Wysoka postać oparta łokciami o bar. Mężczyzna z parkingu.

Teraz byłem pewien: facet nas obserwował. Kiedy na niego spojrzałem, odwrócił wzrok. Przyglądałem mu się przez chwilę, jak pił kawę. Wysoki, prawie dwa metry, postawa byłego wojskowego albo gliny, ciemne ciuchy. Wąska, podłużna głowa wsparta na długiej, mocnej szyi. Nawet z tej odległości dostrzegałem pod płaszczem zarys atletycznej sylwetki. Zawodowiec - ale w jakim fachu? Wiem, to śmieszne. To nic innego jak czysta paranoja - z pewnością efekt niepokoju wywołanego wspomnieniem zdarzeń z poprzedniego wieczoru.

W dodatku przez cały czas czułem nudności. Wstałem i poszedłem do toalety. Stałem nad obrzydliwą muszlą. Nie mogłem powstrzymać dreszczy. Miałem ochotę walić głową w ściany, krzyczeć, błagać, tłuc pięściami. Oczywiście nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy. Tylko się wysikałem. Przy umywalkach zauważyłem pojemnik na zużyte strzykawki; zawsze się zastanawiałem, czy korzystają z niego diabetycy czy ćpuni.

Schyliłem się nad umywalką, by opłukać ręce, i przyjrzałem się swojej twarzy w lustrze. Nie podobam się sobie. Nie lubię swojej facjaty, choć wiem, że wielu laskom w budzie się podoba. Nie lubię swojej sylwetki. Wolalbyśmy być podobny do Mickeya Rourke'a z czasów, gdy grał Rusty'ego Jamesa, zanim poddał się operacjom plastycznym, albo do Steve'a McQueena w roli Bullitta. Zamiast tego mam twarz pieprzonego idealnego

zjęcia. A tamtego dnia wyglądałem naprawdę kiepsko. Jak ktoś, kto ma pietra. Jak ktoś, kto cierpi. Naomi, nie, Naomi, nie rób mi tego, proszę, nie rób mi tego. Moje powieki były opuchnięte, jakbym płakał - a nie płakałem.

Wychodząc z toalety, o mało na niego nie wpadłem. Wysoki gość w czerni. Stał przed drzwiami. Bez ruchu. Wyglądał, jakby obserwował czubki własnych butów.

- Przepraszam - powiedziałem, bo zagradzał mi przejście.

Podniósł wzrok. Byłem w szoku. Jego ciemne oczy lśniły w półmroku jakąś niezdrową ciekawością. Dzień był szary, mgła, w dalszym ciągu gęsta, kleiła się do bulajów, a jarzeniówki na promie były pogaszone: w kabinie panował półmrok, a on stał pod światło. Był ode mnie wyższy o ponad głowę. Wyglądał jak totem albo posąg z Wyspy Wielkanocnej. Przez chwilę uważnie mi się przyglądał. Jego spojrzenie było niesłychanie intensywne, hipnotyczne.

Uśmiechnął się do mnie. Albo raczej jego wąskie wargi przybrały kształt niewyraźnego uśmiechu. A potem ten zanikający uśmiech zastygł jak sos na dnie talerza. W tamtej chwili pojąłem z absolutną pewnością, że jego obecność w tym miejscu nie jest przypadkowa.

PENCEY HIGH SCHOOL

Pierwsza lekcja - algebra - wydawała mi się długa, druga — biologia morska - wlokła się bez końca. Miałem wrażenie, jakby każda minuta przepływała przez jakiś filtr. Złamałem szkolny regulamin: zabrania on używania w obrębie szkoły nie tylko telefonów komórkowych, ale także tabletów, iPodów i wszelkich gadżetów poza komputerami udostępnianymi przez placówkę przy udziale Billa i Melindy Gatesów, a tymczasem ja miałem w kieszeni włączony telefon. Ten jednak beznadziejnie milczał. Nie słyszałem nic z tego, co mówił Sam Brisker, nazywany przez uczniów Ośmiornicą, któremu zazwyczaj udaje się mnie zafascynować - nawet na pierwszej godzinie, kiedy na ogół jestem na wpół przytomny - opowieściami o orkach, łososiach, krabach, ukwiałach, wielorybach, ślimakach nągoskrzelnych i wszystkich niewiarygodnych stworzeniach, które zamieszkują wody północnego Pacyfiku i stanowią dowód na to, że porównaniu z Matką Naturą J.R.R. Tolkien miał kiepską wyobraźnię. Ośmiornica to brodaty gość w okrągłych okularach - prawdziwa karykatura oceanografa - który ma duże poczucie humoru i wyczucie sceniczne. Pewnego razu pojawił się w klasie z wielką ośmiornicą w akwarium. Potrzebował królika doświadczalnego i oczywiście wybrał Shanea. Jakby miał jakiś szósty zmysł. Shane to twardziel, ale panicznie się boi morskich stworzeń - przede wszystkim ośmiornic.

Nie było jednak opcji, by wyjść na tchórza przed całą klasą. Shane zebrał się na odwagę i podszedł do biurka Briskera oraz akwarium, starannie unikając patrzenia na dziewięćdziesięciocentymetrową ośmiornicę, która znajdowała się w środku.

- Ośmiornica to zwierzę o wybitnej inteligencji - zaczął Bri-

sker. - To w istocie najsprytniejszy mieszkaniec oceanu po delfinie i wielorybie.

Wiedza o tym, że ów lepki stwór o ośmiu ramionach jest w dodatku inteligentny, moim zdaniem bynajmniej nie dodała Shaneowi odwagi. Briskier sięgnął do wiadra po śledzia i trzymając go za ogon, wręczył Shane'owi.

- Masz, daj jej.

Zobaczyłem, że Cuzick się skrzywił. Nagle stał się biały jak zsiadłe mleko. Trzymał śledzia w taki sposób, jakby był to radioaktywny pluton, i wyciągnął rękę w kierunku akwarium. Nie wiem, czy widzieliście już pysk ośmiornicy. To właściwie nie jest pysk, ale coś na kształt dzioba papugi, zdolnego zmiążdżyć małża. Rzeczony dziób pożarł śledzia.

- Cholera - wyrzucił z siebie Shane słabym głosem.

- A teraz połóż dłoń na brzegu akwarium - powiedział Briskier.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Shane wahał się przez dziesięć niekończących się sekund, po czym wykonał polecenie. Wijące się ramię ośmiornicy sięgnęło ponad krawędzią i czule, z niebywałą delikatnością owinięło się wokół jego nadgarstka niczym bransoleta zegarka. Shane zzieleniał. Briskier dokonał prezentacji:

- Brad, to jest Shane. Shane, przedstawiam ci Brada. Przywitaj się z nim, jesteś absolutnie bezpieczny.

- Profesoorze... - jęknął Shane najciszej, jak potrafił, błagalnym tonem, którego nigdy dotąd u niego nie słyszałem.

Briskier przyjrzał mu się zza okularów, mrużąc oczka, i po kiwał głową.

- Brawa dla Shane'a, brawa dla Brada! - zawołał. - Możesz wracać na miejsce.

Shane nie czuł do niego urazy. Chłopcy uwielbiają Briskera, a dziewczyny uważają, że jest straszny, dziwaczny albo obleśny. Biologia morska to jeden z moich ulubionych przedmiotów. Lubię ją z powodów przeciwnych do tych, dla których tak kocham horrory. W świecie Briskera każda rzecz ma swoje miejsce, wszystko jest w nim poukładane; chaos rzeczywistości zostaje za drzwiami sali. Ale tego dnia równie dobrze mógł mi

oznajmić, że przez całą noc walczył z wielkim białym rekinem: nic do mnie nie docierało. Chyba ze sto razy zerknąłem w stronę drzwi z nadzieją, że pojawi się w nich Naomi i w ten czy inny sposób wytłumaczy się ze spóźnienia. Ale jej miejsce pozostało puste.

Kiedy o dziesiątej trzydzięci rozległ się dzwonek, wypadłem na zewnątrz. Wysłałem entą wiadomość:

Gdzie jesteś?

I kolejną:

Wszyscy się tu martwią, zadzwoń przynajmniej do Kayli.

I, po chwili wahania, jeszcze jedną:

Kocham cię.

Oparłem się o pień drzewa rosnącego na uboczu, schowałem telefon do kieszeni i czekałem na wibracje, które będą oznaczały odpowiedź. Ale komórka milczała jak głaz.

Nagle w holu zrobiło się wielkie zamieszanie i zauważyłem, że wywiązała się jakaś ożywiona dyskusja. Usłyszałem krzyki i zastanawiałem się, o co chodzi do chwili, gdy z tłumu wyłonili się Charlie i Johnny i ruszyli w moją stronę. Mimo mgły widziałem posępną minę Charliego. Na twarzy Johnny'ego malował się strach. Im bliżej byli, tym wyraźniej widziałem niepokój w ich oczach i sam zacząłem mieć pietra. Podeszli do mnie. Charlie wyjął z plecaka tablet. Spojrzał na mnie i podał mi go.

- Patrz!

Zadrzałem. W jego głosie dało się wyczuć panikę. Rzuciłem okiem w stronę okrągłej kamery monitoringu obejmującej teren kampusu, takiej jak ta na promie. Od początku roku Charlie wpadł już dwukrotnie: pierwszy raz za jazdę na deskorolce - deskorolki są zakazane na terenie szkoły, podobnie jak tablety i telefony komórkowe - a drugi raz za

to, że grał w klasie w *Candy Crush*. Najwyraźniej jednak to go nie zniechęciło.

- Co to jest?

Podetknął mi tablet pod nos.

Na widok tytułu i nagłówka artykułu poczułem się jak uderzony obuchem:

Podejrzana śmierć na Glass Island

Morderstwo czy wypadek? Ciało młodej kobiety znalezione na plaży.

To było wydanie online któregoś z dzienników: „Seattle Times”, „Anacortes News” albo „San Juan Islandera”.

- Przyszła? - zapytał Charlie. - Czy Naomi jest szkole?

(Charlie, Kayla i Johnny chodzili w tym roku do innej klasy niż ja i Naomi. Jednak nie siedziałem obok niej. Naomi siedziała obok sióstr Purdy, a ja koło chłopaka o imieniu Kyle).

Pokręciłem głową. Przez ułamek sekundy miałem wrażenie, jakby mój układ pokarmowy zamienił się w syfon, a środek ciężkości przeniósł się w okolice jąder. Musiałem się oprzeć o drzewo.

- Co się staało? Co się staało, do kurwy nędzy? — Charlie nagle zaczął mówić piskliwym głosem jak mały lat przechodzący mutację.

Wyrwałem tablet z jego ręki i przebiegłem wzrokiem resztę artykułu, który choć zawierał konkretniejsze informacje, był krótki, pełen niedopowiedzeń i znaków zapytania.

Dziś rano funkcjonariusze biura szeryfa Glass Island znaleźli na jednej z plaż wyspy ludzkie zwłoki. Według pewnych źródeł chodzi o ciało siedemnastoletniej dziewczyny, której tożsamości jednak nie ujawniono. Na zwłolci trafił jeden z mieszkańców wyspy podczas spaceru z psem. Na podstawie pierwszych ustaleń policja uważa, że przyczyną zgonu było zatonięcie, nie da się jednak

jednoznacznie stwierdzić, czy chodzi o wypadek czy o działanie celowe. W tej chwili podległe szeryfowi służby odmawiają wszelkich komentarzy, a plaża została zagrodzona.

Szef miejscowej policji Bernd Krueger poprosił o pomoc patrol stanowy oraz Zakład Medycyny Sądowej hrabstwa Snohomish.

Ogarnęło mnie potworne przeczucie, które odebrało mi siły i odwagę.

- Naomi - powiedziałem.

Zobaczyłem rozpaczliwy wyraz twarzy Charliego.

- O nie! Nie, nie, nie, Henry, nie mów, że... Chyba nie myślisz...

- Nie spóźniła się na lekcje. Ona... nie przyszła.

- To zbieg okoliczności - jęknął płaczliwie Johnny. - To musi być zbieg okoliczności.

- Tak, na pewno, ale nie mogę się do niej dodzwonić.

- Ja też nie - przyznał Charlie dziwnym głosem. - O nie, nie, nie! Kurwa, to straszne! - Złapał się za włosy, wykrzywił twarz i zgiął się wpół.

Spojrzałem na Charliego. Bałem się jak diabli. Szukaliśmy jej wszędzie, na próżno. „Zabrała się z kimś innym” - mówił. Ale żaden z nas nie widział, żeby opuszczała prom.

Umilkliśmy na chwilę, pogrążeni we własnych myślach.

Wyjąłem komórkę. Sprawdziłem na wyświetlaczu, która jest godzina. Znałem rozkład jazdy promów na pamięć. Jeden z nich odpływał na Glass Island dokładnie za siedem minut. Natychmiast ruszyłem przez trawniki w stronę parkingu.

- Henry! - krzyknęli.

Potem usłyszałem, jak pędzą za mną. Nie odwróciłem się. Za moimi plecami rozległ się dzwonek na lekcje.

- Prom za sześć minut! - rzuciłem, wskakując za kierownicę, podczas gdy oni gramolili się z tyłu.

Na najwyższych obrotach wyjechaliśmy z kampusu i pędziliśmy School Road. Minęliśmy Pencey Middle School,

kawałek jechaliśmy wzdłuż pasa startowego lotniska i skręciliśmy w lewo obok przystani żeglarskiej. W mgnieniu oka pokonaliśmy Crescent Beach Drive i ze stanowczo zbyt dużą prędkością wpadliśmy na przystań. Ostatni samochód był już na pokładzie, właśnie zapinali łańcuch. Mimo to ruszyłem w stronę promu.

- Hej! - wrzasnął pracownik obsługi w żółtej kamizelce, zagradzając mi drogę. - No nie, całkiem powariowaliście! Zamknięte, nie widzicie? Cholera, zaczekajcie na następny!

Wychyliłem się przez drzwi.

- Ale ja pana błagam! Moja mama wpadła pod samochód! Zabrali ją do szpitala! Nie mogę się do niej dodzwonić! Bardzo pana proszę! Strasznie się martwię!

Zajrzał przez przednią szybę, podejrzliwie mierząc wzrokiem każdego z nas. Widać było, że się zastanawia, czy robimy go w balona, czy mówimy serio. Zobaczył niewyraźne miny pozostałych pasażerów i poszedł na przedni pokład, by skonsultować się z kolegą. Trap nie był jeszcze podniesiony. Dał nam znak, że możemy wjechać.

Wyszedłem, by pooddychać, na pokład mokry od delikatnego deszczu, który sprawiał, że morze wyglądało jak biała i lśniąca chromowana powierzchnia. Mgła się podniosła. Deszcz zacierał jednak kształty najbliższych wysp, których zbocza porośnięte świerkami prawie pionowo zbiegały do morza. Kiedy wyjmowałem telefon, usłyszałem buczenie przebijające się przez odgłosy deszczu i pracujących maszyn. Podniosłem głowę. Hydroplan. Na kabinie pilota oznaczenia patrolu stanowego. Leciał nisko po naszej lewej stronie, odcinając się jasną plamą na tle gęstego, ciemnego lasu, wzdłuż którego płynęliśmy. Wyprzedził nas, po czym pochylił skrzydła, skręcił i szybko zniknął między dwiema wysepkami zwieńczonymi warstwą chmur. Wyspy, przylądki, zatoczki, przesmyki i klify przesuwwały się w szarówce za burtą promu.

Wróciłem do środka. Znowu oczekiwanie. I strach.

Charlie podłączył tablet do promowej sieci Wi-Fi w poszu-

kiwaniu dodatkowych informacji. Ale dwie internetowe gazety dostępne online tylko powieliły newsa, nie podając nowych szczegółów. Postanowiłem zadzwonić.

- Liv Meyers - odezwał się zdecydowany i pewny siebie głos.

- Mamo? To ja.

- Henry, co się dzieje? Nie powinieneś być w szkole?

Zastanawiałem się, w jaki sposób przedstawić sprawę, i w końcu powiedziałem o artykule w gazecie i nieobecności Naomi na lekcjach, pomijając oczywiście epizod z poprzedniego dnia.

- Daj spokój, Henry, to zwykły zbieg okoliczności, niepotrzebnie się martwisz - powiedziała mama Liv pokrępiającym tonem. - Co ty opowiadasz? Zwłoki na Agatę Beach, naprawdę? To straszne!

- Czy mogłabyś jednak spróbować zadzwonić do szeryfa albo matki Naomi? - poprosiłem. Jeszcze dziś nie wiem, w jaki sposób udało mi się nie ujawnić absolutnej trwogi, jaka mnie ogarniała w tamtej chwili.

- I co miałabym powiedzieć? - zapytała.

- Nie wiem, co chcesz...

- W porządku, ale zapewniam cię, że niesłusznie się niepokoisz. Zobaczę, co da się zrobić, okay? - Musiała spojrzeć na zegarek, bo po chwili dodała: - A ty nie powinieneś być na lekcji? Przerwa o dziesiątej trzydzieści chyba się już dawno skończyła?

- Jestem w łazience, mamó.

- A, i stąd te odgłosy, które słyszę w tle? Henry, zajmę się tym! Ale proszę cię, natychmiast wracaj do klasy.

- Dobra, mamó. Wyślij mi esemesa, zostawię włączony telefon.

- To tak można?

Rozłączyłem się. Charliemu udało się dodzwonić do brata.

- Powiedział, że teraz nie może ze mną rozmawiać - oznajmił ponuro. - Co za dupek!

Starszy brat Charliego, Nick, był od niespełna roku zastępcą szeryfa. Charlie go nienawidził. A brat odpłacał mu pięknym za nadobne. Zobaczyłem, że mój stary kumpel zzieleniał na

twarzy.

- Co ci dokładnie powiedział? Jaki miał głos? Charlie!

Rzucił mi pełne trwogi, rozpaczliwe spojrzenie.

- Jego głos się zmienił, kiedy wspomniałem o Naomi. Henry, ja... Mam złe przeczucia.

Zwarta zasłona deszczu zbliżyła się, gdy wpływaliśmy do zato-ki i nasza porośnięta świerkami wyspa ukazała się nam w potokach rześkiej ulewy jak matka-dzieciobójczyni witająca swoje latorośle. Oba szczyty - Mount Gardner i Apodaca Mountain - spowijały chmury w kolorze sadzy. Kiedy zjechaliśmy po trapie na parking, deszcz uderzył ze zdwojoną siłą. Lał się na przednią szybę, jakby ktoś odkręcił kurek z wodą. Ruszyliśmy przez miasto. Czerwone, złowieszcze oko sygnalizacji świetlnej zmusiło mnie do zatrzymania samochodu. Choć miałem wściekłą chęć złamać zakaz i jechać dalej, zachowałem się przepisowo, ponieważ po prawej stronie pojawiła się jadąca na zapalonych światłach mijania ciężarówka z napojami gazowanymi, którą po krótkim sygnale syreny wyprzedził wóz policyjny. Woda odbijała się od karoserii obu samochodów, spowijając je mgiełką kropel. Stłumiłem w sobie niecierpliwość. Następnie ruszyłem i skręciłem w prawo na początku Main Street, trochę za szybko wjechałem w zalaną deszczem Eureka Street, wpadłem prosto w Miller Road, po czym wjechałem do lasu.

- Henry, do cholery, wolniej! - wrzasnął Charlie, kiedy o mało nie wypadliśmy z zakrętu.

Siedzący z tyłu Johnny kurczowo wczepiał się w kanapę. Mi-nęliśmy kosztowne posiadłości na Eagle Cliff, w większości zamknięte o tej porze roku. Tutaj, na północy wyspy, las stawał się gęstszy. Daglezje zielone, choiny kanadyjskie i wielkie cedry były tu wyższe, liczniejsze i gęstsze: ich korony nad naszymi głowami prawie zasłaniały pochmurne niebo. Poszycie wypełniały mchy i cienie. Od naszych oddechów parowały szyby. Dostałem wiadomość, którą odczytałem bez zatrzymywania samochodu.

Nie mogłam się dodzwonić do matki Naomi, a biuro szeryfa odmawia komentarza. Co się dzieje? Gdzie jesteś?

Zacisnąłem zęby. Ledwie rzuciłem telefon na deskę rozdzielczą, ten znowu zabrzączał.

Henry Walker, gdzie jesteś??? Gdzie są twoi koledzy Scolnick i Delmore? Wszystko w porządku??? Lovisek

Jim Lovisek był dyrektorem szkoły. Panna Gieringer, moja profesorka od angielskiego, musiała go poinformować, że mnie nie ma. To samo zrobili pewnie nauczyciele Charliego i Johnniego.

- Henry - rzucił nagle Charlie.

Znowu skupiłem się na drodze, wpatrując się w nią przez pracujące miarowo wycieraczki. Wśród drzew na wprost przed nami, na wysokości parkingu, od którego prowadzi droga na Agatę Beach, migotały światła policyjnych wozów. Stały tam też zwykłe samochody i karetka pogotowia. Moje serce zaczęło bić mocniej.

BANANA SLUG

Wpatrywałem się w ambulans. Panika rozlewała się po moim ciele jak szybkowiązący cement do chwili, aż ktoś - Johnny lub Charlie - położył rękę na moim ramieniu i mocno mną potrząsnął. Czulem spadające na moją głowę krople deszczu wielkie jak monety. Wewnątrz czaszki słyszałem szum o niskiej częstotliwości, między czterdzieści a sto herców. Ruszyłem na oślep w kierunku drogi schodzącej na plażę. Biegnie ona wzdłuż przepławki dla łososi i lasu deszczowego, które tworzą północne obrzeże Crippen Park. Ma około trzystu metrów długości. Początkowo wyasfaltowana, przechodzi następnie w drogę gruntową, a na odcinku ostatnich pięćdziesięciu metrów zmienia się w piaszczystą ścieżkę.

Na początku drogi, pod ociekającymi wodą drzewami, roilo się od gapiów, parasoli, zastępców szeryfa w pelerynach przeciwdeszczowych, ale także umundurowanych agentów z Washington State Patrol i ludzi w cywilu, wśród których z pewnością był prokurator i być może koroner lub lekarz sądowy z sąsiedniego hrabstwa Snohomish. Tak to tutaj działa: wyspy nie dysponują własną kostnicą ani zakładem medycyny sądowej. Było też wielu dziennikarzy: dało się ich rozpoznać po mikrofonach i kamerach, którymi wymachiwali ludziom przed nosem. Niezauważony wtopiłem się w tłum. Charlie i Johnny poszli w moje ślady, jakbyśmy byli na festynie.

Kilkanaście metrów niżej, tam gdzie asfaltowa alejka przechodzi w bitą drogę, rozpięta była taśma policyjna. Ciekawscy zgromadzili się przy niej, pilnowani przez Dominicka Silvestriego, jednego z zastępców Kruegera - szeryfa Glass Island. Stałem przed nim. Choć musiałem być błądy jak ściana, przemoczony, chwiałem się i drżałem, ledwie mnie

zauważył. Miał na głowie za dużo spraw, by przejmować się szesnastolatkiem: musiał uważać na tłumek gapiów, a przede wszystkim na dziennikarzy.

- *Deputy, deputy!* - zawołałem do niego, odsuwając sprzed oczu kosmyk sklejonych deszczem włosów. — Kto to jest? Kogo tam znaleźli?

Wreszcie na mnie spojrział. I wtedy jego twarz jakby się zapadła.

- Ja... Eeee, tego... Cześć, Henry. Przykro mi, ale tego... Nie jestem uprawniony, żeby o tym rozmawiać, rozumiesz? Proszę, nie tarasuj drogi.

- To Naomi? - zapytałem. - To ona?

Czułem, jakbym miał w ustach tłuczone szkło. Silvestri wyglądał, jakby dostał pięścią prosto w nos. O ćwierć sekundy za długo przyglądał mi się spod ociekającego wodą daszku.

- Nie jestem uprawniony, żeby o tym rozmawiać, przepraszam - powiedział szczerze skruszony.

Miał smutny głos, dobrze to czułem. Nawet bardzo smutny. Jak już mówiłem, tutaj wszyscy się znają. Zrozumiałem, że kiedy przed nim stanąłem, umyślnie mnie nie zauważył, ponieważ obawiał się moich pytań i odpowiedzi, jakich będzie musiał udzielić. Myślałem, że oszaleję. Ruszyłem wzdłuż plastikowej taśmy, odpychając łokciami kilka osób. Kątem oka spoglądałem na Silvestriego, który na mnie patrzył. Kiedy się odwrócił, by zająć się kimś innym - „jeden problem naraz”, jak pewnie mówią w policji - schyliłem się i prześliznąłem pod taśmą. Tym razem zauważył mój manewr.

- Hej, Henry! Dokąd idziesz? Wracaj!

Rzuciłem się naprzód, zanim zdołał mnie złapać.

- Stój!

Pędziłem drogą z pochyloną głową, trzymając dłonie przed sobą jak futbolista, klucząc zygakiem między graczami przeciwnej drużyny, którzy usiłowali mi przeszkodzić. Co sił w nogach biegłem ścieżką, a potem nagle skręciłem do lasu. Słyszałem za sobą coraz więcej okrzyków ścigającej mnie sfory. Nad moją głową, w koronach drzew łagodnie, niemal

kojąco szumiał deszcz. Z liści kapala czysta woda. Wilgoć sprawiała, że las - każdy czubek drzewa, każda gałąź, każdy listek, każda igła - lśnił jedwabistym blaskiem, mimo braku światła. To nie był zwyczajny las, ale las ombrofilny. Gigantyczne drzewa, które mogły osiągnąć nawet pięćdziesiąt metrów wysokości, pozbawiały światła królestwo znajdujące się na dole. Pod tym baldachimem wszystko tonęło w cieniu i ciszy. Życie i śmierć, wzrost i rozkład były w tym oceanie zieleni nierozzerwalnie związane. Młode paprocie żwawo wystrzeliwały z martwych pni, zdrowe, pełne życia drzewka rosły na trupach drzew powalonych przez burze. Uczucie uspokojenia, które spadło na mnie w pewnym momencie tego biegu, nie trwało długo: zburzył je hałas wartkiego, wzburzonego strumienia spływającego po drewnianych ściankach przepławki dla łososi, który pojawił się przede mną.

Nadal pędziłem, wpadając po kolana w paprocie, ślizgając się na omszałych kamieniach i mokrym, grząskim podłożu, raniąc łydki o ostre gałęzie sterzące z powalonych pni. Trampki miały pełne wody, moją spoconą twarz chłostały świerkowe gałęzie nasiąknięte pachnącym żywicą deszczem. Zauważyłem, że z prawej strony dogania mnie jakiś człowiek, który dobiegł tu ścieżką; wymknąłem mu się w ostatniej chwili, a następnie przeskoczyłem przez jeden z basenów przepławki i ruszyłem w dół zbocza przez las w kierunku plaży, na której widziałem postaci w białych kombinezonach.

- Do diabła, zatrzymajcie go! - zawołał jakiś głos.

W końcu wybiegłem pomiędzy drzew, a moje podeszwy zagłębiły się w pulchnym, lepkim piasku. Kawałek dalej, nad samą wodą, leżał podłużny kształt. Fale cichły niedaleko brzegu. Prawie mi się udało, zostało mi do pokonania dosłownie parę metrów, gdy nagle kilka osób utworzyło przede mną zaporę. Rzuciłem się na nich, wydając z siebie okrzyk rozpaczliwej wściekłości i niemal zdołałem pokonać przeszkodę. Ale dłonie znowu się połączyły i uwięziły mnie w żywej klatce, jednak byłem wystarczająco blisko, żeby zobaczyć... to coś...

Dookoła tam i z powrotem chodziły małe kraby, mewy fruwa-

ły nad wodą, bijąc skrzydłami w nadziei na odzyskanie posiłku.

Leżała między dwiema kałużami, w których dostrzegłem sałatę morską, rozgwiazdy szkarłatne i ogromnego jeżowca. Rozpoznałem jej ciemne loki rozrzucone jak wodorosty na piasku, w którym ulewa wyźłobiła mnóstwo małych kraterów, zarys jednego z ramion i jej... blizny. Ale reszta... Reszta, oświetlona ostrym blaskiem przenośnych halogenów rozstawionych jak na planie filmowym, przypominała obraz żywcem wyjęty z moich ulubionych produkcji. W centrum, gdzie zbiegały się wiązki światła - na zasadzie kontrastu pozostała część plaży tonęła w szarówce - lśniła jej twarz, posiniaczona i obrzmiała, jej oczy... z pewnością stały się już wyborym kąskiem dla mew, niecierpliwących się teraz na wodzie, ponieważ pozostały po nich tylko puste oczodoły, i zapadnięte do wewnątrz usta. Deszcz obmywał jej ciało, siekł kałuże i parował w świetle halogenów; jej ociekające wodą uda, w wielu miejscach ponacinane, lśniły w ich blasku.

Nie była jednak zupełnie naga. Miała na sobie rybacką sieć, która wyglądała jak prymitywny modowy dodatek. Poczulem, że robię się błądy, a do ust napływa ślina. Moje czoło pokryło się warstwą potu, nogi stały się jak z waty. Między okami sieci jej małe piersi, a także łono, były wystawione na spojrzenia tych wszystkich ludzi...

Nagle kierunek wiatru się zmienił i poczułem jej zapach: zapach trupa. Powiedziałem: Nie, to niemożliwe, nie...

O Chryste, nie, nie, nie...

Wyrwałem się. Próbowalem odepchnąć ręce, które trzymały mnie i odciągały do tyłu. Ale tym razem nie zamierzały mnie wypuścić. Nagle zamglonymi od łez oczami dostrzegłem szczegół, który rozsadził ostatnie tamy. Ulotny ruch; coś żółtego i śliskiego, długości palca, wysunęło się z jej uchylonych ust.

Banana slug, ślimak bananowy. Przypomniałem sobie, czego uczył nas Brisker na biologii: że ślimaki bananowe mają na języku dwadzieścia siedem milionów maleńkich zębów, a ich śluz jest tak gęsty, że mogłyby bez szwanku

pełznąć po ostrzu noża.

I wtedy, gdy gliny i technicy prowadzili mnie Bóg jeden
raczy wiedzieć dokąd, zymiotowałem. Prosto na nich.

DWA MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

W prażącym słońcu Kansas, we Flint Hills w hrabstwie Chase, prawie w samym geograficznym centrum Stanów Zjednoczonych, na skraju drogi stał rząd skrzynek na listy. Było ich nie więcej niż dziesięć. W samo południe zatrzymał się przy nich rozklekotany dodge ram. Powietrze było nieruchome, na jednolitym, jakby zakrzepłym błękitcie nieba nie było ani jednej chmurki. W Kansas latem zdarzały się potworne burze i niszczycielskie tornada, ale w tej części stanu niebo bardzo często było czyste; masy powietrza, które, niczym niepowstrzymywane, przemieszczały się nad tym regionem, zanim skrzyły na wschód, oddały już całą swoją wilgoć w górach na zachodzie.

Kobieta pchnęła skrzypiące drzwi, sięgnęła po chusteczkę, podniosła daszek czapki i otarła pot z czoła. Miała na sobie pomarańczowe szorty i niebieską koszulkę na ramiączkach. Stała na ziemi i omiotła wzrokiem spaloną słońcem okolicę.

To prawda, krajobraz był monotony, ale zarazem czysty, otwarty, nieskończenie pusty i prawie pozbawiony drzew - zupełne przeciwieństwo przesadnej bujności jej rodzimej Wirginii. Wśród wysokich traw rosły kwiaty: goryczka, sylfia, amorfka; droga była jasna i prosta; preria rozciągała się powyżej wapiennej dolinki, w której nad rachitycznym strumykiem rosły topole, wiązowce i orzechy. To było serce Ameryki. Miejsce, w którym jej życie wreszcie się uspokoiło. Po wszystkich tych latach służenia mu, zbierania za nim gówna, krwi, łez i śmieci... Przybysze psioczyli na nudę, jaka emanowała z tego krajobrazu, na ciemnotę jego mieszkańców. Ona jednak wiedziała, że to bez znaczenia - zwykle uprzedzenia mieszczuchów - przede wszystkim

jednak tutaj mogła nareszcie zapomnieć o nim i tym jego przydupasie. Tutaj nic nie przypominało jej Granta Augustine'a.

Nie próbowała przed nim uciekać: z łatwością mógłby ją odnaleźć, miał przecież do dyspozycji wszelkie środki, jakie tylko można sobie wyobrazić. Nie ukrywała się. Stworzyła sobie po prostu życie z dala od niego, bez niego, życie, które - ze względu na samą swoją prostotę - było zaprzeczeniem tej egzystencji, jakiej zaznała u jego boku. Czasem zresztą miała wrażenie, że jest śledzona, kiedy drogą numer 177 udawała się do Council Grove lub do Topeki, jednak wcale się tym nie przejmowała. Gdyby chciał nawiązać z nią kontakt, zrobiłby to już dawno. W końcu przed szesnastu laty to ona go odesłała po tej smutnej historii...

Była to jedyna rzecz, jakiej z tamtego okresu żałowała - a raczej jedyna osoba...

W ciągu ostatnich pięciu lat zaczęła nawet myśleć, że Grant Augustine ostatecznie o niej zapomniał, wykreślił ją ze swego życia. Jednak akurat ona doskonale wiedziała, że on nie zapomina o niczym - ani o nikim. I czasem, gdy po niebie nad Kansas przebiegały złowieszcze pomruki, budziła się, siadała na łóżku ze ściśniętym sercem i prawie się spodziewała, że w blasku błyskawicy ujrzy jego postać.

Szesnaście lat... Minęło szesnaście lat, odkąd nie miała od niego znaku życia, a wciąż się zdarzało, że myśl o nim spędzała jej sen z powiek. Brodząc w pyle drogi, doszła do rzędu skrzynek na listy. Były na nich nazwiska takie jak Merryman, Puchalski, Boyle; mimo że padał na nie cień czerwonego wiązu, metalowe skrzynki były rozgrzane jak karoseria jej dodge'a, ponieważ jeszcze przed chwilą znajdowały się w pełnym słońcu. Ostrożnie otworzyła swoją. Pod pachami i piersiami miała aureole potu. Już od dawna klima w dodge'u nie działała, silnik ciągnął za dużo oleju, a skrzynia biegów trzeszczała, jakby miała się rozpaść na kawałki. Powinna się zdecydować na zmianę samochodu.

W skrzynce była kartka pocztowa. Kobieta najczęściej nie otrzymywała już żadnej korespondencji. Sięgnęła w głąb

ciemnego otworu i wyjęła pocztówkę. Przyjrzała jej się zdziwiona. Zdjęcie z lotu ptaka. Zielone wyspy na lśniącej powierzchni morza, porośnięte lasem, i płynący między nimi mikroskopijny prom, za którym ciągnął się lśniący ślad w kształcie litery V. Odwróciła kartkę. Zobaczyła swój adres: *Martha Allen, 2200 Highway 177, Strong City, KS 66869.*

Zaczęła czytać. Zmarszczyła brwi i w padającym pionowo słońcu na jej spoconym czole pojawiły się liczne głębokie bruzdy. Wpatrywała się w słowa, które tańczyły jej przed oczami.

O mało nie krzyknęła. Po tylu latach. To niemożliwe. Nagle łzy napłynęły jej pod powieki i potoczyły się po policzkach. Wbiła zęby w zaciśniętą pięść. Wiadomość brzmiała następująco:

Martho, on ma się dobrze. Wyrósł na dobrego chłopca, pięknego i silnego jak jego matka. Spal tę kartkę po przeczytaniu. I nie próbuj dowiadywać się więcej.

Pocztówka nie była podpisana. Martha zastanawiała się, kto ją napisał. Autor wspominał o nim, ale nie o niej - czyżby nie żyła?

- Meredith - wyszeptła, a łzy już niepowstrzymywane popłynęły jej po policzkach: w letnim świetle mieniły się jak szklane paciorki.

Natychmiast rozejrzała się wokół siebie, prawie przestraszona, a serce tłukło się w jej piersi jak ptak uderzający o szybę - tak jakby na tym pustkowiu ktoś mógł się ukryć, by ją szpiegować.

Przez długą chwilę stała tak, trzymając widokówkę w dłoni, z wilgotnymi policzkami; w palącym słońcu po jej plecach płynął pot. Czowała się jak zagubiona we mgle. Dlaczego? Dlaczego teraz - po tylu latach? Tak długo wyczekiwała jakiejś wiadomości, co rano otwierała skrzynkę na listy z delikatnym drżeniem nadziei, po której niezmiennie następował leciutki przypływ zawodu: setki, tysiące poranków wypełnionych nadzieją - i tyleż rozczarowań...

A teraz, kiedy niczego się już nie spodziewała, kiedy się pogodziła - czy jednak naprawdę w głębi duszy można się pogodzić ze stratą, gdy nie umilkły podszepty serca? - teraz pojawia się ta kartka.

Powstrzymała szloch, wytarła twarz dłońmi. Podarła pocztówkę na jak najwięcej kawałków i z wściekłością rzuciła na wiatr, który szemrał wśród suchych traw. Zamknęła skrzynkę.

Nie odwracając się, wróciła do dodge'a, którego chromowane części lśniły w słońcu, uruchomiła silnik i ruszyła, wznecając chmurę pyłu. Naklejki na tylnej szybie upominały się o FREE TIBET oraz POKÓJ I TOLERANCJĘ. Gdy znalazła się na szosie, przyśpieszyła, patrząc wprost przed siebie przez zakurzoną, oblepioną martwymi owadami szybę.

Po południu pójdzie popływać w basenie Maximus Fitness w Topece, a potem da sobie w kość na maszynach. Wieczorem, kiedy powietrze będzie się bardziej nadawało do oddychania, umości się na werandzie z butelką schłodzonego białego wina, dobrą książką i swoimi kotami, a słońce będzie nieśpiesznie zachodziło naprzeciw niej w złocistym spokoju letniego wieczoru.

Przecież to wszystko, czego można oczekiwać od życia, nieprawdaż? Odrobina spokoju...

PRZESŁUCHANIA

- Henry, jak się czujesz?

Grubo ciosana twarz okolona wianuszkami brody i długie, czarne rzęsy - Krueger wyglądał jak szekspirowski aktor w mundurze szeryfa, co, zgadzam się, jest czystym anachronizmem.

- Kawy? - zapytał stentorowym głosem.

- Nie, dziękuję - odparłem.

- Cola? Cola zero? Ocean Spray?

- Nie. Dziękuję.

- Jesteś głodny? W automacie są ciastka nadziewane masłem orzechowym, zostało nam też kilka drożdżówek z serem.

- Nie, dziękuję, szefie. Jest okay.

- No dobrze. To może jointa?

Podniosłem głowę.

- Słucham?

- Nigdy nie palisz, Henry?

Zaczerwieniłem się. Pomyślałem. Trwało to o pół sekundy za długo.

- Wiesz, zawsze możemy zrobić test...

- Zdarzało mi się - odpowiedziałem, skonsternowany jego perfidią. - Ale nieczęsto... nieczęsto. A co to ma do rzeczy?

I wtedy, podniósłszy oczy, zrozumiałem, że to nie film ani gra wideo. Krueger nie wyglądał jak agent Smith z *Matrixa* albo Steve Haines z *Grand Theft Auto V*. Wyglądał... zwyczajnie. Fajny, uważny, empatyczny. I to przerażało mnie jeszcze bardziej.

- Henry, nie chodzi o to, żeby drażnić tę sprawę, ale twoje zachowanie na plaży... Cholera, sforsowałeś zapórę policji w

stanie ewidentnej hysterii! Zaatakowałeś siły porządkowe, zanieczyściłeś... cóż, być może zatarłeś ślady.

Nie odpowiedziałem. Chciałbym być daleko od tego miejsca, chciałbym być gdzie indziej. Chciałbym, żeby było wczoraj: odwiózłbym Naomi do domu całą i zdrową i to wszystko by się nie zdarzyło.

- Henry - powiedział szeryf Krueger, wrywając mnie z zamyślenia - Henry, słuchasz mnie?

- Eee... Nie zaatakowałem sił porządkowych, szefie - wyjąkałem. - I nie byłem naćpany, jeśli to chciał pan wiedzieć. Szeryfie, co się... Co się stało Naomi? - Ostatnie słowa musiałem prawie wydrzeć moim strunom głosowym.

Szeryf Bernd Krueger odchylił się w fotelu. Był bardzo blady.

- Tak, tak... - powiedział bardzo powoli.

Odrzucił się do Nicka Scolnicka, brata Charliego, który stał przy drzwiach i w mundurze zastępcy szeryfa wyglądał tak młodo, jakby go przebrano.

- Henry to kumpel mojego brachola - powiedział Nick. - To dobry chłopak. Prawda, Henry?

Wcale mi się nie podobał jego protekcyjny ton; zwracał się do mnie jak do niedorozwiniętego. Ani jego spojrzenie. Przez chwilę je wytrzymałem. A potem coś nagle we mnie pękło. Skuliłem się na krześle i wcisnąłem dłonie między uda; moje dżinsy były całe w błocie i trawie, podarte na kolanach, koszulka poplamiona wymiocinami.

Trząsałem się, ale nie sądzę, żeby przyczyną była temperatura albo mokre ubrania. Usiłowałem powstrzymać łzy, które w każdej chwili mogły wypłynąć spod moich opuchniętych powiek.

- Do cholery - odezwał się Krueger - gdzie ta czysta koszula? Nick, idź zobaczyć, co się dzieje. I powiedz Chrisowi, żeby tu przyszedł.

Chris Platt był jednym z miejscowych śledczych. W załodze szeryfa było ich dwóch, a oprócz tego dwóch sierżantów, pięciu zastępców, dwóch gości pracujących w centrali i jeden oficer zajmujący się transportem więźniów: a wszystko to na kilkadziesiąt wysp, choć skądinąd faktem jest, że większość z nich to niezamieszkane sterty kamieni. Oprócz floty

samochodowej policja ma na stanie trzy motorówki. Skąd o tym wiem? Bo w ramach szkoły zwiedzaliśmy ich lokale. Nick niechętnie, pełen pretensji opuścił pomieszczenie, ale nie miałem ochoty zwracać sobie nim głowy. Nie dziś. Możliwe, że podobnie jak jego rodzice z trudem godził się z faktem, iż najlepszym przyjacielem jego brata jest chłopak wychowywany przez dwie lesby.

Wszedł Chris Platt. Niewysoki, w grubych okularach, o gęstej, rozczochranej blond czuprynie, dziwnie przypominał zmarłego aktora Philipa Seymoura Hoffmana. W jednej ręce trzymał notes na spirali, a w drugiej parujący kubek. Usiadł przy stole obok Kruegera, otworzył notes, upił łyk kawy i z kieszeni bluzy wyjął długopis.

- Masz szesnaście lat, Walker, zgadza się?

- Tak.

- Mieszkasz przy Ecclestone Road pod numerem 1600.

- Tak.

- Mieszkasz z...

- Szefie... szefie... - Podniosłem rozpaczliwy wzrok na Kruegera. - Co jest grane? Przecież wy to wszystko wiecie.

- Co jest grane? - Podjął sucho Platt. - Nic nie jest grane, młody człowieku! To nie jest któraś z tych waszych gier! To jest coś, co nosi wszelkie znamiona...

- Chris, wystarczy - uciął dość szorstko Krueger.

Platt się zamknął.

- Nie sądzę, aby Henry akurat tego teraz potrzebował - dodał i znowu spojrzał na mnie ze szczerym smutkiem.

Spuściłem głowę. Ręce mi się trzęsły. Wierzch palców i dłonie miałem podrapane, a paznokcie czarne. Wysiadałem nerwowo, fizycznie i w ogóle miałem dość.

Nick wrócił z ręcznikiem kąpielowym i koszulą bez dystynkcji, ale w kolorze policyjnego munduru. Podał je szeryfowi, który skinął na mnie. Zdjąłem T-shirt. Na moim chudym tułowiu widać było pamiątki szalonego biegu przez las: wtedy, choć drapały mnie gałęzie, wcale tego nie czułem. Ręcznikiem, który trochę czuć było stęchłą, wytarłem klatkę piersiową, szyję, twarz i włosy, a następnie włożyłem czystą koszulę - oczywiście

była na mnie za duża.

Krueger podał mój brudny T-shirt Scolnickowi, który złapał go dwoma palcami, zatykając sobie nos.

- Musimy jednak wyjaśnić parę spraw - zaproponował Platt, kiedy brat Charliego zamknął drzwi pokoju zebrań (który był jednocześnie gabinetem szeryfa).

- Tak - przyznał Krueger. - To prawda, Chris. Henry, oczywiście nie mogę się postawić na twoim miejscu, ale potrafię sobie wyobrazić, co w tej chwili przeżywasz. I... No właśnie, siedzisz tu z nami, choć tak bardzo chciałbyś być gdzie indziej. U siebie. Albo wśród przyjaciół. Albo sam na sam ze swoim bólem...

Spojrzałem na niego, zapinając koszulę za dużą o przynajmniej trzy rozmiary, zaskoczony jego tonem.

- Ale bardzo by nam pomogło, gdybyś odpowiedział na kilka pytań. Rozumiesz, musimy się teraz z tym uporać. Chcemy tylko spróbować zrozumieć, co tam się wydarzyło, to wszystko.

Bez słowa skinąłem głową.

- Super. Dzięki. Chris - zwrócił się do Platta. - Tylko grzecznie, dobrze?

Coraz bardziej przypominało mi to jakiś numer, który wspólnie odgrywali. Chris przytaknął.

- Świetnie. Do dzieła. Twoja kolej, Chris.

Platt wstał i podszedł do niewielkiej kamery, która stała w kącie na statywie.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy nagrywali? To standardowa procedura przy przesłuchaniach.

Przesłuchanie. To słowo podziałało na mnie jak policzek. Czy w tym momencie powinienem poprosić o adwokata? Albo zadzwonić do mamy Liv? Czy jako nieletni nie miałem prawa za telefonować? Kurczę, dlaczego w serialach to wszystko wygląda na takie proste?

- Jeśli to... eee... oficjalne - zacząłem.

Krueger zaprzeczył gestem.

- Nic oficjalnego - spojrzał w kierunku Platta. - Prawda, że to nic oficjalnego, Chris?

- Nie, nic oficjalnego - potwierdził śledczy. - Zwykła rozmowa.

- To dlaczego nagrywacie?

- No właśnie, Chris, dlaczego nagrywamy?

Chris wstał i wyłączył kamerę. To jest numer, pomyślałem. Świetnie odegrany numer. Platt usiadł i udawał, że sprawdza coś w notesie.

- Henry, próbujemy odtworzyć ostatnie godziny życia Naomi. Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

- Wczoraj wieczorem na promie, w drodze ze szkoły... - Pomyślałem o naszej kłótni i o jej zniknięciu. - Musiała potem wrócić do siebie - dodałem. - Rozmawialiście z jej matką?

Naomi mieszkała z matką na Glass Island, w kolonii domów mobilnych; jej ojciec, Indianin z plemienia Lummi, zmarł, gdy Naomi miała sześć lat - on miał pięćdziesiątkę i zabiło go zwłóknienie płuc: przez trzydzieści pięć lat palił trzy paczki papierosów dziennie.

Wymienili spojrzenia i odwrócili się w moją stronę.

- Otóż to - powiedział Krueger. - Nie możemy się do niej dodzwonić.

- Jak to?

- Nie odbiera telefonu. Włącza się poczta głosowa. Nie masz pomysłu, gdzie mogłaby być?

Pokręciłem głową. Matka Naomi była krupierką w kasynie w rezerwacie Indian Lummi na kontynencie. Tworzyły z Naomi małą, ale bardzo spójną komórkę rodzinną: żyły jak matka z córką, ale jednocześnie były jak koleżanki albo bliźniaczki. Matka Naomi była piękną kobietą, ale nikt nie zauważył, żeby od czasu śmierci męża związała się z jakimkolwiek mężczyzną - mimo opiętych szortów i T-shirtów, w których chodziła latem oraz ponawianych zalotów wszystkich seksualnie sprawnych samców zamieszkujących wyspę.

- A zatem - podjął Platt - o czym rozmawialiście na tym promie?

Zawahałem się.

- My... Pokłóciliśmy się.

Platt nawet nie drgnął, szeryf przyjrzał mi się z dziwną miną.

- O co?
- Mówiła... Że chce przerwy.
- Przerwy?
- Tak. W związku.
- Coś takiego już się zdarzało?
- Nie.
- A powiedziała dlaczego?
- Oczami duszy ujrzałem ją, jak prawie w stanie histerii mówi:
„Henry, odkryłam prawdę”.
- Nie.
- A mówiła coś jeszcze?
- Znowu sobie przypomniałem: „Henry, chcę, żebyśmy sobie zrobili przerwę. Dali sobie wolne... na jakiś czas... Żeby spojrzeć bardziej obiektywnie”.
- Tylko tyle, że chce przerwy... na jakiś czas.
- Ale nie wiesz dlaczego?
- Jeszcze raz ją zobaczyłem: „Stało się coś... Muszę to przemyśleć. Muszę... zrozumieć... Odkryłam, kim jesteś”.
- Chodziło o przerwę, żeby spojrzeć bardziej obiektywnie, tak powiedziała - dodałem. - To wszystko.
- A potem?
- A potem każde poszło w swoją stronę.
- I nie widziałeś jej więcej?
- Nie... Chociaż szukaliśmy jej z Charliem. I nie znaleźliśmy.
- Chodzi o Charlesa Skolnicka? Brata Nicka?
- Tak.
- A dlaczego jej szukaliście?
- Znowu się zawahałem.
- Bo chciałem, żeby się wytłumaczyła, chciałem z nią porozmawiać, ale była nieuchwytna...
- A zatem to ty poprosiłeś Charliego, żeby pomógł ci ją znaleźć, zgadza się?
- Tak.
- I nigdzie jej nie było?
- Nie. Charlie powiedział, że na pewno się zamknęła w damskiej toalecie.

- I co było później?

- Później prom przybił do East Harbor, wsiedliśmy do samochodu i się zmyliśmy.

- Zazwyczaj wracała z wami?

- Tak...

- Nie uznałeś, że to dziwne?

Rzuciłem mu ostrożne spojrzenie. W dalszym ciągu miał neutralną, uważną minę.

- Tak, oczywiście, ale pomyślałem, że mnie unika.

Platt ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Henry, szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiemy, dlaczego tak pobiegłeś na tę plażę, dlaczego złamałeś blokadę, dlaczego nie chciałeś się zatrzymać.

- Już panu powiedziałem. Spanikowałem. Nie wiem, co mnie opętało.

Platt zdobył się na minę jednocześnie wyrozumiałą i podejrzliwą i najwyraźniej oczekiwał dalszego ciągu. Poczulem się więc zobowiązany i dodałem:

- Poniosło mnie.

- Poniosło cię?

- No...

- Z powodu Naomi?

Na dźwięk jej imienia w ustach tego typu krew napłynęła mi do twarzy.

- Tak.

- Ale dlaczego pomyślałeś, że to ona jest na tej plaży? Wiesz, to mnie właśnie martwi: skąd o tym wiedziałeś? Ta informacja nie wyciekła.

- Ona... Nie przyszła do budy. Nie odpowiadała na moje esemesy. A więc kiedy przeczytaliśmy ten artykuł, że znaleziono ciało siedemnastoletniej dziewczyny, od razu pomyślałem... uznałem... sądziłem...

Milczeli. Zauważyłem, że Platt zerka na szeryfa i nagle zdałem sobie sprawę, że stąпам po grzańskim gruncie.

- Przeczytałeś artykuł i od razu pomyślałeś, że to może być ona? - zapytał, tym razem z jawnym powątpiewaniem.

- No... Tak.

- Bo rozumiesz, można by pomyśleć, że specjalnie zanieczyściłeś... eee... miejsce.

- Co? Jak to?

- No cóż, widzisz, gdybyś... Nie, wiem, że tak nie jest, to tylko hipoteza robocza, ale założmy, że ty to zrobiłeś i bałeś się, żebyśmy nie znaleźli tam twojego DNA. Postępując w ten sposób, załatwiasz niejako usprawiedliwienie dla wszystkiego, co można by tam znaleźć później, rozumiesz, o co mi chodzi? Jeśli przyjmujemy, że mamy do czynienia z...

Zbladłem. Facet zupełnie otwarcie właśnie wysunął hipotezę o mojej winie.

- Jest jeszcze... zastępca Sil... Silvestri - wyjąkałem.

- A co Silvestri ma z tym wspólnego?

- Pilnował wejścia na ścieżkę. Kiedy go zapytałem, czy znaleźliście Naomi, odmówił odpowiedzi, ale... Jak by to powiedzieć, wyczytałem odpowiedź w jego oczach. Rozumie pan? Wiedział o tym, że ja i Naomi... Wszyscy wiedzą. A on nie jest za dobrym aktorem.

- I wtedy postanowiłeś rzucić się głową w dół - skomentował Krueger.

Pokręciłem głową.

- Tak naprawdę nie postanowiłem, szefie. Zrobiłem to bez zastanowienia. Chciałem tylko... zobaczyć ją... Ostatni raz. Wiedziałem, że inaczej nie pozwolicie mi jej zobaczyć, rozumie pan?

Krueger smutno pokiwał głową. Wyglądał na wstrząśniętego.

- To znaczy, że została zamordowana, tak? - zapytałem z kluchą wielkości Utah Rock w gardle. - O to chodzi?

Szeryf zacisnął wargi.

- Nie jesteśmy jeszcze całkiem pewni - odparł. - Ale tak, to możliwe.

- To on zrobił jej te wszystkie... potworności?

- Mówisz o ranach? Nie, musiała się ich nabawić w wodzie, zaplątana w sieć. Rozumiesz, obijała się o skały. Dlatego jeszcze nie mamy pewności...

- Ale ona była naga!

- Bez problemu mogła się rozebrać sama.

Wybałuszyłem oczy.

- Dlaczego miałyby to robić?

- Kto może wiedzieć, co się dzieje w głowie człowieka, który popełnia samobójstwo.

- Chce pan powiedzieć, że miałyby się rzucić do wody całkiem nago? Z promu? To absurd! Naomi nie miała skłonności samobójczych! - Czy byłem tego taki pewien? Nagle przypomniałem sobie blizny na jej ciele. - Poza tym w takiej sytuacji znaleziono by jej ubrania, prawda? Znaleźliście je?

- Nie - przyznał Krueger. -1 to także nas zasmuca. I ta sieć: jakim sposobem dała się złapać w rybacką sieć? A jeśli do czegoś takiego rzeczywiście doszło, gdzie się podzielała łódź i jej właściciel? Przestraszył się i porzucił ciało na plaży czy ktoś ją skłonił do wejścia na pokład? Widzisz, nie mamy pojęcia...

Platt spojrział na mnie.

- Od jak dawna z nią chodziłeś, Henry? - mówił łagodnym głosem, ale nie byłem naiwny. Wpatrywałem się w swoje drżące dłonie.

- Jakieś dwa lata.

- Dobrze wam się układało?

- Tak.

- Wcześniej nie było żadnych sporów, kłótni?

- Słucham? W jakim sensie?

- Nie wiem. Na przykład ja i moja żona nie zgadzamy się w żadnej sprawie: czy chodzi o malowanie ścian, przycinanie drzew, markę kolejnego wozu, o miejsce, w którym spędzimy wakacje. Ciągłe się kłócimy. Taka jest prawda. Ale to nie znaczy, że się nie kochamy, rozumiesz?

- Już powiedziałem, że nie.

- Kochałeś ją?

Zdecydowanie skinąłem głową.

- A ona? Ona cię kochała?

Nie spuszczał mnie z oczu. Zaczerwieniłem się. Zaskoczył mnie tym pytaniem. Bang! Zabolało jak prawy sierpowy. A przecież chciałem, żeby padło. Chciałem z powrotem podnieść

gardę. Nie wiem, ile czasu potrzebowałem na odpowiedź, ale jestem przekonany, że moje zakłopotanie nie uszło ich uwadze.

- Tak.

- A jednak zamierzała cię zostawić?

Drgnąłem. To także właściwie nie było pytanie. Platt w dalszym ciągu patrzył mi prosto w oczy.

- Kto panu to powiedział? Chciała tylko zrobić przerwę.

- Nie kto, a co.

Wyjął z kieszeni przezroczystą torebkę i podał mi z takim ociąganiem, że miałem ochotę wyrwać mu ją z ręki. Poczulem dreszcz: moja komórka. W którym momencie stała się dowodem?

- Poznajesz?

Zapieкло mnie w przelyku. Skinalem glową.

- Rzuciliśmy tylko okiem na twoje esemesy i rozmowy.

- Czytaliście to, co pisałem? - wykrztusiłem w końcu wzburzony, patrząc to na jednego, to na drugiego. - Jakim prawem?

- Henry - powiedział Krueger - musisz zrozumieć, że chcemy tylko jednego: znaleźć go, kto to zrobił.

- Czytając naszą korespondencję! - zaprotestowałem. - I co zamierzaliście tam znaleźć?

- Na przykład to, że kilka dni temu nagle przestała do ciebie pisać - odparł powoli Platt. - A ty rozpaczliwie próbowałaś się dowiedzieć, co się dzieje. - Włączył mój telefon i przeczytał na głos: - „Nic nas nigdy nie rozdzieli. Kocham cię. Zawsze będę cię kochał”. - Przerwał na chwilę. - Wysłane przedwczoraj. Bez odpowiedzi. - „Gdzie jesteś?” - Znowu pauza. - Wysłane dziś rano. Bez odpowiedzi. „Kocham cię”. - Utkwił we mnie wzrok. - Wysłane dziś rano. Bez odpowiedzi...

Wyłączył telefon i podał mi go, sięgając przez stół.

- Spokojnie, Chris - mruknął Krueger. - Spokojnie.

Rzuciłem mu wściekłe spojrzenie.

- Nie sądzi pan, że gdybym to był ja, skasowałbym te esemesy?! - krzyknąłem. Ale natychmiast pożałowałem tych słów.

Platt zamarł. Krueger obserwował mnie, zmrużywszy oczy.

- Henry - powiedział dziwnym głosem. - Nie jesteś o nic podejrzany. Na jakiej podstawie uważasz, że mógłbyś być?

Pieprzeni hipokryci! Zastanawiałem się, w którym momencie sytuacja zmieniła obrót. A jeśli jestem podejrzany? Czuję się zagubiony. A oni? Czy wiedzieli, na czym stoją? A jakże! Mieli wytyczoną ścieżkę i się jej trzymali. Zasady były jasne jak w partii tenisa: oni byli graczami, sędzią głównym i sędzią liniowym. Ja byłem piłką.

- No właśnie, Henry - zawtórował Platt. - Masz nam coś do powiedzenia?

- Ubiegłego lata pracowałeś na kutrze rybackim, prawda, Henry? - dodał Krueger.

Oślupiały, spojrzałem na jednego, a potem na drugiego; słyszałem własny oddech.

- W takim razie my ci coś pokażemy - powiedział Platt, wstając.

Wtedy zauważyłem, że na stoliku w kącie pomieszczenia stoi komputer. Platt włączył urządzenie, obrócił monitor w moją stronę i odczekał kilka sekund. Następnie kliknął ikonę na ekranie, uruchamiając odtwarzacz multimedialny. Wpatrywałem się w monitor, niezdolny do najmniejszego ruchu. Wiedziałem, co mi pokażą.

Ujęcie dolnego pokładu promu w strugach deszczu i morskiej piany i dwie postaci, z których jedna się cofała, a druga szła do przodu, jakby tańczyły jakieś mroczne tango: Naomi i ja... Obraz z kamer monitoringu. Czarno-biały, słabej jakości i bez dźwięku - ale wściekłość była widoczna na naszych twarzach, a ruchy warg świadczyły o gwałtownej wymianie zdań.

Potem biodra Naomi oparły się o nadburcie. Pokręciła głową. Płakała. Wyglądała, jakby czuła się osaczona. Nagle gwałtownie chwyciłem ją za nadgarstki. Krzyczała. Wyrywała się. Dźwięk był niepotrzebny, by domyślić się jej słów: „Zostaw mnie!”. Na oczach mężczyzn czyhających na najmniejszy znak, który by mnie obciążył, potrząsałem nią gwałtownie, a jej dało niebezpiecznie przechyliło się przez burtę. Poczulem, jak krew spływa mi do nóg. Spojrzenia policjantów wędrowały tam i z powro-

tem: ja - ekran - ja - ekran. Naomi uwolniła się, odpychając mnie. Wylądowałem na tyłku. Na nagraniu było widać, że szaleję z wściekłości; miałem morderczy wyraz twarzy.

Naomi uciekła. Platt wcisnął pauzę i zatrzymał obraz na klatce ukazującej moją wściekłą minę.

Zegar w rogu ekranu wskazywał godzinę osiemnastą zero dwie.

- No i? - zapytał.

W moim gardle tkwiła gula. Wpatrywałem się w blat, niezdolny, by wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk.

- Układałeś puzzle na promie, Henry?

Podniosłem na niego wzrok.

- Co?

Z kieszeni bluzy, jak z czarodziejskiego kapelusza, wyjął kolejną przezroczystą torebkę. W folii znajdował się jeden element puzzli i kilka ziarenek piasku.

- Znaleźliśmy to na plaży w pobliżu ciała Naomi.

Sprawa puzzli jakoś we mnie zarezonowała: w związku z czymś, co widziałem na promie... Nie potrafiłem jednak tego uchwycić. Czuję się, jakby mój mózg był wywrócony na lewą stronę.

Wtedy zza drzwi doszły odgłosy wielkiego zamieszania i rozpoznałem głos mamy Liv:

- Gdzie on jest? Nie macie prawa go tam trzymać! Chcę go zobaczyć! Natychmiast!

Krueger spojrzał na Platta, który westchnął przeciągle i wzruszył ramionami. Szeryf wstał i wyszedł. Przez zamknięte drzwi słyszałem ich rozmowę. Ściszony głos Kruegera i moją matkę, która prawie wykrzykiwała słowa w rodzaju „prawa obywatelskie”, „wymiar sprawiedliwości”, „nadużycia policji”, „prasa”...

W końcu drzwi otworzyły się na oścież. Krueger wszedł, położył mi na nadgarstku swoją wielką łapę i powiedział:

- Możesz już iść, Henry. Skończyliśmy. Na dziś.

Wstałem, opierając się o stół. Nogi miałem jak z waty i ledwie mogłem iść. Wychodząc, napotkałem wzrok Platta, a potem spojrzenie szeryfa. Opuszczając posterunek, byłem pewien, że jestem dla nich podejrzanym numer jeden.

WIADOMOŚĆ

Nie przestawało padać. Nie wiem, jaki jest wpływ deszczu na nasze życie, na myśli. Sprawia, że stajemy się bardziej zamknięci, bardziej izolujemy się od innych? Liv i ja jechaliśmy w milczeniu. Zanim zatrzymały mnie gliny, zostawiłem forda w pobliżu Agatę Beach. Tak, cisza zawsze zamieszkiwała jakąś część przestrzeni między nami - zastanawiam się, czy to nie przez tę pluchę, przez to, jak potrafi ją wypełnić. A może przejęliśmy tę cechę od France... W samochodzie unosił się jakiś cierpki zapach. Utkwiłem wzrok w przedniej szybie i przyglądałem się wycieraczkom walczącym ze strugami deszczu. Które jednak wciąż powracały.

Tak jak moje myśli: każda z nich prowadziła mnie do Naomi.

Spostrzeżenie na temat Naomi:

Nie była doskonała.

A chciała być: dobra koleżanka, znakomita uczennica, świetna sportsmenka, członkini wszystkich klubów, do których wypadało należeć w szkole, i takie tam bzdury.

Uwielbiała być w centrum zainteresowania.

Jednak faktem jest, że od pewnego czasu działo się z nią coś niedobrego. Odkryliśmy to latem. A dokładniej – Charlie, Johnny i Kayla zaczęli mieć jakieś podejrzenia, gdy Naomi odmówiła rozebrania się do kostiumu.

Bo ja oczywiście wiedziałem.

Zdezorientowany przez kilka miesięcy obserwowałem, jak ten proces się pogłębia. Choć próbowała się wytłumaczyć,

nie byłem w stanie zrozumieć, co się dzieje, ani przemówić jej do rozsądku. Słyszałem, jak mówiła o „stresie”, „zbyt dużych oczekiwaniach”, „załamaniu”. Wyjaśniała mi, że wbrew powszechnie panującemu przekonaniu samookaleczenia są częstym sposobem na rozładowanie napięcia u *valedictorians* i *salutatorians* - czyli najwyżej ocenianych uczniów. Ale i tak byłem przerażony coraz liczniejszymi nacięciami na jej ciele. W miejscach, które mogłem zobaczyć tylko ja.

Za pierwszym razem posłużyła się cyrkiem. Wyryła sobie na rękę słowo

WYCZERPANA

To było zimą. Nie było niebezpieczeństwa, że ktoś zobaczy. Spojrzałem na nią zszokowany:

- Co to jest?

Miała bardzo smutną minę.

- Wybacz mi.

Ale co miałem jej wybaczyć? Przytuliłem ją. Dwa tygodnie później na drugim ramieniu miała już pięć kolejnych szram.

- Nao, dlaczego to robisz?

- To mi przynosi ulgę.

- Ulgę?

- Tak.

- Ulgę od czego?

- Od wszystkiego.

- A... czy to cię boli?

- Tylko na początku, potem człowiek się przyzwyczaja.

Z biegiem dni, tygodni ślady były coraz gęstsze i coraz liczniejsze. Przerzuciła się z cyrka na żyłkę. Wzrosła też częstotliwość, z jaką się okaleczała, aż w końcu zaczęła robić to codziennie. Jej ciało coraz bardziej przypominało zapis hieroglificzny, papirus pokryty znakami kabały. Przerażająca bazgranina.

Ostatnimi czasy bałem się ją rozbierać, a Naomi obawiała się mojej reakcji. Wynajdywała preteksty: a to miała okres, a to

bolał ją żołądek, a to głowa.

Potem przyszło lato, a ona nadal chodziła w dzinsach, swetrach i bluzach z długim rękawem, mimo że zrobił się upał i wszyscy mieszkańcy wyspy pochowali zimowe ubrania na dno szaf. Zrezygnowała też ze sportu, by nie musieć się przebierać w szorty. Kiedy pewnego dnia byliśmy na plaży i Naomi mimo przyjemnego ciepła postanowiła się nie rozbierać, Kayla chwyciła ją za rękę i wprost o to zapytała.

Wysiadłem z volva.

- Wracaj do domu - poleciła mi siedząca za kierownicą Liv i odjechała.

Szum deszczu wypełniał całą przestrzeń, jakby to on był prawdziwym głosem tej wyspy. Wracając do samochodu, ostatni raz spojrzałem na wylot ścieżki: ludzi było mniej, ale światło policyjnych kogutów w dalszym ciągu przecinało ciemność.

Usiadłem za kierownicą, zagubiony w labiryncie myśli prowadzących donikąd. Każda z nich zabarwiona była bólem. Chciałem, żeby to się skończyło. Na próżno. I tam, w samochodzie, po raz pierwszy się rozplakałem. Później też mi się to zdarzało, ale ten kryzys naznaczony był gwałtownością, jakiej chwilę wcześniej nic nie zapowiadało. Porwał mnie jak fala rufowa, trwał jedną, może dwie minuty i pozostawił mnie bez tchu, z chrapliwym oddechem i czołem wbitym w kierownicę.

Naomi. Nieświadomie wypowiedziałem jej imię. Wymknęło się z moich ust jak oddech, jakby w moim wnętrzu zamieszkał brzuchomówca. Odwróciłem głowę i aż podskoczyłem. Do okna przyklejona była twarz, czyjeś oczy obserwowały mnie spod ociekającego wodą daszka. Zastępca szeryfa Dominiek Silvestri. Wcisnąłem guzik, by opuścić szybę.

- Wszystko w porządku?

Potwierdziłem skinieniem głowy, otarłem smarki i łzy. Położył dłoń na moim ramieniu i uściśnił je przyjaźnie. To dziwne, ale ten prosty gest był dla mnie niesamowicie poczekający.

- Wracaj do siebie - powiedział.

Znowu skinąłem i odjechałem. Kiedy parkowałem przed

domem, zobaczyłem, że deszczówka przelewa się z rynien i rynsztoków. W przedpokoju usłyszałem dochodzący z salonu niski dźwięk wiolonczeli. Rozpoznałem ten kawałek, to był *Łabędź* Camille'a Saint-Saensa (grała to już setki razy) i jego poruszająca melancholia sprawiła, że moja rozpacz stała się jeszcze bardziej nie do wytrzymania. Och, Liv, pomyślałem. Czy to nie mogło zaczekać? Ale kiedy tylko zamknąłem drzwi, muzyka ucichła. Usłyszałem, jak Liv zatrzymuje metronom, opiera o coś ciężki instrument i wstaje. Do moich uszu dobiegł odgłos jej kroków na parkiecie oraz lżejszy, bardziej elegancki dźwięk stóp France na schodach.

- Henry - odezwała się Liv.

Tylko tyle. Poszedłem za nią.

Dom był duży. Był w nim salon przeznaczony dla gości i dla nas, z kominkiem z żyłkowanego marmuru, nad którym wisiało duże lustro. Kominek obudowany był regałami pełnymi książek i płyt DVD, które goście mogli wypożyczać (w każdym pokoju był odtwarzacz). Na taras prowadziły przeszklone drzwi zwieńczone półokrągłym witrażem. W tamtej chwili kompletnie nic nie było przez nie widać.

I właśnie tam mnie tuliły - najpierw jedna, potem druga - przez dobrą minutę. Ścisnęły mnie, wyrażały wsparcie i znowu ścisnęły.

- Henry, Henry, Henry - szepnęła mi Liv na ucho. - Mój mężczyzna.

Po niej przytuliła mnie France. Miała piękną twarz, która, odkąd obejrzałem film *Omen*, horror z lat siedemdziesiątych, kojarzyła mi się z twarzą jasnowłosej Lee Remick w roli przyrodniej matki. Dysponowała niemal niewyczerpanym zasobem min i sposobów ekspresji. France wyraziła mi swoje przywiązanie we własnym języku gestów, ani na sekundę nie spuszczając ze mnie spojrzenia smutnych oczu. Pozwoliłem, by mamy otoczyły mnie troską, ale w środku czułem się twardy, obojętny i lodowaty, jakby jakaś część mnie oderwała się, by poddać cały ten cyrk klinicznej obserwacji. Świat, w który wierzyłem, w którym

dorastałem, przestał istnieć. Śmierć Naomi sprawiła, że rozpadł się na kawałki. Zrozumiałem, że osoba, którą byłem dotąd, umarła razem z nią. I nie miałem pojęcia, kim będzie ten przyszły Henry.

Uśmiechnąłem się do France. Musnęła mój policzek i odsunęła się o krok - i na scenę znowu wkroczyła Liv. Przypomniał mi się duet Krueger-Platt.

- Henry? Czy jest coś, czego nie powiedziałaś policji?

Normalnie użyłaby słowa „gliny”. Najwyraźniej moment był podniosły. Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- Jesteś pewien?

Wyglądało na to, że nikt mi nie wierzy.

- Nie - odparłem stanowczo. - Powiedziałem im wszystko, mam.

Ostre spojrzenie Liv.

- W porządku, w porządku... Wiesz, jak lubiliśmy Naomi. Ja... Synu, nie wiem, co ci powiedzieć. Obie jesteśmy wstrząśnięte, ledwie jestem w stanie sobie wyobrazić, co ty przeżywasz. Przeraza mnie to. Chciałbyś o tym porozmawiać?

Znowu pokręciłem głową.

Jeszcze raz wzięła mnie w ramiona i wymruczała mi do ucha:

- Zawsze będziemy przy tobie, wiesz o tym? Nie zostawaj sam ze swoim bólem, Henry. Nie odgradzaj się od nas.

Znała mnie. Wiedziała, że w trudnych chwilach mam skłonność do szukania kryjówki, jak krab pustelnik chowający się w muszli po ślimaku turbo. Przytuliła mnie i wtedy pękłem.

- Tak, kochany...

- Wiecie, kiedy będzie pogrzeb?

- Po sekcji - odpowiedziała Liv łagodnie. - Tak powiedział szeryf.

Sekcja zwłok. Przez ułamek sekundy widziałem Naomi leżącą na lśniącym, lodowatym stole, z szeroko otwartą klatką piersiową.

Odsunąłem się.

- Chciałbym pobyć sam. Proszę.

Zawahała się i spojrzała na mnie.

- Dobrze.

Cofnęły się o krok. Byłem oszołomiony. Słaniałem się na nogach. Wszedłem do pokoju, a w głowie miałem tylko jedno pytanie: jak ja teraz będę żył? Czułem się jak znieczulony, miałem wrażenie, że już nic nie jest w stanie mnie poruszyć. Ani radość, ani ból. Zamknąłem drzwi i włączyłem światło. Mała lampka z abażurem stojąca na szafce nocnej oświetliła ściany ciepłym blaskiem. Za oknami panowała już ciemność. Był październik i dnia ubywało cholernie szybko. Do pokoju wpadł promień światła latarni morskiej na Limestone Point. Dawno już przywykłem do tego nocnego migotania. W normalnych okolicznościach uznawałem je wręcz za pokrzepiające, ale tamtego wieczoru odebrałem je jako złowieszcze. Przyglądałem się plakatom na ścianach, wiszącym dokładnie w takim samym układzie jak te w muzeum science-fiction w Seattle, rajy dla nerdów. Pszczoła na brzegu powieki *Candymana*, długi, ponury pazur na plakacie filmu *Hostel*, roześmiana czaszka z *Martwego zła 2*, przerażająca twarz czarnookiego dziecka z *Kłątwy*, krzycząca postać na czerwonym tle z *30 dni mroku*, ponury okrąg z plakatu *The Ring*, bielma na plakacie filmu *Oko*.

Poświęciłem sporo czasu na zebranie tej kolekcji. Wszystkich tych koszmarnych obrazów. Naomi je uwielbiała. Lubiała siadywać tu w zimowe wieczory, gdy za oknem wiał wiatr i słychać było ryk morza. Przytulała się do mnie drżąca i pytała spokojnym głosem:

- Nie miewasz koszmarów, Henry?

Ciekawe, nigdy jej nie powiedziałem. O moim koszmarze. Który śniłem prawie każdej nocy, tym o małym chłopcu. Dlaczego? Nie mieliśmy przed sobą tajemnic, przynajmniej ja niczego przed nią nie ukrywałem. Więc dlaczego, u diabła, nigdy jej o nim nie wspomniałem?

Kiedy życie przygniata i ciężar bólu staje się zbyt wielki, człowiek chciałby się schylić, żeby przed nim uciec, przysiąść, położyć się plackiem, przywrzeć do ziemi. Tak właśnie zrobiłem. Osunąłem się na podłogę i położyłem się

skulony na dywaniku przy łóżku. Spędziłem tak dłuższy czas: moim ciałem wstrząsały drgawki, a umysł był w rozsypce.

Wiolonczela umilkła. Jedyne dźwięki, jakie słychać było w domu, pochodził z dziury w rynnie, przez którą woda spływała dokładnie pod moje okno. Dom jest jak żywy organizm: kiedy pada, drewno pęcznieje, elementy konstrukcji, podłogi wydłużają się, ramy okien pracują. Do głowy przyszła mi dziwna myśl o tym, że dom jest żywy, a Naomi martwa.

Wstałem i usiadłem przy biurku. Włączyłem komputer i zalogowałem się na Facebooku. Na moim profilu zamiast zdjęcia widnieje obrazek przedstawiający białego ludzika na niebieskim tle, nie ma też mojego imienia (na użytek sieci społecznościowej występuję jako Fan horrorów). Spodziewałem się jakichś kondolencji, wyrazów życzliwości.

Zamiast tego zobaczyłem prywatną wiadomość wysłaną przez niejakiego Islandera723, którego kompletnie nie znałem.

Trudno o jaśniejsze przedstawienie sprawy:

Ty kurewski morderco

DWANAŚCIE DNI WCZEŚNIEJ

Tamtego burzowego wieczoru Jay zatrzymał się w mieście o nazwie Hollymead, przy drodze prowadzącej do Charlottesville. Znajdował się tam lokal, w którym motocykliści często robili postój, ponieważ serwowano w nim znakomite własnoręcznie robione burgery ze stuprocentowej chicagowskiej wołowiny, przyprawiane po domowemu. Jeśli ktoś chciał dodatkowej porcji białka, mógł do tego dołożyć jajko sadzone. Nie było to w stylu Jaya, ale być może pasowało mięśniakom stojącym przy swoich maszynach, których zauważył, gdy parkował mustanga na ubitej ziemi.

Był późny wieczór. Jay dostrzegł nawarstwiający się chmury i przenikające przez nie ciepłe rozbłyski. Zrywał się wiatr. Każdy podmuch powietrza niósł tumany kurzu i smakował ozonem. Światło było nierzeczywiste. Ostatnie chwile przed burzą. Poczul, że spojrzenia motocyklistów odprowadzają go od samochodu do drzwi, ale się tym nie przejął. Prawie wszyscy mieli brody, bandany i dżinsowe kurtki poprzecierane na rękawach. Jay zauważył emblematy na plecach: wielka trupia czaszka z płomieniami buchającymi z oczodołów i z mieczem wbitym w sam szczyt, cyfrę „4” oznaczającą „Życie i Śmierć”, cyfrę „5”, która znaczy „SS” oraz „13”. Sons of Death to jeden z najważniejszych gangów motocyklowych na wybrzeżu obok Hells Angels, z którym toczy on regularne boje o kontrolę na tych terenach. W roku 2002 kilkoro spośród nich poniosło śmierć na Long Island w ustawce przeciwko rywalom, a jeden z ich przywódców, siedemdziesięcioletni Robert Carl Reddick został w roku 2012 schwytany przez

ponad sześćdziesięciu funkcjonariuszy policji stanowej przy wsparciu miejscowych posiłków.

Jay miał gdzieś zarówno Angels, jak i Sons of Death. Wszedł do baru i usiadł przy jedynym wolnym stoliku. Zjadł hamburgera obojętny na zgiełk, zbyt głośną muzykę, śmiechy, chrypliwe wrzaski, opary piwa i dżinu, krzykliwe oświetlenie oraz unoszące się w powietrzu zagrożenie, które emanowało z ogromnych zasobów testosteronu zgromadzonych na tak niewielkiej powierzchni. Popił wodą niegazowaną i kawą. Następnie z kieszeni na piersi wyjął papierosa i wstał. Jeden z motocyklistów udał się do toalety. Pogwizdując, Jay wszedł za nim do środka, oparł się o drzwi i zapalił papierosa. Zapukał do jedynej zamkniętej kabiny.

- Wyłaź, Hank.

Cisza.

- Powiedziałem, wyłaź stamtąd. Ale już.

Drzwi się otworzyły i nagle Jay miał przed twarzą zakrzywione, krótkie ostrze noża marki Sharpfinger. Facet dzierżący rękojeść miał około sześćdziesiątki, pełną, odrobinę zwiotczałą twarz, blond czuprynę i małą kozią bródkę. Jego usta były wiśniowoczerwone, oczy przekrwione, a oddech pachnący smażonym jajkiem, papierosami i dżinem.

- Słuchaj mnie uważnie, pieprzony skurwysynu. Powiesz swojemu panu, że to koniec. Nie będę już robił za jego karka.

Jay stał z papierosem w kącie ust. Wbił spojrzenie w sierpowate, szpiczaste ostrze i wydmuchnął obłok dymu.

- Ach tak? A to świetnie, właśnie miałem ci powiedzieć to samo. Szef nie chce więcej słyszeć o waszej bandzie dupków.

- Głos Jaya brzmiał łagodnie i pieśczośliwie nawet wtedy, gdy wypowiadał groźby.

- Taaa, widzisz, w dupie mam, czego on chce albo nie chce. Przekaż mu, żeby się jebał. I ty też, Jay, ty małe gówno, ty piesku swojego pana, wał się. A teraz spierdalaj. Zanim naprawdę się wkurwię.

Motocyklista zrobił krok naprzód, ale Jay się nie ruszył, ostrze noża przecięło więc jego kraciatą koszulę i oparło się o

brzuch. Jego twarz była bez wyrazu. Miał duże usta o wąskich wargach przypominające szramę, cienki nos, wystające kości jarzmowe i zapadnięte policzki. Jednak w jego szarych oczach pod czarnymi, krzaczastymi brwiami płonął odwieczny ogień. Dwie bezbarwne kulki, a na ich środku maleńka główka od szpilki. Bruzdy na odsłoniętym czole sprawiały, że wyglądał na piętnaście lat więcej. Na szyi rysowały się wystające, grube jak kable żyły.

- Spieprzyliście sprawę, ty i ta twoja nazistowska banda. Mieliście napędzić stracha tym plakaciarzom, a nie wysyłać ich do szpitala, zasrany debilu.

- *Sorry*, stary, takie rzeczy się zdarzają. A teraz wypad.

- Nie, Hank, chcę, żebyś oddał kasę.

Mężczyzna z bródką uśmiechnął się szeroko.

- Chyba śnisz, stary! Czy ty wiesz, gdzie jesteś? Obejrzałeś się za siebie? Kurwa, ty w ogóle wiesz, z kim gadasz?

- Z tłustym pedziem-nazistą - odparł Jay.

Motocyklista zmienił się na twarzy, a jego oczy zapłonęły nienawiścią. Wydawało się, że chce wbić ostrze noża pod mostek rozmówcy.

- Załatwię cię, pieprzony gnojku! Za to, co teraz powiedziałeś, wyrwę ci język. Nikt nie odzywa się do mnie w ten sposób. Słyszysz, zasrany wypierdku?

- Podobno twoja kobitka uwielbiała lizać pały czarnuchom. To prawda, Hank? Twoja jej nie wystarczała? Jest za krótka?

Na wąskich ustach Jaya pojawił się uśmiech, ale jego szare, nieruchome spojrzenie było martwe. W chwili, gdy biker zamierzał pchnąć Jaya nożem, mężczyzna błyskawicznie chwycił go za nadgarstek i wykręcił jego rękę w stronę ściany. Nim Hank zdążył zrozumieć, co się dzieje, rozległ się trzask łamanych kości. Wrzasnął z bólu, ale muzyka łomocąca w barze zagłuszyła jego krzyki. Jednocześnie Jay kopnął go w prawe kolano, a następnie wymierzył cios z pięści w żebra. Motocyklista osunął się na ziemię, oparty plecami o muszlę klozetową. Wszystko to trwało najwyżej sekundę.

Jay chwycił go za szyję, ścisnął i pchnął: straszliwy ból kręgow

przygniecionych do deski klozetowej sprawił, że Hank wygiął się do tyłu, wypychając miednicę przed siebie, przechylając głowę nad otworem muszli i przeraźliwie wykrzywiając twarz. Potem Jay nacisnął kciukiem jego grdykę. Oczy motocyklisty wyszły z orbit. Jay z obrzydzeniem zauważył, że mężczyzna nie spuścił wody i w moczu pływa pet. Długie, płowe włosy mężczyzny moczyły się w żółtej kałuży.

- Słuchasz mnie teraz?

Hank dyszał. Głos Jaya brzmiał łagodniej niż kiedykolwiek. Tamten skinął głową - a przynajmniej usiłował, gdyż Jay trzymał jego szyję w żelaznym uścisku.

- Patrz.

Wolną dłonią Jay wyjął telefon, włączył go i kciukiem uruchomił odtwarzanie filmu. Odwrócił ekranik w stronę Hanka.

- Poznajesz?

Na niewielkim wyświetlaczu Hank Russell Locke, szef na Wirginię sięjącego postrach gangu motocyklowego Sons of Death, namiętnie całował młodego mężczyznę o bardzo jasnych włosach, wyraźnie zniewieściałego i mocno umalowanego. Obaj panowie byli nadzy i pieścili się nawzajem. Jay patrzył, jak twarz Locke'a, przed chwilą jeszcze purpurowa, staje się zupełnie bezbarwna.

- Wyobrażasz sobie, jakie wrażenie robi to nagranie na twoim... komitecie?

Żrenice Hanka wyglądały teraz jak dwie czarne dziury przesłaniające całą tęczówkę. Jay zastanawiał się, czy mógłby go udusić i niezauważony opuścić lokal. Puścił bikera i wyszedł z kabiny, by umyć ręce.

- Masz tydzień na zwrot pieniędzy, Hank. Załatw to.

Zza drzwi kabiny, które Jay przezornie obserwował w lustrze, nie dochodził żaden dźwięk.

- Nie słyszę.

Odpowiedziało mu rżenie.

Jay wyszedł zniesmaczony.

Wjechał do Charlottesville krótko po zachodzie słońca. Październikowy wieczór był ciężki i parny. Na zachmurzonym niebie ponad dachami domów w dalszym

ciągu pojawiały się rozbłyski, od czasu do czasu słyhać było odległe grzmoty, ale burza jakoś nie nadchodziła. Biuro wyborcze Granta Augustinea znajdowało się w centrum miasta przy deptaku pełnym sklepów i restauracyjnych ogródków. Jay zostawił mustanga u wylotu alei, na parkingu przy Old Preston Avenue. Szedł spokojnym krokiem, aż zauważył duży napis GRANT AUGUSTINE NA GUBERNATORA oraz witrynę oklejoną portretami swojego szefa. Płaska, grubo ciosana twarz, wysokie, szerokie czoło, kościste policzki, przede wszystkim zaś zmrużone oczy, lśniące sprytem, twardością i humorem: Augustine miał wygląd faceta, któremu nie miałyby się ochoty zwracać głowy, ale który znajdzie rozwiązanie w każdej, nawet najtrudniejszej sytuacji - słowem kogoś, kogo lepiej mieć za przyjaciela niż za wroga. I właśnie takiego człowieka potrzebowali wyborcy w tych niepewnych czasach.

Jeszcze rok wcześniej start Granta Augustine'a w wyborach na gubernatora można by uznać za żart. Gość dorobił się fortuny na rządowych subsydiach. Jednak, jak na własny użytek twierdził Jay, tylko diabeł jest bardziej dwulicowy niż Grant. Jego szef wypłynął na fali dwóch specyficznych cech tego stanu, który znał lepiej niż ktokolwiek inny. Wirginia, choć zasadniczo konserwatywna, w roku 1977 przyjęła osobliwy zwyczaj wybierania na fotel gubernatora człowieka, który reprezentował barwy polityczne przeciwne do lokatora Białego Domu: za czasów Cartera wybrano więc republikanina, za Reagana i Busha seniora - demokratę, za Clintona - znowu republikanina i tak dalej. W 2009, rok po tym, jak do Białego Domu wprowadził się Obama, zgodnie z tradycją gubernatorem został republikanin Bob McDonnell. Ale w roku 2012 Obama został wybrany ponownie. I tutaj do głosu dochodzi druga osobliwość Wirginii: otóż jest ona jedynym stanem w USA, który zakazuje gubernatorowi sprawowania mandatu dwa razy z rzędu. I właśnie na tych dwóch dziwactwach zamierzał skorzystać Augustine.

W środku było gwarno jak w ulu. Członkowie ekipy i wolontariusze nawoływali się wzajemnie, odbierali telefony, chodząc

między biurkami to wolniej, to szybciej, co sprawiało wrażenie jakichś cholernych ruchów Browna. Najwięcej było młodych dziewczyn z plakietkami AUGUSTINE na piersi, uroczym entuzjazmem i tym swoim zwyczajem zwracania na siebie uwagi. Jay rozpoznał stojącego za biurkiem mężczyznę o byczym karku i sylwetce byłego atlety: Graham Boyce był diakonem odpowiedzialnym za finanse jednego z głównych Kościołów Wirginii. Rozmawiał ze śliczną wolontariuszką. Kiedy zobaczył Jaya, odsunął się odrobinę, wyprostował i posłał mu uśmiech dorównujący szczerością reklamie towarzystwa ubezpieczeniowego. Jaya nie lubił nikt z wyjątkiem Granta, ale wszyscy się go bali.

- Jest?

Boyce przytaknął i wskazał na schody w głębi. Jay szybko ruszył na górę. Na piętrze nikogo nie było. Dotarł cichym korytarem do zamkniętych drzwi, zastukał i wszedł do środka.

- O cholera! - zawołał i natychmiast się odwrócił.

Za późno. Obraz zdołał się już utrwalić na siatkówce Jaya: Grant Augustine w opuszczonych kremowych spodniach z lnu i bordowych slipkach i wolontariuszka, najwyżej dwudziestoletnia, robiąca mu laskę. Wielki cień Augustine'a na ścianie za jego plecami. Był bez marynarki i krawata, koszula luźno opadała na jego pośladki. Słabe żółtawe światło jedynej żarówki rzuciło refleksy na jasne włosy dziewczyny, gładkie i jedwabiste jak u lalki. Jay poczuł, że gotuje się z wściekłości. Odczekał chwilę, odwrócił się, złapał dziewczynę, która zapinała kołnierzyk bluzki, i nie patyczkując się, pociągnął ją w stronę schodów.

- Jeśli komukolwiek o tym powiesz, zabiję cię - szepnęła jej do ucha.

Wrócił do gabinetu szefa i zatrzasnął drzwi.

- Kurwa, na dole jest diakon! Wyobrazasz sobie, co by było, gdyby wszedł tu zamiast mnie?!

Augustine spokojnie zasunął rozporek i zapiął pasek.

- Zew ciała - powiedział z emfazą. - To ciężar nałożony na mężczyznę, Jay. Jeśli od czasu do czasu mu nie pofolgujemy, zatruciu ulega nie tylko ciało, ale i mózg. Zalewają go

złe, straszne myśli... lepiej się z nich oczyścić, niż pozwolić im się rozwijać.

Wypowiedział te słowa z uśmiechem na twarzy. Grant Augustine był osobą pełną paradoksów: purytaninem i hedonistą, tyranem i uwodzicielem, człowiekiem sztywnym i skłonny do przesady, szczerym i kłamliwym, inteligentnym i szalonym. Utrzymywał, że jest potomkiem starego rodu pisarzy, żołnierzy i polityków, ale Jay wiedział, że to kolejne kłamstwo. Jego ojciec przez kilkadziesiąt lat pracował w rafinerii ExxonMobil w Baton- -Rouge, a obecnie dogorywał w złotej klatce, jaką był luksusowy dom starców z czuwającą dzień i noc pielęgniarką, która miała za zadanie odganiać ewentualnych ciekawskich. Jak powiedział Faulkner, ludzie z Południa nie zgłębiają historii, tylko ją wchłaniają.

- Krew ci leci - zauważył Jay.

I rzeczywiście, z dziurki w nosie Granta spływała szkarłatna strużka. Jay wiedział, że ilekroć jego szef zazna jakichś silnych emocji, chwilę później krwawi z nosa. Z bliska twarz Granta nie była tak frapująca jak na zdjęciach: mleczna skóra miała w sobie coś niezdrowego, czerwień warg przypominała barwę trującego grzyba, a blask jego brązowych, nieprzyjemnie nieruchomych oczu dowodził, do jakiego stopnia fotografia jest sztuką kłamstwa.

- To krew grzechu - powiedział Augustine, wycierając się haftowaną chusteczką. - Te dziewczyny to jest hańba, pokusa w najczystszej postaci - dodał. - Po co Bóg dał im cycki, tyłek i cipkę, Jay, jeśli nie po to, by wystawić nas na próbę?

Jay nic nie odpowiedział.

- Ta laska robi wszystko, o co ją poproszę, rozumiesz Jay?

Rozumiał. Znał swojego pana lepiej niż ktokolwiek inny. Był mu wierny jak pies, odkąd skończył kilkanaście lat. Teraz obaj zbliżali się do pięćdziesiątki, ale Jay zawsze żył w cieniu Granta. Był najbardziej niezastąpionym z jego współpracowników. Rozumiał ludzi. Jeszcze lepiej niż Grant potrafił wyczuć czyjaś słabość lub ściemę. Augustine zawsze

umiał obracać cudze słabości na własną korzyść. Na tym talencie zbudował fortunę. Ale jeśli trzeba było sprawdzić granice jakiegoś człowieka lub wyciągnąć od niego to i owo - to Jay był uparty jak foksterier.

I to mu wystarczało. Być w cieniu pana, jako pierwszy spośród jego pionków: człowiek od wszystkiego, prawa ręka, adiutant, czyściciel... Bo ich przyjaźń zawsze była podporządkowana relacji pan-niewolnik. Czasem zresztą Augustine mówił o nim „mój biały niewolnik” - kiedy był pewien, że nie znajduje się w zasięgu żadnej kamery, mikrofonu czy dyktafonu. Kto jak kto, ale on akurat bardzo dobrze wiedział, że w Ameryce nie istnieje już coś takiego jak życie prywatne.

Na wyposażenie niewielkiego gabinetu składały się głęboka sofa z brązowej skóry, mahoniowy stół do pracy, biblioteczka i srebrny serwis do kawy. Żadnej szczególnej ostentacji. Za drewnianą żaluzją widać było gałęzie sasafrasu, oświetlane blaskiem błyskawic. Na blacie rozłożona była duża mapa. Odkąd Grant Augustine postanowił wystartować w wyborach, spędzał wieczory na studiowaniu geografii stanu: hrabstwo Alleghany, hrabstwo Franklin, hrabstwo Rappahannock, hrabstwo Shenandoah... Mógł skorzystać z wyszukiwarki sieciowej, ale nie miał zaufania do Internetu.

Augustine nalał sobie burbona po brzegi plastikowego kubka.

- Co dla ciebie?

- Nic - odpowiedział Jay.

Grant zastanawiał się czasami, czy Jay nie jest reinkarnacją jakiegoś kataru. Jedynym jego nałogiem, o którym wiedział, były papierosy.

- Widziałeś najnowsze sondaże?

Lokalne stacje telewizyjne wciąż wskazywały na zwycięstwo kontrkandydata, ale od czasu pierwszej debaty, która odbyła się w lipcu w Hot Springs pod patronatem Izby Adwokackiej Stanu Wirginia, dystans między nim a

Augustine'em ciągle się zmniejszał.

- Jeśli wygrasz następną debatę, możesz wyjść na prowadzenie - skwitował Jay, opadając na sofę.

Kolejna debata miała się odbyć 25 października w McLean. Organizatorami byli Izba Handlowa hrabstwa Fairfax oraz stacja telewizyjna NBC4. Moderatorem miał być dziennikarz tej stacji.

- Musisz uderzać w czułe punkty. Nikt nie jest entuzjastą głosowania na pionka przywiązanego do swojej partii. A właśnie kimś takim jest twój przeciwnik: kwintesencja posłusznego demokratycznego polityka. Twoim problemem jest twój image.

Większość mieszkańców Wirginii cię nie zna. A ci, którzy cię znają, albo popierają nasze działania, albo uznają je za antydemokratyczne.

- Przypomnij mi główne przesłanie.

- Nasze działania chronią Amerykę od ponad dziesięciu lat, dziś jednak postanowiłeś zaangażować swoje kompetencje w służbę na rzecz ojczystego stanu. Nie jesteś człowiekiem, który zjadł zęby na polityce, ale budowniczym, biznesmenem i patriotą.

- To znaczy, że WatchCorp jest przedsięwzięciem patriotycznym? - zażartował Augustine.

- Patriotycznym i kwitnącym - poprawił go Jay z pełną powagą. - To twoje dzieło, twoja wizytówka. Postaw je na pierwszym planie.

Obaj wiedzieli, że firma WatchCorp rozwinęła się dzięki pieniądzom podatników. Każdego roku więcej Amerykanów ponosi śmierć, pośliznąwszy się we własnej łazience niż w wyniku aktów terroryzmu, ale producenci antypoślizgowych mat łazienkowych nie dostali od rządu miliardów dolarów, które ten po 11 września hojnie przyznaje firmom pokroju WatchCorp.

- A jeśli powie, że jestem przeciwnikiem demokracji? Kimś, kto się wtrąca w prywatne życie obywateli? Kto namierza ich przez swoje mikrofony, oprogramowanie, kamery, komputery? Co jeśli przedstawi mnie jako

pieprzonego Big Brothera, Jay?

- Nie robi tego - uspokoił go Jay. - Ma zbyt wiele do stracenia. CIA, Departament Obrony, NRO¹, baza marynarki w Norfolk: wszystkie te służby mają siedziby w Wirginii. Sądzisz, że zamierza je do siebie zniechęcać? Nie powie słowa na ten temat. Zresztą, w razie czego, gdyby sondáže się nie odwróciły, mamy asa. Ale zostawmy go na ostatnią debatę. Jeżeli nie da się inaczej - dodał Jay. - Starajmy się jednak go nie upokarzać.

Augustine z uśmiechem pokiwał głową. Wiedział, do czego pije Jay. Na tym polega przewaga tego zawodu. Człowiek wie wszystko o wszystkich. I dopóki tak będzie, nic nie może ich powstrzymać. Każdy ma jakiś brzydki sekret. Albo kilka sekretów. A dziś opinia publiczna niczego nie wybacza: ludzie chcą polityków czystych, nieskalanych, bez skazy. Wykastrowanych.

- Grant, muszę z tobą o czymś pogadać.

Ton Jaya zaalarmował szefa. Mężczyzna podniósł wzrok znad mapy.

- Jeśli chodzi ci o tę dziewczynę...

- To nie ma żadnego związku z tą dziwką - przerwał mu Jay.

Teraz Augustine całkiem oderwał się od mapy.

- A więc o co chodzi?

- O Marthę.

Grant Augustine zamarł. Poczł, jakby w jego piersi obudził się wąż. Upił łyk burbona. Od niedalekiego grzmotu zatrzęsły się szyby w oknach.

- Do czego zmierzasz?

- Pamiętasz tego gościa z poczty w Strong City, któremu dajemy w łapę?

Grant wzruszył ramionami.

- Nie, szczerze mówiąc, nie pamiętam... Płacimy komuś na poczcie w Kansas, żeby miał na oku korespondencję Marthy, tak?

¹ National Reconnaissance Office - jedna z amerykańskich agencji wywiadowczych.

Jay potwierdził.

- Od jak dawna?

- Od lat. Na darmo, aż do teraz. Do zdarzenia, do którego doszło półtora miesiąca temu.

Augustine przełknął ślinę.

- Dostała niepodpisaną pocztówkę z wysp San Juan w stanie Waszyngton - powiedział wolno Jay.

Jay wspominał Marthę z czułością: przez lata razem zbierali gówno, jakie zostawiał za sobą Grant. Martha była skuteczna, niezawodna i dyskretna. Mieli nawet przelotny romans. Grant o niczym się nie dowiedział. Ale nie była taka jak oni. Pewnego dnia miała dość i odeszła.

Jay wiedział, co było powodem odejścia Marthy: Meredith. Martha zajmowała się jej przypadkiem i między kobietami wytworzyła się silna więź. Bez wiedzy Jaya. Bez wiedzy Augustine'a. To był jedyny raz, kiedy Martha zawiodła.

Oczy Augustine'a pod ciężkimi powiekami zapłonęły jak u węża.

- Co tam było napisane?

Jay wyjął z kieszeni kartonik złożony z mnóstwa kawałków posklejanych taśmą. Sięgnął przez oparcie sofy i podał go szefowi. Brakowało tylko lewego rogu: facet z poczty, który przez kilka godzin przeszukiwał rozgrzane słońcem miejsce, mimo obiecanego wynagrodzenia nie mógł go znaleźć. Augustine rzucał okiem na zdjęcie, a następnie odwrócił kartkę, by przeczytać tekst na odwrocie.

- Ten prostak właśnie nam ją przysłał - uściślił Jay. - Włożył ją do szuflady i zapomniał!

- O cholera - podsumował Augustine, którego twarz zmieniła kolor.

- Nie ulegajmy emocjom.

- Mikrofony ciągle są podłączone?

Jay skinął głową.

- Musiałem tylko wysłać tam komórkę nadzoru. Domyślasz się, że nie podsłuchiwalismy jej od lat. Ale według nich mikrofony nadal są sprawne. I są pewni, że Martha z nikim o tym nie rozmawiała.

- To mógłby być dodatkowy dowód - zauważył Augustine bezbarwnym głosem. - Dowód na to, że ta kartka mówi o tym, kogo mamy na myśli.

Jay spojrzał na niego. Jego szef wyglądał, jakby zapadł się w sobie.

- Spokojnie. Nie dajmy się ponieść. Zgadzam się: to pierwszy sygnał od wielu lat.

- To ona - odezwał się Augustine z nagłą zapalczywością. - „Wyrósł na dobrego chłopca, pięknego i silnego jak jego matka”. Na Boga, o kogóż innego mogłoby chodzić! Ona nie jest głupia, Jay. Wie, że możemy kontrolować wszystko, telefony, e-maile, wyniki wyszukiwań w Internecie, wszystko oprócz starej poczciwej widokówki wysłanej pocztą. Jezu, pierwsza nieostrożność Meredith od szesnastu lat! Wreszcie...

- Nigdy wcześniej nie podjęłaby takiego ryzyka - zauważył Jay, zamyślony. - Najwyraźniej sądzi, że w końcu odpuściłeś.

- Trzeba się postawić na jej miejscu. Szesnaście lat. Nikt nie wytrzymałby tyle czasu.

- Nikt oprócz ciebie.

Grant Augustine pokiwał głową.

- Pieczętka pochodzi z poczty w Bellingham - uściślił Jay.

- Nawet po szesnastu latach Meredith na pewno nie ryzykowałaby na tyle, żeby iść na pocztę w pobliżu miejsca zamieszkania. Musi być na jednej z tych wysp, które są na zdjęciu.

Oczy Augustine'a płonęły teraz prawie szalonym ogniem.

- Chcę, żebyś ich znalazł, Jay. Zostaw wszystko inne i namierz ich. Jeśli jest na to choćby cień szansy, znajdź Meredith.

KRYJÓWKA

Spod ociekającego wodą kaptura popatrzyłem na szyld:

Ken's Store & Grill
Artykuły Spożywcze,
Benzyna & Olej napędowy,
Napoje, Wideo
Od 1904

Po zmroku Ken's Store & Grill staje się naszą kryjówką. Sklep rodziców Charliego - z fasadą z desek i ogromnym napisem namalowanym nad drzwiami - wystrojem nawiązuje do westernów. Jest prawie kwadratowy. Na tyłach znajduje się część mieszkalna, podwórko z jednej strony jest ogrodzone od strony ulicy wysokim parkanem, a z drugiej lasem, który zaczyna się za domem.

Przywlokłem się tam owego wieczoru, ponieważ Charlie wysłał mi esemesa, w którym pisał, że to ważne, żebym przyszedł. „Przywlokłem się” - to właściwe słowo. Czulem się ciężki, przybity i zarazem lżejszy niż powietrze, niematerialny jak duch.

Deszcz siekł w kwadratowe szybki okien po obu stronach drzwi osadzonych we wnęce. Zapukałem w szybę i przyszedł Charlie, by otworzyć zasuwę. Sklep miał system alarmowy, ale rodzice Charliego włączali go tylko od lipca do września, kiedy zjeżdżali turyści, a wraz z nimi młodzi ludzie z miasta, którzy po zmroku pili, bili się i robili głupie rzeczy.

W środku unosiła się bogata znajoma woń: warzyw, ziaren,

owoców, woskowanego drewna, słodczy i kurzu, zmieszana ze wspomnieniem zapachu kawy, którą ekspedientka Wendy serwuje za ladą w głębi po prawej stronie, za zamrażarkami. Kasa fiskalna znajduje się po lewej.

Światło jedynej latarni wpadało przez okna, dzieląc się na promienie, które tworzyły cztery równoległe alejki prowadzące od drzwi w głąb sklepu.

Kayla i Johnny siedzieli w cieniu na tyłach przy jednym ze stolików - tam gdzie przez sześć dni w tygodniu rodzice Charliego serwują śniadania i hamburgery. Siedzieli bez ruchu, bez słowa. Oświetleni jedynie blaskiem szaf chłodniczych z piwem i napojami stojących za ich plecami.

Mimo ciemności widziałem, jak bardzo są przybici. Zauważyłem czerwony ognek papierosa. Normalnie Charlie by się wściekał, ale nawet nie drgnął. Drobnе zakazy runęły wobec najgorszego z możliwych przestępstw: morderstwa. Zwałem się na krzesło pod wpływem przygnębienia, które przekładało się na jak najbardziej konkretne zmęczenie fizyczne. Johnny podsunął mi piwo. Upiłem łyk, potem drugi i oddałem mu butelkę.

- Henry, stary, tak mi smutno - powiedział - tak smutno... Kurwa, ciągle nie mogę w to uwierzyć. - Miał ściśnięte gardło, jego głos przypominał skrzypienie starego kurka, którego nie odkręcano od wieków. Choć panował półmrok, widziałem, że strasznie się denerwuje. Trząsał się jak osika i przez cały czas odruchowo międlilił biały sznurek od kaptura, który miał na głowie - może po ty, by ukryć łzy.

- Jesteśmy z tobą, Henry, To jest takie... takie okropne - wyszeptała Kayla tak cicho, jakby ktoś mógł ją usłyszeć, a przecież w tym cholernym sklepie nie było nikogo oprócz nas. Rodzice Charliego już dawno poszli do siebie, do swojego dużego domu, do którego można się dostać, pokonując dwa stopnie i długi korytarz prowadzący też do toalet i kuchni. Mówiła rozwlekłe i domyśliłem się, że oboje pili, a może i coś brali. - Nie mogę uwierzyć, że ona nie żyje - ciągnęła Kayla. - Normalnie nie mogę w to uwierzyć. Mam wrażenie, jakby jutro miała przyjść... na parking przy

promie... - Chlipnęła smutno. - Cholera, nie potrafię uwierzyć, że ktoś taki jak ona może umrzeć, kurwa.

Rozpląkała się. Co jakiś czas wycierała nos.

- Jezu, tak bym chciał, żeby była tu z nami - zawtórował jej Johnny piskliwym głosem.

Kayla przytuliła się do niego, a on objął ją ramieniem. Gest czułości. Przez głowę przemknęła mi okropna myśl: oni nadal będą się kochać, będą ze sobą chodzić, przynajmniej przez jakiś czas. Byli do siebie tak podobni: szczupłe twarze, duże, jasne oczy, wzrok często przyćmiony od trawy, kwasu czy ekstazy, tanie ciuchy, bose stopy na piasku i nonszalancja, za którą skrywali głębokie rany Kayla McManus zawdzięczała je ojczymowi, dziesięć lat młodszemu od matki, który dwa lata wcześniej wyszedł z więzienia i był skurwielem jakich mało. Kiedy się nawalił, potrafił być porywczy i cholernie klejący, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Wiedziałem o tym, bo Johnny mi powiedział; ciągle powtarzał, że rozwali pysk temu „skurwysynowi, pieprzonemu zbokowi” - ale wiem, że bał się gościa, który odsiedział osiem bitych lat w Walla Walla za to, że wybił oko kijem bilardowym jakiemuś kanadyjskiemu bikerowi, a innego zranił nożem w barze gdzieś w hrabstwie Whatcom. W Walla Walla ten śmieć wyrobił sobie niezłą reputację i mięśnie, a ciało pokrył tatuażami a la De Niro w *Przylądku strachu*. Ojciec Johnny’ego był cieślą, ale gdy w budowlance nastał kryzys, musiał podjąć pracę w rafinerii w Anacortes. Był w fabryce Tesoro w dniu wybuchu w 2010 roku. Bilans: pięć osób zabitych i dwie ranne w stanie krytycznym, z rozległymi oparzeniami trzeciego stopnia. Ojciec Johnny’ego należał do tej dwójki. Od tamtego czasu spędzał życie w fotelu podpięty do kroplówki i nie przyjmował żadnych wizyt. Nie miał nosa. Jego twarz wyglądała jak patchwork albo rysunek dziecka. W Anacortes mają takie powiedzenie: „My tu nie pieczemy ciasteczek, my tu gotujemy benzynę”. Kilka miesięcy przed wybuchem fabryka Tesoro miała otrzymać mandat wysokości 85 700 dolarów za siedemnaście

przypadków „poważnego naruszenia zasad bezpieczeństwa”. W jakiś tajemniczy sposób szybko się okazało, że były tylko trzy wykroczenia i jeden mandat opiewający na 12 250 dolarów.

Przed wypadkiem ojciec Johnny ego był życzliwym gościem, porządnym sąsiadem i dobrym ojcem. Gdy wyszedł ze szpitala, stał się innym człowiekiem. Zrobił się agresywny. Całymi dniami siedział w fotelu Eames i przeklinał syna, traktując go jak nieudacznika. A Johnny mimo to nie przestawał go pielęgnować i troszczyć się o niego. Był jedyną osobą, która została przy ojcu. Jego żona ułożyła sobie życie z tym bajerantem, handlarzem samochodów z Sedro-Woolley.

- Widziałeś ją... na plaży... Jak... Jak ona wyglądała? - zapytał Charlie.

Cholera, Charlie! Przez chwilę się nie odzywałem. Siedziałem bez ruchu, oparty łokciami o stół. Jak wyglądała?

- Paskudnie - odpowiedziałem wreszcie. - Naprawdę paskudnie.

- Co się stało? - chciała się dowiedzieć Kayla. - Krąży całe mnóstwo plotek.

Spojrzałem na nią, ale w rzeczywistości jej nie widziałem. Zwilżyłem wargi. Nie miałem ochoty o tym mówić.

- Utonęła... Owinięta siecią rybacką. Nie wiem dokładnie, co się wydarzyło. Oni też nie wiedzą.

- Utonęła? Myślisz, że wypadła z promu?

- Oni udają, że sądzą, jakoby wyskoczyła... Specjalnie.

Zapadła cisza.

- Jak to: udają? - zdziwił się Charlie.

- Tak naprawdę uważają, że to morderstwo. Są tego prawie pewni. I prawdopodobnie sekcja to potwierdzi - dodałem grobowym tonem.

MORDERSTWO

To słowo zmroziło nas, gdy tylko wybrzmiało. Jego złowieszczy wydźwięk zasiał między nami przytłaczającą ciszę, którą

zakłócało tylko ciche mrużenie lodówek i odgłosy padającego deszczu. Morderstwo. Żadne z nas nie było w stanie dopuścić do siebie rzeczywistości, którą ono opisywało. To było słowo fikcyjne: słowo należące do seriali, do kryminałów. Podobnie jak śmierć, która jest tylko abstrakcyjnym pojęciem, dopóki ktoś nie umrze na waszych oczach albo sami nie umrzecie.

Na naszej wyspie coś takiego nie mogło się stać - tak właśnie myśleliśmy. A jednak nie tylko się zdarzyło, ale jeszcze spotkało jedną z najbliższych nam osób.

Johnny wyjął z kieszeni bluzy pigułkę i położył ją na języku. Popił łykiem piwa.

- Mówiłem ci już, że tutaj sobie tego nie życzę - powiedział Charlie.

- Dzisiaj zginęła Naomi. Zabita przez jakiegoś wariata. Więc mnie nie wkurwiał - odparował tamten.

Charlie się poddał. Wzruszył ramionami i choć w półmroku widziałem jego profil niewyraźnie, domyśliłem się, że płacze. W milczeniu. Trwało to kilkanaście sekund.

- Przepraszam - wybąkał Johnny skruszonym tonem. - Charlie, naprawdę przepraszam! Straszny ze mnie dupek.

Charlie pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: dobra, nic się nie stało.

Moje oczy były suche i opuchnięte, bo wszystkie łzy wypłakałem w pokoju. Obserwowałem całą sytuację z dziwnego dystansu, który być może wynikał z instynktu przetrwania.

- Nie pytali cię, kiedy widziałeś ją po raz ostatni? - zapytał zduszonym głosem.

- Pytali.

Zrelacjonowałem im całą rozmowę, która odbyła się w sali spotkań szeryfa: ataki Platta, ich grę w duecie, pytania o moje esemesy, a przede wszystkim o obciążające nagranie z promu.

Ta ostatnia wzmianka wstrząsnęła wszystkimi.

- Myślisz, że cię podejrzewają? - zapytała Kayla dziwnym głosem.

- Myślę, że jestem podejrzany numer jeden.

- Wspomniałeś, że się posprzeczaście, ale nie mówiłeś, że to było aż tak ostro...

- No i? Do czego zmierzasz?

Przy stole zapanowało kłopotliwe milczenie.

- Paskudne - powiedział Charlie.

Wszyscy się z nim zgodziliśmy.

- Skoro mają winnego, nie będą szukać dalej, nie odpuszczą ci - zauważył ponuro.

- Co możemy zrobić? - spytał Johnny.

- Moim zdaniem możemy zrobić tylko jedno, jeśli chcemy pomóc Henry'emu i jeżeli chcemy... pomścić Naomi. - Spojrzał na nas i dokończył: - Musimy znaleźć winnego.

- Co? - (To Kayla). - To jakiś dowcip?

- Myślisz, że w takiej chwili chciałoby mi się żartować?

- A niby jak mielibyśmy to zrobić, co?

- Nie mam pojęcia! Ale musi być jakiś sposób. W każdym razie musimy spróbować.

- Charlie, sprawą zajmuje się patrol stanowy i ludzie szeryfa. Na pewno się zaangażują. Co nasza czwórka miałaby zrobić więcej? Wyobrażasz sobie, że będziemy się bawić w detektywów?

- Musimy spróbować - powtórzył z uporem. - Przynajmniej postarać się odkryć jakieś elementy, które mogłyby pomóc policji.

- A dlaczego to akurat my mielibyśmy odkryć te elementy, co? Kurwa, to nie *Scooby-Dool*

Zacząła mówić niebezpiecznie głośno. Kayla była zdolna do straszliwych wybuchów, które zaczynały się nagle jak letnie burze. Johnny mógł to potwierdzić. Kiedyś, gdy w trakcie jakiejś imprezy zobaczyła, jak flirtuje z inną dziewczyną, najpierw się załamała, a potem, w najbardziej nieoczekiwanym momencie rzuciła się na niego i na oczach przerażonej dziewczyny rozwalila mu głowę butelką budweisera. Johnny'emu założono cztery szwy.

O ile mi wiadomo, od tamtego czasu prowadził się wzorowo.

- Dlaczego? Dlatego, że Henry jest ostatnią osobą, która widziała Naomi... eee... żywą! - Zaczął wyliczać na palcach. - Dlatego, że wszystko z pewnością rozegrało się wczoraj wieczorem na pokładzie promu! Dlatego, że w

przeciwieństwie do glin, my tam byliśmy! Dlatego, że we dwóch przeczesałszy statek, szukając jej i nawet jeśli w tej chwili tego nie pamiętamy, być może widzieliśmy coś ważnego.

W półmroku szukałem wzroku Kayli, ale ona unikała mojego spojrzenia.

- Zgadzam się z Charliem - powiedziałem. - Musimy przynajmniej spróbować. Jesteśmy to winni Naomi. Była waszą przyjaciółką, nie? — (Zrobiłem pauzę). — Chyba nie zapomnieliście o chrzcie?

- Jasne, że nie - odparła sucho Kayla, dotknięta do żywego.

- Mój bliźni, moja siostró - wyrecytowałem uroczyście, a łzy znowu napłynęły mi do oczu.

- Mój bliźni, moja siostró - powtórzył Charlie po chwili.

- Mój bliźni, moja siostró — dołączył ściszym głosem Johnny.

- Jasna cholera. Dobra, dobra, w porządku, kurwa - poddała się. - To jak się do tego zabierzemy?

PUZZLE

Pytanie na chwilę zawisło w powietrzu.

- Punktem wyjścia jest prom - powiedziałem. - Od niego musimy zacząć.

- Ktoś wyrzucił ją za burtę, a potem miałyby zostać schwy-tana w sieci? - zasugerował Johnny.

Od razu uznaliśmy, że ta hipoteza jest nierealistyczna. Policja musiała pomyśleć tak samo. Trasa promów nie biegnie przez obszary połowów. Ile mil morskich może przepłynąć ciało w ciągu jednej nocy? To oczywiście musi zależeć od prądów. A gdyby, co wątpliwe, Naomi zaplątała się w sieć ciągnioną (czy wówczas żyła, czy już była martwa?), jak rybacy na pokładzie mogli niczego nie zauważyć? A jeżeli faktycznie znaleźli ludzkie ciało wśród ryb - na tę myśl odbiło mi się z obrzydzenia - jak to możliwe, żeby porzucili je na plaży i wrócili do domów, jakby nic się nie stało?

- Mogła zejść z pokładu z kimś innym - zasugerowałem.

- W takiej sytuacji kamery by ją sfilmowały i policja wie-działaby, o kogo chodzi.

Spojrzałem na Charliego.

- A nie mógłbyś trochę wybadać brata, podpytać, czy kamery zarejestrowały moment, gdy Naomi opuszcza prom?

Znałem już jednak odpowiedź. Ich pytania, sposób, w jaki je zadawali, jasno wskazywały, kogo podejrzewają - a to oznacza-ło, że nikt nie widział, żeby wysiadała.

- Powiedzieli mi o jednej rzeczy - ciągnąłem.

Wszyscy zwrócili się w moją stronę.

- Na plaży, obok ciała Naomi znaleźli element puzzli. - Oparłem łokcie o stół, przechyliłem głowę, zmrużyłem oczy i zacząłem czochrać włosy. - Coś mi się kojarzy... Widziałem

coś na promie, ale nie mogę sobie przypomnieć, o co chodzi.

- Puzzle są na wszystkich promach - zauważyła Kayla.

- Taggart - wypalił Charlie.

Popatrzyłem na niego. Zadrzałem.

Miał rację: Jack Taggart był na promie tamtego wieczoru. W wyobraźni zobaczyłem jeszcze raz, jak siedzi przed rozłożonymi na stoliku puzzlami i znowu przeszedł mnie dreszcz. Taggart był draniem, każdy o tym wiedział. Krążyły pogłoski o gwałtach, jakie popełnił jako werbownik Marines; wedle tych samych pogłosek armia, która dysponuje własnym wymiarem sprawiedliwości, miała jednak wyciszyć tę sprawę. Podobnie jak przekonała wielu spośród dwudziestu sześciu tysięcy żołnierzy (kobiet i mężczyzn), którzy w ubiegłym roku stali się ofiarami przemocy seksualnej w jej szeregach, by nie wnosili skargi. Opuściwszy wojsko, Taggart, korzystając ze swoich zdolności, zajął się nielegalnym handlem, ale dał się złapać i przesiedział trzy lata w więzieniu w Oregonie. A potem osiedlił się na zachodzie Glass Island, w lasach u podnóża Mount Gardner. W najbardziej niegościnniej części wyspy. Stosunkowo niedaleko od Agatę Beach...

- Na promie widziałem, jak Taggart układa puzzle - powiedział Charlie.

- No i co z tego? Puzzle są na wszystkich promach - powtórzyła Kayla. - Nie on jeden się w to bawi.

- Ale ja mówię o promie, z którego zniknęła Naomi, i o wieczorze, w trakcie którego zniknęła - nalegał Charlie.

- I chodzi o Jacka Taggart - dodał Johnny, zwracając się do Kayli. - Najbardziej podejrzanego gościa na całej wyspie, jak twierdzi twój ojczym.

Spiorunowała go wzrokiem.

- W takim razie powiedzcie o tym glinom.

- I co oni zrobią? Który sędzia wyda nakaz aresztowania tylko dlatego, że szesnastoletni chłopak widział jak facet układa puzzle? Jak sądzisz?

- Kurwa, przecież ten gość jest nawet w OffenderWatch! - zawołał Johnny.

- A jego chata stoi niedaleko plaży - dodałem.

OffenderWatch, wykaz przestępców przebywających na archipelagu, był na bieżąco aktualizowany przez służby szeryfa. Według informacji zawartych w tej bazie w hrabstwie było dwudziestu sześciu przestępców z grupy niskiego ryzyka oraz pięciu z grupy średniego ryzyka - cokolwiek oznaczają te kategorie. Przypomniałem sobie o innej historii, która dwa lata wcześniej wstrząsnęła tutejszą społecznością. W roku 2011, na krótko przed sprowadzeniem się na Glass Island innego przestępcy seksualnego, który wyszedł z więzienia. „Journal of the San Juan Islands” zamieścił na pierwszej stronie artykuł pod tytułem *Przestępca seksualny z trzeciej grupy ryzyka wkrótce zamieszka na Glass Island* wraz ze zdjęciem tamtego faceta i natychmiast część mieszkańców wyspy urządziła pikietę pod budynkiem sądu. Liv była wściekła: „Jeśli stanowią zagrożenie, to dlaczego są na wolności? A jeśli nie stanowią, czemu nie zostawi się ich w spokoju? Trzecia grupa ryzyka! Co to za bełkot, do jasnej cholery?”.

Ja jednak nie oponowałem aż tak kategorycznie. Bo co było ważniejsze, spokój tych gości czy bezpieczeństwo dzieci? Czy ich rodzice nie mieli prawa wiedzieć o pedofilu mieszkającym w okolicy? A kobiety o gwałcieliu? Wiem, że Liv by mi się sprzeciwiła: „Cholera, Henry, każdy ma prawo do drugiej szansy! Przecież oni już swoje odsiedzieli...”. Nie byłem tego taki pewien.

Byłem natomiast pewien czego innego: że wielu ludzi lubuje się w rozpowszechnianiu takich plotek. I nie tyle chodzi tu o bezpieczeństwo dzieciaków, ile o rozkoszną truciznę oszczerstwa przebranego za cnotę.

Zastanawiałem się. Obserwowałem podłogę w przedniej części sklepu, na którą strugi deszczu spływające po szybach rzucały cienie w postaci migotliwych czarnych kresek.

- Warto byłoby tam pójść i rzucić okiem, nie sądzicie?

- Pójść i rzucić okiem na co? - zapytała Kayla.

- Na cholerną norę tego bydlaka - rzuciłem lodowatym głosem.

Gdzieś obok trzasnęła okiennica i wszyscy jednocześnie podskoczyli.

- Mówisz serio?

- Ale jak rzucić okiem? - Chciał wiedzieć Johnny.

- Wchodząc tam w czasie, gdy będzie poza wyspą, do diabła - odparł Charlie bezbarwnym głosem.

- Jaja sobie robicie - podsumowała Kayla.

- Kayla, czy ty, kurwa, myślisz, że w takiej chwili chciałoby nam się żartować?! - Charlie mówił z tak niespotykaną u niego wściekłością, że wszyscy zadrżeliśmy.

Zobaczyłem, że Kayla zmieszała się i spuściła głowę.

- No więc? - zapytał Charlie. - Kto jest za?

Podniósł rękę. Zrobiłem to samo. Johnny po chwili wahania poszedł w nasze ślady. Kayla energicznie pokręciła głową, wlepiając oczy w blat stołu.

- Trzy do jednego - oświadczył Charlie. - Dziś wieczór nie możemy tego zrobić. Pójdziemy jutro. Zaczekamy, aż będzie na kontynencie. - (Taggart pracował na złomowisku w Mount Vernon). - Wyrwiemy się wcześniej z budy. Johnny, będziesz miał na oku przyplływające promy. Henry i ja tam pojedziemy...

- Mam nadzieję, że policja zrobi to przed wami - skomentowała Kayla lodowato.

W tym momencie zaczęła brzęczeć komórka Johnny'ego. Wyjął ją z kieszeni, żeby sprawdzić wiadomości, jakby nigdy nic, jakbyśmy odbywali niezobowiązującą pogawędkę. W blasku wyświetlacza zobaczyliśmy jego bladą twarz.

- O kurwa! - zawołał.

- Co jest? - zapytał Charlie.

Zauważyłem, że Johnny przygląda mi się ukradkiem.

- Nie wierzę!

Kayla pochyliła się nad ekranem i zobaczyłem, że robi się blada. Ona też rzuciła mi dyskretne spojrzenie. Żołądek ścisnął mi się ze strachu.

- Co jest, Johnny?

Speszony, podniósł na mnie wzrok.

- Właśnie dostałem coś takiego: wygląda na to, że to krąży

w sieci.

Johnny obrócił urządzenie w naszą stronę. Charlie i ja jak jeden mąż pochyliliśmy się nad ekranem. Drgnąłem. Strona z Facebooka. Z moim zdjęciem. Przelknąłem ślinę. Zdjęcie wykonano z daleka bez mojej wiedzy, ale bez trudu można było mnie rozpoznać. Miałem na nim zakazaną gębę faceta, który musi mieć wiele za uszami. Wrogie, spłoszone spojrzenie podejrzanego typu. Chroniąc się przed deszczem, wcisnąłem głowę w ramiona. A co najgorsze, trzymali mnie dwaj policjanci.

Zdjęcie bez wątplenia zostało zrobione na ścieżce prowadzącej do plaży, po tym jak tam wtargnąłem. Ale przez kogo? Strona zatytułowana była po prostu: „Jestem mordercą”. Pod fotografią znajdowało się już zatrzęsienie komentarzy:

zawsze uważałem, że ten gość jest podejrzanym

*całe popołudnie przeszukiwała go policja facet
wychowany przez dwie lesbijki*

*jak możecie oskarżać kogoś bez dowodów? Powinniście
się wstydić*

zawsze był nadętym dupkiem, z nikim się nie liczył

nie ma dymu bez ognia

Naomi była świetną laską.

Rzygać mi się chce nie wierzę, psy go wypuściły

*przestańcie bredzić, cholera, śledztwo dopiero się
zaczyna!*

nieodpowiedzialni debile

- Dobra, wystarczy - powiedziałem, gdy doszedłem do

czterdziestego posta w podobnym stylu.

Johnny czym prędzej wyłączył.

- Banda dupków! - rzucił.

- Musisz odpowiedzieć tym kretynom - powiedział Charlie.

- Jeśli to zrobi, ma przesrane - zaproponowała Kayla.

- Jeśli tego nie zrobi, też - zauważył Johny.

Czyżby to był początek internetowej nagonki? Ta perspektywa przerażała mnie bardziej niż jakiekolwiek zagrożenie fizyczne. Wszyscy mamy w głowie historie małych chłopaków popchniętych do samobójstwa, bo byli gejami, bo różnili się od innych albo mieli za mało sprytu, żeby się obronić w szkolnej dżungli. W większości przypadków ci, którzy wepchnęli ich do grobu, nie czują się w żaden sposób winni. Oni nie stracili właśnie ukochanej osoby, pomyślałem. Nagle uświadomiłem sobie, że jestem niesamowicie wrażliwy, kruchy jak porcelana. Jeśli nadejdzie tsunami głupoty, nienawiści i okrucieństwa, jak mu się oprę? Czuję się osaczony. Przypomniałem sobie, że gdzieś przeczytałem o milionie dzieci i nastolatków, którzy w ubiegłym roku stali się obiektem nękania, pogrózek, hejtu i innych form upokarzania na Facebooku. Mowa nienawiści rozprzestrzeniała się w tej sieci jak ogień na kałuży benzyny.

W ciemności szukałem spojrzeń przyjaciół. Byłem naprawdę przerażony.

- Boję się - powiedziałem.

Mój głos drżał. Kayla nagle złagodniała, pochyliła się, oparła łokciami o stół i chwyciła moje dłonie. Ścisnęła je.

- Jesteśmy przy tobie.

- Zawsze przy tobie będziemy, stary - zawtórował jej Johnny. - Mamy gdzieś, co mówią inni, nie?

- Mój bliźni, mój bracie - dodała Kayla.

- Od teraz musimy działać w sposób zorganizowany - zawyrokujeł Charlie. - Musimy uważać na wszystko, co mówimy innym, na wszystko, co robimy. Dziś w oku cyklonu jest Henry, ale jutro możemy to być my. Trzeba też uważać na esemesy i telefony. Pieprzone gliny bez problemu

mogą założyć Henry'emu podsłuch. Od dziś wszystko, co mamy sobie do powiedzenia, mówimy bezpośrednio. Okay?

Przytaknęliśmy.

- Spotykamy się tutaj jutro o siedemnastej. Urwijcie się wcześniej z budy.

Potem Charlie objął mnie i przycisnął do siebie. Zauważyłem, że na mnie patrzy. Poczulem, że otacza mnie ich troska, że jestem kochany. Poczulem ciepło tej miłości, która istniała tylko między nami, bez żadnych podtekstów; jej energia przeszła z nich na mnie jak prąd. Żyłem i wbrew temu, co mi się wydawało, nie byłem sam.

- Nie przejmuj się tym, stary, nie zniszczą nas - powiedział Charlie. - Takie jest życie. Okrutne i niesprawiedliwe. Ale przecież jesteśmy braćmi, nie? Jesteśmy rodziną.

Potwierdziliśmy skwapliwie.

- Prawdziwą - dodał, na pewno myśląc o własnej.

Od wielu miesięcy żadne z nas nie wypowiedziało podobnych słów. Byliśmy w wieku, w którym wyrażanie takich uczuć wydawało nam się trochę śmieszne, było nam głupio się z nimi afiszować. Ale nie tego wieczoru. Tego wieczoru znowu staliśmy nad rzeką, mieliśmy po trzynaście lat, byliśmy rodziną, braćmi i siostrą, złączonymi z sobą jak palce jednej dłoni. Tego wieczoru znowu wierzyliśmy w potwory z dzieciństwa, w wampiry i wilkołaki. Naomi znowu była wśród nas.

Przyszła mi wtedy do głowy dziwna myśl. Miałem dwanaście lat, gdy zostałem ich przyjacielem, ale teraz wiedziałem, że takich przyjaciół - przyjaciół, jakich człowiek poznaje w tym wieku - nie będę miał już nigdy. Choćbym miał żyć sto lat.

BEZSENNOŚĆ

Drogę z Ken's Store & Grill do domu pokonałem w stanie półsnu. Moje uczucia oscyływały między ochotą, by od razu pojechać pod chałupę tego drania Jacka Taggarta i rzucić na nią okiem, a zniechęceniem na myśl, że niczego tam nie znajdziemy, że facet z taką przeszłością - nawet jeśli to on - nie byłby tak głupi, by zostawiać ślady.

Z lodówki u Charliego wziąłem piwo Alaskan i popijałem za kierownicą, wpatrując się w lśniącą w blasku reflektorów wstęgę szosy z żółtą podwójną linią biegnącą przez środek. Oświetlone drzewa po bokach przypominały mi szpaler honorowy dla biednego, zapłakanego kochasia: *Hohoho, chłopaki! Patrzcie, to on! Biedny, biedny gość! Hohohohoho...*

Ale jest trochę dziwny, co?

Facet wychowany przez dwie lesby...

Zawsze był nadętym dupkiem... z nikim się nie liczył...

Nie ma dymu bez ognia...

Tak mówiły klony i jodły balsamiczne przy drodze. Komentarze z Facebooka nie dawały mi spokoju.

Deszcz już nie padał i, co dziwne, szosa wyglądała na suchą, mimo pasemek mgły, które unosiły się tu i ówdzie nad asfaltem i rozwiewały się w blasku reflektorów. Dookoła było bardzo ciemno. Zastanawiałem się, czy pogrążony w myślach, nie przegapiłem rozgałęzienia Ecclestone Road. I nagle, na końcu prostego odcinka drogi, zauważyłem jakąś postać przechodzącą na drugą stronę. W tym miejscu często spotykało się sarny albo dziki, dlatego kierowcy zwalniali, a niektórzy właściciele terenówek montowali z przodu orurowania ochronne. Ale to nie

był dzik. Byłem wstrząśnięty. Ta sylwetka niewątpliwie była mi znajoma. Spokojnie, powiedziałem mojemu sercu, które zaczęło bić trochę za szybko. Wszyscy to znamy: wrażenie, że kogoś rozpoznajemy, widząc w tłumie jego plecy, a kiedy ta osoba się odwraca, zastanawiamy się, jak mogliśmy się do tego stopnia pomylić. Mózg płata paskudne figle - a czasem potrafi być naszym wrogiem.

Paskudne figle...

Ale gdy zbliżałem się do zjawy, moje serce waliło jak szalone. Kiedy ta weszła w zarośla po lewej stronie drogi, byłem pewien, że to ona... Zahamowałem gwałtownie na wysokości miejsca, w którym skręciła, i zauważyłem jej blady cień znikający wśród drzew. Miała na sobie tylko sukienkę, która powiewała, odsłaniając jej łydki i bosc stopy.

Otworzyłem drzwi i wysiadłem.

- Naomi!

Na moment przystanąła, po czym ruszyła dalej. Rzuciłem się za nią.

- Naomi, to ja!

Przedzierając się przez zarośla oświetlone tylko blaskiem reflektorów samochodu i przeskakując przez powalone pnie i gałęzie, przypomniałem sobie trupa na plaży, ciemne włosy, ale także zdeformowaną twarz, posiniaczoną, poranioną - prawie nierozpoznawalną.

- Naomi!

Biegłem, pędziłem; krzaki i gałęzie próbowały mnie zatrzymać, dalej poszycie lasu nie było już takie gęste, a pnie proste i wysokie, więc przyśpieszyłem. Byłem coraz bliżej. I nagle zniknęła. Księżyc w pełni zalewał okolicę eterycznym, pylistym światłem, ale jej nie było widać. Podszedłem jeszcze kawałek. Zahukała sowa. Okrążyłem buk. Była tam. Siedziała na mchu, oparta o gruby, szorstki, okrągły pień.

Zadrzałem.

- Naomi! To ty?

- Odejdź, Henry - powiedziała. - Odejdź.

- Naomi, co ty tu robisz?

- Odejdź, mówię ci.

Jej źrenice błędziły we wszystkich kierunkach, nie mogąc się zatrzymać.

- Ale w takim razie kogo oni znaleźli na plaży?

- Kogoś podobnego.

- Dlaczego nie poszłaś na policję?

- Nie ufam im, jest u nich człowiek, któremu nie można ufać.

- Mnie też nie ufasz?

Uśmiechnęła się, ale jej uśmiech był żaloszny, niezręczny. Smutny. Wyglądała na przestraszona. Gorzej: na przerażona. Siedziała z podkulonymi kolanami. Miała opuchniętą szyję, na której widać było niebieskie ślady - jak po sznurze lub silnych palcach, jakby ktoś próbował ją dusić.

Oddychała bardzo szybko. Jej klatka piersiowa podnosiła się i opadała, przez delikatny materiał sukienki widziałem stwardniałe od zimna brodawki jej piersi. Z wielkim zakłopotaniem poczułem, że mam erekcję: moje dżinsy skrywały prawdziwą armatę.

Nagle Naomi drgnęła. Wytrzeszczyła oczy. Zobaczyłem, że jej ciemne usta otwierają się ze strachu.

Ja też usłyszałem ten dźwięk. Coś zbliżało się do nas wśród drzew. Coś ogromnego. Cięższego niż człowiek. Niedźwiedź? W górach na kontynencie żyło dużo baribali, ale nie na wyspie. To coś było jednak większe nawet od daniela.

- Szuka mnie, nie ciebie - powiedziała. - Idź stąd, bo wytropi mnie po twoim zapachu. - No idź!

- Nie odejdę bez ciebie.

Tak naprawdę jednak miałem wielką ochotę jej posłuchać i się ulotnić. Znowu rozległ się tamten dźwięk. Tym razem znacznie bliżej. Przeraźliwy trzask zgniatanych liści i gałęzi. Rozejrzałem się dokoła, jednak nie widziałem nic prócz prostych pni, rzadkiego poszycia i księżycy w pełni.

Myślałem, że się zsikam ze strachu.

- Henryyyyy! - krzyknęła w chwili, gdy spadała na mnie rybacka sieć.

Obudziłem się w moim pokoju, zlany potem.

Potrzebowałem chwili, zanim odzyskałem względne poczucie bezpieczeństwa i uspokoiłem bicie serca. Światło latarni nie przestawało migać. Świat za oknem wciąż tonął w deszczu. Nie padało tylko w moim śnie. I tylko tam Naomi była żywa.

JEDENAŚCIE DNI WCZEŚNIEJ

Jay miał ochotę na papierosa. Nie palił już piętnaście godzin. Ale siedział zamknięty w ślepym pomieszczeniu: w betonowym budynku prawie nie było okien.

Agencja WatchCorp Security zajmowała cztery piętra biurowca, który - jeśli nie liczyć niespotykanej liczby kamer monitoringu i wysokości ogrodzenia wokół parkingu - niczym się nie wyróżniał. Stał osiemset metrów od skrzyżowania Baltimore-Washington Parkway z Maryland Route 32, czyli, wedle byłego szefa amerykańskiego wywiadu, „w miejscu największej koncentracji cyberwładzy na ziemi”. W pobliskim parku biznesowym ulokowały się nie zarządy banków, koncernów paliwowych czy producentów samochodów, lecz siedziby głównych podwykonawców NSA, Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. W WatchCorp, podobnie jak w innych tego typu miejscach, pracowali młodzi, niedbale ubrani informatycy, ale także byli członkowie rządu w garniturach. Firma czerpała z ich doświadczenia oraz - dzięki kontaktom, jakie utrzymywali na najwyższych szczeblach władzy - mogła mieć pewność, że polityka rządu w zakresie nadzoru nadal będzie prowadzona po jej myśli. Po 11 września wytrysnęły obfite źródła funduszy przeznaczonych na inwigilację: duża ich część trafiała bezpośrednio z kieszeni podatnika na konta osób pokroju Granta Augustine’a.

Zadzwoił telefon na biurku i Jay zmarszczył brwi. Nikt nie powinien był tu dzwonić.

- Nie, nie, M. Joseph Turner to nie ja - odpowiedział. - Nie, nie wiem, jaki jest jego numer. Nie, nie wiem, jak można się z nim skontaktować.

Ze złością odłożył słuchawkę, wstał, zrobił parę kroków wokół

jedynego biurka i przeciągnął się, niemal dotykając rękami przeciwległych ścian pomieszczenia. Czy miał zaczerwienione od wpatrywania się w drobną czcionkę na monitorze. Wyszedł na korytarz i w automacie z napojami kupił zimną colę.

Po powrocie do małego biura rozpiął kołnierzyk koszuli i znowu pochylił się nad monitorem. Na jego oświetlonej blaskiem ekranu twarzy pojawił się uśmiech. Jeszcze dziesięć lat wcześniej o władzy, jaką obecnie dysponował, opowiadały tylko filmy i powieści science-fiction. Ze swojego stanowiska pracy Jay miał dostęp do życia każdego mieszkańca planety posiadającego łącze internetowe albo telefon. Był bogiem. Bóg miał na imię Jay, miał na imię tak jak każdy z pracowników tej cholernej firmy. W większości pracowali tu młodzi ludzie, którym nie powiodło się w szkole, jednak rozwinięli w sobie wybitne kompetencje informatyczne. Dzięki postępowi technicznemu marzenie o wszechwiedzy, obecne w głowach wszystkich władców na przestrzeni dziejów, właśnie się spełniało.

Działo się to tu i teraz. Na powierzchni paru metrów kwadratowych, w kilku firmach kontrolujących na użytek amerykańskiego rządu to, co reszta ludzkości mówi, robi albo myśli.

cześć, jestem BOGIEM

nie, to ja jestem BOGIEM - a pan kim jest?

powinien pan wiedzieć, skoro jest pan BOGIEM

a tak, już wiem: pan jest BOGIEM

Oto jeden z dowcipów często powtarzanych przy automatach z kawą. Jay był za stary i za mało na czasie, by zadawać się z tymi smarkaczami. Nie posiadał żadnych szczególnych umiejętności informatycznych, a już na pewno nie miał ochoty na dyskusje o nowych aplikacjach na iPhone'a 5 czy kolejnej odsłonie *Gwiezdných wojen*. Potrafił jedynie obsługiwać programy, które miał do dyspozycji - jak X-KEYSCORE, umożliwiające obserwację konkretnego celu: treść e-maili, historię wyszukiwania w Internecie, aktywność w serwisach społecznościowych, a także pozwalający w

czasie rzeczywistym monitorować działania każdego człowieka podłączonego do sieci na całym świecie, tak jakby znajdował się z nim w jednym pokoju i zaglądał mu przez ramię.

Jay dorastał w czasach, w których telefony komórkowe i komputery osobiste należały do rzadkości. Był jednocześnie zafascynowany i przerażony ilością informacji gromadzonych przez firmy pokroju WatchCorp na temat prywatnego życia miliardów jednostek. Co by było, gdyby ta władza pewnego dnia wpadła w niepowołane ręce? Nie przychodziło mu do głowy, że coś takiego być może już się stało.

Spojrzał na ekran, na którym widniały dane demograficzne archipelagu:

Całkowita liczba ludności: 16409

Mężczyźni: 8 056 Kobiety: 8 353

Osoby poniżej 18 roku życia: 3 296

Osoby rasy białej: 12 323

Osoby rasy czarnej lub Afroamerykanie: 1649

Indianie lub Alaskanie: 148

Azjaci: 591

Osoby pochodzące z Hawajów lub innych wysp Pacyfiku: 16

Hiszpanie lub Latynosi: 1 682

Jay wprowadził dwie cyfry, by wyświetlić inne dane:

Osoby w wieku lat 16:193

Wykonał jeszcze kilka operacji i otrzymał kolejny wynik:

Osoby w wieku lat 16, osoby rasy białej, mężczyźni: 167

Rozsiadłszy się w fotelu, zaplótł dłonie na karku. Kto wie, czy Meredith nie zmieniła jego wieku - bo na pewno zmieniła nazwisko. Wstukał kolejne polecenie: pojawiło się sto sześćdziesiąt siedem nazwisk. Przy każdym numer telefonu. Zerknął na zegarek: była prawie trzynasta. Czekają go jeszcze

wiele godzin pracy. Powoli przebiegł wzrokiem kolumnę nazwisk - raz, drugi - ale żadne nie wydało mu się znajome. Jay wydrukował informacje, a następnie uruchomił program PROTON do gromadzenia metadanych dotyczących wyświetlonych numerów. Dla ludzi takich jak Jay metadane - czyli dane odnoszące się do konkretnych połączeń: Kto do kogo dzwoni? Kiedy? Jak długo trwa rozmowa? Gdzie się odbywa? - były fantastyczną sprawą. Były równie, a nawet bardziej interesujące niż sama treść rozmów. Wyobraźmy sobie żonatego mężczyznę, do którego późnym wieczorem dzwoni niebędąca jego żoną młoda kobieta, która tego samego dnia telefonowała do swojego ginekologa, najlepszej przyjaciółki i kliniki aborcyjnej. Nie trzeba znać treści rozmów, by mieć wyobrażenie o całej sprawie.

Równoległe Jay uruchomił przeszukiwanie przeszłości: dzięki gigantycznym zasobom zgromadzonym przez NSA, miał dostęp do metadanych nie tylko w czasie rzeczywistym, ale także do tych z ubiegłych lat. Metadane zebrane przez Narodową Agencję Bezpieczeństwa i podległe jej jednostki takie jak WatchCorp trafiały do dwóch baz: Marina i Mainway. Pierwsza gromadziła ruchy w Internecie, a druga była w stanie zapisać do 1,1 miliarda nagrań rozmów telefonicznych dziennie. Na konta prywatnych gigantów telekomunikacyjnych co roku trafiały setki milionów dolarów z tajnego budżetu agencji wywiadu.

Wszystkie podsłuchiwane numery zaczynały się od 360 - co odpowiada zachodniej części stanu Waszyngton z wyłączeniem miasta Seattle, jednak w oficjalnym wniosku Jay podał kierunkowy 36, jakby namierzonym krajem były Węgry. W ten sposób, gdyby ktoś ich nakrył, powołaliby się na zwykły błąd. Ustawa FISA (Foreign Intelligence Surveillance Act) z 2008 roku chroniąca prywatność Amerykanów zezwala na kontrolę zawartości rozmów amerykańskiego obywatela tylko wówczas, gdy ten kontaktuje się z obywatelem innego kraju wcześniej uznanym za zagrażającego bezpieczeństwu USA. Jay wiedział, że to przesadna ostrożność. W rzeczywistości istniała może jedna szansa na milion, żeby ktoś wsadził nos

w ich sprawy: Trybunał Federalny FISC został powołany w 1978 roku przez Kongres w celu uniknięcia nadużyć w stosowaniu nadzoru elektronicznego. Była to jedna z najbardziej tajnych instytucji w kraju i wszystkie jej postanowienia klasyfikowane były jako „ultrapoufne”. Jay wiedział, że chodzi tylko o to, by uspokoić opinię publiczną, a w rzeczywistości trybunał nie sprawuje żadnej poważnej kontroli. W ciągu sześciu lat odrzucił tylko jeden wniosek złożony przez służby wywiadowcze.

Aby uzasadnić chęć inwigilacji nastolatków mieszkających na tych kilku wyspach, wyssał z palca historię o zagrożeniu ze strony młodych fanów Unabombera, którzy zamieścili w Internecie przepisy na konstrukcję ładunków wybuchowych. Słowo „terroryzm” działało jak magiczne zaklęcie, skuteczniejsze niż „abrakadabra”.

Przez ponad godzinę zajmował się kombinacjami wyników: chłopcy między piętnastym a siedemnastym rokiem życia wychowywani przez samotne matki (Meredith mogła jednak założyć nową rodzinę i Jay zastanawiał się, czy powiedziała mężowi o swojej przeszłości; wątpił w to), chłopcy urodzeni gdzie indziej, przybyli na wyspy w ciągu ostatnich szesnastu lat (brakowało jednak danych odnośnie wcześniejszego okresu) itd. Informacje umieszczał na diagramach, by mieć poglądowy obraz sytuacji. Kolejną godzinę spędził na analizie metadanych ze stu sześćdziesięciu siedmiu namierzonych numerów, próbując je zinterpretować, znaleźć jakąś anomalię, jakiś powtarzający się schemat - było jednak zbyt wiele informacji, by można je przyswoić za jednym razem. Musiałby do nich wracać, wciąż i wciąż, aż pewne prawidłowości zaczęłyby mu się rzucać w oczy. Wydruki trafiały do teczki z oznaczeniem SAR (*Special Access Required*) i nazwą „Kurczak”, jaką nadał projektowi. Oczywiście zamierzał sięgnąć także do PRISM, czołowego programu Agencji, który gromadził pocztę, pliki, zdjęcia i filmy umieszczane w sieci, a także wszelkie statusy i komentarze pozostawione w serwisach społecznościowych.

To jest plus namierzania małolątów - pomyślał. Internet to

centrum ich świata. Inaczej niż dla ludzi z jego pokolenia, dla nastolatków sieć nie jest rzeczywistością peryferyjną; jest główną przestrzenią ich aktywności, emocji i egzystencji. Miejscem, w którym rozgrywa się wszystko, miejscem zwierzeń i nawiązywania nowych znajomości, gromadzenia najbardziej osobistych informacji i obnażania się przed innymi.

Jest rzeczą nie do pomyślenia, by szesnastolatek nie korzystał z Internetu, żeby się komunikować i żyć. Jay był więc pewien jednego: ten, którego szukają, gdzieś tam jest, ukryty w plikach danych.

Była już noc, gdy dotarł do Leeds Mansion w Wirginii, na południe od Clifton, godzinę i dwadzieścia minut jazdy samochodem od Fort-Meade. Nie było łatwo trafić do ukrytej wśród drzew wiejskiej posiadłości, ale Jay odnalazłby ją z zamkniętymi oczami. Jego mustang warcząc, kluczył między ogrodzonymi płotem dużymi połaciami gruntu, domostwami, do których przylegały stajnie i korty tenisowe. Drogi przecinały się ze sobą, a na skrzyżowaniach nie było żadnych drogowskazów: jeśli człowiek nie wiedział, dokąd jedzie, nie miał tu czego szukać.

Mustang przejechał pod tunelem z drzew. Zatrzymał się u jego wylotu, przed solidną bramą z kutego żelaza. Nie było tu domofonu, były za to dwie kamery. Albo człowiek wiedział, po co tu jest, albo lepiej, żeby się tu nie zapuszczał. Zaczekał, aż gość z firmy ochroniarskiej zidentyfikuje jego odznakę i twarz: kamera na podczerwień wyposażona była w program do rozpoznawania twarzy.

Kiedy znalazł się za bramą, opuścił szybę, by odetchnąć zapachem świeżo skoszonej trawy i posłuchać cykania świerszczy. Jego uszu doszedł jednak inny dźwięk: nad samochodem, na ciemnym niebie, coś buczało. Dron... Ostatnia zabawka Watch- Corp. Jej przeznaczeniem były nie tylko tereny działań wojennych w Afganistanie czy Iraku. Drony są o krok od zadomowienia się w naszej codzienności. Niedługo zaczną nam dostarczać pizzę i internetowe zakupy,

pilnować naszych rezydencji skuteczniej niż owczarki niemieckie, będą obecne tam, gdzie są jakiegokolwiek atrakcje turystyczne. A przy okazji umożliwią różnym cwaniakom zagładanie do naszego ogródka.

Droga wiała się wśród przystrzyżonych krótko trawników i kęp wysokich olch, które odcinały się od nocnego nieba. Jay nie widział nikogo, ale i tak czuł się obserwowany. Wreszcie zza szerokiego zakrętu wyłonił się dwór w stylu Tudorów. W blasku zachodzącego słońca był to czarujący widok, jednak kiedy robiło się ciemno, kamienna fasada wyglądała nieprzyjaźnie. Budynek nie miał jeszcze piętnastu lat, ale stylem naśladował stare europejskie budowle: okna z krzyżownicami, blanki jak w warownym zamku, wielkie, spadziste dachy i kominy zwieńczone dziwaczными ornamentami. Teatralny efekt potęgowały rozmieszczone na fasadzie lampki. Ta gra światła i cieni robiła może wrażenie na turystach, ale nie na Jayu. Jay mieszkał w spartańsko urządzonym mieszkanku mniejszym niż sień tego domostwa, spał na materacu położonym bezpośrednio na podłodze i nie miał prawie żadnych mebli. Nie czytał greckich filozofów, ale gdyby czytał, z pewnością by się z nimi zgodził: był człowiekiem o zadziwiająco skromnych potrzebach, które w związku z tym łatwo było zaspokoić.

Główne wejście prowadziło przez przestronny kamienny przedsionek zamykany średniowieczną stalową kratą, do której docierało się po sześciu stopniach: człowiek czuł się tu jak w Ivanhoe. W ten ciepły wieczór krata była otwarta na oścież. Jay wysiadł z samochodu i zapalił papierosa. Wiedział, że szef jest już poinformowany o jego przybyciu, ale czasem niewolnik pozwala sobie wobec pana na odrobinę swobody. Łagodny wiatr niósł zapach otwartej i oświetlonej stajni. Jak zwykle panowała tu absolutna cisza. Grant Augustine nie znosił hałasu. Uważał, że cisza to dziś jedyny prawdziwy luksus. Jego domowy personel nosił buty na specjalnych zelówkach i miał zalecenie, by w obecności szefa nigdy nie podnosić głosu. Jay, który mieszkał w Adams Morgan, gorącej dzielnicy Waszyngtonu, prawie co wieczór zasypiał przy wtórze basów dochodzących z któregoś z wielu nocnych klubów. Z

zachowaniem wszelkich środków ostrożności zapalił papierosa i zaciągnął się łapczywie. Świerszcze cykały, nie bacząc na instrukcje.

Następnie wszedł po stopniach, minął sień i ciąg cichych salonów - prawie wszystkie wyłożone były kasetonami z ciemnego drewna - a także bibliotekę w stylu wiktoriańskim, nikogo nie spotykając, świadom jednak, że odkąd znalazł się za bramą, czujne kamery ani na minutę nie spuszczają go z oczu.

Ostatnie pomieszczenie było pogrążone w ciemności, jeśli nie liczyć wąskiego rzędu świateł przy samej podłodze. W powietrzu unosiła się słaba woń gумы i potu, można też było rozróżnić geometryczne zarysy chromowanych i stalowych przyrządów do ćwiczeń: *butterfly*, maszyna do treningu mięśni ud, ławeczka do wyciskania, rower eliptyczny... Augustine ćwiczył na bieżni stojącej na środku pomieszczenia. Był w samych slipach, oświetlenie podkreślało kształt jego mięśni. W siłowni panowała cisza, którą zakłócał jedynie jego nieco chrapliwy oddech i delikatne mruczenie bieżni.

- Wchodź, Jay - powiedział odrobinę zdyszany.

W tych ciemnościach jego głos brzmiał bezcielesnie, jakby należał do ducha.

Jay podszedł bliżej. Zauważył plaster na lewym tricepsie Augustine'a, między barkiem a łokciem. WatchCorp był w trakcie testowania pluskiew podskórnych najnowszej generacji i - jak często bywało - Grant znalazł się w gronie królików doświadczalnych. Pluskwa RFID wielkości ziarnka ryżu została umieszczona pod jego skórą za pomocą strzykawki. Urządzenie było rewolucyjne pod wieloma względami. Po pierwsze czerpało energię z ludzkiego ciała. Po drugie zawierało pokaźną ilość informacji i każda osoba wyposażona w odpowiedni czytnik mogła uzyskać precyzyjne dane na temat właściciela: dokumentację medyczną, kartotekę sądową, ale także numery ubezpieczenia, kont bankowych, wykaz zakupów online lub w luksusowych sklepach, tras przemieszczania się, rozmów telefonicznych, ściągniętych z Internetu książek i filmów. Gdy technologia stanie się powszechna - a dzień ten nadejdzie

niebawem - żadna dziedzina codziennego życia nie umknie tym implantom. Nie będą już potrzebne kody kreskowe, hasła, piny, GPS, dowody osobiste... Pluskwa WatchCorp była tym bardziej rewolucyjna, że przy użyciu odpowiedniej technologii jej sygnał można było odczytać ze znacznej odległości. WatchCorp zamierzał, podobnie jak uczyniła to w przeszłości większość internetowych gigantów, pozostawić ukryte furtki i szczeliny w systemie dla amerykańskich agencji wywiadu.

Jay wiedział, że prędzej czy później podskórne pluskwy staną się ostatnim krzykiem mody, podobnie jak wszystkie podłączone do sieci gadżety, od zegarków, poprzez okulary, telewizory, ubrania i szczoteczki do zębów aż po samochody. Znajdą się oczywiście krzykacze ostrzegający, że wszystkie te technologie to zamach na ludzką wolność, ale jak zwykle będą oni w niewielnej mniejszości. W dniu, kiedy to nastąpi, WatchCorp będzie na posterunku. Jay nie mógł powstrzymać uśmiechu. Oto dzięki rewolucji cyfrowej krok po kroku spełniał się sen wszystkich dyktatur: sen o obywatelach bez życia prywatnego, którzy dobrowolnie zapierają się swojej wolności...

Mięśnie ud i łydek Granta rysowały się pod skórą jak grube liny. Mężczyzna zacisnął szczęki i jeszcze przyśpieszył. Jego spocone ciało oświetlone poświatą z podłogi promieniowało energią i ciepłem.

Jay odwrócił wzrok.

Naprzeciwko bieżni wznosiła się lśniąca ściana ekranów. Dziesiątki obrazów z kamer monitoringu. Czarno-białych i kolorowych. Parkingi, windy, miejsca publiczne, powierzchnie biurowe. I znacznie bardziej osobiste sceny: piękna młoda kobieta, od tyłu, siedząca okrakiem na partnerze - konserwatyście z Kongresu Stanów Zjednoczonych, ojcu pięciorga dzieci i dziadku ośmiorga - na brzegu basenu; dziennikarz - obrońca swobód obywatelskich pałacy jointa na balkonie w Georgetown w towarzystwie jakiejś małolaty; grupa anarchistów spiskujących w sącuacie w South Side w Chicago; glina z Minneapolis przyjmujący łapówkę w jakimś parku. Wszystkie te obrazy układały się w niemą mozaikę, prymitywny balet, zadziwiająco odczłowieczony, choć przecież stanowiący

migawkę z życia całej ludzkości ukazanej jak ruchliwe mrowisko. Cały ten spektakl odbijał się w rozszerzonych źrenicach Augustinea. Mężczyzna napawał się nim jak zaczarowany, jakby jego mózg wchłaniał jakiś ostry narkotyk. Jego klatka piersiowa wznosiła się rytmicznie.

- I jak?

- Stu sześćdziesięciu siedmiu chłopaków w wieku od piętnastu do siedemnastu lat. Zaangażowałem trzy osoby: sprawdzą połączenia przychodzące i wychodzące, esemesy, e-maile, profile na Facebooku, operacje na kartach kredytowych, logowania, dokumentację szkolną i medyczną, pliki przechowywane w chmurze, historię pobierania, historię wyszukiwarek i to samo w odniesieniu do ich rodziców, kumpli, koleżanek, nauczycieli i wszystkich, z którymi są lub byli w kontakcie. Jeśli niektórzy z nich korzystają z połączeń z siecią ukrytą, z Tora albo programów szyfrujących, również się o tym dowiemy. Jeżeli on tam jest, znajdziemy go w końcu. Ale trochę to potrwa.

- Ściągnij więcej personelu. Tyle, ile będzie trzeba.

- To będzie oznaczało wtajemniczenie większej liczby osób - zauważył Jay.

Augustine zamyslił się, co na chwilę wytrąciło go z rytmu. Po chwili ruszył z jeszcze większym zapalem.

- Mamy tam kogoś? Kogoś pewnego, kto mógłby zrobić zwiad na miejscu?

Jay wahał się przez chwilę.

- Tak, myślę, że mam odpowiednią osobę.

- Zadzwoń do niej. - Augustine na chwilę zamilkł. - Jay, on tam jest. Na którejś z tych wysp. To jeden z tych stu sześćdziesięciu siedmiu chłopców. - Skończył biegać i sięgnął po ręcznik. - Znajdźcie go. Znajdźcie mojego syna, Jay.

W LESIE

Nie spałem przez całą noc. Wreszcie usłyszałem w domu pierwsze odgłosy. Siedziałem w łóżku oparty o poduszki i zastanawiałem się, czy wstać. France i Liv krzątały się w kuchni na dole. Normalnie już by mnie zawołały, mówiąc, że się spóźnię.

Patrzyłem właśnie na budzik stojący na szafce nocnej, kiedy na dole rozległ się dźwięk klaksonu. Po chwili usłyszałem znajome głosy, a w odpowiedzi odezwała się Liv. Uśmiechnąłem się słabo. Poczulem ulgę: Charlie, Johnny i Kayla przyjechali po mnie. Zrobili to pierwszy raz. Zazwyczaj spotykaliśmy się na parkingu.

- Henry! - zawołała Liv.

Gdy szedłem na dół po schodach, miałem wrażenie, jakbym płynął w powietrzu. Mamy znowu uściśniły mnie bez słowa. Liv bacznie mi się przyjrzała. France popatrzyła łagodnym, macierzyńskim wzrokiem.

- Muszę wziąć prysznic, panowie.

- Ruchy - powiedział Charlie - bo nam prom ucieknie. I tak będziemy mieć szczęście, jeśli dostaniemy się na pokład.

- Chcesz grzanek, Charlie? - zapytała Liv.

- O tak, psze pani - odpowiedział słabym, grobowym głosem, nieudolnie udając entuzjazm.

Gdy szedłem na górę, słyszałem, jak ściszone głosem wypowiadają imię Naomi, a potem, rozmawiają cicho, poważnie i z uczuciem...

W porcie czekała nas niespodzianka: na wyspę ściągnął tłum glin, dziennikarzy i ekip telewizyjnych. Całe to towarzystwo spacerowało grupkami, jakby do niego należało miasto, z kubkami kawy i puszkami coli w ręku, przechodząc

z jednej strony ulicy na drugą bez zwracania uwagi na światła, pasy i samochody. Wchodzili do barów i sklepów i wychodzili z nich jak podchmieleni turyści. Naliczyłem co najmniej cztery rodzaje policyjnych mundurów. Brodacz z kamerami Sony na ramieniu filmował wszystko, co było lub nie było interesujące, a sześć wozów transmisyjnych z antenami satelitarnymi stało zaparkowanych byle jak na przystani. Choć w samym Seattle rokrocznie dochodzi do kilkudziesięciu zabójstw, najwyraźniej morderstwo popełnione na malowniczej, spokojnej wysepce było dla mediów łakomym kąskiem. Już widziałem te tytuły: *Krwawa wyspa, Murder Island, Trwoga na archipelagu* itd.

- Jezu - odezwał się Charlie. - Widziałeś tę cypatą laskę z mikrofonem?

Mówił o jednej z komentatorek, która z pewnością zawdzięczała swoją pracę zarówno wyglądowi, jak i dykcji. Moją uwagę przyciągnęło jednak coś innego: w porcie gliniarze z patrolu stanowego chodzili po pomostach i kutrach, których było tu znacznie mniej niż żaglówek w marinie. Potem prom opuścił zatokę, śledzony przez obiektywy około dziesięciu kamer i co najmniej trzydziestu aparatów fotograficznych. Niektórzy pasażerowie - jak M. Bojarski, balsamista z Melville Funeral Home w Mount Vernon - wyszli na pokład, czego zazwyczaj nigdy nie robili, w nadziei, że pokażą ich w telewizji. W innych okolicznościach być może zrobilibyśmy to samo.

- O ja pierdołę. - Piętnaście minut później Charlie znowu nie wytrzymał. - Świat naprawdę jest pełen dupków.

On i Johnny siedzieli nad tabletem. Ja też chciałem zobaczyć. Niechętnie podsunęli mi go pod nos. Profil na Facebooku. Było na nim coraz więcej ludzi. I coś nowego: ankietka. Zatytułowana: *Kto zabił Naomi?* Każdy mógł się włączyć.

„Henry” z czterdziestoma ośmioma procentami głosów zdecydowanie wysuwał się na prowadzenie. Za nim była „matka Naomi” - dwadzieścia dwa procent. Dalej „seryjny morderca będący przejazdem” - siedemnaście procent. Trzydzieście

procent głosujących nie miało zdania.

Z niedowierzaniem wpatrywałem się w ekran. Charlie uderzył pięścią w stół.

- Trzeba to zgłosić glinom! Niech zablokują ten syf!

- Jeśli to zrobimy, możemy ściągnąć na siebie uwagę - zauważył Johnny.

- No i co z tego? Cholera, byliśmy jej przyjaciółmi! - uniósł się Charlie, ale na końcu jego głos się załamał.

- Henry, powinieneś powiedzieć o tym Liv - doradziła Kayla. - Ona zrobi, co trzeba.

Skinąłem głową. Nagle odechciało mi się jechać do szkoły. Żałowałem, że nie zostałem w domu.

Dotarliśmy do budy. Charlie, Johnny i Kayla w drodze do szatni sformowali wokół mnie coś na kształt straży przybocznej. We wspomnieniach widzę, jak idziemy korytarzami, a wszystkie spojrzenia kierują się na nas, a dokładniej na mnie: wszyscy się gapią, przyglądają mi się, jedni dyskretnie, inni bardziej bezpośrednio, a nawet z jawną wrogością. Domyślam się szeptów, uwag wymienianych na mój widok, słów trafiających na podatny grunt. Zastanawiam się, ilu z nich głosowało - i na kogo.

Zatrzymałem się metr od mojej szafki.

Zauważyłem karteczkę.

Wstrzymałem oddech. Wahalem się, czy podejść bliżej, w końcu schyliłem się i przeczytałem:

Przyjdź do mojego gabinetu. Louisek

Zerwałem kartkę.

Odwróciłem się.

Nadal byłem pod ostrzałem spojrzeń. Przemykając ze spuszczoną głową do budynku administracji, znowu zauważyłem dziennikarzy. Tym razem tłoczyli się na parkingu przed szkołą i pomyślałem, że bez .trudu znajdą ochotników żądnych kwadransa sławy.

Jim Lovisek jako dyrektor jest raczej w porządku. Mam na myśli jego wygląd zewnętrzny bo jeśli chodzi o wykroczenia, nie waha się być surowy. Ma ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i przypomina wikinga o gęstej, jasnej czuprynie, która chyba zawsze jest rozczochrana. Jego twarz jest z gruba ciosana, ale uśmiech niezwykle szczery. Nosi też gęste wąsy, które zgolił tylko raz - cała szkoła była wtedy w większym szoku, niż gdyby przyszedł do pracy nago. Prawdopodobnie on także był wstrząśnięty, bo nigdy więcej się to nie powtórzyło. Zna każdego z trzystu uczniów. I jest najgorliwszym kibicem na meczach naszych drużyn.

Tego ranka, kiedy stawilem się w jego ciasnym gabinecie, miał posępną minę. Bez słowa wskazał mi jedyne krzesło. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Utkwiłem wzrok w plakacie filmu *Dyrektor* z lat osiemdziesiątych. Widać na nim Jamesa Belushiego na motorze, rozwalającego drzwi szkoły. I komentarz: *Szkoła średnia szuka dyrektora. Przeszkolonego we wszystkich sportach walki. Dobrego Strzelca. Kochającego młodzież.* Jim Lovisek też ma motocykl.

Potem odezwał się z ujmującą szczerością:

- Henry, naprawdę mi przykro z powodu Naomi. Cholera, wiem, jak byliście blisko. Straszna historia, wariuję od tego.

Spojrzałem na niego zdumiony. Nigdy wcześniej nie słyszałem, by używał takich słów w obecności uczniów.

- Wczoraj - powiedział - wyszedłeś ze szkoły, nikomu tego nie zgłaszając. I nie odpisałeś na mojego esemesa. Podobnie jak twoi przyjaciele. Chodziło o Naomi, tak?

Przytaknąłem.

- Normalnie za takie zachowanie... ale w porządku, zapomnijmy o tym, okay? Jesteś w formie? Bo jeśli wolisz wziąć dzień czy dwa wolnego...

Przypomniałem sobie te wszystkie spojrzenia i pokręciłem głową. Nie chciałem pogłębiać wrażenia, że jestem winny.

- W porządku. Skoro tak, możesz wracać do klasy. Ale gdybyś potrzebował z kimś pogadać, to jestem tutaj, okay? Proszę, pomyśl o tym. I - odchrząknął - ktoś mi powiedział o

tym świństwie, które krąży w sieci. Wiesz, o co chodzi? Zawiadomiliśmy policję. I serwis społecznościowy. Powinni szybko skasować tę stronę. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Wstał, położył mi na ramieniu swoją wielką łapę i odprowadził mnie do drzwi, choć miałem do przejścia mniej niż dwa metry. Korytarze były puste. Wszyscy już byli na lekcjach. Nieśpiesznie powlokłem się na socjologię.

Nie mogłem się skoncentrować. Mój umysł był mętny. Nic się go nie trzymało. Myślamy byłem daleko. Obrazy Naomi pojawiały się i znikwały jak kawałki drewna unoszące się na morzu. Czulem, że wszyscy na mnie patrzą, łącznie z młodą nauczycielką. Potem była przerwa śniadaniowa. Znowu spojrzenia. Spotkaliśmy się przy naszym stoliku. W zwykłych okolicznościach była to najlepsza chwila w ciągu dnia, ale nagle spojrzeliśmy na puste krzesło i nastrój prysł: nikomu nie chciało się już jeść.

- Wkurwiające - rzucił Charlie.

A jednak — ten smutek oznacza, że Naomi jeszcze jest wśród nas, pomyślałem, pochylając się nad talerzem. Przerazało mnie, że nawet ta obecność zniknie. Z dnia na dzień będzie coraz delikatniejsza, ból stopniowo osłabnie; będę wracał do życia, z początku powoli, jak rekonwalescent, znowu przyjdą chwile radości, ochota, nadzieja, może nawet kogoś poznam, a Naomi powoli zapadnie w odmęty przeszłości. Początkowo jej obraz, porażająco wyraźny, będzie często powracał. Wywołany jakimś zdaniem, widokiem podobnej postaci na ulicy, dźwiękiem usłyszanej w radiu piosenki. Jej twarz, jej głos, jej uśmiech. Przez minutę znowu poczuję ukąszenie nieznośnego smutku. Z biegiem czasu takie chwile będą coraz rzadsze. Aż pewnego pięknego ranka, za dwa lata, a może za dziesięć, zapomnę o niej. Naomi będzie już tylko imieniem przechowywanym w naszych umysłach. Duchem. Daleka i niedostępna. Ostatecznie martwa. To właśnie było najbardziej nie do zniesienia.

Przez resztę dnia byłem jak statek, który zerwał się z cum. Poruszałem się jakby we mgle, w duchu liżąc rany i

zastanawiając się, jakie perwersyjne bóstwo mogło uczynić z życia tę grę, która od samego początku odbywa się na podłych zasadach. Szedłem właśnie korytarzem wzdłuż sali gimnastycznej, gdy ktoś złapał mnie za rękę i pociągnął do tyłu.

- Chodź no tu. Mamy do pogadania. - Głos Shanea Cuzicka rozległ się tuż przy moim uchu.

Czyjeś łapska uniosły mnie z ziemi i postawiły na środku sali. Zaniepokojony rozejrzałem się dokoła: pomieszczenie było puste. Nikt nie ćwiczył na przyrządach gimnastycznych, na poręczach, ciężkie piłki lekarskie czekały nieruchomo na jakiegoś biedaka opornego wobec ćwiczeń fizycznych tak jak ja.

- Czego chcecie? - zapytałem.

- Spokój - rozkazał Ryan McKeon, przydupas Shanea, o kostropatej twarzy usianej trądzikiem.

- Uspokój się, okay? - powiedział Shane, mimo że niczego jeszcze nie zrobiłem.

- Spokój - powtórzył Paulie Wilson, ale, zapewniam was, że jeśli szkolny sadysta każe się człowiekowi uspokoić, puls raczej rośnie. - Nie bój się, cherlaku. Nie zrobimy ci krzywdy, mały dupku.

Zastanawiałem się, czy to oni stworzyli tę stronę na Facebooku i wysłali mi wiadomość. To możliwe. Choć oni raczej byli z tych, którzy generalnie przyznają się do swoich czynów - tu trzeba im oddać sprawiedliwość - prawdopodobnie więc by się podpisali.

- Hej, robalu! - zawołał Ryan. - To ty ją zabiłeś?

- Spokojnie, panowie - ostudził ich Cuzick.

Ryan spojrział na mnie, a potem z głębokim obrzydzeniem pokręcił głową.

- Powinieneś być przyjść na wybory - zażartował ponuro Shane, a ja zrozumiałem, że ma na myśli stronę z Facebooka.

Poczułem, że strach ustępuje we mnie miejsca tępemu gniewowi, ale oba te uczucia zagłuszał smutek, który sprawiał, że wszystko stawało się beznadziejne.

- Naomi - przemówił Shane lodowatym głosem - wiesz, że

bardzo ją lubiłem. To była superlaska. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego prowadzi się z tą waszą bandą pedziów. - Zaczął powoli krążyć wokół mnie. - Nigdy też nie rozumiałem, co ona w tobie widzi. Ale, rozumiesz, szanuję to. Wybrała ciebie, więc okay, szanuję to. Pomyślałem sobie: jasne, Naomi wie, co robi. Bo wiesz... miałem dla niej dużo szacunku, rozumiesz? Taaa...

I, kurwa, to, co się stało, mnie rozwała. - Słyszac jego głos, wy-czuwałem, że zgrywa twardziela przed kumplami, ale każde słowo wyrывa z głębin swojego bólu. - Przysięgam ci, jestem cholernie wkurwiony.

Twarz Cuzicka jest zwodnicza. Gość wygląda jak anioł. Długie rzęsy, prawie jak u kobiety, delikatne usta, spojrzenie sarenki - choć oczywiście nikt w szkole nie byłby na tyle szalony, żeby mu zasugerować, że gdyby założył perukę i trochę się umalował, mógłby złapać każdego klienta. Ale miałem już okazję zobaczyć, jak się wścieka. Widziałem, jak jego twarz się zmienia: jakby chmura zasłoniła słońce, zaciemniając sielankowy kraj-obraz. Widziałem, jak gniew wykrzywia jego rysy, a jego oczy stają się matowe i czarne jak u rekina. Wiercie mi, nie chcieli-byście tego oglądać.

I właśnie chmura nadciągnęła.

- Dlaczego?

- Dlaczego co? - zapytałem, prawie się dławiąc.

Zmierzył mnie wzrokiem. Naprawdę można było mieć wrażenie, że chce mnie udusić gołymi rękami.

- Dlaczego pożarłeś się z nią na promie?

Wytrzeszczyłem oczy.

- Co? Skąd wiesz?

- Shanna was widziała przez okno.

Ta dziwka Shanna McFaden, pomyślałem.

- Nie twoja sprawa.

- To ty? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Nie odpowiedziałem.

- Hej, pytają cię o coś! - ryknął Paulie.

- Zamknij się, Paulie - rozkazał Cuzick. - Walker, zadałem ci pytanie. Zbyt skomplikowane?

- Nie! To nie ja, debilu! Dlaczego miałbym to zrobić?

- A dlaczego miałbym ci wierzyć?

- Mam gdzieś, czy mi wierzysz czy nie, pieprzę to.

Ryan i Paulie nie wierzyli własnym uszom. Wybałuszyli oczy ze zdziwienia.

- Csssó ty peeedział, robalu? - syknął Paulie.

- Kurwa, zamknij się! - powtórzył Shane.

Wpatrywał się we mnie intensywnie.

- I co zamierzasz?

- Jak to?

- Będiesz czekał z założonymi rękami?

- Nie.

- Słucham cię...

- Co? Odwal się! Co cię to obchodzi?

- Henry, słucham cię... co zamierzasz zrobić? - W jego głosie dało się wyczuć groźbę, ale także, jak mi się zdawało, chęć zbliżenia.

- Znajdę tego drania - powiedziałem.

Przydupasy zarechotali.

- Ach tak? - zainteresował się Shane, ale w jego głosie nie było cienia sarkazmu. - A jak zamierzasz się do tego zabrać?

- Nie wiem. Na początek trzeba odtworzyć to, co zdarzyło się wieczorem na promie. Zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.

- Chcę ci pomóc - oświadczył nagle.

- Co?!

- Naomi była moją przyjaciółką. Chcę ci pomóc w złapaniu skurwiela, który to zrobił.

Nic nie odpowiedziałem.

- Zdajesz sobie sprawę, że miałeś powód? - dodał. - Policja może jeszcze tego nie wie, ale pewnie niebawem to odkryje...

Mój żołądek wykonał salto.

- Powód? Jaki?

Podszedł bliżej i szepnął mi do ucha:

- Chciała cię zostawić.

Zaczęło mi szumieć w głowie; zamrugalem oczami.

- C...ccco? Powiedziała ci?

- Nie. Tak wprost, to nie. Dobrze wiesz, że to by nie było w jej stylu. Najpierw powiedziałyby tobie. Ale miała wątpliwości, to pewne.

- Wątpliwości? Odnośnie do czego?

- Waszego związku. Ciebie. Rozmawialiśmy o tym któregoś razu... - Zawahał się, spojrzał na mnie szczerze zakłopotany. Zastanawiałem się, czy gość, który mówi do mnie w ten sposób, to naprawdę Shane Cuzick - ten Shane Cuzick. Poczulem, że moje nogi zaczynają drżeć. Odwrócił się do swoich przydupasów.

- Spadajcie - powiedział. - Henry i ja musimy pogadać.

- Kurwa, Shane...

- Wypad! - następnie zwrócił się do mnie: - Jeśli będziecie prowadzić śledztwo, chcę brać w nim udział. Czegokolwiek byś potrzebował, mów, okay? Od teraz jestem jednym z was, Henry. Wbij to sobie dobrze do łba.

- Rozumiemy się? - zaczął Charlie, gdy znaleźliśmy się na pokładzie. Spojrzał kolejno na każde z nas. - Johnny i Kayla, wy zostajecie na tarasie Blue Water. Mieście na oku wszystkie wozy wyjeżdżające z promów. Henry i ja zajmiemy się resztą. Jeżeli zobaczycie Taggarta, dajcie nam znać.

- Jesteś pewien, że za górą jest zasięg? - zapytała Kayla niezbyt pewnym głosem.

- Sprawdzimy na miejscu.

- A jeżeli nie ma?

Charlie nie odpowiedział. Odwrócił wzrok i spojrzał na smagane deszczem okienko. Tego wieczoru, jak często bywało jesienią i w zimie, wyspy były niewidoczne z powodu szarugi i zapadającego już zmierzchu. A była dopiero szesnasta. Aby wymigać się od popołudniowego wuefu, wytłumaczyliśmy się potrzebą wyciszenia i pobycia samemu. Żaden z nauczycieli nie śmiał odmówić.

Światła East Harbor były coraz bliżej.

Milczeliśmy, dopóki nie wsiedliśmy do samochodów. Na ładzie znowu przywitały nas błyski fleszy. Było ich jednak mniej.

Na parkingu stały tylko dwa wozy transmisyjne. Johnny zaparkował swojego pick-upa w pobliżu Blue Water, niedaleko sklepu z pamiątkami i ciuchami. Kayla i on wysiedli. Opuściłem szybę i sprawdziliśmy, czy żaden z mijających nas samochodów nie należy do Jacka Taggarta.

- Jesteście pewni, że chcecie tam jechać?

Charlie przechylił się nad moimi rękami spoczywającymi na kierownicy, spojrział na nią i skinął głową.

- Jazda.

Pomachałem im i zamknąłem okno. Ruszyliśmy. Przejechaliśmy Main Street, skręciliśmy w prawo w Eureka Street i opuściliśmy East Harbor północną drogą wyjazdową. Ani Charlie, ani ja nie odzywaliśmy się słowem. Wiedziałem, że jesteśmy do siebie podobni. Im bliżej byliśmy celu, tym gwałtowniej przelewała się treść naszych żołądków: jak owoce w blenderze. Przestałem obserwować drogę i ukradkiem spojrzałem na Charliego. Wpatrywał się w przednią szybę ponury i skupiony, wysunąwszy do przodu dolną wargę - robił tak zawsze, ilekroć był skoncentrowany, wściekły albo zaniepokojony.

- Cholera - wyrzucił z siebie w końcu. - Jak się czujesz?

- Tak sobie.

- W dalszym ciągu masz zamiar to zrobić?

Domyśliłem się, że targają nim sprzeczne uczucia: z jednej strony chciał doprowadzić sprawę do końca; z drugiej miał nadzieję, że spuszczę z tonu, dzięki czemu miałby wymówkę, żeby się poddać.

- Tak - powiedziałem. - A ty?

- Jasne - odpowiedział niechętnie. - Kto wie, czy Naomi nie jest gdzieś tam na górze i na nas nie patrzy? Co by powiedziała, gdybyśmy spękali, he?

Taka uwaga brzmiała dziwnie w ustach Charliego, który nie wierzy właściwie w nic, a już na pewno nie w to, żeby nasze dusze - czy jakkolwiek nazwiemy stan życia po śmierci - mogły wałęsać się w pół drogi między, dajmy na to, „zaświatami” (co by to w sumie miało być? Piekło? Raj? Czyściec? Bezczesne centrum handlowe z miliardami

filmów, milionami niewydanych gier wideo, darmowymi sieciówkami Dick's Drive-In, Taco Bell i Steak'n Shake?) a tym światem, spędzając czas na podglądaniu działań ludzi niczym najbardziej wścibski sąsiad. Zresztą, pomyślałam, jak by w takim wypadku wyglądała? Jak Naomi z czasów, zanim zaczęła się ciąć, czy z późniejszego okresu? Jak oszpecony trup na plaży? A może jak ulotny duch, mała chmurka, zbiór cząsteczek rozproszonych w powietrzu? Myślenie o tych sprawach było równie szkodliwe dla mojego zdrowia psychicznego jak sypianie z dziewczyną gangstera dla mojej integralności fizycznej - zmusiłem się więc do skupienia uwagi na drodze.

Aby dotrzeć do chaty Taggarta, trzeba przejechać około trzech kilometrów Miller Road na północ; następnie, gdy skończy się las, jedzie się dalej przez łagodne pagórki i pastwiska, mijając gospodarstwo Batesów, którzy hodują alpaki - wełnodajne zwierzęta rodem z Andów, spokrewnione z lamą i wigoniem. Następnie dociera się do skrzyżowania Grafton i Adams, na wysokości Eagle Point, gdzie latem ku uciechu turystów jeden z zastępców szeryfa karmi bieliki amerykańskie kawalkami kurczaka, które wyciąga z bagażnika swojego wozu i rzuca na łąkę za płotem. Dalej wjeżdżamy Clark Cabin Road do lasu i kierujemy się na północny zachód. To najdziksza i najmroczniejsza część wyspy. Minęliśmy starą, nieczynną stację benzynową Texaco z dwoma dystrybutorami przezartymi rdzą, porozbijanymi płytkami i dzikimi trawami wyrastającymi z pęknięć podmurówki. Neonowy szyld na maszcie nie działa od dwudziestu lat, ale wciąż tu jest. Na deski fasady oświetlonej przez znajdujący się w ostatniej kwadrze księżyc padały niebieskie cienie potężnych jodeł. Kawalek przed Seymour Bay zjechaliśmy w dyskretną leśną drogę z krzywo przybitą do pnia tablicą „Teren prywatny - wstęp wzbroniony”. Wiodła ona tunelem zieleni w kierunku południowo-zachodnim, za Mount Gardner, oddzielającym zachodnie wybrzeże od reszty wyspy. Droga była ledwie przejezdna. Środkiem biegł wąski pas traw i kostrzew, które ocierały się o podwozie, szeleszcząc odrobinę tajemniczo i niepokojąco, gdy z zapalonymi światłami

przemierzaliśmy coraz bardziej zamglony krajobraz, podskakując na siedzeniach i chwytając się, czego popadło.

Dwukrotnie uderzyliśmy podwoziem o ziemię albo jakiś kamień i pomyślałem, że byłoby lepiej, gdybyśmy pożyczyli pick-upa Johnny'ego. Nieco dalej wpadliśmy w błotniste koleiny, ale wcisnąłem gaz i ford wyrwał do przodu. Gdy byliśmy już blisko, Charlie zadzwonił do Johnny'ego.

- Tak, prawie jesteśmy - usłyszałem. - He? Co? Halo? Co? Prawie cię nie słyszę... W porządku, jest zasięg - powiedział, gdy się rozłączył.

Nie byłem jednak tego taki pewien.

Starłem się oddychać spokojnie. Byłem pewien, że jeśli się nie opanuję, dostanę tachykardii. Wreszcie między drzewami ukazała się bryła domu - jeśli ustawioną na kamieniach budę z prefabrykatów można określić tym mianem. Minęliśmy ją i przejechaliśmy jeszcze około stu metrów, po czym zatrzymaliśmy samochód.

Ogarnęła nas cisza. Przez sekundę nasze zmysły były jak sparaliżowane przez opadającą mgłę, brak jakichkolwiek odgłosów i nadmiar adrenaliny we krwi. Otworzyłem drzwi i wysiadłem. Wciągnąłem w płuca wilgotne i przenikliwe powietrze, które wraz ze zbliżającą się nocą opadało na poszycie. Charlie włączył latarkę, bo prawie nic nie było już widać, i ruszyliśmy do chaty Taggarta. Snop światła drażył we mgle jasny tunel. Dom, który ukazał się naszym oczom, sprawiał wrażenie, jakby lada moment miał się zawalić pod własnym ciężarem; jednocześnie stopniowo wchłaniał go las. Z boku zauważyliśmy polankę: pośród wysokich traw stała na niej sofa z obrzydliwego weluru, a obok stara lampa z powyginanym abażurem, jakby polankę przekształcono w lichy salon. Były tam też gnijące drewniane palety, plastikowe krzesła poskładane jedne na drugich, puste klatki dla chomików, deski ponabijane gwoździami, a nawet szkielet łodzi motorowej, prawie doszczętnie porośnięty jeżynami, bluszczem i mchem.

W ciemności spłowiełe deski fasady miały kolor kości w zbiorowej mogile, mech na dachu - na którego części rozciągnięto dużą, zieloną plandekę, z pewnością po to, by deszcz nie lał się

do środka - był gęstszy niż niedźwiedzie futro. Jedno okno za-
bito sklejką, pozostałe były ciemne. Przyglądaliśmy się im
przez kilka sekund: założyliśmy, że Taggart mieszka sam, ale
nikt tego nie sprawdził.

Ze środka leśnej głuszy Charlie jeszcze raz zadzwonił do
Johnny'ego. Słyszałem, jak skrzeczy:

- Co? Co? Nic nie słyszę! - a potem powiedział: - Okay.

Wyglądało mi jednak na to, że nie jest ani trochę okay.

- Co ci powiedział? - zapytałem.

- Nie wiem... Nie wszystko zrozumiałem.

- Kurwa, Charlie!

- Nie martw się, tak czy owak, jeśli jeszcze raz do nas za-
dzwoni albo przyśle nam esemesa, to będzie sygnał, że
mamy się jak najprędzej stąd zmywać.

Po tych słowach wyjął z kieszeni pęk wytrychów.

- Skąd to masz?

- Zamówiłem jakiś czas temu przez Internet, z instrukcją
obsługi. Podręcznik doskonałego włamywacza. Ćwiczyłem w
domu. Niezbyt fajne...

Wyobraziłem sobie, jak Charlie bawi się we włamywacza we
własnym domu. Nie dziwcie się - Charlie zawsze lubił ekspery-
menty. Jak wtedy, gdy o mało nie wysadziliśmy się w
powietrze, podpalając dezodorant na wysypisku: wybuch był
tak potężny, że jeszcze przez ładne dziesięć minut piszczało
nam w uszach. Albo wtedy, gdy chciał, żebyśmy zbudowali
tratwę ze starych desek i kawałka żagla (choć nigdy nie czytał
Thora Heyerdahla): utonęła, ledwie ją zwodowaliśmy.

Podszedł do baraku, brodząc w chaosie niepotrzebnych rze-
czy. Latarka, która dyndała mu na ręku, wysyłała świetne syg-
nały na wszystkie strony.

- Potrzymaj. - Podał mi ją i schylił się do zamka.

Z lasu dobiegł jakiś dźwięk, pewnie przebiegła sarna lub inne
zwierzę. Podskoczyłem gwałtownie.

- Cholera, możesz mi poświecić?!

Sięgnąłem nad jego ramieniem i skierowałem światło latarki
na zamek. Zabrał się do pracy. Na moje oko zamek był prosty,
ale Charlie mocował się z nim za pomocą swoich przeklętych

wytrychów przez dobrą chwilę. Musiał nawet przerwać, by górną częścią koszulki otrzeć pot z twarzy.

Płynęły minuty, a ja stawałem się coraz bardziej nerwowy. On mruzczał pod nosem, ja zaś słyszałem mnóstwo dobiegających z lasu dźwięków i wcale mi się to nie podobało. Aż coś pstryknęło, Charlie przekreślił klamkę i drzwi się otworzyły.

- Proszę.

Stał nieruchomo w wejściu, tarasując mi drogę. Sprzed drzwi poczułem, jak z ciemności bucha kwaśna woń stęchlizny i papierosów - przypominająca nieświeży oddech z ust człowieka, który nie dba o higienę. Wyczułem coś jeszcze: shit. Charlie pomacał ścianę, włączył światło i naszym oczom ukazał się pokój. Wobec tego, co zobaczyliśmy w środku, bałagan panujący na zewnątrz wyglądał prawie jak porządek. Na brudnej, szarej wykładzinie, a także na fotelach i stoliku wały się ubrania, buty, bielizna i kartony po pizzy. Tapeta na ścianach, która, sądząc po wzorku w esy-floresy, musiała pochodzić z lat siedemdziesiątych, wyglądała jak pokryta sadzą, nie licząc czarnych plam wilgoci. W centrum pomieszczenia królował wioślarz i hantle. Na komodzie duży telewizor. Wszędzie stały pełne popielniczki i opróżnione butelki po piwie (część z nich leżała na podłodze). Druga część pomieszczenia służyła za sypialnię: rozgrzebane wyro, pod ścianą duża dębowa szafa. Przez uchylone drzwi zobaczyłem białą emalię muszli klozetowej i kabinę prysznicową z pękniętą ścianką.

Podszedłem do szafki nocnej. Nic szczególnego. Budzik, popielniczka, tania lampka, butelka po Jamesonie, notes. Otworzyłem go. Numery telefonów i inicjały. Szukałem namiarów Naomi, ale ich tam nie było. Otworzyłem szufladę. Gumy do żucia, chusteczki higieniczne, prezerwatywy Trojan „dłuższa przyjemność, kontrola orgazmu”, trochę shitu zawiniętego w sztuczny pergamin...

Obok szafki nocnej, bezpośrednio na podłodze, plik czasopism. Wystarczył rzut oka, bym zrozumiał, co to takiego. Przekląłem ślinę.

- Patrz na to - powiedział z niesmakiem Charlie.

Odwrociłem się w jego stronę. Wskazywał na okładki płyt

DVD leżących luzem na łóżku. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że wszystkie filmy to ekstremalne porno: fetyszyzm, bondage, dominacja, poddanie, przemoc, zwierzęta... Niektóre przedstawiały kobiety z rozkrzyżowanymi ramionami zakute w łańcuchy, z udawanym - lub nie - grymasem bólu na twarzy i kneblem w ustach. Włosy zjeżyły mi się na karku. Twarz Charliego, który zazwyczaj był uradowany na widok najdrobniejszego kawałka kobiecego ciała, wyrażała głębokie obrzydzenie. Czułem się coraz gorzej na myśl, że Naomi mogła zostać przyprawiona w to miejsce, jednak na razie nic - nawet resztki zapachu jej perfum - nie potwierdzało tej hipotezy. Obszedłem łóżko i otworzyłem szafę. Na wieszakach wisiały ubrania, ale także wiele kostiumów: kombinezon bojowy w barwach ochronnych, ciemnoniebieski galowy mundur ze złotymi guzikami i białym paskiem, i kolejny, złożony z zielonego płaszcza, zielonych spodni oraz koszuli i krawata w kolorze khaki. Na dnie kilka par czarnych butów. Zauważyłem też czapki z daszkiem na górnej półce: z czasów, gdy Taggart służył w Marines... Czułem coraz większy dyskomfort. Nie było cienia wątpliwości, że Taggart zabiłby nas, gdyby odkrył, że naruszyliśmy jego prywatność.

Zobaczyłem jeszcze jedne drzwi między wyrkiem a szafą. Pokazałem je Charliemu. Skinął głową i podeszliśmy do nich. Gdy naciskałem na klamkę, poczułem strach. I znowu, kiedy włączałem światło.

Kuchnia...

Podobnie jak w głównym pomieszczeniu panował tu nieopisany bałagan: zlew pełen brudnych sztućców i talerzy, na blacie także stosy naczyń z kilku dni. Na małym narożnym stoliku zauważyliśmy komputer.

Charlie pochylił się nad nim.

- Profesjonalny sprzęt - orzekł. - Kurwa, wygląda na to, że Taggart zna się na informatyce. I nie boi się trzymać tego tutaj...

- Kto oprócz nas miałby odwagę go tu odwiedzać? - zaproponowałem, oddechając z trudem.

Charlie wzruszył ramionami. Nagle chciałem się stamtąd

natychmiast zmyć, ulotnić się i jak najszybciej wrócić do normalnego świata. Widok tej nory sprawiał, że czułem w głowie nieprzyjemny ucisk. Ale Charlie już włączył urządzenie.

Zerknąłem na zegarek.

Wybiła kolejna godzina.

Jeżeli prom płynie zgodnie z rozkładem, przybije za... cztery minuty.

A jeśli nie ma zasięgu?

Charlie klikał kolejno na wszystkie ikony.

Taggart zajmował się wszelkimi możliwymi ciemnymi interesami, ale najwyraźniej nie był tak głupi, żeby przechowywać tu ślady swojej działalności. Z pewnością miał inną kryjówkę. Jakąś skrzynkę na kontynencie. Ale gdzie? Charlie zaczął przeglądać historię wyszukiwania. Strony pornograficzne SM o nazwach *no-limits-ultraviolence.com*, *porno-violent.com* czy *porn-hell.com*. Zadrżałem. To nie były macanki w stylu *Pięćdziesięciu twarzy Greya*. Stała mi przed oczami twarz Naomi i nagle chciało mi się wymiotować.

Znowu spojrzałem na zegarek. Prom musiał właśnie przybić. Dokładnie w tym momencie. Jeśli Taggart jest na pokładzie, Johnny powinien zaraz zadzwonić.

I wtedy na stoliku obok komputera zobaczyłem pendrive'a. Jego plastikowa obudowa lśniła i miałem dziwne wrażenie, że czeka na mnie. Że mówi: „No już, otwórz mnie”. Chwyciłem go i podłączyłem do portu z boku komputera. Odepchnąłem Charliego i przesunąłem kursor na „Kontynuuj bez sprawdzania”, a potem „Otwórz folder i wyświetl pliki”.

W kieszeni Charliego rozległa się melodia *The Razor's Edge AC/DC*.

- Tak? - powiedział. - Co?... Co?... Źle słyszę! Taggart? Powiedziałeś Taggart? Johnny? Halo! Cholera!

Plik się otworzył. Film... Ładowanie trwało w nieskończoność.

- Myślę, że Taggart przypląnął - powiedział Charlie.

- Jak to: myślisz?

- Bardzo słabo słyszałem.

- To był Johnny?

- Tak. Chyba wymienił nazwisko Taggarta. Ale nie jestem pewien. A potem połączenie się urwało - mówił z wyczuwalnym niepokojem w głosie.

Plik wideo w końcu się otworzył. Na ekranie pojawiły się postaci w czarnych koszulkach bez rękawów i spodniach. Moją uwagę przykuł pewien szczegół: wszystkie miały na twarzach maski. Nie były to jednak maski karnawałowe, ale proste maski z nosem, ustami i dwoma otworami na oczy, z których większość nie miała żadnego wyrazu; na kilku malował się smutek bądź radość. Wyglądało to jak trupa teatralna. Na słowo „teatr” poczułem przyspieszenie tętna. Naomi chodziła na zajęcia teatralne. Z Nate’em Hardingiem, zarozumiałym playboyem, który pozował na wielkiego artystę.

Skupiłem się na nagraniu. Spojrzenia za maskami lśniły, jakby ich właściciele przeżywali coś szczególnego. W tle zobaczyłem ściany z ciemnego drewna i uświadomiłem sobie, że film został nakręcony w dawnym kościele metodystycznym przy Mud Bay Road, przerobionym na atelier teatralne Hardinga. Potem na nagraniu pojawił się odbłask, w którym zobaczyłem odbicie jakiejś postaci: wideo zostało nakręcone z za szyby! Operator kamery poruszył się i zauważyłem zaciągnięte zasłony. Osoby wewnątrz budynku nie wiedziały, że są filmowane i najwyraźniej zależało im na tym, by ich nie podglądano.

- Henry, musimy wyłączyć ten sprzęt. Natychmiast! Nie mamy już czasu!

- Sekundę, tylko sekundę...

Tajemniczy operator wrócił na stanowisko i postaci w białych maskach znowu się pojawiły. Rozmawiały ze sobą, obejmowały się, dodawały sobie otuchy. W tej gestykulacji był jakiś niuans, którego znaczenie mi umykało. Przypominała ona zachowanie podekscytowanych atletów, którzy rozgrzewają się przed zawodami. Próba? Odpowiedź musiała się znajdować dalej.

- Cholera, Henry, chodź! Szybko!

- Chwilę.

Zawył jak zranione zwierzę.

- Kurwaaa! On będzie tutaj za pięć minut! Nie zdążę zamknąć drzwi!

Wyłączył komputer i wyrwał pendrive'a.

- Oddawaj! - zawołałem, chwytając go za rękę.

- Nie!

- Oddaj mi to!

- Henry, nie możesz tego zabrać!

Szarpaliśmy się w mniejszym pomieszczeniu - on próbował uwolnić rękę, ja jedną dłonią ściszałem go za nadgarstek, a drugą usiłowałem złapać pendrive'a - i wtedy rozległ się odgłos silnika. Puściłem.

- Niech to szlaaaag... - jęknął Charlie.

Był biały jak kreda. Ja pewnie nie wyglądałem lepiej. Przez ułamek sekundy patrzyliśmy na siebie, a potem jak szaleni rzuciliśmy się do drzwi. Zgasilem światło w kuchni. Gdy mijaliśmy rozgrzebane łóżko, Charlie przewrócił lampkę nocną. Na szczęście się nie potłukła, zatrzymał się więc, by odstawić ją na miejsce, i ruszył do wyjścia. Nacisnąłem wyłącznik i wszystko pogrążyło się w ciemnościach. Odwróciliśmy się akurat w chwili, gdy wśród drzew zamigotały światła samochodu. Nie było czasu na zabawę z zamkiem. Zamknęliśmy drzwi tylko na klamkę i pędem pobiegliśmy na drugą stronę polanki do najbliższych zarośli, skacząc jak koziołki przez stare fotele, deski, stelaże i odpady... Nie mogliśmy też wracać do forda: gość zauważyłby nas na ścieżce, zanim zdążylibyśmy wsiąść.

Ukryliśmy się w krzakach. Kilka sekund później wóz Taggarta skręcił w dróżkę prowadzącą do zaułka z boku domu, zaledwie parę metrów od miejsca, w którym się znajdowaliśmy. Reflektory przez chwilę świeciły nam prosto w oczy. Zobaczyłem tablicę rejestracyjną, nad którą widniał napis SEMPER FIDELIS, a poniżej US MARINE CORP. Jeszcze mocniej przywarliśmy do ziemi. Taggart otworzył drzwi, które zaskrzypiały pośród wieczornej ciszy, i jego buciory dotknęły ziemi. Chyba nigdy się tak nie bałem. Moje serce było jak granat bliski eksplozji. Biło tak mocno, że czułem je w gardle. Bóg jeden raczy wiedzieć, do czego człowiek taki jak Taggart

byłby zdolny, gdyby nas zauważył...

Zatrzasnął drzwi. Taggart nie przypominał byłego żołnierza. Miał cienkie blond włosy, których kosmyk opadał mu na brwi i prostokątne okulary o grubych szklach nadające mu zwodniczo niegroźny wygląd studenta albo ucznia chętnie szturchanego przez innych na szkolnym podwórku. Był po czterdziestce, ale zachował sylwetkę i sposób poruszania się nastolatka. Miał na sobie myśliwską kamizelkę bez rękawów, a pod nią polar ze stójką. Chwycił za pasek i podciągnął zbyt obszerne spodnie, a następnie pośpiesznie ruszył do baraku. Przekreślił klucz w zamku i natychmiast zamarł.

Z miejsca, w którym leżałem, widziałem, jak jego plecy się prostują. Odwrócił się powoli i miałem wrażenie, że patrzy w naszą stronę. Jednocześnie chwycił pistolet, który nosił z tyłu za paskiem. Już prawie chciałem wyskoczyć z kryjówki i biegiem rzucić się do lasu. Chwilę później rozległ się warkot innego silnika, znacznie potężniejszy niż poprzedni.

Monstrualny czarny terenowy pick-up f-350 super duty zaparkował za dodge'em ram Taggarta. Jego sześć kół - z czego cztery z napędem - rzeźbiło w błocie drogi głębokie koleiny. Zauważyłem potężne orurowanie na przodzie, które w połączeniu z mocą silnika Power Stroke mogłoby rzucić na szczyt drzewa bizona, a także znaczek w kształcie buldoga na osłonie chłodnicy.

Kierowca wyłączył czterystukonny silnik swojego potwora i drzwi się otworzyły. Kiedy zobaczyliśmy, że szpiczaste buty, które wysunęły się z samochodu, należą do Darrella Oatesa, nasze jądra cofnęły się jeszcze głębiej - jeżeli coś takiego było w ogóle możliwe. Moja grdyka wykonała ruch góra-dół, a leżący obok mnie Charlie cicho czknął ze strachu. O ile Jack Taggart to drań, o tyle Oates jest kwintesencją szaleńca i socjopaty: on, jego dwaj bracia, ojciec i cała reszta tej porąbanej rodziny. Z tego, co wiem, w całym stanie Waszyngton nie ma groźniejszej rodziny: nawet gliny się ich boją. Oatesowie nie mieszkają na wyspie, mają tu jednak

„wakacyjny” domek na północy: zjeżdżają do niego co lato, by imprezować, pić i opalać się na swoim kawałku plaży, a zachowują się wtedy tak, jakby cała wyspa należała do nich. Krąży o nich całe mnóstwo plotek. Charlie zna wiele opowieści na ich temat od swojego brata Nicka. Są znani wszystkim policjom stanowym jako dziki klan mieszkający w górach nad Skagit River, między Marblemount a Newhalem, na drodze do jeziora Diablo. Oatesowie żyją wśród psów, wraków samochodów (oficjalnie są złomiarzami), w rozpadających się barakach. Ojciec, około pięćdziesiątki, więcej życia spędził w więzieniu niż na wolności; matka, prawie tak samo szalona, prawdziwa harpia; podobnie trzech postrzelonych synów, z których Darrell jest najmłodszy, każdy z kartoteką dłuższą niż rękopis książki *W drodze-*, oraz pięć córek, synowe i gromadka wnucząt. Nikt nie ma odwagi zapuszczać się w okolice domostwa, nawet policja, która unika ich jak może, mimo że Oatesowie stale są zamieszani we wszelkiego rodzaju machloje i że siedzieli w więzieniu za gwałty, bójki, znęcanie się i jedno morderstwo. Zawsze kiedy przyjeżdżają do East Harbor, przypomina mi się klan z *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną*.

Kiedy tak leżałem ukryty w zaroślach, poczułem na plecach zimny dreszcz: Darrell Oates i Jack Taggart razem w dzień po śmierci Naomi. Dwaj dranie, z których jeden był podejrzany o gwałty w wojsku, a drugiego wielokrotnie skazywano za akty przemocy, także wobec kobiet. To nie mógł być przy-padek.

Czy Naomi została zgwałcona? W całej] zawierusze przesłuchania nie miałem czasu ani odwagi zadać Kruegerowi tego pytania, ale później mnie ono dręczyło. Czuję, że na widok tych dwóch kanałii narasta we mnie gniew i robi mi się nie-dobrze.

Darrellowi Oatesowi najwyraźniej się śpieszyło. Przesunął dłonią po rzadkich rudoblond włosach, które pukłami opadały mu na szyję. Miał nalaną twarz, małe oczy w kształcie migdałów - wąskie, przenikliwe i bardzo jasne -

oraz usta drobne jak u niemowlaka. Jednak znakiem, po którym można go było rozpoznać na pierwszy rzut oka, był szeroki tatuaż wokół mocnej szyi. Ozdobione ornamentami słowa: LOVE, SPRAY AND PRAY (kochaj, strzelaj i módl się). Jak głosiła legenda, zasłaniał on paskudną szramę, którą Darrell zawdzięczał członkowi pewnego gangu działającego w hrabstwie Whatcom, powiązanego z Bandidos. Podobno rzezonego napastnika znaleziono później na nasypie drogi prowadzącej do jeziora Diablo z poderżniętym gardłem. Mimo jesiennego chłodu Oates miał na sobie tylko koszulkę Seahawks, a na niej lekką skórzaną bluzę. Zauważył broń w ręku Taggarta.

- Co ty wyprawiasz?

- Drzwi były otwarte...

- No i?

- Nigdy nie zapominam ich zamknąć.

Teraz Darrell omiół polankę spojrzeniem małych, szalonych oczu. Prześliznął się wzrokiem po naszej kryjówce i rozglądał się dalej. Obok słyszałem coraz głośniejszy oddech Charliego.

- Nie mamy czasu - powiedział Darrell stanowczo. - Gliny mogą się tu zjawić w każdej chwili. Może tym razem zapomniałeś...

- Nie.

Beniaminek Oatesów także wyjął broń. Jakaś gałązka laskotała mnie w nos, nie śmiałem jednak ruszyć się choćby o milimetr. Moje mięśnie były skrajnie napięte: jeszcze moment, a dostałbym skurczu. Zastanawiałem się, jakim cudem tamci do tej pory nie zorientowali się, że siedzimy w krzakach. Pewnie dlatego, że była to ostatnia rzecz, jaką mogli sobie wyobrazić.

- Najważniejszy jest komputer, trzeba się go natychmiast pozbyć - powiedział, a my spojrzeliśmy po sobie.

Zniknęli w środku. Wciągnąłem w płuca nocne powietrze. W kuchennym oknie zapaliło się światło. Zauważyłem dwie postaci za szybą. Taggart podał coś Oatesowi: pendrive. Tamten włożył go do kieszeni, chwycił laptop, przeszedł przez salon po-

łączony z sypialnią i stanął na drewnianym podeście przed domem. Kilka sekund później Taggart dołączył do niego z łopatą, młotem kamieniarskim i kanistrem benzyny w dłoni.

Przeszli tuż obok nas. Przez moment, gdy szli ścieżką biegnącą w odległości kilku centymetrów od nas, między ich nogami a nami była tylko cienka warstwa liści: gdybym wyciągnął rękę, mógłbym ich dotknąć. Czuliśmy się jak hobbicy otoczeni bandą orków.

Następnie Taggart i Oates ruszyli prawie niewidoczną ścieżką wśród zarośli i weszli w leśną gęstwinę. Patrzyliśmy za kołyszącym się coraz dalej blaskiem ich latarki.

- O kurwa - wydyszał Charlie - myślałem, że się zesram w gacie! - i dodał: - Ten wóz był na promie.

Przypomniałem sobie, że ja też go zauważyłem. Potwór z małym buldogiem na osłonie chłodnicy wyglądał na tle innych aut jak doberman wśród spanieli.

- Chodź - powiedziałem, ruszając ich śladem.

- Co ty wyprawiasz? Trzeba stąd natychmiast wiać! Teraz albo nigdy!

Ale ja już byłem na ścieżce.

Na szczęście, choć nie padało, zerwał się wiatr i szum liści zagłuszał ewentualny szelest kroków. Naszym punktem odniesienia był blask latarki - musieli ją położyć na ziemi, bo światło było nieruchome. Słysząc było odgłos łopaty wgrzyzającej się w pulchne podłoże.

Nagle, gdy znaleźliśmy się bliżej, leśną ciszę przerwał straszliwy trzask. Zobaczyłem, jak Oates potężnym młotem wali w komputer. Uderzał raz za razem, aż zmienił urządzenie w nieforemny naleśnik z metalu i plastiku. Następnie odkręcił kanister, polał szczątki laptopa benzyną i wyjął zapalniczkę Zippo.

Płomienie oświetliły ich twarze. Taggart kopał dziurę w ziemi, między korzeniami drzew a zaroślami. Wśród poruszanego wiatrem listowia w powietrze uniósł się słup czarnego dymu i na wysokości poszycia po lesie rozszedł się smród palonej

gumy. Wyjąłem telefon i filmowałem - odległość była jednak zbyt duża i kamera rejestrowała tylko niewyraźne rozbłyski w ciemności. Zdeptali ostatnie płomienie i wrzucili czarną magmę do dołu, a potem przykryli ją ziemią i liśćmi.

- Zwijamy się - powiedział Oates.

Zaczekaliśmy w lesie, aż Darrell Oates odjedzie swoją piekielną maszyną i wszystkie światła w baraku Taggarta pogasną. Wróciliśmy do samochodu. Czuję się przygnębiony, chory i wypruty z wszelkich sił i odwagi, gdy wyobraziłem sobie samotną, bezbronną Naomi w rękach tych bestii. Mój mózg płonął na myśl o tym, co mogła przejść, o przerażeniu i obrzydzeniu, jakie odczuwała w ostatnich chwilach, o odrażającym i haniebnym zakończeniu jej życia. Miałem w sobie bezgraniczne pragnienie zemsty, ale jednocześnie okrutną świadomość, że nie mamy szans wobec tych dwóch profesjonalnych myśliwych, mistrzów okrucieństwa i zepsucia. Opadłem na fotel kierowcy i czując całą daremność naszych wysiłków, rozplakałem się z wściekłości.

ŚWIECZKI

Następny dzień przeżyłem jak we śnie. Geometria, mitologia, historia USA... W wyobraźni wciąż widziałem twarze Jacka Taggarta i Darrella Oatesa. Nie byłem w stanie myśleć o niczym innym. Wszędzie - w bufecie, w klasie, na przerwach - czułem na sobie spojrzenia - współczujące, podejrzliwe, niezdecydowane.

Konto na Facebooku nadal nie zostało usunięte. Pojawił się wręcz kolejny zalew komentarzy. Ale w grze w *Kto zabił Naomi?* „Henry ego” dogoniła „matka”. Bo matka Naomi dotychczas się nie znalazła. Gdzie się podziała? Najwyraźniej nikt nie miał pojęcia. Czy była zamieszana w śmierć córki? A może stała się ofiarą tego samego mordercy? Ale gdyby tak było, to czy do tej pory nie odnaleziono by jej ciała?

Widziałem ją w myślach: była piękną kobietą o czarnych, jedwabistych włosach jak jej córka, miała jednak - z wyjątkiem lata - jaśniejszą skórę i szerzej rozstawione oczy. Zawsze serdecznie nas przyjmowała, ale nigdy nie bratała się z mieszkańcami wyspy. Jak już mówiłem, ojciec Naomi zmarł, gdy była sześciolletnią dziewczynką, i od tego czasu Naomi mieszkała z matką na Glass Island. Samotną matką, która jednak dobrze się bawiła w naszym towarzystwie, rozśmieszała nas minami, potrafiła też zawstydzić swoimi uwagami Charliego i Johnnynego, tak dobrze znała nasze słabe punkty. Nigdy nie była tak naprawdę złośliwa, ale czytała w nas jak w otwartej księdze i wyglądało na to, że uważa za swój obowiązek uczynienie z nas dorosłych ludzi lub przynajmniej kogoś więcej niż pryszczatych kretynów. Jej ruchomy dom należał do najskromniejszych na osiedlu.

Przez chwilę się zastanawiałem, czy nie zalogować się na Facebooka pod jakimś pseudonimem i nie dodać do tej listy nazwiska Jacka Taggarta. Ot tak, żeby zobaczyć, co się stanie. Byłem pewien, że policja śledzi profil i każdy wpis. Być może dlatego go nie zamknęła: najwyraźniej w nadziei, że winny sam się zdradzi, wchodząc na stronę.

Co dziwne - gdy tak odtwarzałem w myślach minione zdarzenia, wyobrażałem sobie, jak celuję z broni do tych dwóch drani, rzuciwszy ich wcześniej na kolana, a oni błagają mnie, bym darował im życie - dzień upłynął mi jak mgnienie oka: byłem gdzie indziej, w miejscu, w którym istniała tylko moja wściekłość i fantazje o rychłej zemście.

Po południu podczas treningu koszykówki byłem tak rozkojarzony, że w którymś momencie dostałem piłką prosto w twarz. Poczulem, jak w zetknięciu z szorstką powierzchnią mój policzek płonie z bólu. Miałem świece przed oczami. Nie wiem, czy stało się to wskutek mojej nieuwagi, czy też ktoś specjalnie we mnie celował, ale nagle dookoła zapadła cisza i trener poprosił o przerwę. A potem uprzejmie mnie zachęcił, żebym wracał do domu.

Byłem w szatni, kiedy poczułem wibracje telefonu. Dzwonił szeryf Krueger.

- Henry? - odezwał się. - Gdzie jesteś?
- W szkole - odpowiedziałem. - A niby gdzie miałbym być?
- Możesz się zwolnić?
- Właśnie miałem wracać.
- Świetnie. Wpadnij najpierw na posterunek.
- Są jakieś nowe informacje? - zapytałem z ciężkim sercem.
- Nie przez telefon. - Rozłączył się.

DZIESIĘĆ DNI WCZEŚNIEJ

Gdy Noah Reynolds znalazł się na chodniku Trzeciej Alei, powitały go strugi deszczu. Nad prześwitem między wieżowcami widać było wielkie, czarne chmury. Postawił kołnierz i ruszył w stronę najbliższego parkingu znajdującego się w podziemiach pięćdziesięciopięciopiętrowego biurowca ze szkła i granitu pod numerem 1201.

Jego crown victoria - ta sama, którą jeździł, gdy był jeszcze detektywem w wydziale zabójstw w Seattle Police Department, i po której widać już było ciężar lat i przejechanych kilometrów - czekała na niego na drugim poziomie. Noah usadził swoje potężne cielsko za kierownicą i włożył kopertę do schowka. Uznał, że sto dolarów za godzinę od apodyktycznej i stanowczej szefowej jednej z czołowych firm w mieście za śledzenie jej męża między salą wykładową a biblioteką (rzeczony małżonek był profesorem na uniwersytecie stanowym) i między klubem fitness a kawiarnią Tully's, to niewygórowana stawka. Po dwunastu dniach nudnych obserwacji jedynym nałogiem, jakiego się u niego doszukał, była kolekcja komiksów o superbohaterach, o której istnieniu pani małżonka nie wiedziała. Pan mąż posiadał ponad dziesięć tysięcy tytułów DC, Marvela i All-American, które przechowywał w skrytce. Musiał na nie wydać fortunę. Przeglądając Internet, Noah odkrył, że niektóre egzemplarze mogły kosztować nawet osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Pan z pewnością chętnie prowadziłby podwójne życie: za dnia spokojnego małżonka, nocą mściciela w masce, rzucającego się w wir wszelkich uciech tego miasta, w którym codziennie znosił tak wiele upokorzeń.

Noah wjechał na autostradę międzystanową numer 5, ziewając z nudów. Osiedlił się na północy miasta w dzielnicy Fremont, którą mieszkańcy nazywali Centrum Znanego Świata, w budynku z czerwonego drewna u stóp sześciopasmowego Aurora Bridge - ostatnim domu przed Trolllem. Troll przyciągał turystów i dzieci. Stał w cieniu, w miejscu, w którym przeszło mostu styka się z ziemią, i był wielki jak dom. Był to prawdziwy cementowy troll, piorunujący spojrzeniem jedyne go oka wszystkich, którzy się zatrzymywali, by na niego popatrzeć. Ze swych okien Reynolds widział zarówno samochody jadące wiaduktem, jak i Trolla pod mostem, a także turystów i dzieci, które przybyły, by zrobić mu zdjęcie.

Był jeszcze pomnik Lenina. Z brązu. Królował na Fremont Place. Był to Lenin o przenikliwym spojrzeniu, przedstawiony zgodnie z obowiązującą ikonografią, którego prawą dłoń ktoś pomalował na czerwono. Niejaki Lewis Carpenter, który uczył angielskiego i mieszkał w Issaquah, sprowadził go w 1994 roku z Rosji za czterdzieści jeden tysięcy dolarów. Carpenter zdążył umrzeć, ale pięciometrowa rzeźba wciąż stała na środku Fremont Place. Troll i statua Lenina, wyobrażacie sobie? Mieszkańcy Fremont szczycili się, że są obrazoburcami, artystami, wolnomyślicielami, *freaks* - przynajmniej w czasach, gdy Noah się tu sprowadził. Dziś dzielnicę kawałek po kawałku wykupywali pracownicy Adobe i Googlea. Z dwojga złego wolał już hipisów i komunistów...

W jego kieszeni zadzwonił telefon, ale mężczyzna nie odebrał: ten jeden raz chciał mieć wieczór dla siebie. Komórka umilkła. Świetnie. Noah dojechał przed swój czerwony dom, który przypominał domek dla lalek, zaparkował przy krawężniku i wysiadł. Ostatnie liście drżały na deszczu. Mimo wszystko dzielnica wciąż miała swoje dobre strony: kultywowano tu poczucie humoru i stosunki dobrosąsiedzkie. A poza tym był w niej niedzielny targ, na którym można było znaleźć całą masę dziwnych przedmiotów i spotkać nie mniej dziwnych ludzi.

Telefon znowu się rozdzwonił.

Cholera, w tych czasach człowiek już nigdzie nie ma spokoju. To wina technologii. Przez nią, a może dzięki niej sezon polowań dla natrętów trwał cały rok. Dzień i noc. Noah wyjął komórkę i spojrzał na wyświetlający się numer.

- Cześć, Jay - powiedział, przesunąwszy zielony guzik z prawej strony na lewą.

Jay Szymański...

Noah się rozłączył. Zadrzał, ale bynajmniej nie z powodu zimnego deszczu, który padał mu prosto na głowę. Hobbes mawiał, że człowiek jest wilkiem dla człowieka, ale Jay Szymański był najstraszniejszym spośród wszystkich wilków; samotnym i bezlitosnym. A jednak Noah wiedział, że Szymański przez całe życie schyla czoło przed innym samcem alfa. Przypomniał mu się Jay w wieku trzydziestu lat, w czasach, gdy Noah pracował w DC Police - policji metropolitalnej Dystryktu Kolumbii w Waszyngtonie. Spotkali się w związku z aferą, w którą był zamieszany pewien senator: jakaś dziwka przekreśliła się z przedawkowania w jego łazience. Szczupły, średniego wzrostu, łysy, o zapadniętych policzkach i niespokojnych oczach pod krzaczastymi brwiami - a jednak Noah od razu wiedział, z kim ma do czynienia. Dostrzegł w nim niebezpiecznego, inteligentnego fachowca. Jay także go przejrzał. Wspomniany senator padł ofiarą szantażu. Noahowi udało się wyciszyć aferę i zidentyfikować szantażystę. Poinformował o tym Jaya. Mężczyzna nigdy nie trafił przed wymiar sprawiedliwości. Skończył w szpitalu z okiem zwisającym na włóknach mięśni, połową zębów połamanych (z których dwa, złote, następnego dnia dosłownie wysrał) i obciętym językiem. To był twardziel, kawał drania, okrutny, bezlitosny alfons - ale Noah nigdy wcześniej nie widział takiej trwogi, jaką dostrzegł tamtego dnia w jego zdrowym oku.

Później często pracował na boku dla Szymańskiego, i co za tym idzie, dla Augustine'a. Jay był jak cień, pojawiał się w najbardziej nieoczekiwanym momencie, dzwonił w środku nocy i nie interesowało go, czyjego rozmówca akurat śpi, o

godzinie, o której każde połączenie może być tylko pomyłką, próbą zastraszenia albo bardzo złą nowiną i potrafi napędzić stracha największym twardzielom. Od czasu do czasu, przy okazji różnych śledztw, Noah natrafiał czasem na jego ślady: a to jakiś mafioso zamrożony w chłodni, a to trup w Potomacu, jakiś gość, który pewnego pięknego ranka wyszedł do pracy, zostawiając w domu żonę i dzieci, i nigdy już nie wrócił...

I oto Jay znowu go potrzebuje. By odnaleźć jakiegoś dziecka. Na jakiejś wyspie. Noah wiedział, że robota będzie dobrze płatna, ale zastanawiał się, czego oni chcą od tego małego. Jay zapewnił go, że nie zrobią mu krzywdy. To była zaleta Jaya: nigdy nie kłamał. I nigdy nie zmuszał Noaha, by ten zrobił cokolwiek wbrew sobie. Taka była cena ich współpracy. I ich „przyjaźni”. Wiedział jednak, że Jay nigdy nie zawahałby się postąpić z nim tak jak z innymi, gdyby tylko Grant Augustine go o to poprosił.

Otworzył drzwi. Ściany salonu od podłogi po sufit wypełniały półki z książkami. Krzywe wieże zbudowane z książek i grożące zawaleniem były wszędzie: na zakurzonej dywanie, na ławie, na krzesłach, na zniszczonej sofie i parapetach. Książki kupione okazują się z mnóstwem notatek: Tomasz z Akwinu, Jakub Böhme, Majmonides, Awicenna, Awerroes... Myśliciele chrześcijańscy, żydowscy, muzułmańscy... Słowa mądrości w epoce oblędu - w swoim życiu gliny Noah widział wiele rzeczy. Dzieci bite na śmierć przez własnych rodziców, dwudziestoletnie dziewczyny, które prostytuują się dla działki cracku i nie mają już ani jednego zdrowego zęba, ludzi grzebanych żywcem w lesie, niemowlęta wyrzucane do kontenerów na śmieci, stare matki więzione przez swoje pociechy - niewyobrażalny wachlarz brutalności i tortur. I to miało być stworzenie wybrane przez Boga? „Stałem się dla samego siebie wielkim pytaniem” - napisał święty Augustyn.

Podszedł do niewielkiego biurka i włączył komputer, unikając patrzenia na otaczający go chaos. Od dwunastu lat był wdowcem. Dawniej mieszkał z żoną w zadbanym mieszkaniu, którego okna wychodziły na śluzy Ballard. Latem i zimą Elizabeth lubiła jeść śniadanie na balkonie, obserwując

niezliczone statki w porcie.

Przy wejściu leżało wydanie „Seattle Timesa” z poprzedniego dnia z artykułem obwiedzionym odblaskowym markerem. Autor pisał o oburzeniu szefów europejskich rządów na wieść, iż NSA podsłuchuje wszystkie ich rozmowy. Co za hipokryzja, pomyślał Noah. Czy oni nie próbują robić tego samego? Tak naprawdę wkurza ich, że nie udaje im się to równie dobrze. Ale nie podobało mu się, że szare dusze z Agencji mają dostęp także do jego rozmów i e-maili. Jest przecież amerykańskim obywatelem. To już przesada...

Noah spojrział na ekran. Zobaczył, że już przyszły informacje od Jaya za pośrednictwem VPN, prywatnej sieci wirtualnej. Rzecz jasna, były zaszyfrowane wedle niezawodnego klucza używanego przez WatchCorp i NSA.

Kliknął na załączniki. Jay nie tylko przesłał mu wszelkie informacje, jakie już posiadali na temat owych stu sześćdziesięciu siedmiu chłopców w wieku od piętnastu do siedemnastu lat mieszkających na wyspach, ale dodał też abonament na prom wypływający z Anacortes, rozkład jego kursowania, a nawet adresy okolicznych knajp. Stary dobry Jay. Niczego nie robi na pół gwizdka.

Noah otworzył główny plik. Przy każdym nazwisku było zdjęcie: uśmiechnięci chłopcy, tacy, jakich mogliby mieć z Elizabeth, gdyby tak uparcie nie broniła się przed macierzyństwem. A dziś, jaki pozostał po niej ślad? Jeden czy dwa obrazy pokrywające się kurzem w salonie wytrawnych kolekcjonerów? Ani brata, ani siostry, ani dzieci. On jeden pozostał, by czcić jej pamięć, ale zaczynało go to już nużyć...

Wstał i sięgnął na kuchenną półkę po butelkę. Sok owocowy. Od trzech lat Noah nie wziął do ust ani kropli alkoholu. Był czysty. Usiadł na zewnątrz, na maleńkim tarasie. Na ulicy panował spokój, wśród liści szemrał deszcz. Zaczął przeglądać informacje przesłane przez Jaya. Dalej, ponad betonową poręczą, widział blask tysięcy samochodowych świateł; pomyślał o wszystkich tych kierowcach jadących do Seattle, ślepych jak cały ten gatunek zmierzający ku własnej zagładzie.

ADOPCJA

Jedna ze ścian w biurze szeryfa z góry do dołu wytapetowana jest emblematami policji z całego kraju, a nawet świata: LAPD, NYPD, Montana Highway Patrol, Alaska State Troopers, Blue Knights ze stanu Waszyngton, ale także niemieckiej Bundespolizei, francuskiej żandarmerii, irlandzkiej Crime & Security Branch, włoskich karabinierów, policji metropolitalnej z Tokio, Policia Militar do Estado do Rio de Janeiro, a nawet policji tasmańskiej. Wpatrywałem się w nie przez chwilę. Zastanawiałem się, ilu policjantów musiałoby być na ziemi, żeby wyplenić z niej zbrodnie. Jeden na dwadzieścia osób? Jeden na dziesięć? Na pięć? A może zbrodnia jest czymś nieuniknionym, zapisanym w zwojach naszego gadziego mózgu? W czasach Kaina i Abla na ziemi było niewielu mieszkańców, a i tak jeden z nich znalazł sposób na zabicie brata. Te rozważania pozwalały mi nie myśleć o tym, co mnie czekało. Zostawili mnie w tym biurze samego na jakieś dziesięć minut. A przecież kiedy Krueger zadzwonił, sprawa wyglądała na pilną...

Szeryf opuścił rolety, pewnie po to, by żaden dziennikarz nie zrobił mi zdjęcia. Przed posterunkiem czaiło się ich kilku z aparatami w zanadrzu.

- Przepraszam, że musiałeś czekać - powiedział, otworzywszy drzwi.

Przeszedł przez pomieszczenie i usiadł. Był sam. Umościł się w fotelu.

- Jak to wszystko znosisz? Źle, jak sędzę. Jestem wściekły na dziennikarzy. Nie przywykliśmy do takich rzeczy. Nie tutaj.

Spojrzałem na niego uważnie.

- Mówił pan, że macie jakieś nowe informacje.

Odwzajemnił moje spojrzenie. Skinął głową.

- Na tym etapie musimy unikać jednokierunkowego myślenia. Dopuszczać wszystkie opcje. Ale wiesz, Henry, generalnie morderstwa nie są tak tajemniczą sprawą jak w serialach. Bardzo często motyw łatwo odgadnąć: zazdrość, gniew, chęć zysku. Zanim tu wylądowałem, pracowałem jako detektyw dla hrabstwa King. Najczęściej chodziło o wyrównanie rachunków w kwestii handlu narkotykami i obszaru wpływów albo o kogoś bliskiego: męża lub kochanka bądź też jakiegoś członka rodziny.

Zadzwonił telefon.

- Tak... Nie... Tak - odpowiedział i rozłączył się. - Jak ci się układa z twoimi mamami?

- Słucham?

- Czy między wami wszystko w porządku? Wiesz, co się stało z twoimi rodzicami?

- Zginęli w wypadku samochodowym - powiedziałem.

- A nie miewasz czasami ochoty, żeby dowiedzieć się o nich czegoś więcej?

Zaprzeczyłem ruchem głowy - ale to było kłamstwo.

- Miałem dwa lata. Może trzy... Nie mam z tamtego czasu żadnych wspomnień.

- Opowiem ci pewną historię, Henry. Ja też byłem adoptowanym dzieckiem. - Pochylił się do przodu. - Kiedy byłem mniej więcej w twoim wieku, wbiłem sobie do głowy, że muszę znaleźć matkę. To się stało moją obsesją. A przecież miałem fajną rodzinę, moi przybrani rodzice byli wspaniałymi ludźmi i nigdy nie byłem traktowany inaczej niż moi bracia i siostry. Może nawet darzyli mnie jeszcze większym uczuciem, byli wobec mnie trochę bardziej pobłażliwi.

Spojrzałem na Kruegera, na jego brodę i grubo ciosane rysy i spróbowałem wyobrazić go sobie jako nastolatka. Nie potrafiłem.

- A potem zacząłem studia i, tak jak ci mówiłem, znalezienie matki stało się moją obsesją. Przez cały czas o tym myślałem. Próbowałem ją sobie wyobrazić w miejscu, w

którym się znajduje, w którym żyje innym życiem, życiem po mnie. Czy ma dzieci? Czy często o mnie myśli? Czy zachowała moje zdjęcie?

Jeszcze raz spróbowałem zwizualizować tę scenę, ale nie widziałem w niej Bernda Kruegera. Widziałem siebie.

- No i cóż, zdecydowałem się. Odnalazłem jej ślad. Trzeba przyznać, że drugie życie miała udane: wyszła za nadzianego gościa, który pracował w kinematografii, i mieli luksusową willę tuż nad Point Lobos, w niesamowitym miejscu, z widokiem na Pacyfik. W końcu pewnego pięknego ranka pojawia się tam. Spodziewam się łez, przeprosin, żalu itede, itepe. Tysiąc czterysta kilometrów, czternaście godzin drogi, rozumiesz, miałem dość czasu, żeby wymyślić scenariusz. A ona każe mi spocząć, sadza mnie w luksusowym salonie i rzuca: „Czego chcesz? Pieniędzy?”. Odpowiadam: „Nie, mamo. Nie chcę pieniędzy, chciałem cię po prostu zobaczyć, poznać, to wszystko”. Coś w tym stylu. Mam cholernego pietra, muszę być błądy jak ściana, a ona patrzy na mnie zimna jak kawałek marmuru. Ale wygląda wspaniale, bardzo szykownie i z klasą w tym swoim kostiumie, naprawdę piękna, a ja jestem tylko biednym studentem bez grosza, mam długie włosy i znoszone trampki. A potem ona wreszcie mięknie. Zaczyna pytać o moje życie, o przybranych rodziców, chce wiedzieć, czy mam dziewczynę i co chcę robić w przyszłości. Opowiadam jej wszystko, w każdym razie wszystko, co jest do opowiedzenia, czyli nic szczególnego; ona robi zainteresowaną minę, kiwa głową, wybucha nawet śmiechem, gdy żartuję, krótko mówiąc, jestem wniebowzięty. Trwa to jakies... czterdzieści minut. Wreszcie patrzy na zegarek i mówi: „Ups! Bernd, przepraszam, mam ważne spotkanie!”. I wygląda, jakby rzeczywiście było jej przykro, że przerywa naszą rozmowę. Wstaje, podaje mi wizytówkę z adresem i numerem telefonu, w tamtych czasach nie było e-maili. „Napisz do mnie, mówi, odprowadzając mnie, a ja ci odpiszę, obiecuję. I moglibyśmy spróbować od czasu do czasu się widywać, jeśli chcesz”. Też coś, jasne, że chcę! Ścisną mnie bardzo mocno, widzę, że ma

wilgotne oczy, mnie też chce się beczeć. Patrzy, jak odjeżdżam, a ja widzę ją we wstecznym lusterku stojącą na progu domu. Zaczynam w to wierzyć, jest taka cudowna, taka piękna, taka na poziomie, i to jest moja matka, o kurczę! Odjeżdżając, czuję się taki dumny i szczęśliwy, nie wyobrażasz sobie. Puszczam muzykę na full, drę się ze wszystkich sił przez całą drogę. Dwadzieścia osiem godzin jazdy w obie strony, potem nocleg w byle jakim motelu, i to wszystko dla czterdziestu minut rozmowy. Ale w tamtej chwili nie myślałem, że dałem się wykiwać, że nie zaproponowała mi, żebym został na noc, żebym odpoczął, zanim odjadę, nie, uważałem, że było warto: będziemy do siebie pisać, będziemy się widywać... Mam cudownych rodziców, wspaniałą matkę, dziewczynę na studiach i jestem najszczęśliwszym chłopakiem na świecie. - Przerwał, by się napić wody mineralnej z butelki, domyśliłem się jednak, że chciał sobie dodać odwagi.

Zastanawiałem się, co robię w tym miejscu, dlaczego to ja wysłuchuję jego zwierzeń, a nie on moich, i zacząłem czuć coraz większy dyskomfort.

- Napisałem do niej. Długi list. Przepisywałem go co najmniej sześć razy, zanim go wysłałem. List był bardzo piękny. No, może nie aż tak bardzo, ale wtedy byłem z siebie bardzo zadowolony. W następnych tygodniach codziennie otwierałem skrzynkę na listy z lekkim ukłuciem w sercu. Kiedy po miesiącu odpowiedź nie nadeszła, pomyślałem, że może list zaginął. Napisałem drugi. Już nie taki piękny, ale w każdym razie ładny. Nigdy nie otrzymałem odpowiedzi. Wtedy do niej zadzwoniłem. Raz, drugi, trzeci... I zawsze odzywała się poczta głosowa. Zamierzałem nawet wybrać się tam jeszcze raz, ale Carmel to jednak kawał drogi. Wtedy odpuściłem. Nigdy nie oddzwoniła, nie napisała. Miałem złamane serce. Potrzebowałem kilku lat, żeby się pozbierać.

Zastanawiałem się, po co on mi to wszystko opowiada, ale mimo woli czułem się poruszony jego historią. To była piękna opowieść. Smutna, ale piękna. Było mi przykro także za niego, bo domyślałem się, że mimo upływu lat wcale się nie wyleczył.

- Wiem, co to znaczy być adoptowanym dzieckiem, Henry. To nie jest łatwe, inni mogą tego nie rozumieć.

Pokiwiałem smutno głową.

- Henry, będziemy musieli pobrać twoje DNA.

Wyprostowałem się i spojrzałem na niego.

- A po co?

Zmarszczył brwi i zacisnął wargi.

- Mówiłem ci, są nowe informacje.

Te oczy - dwie kulki rtęci.

- Naomi była w ciąży.

Otworzyłem usta jak ryba wyjęta z wody. Zastanawiałem się przez chwilę, czy się nie przesłyszałem. Uważnie śledził moje reakcje.

- Nie wiedziałeś o tym?

Pokręciłem głową z niedowierzaniem. Miałem wrażenie, że brakuje mi powietrza. Fala gorąca buchnęła mi w twarz, jakbym znalazł się nad otworem wentylacyjnym w chodniku.

- Dzisiaj się okazało. W czasie sekcji - dodał.

Poczułem, że zaraz zemdleję. Pomieszczenie zaczęło wirować.

- Larry! - usłyszałem wołanie Kruegera.

Drzwi się otworzyły.

- Przynieś szklanekę wody dla Henry'ego. Ruszaj się!

Czas dziwnie się skurczył. Ułamek sekundy później piłem wodę ze szklanki, którą ktoś mi podał. Potem zjawiał się jakiś gość w maseczce chirurgicznej z długim patyczkiem do uszu w rękę i powiedział, żebym otworzył usta. Był tam też Chris Platt - stał pod ścianą z rękami zaplecionymi na piersi. Uświadomiłem sobie, że nie wiem, kiedy się pojawił.

Gość z patyczkiem wyszedł. Zamknąłem usta.

- Czy ona... została zgwałcona? - W końcu to powiedziałem.

- Nie.

- Jesteście... Jesteście pewni?

- Tak.

W ciąży. Huczało mi w głowie. Platt i Krueger znowu odegrali tę wymianę spojrzeń, która poprzednio napędziła mi takiego stracha. Potem do szarży przystąpił szeryf.

- Jesteś pewien, że ci o tym nie mówiła?

- Słucham?
- Nie mówiła ci o tym?
Miałem ochotę uciekać, zatkać sobie uszy.
- No przecież mówię!
- Dobra, dobra. - Pokręcił głową. - Nie pytasz mnie, czy odtworzyliśmy przebieg tamtego dnia?
- Proszę?
- Przebieg dnia. Ostatni raz widziałeś ją na pokładzie promu? Czyżby wyczuł moje wahanie?
- Tak.
Teraz on się zawahał.
- Jest coś jeszcze.
Ach tak, co takiego? Śmiało, szeryfie. Jestem już w takim stanie...
- Ostatnio szukała w Internecie informacji na twój temat. Podniosłem głowę i spojrzałem kolejno na Kruegera i Platta, marszcząc brwi.
- Jak to: szukała w Internecie informacji na mój temat? Co pan ma na myśli?
- Przejrzeliśmy jej komputer, historię wyszukiwań i tak dalej. Wśród ostatnich słów kluczowych, jakie wpisywała w wyszukiwarce, były: adopcja, adopcja pary gejowskie, prawo adopcyjne Teksas... Ty i twoje mamy pochodzicie z Teksasu, prawda?
Nie poruszyłem się. Nic z tego nie rozumiałem. Naomi w ciąży. Szukała w Internecie informacji na mój temat...
Podniosłem wzrok. Czekali na odpowiedź. Potwierdziłem.
- Wspomniała też o tym w dzienniku - powiedział Platt. Podszedł bliżej i podsunął mi zeszyt. Otwarty. Jedno zdanie napisane dużymi okrągłymi literami na środku strony:

KIM JEST HENRY???

RUBIKON

- Co zrobisz? - wyskrzeczwał Charlie.
- Zapytam Darrella Oatesa, co jest na tym pendrivie.
- Co? - odezwali się chórem.
- Nawet Oatesowie nie odważyliby się załatwić piątki nastolatków za jednym zamachem - powiedziałem, próbując przekonać samego siebie. - Zwłaszcza jeśli wcześniej nagramy filmik, na którym będzie widać, gdzie jesteśmy, i który zostanie automatycznie wysłany do biura szeryfa, jeśli w odpowiednim momencie nie skasujemy komendy.
- Potrafisz zrobić coś takiego? - zapytał Johnny.
- Wystarczy, że oni będą tak myśleli.
- Piątki? - podjął Charlie. - O ile mi wiadomo, jest nas czworo.
- Shane Cuzick jedzie z nami.
- To ostatecznie zamknęło im usta.
- Henry, zwariowałeś - podsumowała Kayla. - Ja nie jadę.
- Świetnie. Kto jeszcze wymięka? Pomyślcie o Naomi, która może na nas patrzy - dorzuciłem perfidnie.
- Zobaczyłem, że Charlie i Johnny spuścili głowy.
- Kiedy? - zapytał Johnny.
- Jutro rano. - (Nazajutrz była sobota). - Krueger mówi, że pogrzeb Naomi będzie w niedzielę. W jutrzejszych wiadomościach będzie wzmianka na ten temat.
- A jeśli nie będzie chciał ci powiedzieć?
- Zagrozę, że opowiem o tym, co widzieliśmy wczoraj wieczorem.
- Henry, oni cię zabiją - powiedział Johnny.
- Nie w obecności trzech świadków.
- Czy rzeczywiście byłem tego taki cholernie pewien? Jeśli

Darrell Oates brał udział w zabójstwie Naomi, bez wahania załatwił cztery osoby, dzięki którym mógłby otrzymać śmiertelny zastrzyk. Chyba że, co możliwe, nie miał z tym nic wspólnego. Darrell Oates i Jack Taggart to strasznie niebezpieczne typy: potrafią jedynie handlować, bić, zastraszać, ściągać haracz i... gwałcić. Ale...

- Nie została zgwałcona - mówiłem dalej. - Tak mi powiedział szeryf.

- No i?

Schyliłem się do nich.

- No i? No i jak myślicie, jeżeli wpadła w łapy takiego Darrella Oatesa albo Taggarta, i była z nimi w nocy, sama, co ci dwaj zboczeńcy mogli z nią zrobić?

Przez chwilę się zastanawiali.

- Przyjmijmy, że masz rację - zgodziła się w końcu Kayla - ale to nie zmienia faktu, że ci goście są niebezpieczni, Henry. Oatesowie są kompletnie zaburzeni, wszyscy o tym wiedzą. Naprawdę uważasz, że uda ci się przemówić im do rozsądku?

Pokiwałem głową, udając przekonanie, którego mi brakowało.

- Kayla ma rację - zawtórował jej Johnny. - Ta rodzina jest groźna, kurwa. Każde z nich to wcielenie najgłębszego debilizmu! To bestie. Nikt się tam nie zapuszcza, nawet gliny!

- Nie macie obowiązku tam jechać - stwierdziłem. - Pojadę z Shaneem.

- Ja jadę - powiedział Charlie. - Jasne, że nie pozwolę, żebyś szedł sam. Kayla, ty lepiej zostań. Masz rację: ci tam to wszystko świry, a widok młodej kobiety mógłby sprawić, że by nie wytrzymali. Ale jeżeli ty, Johnny, stchórzysz, więcej się do ciebie nie odezwę.

Johnny spuścił głowę i pokręcił nią, przygnębiony. Poczochrał obiema dłońmi swoją rudą czuprynę, zazgrzytał zębami i uderzył pięścią w stół. Bał się. Wszyscy się baliśmy.

- Macie jakiś problem? - zawołał w końcu. - Walcie się! Dobra, jadę... Ale nie czuję tej sprawy. Nie, serio, panowie, robimy cholerne głupstwo.

*

Nazajutrz Shane czekał na nas na parkingu przy promie. Stał z rozwianym włosom oparty o swojego starego silverado i palił papierosa. Kiedy szedł do nas w bluzie z kapturem i trampkach, wyglądał jak tania podróbka Jamesa Deana. Pauliego i Ryana nie było widać.

- Cześć, mięczaki - rzucił do tyłu, sadowiąc się obok mnie.

Charlie i Johnny nie zaprotestowali.

- Cześć, stary - przywitał się ze mną, ściskając mi grabę; ten przejaw zażyłości trochę zbił mnie z tropu.

- Jesteś gotów? - zapytałem.

- A ty, Henry? Nadal chcesz to zrobić?

Czyżbym się przesłyszał, czy rzeczywiście w jego głosie była jakaś nuta podziwu?

- A jak - odparłem.

- Świetnie.

Wyjął z kieszeni bluzy jakieś zawiniątko, położył je na kolanach i powoli odwinął szmatę. Trzydziestkaósemka!

- O do kurwy nędzy, a to co ma być? - zapiszczał Charlie, schylając się między fotelami.

- A jak sądzisz, złamasie? Czy to wygląda na dildo?

- Nie potrzebujemy tego - powiedziałem.

- Oczywiście, że potrzebujemy. Panowie, wyjaśnię wam: jedziemy się spotkać z Oatesami!

- Myślę, że jesteśmy tego wystarczająco świadomi - zripotował Charlie. - Sądzę, że jesteśmy tego cholernie, strasznie, piekielnie świadomi, stary. Kurwa, dobry Boże, Jezusie, Maryjo, Józefie święty i wszyscy aniołowie w niebie, zastanawiam się, panowie, czy zanim tam dojedziemy, nie będę miał w gaciach całego pudełka Twixów.

Shane Cuzick odwrócił się i przez chwilę przyglądał się Charliemu, jakby właśnie zobaczył istotę pozaziemską. Zastanawiałem się, czy nie nabije mu guza. Ale on się uśmiechnął, a potem po prostu wybuchnął śmiechem. Charlie popatrzył na niego i też parsknął. To było silniejsze ode mnie. Śmiech mnie pokonał. Johnny też nie wytrzymał -

szalony, histeryczny, niepowstrzymany, niepoohamowany śmiech opanował wnętrze samochodu.

- Hej, Darrell, possij mi lachę! - zawołał Charlie, odpowiednio gestykułując.

W ślad za tym okrzykiem posypały się kolejne: Darrell, Darrell, chodź no tu, moja kurko! Co tam masz na szyi, Darrell, to trochę babskie, nie? Darrell, jestem twoim ojcem! - Itak dalej.

Zachowywaliśmy się dosłownie jak histerycy, po naszych policzkach płynęły łzy radości, waliliśmy pięściami w deskę rozdzielczą i oparcia, kiwając się w przód i w tył, zjednoczeni w śmiechu, ale także w strachu, który czekał na swoją chwilę tuż pod powierzchnią, jak podziemne źródło tryskające kawałek dalej.

Godzinę później, kiedy zjechaliśmy z promy w Anacortes, świeciło słońce, a śmiechy dawno już umilkły. Dojechaliśmy na kontynent drogą numer 20, przez podwójny most, który łączy wyspę Fidalgo z wybrzeżem. Wiosną, kiedy kwitną tu tysiące tulipanów, ta okolica jest jedną wielką feerią barw. Patrzyliśmy na mijane tablice: Burlington, Sedro-Woolley.

W Concrete zatrzymaliśmy się naprzeciwko kościoła Zgromadzenia Bożego, żeby się wysikać na skraju drogi. Bez wątplenia ta potrzeba miała coś wspólnego z narastającym strachem. Wsiadając do samochodu, spojrzałem przelotnie na kościół - jakbyśmy byli konkwistadorami zamierzającymi zapuścić się na tereny opuszczone przez Boga.

Minęliśmy Eatery Drive-Inn i Camp Clark na brzegu Skagit - z domkami, różnokolorowymi chorągiewkami i bożonarodzeniowymi girlandami nad wejściem - i na chwilę emanująca stamtąd radość sprawiła, że mieliśmy ochotę się zatrzymać i zrezygnować z tej samobójczej eskapady.

Za Marblemount zaczął się ciąg małych domków z zapadniętymi dachami, szrotów, ruder i opuszczonych stacji benzynowych. Porośnięte mchem gałęzie przydrożnych drzew wyglądały jak sękaty ramiona w rękawach z zielonego futra.

Szeroka, niespokojna rzeka płynęła między dwiema ścianami drzew, a mgła nad wodą przypominała dym. Nawet w pełnym słońcu z tej okolicy emanowała jakaś niezdrowa siła - niczym nieodparte nawoływanie do schyłku i śmierci. Góry, których zaśnieżone szczyty stały w pióropuszach z chmur, były coraz bliżej i wydawały się coraz wyższe.

- Pierwszy raz zobaczyłem Naomi w sklepie, miałem wtedy siedem lat i pomagałem mamie przy kasie - odezwał się nagle Charlie.

Przegналиśmy strach z naszych głów, by wysłuchać dalszego ciągu.

- Kiedy podeszła do lady, uśmiechnęła się do mnie i zapytała: „To twój sklep?”. A ja, cały dumny, odpowiedziałem „Tak”. Ona na to: „Kłamczuch! Nie jest twój, jest twoich rodziców”. Zrobiłem się cały czerwony, zdenerwowałem się i powiedziałem: „Nieprawda! Należy również do mnie!”. A ona powiedziała: „Udowodnij”. „Jak?”, zapytałem. „Daj mi w prezencie te cukierki”.

Roześmialiśmy się. Każdy opowiedział jakąś swoją historyjkę związaną z Naomi. Z początku było to zabawne, a potem atmosfera zrobiła się, delikatnie mówiąc, ciężka.

Niedługo przed południem opuściliśmy North Cascades Highway, która prowadzi do jeziora Diabło i wielkim metalowym mostem przejechaliśmy na drugi brzeg Skagit. Wąska droga biegnąca wśród świerków od razu zaczęła piąć się po zboczu góry.

Ten niemal sielski krajobraz nie był jednak w stanie przyćmić mojego przeczucia, że zmierzamy w stronę katastrofy. Ale było zbyt późno, by zawrócić, a ja za nic w świecie nie przyznałbym się przed moimi towarzyszami, że miałbym ochotę wziąć nogi za pas. Promienie słońca przeświecające między gałęziami migotały na przedniej szybie. Spojrzałem we wsteczne lustro: Charlie ze zmarszczonymi brwiami obgryzał paznokcie; Johnny gapił się na zewnątrz, ale jego spojrzenie było nieobecne, puste jak u zombi. Nikt się już nie odzywał.

W całym samochodzie tylko Shane wydawał się jeszcze żywy, ale on także coraz bardziej się denerwował. Palcami lewej ręki

odgrywał na lewym udzie partii Dave'a Grohla albo Larsa Ulricha, palił papierosa za papierosem i wyrzucał niedopałki przez okno.

- To tutaj - powiedział nagle.

Po prawej stronie między dwoma pniami umieszczono dużą drewnianą barierkę. Dalej zaczynała się leśna ścieżka. Do okolicznych drzew przybito pół tuzina tabliczek z napisami: WŁASNOŚĆ PRYWATNA, WSTĘP WZBRONIONY, ZAKAZ POŁOWAŃ, ZAKAZ PRZEKRACZANIA, ZOSTAŃ NA ZEWNĄTRZ, ZŁE PSY - ta obfitość ostrzeżeń i gróźb miała zdecydowanie zniechęcający wydźwięk.

- Byłeś tu już? - zapytałem.

Skinął głową, zaciskając szczęki. Wsiadł. Bariera zamknięta była prowizorycznie łańcuchem bez kłódki. Shane zdjął go, podniósł belkę i dał mi znak, bym wjechał. W lusterku wstecznym zobaczyłem, że za pomocą kawałka drewna zablokował ją tak, by pozostała otwarta. Następnie wrócił na miejsce pasażera.

- Od teraz trzeba będzie cholernie uważać, panowie.

Przy drodze zaczęły się pojawiać coraz liczniejsze oznaki „cywilizacji”: przerdzewiałe zwłoki pralek, kuchenek mikrofalowych, akumulatory, zabawki zgubione przez dzieci, dalej - na poboczu, ale także wśród drzew - wraki samochodów. Las wyglądał jak wysypisko śmieci pod gołym niebem. Zauważyłem szopa pracza. Droga skręciła raz i drugi, coraz bardziej się wznosząc, aż wreszcie pojawiły się zarysy baraków.

Nagle coś się na nas rzuciło. Potężne cielsko zważyło się na karoserię, która zatrzęsała się pod wpływem uderzenia, pazury zjechały po szybie, a my wszyscy podskoczyliśmy na fotelach. Amerykański staffordshire terier - pies o masywnej klatce piersiowej, jasnobezowej sierści tak krótkiej, że sprawiała wrażenie gołej skóry, potężnych szczękach, małych uszkach zwiniętych jak serwetki na uroczyście zastawionym stole, a przede wszystkim okrągłych czarnych, matowych oczach, rozstawionych szeroko i symetrycznie, nadających mu ponury wygląd psa z piekła rodem. Zwierzę ujadło, zdzierając sobie gardło do krwi.

- Ja pierdole! - pisnął Charlie, kiedy tuż obok niego, kilka centymetrów od jego twarzy wyskoczył drugi pies.

Kiedy zatrzymałem samochód na otoczonym drzewami zakurzonym nasypie, poczułem, że mój puls szaleje, a rezerwa zimnej krwi prawie całkowicie się wyczerpała. Nie było żywego ducha - a to wydało mi się jeszcze bardziej niepokojące niż widok Oatesów w komplecie, zgromadzonych, by uczcić przybycie „Wesołych Młodych Głupków z Glass Island”. Głównymi budynkami mieszkalnymi były dwa domy z bali przed nami, przytulone do zbocza i niemal wrośnięte w las. Od frontu łączył je długi taras, wsparty na potężnych palach, których dolna część ginęła w poszyciu. Taras okrążał kilka wysokich sosen rosnących wokół domów i rzucających cień na ich dachy. Dachy zaś pokryte były mchem: rósł grubymi zwałami przypominającymi miękkie, zielone poduszki. Drewniana balustrada zabezpieczona była siatką, być może ze względu na małe dzieci. Na tarasie czekał pusty fotel na biegunach, na który, niczym blask reflektora, ukośnie padał promień słońca. W wysokich zaroślach dookoła tonęły wraki fordów, vanów, chevroletów pokryte warstwą brunatnego brudu, a także koła, przyczepy, zardzewiałe rowery, a nawet stara przyczepa kempingowa ustawiona na dachu ciężarówki na skraju placu niczym bocianie gniazdo - i zastanawiałem się, czy nie taka właśnie była jej rola, ponieważ zauważyłem też drabinę: z góry musiał się rozciągać widok na całą dolinę aż po Marblemount.

Widzieli, jak jedziemy. Od dawna. Teraz byłem o tym przekonany. Więc dlaczego się nie pokazują? Przełknąłem ślinę. Promienie słońca, które zalewały nasyp, nieśmiało wślizgując się w cień poszycia, zaczęły porządnie nagrzewać wnętrze samochodu. Czułem się jednak zmrożony. Dwa płowe psy o czarnych, matowych oczach nie przestawały biegać i skakać wokół auta. Pazury ich przednich łap wściekle zgrzytały na szybach.

- Cholera, to już przesada! Co robimy? - zapytał Johnny.

- Coś jest nie tak - ocenił Shane.

Przyjrzałem się ciemnym oknom. Nagle zadrżałem. W jednym z nich zauważyłem jakiś cień.

- Kurwa, co to za cyrk? - zaskrzeczał Charlie. - Dlaczego się nie pokażą? Pewno robią tak specjalnie, żeby nam napędzić stracha.

- No, to też - powiedział Johnny, który nie wstydził się już pokazać Shaneowi, że ma pietra.

Otarłem pot, który z powodu coraz wyższej temperatury spływał mi po karku. Żaden z nas nie miał odwagi opuścić szyb, a tym bardziej wysiąść. Ujadanie rozwścieczonych amstaffów niesło się po kabinie, rozsadzając nam uszy. Przez długie minuty piekliśmy się we własnym sosie. Czulem pot pod pachami i na krzyżu.

I nagle rozległ się gwizd. Dwa potwory znieruchomiały, a ich uszy jak anteny satelitarne odwróciły się w stronę źródła dźwięku. Chwilę później rzuciły się ku schodom prowadzącym na taras i błyskawicznie wbiegły na górę. Otworzyły się drzwi jedne z chat. Stał w nich Darrell. Wyjął papierosa z paczki i spokojnie zapalił, patrząc na nas. Charliemu przeszła wszelka ochota, by zmieszać go z błotem. Darrell stanął nieruchomo na tarasie i uporczywie się nam przyglądał; za nim pojawił się Blayne Oates, niższy od brata, o bladej cerze, z czarną kozią bródką i lśniącymi włosami związanymi w kucyk. Byli do siebie tak niepodobni, jakby urodziły ich dwie różne matki - co może i było prawdą. Łączyło ich jedno: mordercze szaleństwo. Wszedł trzeci braciszek, Hunter, i miałem wrażenie, jakby moje jaja chciały zniknąć w mosznie. Najmłodszy z Oatesów - w ciemnych okularach na orlim nosie, o łysej czaszce i wąskich ustach, był bez wątpienia najbardziej przerażający z całej trójki. Darrell, Hunter i Blayne. Byli w komplecie, brakowało tylko Starego. Przypomniałem sobie, co pewnego dnia powiedział zastępca szeryfa po jednym z ich niezliczonych wybryków na Glass Island: „To Stary jest najgroźniejszy, najbardziej postrzelony”.

Darrell miał na sobie tę samą skórzaną bluzę co poprzedniego dnia. Blayne i Hunter ubrani byli w koszykarskie koszulki bez rękawów: Blayne miał chude, żylaste ręce, Hunter - umięśnione, pokryte tatuażami ramiona kryminalisty.

- Wyłaźcie z tego wozu! - zawołał.

Wykonaliśmy polecenie. Nie śmiąc się przeciągnąć po długiej podróży samochodem, po której nasze mięśnie były przykurczone, przestępowaliśmy z nogi na nogę. Usłyszałem dobiegający od strony gór głuchy odgłos burzy; nagle oślepiło nas smagnięcie niosącego pył wiatru. Zamrugałem powiekami i zauważyłem, że znad szczytów z ogromną prędkością nadciągają czarne chmury - jak wojsko najeżdżające z zaskoczenia na jakieś terytorium.

Trzej bracia na tarasie się rozstąpili i wreszcie pojawił się Stary. Wyczuliśmy nagłą zmianę atmosfery: nawet synowie stanęli inaczej, zachowując się jak dworzanie na widok króla. Jak w teatrze szekspirowskim, pomyślałem. *Ryszard III, Makbet i Król Lear* w jednym, szlag. Był niski, ale barczysty jak szafa. Na dużej głowie gęsta czupryna siwych włosów. Stary - o płaskiej, kwadratowej twarzy, spłaszczonym nosie i małych, matowych oczach bardziej podobny był do swoich psów niż do synów. I wydawał się równie niebezpieczny jak one.

Bez słowa usiadł w bujanym fotelu, w otoczeniu swojego potomstwa, szeroko rozstawiając nogi. Wtedy pojawiły się pozostałe dzieci z plemienia. Zbiegły po schodach, okrążyły nas i zaczęły ciągnąć za ubrania, śmiejąc się i piszcząc. Potem przyszła kolej na kobiety. Zjawiały się jedna po drugiej. Znowu skojarzenie z Szekspirem albo tragedią grecką. I oto jako ostatnia na scenę wyszła matka. O wyglądzie bardziej dzikim niż wszyscy zgromadzeni mężczyźni: masywna sylwetka, rozczochrane, szare włosy spadające na ramiona i piersi zwisające do pępka pod bezkształtną tuniką.

- Kto was wpuścił? - Głos miała wysoki i silny.

- Podnieśliśmy szlaban, psze pani! - rzucił Shane.

- Nie potrafisz czytać, chłopcze? - zapytał nonszalancko Stary, jednak w tonie jego głosu czaiła się groźba.

Naprawdę jesteśmy w czarnej dupie, pomyślałem.

Chmury pokryły całe niebo: jego kolor zmienił się w ciągu kilku sekund z błękitnego na stalowoszary, a miejscami na smoliście czarny. Wiatr zaczął wiać mocniej, poruszając

koronami drzew. A w nas szalał strach.

- Shane, kim są twoi koledzy? - zapytał Darrell.

Shane spojrział na nas. Był przeraźliwie blady.

- To przyjaciele tej zamordowanej dziewczyny - rzucił w kierunku tarasu. - Tej, której ciało znaleźli na plaży na Glass Island!

- Tam jest napisane „własność prywatna”! - wrzasnęła znowu matka, jakby ta rozmowa jej nie obchodziła, a na jej policzki wystąpiły czerwone plamy. - Nie umiecie czytać? Nie macie prawa tu być. Moglibyśmy was wystrzelać jak króliki! Banda gówniarzy!

- Ha, ha, mamó! - zawołał ucieszony Hunter, mierząc nas zza ciemnych szkieł. - Gówniarze jak gówniarze! Darrell, widziałeś kiedyś, żeby odwiedzały nas takie gnojki?

- Nie, nigdy - powiedział Darrell, uśmiechając się. - Wszystko schodzi na psy, braciszku. Wszystko schodzi na psy... Nawet szacunek.

- Ta - podjął mały Blayne, głaszcząc czarną bródkę. - Smarkacze, którzy nie mają za grosz szacunku. Co to, kurwa, jest? Od kiedy to dzieciaki nadzianych rodziców, mali miastowi pedzie ośmielają się do nas przyjeżdżać? Nie? dokąd ten świat zmierza!

- A ja mówię, że szacunku trzeba się nauczyć, prawda kochanie? - odezwał się Hunter do najładniejszej z kobiet. Przytulił ją do siebie, a ona spojrzała na nas i zaczęła się śmiać jak stuknięta. - Oni potrzebują porządnej na-u-ki.

- Porządnej nauki, taaa - zawtórował mu Blayne.

- Zamknijcie się! - przerwał im nagle Stary. - Może by najpierw powiedzieli, po co tu są. Darrell, znasz tego smarkacza? Tego, do którego powiedziałeś „Shane”. Wydaje mi się, że już go tutaj widziałem.

- Był tu - przyznał Darrell zmieszany. - Robiliśmy razem parę rzeczy.

- Od kiedy robisz interesy z dziećmi, które wyglądają jak kobitki i które widziały więcej pornoli niż prawdziwych pizd, Darrell? Spedałaś czy co? - zapytał Hunter, a kobiety zarechotały.

- Dowiedz się, czego on chce - polecił Stary Darrellowi, wskazując na Shane'a.

W lesie błysnął piorun i natychmiast rozległ się odgłos grzmotu. Kropla deszczu spadła mi na głowę, jakby ktoś stuknął mnie palcem. Potem kolejna i jeszcze jedna, później cały batalion, i nagle po placu przetoczyła się lodowata fala, która przemoczyła nas do suchej nitki. Całą okolicę przesłoniła mgła.

Shane spojrział na mnie zaniepokojony.

- On każe mi rozmawiać z Darrellem - powiedział słabnym głosem, nie wyjmując dłoni z kieszeni.

- Dlaczego trzymasz rękę w kieszeni, synku? - zapytał Stary. - Dzieci, wróćcie no tu.

Dzieciarnia weszła na taras. Zobaczyliśmy, jak z naszej lewej strony wychodzi z lasu niespełna dwunastoletni chłopiec o bladej, piegowatej twarzy, celując w nas z karabinu.

- Wyjmij gnata, Shane - powiedział Darrell cukierkowatym tonem. - I rzuć na ziemię. Powoli.

Shane wykonał polecenie. Jego dolna warga drżała.

- Macie jeszcze jakąś broń? - zachrypiął Stary.

- Nie, psze pana - rzuciłem.

- A ty kim jesteś?

- Nazywam się Henry Walker, Naomi była moją dziewczyną.

- Kto taki?

- Ta... dziewczyna, którą znaleźli martwą na plaży.

Stary zamrugał. Jego oczy przypominały dwa kawałki wytłaczanego metalu.

- A co to ma wspólnego z nami?

Zawahałem się.

- Może trzeba by o to zapytać pańskiego syna...

- Którego?

- Darrella.

Zobaczyłem, że w tej chwili wszystkie uśmiechy zamarły, a twarz Darrella, którą widziałem przez strugi deszczu, sposepniała. Zmrużył oczy. Blady, z zimną wściekłością w oczach, zbiegł do mnie po schodach.

- Ty mały cwelu! - zawołał. - Coś ty powiedział?

Cofnąłem się o krok, ale od razu się na mnie rzucił. Złapał mnie za kołnierz i jednym ciosem powalił w błoto, potem czubkiem buta kopał mnie po żebrach. Z płuc uszło mi całe powietrze, po klatce piersiowej rozlał się ból.

- Zastrane bękarty! Wszyscy wyładujecie w szpitalu! Słyszycie?

- Wystarczy, Darrell - zarządził Stary, ale i tak dostałem ostatniego kopniaka, po którym zakaszałem i przeturlałem się po ziemi. - Wstań, mały - dodał.

Jakoś wykonałem polecenie: podniosłem się na kolana, potem stanąłem na nogach, zgięty w pół, trzymając się za boki. Nad naszymi głowami grzmiało, smagał nas wiatr. Zamrugalem - z bólu i z powodu deszczu, który spływał mi po ubłoconej twarzy. Miałem wrażenie, że pod skórą jakieś szpony ściskają mi żebra.

- Wytłumacz się.

Zawahałem się.

Za to, co zamierzałem powiedzieć, równie dobrze mogli załatwić nas wszystkich. Zwłaszcza w sytuacji, gdyby to Darrell zabił Naomi. Ale nie sądziłem, by to zrobił. Przynajmniej nie bezpośrednio. Jak już mówiłem, on najpierw by ją zgwałcił. Może jednak Darrell coś wiedział. Przełknąłem ślinę, zapomniałem o cementowej kuli tkwiącej w moim żołądku i zacząłem opowiadać o scenie, której poprzedniego dnia byliśmy z Charliem świadkami.

- Boże, nie... - jęknął Charlie za moimi plecami.

Teraz wszyscy na mnie patrzyli. Kobiety i mężczyźni. Ich spojrzenia były więcej niż wrogie - były mordercze. Im dłużej opowiadałem, tym cięższa robiła się cisza. Zakłócały ją tylko pomruki burzy i porywisty wiatr, który kołysał gałęziami. Pomyślałem, że właśnie podpisuję swój wyrok śmierci.

- Przyjechałem, żeby się dowiedzieć, co jest na tym pendrive - zakończyłem. - To wszystko. Wiem, że pan nie ma nic wspólnego z zabójstwem Naomi, i tak czy owak, nic nie powiem policji, ma pan moje słowo - dodałem drżącym głosem.

- Słyszycie? - zakpił Darrell, odwracając się w stronę tarasu. - Nie powie policji. Mamy jego słowo!

Potem uderzył mnie w twarz - myślałem, że urwie mi głowę - I znowu wylądowałem w błocie. Pokręciłem głową i poruszyłem żuchwą - moje skronie i kark przeszły ból. Na języku poczułem smak krwi i błota.

Podniósł mnie za kołnierz, podrywając z ziemi mój przemozczony tyłek.

- Zabiję cię! - zawołał i myślę, że w tamtej chwili rzeczywiście miał taki zamiar.

- Darrell, co to za historia z tym pendrive'em? - odezwał się Hunter Oates za jego plecami.

Puścił mnie. Znowu klapnąłem w błoto.

- Nie przy nich - powiedział.

- Masz coś wspólnego ze śmiercią tej dziewczyny? - zapytał Stary.

- Co? - odwrócił się i splunął na ziemię. - Nawet nie wiem, kim jest ta dziwka. Może któregoś dnia ją przeleciałem, ale nie przypominam sobie. Gdybym miał spamiętać wszystkie cipki, które pieprzyłem...

Zacisnąłem zęby, próbując opanować zaślepiającą mnie nienawiść. Stary bez przerwy wpatrywał się we mnie przenikliwie. Koszula na jego szerokiej kłacie przesiąkała deszczem. Siwe włosy przykleiły mu się do czoła.

- Czego ty chcesz, mały? - zapytał.

Ukląknę na piętach, opierając dłonie na ubłoconych kolanach, odsunąłem z czoła mokry kosmyk.

- Chcę wiedzieć, co jest na tym pendrivie i co było w komputerze, który Taggart i on spalili. Nic więcej.

- Dlaczego?

- Dlatego, że pański syn i Taggart byli na promie tego wieczoru, gdy zniknęła moja dziewczyna - zakasłałem i splunąłem krwią i błotem. - I że mógłbym pójść opowiedzieć to wszystkim policji, jeśli nie dacie mi tego, czego chcę.

Zobaczyłem, że twarz Starego spochmurniała, a z jego oczu zniknęła wszelka życzliwość i człowieczeństwo. Poczułem na karku lodowaty powiew. No tak, tym razem przesadziłeś,

pomyślałem. Jesteś nieżywy. Wszyscy jesteście nieżywi.

Wszyscy wpatrywali się w Starego, czekając na jego reakcję.

- Grasz w bardzo niebezpieczną grę, pieprzony smarkaczu. Mógłbym poszczuć psy na dwóch z was, dupki, w okamgnieniu rozszarpałyby wam gardła. Potem, niby w ramach powstrzymywania ich, dwie lub trzy zabłąkane kule i proszę, mielibyśmy nieszczęśliwy wypadek. O tak, dramat. - Pokręcił głową. - Oczywiście musiałbym uśpić Bashara i Kim Dzonga, moje serce by krwawiło, ale czasami trzeba coś poświęcić. - Jego łagodny, chrypiący głos był czarny jak chmury nad naszymi głowami.

Zadrżeliśmy. Grdyka uwięzła mi w tchawicy. Odchrząknąłem.

- Jeśli nie wrócę, by nacisnąć guzik, filmik, który właśnie jest rejestrowany, trafi prosto do komputera szeryfa. Tak jest zaprogramowany. Poza tym na Glass Island jest ktoś, kto wie, że tutaj jesteście.

- A może byśmy tak poddali ich torturom, żeby się dowiedzieć, gdzie jest to nagranie i kim jest ta osoba? - zasugerował Darrell, spoglądając na mnie migdałowymi oczami. Najgorsze było to, że nie żartował.

- Jesteś jak moi synowie, mały. Masz jaja - ocenił mnie Stary w zamyśleniu. - Masz jaja, ale nie masz rozumu. Ta historyjka z filmem to bief.

Dyskretnie zerknąłem na stojących na tarasie Huntera i Blayne'a. Gdyby się teraz wymknęli, oznaczałoby to, że nie wyjdziemy stamtąd żywi.

- Darrell, idź zrobić kopię tego pendrive'a i daj ją małemu - rozkazał Stary. - Potem ty i Hunter zabierzecie ich nad jezioro i... zróbcie tak, żeby nigdy, ale to nigdy nie mieli ochoty tutaj wracać. Jasne? - Darrell skinął głową ze zrozumieniem: wyglądało na to, że słowami „nad jezioro” Stary trafił w dziesiątkę; Charlie, Shane, Johnny i ja spojrzeliśmy po sobie. - Tylko żadnych głupstw, rozumiano? - dodał, a potem zwrócił się do Shanea: - Ty już tu byłeś. - Pochylił się lekko do przodu. - Zatem jesteś odpowiedzialny za przyprowadzenie ich tu bez naszego pozwolenia. Zostaniesz ze mną. Porozmawiamy sobie,

dopóki oni nie wrócą. Rozumiesz chyba, że nie powinienes robić głupot i że coś takiego wymaga kary, kumasz to, mały?

Chyba nigdy nie widziałem, by twarz Shane'a była taka blada, taka zmieniona.

- Tak, psze pana - wyjąkał i w tej chwili naprawdę zacząłem się o niego bać.

TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ

Noah wrzucił po monecie do automatów z gazetami przed Blue Water Ice Cream Fish Bar na przystani promowej w East Harbor. Wrócił do lśniącego forda crown victoria w kolorze szary metalik z „Seattle Timesem” i „Islands’ Sounderem” w dłoni.

Słony wiatr rozwiewał jego siwe włosy i połę czarnego płaszcza, wczepiając się w nogawki spodni - również czarnych - jak palce dziecka. Noah usiadł z powrotem za kierownicą i sięgnął po kubek z kawą, przyglądając się wysypującym się ze szkolnego autobusu uczniom młodszych klas z torbami na paskach. Niezdyscyplinowana, rozbrykana gromada skierowała się w stronę trapu dla pieszych. Za młodzi... Zobaczył też faceta w żółtej kamizelce, który, jak co ranka, przystępował do kierowania ruchem. Gość miał twarz pijaka: przekrwione oczy, skórę na nosie i policzkach pokrytą siatką niebieskich żyłek. Chyba żeby ową świeżą cerę zawdzięczał wiatrom wiejącym na pełnym morzu.

Noah spojrzał na innych bywalców: wysoką kobietę o długich, siwych włosach i końskich rysach, grubasa w garniturze o aparycji urzędnika bankowego, brodacza w koszuli drwala i czapce Oreas Island, parę około trzydziestki przez trzy poranki z rzędu sprzeczącą się w samochodzie, kobietę krzyczącą na mężczyznę, który wsiadał z głową wciśniętą w ramiona, zaciskając zęby i mrużąc oczy, i innych pasażerów. Zobaczył też grupę nastolatków. Przyjechali wiekowym pick-upem gmc i starym fordem: dwie śliczne dziewczyny, ruda i brunetka oraz trzech chłopaków: rudzielec, grubasek, który musiał być pokładowym wesołkiem i trzeci - szczuplejszy, bardziej ponury Rudzielec

chodził z rudą; ponurak z ładną brunetką. Poza tym cała piątka sprawiała wrażenie bardzo zgranej drużyny. Najwyraźniej znali się od dawna. Wskazywał na to prosty, naturalny sposób, w jaki ze sobą rozmawiali. Wśród oczekujących na prom byli też inni nastolatki, ale Noah, sam nie wiedząc dlaczego, wciąż powracał uwagą do tamtych pięciorga. Promieniowali aurą wspólnych tajemnic. Bez dwóch zdań byli jak palce jednej dłoni. Ale był jeszcze inny powód.

Znalazłszy się na pokładzie, Noah połączył się z Wi-Fi i przejrzał grupy stworzone na Facebooku przez nastolatki z East Harbor i Glass Island. Idąc po nitce do kłębka, zdołał zidentyfikować czworo z piątki małych: byli to Charles Scolnick, Johnny Delmore, Kayla McManus, Naomi Sanders. Czworo... Wyglądało na to, że trzeci chłopak, ten ponury, nie istnieje w Internecie. Nie miał profilu na Facebooku, nie miał bloga, konta na Twit-terze, nie należał do żadnego z klubów na wyspie, nie pojawiał się też na żadnym z klasowych zdjęć. Jaki szesnastolatek postępuje w ten sposób? Jaki szesnastolatek jest do tego stopnia niewidzialny w sieci?

Chyba, że tak mu kazano.

Następnym razem Noah podszedł do pijaka w żółtej kamizelce. Zaproponował mu papierosa.

- Co za pogoda! Skwar zelżał, co?

Facet klasnął w dłonie.

- Pan nietutejszy, prawda?

- Prawda. Szukam lokalu do kupienia w okolicy - odpowiedział Noah. - Właśnie sprzedałem bar w Seattle. Działał świetnie, ale miałem za dużo roboty i zabójcze godziny pracy. Chciałbym otworzyć coś takiego tutaj: sympatyczną knajpkę w boazerii i miedzi, z fajną muzyką i przede wszystkim z dobrym piwem i szkocką, rozumie pan?

Pijaczyna rozumiał doskonale. Jego przekrwione oczy już się świeciły na taką perspektywę.

- Widzi pan tego chłopaka o czarnych włosach? Mam wrażenie, jakbym go znał, wygląda jak syn moich przyjaciół, Websterów.

Mężczyzna zarechotał.

- Zdziwiłbym się. Ten dzieciak ma dwie mamusie. Nastolatek wychowywany przez dwie kobiety, wyobraża pan to sobie? Nazywa się Henry. Henry Walker.

Noah zadzwonił do Jaya i opowiedział mu tę historię. Był pewien, że Jay i Augustine uruchomią cały arsenał Agencji - co skądinąd przypominało zrzucanie bomby jądrowej na komara - i jeśli na temat tego chłopaka istnieją jakieś informacje, znajdą je.

Dalej obserwował ich na promie z miną jakby nigdy nic, znad kiepskiej kawy, którą sączył oparty łokciami o barową ladę. Potem przechadzał się po pokładzie między pasażerami, nadstawiając ucha. Nie posunął się jednak za wiele do przodu. Na tej wyspie nie lubiano obcych. Poza jednym czy dwoma pijakami i jedną gawędziarą, która prowadziła sklep z pamiątkami, tutejsi mieszkańcy nie otwierali się łatwo. Trudno było pociągnąć ich za język. Ale dostrzegał też dobre strony swojej sytuacji: miał pokój z widokiem na zatokę - przepiękną poza tymi częstymi przypadkami, gdy spowijała ją mgła lub padał deszcz - powietrze było mniej zanieczyszczone niż w mieście, a praca lepiej płatna i bez porównania mniej niebezpieczna niż tropienie członka jakiegoś gangu, bikersów ujaranych własnym towarem czy skorumpowanego gliny.

Trzy dni później Noah Reynolds otworzył gazetę i po raz pierwszy poczuł, że coś się dzieje. Na pierwszej stronie „Seattle Timesa” znajdował się artykuł pod tytułem:

Zwłoki dziewczyny znalezione na Glass Island

Następnego dnia pojawił się kolejny artykuł ze zdjęciem.

Nie miał wątpliwości - to była brunetka, która chodziła z tym ponurym małym chłopcem. Nazywali ją Naomi. Tak, to była Naomi Sanders. Gazeta podała jej nazwisko. Na jednej z plaż Glass Island znaleziono jej ciało. Została zamordowana. To zmieniało wszystko! Przekonał się o tym, wychodząc tego ranka na

balkon: armada dziennikarzy telewizyjnych, radiowych i prasowych już przyplęła. Krążyli po marinie i centrum jak mrówki, które znalazły drogę do spiżarni. Teraz mógłby z większą łatwością wtopić się w tłum nowo przybyłych, nie był jednak pewien, czy ułatwiłoby mu to śledztwo wśród i tak już do głębi nieufnych mieszkańców wyspy. Musi porozmawiać z Berndem Kruegerem. Jak najszybciej.

DIABLO

- Zwolnij - powiedział Hunter Oates.

Siedział na fotelu pasażera, a Charlie i Johnny - z tyłu.

Darrell Oates jechał za nimi swoim monstrualnym czarnym fordem f-350 super duty.

Na samej górze pojawił się zakręt. Poniżej widać było jezioro Diabło z dwiema wysepkami, wciśnięte między porośnięte świerkami zbocza. Woda miała szarawą barwę, a widoczne w tle góry, których szczyty ginęły w chmurach, pokrywał śnieg. Wokół samochodu wiał wiatr.

- Wjedź na ten plac. - Hunter wskazał niewielki parking z ubitej ziemi po drugiej stronie zakrętu.

Przeciąłem szosę.

- Jeszcze prosto. Jeszcze...

Moja grdyka natychmiast podjechała do góry. Dojechałem do skraju nasypu. Przede mną był stromy stok porośnięty krótką trawą, a poniżej urwisko opadające w stronę jeziora, wokół którego jak wyniośli strażnicy rosły potężne świerki.

- Jeśli spróbujecie wysiąść, zabiję was - zagroził Hunter i wyszedł na zewnątrz.

Spojrzałem w lusterko i zobaczyłem, jak wsiada do super duty, którego ogromna bryła zasłaniała cały widok. Rozmawiał z Darrellem, obserwując nas przez przednią szybę.

- Co oni kombinują? - odezwał się Charlie.

Nagle zobaczyłem, jak super duty rusza. Jego przednie orurowanie stuknęło w mój zderzak i ford zaczął posuwać się do przodu.

- Nieeeeeee! - zawołał Johnny. - Oni nie zamierzają słuchać Starego! Kurwa mać, zabiją nas!

Z całej siły wcisnąłem hamulec. Na próżno. Ford wciąż toczył

się naprzód, popychany w stronę zbocza nieposkromioną siłą czteroipółtonowego potwora. Mieliśmy przed sobą nieuniknioną serię koziółkowali, a potem upadek z wysokości kilkuset metrów.

- Ja wysiadam! Trudno, niech mnie zastrzelą - rzucił Charlie, otwierając drzwi.

Przednie koła wgryzły się w porośniętą trawą zbocze i wkrótce straciły przyczepność. Prawie stojąc na pedale hamulca, krzyknąłem:

- Wyskakujcie! Wyskakujcie!

Wóz Darrella ciągle napierał. Johnny otworzył drzwi po swojej stronie i obaj zbierali się do skoku, kiedy f-350 nagle się zatrzymał. Usłyszałem, że wyłączyli silnik. Nabrałem duży haust powietrza; wcisnąłem kark w zagłówek, po twarzy i szyi spływał mi pot i poczułem się jak Betty Lou Oliver².

Zobaczyłem we wstecznym lusterku, jak Hunter i Darrell wyskakują z samochodu.

- Ty - nakazał mi Darrell — wyłaź. - Wy dwaj zostajecie. Jeszcze raz spróbujecie wysiąść, chłopaki, a przysięgam, że własnoręcznie zrzucę was do tego pieprzonego jeziora.

Otworzyłem drzwi i wysiادم. Na zewnątrz huczał górski wiatr.

- Chodź. - Darrell wsiadł do samochodu. - Wskakuj.

Wykonałem polecenie. Wszedłem do kabiny i usiadłem obok niego. Wokół panowały takie ciemności, jakby zapadł już wieczór, choć była dopiero druga po południu. Niebo było całkowicie zaciągnięte, a czarnych świerków i gór prawie nie było widać. W dole zauważyłem światła osady nad jeziorem. Było to skupisko baraków z pewnością przeznaczone dla robotników zatrudnionych przy tamie.

² 28 lipca 1945 roku Betty Lou Oliver była w pracy w na osiemdziesiątym piętrze Empire State Building, kiedy piętro niżej w drapacz chmur uderzył bombowiec B-25 Mitchell, który eksplodował. Ciężko poparzona kobieta ewakuowała się windą, która urwała się i spadła z wysokości siedemdziesiątego piątego piętra. Betty Lou przeżyła jednak oba wypadki i trafiła do *Księgi rekordów Guinnessa* za najdłuższy znany upadek w windzie.

Wyjął pendrive'a, podłączył i odpalił monitor na desce rozdzielczej.

- To nie jest kopia, to oryginał - powiedział. - Mój ojciec może sobie gadać, co chce. Nie dam ci kopii. Nie ma mowy. Stary drań myśli, że rządzi, ale może mi skoczyć. Obejrzysz to sobie, a potem zapomnisz, co widziałeś. Jeżeli powiesz o tym policji, jesteś martwym facetem. To znaczy, chciałem powiedzieć, nieżywym małym prawnikiem. Jeśli nie załatwię cię osobiście, zrobią to moi brachole. A gdybyśmy wszyscy trafili przez was do puszek, mamy wystarczająco dużo przyjaciół, żeby pewnego dnia przydarzył wam się jakiś paskudny wypadek, czaisz? Dobiorą się też do skóry twoim mamuśkom. Widzisz? Wiem, kim jesteś. Zrobią im krzywdę, o tak, sprawią im ból, może nawet je zgwałcą, kumasz? Dobrze im zrobi mieć kutasa w środku choć ten jeden raz. To samo dotyczy twoich koleżanek i kumpli. Załapałeś?

Skinąłem głową, zaciskając zęby. Włączył odtwarzanie. Te same obrazy, które widziałem na komputerze Taggarta. Te same postaci w czarnych spodniach i koszulkach. Mężczyźni i kobiety. Stary drewniany kościół przerobiony przez Natea Hardinga na teatralne atelier. Film nakręcony przez szybę, bez wiedzy aktorów. Przełknąłem ślinę. Znowu się poklepywali. Gratulowali sobie, dodawali sobie otuchy.

A potem... Potem zaczęli się rozbierać. Dotykać. Pieścić.

Większość ciał była dojrzała, było jednak kilka młodszych osób. Te cieszyły się największym powodzeniem. Dłonie innych przesuwaly się po ich skórze, nie omijając żadnego zakątka ich ciała. Coraz głośniejsz oddychałem, miotając się między fascynacją a odrazą.

- Pieprzne przedstawienie, co? - skomentował Darrell.

Pochylony nad deską rozdzielczą nie mogłem oderwać wzroku od monitora. Film był całkowicie niemy, ale to nie szkodzi: można było się domyślić tych westchnień, jęków...

Następnie przeszli do penetracji; mieszanie ciał i kończyn, narządów płciowych i odbytów, miszmasz, orgia, burzliwe i frenetyczne bachanalia.

Moją uwagę przykuł w szczególności jeden detal.

- Kto to sfilmował? - zapytałem z zaciśniętym gardłem.

- Taggart.

- Po co nakręciliście ten film?

- A jak myślisz? Żeby szantażować tych pięknych panów i panie, dupku. Wszystkich namierzylśmy. To szychy - powiedział z naciskiem. - Szacowne osobistości z East Harbor. Zamierzaliśmy zrobić im upominek na Gwiazdkę: śliczny, zupełnie wyjątkowy filmik.

- Nie zrobiliście tego?

Pokręcił głową.

- Ktoś nas ubiegł.

- Kto?

Po ciemnym niebie przemykały błyskawice. Wzruszył ramionami.

- Żebym to ja wiedział... - Uśmiechnął się. - Widzisz, złamasie? W końcu ktoś zaszantażował mistrza szantażu. Kurwa, czyż to nie piękne? Ktoś zaszantażował Darrella Oatesa. Zatkano cię, co? Trzeba naprawdę mieć jaja, dobrze myślisz.

- Chodziło o ten filmik?

Znowu pokręcił głową.

- Nie, jasne że nie - powiedziałem, nagle rozumiejąc. - Chodziło o to, co było w komputerze Taggarta, który spaliliście.

- Właśnie.

- A co w nim było?

- Robisz się zbyt dociekliwy, szczeniaku. Powiedzmy, że były tam kompromitujące dowody naszych małych interesów. Moich i Jacka... Dowody, które dostaliśmy e-mailem.

- Dowody, które wpadły w ręce tego mistrza szantażu?

- Otóż to.

Nagle w szyby samochodu chlusnął deszcz; usłyszałem, jak jego krople stukają o dach.

- Jak on to zdobył?

- Oto pytanie za sto dolców, chłopie. Gdybym się tego dowiedział, wiedziałbym, kto za tym stoi.

- Gdy siedziałem w lesie, słyszałem, jak mówiliście, że zaraz

przyjadą gliny.

- To chyba logiczne, nie? Jack był na promie, ja też, jak zauważyłeś. A on ze swoją przeszłością i chatą w środku lasu, gdzie mieszka sam jak ten dupek, ma na Glass Island paskudną reputację.

- Nie chodziło tylko o to - nalegałem. - Wyglądaliście na raczej zdeterminowanych.

Znowu na mnie spojrzął, a potem się uśmiechnął, jakby zamierzał mi opowiedzieć świetny dowcip.

- Ktoś nas ostrzegł.

- Ostrzegł?

- Że ludzie szeryfa przyjadą z rana przetrzepać chałupę Jacka i las. Jack pierwszy dostał e-mail od wtyki na temat naszych interesów. Potem taka sama wiadomość przyszła do mnie. Chciałem się więc upewnić, czy zrobi z tym cholernym komputerem co trzeba, zanim zjawią się psy.

- Ktoś z biura szeryfa? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Więcej nie musisz wiedzieć, dzieciaku. I przestań mnie, dupku, bajerować. Wiesz już wszystko, co powinieneś wiedzieć. Nie ma nic więcej. A teraz wysiadaj i zjeżdżaj. Jeżeli jeszcze kiedykolwiek o was usłyszę...

- I nie macie żadnego pomysłu, kim mógłby być szantażysta? - nalegałem.

Zawahał się. Pokręcił głową.

- Nie mamy zielonego pojęcia - westchnął. - Próbowałem znaleźć tego drania, możesz mi wierzyć, to cholerny cwaniak. Ciągłe zmienia sposób działania. Za pierwszym razem miałem zostawić na promie otwarty samochód z kopertą w schowku i iść do baru. Za drugim, rozumiesz, zamontowałem w środku kamerkę, ale on zadzwonił z zastrzeżonego numeru, kazał wrzucić forszę do kosza na śmieci w East Harbor i odpłynąć najbliższym promem. Zostawiłem na wyspie swojego człowieka, który pilnował tego kosza przez cały pieprzony dzień i noc. Nikt się nie zjawił. W końcu przyszli goście z zakładu oczyszczania i forsa skończyła w śmieciarce! Drań zadzwonił do mnie i powiedział, że jeśli jeszcze raz zrobię coś takiego, gliny za

godzinę otrzymają dowody naszych przekrętów. I zażądał potrójnej sumy.

- Jaki miał głos? Młody czy stary? To był facet czy kobieta?

Czułem, że rozgrzewa się w miarę mówienia. Ta sprawa go wkurzała, ale jednocześnie fascynowała.

- Nie mam, kurwa, pojęcia. Dostaję tylko esemesy i e-maile. Nie jest głupi. Myślę, że to może być ktoś, kogo znam. Ale powiem ci coś innego, mały: jeśli dorwę skurwysyna, pożałuje, że jego dziwka matka wydała go na ten świat. Dam mu wycisk i to porządny. Wydłubię draniowi oczy łyżką, a z jego jelit zrobię przewody chłodnicy. I to wszystko, zanim zdąży zdechnąć.

Nie brzmiało to jak słowa rzucone na wiatr, choć na pewno trochę koloryzował. Schylił się i otworzył mi drzwi.

- No już, spieprzaj. Hej, Walker! - rzucił za mną, gdy stałem już na zewnątrz. - Tylko mnie nie wysyp. Nie próbuj mnie wyruchać, dupku.

Wiatr rozwiał mi włosy. Skinąłem głową. Niepotrzebnie: próba wykiwania Oatesów była jak zabawa nitrogliceryną albo C4. Hunter walnął mnie w plecy z taką siłą, że moje kości zaklekotały, i zajął moje miejsce na fotelu pasażera. Drzwi trzasnęły i super duty na pełnym gazie ruszył do tyłu. Z piskiem opon zrobili ciasny nawrót i odjechali.

Wolno, z pustką w głowie, doszedłem do forda. Z całego filmu przed oczami pozostał mi tylko obraz jednej z młodych, nagich kobiet w maskach: miała skórę poznaczoną bliznami.

POWRÓT

W drodze powrotnej prawie się nie odzywaliśmy. Kiedy Charlie i pozostali chcieli wiedzieć, o czym rozmawiałem z Darrellem i co było na pendrivie, opowiedziałem o nagraniu, o szantażystce i o orgii, ale pominąłem wątek Naomi.

Na wspomnienie o niej myślałem, że zwariuję. Oczami duszy wciąż widziałem ten obraz: naga Naomi w masce wśród tych mężczyzn i kobiet dwa albo trzy razy starszych od niej... Gdy dojeżdżałem do ostatnich zakrętów przed Concrete, musiałem natychmiast zatrzymać forda i wypadłem na zewnątrz, by wymiotować.

Ale najgorzej miały się sprawy z Shane'em: bałem się, że zobaczę go straszliwie pokiereszowanego, ale nie było widać żadnych ran. Przynajmniej na zewnątrz. Bo poza tym miał szarawą twarz i nieobecne spojrzenie, jakby gdzieś zabłądziło albo po prostu zostało tam na górze. Na promie usiadł na uboczu po drugiej stronie alejki, trzymając pod stołem zaciśnięte pięści. Wyglądał na zmęczonego, smutnego, śmiertelnie znużonego. Patrzył prosto przed siebie, a mową ciała dawał nam do zrozumienia, by trzymać się od niego z daleka. Wstałem jednak od naszego stolika i usiadłem obok niego.

- Wracaj do nich, Henry. Chcę być sam. - Był opanowany, ale w jego głosie dało się wyczuć olbrzymie napięcie. Zimny dreszcz przebiegł mi przez całe plecy.

- Co się działo tam na górze, ze Starym?

Odwrócił głowę w moją stronę. Jego czarne oczy błysnęły matowo. Znowu mnie zmroziło.

- Słyszałeś, co ci powiedziałem? - Ale najwyraźniej coś mu się przypomniało, bo dodał: - Coś przed nami ukryłeś. Co

zobaczyłeś na tym nagraniu, że jesteś w takim stanie?

Powiedziałem mu. Nachmurzył się jeszcze bardziej, a jego oczy przygasły. Przez chwilę wydawało mi się, że złapie mnie za kołnierz i potraktuje jak oszusta. Pokręcił głową.

- Kurwa, Naomi z tymi knurami... Nie mogę w to uwierzyć. Jesteś pewien, że to była ona?

- A co, myślisz, że powiedziałbym ci o tym, gdybym nie był pewien? Co? Szlag mnie trafia tak samo jak ciebie. To była ona, Shane, nie ma najmniejszych wątpliwości.

Z całej siły kopnął w ławkę naprzeciwko.

- Pójdziemy do tego drania Hardinga i wszystko nam wyśpiewa - rzucił.

Skinąłem głową.

- Jutro po pogrzebie - powiedziałem. - To nam nie przeszkodzi w uszanowaniu jej pamięci, nie?

Spojrzał na mnie smutno i zgodził się ze mną.

- Jasne. To przecież nie była ta Naomi, którą znaliśmy. To niemożliwe. Musieli ją naszprycować albo coś w tym stylu.

Przytaknąłem. Ale nie byłem tego taki pewien. Przypomniałem sobie jej wahania nastroju, milczenie, roztargnienie i wszystkie te ślady na skórze. Nie powiedziałem jeszcze o jednym: w ostatnim czasie Naomi się zmieniła. Nie chodzi tylko o samookaleczenia. To była głęboka zmiana. Stała się bardziej mroczna, bardziej tajemnicza, mniej spontaniczna. Zauważył to nawet Johnny, w przerwie między kolejnymi skrętami zzerającymi jego mózg. Któregoś dnia, z nagłym błyskiem przenikliwości w zamglonych oczach, szturchnął mnie i zapytał: „Co z nią?”. Zapomniałem, przy jakiej to było okazji, ale pamiętam odpowiedź Kayli: „Pewnie ma okres. Kurwa, zachowuje się naprawdę dziwnie”.

Przystąpiłem do ataku.

- Jesteś pewien, że nie chcesz pogadać o tym, co się stało?

Shane złapał mnie za kołnierz i wycedził prosto w twarz:

- Jeśli mogę ci coś poradzić, to lepiej, żebyś wracał na miejsce. - Jego głos był tak ostry, tak przepełniony groźbą, że podziałał na mnie jak policzek.

Posłuchałem go. Burza zesła z gór i podróż na Glass

Island była ponura jak kondukt pogrzebowy. Nikt się nie odzywał. Od czasu do czasu zerkalem na Shane'a. Nie widzial nas. Patrzyl prosto przed siebie. Chwilami drzaly mu wargi.

Kiedy podjeżdzałem pod dom, zawahałem się. Choć myłem się w toalecie na promie, moje ubrania nadal były przemoczone i uwalane błotem, a żebra bolały mnie tak mocno, że trudno mi było utrzymać się w pionie. Zaparkowałem kawałek dalej i w potokach deszczu przemknąłem ku werandzie. Zajrzałem przez szybę. Pusto. Rzyk-fizyk! Otwierając cicho drzwi, przez szum ulewy usłyszałem dochodzący z salonu głos Liv:

- Nie, to jest telefon na kartę, dzisiaj go kupiłam.

Zastanawiałem się, o czym ona mówi. Ton jej głosu - przyciszony, jakby coś knuła - wzbudził moją podejrzliwość. Zamierzałem wejść prosto na piętro, ale zmieniłem zdanie i stanąłem na dole schodów.

- Myślę, że są na naszym tropie, że nas odnaleźli. Popęniłam głupstwo, Frank, byłam nierozsądna.

Z kim ona, u diabła, rozmawiała? I o czym? Z jej głosu wyczułem nie tylko, że spiskuje, ale także że się boi.

- Co robimy? Masz jakiś pomysł?

Miałem nieprzyjemne wrażenie, że nie tylko nie powinienem podsłuchiwać tej rozmowy, ale także, że ten mój postępek może mieć dla nas wszystkich katastrofalne skutki. A potem pomyślałem jeszcze raz o wydarzeniach ostatnich czterdziestu ośmiu godzin i poczułem, że ogarnia mnie nieposkromiona ciekawość.

- Frank, nie możemy rozmawiać o tym przez telefon. Jutro o szesnastej w Shirley's, okay?

W zakamarku mózgu zanotowałem godzinę i miejsce. A potem zniknąłem.

POGRZEB

Następnego dnia na pogrzebie Naomi były tłumy jak w wielkie święto. Ze względu na nieobecność rodziców pochówkiem postanowiły się zająć urząd miasta i parafia Świętego Franciszka. Ceremonia religijna miała się odbyć w kościele katolickim o jedenastej, ale parking był pełny już godzinę wcześniej. Stały tam nie tylko samochody mieszkańców, ale także pojazdy należące do prasy oraz trzy wozy transmisyjne, których wielkie paraboliczne korony wyglądały jak profanacja.

Burza jeszcze się nasiliła. Niebo przybrało kolor prochu, na ulicach East Harbor podmuchy wiatru miotały bryzgami wody jak prześladowające przechodniów złe duchy, pod których wpływem skrzypiały szyldy i trzepotały chorągiewki. Osoby przybyłe na pogrzeb biegły, by schronić się w kościele. Kiedy z Charliem na czele weszliśmy do środka, ławki były już pozajmowane, ale przeparadowaliśmy główną alejką i zmusiliśmy parę osób w drugim rzędzie, żeby się przesunęły. W kościele panowała napięta atmosfera - bardziej nerwowość niż skupienie - czemu winne były na pewno okoliczności śmierci Naomi. Poczulem na ramionach ciężar wielu spojrzeń. Wzrokiem szukałem matki Naomi. Nie było jej. Od śmierci córki nikt jej nie widział. Wiedziałem, że ludzie w szkole plotkują i krążą najbardziej szalone hipotezy. Gdzie się podziała? Byłem pewny, że wszyscy w tym budynku myślą tylko o tym, że jej nie ma. W rzędach po prawej stronie zauważyłem szeryfa Kruegera i jego zastępców: Chrisa Platta i Nicka - brata Charliego. Jego rodzice siedzieli zaraz za nimi; matka Charliego odwróciła głowę w moją stronę i uśmiechnęła się. Potem rozglądałem się za Liv i France, a kiedy je znalazłem, France posłała mi długie, czułe spojrzenie i

poczułem się mniej samotny. Na miejscu była też cała szkoła z Pencey Island, słoczona w ostatnich rzędach. Dziewczyny patrzyły na mnie z końca kościoła i byłem przekonany, że aż je świerzbi, by sięgnąć do kieszeni po komórki. Byli nawet młodzi Indianie Lummi, którzy znali Naomi jako dziecko, kiedy cała rodzina mieszkała w rezerwacie na zachód od Bellingham.

Drewniane sklepienie kościoła Świętego Franciszka przypomina odwrócony kadłub statku. Odbyło się tu niejedno ostatnie pożegnanie przy pustej trumnie, na jednej ścianie wisi tablica upamiętniająca zaginionych na morzu, których lista jest niewiele krótsza od spisu w porcie Ballard. Trumna Naomi nie była pusta. Była zapieczętowana. Nie przewidziano wystawienia zwłok. Gość z zakładu pogrzebowego nie był w stanie dokonać cudu i pomyślałem, że oprócz glin byłem być może jedyną osobą, która widziała jej twarz p o. Ułożona na dwóch kozłach trumna tonęła pod stosami kwiatów - goździków, białych róż, pomarańczowych lilii, a obok na sztaludze ustawiono duży czarno-biały portret. Uśmiechała się na nim. Była piękna, promienna. Jej usta lśniły delikatnym blaskiem; patrzyła wprost w nasze twarze. Musiałem odwrócić oczy. Czuję się źle na duszy i ciele, które wciąż pamiętało ciosy Darrella. Miałem wrażenie ogłuszenia, falowania, jakby moje ubrania wypełniało powietrze.

W pewnej chwili, oślepiony promieniem słońca, który zdołał się przebić przez chmury i witraże, odwróciłem głowę i zobaczyłem go. Nate Harding, o ufarbowanych na czarno włosach i koziej bródce a la Mefisto, ubrany był w zbyt dopasowany cienki czarny sweter i długą kurtkę ze świńskiego zamszu, która w tych okolicznościach wyglądała prawie niestosownie. Ponieważ wyczuł mój wzrok, spojrział w moją stronę i nasze oczy się spotkały. Nie odwrócił wzroku. Patrzył na mnie i miałem wrażenie, że na jego ustach widzę delikatny uśmiech. Na moment w moim wnętrzu na nowo zapłonął żar gniewu.

Wróciłem do obserwowania zgromadzonych. Przypomniałem sobie słowa Darrella Oatesa: „Szacowne osobistości”. W kościele zebrało się prawie całe East Harbor. Na pewno byli tu

ci, których widziałem na filmie, mężczyźni i kobiety o dojrzałych, pomarszczonych ciałach. Ci gorszyciele, którzy dziś siedzieli w kościele i z cichą pogardą pluli w twarz Chrystusa, którego widziałem na ścianie z głową zwieszoną na piersi, dźwigającego brzemię ludzkości. Choć miałem dystans do religii, poczułem, że ich obecność jest jak cierń raniący moje ciało, jak bluźnierstwo rzucone Bogu w twarz. Znowu spojrzałem na Hardinga: tym razem słuchał przemawiających, a jego rysy były nieznośnie spokojne.

Jako pierwszy wystąpił Jim Lovisek. Pełnym współczucia i powściągliwości głosem wspominał Naomi jako wybitną, wyjątkową uczennicę, zaangażowaną w działalność pozalekcyjną, i wzruszył publiczność opowiadaniem o własnej córce, która zmarła w wieku trzynastu lat.

- Z pewnością to właśnie Naomi przypominała mi ją najbardziej, była do niej bardzo podobna - powiedział.

Gdy znowu odwróciłem głowę, zobaczyłem wilgotne oczy wpatrzone w pustkę oraz dłonie ściskające chusteczki i usłyszałem kilka dyskretnych pociągnięć nosem. Następnie głos zabrała Kayla. W zabawny sposób opowiadała o swojej „najlepszej przyjaciółce”, „siostrzanej duszy”, „nieznośnej perfekcjonistce”, „przeraźliwie drobiazgowej”, „masakrycznie moralizującej” i „po prostu genialnej”, potem o ich niekończących się dyskusjach, gdy miały po trzynaście lat, o tym, kto jest bardziej cool, Robert Pattinson czy Daniel Radcliffe. Słuchacze się śmiali, atmosfera stała się luźniejsza. Dzięki, Kayla. Jeden z przedstawicieli plemienia Lummi wspominał o jej częstych pobytach w rezerwacie, gdy była młodsza, i o podziwie, jakim darzyły ją pozostałe dzieci.

Następnie do kazalnicy podszedł ksiądz.

- Życie jest krótkie - oświadczył przez mikrofon i atmosfera znowu nabrzmiała powagą. - Przed nami jest noc. Nie prosiliśmy o narodziny, nie prosimy o śmierć. Żyjąc na tym świecie, cierpimy i sami sprawiamy cierpienie. Niektórzy sprawiają go więcej niż inni. - Popatrzył na nas i podniósł rękę. Każde jego słowo brzmiało równie dobitnie jak odgłos kija bejsbolowego uderzającego piłkę. - Diabeł krąży.

Zastanawiacie się, jak to możliwe, by tak piękną dziewczynę, tak niewinną nastolatkę - (mięśnie żuchwy chodziły mi pod skórą; oparłem się pokusie, by znowu zerknąć na Hardinga) - tak uczciwą, tak uczynną, tak przez wszystkich lubianą spotkał tak okrutny los. Nie wiem tego. Nie mam odpowiedzi, której mógłbym wam udzielić. Nie jesteśmy tu dziś po to, by rozumieć. Świat jest niezrozumiały. Ale przecież jego przemoc, masakry, niesprawiedliwość i okrucieństwa wypływają z jednego źródła: z nas. Tylko my za nie odpowiadamy. Taką wolność zostawił nam Bóg. I taki ciężar. - Słowa „noc”, „narodziny” i „śmierć” wbijały się w nas jak gwoździe w wieko trumny; jakbyśmy byli w środku któregoś z filmów Bergmana, które uwielbiały oglądać moje mamy. Mężczyzna w koloratce nabrał powietrza, a my razem z nim. - Śmierć zawsze jest skandalem - powiedział. - A śmierć dziecka, szesnastoletniej dziewczyny, to skandal podwójny. Naomi na zawsze zostanie w naszych sercach jako uosobienie życia i entuzjazmu, uosobienie przyszłości. To wydaje nam się tak nielogiczne, tak niesprawiedliwe.

Dalej nie słuchałem. To było więcej, niż mogłem znieść. Moje uszy się zamknęły, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy, i mój umysł powędrował gdzie indziej. Znowu rozmyślałem o szantażyście... O Darrellu Oatesie, o Jacku Taggarcie, o Nacie Hardin- gu. Czy to w tym kierunku należy iść w sprawie śmierci Naomi? Czyjej zabójca kryje się pośród tych ludzi w maskach? Czy może należy szukać wśród pasażerów, którzy tamtego wieczoru byli na promie?

Ceremonia trwała około dwóch godzin. Przy kazalnicy zmieniali się przemawiający. Były śpiewy. Wszyscy mieli nadzieję, że wielkie dębowe drzwi się otworzą i pojawi się w nich matka Naomi, ale nie przyszła. Na pewno wszyscy myśleli o jej nieobecności. Czy w ogóle żyła? Czy miała coś wspólnego z tym, co spotkało jej córkę? Każde z nas zadawało sobie te pytania. Po południu towarzyszyliśmy Naomi w jej ostatniej drodze na cmentarz: kilka krótkich modlitw, trochę deszczu, dużo wiatru i koniec.

Nie płakałem ani na cmentarzu, ani w kościele. Po mszy Liv i

France były ze mną, a potem, gdy złożono trumnę do grobu, ulotniły się pośpiesznie. Kiedy wszystko się skończyło, byłem pusty, wyczerpany. Tego dnia nastąpił definitywny zgon Naomi. Widok jej trumny w kościele był dla mnie jeszcze bardziej bolesny niż widok jej ciała na plaży. Kamery telewizyjne przez cały czas wycelowane w naszą wyspę filmowały wszystko z pewnej odległości.

Charlie, Johnny, Kayla, Shane i ja skierowaliśmy się do samochodów; Paulie i Ryan ruszyli za nami, trzymając się na dystans.

- Spotkanie o osiemnastej w sklepie - powiedział Charlie.

W tej samej chwili wszyscy podskoczyliśmy, oślepieni potężnym rozbłyskiem: stare drzewo rosnące po drugiej stronie boiska do bejsbolu upadło na naszych oczach rażone piorunem. Podniosły się krzyki. Jestem pewien, że niektórzy dostrzegli w tym jakiś znak. Ale ja patrzyłem w inną stronę. Wielki facet ubrany na czarno, ten, który wyglądał jak posąg z Wyspy Wielkanocnej, stał kawałek dalej przy swoim fordzie crown victoria. I wcale nie patrzył na drzewo. Gapił się na mnie.

- A więc to tutaj się spotykacie - powiedział Shane.

I wszedł do sklepu. Oczywiście bywał tu już za dnia, ale i tak się rozglądał, z uśmiechem na ustach, jakby widział to miejsce po raz pierwszy. Powoli obszedł całe pomieszczenie, wdychając zapachy sklepu spożywczego, wałęsając się między regałami; zatrzymał się przed półką z M&M-sami, Kit Katami, Milk Dudsami, Bazookami i Skittlesami, otworzył pudełko Twinkies, wyjął dwa i wreszcie podszedł do stolików w głębi.

- Fajnie tu wieczorem.

Usiadł, rozdarł papierek i włożył ciasteczko do ust. Usłyszeliśmy mlaskanie. Charlie się nie odezwał. Upiłem łyk coli i poczułem na języku bąbelki.

- Muszę wam coś powiedzieć - oświadczyłem. Lodówki z piwem i napojami rzucały na nasze twarze słabe, różnokolorowe refleksy. - Na tym filmie była Naomi.

- Co?! - pełen niedowierzania okrzyk Kayli. Odstawiła puszkę. Mimo mroku, w jej oczach dostrzegłem powątpiewanie. - Jesteś tego pewien? Jeśli dobrze zrozumiałam, wszyscy uczestnicy byli w maskach.

- Kayla, wierz mi. Nie musiałem widzieć jej twarzy, żeby wiedzieć, że to ona.

Nic nie dodała. Minę jednak miała upartą, nieufną. Przez chwilę nikt z nas się nie odzywał. Sceny z filmu wciąż wypalały mi mózg. A potem głos zabrał Shane.

- Ja też nie powiedziałem ci o jednej rzeczy, Henry - zawa-
hał się. - W związku z tym nagraniem.

Wpatrywaliśmy się w niego w półmroku. Przesunął dłonią po włosach.

- Niech to szlag! - Walnął pięścią w stół. - No dobra... że-
byście wiedzieli. Ja też brałem udział w tych spotkaniach. Raz czy dwa... Ale potem powiedziałem tym zbokom i staruchom, żeby poszli się jebać.

- Co zrobiłeś?

- Proponowali mi hajs - usprawiedliwiał się. - Dużo. W każ-
dym razie wystarczająco.

Pomyślałem o przyjaźni, jaka łączyła Naomi i Shane'a.

- I ona tam była, kiedy ty...

- Nie, nie, przysięgam, nigdy! Nigdy jej tam nie widziałem!

- Jak to się zaczęło?

- Od aptekarki - odparł.

- Mów jaśniej!

- Ona pierwsza się do mnie zbliżyła.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy Shane nie konfabulu- je. Aptekarka była kocicą, o której fantazjowali wszyscy faceci w szkole. Piękna kobieta około czterdziestki, boskie ciało. I, jak powiedział któregoś razu Charlie: „Jej oczy pachniały cipką”.

- Zbliżyła się? Jak to się zbliżyła?

- Na promie, w maju albo w czerwcu, któregoś dnia zaczęła mnie jakby podrywać, słowo daję. Urwałem się z treningu. To było wczesnym popołudniem, prom był prawie pusty. - Posłał nam młodzieńczy uśmiech, który odjął mu co najmniej pięć lat. - Oparła się koło mnie na górnym

pokładzie. Zapytała, jak się czuje moja mama - (matka Shanea chorowała na stwardnienie rozsiane) - i jak mi idzie w szkole. Tamtego dnia była cholernie opalona i wyglądała bosko. Uśmiechała się do mnie i widziałem ramiączko jej stanika, bo zsunęła jej się koszulka... Gadaliśmy, ale to było coś więcej niż zwykła rozmowa: tak, ona ze mną flirtowała. Na odchodne wcisnęła mi swój numer telefonu. Powiedziała, żebym zadzwonił, jeśli będę czegokolwiek potrzebował, a nawet, że ma nadzieję, że zadzwonię, a kiedy to mówiła, otarła się cyckiem o moją rękę.

- Kiedy to było?

- Mówiłem, w maju albo w czerwcu.

- Kurwa, masz szesnaście lat, a ona czterdzieści! - zawołałem.

- Tak, tak, wiem. I o to chodzi. Mówiłem już, była opalona i nieziemska. Cholera, widać jej było połowę cycków!

- I co zrobiłeś? - zapytał Charlie drżącym głosem.

- A jak myślicie? No, zadzwoniłem 40 niej.

- I... przespaliście się?

- Tak. Tak. Pieprzyliśmy się. Ale nie od razu. Na początku gadaliśmy i spacerowaliśmy po lesie. Albo jechaliśmy gdzieś bądź, parkowaliśmy samochód, siadaliśmy w słońcu na jakiejś plaży. Parę razy wzięła ze sobą lodówkę z zimnym piwem i kanapki. Fajne to było...

- No i... No i jak to się odbyło? - zapytał Charlie nieco zdławionym głosem.

- A, o to ci chodzi. Cóż, jak zwykle. Któregoś dnia złapałem ją i pocałowałem. Tylko na to czekała. Kurwa, panowie, ta dziwka jest zajebista! Sorry, Kayla, ale taka jest prawda.

- Niesamowite - szepnął Charlie, jakby właśnie powiedział - no mu, że raj istnieje, a brama do niego znajduje się w aptece.

- A potem? - spytałem.

- Przez jakiś czas robiliśmy to dalej: w jej samochodzie, w domku rybackim, raz nawet na ich łódce, w ich kabinie! Była we mnie zakochana - dodał i zobaczyłem, że wypina pierś jak każdy samiec przekonany, że jest lepszy od sąsiada. - A

potem powiedziała mi, że na wyspie jest grupa dorosłych, którzy organizują spotkania. I jeśli będę zainteresowany, będę mógł się pieprzyć z innymi kobietami. Że będzie alkohol i dragi. I dadzą mi pieniądze. A gdyby mnie to kręciło, będę mógł posuwać także mężczyzn. Powiedziałem jej, że nie jestem pedałem.

- I poszedłeś tam – podsumowałem.

- Tak. Dwa razy. - W półmroku zobaczyłem, że jego oczy lśnią, a dolna warga drży. W jego spojrzeniu czaił się cień. To nie był ten Shane, którego znaleźliśmy. - Ci ludzie - ciągnął - wyglądają na dobrze ułożonych, wykształconych, sympatycznych, ale robią takie rzeczy... Za każdym razem, gdy wracałem do domu, czułem się brudny. Powiedziałem aptekarce, że nie chcę tam przychodzić. Błagała mnie! Powiedziała nawet, że jest we mnie zakochana, czujesz? - Spuścił głowę i po chwili podniósł ją z powrotem. - Najgorszy jest Nate Harding. Jest amatorem ostrego seksu, ale przede wszystkim lubił dawać młodym dragi, a potem, jak byliśmy już nieźle drętwi, kazał nam robić najbardziej obrzydliwe rzeczy. Sam tylko patrzył. Lubiał, jak byłem brutalny wobec partnerek, podniecało go to. Im coś było bardziej zboczone, tym bardziej go kręciło. Nate'owi nie chodziło tylko o podniecenie. On chciał nam zrobić krzywdę. Jego przyjemność polegała na tym, żeby nas zepsuć, zdeprawować... jako osoby, jako istoty ludzkie.

Nagle zrobiło mi się zimno. Zadrzałem na myśl o tym, że Naomi wpadła w ich ręce. O tym, co z nią zrobili. O wszystkich tych kanałiach w kościele, słuchających w spokoju kazania, z całym tym błotem w sercach.

- A inni? - zapytałem.

Wzruszył ramionami.

- Widziałeś, są w maskach. Nie odzywali się. Nigdy. Oprócz kilku kobitek, które kwiczały jak stare maciory.

- Nikogo nie rozpoznałeś?

Pomyślał chwilę.

- Rozpoznałem. Jednego rybaka z Orcas. - (Podał nazwisko). - I Howiego, barmana z Jolly Rogera, po tatuażu... To

wszystko.

Byłem w szoku. Pub, do którego chodziliśmy prawie codziennie! Nasza druga kryjówka! Kiedy Naomi siadała z nami, ten śmieć wiedział; brał w tym udział, widział ją nagą w ramionach innych mężczyzn. Stojąc za ladą, być może przypominał sobie najlepsze momenty.

- Byli tam jeszcze jacyś młodzi ludzie?

- Tak. Ale nie w moim wieku i nie stąd. Poznałbym ich. Zresztą za pierwszym razem jakiś gość zaczął z nią dyskutować z powodu mojego wieku, a ona mu nakłamała, że jestem pełnoletni, ale facet nie uwierzył.

Nagle przypomniałem sobie ten okres, kiedy pojawiły się pierwsze okaleczenia. Zmiany, jakie zaszły w Naomi. Czyżby zagroziła im, że ich wyda? Czy dlatego ją zamordowano? Podzieliłem się z nimi moimi wątpliwościami.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć - powiedział Shane lodowato.

- Harding - równie lodowato potwierdził Charlie.

- Wywali nas - powiedział Johnny. - Będzie ściemniał.

- No to co? - odparował Shane. - Kogo to obchodzi, czy mu się to spodoba czy nie? Na wypadek gdybyście, kurwa, zapomnieli, przypominam: ona została zamordowana. Wydaje mi się, że to usprawiedliwia podjęcie pewnych radykalnych środków, nie? Myślę też, panowie, że dla was to ostatnia chwila, żeby pokazać, co macie w gaciach. Nie mówię o tobie, Henry. Ty już się wykazałeś tam, na górze.

Zajęcia teatralne Natea Hardinga odbywają się trzy razy w tygodniu w dawnym kościele metodystycznym przy Mud Bay Road (drodze Błotnistej Zatoki). Adekwatna nazwa, prawda? Deszcz ustał, a my jechaliśmy na południe wyspy, zostawiając za sobą zielone wzniesienia Eagle Ridge Golf and Country Club. Szosa była mokra, dziurawa, popękana i pokryta martwymi liśćmi, które przyklejały się do opon i miały wielkość gumowych rękawic.

Kościół stoi kawałek od drogi. Przed nim biegnie półkolista

alejka ze stelą pośrodku. To drewniany budynek, niewiele większy od domku na przedmieściach, ze skromną dzwonnica nad trójkątnym frontonem. Kiedy tam dotarliśmy, było prawie ciemno. Podjazd oświetlała samotna żarówka. Nad wejściem widniały cyfry „1905”. Dalej rozciągała się łąka, a za nią tonący w mroku las. Przed budynkiem stało jakieś dwanaście samochodów.

Wysiedliśmy, uważając, by nie trzasnąć drzwiami i w milczeniu ruszyliśmy po mokrym, grząskim trawniku w stronę okien. Zajrzałem do środka. Reszta zrobiła to samo. To, co ujrzeliśmy, wprowadziło nas w osłupienie. W sali o podłodze i ścianach z surowego drewna jakieś postaci krążyły jedno wokół drugich, wykonując powolne, niezrozumiałe gesty Bose, ubrane na czarno, w milczeniu sunęły po parkiecie. Tak jak na filmie, wszystkie miały na twarzach białe maski, przez co ich wygląd był jeszcze bardziej niepokojący. Większość masek niczego nie wyrażała, ani radości, ani bólu, z trzema wyjątkami: zmarszczone czoła, gorzko opadające kąciki ust, brwi ułożone w daszek wskazywały na głęboki smutek. Nikt się nie uśmiechał. Jedyne światło padało z dwóch ściennych lampek z kloszami w kształcie tulipana. Cienie postaci mieszały się ze sobą na podłodze.

Muzykę było słycać nawet przez szyby. Rozpoznałem utwór *Lux ceterna* Mortena Lauridsena, słynnego muzyka, który część każdego roku spędza na wyspach. Scena wydała mi się strasznie przygnębiająca i - niestety - pomyślałem o tamym nagraniu. Przeszedł mnie dreszcz.

Usiłowałem zidentyfikować Hardinga, ale śpieszyłem się, bo nie chciałem, by nas zauważyli. Zasłony były rozsunięte - tym razem z pewnością inscenizacja nie miała się zakończyć orgią. Zauważyłem tylko, że jest mniej więcej tyle samo kobiet co mężczyzn. Odwróciłem się do pozostałych i Shane dał nam znak. Okrążyliśmy budynek, idąc po grubym dywanie martwych liści niegrabionych od kilku jesieni. Z tyłu, na skraju lasu, było już naprawdę ciemno, nie na tyle jednak, by nie dało się znaleźć bocznego wejścia, do którego prowadziły trzy schodki. Shane delikatnie pociągnął okratowane drzwi. Lekkie

skrzypnięcie zagłuszyła dochodząca ze środka muzyka. Naszym oczom ukazały się wąskie schody. Shane ruszył na górę, a my poszliśmy w jego ślady. Na całej szerokości sali znajdował się balkon. Skuleni przemknęliśmy do balustrady. Cienie na dole wciąż poruszały się w milczeniu, odgrywając... co właściwie? Nie miałem zielonego pojęcia. Wyglądało to tak, jakby każdy improwizował, swobodnie wsłuchując się w siebie.

Moje serce waliło jak szalone. Co oni robią? Co chcą przedstawić? I nagle zrozumiałem. Lauridsen... *Lux ceterna...* Te obojętne maski, a wśród nich pogrążone w smutku twarze. Oni oddawali ostatni hołd Naomi. Na swój sposób odgrywali żałobę. Artysta, kimkolwiek by był, pragnie uchwycić misterium życia i śmierci, wyrazić niewyrażalne, ukazać ból. Ani przez chwilę nie wątpiłem, że pomysł wyszedł od samego Hardinga, i wezbrał we mnie gniew. Co ten facet wiedział o Naomi? Mógłby być jej ojcem! Cóż za zarozumiałość, robić widowisko z jej śmierci! Jak on śmiał?

A potem nagle wszystko się zatrzymało. Muzyka. Pantomima. Włożyli buty, pożegnali się pośpiesznie i jedno po drugim wyszli. Na zewnątrz rozległ się warkot włączanych silników. Na dole rozmawiały jeszcze dwie zamaskowane postaci, następnie jedna się oddaliła, a druga została na środku sali. Bez ruchu. Był to mężczyzna atletycznej postury w smutnej masce. Harding. Przyczajony za balustradą słyszałem echo własnego przyśpieszonego oddechu. Walcząc z ogarniającą mnie słabością, wyszedłem z ukrycia. Harding zauważył ruch i uniósł głowę w kierunku balkonu. Shane, Charlie, Johnny i Kayla także wstali.

Wtedy Nate Harding zdjął maskę.

- „Niezwykła piątka na tropie” - powiedział spokojnym głosem.

Znajdowaliśmy się w pomieszczeniu na tyłach budynku. Zwyczajna kuchnia. Nasze twarze, oświetlone słabym blaskiem jarzeniówki, odbijały się w szybie. Na zewnątrz było ciemno. Nad

lodówką wisiał krucyfiks, wspomnienie dawnego przeznaczenia budowli. Harding otworzył szafkę, wyjął butelkę polskiej wódki i nalał sobie do szklanki, która stała obok zlewu. Podniósł ją do ust.

Po raz pierwszy widziałem go z tak bliska. Jakby to powiedzieć... Owszem, supermęska sylwetka, to „coś”, co przywołuje na myśl bohemę, artystowski, inteligencki wygląd, przesiąknięty seksualną energią wdzięk i nonszalancja - to wszystko w nim było, jednak z tej odległości bardziej rzucały się w oczy oznaki starzenia, zwątpienie i znużenie świadomością, że wszystkie jego marzenia legły w gruzach. Patrząc na niego, miałem wrażenie, że widzę jednocześnie człowieka, którym był dwadzieścia lat temu, gdy był ulubieńcem szkoły teatralnej, i tego, jakim będzie za kolejne dwadzieścia lat, gdy alkohol, narkotyki i fajki ostatecznie zniszczą jego klasyczną urodę. W tej chwili miał czterdziestkę i obie maski jeszcze się na siebie nakładały, ale nie miało to już długo trwać. Dostrzegłem jednak to, co mogła w nim widzieć Naomi. Był jak karykatura artysty rodem z kina i telewizji. Jak skorupa bez serca, obraz na kredowym papierze.

Opróżnił szklankę do połowy, jakby pił wodę, odstawił ją, spojrzął na nas przeciągle, z maską wciąż podciągniętą na czoło. Zapalił papierosa i nie otwierając ust, wypuścił dym.

- Czego chcecie?

Dobre pytanie. Nie zastanawiałem się nad tym, co mu powiem. Nie miał może dość talentu, by zrobić wymarzoną karierę, ale nie był też idiotą. Nie było szans, by uspić jego czujność. Lepiej uczciwie wyłożyć karty na stół.

- Próbujemy zrozumieć, co się stało.

- Została zamordowana... i z pewnością zgwałcona - odparł.
- To się stało.

Wiedziałem, że Naomi nie zgwałcono. A on? Czy wiedział, że ja wiem? W takiej sytuacji udawanie, że się nie wie, mogło być jakąś strategią.

- Wyglądasz, jakbyś miał to gdzieś - odezwał się Shane. W jego głosie dało się wyczuć ogromne napięcie.

Harding spojrzął na niego bez mrugnięcia okiem.

- Wcale nie. Bardzo lubiłem Naomi.

- Zwłaszcza kiedy przychodziła na twoje imprezki.

Nie był zaskoczony. Rzucił Shane'owi bezwstydnie porozumiewawcze spojrzenie. Uśmiechnął się.

- Ty też na nich bywałeś. Poznają cię.

W ciszy mierzyli się wzrokiem. Harding nie odwrócił oczu.

- Pamiętasz? Lubieś sobie poruchać, co? - mówił świszczącym, przymilnym głosem. Obserwowałem Shanea kątem oka. - O tak, pamiętam cię. - Sprawiał wrażenie zupełnie swobodnego. Znowu się uśmiechnął. W jego oczach zobaczyłem odrażający, dziki, zwierzęcy błysk. - Nie mów, że zapomniałeś...

Zanim zdążyliśmy cokolwiek zrobić, Shane uderzył go pięścią prosto w nos: strumień krwi chlusnął na usta i brodę mężczyzny.

- Kurwa, odbiło ci!?

Harding uniósł dłoń do twarzy, spojrzał na krew kapiącą mu na palce i wpadł w furję.

- Myślicie, że ta wasza koleżanka to była jakaś świętoszka? - syknął prowokująco. - Powiem wam, jaka ona była...

I wtedy zaczęło się na dobre. Shane znowu go uderzył. W odpowiedzi Harding rzucił się na niego. Ciosy padały z obu stron, ale Shane bił bardziej dotkliwie: ćwiczył boks, wiedział, jak i gdzie uderzyć. Wszyscy w szkole wiedzieli, że to groźny pięściarz. Ale Harding też nie był gapą. Zobaczyłem, że jego prawy sierpowy potrząsnął Shaneem. Potem szepili się, przewracając stojące na ich drodze krzesła, zataczając się, upojeni wściekłością. Rzuciliśmy się z Johnnym na Hardinga, by pomóc Shane'owi, a Kayla wrzeszczała, żebyśmy dali spokój. Ciosy zaczęły padać ze zdwojoną siłą. Na oślep. Zobaczyliśmy, że jego twarz straciła kształt, obrzmiała, zmieniła się w krwawą miazgę, a furia ustąpiła miejsca przerażeniu. Nie odpuszczaliśmy, przeszliśmy do kopniaków, aż upadł na tyłek, opierając się o kuchenny kredens. Chcieliśmy go chwycić, ale wczółgał się między krzesła, szukając prowizorycznego schronienia pod stołem. Przydepnąłem jego kostkę butem, naciskając ze wszystkich sił; Shane zmiądzzył mu palce dłoni

nogą krzesła. Krzyczał, żebyśmy przestali, ale my krążyliśmy wokół jak pijani nienawiścią fanatycy, przewracając wszystko, co stało na naszej drodze.

Trwało to kilka minut. Huragan wezbranej furii i brutalności, który mógł nas doprowadzić do popełnienia niewybaczalnego błędu, gdy tymczasem Kayla błagała, żebyśmy przestali, a Harding czołgał się w poszukiwaniu dziury, w której mógłby się ukryć. I nagle wszystko ustało.

Hardinga opuściła wszelka arogancja i cynizm. Bał się. Myślał, że chcemy go zabić - i być może na kilka sekund taki zamiar rzeczywiście pojawił się w naszych głowach. Jego oczy zmieniły się w dwie szparki między opuchniętymi powiekami, nos przypominał fioletowy kartofel, prawy policzek miał rozcięty, a na szyi siniak na siniaku. Na T-shircie widniała ciemna plama. Podniósł na nas przekrwione oczy.

- Czego wy, kurwa, chcecie? Czego chcecie?

Byłem wyczerpany, chwyciłem powietrze otwartymi ustami, opierając się dłońmi i pośladkami o kuchenny blat. Moja klatka piersiowa unosiła się i opadała, pot spływał mi po policzkach.

- Prawdy - powiedziałem, łapiąc oddech.

Piekły mnie dłonie, adrenalina krążąca w moich żyłach sprawiała, że trząsałem się, jakby mi było zimno. Próbował wytrzeszczyć oczy, ale nie dał rady.

- Jakiej prawdy? - zapytał. - Nie sypiałem z Naomi. Co wy sobie, do diabła, wyobrażacie? Jak myślicie, jak ona się teraz czuje tam, gdzie jest, słysząc to wszystko, co? Do kurwy nędzy, byliście jej najlepszymi przyjaciółmi!

Prawdę mówiąc, jego odpowiedź trochę zbiła nas z tropu. Złapałem go za dekolt przesiąkniętej krwią koszulki, która się rozdarła.

- Widzieliśmy tamten film z waszej orgii! Ona na nim była!

- No i? Jeśli obejrzeście do końca, wiecie, że do niczego nie doszło! Przyszła tylko raz... - Zasłonił się ręką, jakby chciał się zabezpieczyć przed kolejnym ciosem. - To prawda, rozebrała się. Ale na tym się skończyło! Wiecie o tym, jeżeli widzieliście filmik. Nie brała udziału, tylko patrzyła. Wyszła

po jakichś piętnastu minutach. I nigdy więcej się nie pojawiła!

- Kłamiesz! Prawda jest taka, że Naomi o wszystkim opowiedziała matce, więc zlikwidowaliście je obie!

Wyglądał na zdziwionego.

- Nie! - zaprzeczył z nagłą zapalczywością. - Mówię prawdę! Przyszła tylko raz! Nigdy więcej jej nie widzieliśmy. Myślę, że chciała zidentyfikować jakąś twarz w masce, rozpoznać kogoś. Dlatego tu przyszła.

- Kogo?! - ryknąłem.

Popatrzył na pozostałych, a potem jego wzrok zatrzymał się na mnie.

- Ciebie. Chciała wiedzieć, czy bierzesz w tym udział. Myślę, że w ostatnim czasie zastanawiała się, kim ty tak naprawdę jesteś.

Tym razem nas zatkało, a przede wszystkim mnie. Zastanawiałem się, czy to aby również nie jest jakaś strategia. Przypomniałem sobie jednak słowa, które Naomi wypowiedziała na promie: „Odkryłam, kim jesteś”.

Kayla tymczasem zoczyła pod kranem jakąś szmatę i przyklękała obok Hardinga, by obmyć jego poobijaną i oszpeconą twarz. Kiedy musnęła jego policzek, aż podskoczył.

- Delikatnie - szepnął. - Delikatnie. Dzięki.

Znowu podniósł na nas wzrok.

- Jak zdobyliście to nagranie?

Przypomniałem sobie o przestrodze Darrella.

- Nie jestem upoważniony, żeby o tym mówić.

Spojrzał kolejno na każde z nas.

- A więc o to chodzi. Wy go znacie?

Uniosłem brwi.

- Kogo?

- Tego kreta, do cholery...

Mój mózg zaczął pracować. Darrell mówił, że zamierzał szantażować uczestników spotkania, ale nie zdążył. Ktoś go uprzedził.

- Jakiego kreta? Kto was szantażuje? - zapytałem zasko-

czony.

- Nie róbcie ze mnie durnia. Znacie go, bo widzieliście nagranie. To wy?

- Co my?

- To wy jesteście szantażystami, szlag... Au! - zawołał, kiedy Kayla dotknęła jego złamanego nosa. - Uważaj!

Wracał do siebie.

- *Sorry* - przeprosiła.

- Jakimi szantażystami? - włączył się Shane. - Gadaj, o co chodzi, wypierdku. Nigdy nie dostałeś filmu, który widzieliśmy. Więc o czym mówisz?

Przez chwilę Harding wyglądał na równie zdezorientowanego jak my. Zamyślił się.

- Na tej wyspie jest kret - powiedział w końcu. - Który zna sekrety wszystkich mieszkańców. Wysłał e-maile i ich szantażuje. Nikt nie wie, kto to jest.

Spojrzelśmy po sobie. Popatrzyłem na ciemną noc za oknem,, jakby rzeczony kret mógł nas w tej chwili szpiegować.

- Wielu... uczestników naszych spotkań dostało już od niego e-maile. Przestali przychodzić. I zapłacili. Od miesięcy się przez niego nie spotykamy. Ludzie się boją.

- Chcesz powiedzieć, że te obleśne wieprze i stare kurwy robią w gacie, tak? - wycedził Shane. - Przepraszam, ale nie współczuję. Nie byliście tacy ostrożni, kiedy sprowadzaliście małych, co?

Harding się wyprostował.

- Młodzi, których zapraszaliśmy, byli pełnoletni. I nie są stąd. Nie jesteśmy aż tak głupi. Naomi i ty to był błąd. Naomi nalegała, odtńczyła przede mną taniec brzucha, żeby móc przyjść, trudno jej było odmówić, gdy czegoś chciała. Dopiero później zrozumiałem, o co jej tak naprawdę chodziło... A ciebie chciała Claudette, aptekarzowa. Upierałem się, ale była taka przekonująca. Ona była w tobie zakochana, Shane. - Zwrócił się do Kayli: - Pod zlewem jest miska... proszę.

Podawał Hardingowi miskę, a on splunął czarną krwią zmieszaną ze śliną i - tak mi się przynajmniej zdawało - okruchami

zębów.

- Wróćmy do tego gościa - powiedziałem. - Do szantażysty. Nie przychodzi panu do głowy, kto to może być?

Spojrzał na mnie, jakby się zastanawiał, czy nie blefuję.

- Oczywiście, myślałem o paru osobach - odpowiedział w końcu - ale nie, nie mam zielonego pojęcia. Ktokolwiek to jest, jest cholernie sprytny. - Na chwilę jakby zapadł się w siebie. - To ktoś, kogo nikt nie podejrzewa... Ani trochę. Według mnie to osoba, która raczej nie rzuca się w oczy. Dyskretna, skromna. A jednocześnie musi mieć dostęp do pewnych informacji.

Spojrzałem na niego. Nie wiem, dlaczego przed moimi oczami stało wspomnienie matki Charliego z kościoła. Ten jej współczujący uśmiech... To kobieta na swój sposób piękna, ale nie tak powalająca jak aptekarzowa, raczej dyskretna, pracowita i nierzucająca się w oczy. Ale przez jej sklep przewijała się cała Glass Island.

- Rozkoszuje się władzą - ciągnął Harding. - Moim zdaniem nie chodzi tylko o pieniądze. Czuje się panem wyspy. Kimś, kto ma władzę nad życiem i śmiercią jej mieszkańców, może zniszczyć ich życie, karierę, rodzinę, reputację... To go kręci, mieć tych wszystkich ludzi w garści. To jest królestwo transparentności, chłopie. Wymagamy jej od naszych przedstawicieli, ale ilu z nas zgodziłoby się zastosować tę zasadę do siebie, co? Wszystkie nasze sekreciki wywalone kawa na ławę. Szlag, w tym kierunku zmierza społeczeństwo. A ten drań tylko odrobinę je wyprzedza. - Wyciągnął rękę. - Możesz mi pomóc?

Kayla złapała go pod pachę i pomogła mu wstać. Skrzywił się. My staliśmy nieruchomo.

- Na pewno teraz ma poczucie wszechmocy, będzie chciał zaszarżować, poigrać z ogniem. Zacznie popełniać błędy. - Oparł się o zlew. - A wy, dzieciaki? Czy wy nie macie nic do ukrycia? Czy wasze życie jest jak kryształ, żadnych sekretów? A może jednak są rzeczy, które wolelibyście zachować dla siebie? Których się wstydzicie. Których za żadne skarby świata nie chcielibyście ujawniać przed

waszymi kumplami, przed dziewczyną, przed rodzicami albo przed klasą. Nie musicie odpowiadać, przecież wiem.

- Złoży pan skargę? - zapytałem.

- Mając świadomość, ile o mnie wiecie? Żartujecie! A teraz spadajcie! Won.

Wpatrywał się we własne stopy. Wyglądał na wyczerpanego. Wszyscy mieliśmy dość. Wyszliśmy w milczeniu głównymi drzwiami. Oszołomieni, pełni niedowierzania.

Ta wyspa, o której myśleliśmy, że ją znamy, która nosiła nas od tak dawna, stopniowo odsłaniała przed nami swoje głębsze, mroczne tajemnice... Rodziły się kolejne pytania. Czy Naomi podejrzewała, że jestem szantażystą? A może to ona nim była? Czy sama padła ofiarą jakiegoś szantażu? „Przed nami jest noc”, powiedział ksiądz w kościele. Niekoniecznie. Noc już nadeszła.

ROZMOWA

Noah Reynolds wszedł do pubu Jolly Roger i poszukał wzrokiem Bernda Kruegera. Szeryf siedział przy stoliku w głębi, za barem, w pobliżu pieca. Miał na sobie niebieską wiatrówkę i granatowe spodnie. Noah rozejrzał się po sali. Na obitych wykładziną ścianach wisiały rybackie sieci, tarcza do gry w rzutki, stare reklamy, a nawet plastikowy miecz. Przy barze siedziało dwóch facetów w czapkach z daszkiem, dwie dziewczyny w dzinsach grały w bilard. Wchodzących z dworu witało w środku przyjemne ciepło. Pomarańczowe płomienie lizały osmaloną szybę piecyka. Był niedzielny wieczór i lśniące w półmroku cztery telewizory z przyciszonym dźwiękiem wyświetlały mecze i powtórki weekendowych rozgrywek: bejsbol, koszykówka, futbol amerykański, piłka nożna.

- Cześć, Bernd - odezwał się Noah, siadając.

- Kopę lat, Lincoln - skomentował Krueger, energicznie potrząsając jego dłonią.

Było to przezwisko Noaha z czasów, gdy obaj pracowali w Seattle Police Department - Krueger w wydziale kradzieży i włamań, Reynolds w wydziale zabójstw. Zawdzięczał je swojej podłużnej twarzy i stosom książek na biurku. I może jeszcze sylwetce wielkiego inkwizytora. Większość glin w SPD zazdrościła Noahowi jego dotychczasowej kariery, dlatego kpili sobie z niego za jego plecami. Jeśli dodać do tego fakt, że nigdy po pracy nie imprezował z kumplami, nie miał poczucia humoru oraz nie wiadomo było, czy ma dziewczynę, w tamtych czasach był obiektem wielu plotek.

- Nie zapytasz, co u mnie?

- Dowiadywałem się. Wygląda na to, że od paru dni kręcisz się po okolicy... i że pracujesz teraz w sektorze prywatnym.

Czego u mnie szukasz, Noah?

- Pewnego chłopaka - odparł Reynolds.

Postanowił zagrać uczciwie. Miał nadzieję, że szeryf pociągnie temat, ale ten nie zrobił nic. Wolał, by Noah sam mu powiedział.

- Grant Augustine, czy to ci coś mówi?

Krueger wzruszył ramionami. Mogło to oznaczać niewiedzę lub obojętność. Podniósł wzrok i spojrzał na jeden z ekranów.

- Gość, który zbił fortunę, pracując dla sektora obrony. Kandyduje na stanowisko gubernatora Wirginii.

- A co ja mam z tym wspólnego?

- Ktoś porwał jego syna, zaraz po urodzeniu. Od tamtego czasu wszędzie go szuka.

Krueger nie okazał większego zainteresowania ani nawet życzliwej uwagi.

- Z pewnych informacji, które ostatnio otrzymaliśmy, wynika, że dzieciak może się znajdować na którejś z tych wysp.

Wreszcie Noahowi udało się wzbudzić ciekawość rozmówcy. Krueger spojrzał na niego.

- Syna, powiadasz? - Stawiając to pytanie, włożył w swój głos całą obojętność, do jakiej był zdolny. - Porwanego zaraz po urodzeniu... Paskudna historia. Ile on miałby teraz lat?

- Szesnaście.

- I jesteś tutaj, żeby go odnaleźć?

Noah skinął głową. Krueger przyglądał mu się w zamyśleniu.

- A masz jakiś pomysł, kiedy on mógł się tu pojawić?

- Nie mam pojęcia. To mogło być równie dobrze szesnaście lat temu jak w ubiegłym roku.

- Dziwna ta twoja historia.

- Wiem.

- Kidnaping. Dlaczego twój Augustine nie zwróci się do FBI?

- Mój... pracodawca nie chce spłoszyć zwierzyny. To największy podwykonawca NSA - wyjaśnił Noah, puszczając do niego oko. - Ma więcej możliwości niż FBI i CIA razem wzięte.

- Jasne, jasne... To tak jak z tą bronią masowego rażenia w

Iraku po jedenastym września, co? - zripostował Krueger, także puszczając oko. - Skoro ma tyle możliwości, to dlaczego do tej pory go nie odnalazł?

Noah uniósł ręce na znak, że się poddaje.

- Dobrze pytanie, Bernd. Dobrze pytanie.

Krueger dokończył piwo i skinął na barmana.

- A czego oczekujesz ode mnie?

- Żebyś mi opowiedział o tej zamordowanej dziewczynie.

- Ale wspominałeś o synu, nie o córce.

- Chodzi mi o jej chłopaka.

- O Henrygo?

Noah ponownie zobaczył mrocznego nastolatka w towarzystwie kumpli na parkingu przy przystani. Któregoś dnia o mało na niego nie wpadł, wchodząc do toalety na promie, i wiedział, że chłopak go zauważył. Dlaczego ten dzieciak jest aż tak czujny?

- Ten małolat nie ma profilu na Facebooku na swoje nazwisko, w Internecie nie ma jego zdjęcia, niczego.

- Wygląda na to, że jesteś dobrze poinformowany. No i?

- Nie uważasz, że to dziwne?

Krueger wzruszył ramionami.

- Z tego, co wiem, jego mamy mają dość sprecyzowane poglądy na to, co jest, a co nie jest dobre dla ich syna. A ty, Noah? Wciąż bez dzieci? Jak tam Elizabeth?

Noah przyjął cios.

- Wychowują go dwie lesbijki? - zapytał.

Krueger przytaknął.

- Adoptowany?

Szeryf znowu skinął głową.

- Jak wyglądają?

Krueger wzruszył ramionami.

- Jedna jest niską brunetką, druga wysoką blondynką. Prowadzą pensjonat za miastem. Blondynka pracuje też w Redmond, żeby zarobić na utrzymanie. A brunetka gra na wiolonczeli, jeśli to ci może w czymś pomóc - dodał, naśladowując gesty muzyka poruszającego smyczkiem.

- W jakim są wieku?

- Około czterdziestki.

Noah poczuł rosnące podniecenie. Czyżby z taką łatwością udało mu się trafić w dziesiątkę?

- Czy ten chłopak jest jednym z podejrzanych?

Krueger się zawahał. Nie przepadał za Noahem, ale też nie miał nic przeciwko niemu. Noah Reynolds był dobrym gliną.

- Jest nawet podejrzany numer jeden.

- Jak to?

- Dziewczyna była w ciąży.

Noah z najwyższym trudem ukrył fałę gorąca, napływającą mu do twarzy. Nagle poczuł mrowienie w nogach. Psiakrew, kto mówi płód, mówi DNA!

- A sekcja? Kto się nią zajmuje?

- Shatz.

To był jego szczęśliwy dzień! Doktor Fraser Shatz, lekarz z Zakładu Medycyny Sądowej hrabstwa Snohomish. Noah wiele razy z nim pracował, kiedy był w wydziale zabójstw. Zawsze dobrze się rozumieli. Kompetentni faceci rozpoznają się na pierwszy rzut oka. Pytanie, które chciał zadać, paliło mu wargi. Musiał jednak postawić je najobojętniej, jak się tylko da, tak jakby chodziło o całkiem nieistotny szczegół.

- Jeśli była w ciąży, to przypuszczam, że chcecie się dowiedzieć, kto jest ojcem.

Krueger spojrzał mu prosto w oczy.

- Nie jestem idiotą, Reynolds. Bardzo dobrze wiem, o czym myślisz. Tak, mamy DNA płodu i tak, pobierzemy próbki do analizy od wszystkich mężczyzn w wieku rozrodczym mieszkających na wyspie. Kiedy tylko uzyskamy zgodę sądu. Trochę nas to spowalnia. A co do reszty, nie chcę wiedzieć, co kombinujesz, zgoda? Idź do Shatza, okay? Jeśli będziesz miał szczęście, będzie w dobrym humorze. Nie jestem na bieżąco, a ta rozmowa się nie odbyła. - Po tych słowach Bernd Krueger położył na stoliku banknot, wstał i wyszedł.

Tamtej nocy wypłynąłem w morze. Potrzebowałem ruchu. Burza raptownie ucichła i ocean był gładki jak lustro, jak to często bywa na naszych wyspach. Zaczekałem, aż mamy zasną, i wymknąłem się na zewnątrz. Dociągnąłem kajak na brzeg.

Nie widziałem orek. Wiosłowałem spokojnie, nie forsując się, ponieważ przy każdym ruchu czułem ból. Kajak sunął po czarnym lustrze wody prawie bezszelestnie. Słysząc było jedynie delikatny plusk fal rozbijających się o skały. Byłem jednym z wielu cieni. Minąłem Limeston Point, podniosłem wzrok, spojrzałem na szczyt latarni powyżej metalowej platformy i zauważyłem rozbitą szybę. Ptak... Nie pierwszy i nie ostatni. Co roku mnóstwo petreli z miłości do światła traci życie, zderzając się z latarnią.

Nocny chłód był dojmujący. Wiązka światła przecinała ciemności jak tasak. Zostawiłem latarnię za sobą. Ciemność rozpościerała się teraz przede mną w postaci gamy czerni, szarości i zimnych, przytłaczających granatów. Latarnia stoi na końcu wyspy; dalej jest cieśnina, a po drugiej stronie czarne kształty Orcas Island, Crane Island i Shaw. Znałem tu każdą zatoczkę, każdą skałę. Uspokajał mnie znajomy krajobraz - z dala od oskarżycielskich stron Facebooka i podejrzeń policji. W ciemności las podchodził prawie do samej wody, niemal równie nieuchwytny jak armia duchów.

Wiosłując pod usianym gwiazdami niebem, zastanawiałem się, dlaczego Naomi prowadziła śledztwo w mojej sprawie za moimi plecami i czy te poszukiwania miały związek z jej śmiercią. Pomyślałem o szantażyście. Czyżby to on był mordercą? Czy Naomi go zdemaskowała? „To ktoś, kogo nikt nie podejrzewa”, powiedział Harding. Miałem wrażenie, że

osoba, której szukamy, jest jak kot: cicha, dyskretna, bliska, nierzucająca się w oczy. Wciąż była obecna, nieustannie, w każdej minucie, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. I była na promie...

W pewnej chwili coś dużego, cichego i szybkiego musnęło mój kajak, pojawiając się tuż pod powierzchnią, by po chwili znowu zniknąć w głębinach. Rozległ się krótki, miękki dźwięk, po czym zapadła cisza. Taki był ten, którego szukaliśmy: cień, wciąż bliski, nigdy daleki, nieprzewidywalny. Zrodzony z głębi naszych lęków i tajemnic. Zadrzałem, zrobiłem zwrot i ruszyłem do brzegu.

Znalazłszy się w pokoju, usiadłem w głowach łóżka, zebrałem wokół siebie poduszki i koce i odgradziłem się nimi przed światem zewnętrznym jak murem obronnym. Podciągnąłem kołdrę pod samą brodę, jak wtedy, gdy miałem dziesięć lat. Patrzące ze ściany mrocznym, lśniącem wzrokiem dziecko z *Kłątwy*, wysoka sylwetka Maxa von Sydowa z *Egzorcysty* (która do złudzenia przypominała mi faceta z promu) czy duet Gregory Peck/Lee Remick z *Omenu* napełniały mnie jakimś nowym życiem.

Nad ranem, gdy niebo zaczynało szarzeć, nadal trwałem w bezruchu. Powitałem nowy dzień jak podróżnik przemierzający dyliżansem okolicę pełną wampirów, jak pacjent w szpitalu po wypełnionej bólem i samotnością nocy.

Był poniedziałek. Zadzwoiłem do Loviska, żeby mu powiedzieć, że nie mam siły przyjść. Okazał wyrozumiałość. Pogratulowałem mu wystąpienia w kościele.

- To nie było okolicznościowe przemówienie - powiedział. - Wiesz, kiepsko się dogadywałem z ojcem. A potem, kiedy umarł, zdałem sobie sprawę, że mimo naszych kłótni kocham go. Po zastanowieniu myślę, że to dlatego, że łatwiej kochać zmarłych niż żywych. Ale są też inne osoby, takie, po których śmierci zostaje ogromna pustka. Będzie nam jej bardzo brakowało. - Od razu zrozumiałem, że mówi jednocześnie o swojej córce i o Naomi.

*

Poranek poświęciłem na nicnierobienie: czytałem w wannie powieść Louise Penny, aż wystygła woda, grałem w *Clash of Clans*, surfowałem po Internecie, odpisywałem na esemesy od Charliego, Shane'a i Kayli, którzy pytali, gdzie się podziewam; mama Liv wpadła co najmniej trzy razy, by zobaczyć, jak się czuję i czy nie chcę czegoś zjeść. Kiedy wychodziła na zakupy, zaproponowała mi, bym jej towarzyszył, ale się wykręciłem.

Gdy silnik volva ucichł, zszedłem do jej gabinetu. Liv i France mają osobne gabinety na końcu małego korytarzyka, który odchodzi od wspólnego salonu. U Liv stoi tylko stare biurko, wygrzebane na starociach, lampka z różnokolorowego szkła i komoda z metalowymi szufladami, w których znajdują się wieszaki na teczki. Nie była zamknięta. France pojechała do Seattle. Zaczęłem pospiesznie przeglądać teczki pełne faktur, korespondencji urzędowej i wyciągów bankowych, a także przepisów kulinarnych, z których Liv korzystała, przygotowując śniadania. Nie znalazłem niczego, co mogłoby wyjaśnić tamten telefon.

Po obiedzie nie czekałem, aż wyjedzie na spotkanie. Namierzyłem miejsce w Internecie i wiedziałem, że dojazd od promu do Mount Vernon zajmuje co najmniej półtorej godziny. Powiedziałem jej więc, że idę się przejechać. Wyjrzała z kuchni:

- Henry, jesteś pewien, że wszystko okay?

Skinąłem głową. Wyszedłem dobre dwie godziny przed nią; nie chciałem zwracać na siebie uwagi, choć nie wiedziałem, w jaki sposób mogłaby nabrać podejrzeń. Z promu zauważyłem helikoptery i łodzie straży przybrzeżnej krążące wokół wyspy. Pomyślałem, że szukają matki Naomi, sądzą, że nie żyje. Zostałem tam, na wietrze, na jednym z zewnętrznych pokładów, obserwując ich manewry i całe to zamieszanie z dziwnym poczuciem, że wszyscy w jakimś zakątku głowy przechowują zdjęcie modelowego sprawcy: moje zdjęcie.

*

Restauracja Shirley's mieściła się w pobliżu autostrady między- stanowej numer 5, w handlowej strefie Mount Vernon, gdzie znajdowały się między innymi Best Western, DQ, Burger King, myjnia Kwik-N-Kleen i stacja benzynowa Shella. Niewiele było miejsc, w których można by się ukryć, wybrałem więc parking Burger Kinga, wystarczająco oddalony, by mnie nie zauważono, za to ze świetnym widokiem na drzwi wejściowe.

Niebo przybrało niesamowity zielony odcień, a światło przebijające się między kłębamii chmur miało taki kolor, jakby zastosowano któryś z tych filtrów, których używa się do zdjęć na Instagramie. Odetchnąłem porządnie i wysiadłem. Od skrzyżowania dzieliło mnie około stu metrów. Na wysokości DQ przeszedłem na drugą stronę czteropasmówki i przeciąwszy plac, dotarłem do Shirley's. Fasada kryta gontem pomalowanym na majtkowy niebieski kolor czasy świetności miała już za sobą. Przed lokalem stało niewiele samochodów, co wcale nie ułatwiało mi sprawy. Pchnąłem szklane drzwi. Długa aluminiowa lada naprzeciwko wejścia, dwie pracownice w papierowych czapczkach, po prawej jakieś dwadzieścia stolików i boksów z kanapami obitymi skajem. Trójka klientów: para przy oknie i samotny mężczyzna w jednym z boksów. Jedyną zaletą strategiczną były grube zasłony, które częściowo zasłaniały okna i drzwi wejściowe, dzięki czemu wewnątrz panował dyskretny półmrok rozświetlony blaskiem lampek. Rozpoznałem głośną muzykę płynącą z małych głośników: Alice in Chains.

- Dzień dobry - przywitała mnie jedna z kelnerek.

- Zaraz przyjdę.

Wróciłem do samochodu. Najwyższy czas, bo gdy byłem na przejściu dla pieszych, zauważyłem nadjeżdżające autostradą volvo Liv. Schowałem się, a ona minęła mnie, skręciła na skrzyżowaniu i wjechała na parking Shirley's. Zobaczyłem, jak wysiada i znika za drzwiami restauracji.

Teraz sprawy się komplikowały. Wejście do środka było cholernie ryzykowne. Wyobraziłem sobie minę Liv, gdyby mnie tam zobaczyła. Oczywiście doszłaby do wniosku, że nie tylko podsłuchałem jej rozmowę, ale jeszcze przyjechałem tu za nią, by ją śledzić. Wierzcie mi, jest niewiele rzeczy, na które mam mniejszą ochotę, niż ochrzan ze strony mojej przybranej matki Liv Myers. Może i ma metr pięćdziesiąt osiem wzrostu, ale jako prokurator w sądzie albo prowadząca talk-show byłaby gwiazdą. Jej wybuchy mają w sobie coś totalnego i ci, którzy je przeżyli, ze wszystkich sił starają się nie powtarzać tego doświadczenia. Osobiście nigdy nie wyprowadziłem jej z równowagi, ale widziałem, jak obchodzi się z innymi. Przypominam sobie jej reakcję na pewnego niedelikatnego parkingowego oraz na seksistowską uwagę ze strony jakiegoś pijaczka podczas święta narodowego w East Harbor - i moim skromnym zdaniem obaj panowie także ją pamiętają.

Nie miałem odwagi wyobrazić sobie jej reakcji. Nawet nie chciałem o tym myśleć. „Niezależnie od tego, czy kieruje tobą rozsądek czy strach, trzeba będzie je przekroczyć”, powiedział coach Anthony Robbins. Tak, łatwo powiedzieć, trudniej zrobić... Uświadomiłem sobie, że moje posłuszeństwo zawsze miało jedno źródło: był nim strach, jaki wobec niej odczuwałem. Zastanawiałem się chwilę, przyczajony na skrzyżowaniu. Oprócz tamtej pary w barze był tylko jeden mężczyzna. Dostrzegłem go zaledwie kątem oka, ale wydawało mi się, że musi mieć około czterdziestki, że ma siwiejące włosy, a przede wszystkim zapamiętałem, że siedział w boksie twarzą do wejścia. Co oznaczało, że jeśli Liv ma się spotkać właśnie z nim, to usiądzie plecami do drzwi.

A z kim innym?

Odczekałem jeszcze pięć minut. W pobliżu volva nie zaparkował ani jeden samochód. Byłem absolutnie pewien, że nigdy w życiu nie widziałem tamtego mężczyzny; a w związku z tym, jeżeli Liv nie pokazała mu mojego zdjęcia, nie było szans, by mnie rozpoznał. Światło nad jezdnią

zmieniało się z czerwonego na zielone i z zielonego na czerwone, a fala samochodów to stawała, to ruszała, jak sfilmowany w przyspieszonym tempie przyplływ.

Pomyślałem o wolnym boksie tuż obok, oddzielnym ścianką od tego, w którym siedział mężczyzna. Co by jednak było, gdyby Liv odwróciła głowę w momencie, gdy będę wchodził do baru i pracownica powie „dzień dobry”, albo gdyby rozpoznała mój głos, kiedy kelnerka podejdzie do mnie, by przyjąć zamówienie? Albo gdyby pierwsza wychodziła z lokalu i minęła mój stolik? Zbyt wielkie ryzyko...

A potem stał się mały cud. Po pięciu minutach z autostrady zjechało jednocześnie kilka pick-upów i wysypał się z nich jakiś tuzin facetów o wyglądzie robotników, być może drwali, którzy ruszyli do Shirley's, głośno rozmawiając, tak że słyszałem ich z miejsca, w którym stałem. Potem przyszła kolej na potężnego trzydziestosiedmiotonowego peterbilta i jeszcze jednego ryczącego, szczękającego mastodonta z górą pni na przyczepie: kiedy parkował, jego hamulce pneumatyczne wydały z siebie serię rozpaczliwych westchnień. Kierowcy poszli w ślad za robotnikami.

Najwyraźniej były godziny szczytu, a ja po prostu przyjechałem odrobinę za wcześnie. Zdecydowałem się. Przeciąłem ulicę i parking i wszedłem do sali trzydzieści sekund po kierowcach. Kelnerki nie stały już za ladą; były zajęte obsługiwaniem gości. Zerknąłem w stronę boksu i moje serce lekko podskoczyło: Liv siedziała w nim, twarzą do tamtego faceta. Sąsiedni boks był wolny. Kierowcy ciężarówek i robotnicy rozpierzchli się po sali. Spuściwszy głowę, ruszyłem do stolika. Usiadłem na najbliższej ławce, zaledwie kilka centymetrów od matki, odwrócony do niej plecami.

Dźwięki muzyki i odgłosy rozmów zlewały się w ogłuszający hałas, tak że Liv musiała mówić podniesionym głosem. Druga strona tego medalu była jednak taka, że ze względu na ten sam hałas słyszałem tylko urywki.

- ...zaniepokojona... popełniłam tak duży... gustine... nasz ślad...? - powiedziała.

- ...steś pewna? - zapytał mężczyzna.

- ...France widziała... kilka razy... na pro... ja... ulicach East... wygląda jak... FBI albo... pewna... szuka Henry ego...

Czy naprawdę padło imię Henry? Czy ona powiedziała: „Jestem pewna, że szuka Henryego”? Czy może mój mózg zniekształcał zdania, dostosowując je do moich wyobrażeń?

- Dzień dobry, czy już się pan zdecydował? - zapytała kelnerka, która nagle zjawiła się obok mnie.

Zaskoczony, rzuciłem okiem na menu. Odpowiedziałem w języku migowym, wskazując na jej notes i długopis. Gdy mi je podała, napisałem:

Hamburger, Cola zero.

- Oczywiście. Jaki sos?

Ta sama procedura.

- To wszystko?

Skinąłem głową i posłałem jej uroczy uśmiech. Odeszła. Znowu nadstawiłem uszu.

- Ile... ry ma lat? - dopytywał mężczyzna. A może to pytanie powstało w mojej głowie?

- Szesnaście.

- ...urodze...?

- 1997. - Rok, w którym się urodziłem. Tę liczbę usłyszałem bardzo wyraźnie, ale kto wie, do jakich sztuczek zdolny jest ludzki mózg?

- ...ant... stine... - Już drugi raz padły te sylaby. Co one oznaczają?

Słuchałem nadal, ale teraz z głośników leciał utwór Pearl Jam i ich rozmowa zaczęła brzmieć jak ledwie słyszalny szum. Znowu jednak pojawiły się tamte dźwięki;

- ant... stine...

Usiłowałem się skoncentrować. Justine? Coś z Justine? Nagle muzyka umilkła i usłyszałem, jak mężczyzna mówi wyraźnie:

- Jeśli to Augustine, to...

Z głośników znowu huknęło i natężenie rozmów prowadzonych w sali natychmiast wzrosło o kilkadziesiąt decybeli. Kim

jest Augustine? Dlaczego wciąż powraca w tej rozmowie? Kellnerka przyniosła mi hamburgera i colę. Miałem przygotowany banknot. Wydała mi resztę. Próbowałem uchwycić jeszcze jakieś urywki, ale do moich uszu nie dotarło już nic szczególnego.

Czym prędzej pochłonałem hamburgera i dałem nogę. Wychodząc, nie omieszkałem ostatni raz rzucić okiem na gościa, który siedział naprzeciw mamy Liv.

OCZY I USZY

Zrujnowany budynek stał w ubogiej dzielnicy na peryferiach Waszyngtonu, z dala od przepychu Kapitolu i Białego Domu, przy ponurej ulicy, w sąsiedztwie magazynów, do których dostępu strzegły wysokie ogrodzenia. Jezdnia była zapadnięta, latarnie świeciły anemicznym blaskiem. W tym obskurnym pejzażu przedmieść czarny cadillac z opancerzonymi szybami wyglądał osobliwie. Limuzyna była dokładną repliką prezydenckiego cadillaca one, z podwoziem tracka gmc, wojskowymi wzmocnieniami i oponami Goodyear 495 mm, które umożliwiają jazdę bez powietrza.

Samochód powoli skręcił i niemal bezgłośnie zjechał do podziemi budynku. Bezdomny, który zbijał bąki kilka domów dalej, zaczął się zastanawiać, czy aby nie śni. Kiedy wóz się zatrzymał, Grant Augustine ruszył prosto do windy. Odkąd zaczęła się kampania wyborcza, zamienił limuzynę na skromniejszy środek transportu, ale chętnie z niej korzystał, gdy udawał się do stolicy.

Wychodząc z windy, nieznacznie skinął na powitanie strażnikowi w cywilu i labiryntem zagrzybionych korytarzy doszedł do nieoznakowanych opancerzonych drzwi, nad którymi wisiała kamera. Wcisnął guzik i zaczekał, aż nadejdzie inny strażnik, by mu otworzyć. Wszyscy oni byli dawnymi Marines. To biuro oficjalnie nie istniało, budynek nie był wymieniany w żadnym rejestrze, nie figurował w żadnym opracowaniu, nie pojawiał się w wynikach wyszukiwania na żadnym komputerze. Strażnik przywitał Augustine'a. Mężczyzna ruszył zatłoczonym korytarzem, mijając wypełnione ludźmi biura, które miały jedną wspólną cechę: dzień i noc świeciły się w nich jarzeniówki, a ich okna zasłaniała plastikowa folia i opuszczone rolety

Grant dotarł wreszcie do pomieszczenia, które było niewiele większe od pozostałych. Poczul zapach potu, cebuli i papierosów i zatkał nos. Środek pokoju zajmował duży metalowy stół, całe ściany pokrywały monitory: w ich blasku widać było unoszące się wstążki dymu. Chcąc nie chcąc, Augustine zakasłał. Jay uniósł głowę. Miał podwinięte rękawy koszuli i obiema dłońmi opierał się o blat.

- Co za smród - skomentował szef.

- Nie lubimy cebuli? - zażartował Jay.

- Nie przepadamy - odpowiedział Augustine. - Mówiłeś, że są nowe informacje.

Jay potwierdził. Wskazał szerokim gestem na ściany pomieszczenia i zaabsorbowanych pracą chłopaków (najstarszy z nich miał trzydzieści lat).

- Monitorujemy w czasie realnym pocztę, ruch w serwisach społecznościowych i wszelką inną aktywność w Internecie każdego spośród szesnastu tysięcy mieszkańców tych wysp. Wszystkie kamery na archipelagu i na promach, które go obsługują. Wszystkie numery telefonu każdego mieszkańca, wszystkie konta mailowe, rozmowy na czatach, zdjęcia, przechowywane dane i inne aktywności: Microsoft, Yahoo!, Google, Facebook, Pal-talk, YouTube, Skype, Snapchat, WhatsApp... to wszystko jest przesyłane do tego pokoju. NUCLEON pozwala nam na selekcję połączeń telefonicznych, filtrując je na podstawie słów kluczowych, TREASURE MAP na natychmiastową lokalizację każdego urządzenia podłączonego do sieci: smartfonu, tabletu, komputera. EGOTISTICAL GIRAFFE namierza Tora, MUSCULAR sieci prywatne na Google i Yahoo! Wszystko jest nagrywane, filtrowane, zestawiane, analizowane...

- Sądziłem, że masz nowe informacje - nalegał Augustine świszczącym głosem.

Jay pchnął w jego kierunku tablet. Grant się schylił i zobaczył na ekranie pierwszą stronę „Seattle Timesa”.

- Gazeta - powiedział. - To jakiś żart?

- Przeczytaj.

Grant zauważył uśmiezek Jaya i jego oczy zmieniły się w

dwie szparki.

- Jay, proszę, nie każ mi czekać.

- Reynolds wykonał dobrą robotę. I chyba tym razem możemy mówić o szczęściu.

- Powiedz, o co chodzi.

- Przeczytaj.

Augustine rzucił okiem na artykuł

- Nastolatka zamordowana na Glass Island... No i co z tego?

- Dla nas interesujący jest jej chłopak.

Augustine podszedł do potężnego ekspresu do kawy i podsunął filiżankę pod jeden z wylotów.

- W jakim sensie?

- Szesnaście lat. Wychowywany przez dwie lesbijki. Adopтовany.

Od czasu telefonu od Noaha zdążył posunąć poszukiwania nieco dalej. To szaleństwo, jak słabo instytucje szkolne chronią prywatność swoich uczniów. Augustine się odwrócił.

- Na Facebooku nie ma konta na swoje nazwisko, ale występuje jako Fan horrorów, bez zdjęcia ani innych znaków rozpoznawczych - kontynuował Jay. (Szefowi zaświeciły się oczy). - W innych miejscach w Internecie też nie ma jego zdjęcia. - (Augustine uniósł brwi). - Nie pojawia się na zdjęciu klasowym. - (Jay zauważył, że Grant jest podekscytowany). - Wygląda wręcz na to, że za każdym razem, kiedy do szkoły przychodzi fotograf, on jest nieobecny. - Wytrzymał spojrzenie szefa. - Według Reynoldsa jest podejrzanym numer jeden. Przejrzałem rozmowy z biura szeryfa i korespondencję elektroniczną szeryfa z prokuratorem. Potwierdzają to, co powiedział Reynolds. - (Oczy jego rozmówcy lśniły teraz intensywnym blaskiem). - Ale jest coś jeszcze lepszego. - Zrobił przerwę i Augustine o mało nie wyszedł z siebie. - Dziewczyna była w ciąży.

Grant o mało nie upuścił filiżanki.

- Jezu - wyszeptał. Oczami duszy powędrował poza grube mury tej fortecy, na północny zachód, ku łańcuszkowi

pograżonych we mgle wysp leżących tysiące kilometrów od Waszyngtonu. - Sądziś, że to mógłby być on?

Jay wzruszył ramionami.

- To byłby cholerny fart.

- Sprawiedliwy obrót spraw. Do tej pory nie zdarzał nam się często.

- W każdym razie warto się pochylić nad jego przypadkiem. Wiele elementów się zgadza.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, ten dzieciak pasuje do profilu, Jay. Rozumiesz?

- Tak.

- Myślisz, że to on jest ojcem?

- A któż by inny? Była jego dziewczyną.

- Mogła go zdradzać. To by wyjaśniało, dlaczego ją zabił.

Przez chwilę Augustine przeżywał lęk w najczystszej postaci na myśl o niewiarygodnym szczęściu, jakim byłoby odnalezienie syna i niewiarygodnym pechu, gdyby się okazało, że ten dopiero co odnaleziony syn jest mordercą.

- Zakładam, że skoro była w ciąży, przeprowadzą badania porównawcze DNA wśród męskiej populacji?

- Jutro Reynolds ma się spotkać z lekarzem sądowym - potwierdził Jay. - To jego dawny znajomy. Komórka medyczna zabezpieczyła w tym celu DNA płodu.

Augustine uderzył płaską dłonią w metalowy blat i wylał odrobinę kawy na swoje jasne spodnie, ale nawet nie zwrócił na to uwagi.

- Musimy wykonać test DNA, Jay! Porównanie markerów genetycznych płodu i moich! Jeśli test wypadnie negatywnie, to nie będzie znaczyło, że ten dzieciak nie jest moim synem. Mogła sypiać z kimś jeszcze oprócz swojego chłopaka. Ale jeśli wypadnie pozytywnie, jeśli okaże się, że to ja jestem dziadkiem... - Zamilkł, poruszony tą perspektywą.

- Na tej wyspie dzieją się też inne dziwne rzeczy - ciągnął Jay.

Augustine spojrział mu prosto w oczy.

- Na przykład?

- Od pewnego czasu sprawdzamy e-maile, rozmowy telefoniczne, esemesy mieszkańców. Trafiam na drobne zdrady, machlojki, kombinacje. Ale jest też jeden o wiele bardziej interesujący szczegół: wygląda na to, że ktoś ich szantażuje.

- Słucham?

- Przechwyciliśmy kilka e-maili. Anonimów wysyłanych do niektórych mieszkańców. Na tej wyspie jest jakiś cholerny szantażysta, Grant. Sprytny. Wysyła wiadomości z kafejek internetowych w Seattle, Bellevue, Everett... Nigdy o tej samej godzinie, nigdy z tego samego miejsca. Nie wykryliśmy żadnej powtarzalności. Wygląda to na doskonałą przypadkowość. A esemesy są wysyłane z telefonów na kartę kupionych w różnych sklepach.

- No i?

- Jednymi z ofiar są matki tego dzieciaka, Henry'ego. Zagroził, że zdradzi ich tajemnicę. Tajemnicę pochodzenia ich syna, tak napisał.

- O Jezu! - zawołał Augustine tak głośno, że kilka głów odwróciło się w jego stronę. - Boże wszechmogący! Jay, to on! To Henry! Nie ma wątpliwości, to mój syn! - Przerwał. Z lewej dziurki jego nosa wypłynęła purpurowa strużka krwi.

- Jeśli tak jest, test to wykaże - odarł ostrożnie Jay, gdy tymczasem Grant wycierał nos.

- To on, mówię ci! Klnę się na wszystkich świętych! A ten szantażysta... Musimy go znaleźć. Musimy mieć nagrania z monitoringu ze wszystkich miejsc, w których był!

- Pracuję nad tym.

MICHELLE/MEREDITH

Gdy wróciłem do domu, natychmiast wszedłem na Google. Kiedy wstukałem „Augustine”, wyszukiwarka wyrzuciła nieskończoną liczbę wyników - w tym informację z encyklopedii katolickiej na temat Augustyna z Hippony, bardziej znanego jako święty Augustyn - ale także link do strony o modzie, do strony hotelu w Pradze o nazwie *The Augustine*, do gazetki na temat miasta St. Augustine na Florydzie, do strony firmy z Kansas zajmującej się tępieniem termitów, *Augustine Exterminators*, i tunc dalej.

Wstukałem „ant Augustine”. Wyskoczyły profile facebookowe kilku Ant Augustine’ów i Anthonych Augustine’ów mieszkających w Stanach, Kanadzie i Australii. Żaden z nich nie wyglądał na dziwnego albo tajemniczego. W większości chodziło o młodych ludzi w moim wieku albo trochę starszych o gustach i zainteresowaniach takich samych, jakie ma wiele miliardów *Homo sapiens*.

Po półgodzinie spędzonej na przeglądaniu informacji o ich ulubionych sportowcach, zespołach, filmach i grach (jednak, co dziwne, znacznie mniej było na temat ulubionych pisarzy), a także o ich pozostałych pasjach, zajęciach i życiowych celach: „być najlepszym człowiekiem, jak tylko się da”, „kawały dla dorosłych”, „broń”, „wędkarstwo i myślistwo”, „czytanie mang online”, „Catch Us”, „bez muzyki nie ma życia”, „sześćdziesiąt rzeczy, które facet powinien wiedzieć o kobietach” doszedłem do wniosku, że chyba nie ma wśród nich osoby, której szukam.

Usłyszałem, jak otwierają się drzwi wejściowe, a potem z salonu rozległ się głos Liv i brzęk kluczy rzucanych na blat.

- Henry?

Zaczerpnąłem w płuca haust powietrza.

No dobra, naprzód, pomyślałem. Wyjaśnijmy sprawę. Teraz. Przypomniałem sobie słowa Shane'a: „Ty już się wykazałeś tam, na górze”.

Stawiłem czoło Oatesom, śledziłem Taggarta i Darrella w lesie w środku nocy (na samo wspomnienie tamtego zdarzenia jeszcze trzęsły mi się łydki). Czyżbym bał się własnej matki bardziej niż Oatesów? Nagle cała moja odwaga schroniła się w jakimś zakątku umysłu i udawała, że nie ma jej w domu. Najwyraźniej odpowiedź brzmiała twierdząco. Bo Liv dysponowała argumentami, jakich nie mieli Oatesowie - choć akurat w tamtej chwili groźba, że zepchną mnie razem z samochodem ze stromego urwiska wydawała mi się znakomitym argumentem. W pewnym sensie był to argument z autorytetu.

Liv mogła zburzyć całe rozumowanie przeciwnika w okamgnieniu, tak jak płomień z paszczy smoka potrafi spalić najgrubszy mur obronny. Ostatnie słowo należało do niej. Zawsze.

Czy ja się jej obawiałem?

Odpowiedź brzmiała: tak.

Czy ją kochałem?

Oczywiście.

Czy miałem dla niej szacunek?

A niech ktoś spróbuje nie mieć...

- Idę!

A jeśli jednak mnie widziała w tej restauracji? Wstałem i na ołowianych nogach wyszedłem z pokoju. Moje serce waliło jak werbel. Kiedy szedłem po schodach, usłyszałem w głowie cichy głosik: „Patrzcie państwo: Henry Walker odstawi teraz numer zbuntowanego nastolatka”.

Byłem na ostatnim stopniu. Liv i France przestały rozmawiać. Przyglądały mi się z salonu. Zrobiłem krok, potem drugi - i zastylłem w bezruchu, około dwóch metrów od nich.

- Kim jest Augustine? - wypaliłem.

Grant Augustine wrócił z Waszyngtonu z entuzjazmem, jakiego dawno nie doświadczał. Wziął prysznic, włożył biały bawełniany strój i przez godzinę ćwiczył jogę i medytował, by się uspokoić. Zanim skończył, zadzwonił Jay.

- Chłopak właśnie przeglądał Internet.

- Czego szukał?

- Wstukał w Google twoje nazwisko.

- Gdzie słyszałeś to nazwisko? - spytała Liv.

Miałem wrażenie, że jej oczy zrobiły się dwa razy większe. Szalała w nich burza. Usiłowałem przełączyć się na tryb konfrontacji - mentalnego nastawienia adepta kung-fu, który staje do walki, ale wiedziałem, że Liv w każdej chwili może posłać mnie na matę.

- Henry, zadałam ci pytanie.

Powiedzieć prawdę czy skłamać? Skłamać.

- Kilka razy słyszałem je z waszych ust.

Ich oczy smagneły mnie zimnym klinicznym spojrzeniem, jak zwinne palce kardiologa w otwartej klatce piersiowej, które natychmiast potrafi wyłowić rażące, cyniczne kłamstwo.

- Nigdy nie wymawialiśmy tego nazwiska w tym domu - odparowała, a w jej głosie nie było już żadnej przyjaznej nuty.

Opadły mi ręce.

- Słyszałem, jak mówiłaś o nim po południu w tym barze, Shirely's.

Zawstydzony odwróciłem wzrok. W dużym lustrze nad kominkiem zauważyłem wyraz zaskoczenia w jej oczach. France stała w pewnej odległości, ale w blasku czterech niewielkich lamp rozstawionych w rogach salonu widziałem na jej twarzy rosnące napięcie.

- Co? - Liv pokręciła głową z niedowierzaniem. - Ty mnie... śledziłeś?

Po co miałem odpowiadać? Było jasne, że to zrobiłem.

- Usłyszałeś, jak rozmawiałam przez telefon, tak?

Tym razem skinąłem głową. Zobaczyłem, jak stanowczość i

niezłomność ustępują miejsca innemu wyrazowi twarzy. Jej oczy stały się czarne.

- Szpiegowałeś mnie... śledziłeś mnie.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Ja do pewnego stopnia również. Nie posiadałem się ze zdumienia na myśl o działaniach, do jakich zaledwie w ciągu kilku dni doprowadziła mnie śmierć Naomi. Uświadomiłem sobie, że nigdy nie dopytywałem o moje pochodzenie z większą determinacją w dużym stopniu dlatego, że Liv za każdym razem uciwała tego rodzaju kwestie. A była osobą, która miała na mnie przemożny wpływ i przerażała mnie jak nikt inny na świecie. Moja przybrana matka - władczyni absolutna.

I nagle coś się wydarzyło. Poczulem jakiś przypływ dumy, pewność, że jeśli działać, to teraz albo nigdy, że mam do tego pełne prawo - i podniosłem głowę.

- Kto to jest? - powtórzyłem. - Mówiłaś przez telefon, że sądzisz, że nas znaleźli. O kim mówiłaś? To dlatego nie wolno mi wstawić zdjęcia na Facebooka? Ani w ogóle do Internetu? Żeby nas nie odnaleźli? Odpowiadaj!

Już zamierzała zrobić to co zwykle - słownie zmieszać mnie z błotem - kiedy France położyła jej na ramieniu lekką jak piórko dłoń. Mama Liv odwróciła się do niej; wtedy France wtrąciła się na migi, gestykulując pośpiesznie, jakby słowa same cisnęły jej się do ust.

- Myślę, że już czas, by mu powiedzieć - zrozumiałem. - Uważam, że Henry ma prawo wiedzieć. On ma szesnaście lat, Liv. Trzeba mu powiedzieć, co się dzieje. Nie mamy prawa dłużej trzymać go w nieświadomości. Już czas, żeby mu powiedzieć. Już czas.

Liv zwróciła na mnie swoje nieugięte spojrzenie. Z biegiem lat nauczyłem się odczytywać jej nastroje, rozumieć, co się w niej dzieje. Liv nie tolerowała niuansów; dla niej coś było czarne albo białe. Zrozumienie, zapomnienie, przebaczenie nie leżały w jej naturze. Jej naturą była nieugiętość. Sądzić - to potrafiła. Oddzielać dobrych od złych, przyjaciół od wrogów. Jak w tym słynnym powiedzeniu: Jeśli ktoś nie jest ze mną, to jest

przeciwko mnie. W stosunkach z Liv trzeba było wybrać obóz. W przypadku pomyłki człowiek nie miał drugiej szansy.

Każda rodzina ma swoje niepisane zasady. Jest jednocześnie krajem i jego rządem, obowiązują w niej prawa, których nie stosuje się w domu obok, dziesiątki drobnych układów i obyczajów, które, nie przekraczając jej granic, zapewniają jej jedność. Nasza rodzina bez wątpienia nie była demokratyczna. I nagle ku memu wielkiemu zaskoczeniu w mojej głowie zaświtała jasna, oczywista, rozstrzygająca myśl.

Nie znoszę jej, nienawidzę. Nawet nie jest moją matką.

Zaparło mi dech. Wpatrywałem się w Liv przez kilka sekund i uświadomiłem sobie, że już się jej nie boję. Mama France uśmiechnęła się do mnie. Była wcieleniem wyrozumiałości w takim stopniu, w jakim Liv była jej pozbawiona. Jej życzliwość była bezkresna jak ocean. Byłem pewien, że France byłaby zdolna wybaczyć mi wszystko, nawet zabójstwo Naomi, gdybym to ja był winny. Położyła na sercu płasko skrzyżowane dłonie, wskazując podbródkiem na Liv i na siebie.

- Kochamy cię.

Następnie przyłożyła zwiniętą prawą dłoń do ucha.

- Słuchaj.

- Siadaj, Henry - poleciła mi Liv, wskazując na sofę.

Usiadłem.

- Stanowczo potępiam to, co zrobiłeś - powiedziała surowym, ostrym tonem i znowu miałem ochotę zapaść się pod ziemię. - Rozczarowałeś mnie, bezgranicznie mnie rozczarowałeś. Zmieniasz się od jakiegoś czasu, Henry, i te zmiany mi się nie podobają.

- Dorastam - próbowałem zripostować niezbyt zdecydowanym głosem.

- O tak, zachowujesz się jak idiota! - zagrzmiała, a piorun uderzył prosto we mnie. - Nigdy więcej nie rób mi czegoś takiego, rozumiesz? Nigdy.

Spuściłem głowę.

- Ale France ma rację. Już czas, żebyś się dowiedział.

Gdybym zachował trochę większą przytomność umysłu, lepiej wyczułbym ironię tej sytuacji: przez tyle lat ukrywały przede mną prawdę, a teraz to ja czułem się winny. Podeszła do przeszkłonych drzwi i odwróciwszy się do mnie plecami, wyrzała na taras, na którego cedrową podłogę padały żółte plamy światła małych latarni.

- Wiesz, że jesteś adoptowany – zaczęła.

Okazało się, że Grant Augustine to imię i nazwisko mojego ojca. Byłem pewien, że nigdy wcześniej nie słyszałem tego nazwiska. Ale w jej opowieści nieustannie powracało imię Michelle: Michelle - ich najlepsza przyjaciółka, Michelle, która była ich sąsiadką w Los Angeles i mieszkała sama z dzieckiem, Michelle, która była kobietą absolutnie wspaniałą, bystrą i wesołą, ale nosiła w sobie ranę, która nie chciała się zbliżnić. W ciągu tych kilku miesięcy Michelle stała się dla nich jak siostra - zobaczyłem, że mówiąc o tym, Liv zerknęła na France - cóż, może nawet trochę więcej niż siostra.

- Ciągle u siebie przesiadywałyśmy, nasz dom był jej domem i na odwrót, zrobiłyśmy nawet przejście w ogrodzeniu między podwórkami. To był naprawdę cudowny okres... - przerwała i odchyliła głowę do tyłu. - A potem zobaczyłyśmy, że zdrowie Michelle z dnia na dzień się pogarsza - ciągnęła. - Któregoś dnia zauważyłam, że mocno schudła, innego znalazłam w pojemniku na śmieci w łazience kłęb jej włosów. Ciągle była zmęczona. Niedomagała, jej oczy straciły blask i...

- Była moją matką, tak? - przerwałem.

Liv przytaknęła.

- Tak, Henry, twoi rodzice nie zginęli w wypadku samochodowym. Ale dojdę do tego. Domyślałyśmy, co się dzieje. W końcu któregoś wieczoru zaprosiła nas na lampkę wina i oświadczyła: „Mam raka”. Tak po prostu. Jakieś błyskawicznie postępujące paskudztwo. Miała przed sobą kilka miesięcy życia. Byłyśmy załamane. Zrozum,

uwielbiałyśmy Michelle. Była dla nas naprawdę jak siostra, choć znałyśmy ją zaledwie od roku. Ale w tamtym momencie byłyśmy już zdecydowane na wyprowadzkę - dodała, ścisząc głos. Zerknęła na moją drugą mamę. - France... Cóż, France dostała propozycję, której nie można było odrzucić, odpowiedzialne stanowisko w Baltimore. Początek jej kariery, rozumiesz. Nie mogła przepuścić takiej szansy. Zamierzałyśmy się wyprowadzić z Kalifornii. - Liv odwróciła się w moją stronę. Jej oczy lśniły. - I wtedy Michelle postanowiła nam opowiedzieć swoją historię. I twoją. Powiedziała, że ma za sobą mało chwalebna przeszłość, że przez wiele lat była *escort girl*. Pracowała dla wielu różnych klientów, ale twój ojciec stał się kimś więcej niż klientem. Swoją drogą to był zły, niebezpieczny, podły człowiek. Nie chciała, żeby cię odnalazł, twierdziła, że jest toksyczny...

- Ale przecież z jakichś powodów zrobiła sobie z nim dziecko - wtrąciłem się.

- Tak. Błąd młodości. Była jego kochanką. Utrzymanką. Ale była też zakochana... Odkryła, jaki jest naprawdę, kiedy zaszła w ciążę. Wtedy nagle się zmienił, kazał jej zrobić skrobankę. Jakakolwiek dyskusja była niemożliwa. Twierdziła, że już w tamtych czasach z twoim ojcem się nie dyskutowało. Był nie tylko wpływowym człowiekiem, ale też nie miał skrupułów. Wyobraź sobie, powiedział jej, że jeśli będzie trzeba, sam przetnie jej brzuch nożem. To była fizyczna groźba. I ona mu wierzyła. Rozumiesz, czuł się osaczony, był żonaty, był osobą publiczną z politycznymi ambicjami: nie było mowy, żeby miał potajemnie dziecko z jakąś *escort girl*. Nie chciał go. Chciał, żeby usunęła, po dobroci lub siłą. A ona nie mogła się poddać aborcji, bo według lekarzy było to dla niej zbyt niebezpieczne. Myślę, że miało to związek z jej chorobą krwi. Poza tym była to na pewno jej ostatnia szansa, by zostać matką. Dlatego uciekła. Z tobą w brzuchu. Chciała cię ocalić. Jak wiele dziewczyn tej profesji, miała jakieś oszczędności. Przez siedem miesięcy, do porodu, mieszkała w jednym miejscu, po czym znowu się wyprowadziła. Miała fałszywe dokumenty. A potem

popelniła błąd. Wysłała mu zdjęcie z tobą, trzymiesięcznym chłopcem w ramionach i podpisem: *Twój syn*. Twój ojciec miał same córki. Głupia, niebezpieczna zemsta. Zrozumiała to dopiero później. Od tamtej pory on się uparł, żeby za wszelką cenę odnaleźć ciebie, swojego syna. To się stało jego obsesją. Dowiedziała się tego od Marthy, asystentki twojego ojca, z którą się zaprzyjaźniła. Martha powiedziała jej, że od tego momentu nie powinny utrzymywać żadnych kontaktów. Twoja matka doskonale wiedziała, o co chodzi. Znała charakter pracy twojego ojca, zdawała sobie sprawę z tego, jakimi on dysponuje środkami. - Liv przerwała i znowu rzuciła okiem na France, która ruchem głowy zachęciła ją, by mówiła dalej. - Ale powtarzam ci, Michelle, którą znałyśmy, nie miała nic wspólnego z osobą, jaką była w przeszłości. To była piękna, ujmująca, inteligentna, prawa kobieta, wspaniała matka, nasza przyjaciółka.

- I co się stało? - zapytałem, czując, że nie mogę się oprzeć rosnącej fascynacji dla tej kobiety.

- Któregoś ranka wezwała nas do siebie. Była już bardzo osłabiona, a my za dwa tygodnie miałyśmy wyjeżdżać, od następnego miesiąca France zaczynała pracę. Serce nam krwawiło na myśl, że zostawiamy ją w takim stanie, ale rozumiesz, nie miałyśmy wyboru. Wszystkie byłyśmy bardzo smutne, było nam strasznie, okropnie żal... - Spojrzała na mnie z wyrazem bólu na twarzy. To było coś nowego, zupełne przeciwieństwo jej zwykłej nieustępliwości. - No więc tamtego ranka nas zaprosiła. Siadamy, pijemy herbatę, obiecujemy, że ją odwiedzimy. Uśmiecha się żałośnie, udając, że nam wierzy. Wszystkie myślimy o tym samym: że może już nie zdążymy, na pewno nie zdążymy. Siedzi tam, w świetle poranka, jej twarz jest przeraźliwie zapadnięta i blada, w peruce na głowie. Milczymy przez chwilę i nagle ona mówi: „Zabierzcie Henrygo”. Patrzymy na siebie z France. Jesteśmy kompletnie zaskoczone. Ty bawisz się w pokoju obok, odkąd weszliśmy, słyszymy twoje gaworzenie. Tak, kochamy cię, ale to nie to: nigdy nie brałyśmy pod uwagę czegoś takiego. „Nie możemy”, mówię w końcu.

„Dlaczego?” Zastanawiam się nad odpowiedzią, jednocześnie starając się jej nie urazić. Jest taka słaba... Wie, że brałyśmy pod uwagę posiadanie dziecka, w pewnym momencie nawet szukałyśmy dawcy. Tłumaczy nam, że zna kogoś, kto świetnie podrabia dokumenty, prawdziwego fałszerza, który zrobił jej papiery. Sporządzi dokumenty stwierdzające, że jesteś naszym dzieckiem i dokądkolwiek się udamy, nikt nie będzie nam kazał się tłumaczyć. I jeśli nic ci nie powiemy, za jakiś czas zapomnisz o jej istnieniu...

Nie pamiętałem jej, nie miałem żadnych wspomnień, ale w tamtej chwili ją zobaczyłem. Ujrzałem bardzo piękną kobietę o twarzy zniekształconej słabością i cierpieniem, w blasku padającego przez okno porannego światła, i siebie u jej boku, nieświadomego, co nas czeka. Coś we mnie pękło.

- No więc tamtego dnia jej odmówiliśmy. Błagała nas, ale powiedziałyśmy nie. A potem wróciłyśmy do siebie. Było lato. Okna były pootwierane. Usłyszałyśmy jej płacz. W kolejnych dniach czułyśmy rosnące poczucie winy i wstyd. Byłeś rozkosznym chłopczykiem, kochałyśmy cię jak siostrzeńca, jak członka rodziny, choć nie mogłyśmy cię kochać jak syna. A ona miała umrzeć, nie wiedząc, co z tobą będzie. Do jakiej rodziny zastępczej trafisz... Albo jeszcze gorzej, czy twój ojciec nie znajdzie cię i nie zabierze. Te pytania nie dawały nam spokoju, dręczyły nas. Rozmawiałyśmy o tym z France co wieczór, co wieczór padały te same pytania, pojawiał się ten sam niepokój, to samo gryzące poczucie winy, a kiedy patrzyłyśmy przez okno wychodzące na podwórko, wiedziałyśmy Michelle stojącą na werandzie, palącą papierosa za papierosem, patrzącą w stronę naszego domu. Czekala, miała nadzieję... - Liv wzruszyła ramionami, podeszła do barku. Nalała sobie szkockiej do pełna i nieśpiesznie wypila do dna. - No i któregoś ranka zadzwoniłyśmy do niej i powiedziałyśmy: „Zrobimy to”. Henry, gdybyś widział, jaka była szczęśliwa. Myślę, że w tamtej chwili nic na świecie nie było w stanie jej tak ucieszyć. Na kilka godzin, na kilka dni zupełnie zapomniała o chorobie i tryskała niesamowitą energią.

Wszystko zorganizowałyśmy, wszystko przygotowałyśmy. Papiery, instrukcje, twoje rzeczy, co ci powiemy, do jakiej pójdziesz szkoły. Nasze rozstanie się zbliżało, ale ona już się go nie obawiała. Wyglądała nawet, jakby jej się śpieszyło, by się uwolnić od tego ciężaru. Żeby móc odejść w pokoju. A potem było pożegnanie. Dzień wyjazdu był naprawdę straszny... Gorszy niż wszystko, cokolwiek można sobie wyobrazić. - (Spojrzała na dno szklanki). - Wiedziałyśmy, że już nigdy jej nie zobaczymy, była zbyt osłabiona. Ona również wiedziała, że nie zobaczy już ani nas, ani ciebie. Jedną z ostatnich rzeczy, jakie nam powiedziała, było: „Nie nazywam się Michelle, nazywam się Meredith. A jego ojciec nazywa się Grant Augustine. Zaczekajcie, aż on wyrośnie na mężczyznę, solidnego, odpowiedzialnego mężczyznę, wiem, że dzięki wam się nim stanie, zdolnego do samodzielnego podejmowania decyzji, i wtedy mu powiedzcie. Obiecujcie mi to”. Obiecałyśmy.

Nie znałem jej, wcale, albo prawie wcale jej nie znałem, a jednak nie potrafiłem powstrzymać łez.

- Dalszy ciąg już znasz. - Umilkła.

Przez wiele, bardzo wiele sekund ciszę wypełniała obecność ducha - ducha mojej matki, zmarłej przed z górą piętnastoma laty. Zdałem sobie sprawę, że stawy moich palców zbielewały od zaciskania pięści, a policzki miałem mokre od łez. Wytarłem je rękawem.

- A mój ojciec, Grant Augustine? Dowiadywałyście się, kto to jest?

Przytaknęły.

- To bardzo wpływowy człowiek. Dysponuje olbrzymimi środkami. Kieruje firmą, która pracuje dla NSA. O jego spółce mówiło się przy okazji afery Snowdena. Kiedy chce, może mieć dostęp do całej naszej poczty elektronicznej, połączeń telefonicznych, aktywności w Internecie.

Teraz zrozumiałem, dlaczego zabroniły mi pozostawiać ślady w sieci. Wszystko stawało się jasne. Przypomniałem sobie wysokiego typu w czerni na promie, słowa mamy Liv z rozmowy telefonicznej „Myślę, że są na naszym tropie, że

nas odnaleźli” - i zadrzałem. Powtórzyłem to zdanie na głos.

- Przez telefon mówiłaś o nim, o jego ludziach?

Zasepiła się i pokiwała głową.

- Tak. Ja... Zrobiłam coś głupiego.

- Co?

- Wysłałam pocztówkę. Do tej Marthy, która w tamtych czasach pomagała twojej matce. Żeby jej powiedzieć, że masz się dobrze. Sądziłam, że po tylu latach zagrożenie minęło. To był błąd.

- Być może widziałem kogoś z tych ludzi na promie - powiedziałem. - Wysoki facet ubrany na czarno. To dlatego tak często się przeprowadzaliśmy? - zapytałem.

- Nie. To nie ma nic wspólnego z twoim ojcem. W każdym razie nie bezpośrednio. Wyprowadzaliśmy się za każdym razem, kiedy ktoś chciał się za dużo dowiedzieć o tobie i szczegółach twojej adopcji. Gdy byłeś młodszy, zawsze znajdował się ktoś, kto miał ochotę węszyć, opieka społeczna, personel szkolny, sąsiedzi... Więc na wszelki wypadek regularnie zmienialiśmy stany. Rozumiesz, nie zniosłybyśmy, gdyby ktoś nam cię zabrał. Fakt, rozwalilo to nasze kariery zawodowe, ale niczego nie żałujemy. Bo mamy ciebie. Najpiękniejszy prezent od twojej matki. A dziś jesteś już duży. Szesnastolatek wychowywany przez dwie kobiety mniej przyciąga uwagę niż mały chłopczyk.

- Chyba że jego dziewczyna zostanie zamordowana - dodałem.

Skinęła głową.

- Tak, Henry. Być może znowu będziemy musieli się przeprowadzić.

- Tym razem tak łatwo się nie odczepią. Jeśli teraz znikniemy, będziemy mieć na karku FBI.

Ta perspektywa sprawiła, że na chwilę zamilkły.

- Kim był ten mężczyzna w restauracji?

- Prywatny detektyw, którego zatrudniłam - powiedziała Liv. - Jest gejem. Polecili mi go członkowie wspólnoty. Zna prawie całą historię. Z grubsza rzecz biorąc, pilnuje tych, którzy pilnują nas.

Detektyw-gej. Pomyślałem o powieściach Georgea Baxta i Richarda Stevensona, które czasem wały się w salonie.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedziałem. - Czy ktoś was szantażuje?

Szeroko otworzyły oczy.

- A skąd wiesz?

- Ty pierwsza.

- Tak.

- Szantażuje was z mojego powodu, tak? Z powodu naszej tajemnicy?

- Tak.

- Podejrzewacie, kto to może być?

- Nie mamy zielonego pojęcia.

- Od jak dawna?

- Od kilku miesięcy - odparła Liv. - A teraz ja powtarzam pytanie: skąd o tym wiesz?

Opowiedziałem im o naszej przygodzie w lesie i w górach. Nie wspomniałem o Hardingu i jego imprezkach. W ich oczach zobaczyłem zaskoczenie i niedowierzenie.

Wróciłem do swojego pokoju. Zostawiłem otwartą stronę na Facebooku: w dalszym ciągu nie było na niej zdjęcia, w przeciwieństwie do profilu zatytułowanego „Jestem mordercą”, którego administracja serwisu jeszcze nie zamknęła - i zauważyłem, że mam nową wiadomość.

Nadawca podpisany był ciągiem przypadkowych liter, pewnie wpisanych na chybił trafił:

clcdjkdioeç_’hj”2^e

Kliknąłem, spodziewając się kolejnych wyzwisk, tym razem jednak nie chodziło o oskarżenia, ale o ostrzeżenie, tyleż zwięzłe, co klarowne:

Nie ufaj im. One kłamią.

DWA

27

KAMERY

- Tutaj.

Krueger wpatrywał się w monitor komputera. Na pierwszym nagraniu przy lewym brzegu ekranu widać było Henry'ego trzymającego Naomi za nadgarstki - potrząsał nią jak gruszą. Wiatr miotał strugi deszczu, morze waliło o burtę. Dziewczyna miała oczy szeroko otwarte ze strachu, niebezpiecznie przechylała się do tyłu przez nadburcie. Za jej plecami widać było olbrzymie fale. Henry w trzech czwartych odwrócony był plecami do kamery umieszczonej nad kabiną pilota, obejmującej dziób promu. Padało, a on był daleko. Pod tym kątem trudno było odczytać wyraz jego twarzy. Potem Naomi odepchnęła Henrygo. Chłopak upadł na pośladki, a ona ominęła go, by wbiec po schodach prowadzących na zadaszone pokłady. Zniknęła z pola widzenia kamery u dołu ekranu. Technik zatrzymał nagranie. W rogu była wyświetlona godzina 18.02.

- Tutaj - powtórzył.

Mężczyzna siedział. Szeryf Krueger i Chriss Platt stali po obu stronach fotela.

Drugie nagranie: z kamery monitoringu umieszczonej nad schodami. Technik wcisnął guzik, włączając odtwarzanie w przyspieszonym tempie. Przełączył na zwykłą prędkość. Była 17.58. Najpierw zobaczyli, jak członek załogi w mundurze żeglugi promowej pośpiesznie zbiega po schodach, plecami

do kamery. To ten, który ochrzanił Henry'ego. Jak zeznał, został powiadomiony przez pilota, że na dole jest jakaś rozróżba. Tamtego wieczoru na pokładzie nie było członka Homeland Security, choć po 11 września funkcjonariusze departamentu często pojawiali się na promach stanu Waszyngton. Następnie, o 18.02, na dole schodów pojawiła się Naomi. Jej twarz w kamerze była coraz większa. Dziewczyna była przerażona. Gdy znalazła się na górze, skręciła w jedynym możliwym kierunku, czyli w prawo, i o 18.03.19 zniknęła z pola widzenia kamery.

- Tutaj.

Pojawił się obraz z jednej z kamer filmujących główną salę. Ogólny widok od strony baru w kierunku niewyraźnych przednich okienek w głębi. Wszędzie pasażerowie - siedzący, stojący, chodzący w tę i z powrotem. Technik włączył przewijanie i tłum zaczął poruszać się frenetycznie we wszystkich kierunkach jak kulki we flipperze. Przełączył na zwykłe odtwarzanie i wskazał palcem punkt na monitorze. Naomi wyłoniła się w kącie, w którym znajdowały się schody prowadzące na dolny pokład, przeszła alejką między stolikami w kierunku kamery, skręciła w lewo i zniknęła w toalecie.

Technik znowu włączył przewijanie. O 18.23 ludzie zaczęli wstawać z miejsc. Oglądani w przyśpieszonym tempie sprawiali wrażenie, jakby byli chorzy na płasawicę Sydenhama. Sala szybko opustoszała. Wszyscy płynęli w kierunku schodów. Technik przełączył na zwykłe odtwarzanie: Naomi wyszła z toalety. Na obrazie z kamery, którego róg obejmował schody, widać było, jak idzie po stopniach w dół wśród ostatnich pasażerów.

Technik wykonał kilka operacji i pojawiły się dwa inne obrazy ukazujące dolne pokłady promu, na których tłoczyło się prawie sto czterdzieści samochodów. Pierwsza kamera obejmowała jeden z bocznych korytarzy, druga duży korytarz centralny. Mężczyzna pokazał Kruegerowi coś na pierwszym ekranie: Henry Walker i Charles Scolnick siedzący w fordzie Henry'ego w bocznym korytarzu.

Przesunął palec na drugie nagranie: Naomi pojawiła się na schodach wychodzących na główny korytarz, poza zasięgiem wzroku przyjaciół, i ruszyła ku ostatnim samochodom na jego końcu. Kamera zawieszona była na początku korytarza i widać z niej było tylko morze dachów, jeżeli obrazu nie zasłaniała jakaś ciężarówka albo van. Niemożliwością było stwierdzić, do którego samochodu wsiadła dziewczyna.

- A więc Henry mówił prawdę, przynajmniej na temat tego, co się wydarzyło na promie - powiedział Platt. - Zamknęła się w toalecie i zrobiła wszystko, żeby się z nimi nie spotkać.

- On i Charlie skrupulatnie jej szukali - zauważył Krueger. - Widać go na kilku nagraniach, nawet w przyspieszonym tempie. Podobnie jak brata Nicka...

- Mogę je puścić w zwykłym tempie, jeśli pan chce - zaproponował technik.

- Nie, w porządku - odparł Krueger. - Interesuje mnie samochód, do którego wsiadła.

Technik przewinął nagranie z kamery filmującej główny korytarz. Gdy prom dotarł do miejsca przeznaczenia, zaczął się taniec samochodów jeden za drugim wypadających z wnętrzości promu. Potem, kiedy ostatnie samochody zbliżyły się do kamery, mężczyzna zmienił tryb odtwarzania. Z powodu mokrych przednich szyb i rozbłysków świateł pasażerowie byli niewidoczni.

- A kamera na przystani, ta nad bramką?

- Cztery razy przewijałem nagranie, próbowałem poprawić rozdzielczość. Nic z tego... Przez ten deszcz i ciemności obraz był jeszcze gorszy - odpowiedział mężczyzna.

- A zatem wiemy, że zjechała z promu samochodem, ale nie wiemy jakim - podsumował Platt.

- To w każdym razie dowodzi, że w tej sprawie Henry powiedział prawdę.

- Ale nie dowodzi, że nie zabił jej później.

- Z tym że jest pewien problem. Nikt nie widział Naomi po opuszczeniu promu. A więc ostatnią osobą, która ją widziała, jest ta, która wpuściła ją do swojego samochodu.

- I która prawdopodobnie jest mordercą - stwierdził Platt. -

Musimy za wszelką cenę znaleźć jakiegoś świadka, na pewno ktoś z pasażerów widział, jak wsiadała do tego cholernego auta. Będą nam potrzebne numery wszystkich wozów, które stały tamtego wieczoru w głównym korytarzu. Da się do nich dotrzeć?

- Powinno się dać poprzez obróbkę obrazu - odpowiedział technik.

- Wiadomo, że na pokładzie był Taggart - powiedział Krueger.

- I Darrell Oates. Warto by sprawdzić, czy samochód któregoś z nich nie stał w głównym korytarzu.

- Naomi nigdy nie wsiadłaby do wozu Jacka Taggarta albo tego świra Darrella. Zresztą u Taggarta niczego nie znaleźliśmy.

- Poza informacją, że jego komputer został jakoby skradziony. Ty w to wierzysz?

- Ależ skąd. Ale to, co w nim było, mogło nie mieć żadnego związku z Naomi. Obaj wiemy, jakimi sprawkami zajmują się ci dranie.

- Myślisz to co ja?

- Co?

- Że mordercą jest jeden z pasażerów...

- Nie mam pojęcia. Martwi mnie, że matka dziewczyny nadal się nie odnalazła. Czy ona coś wie? Czy ma coś wspólnego ze śmiercią córki? Czy może też nie żyje? Wyślesz akta do HITS, sprawdzimy, czy zdarzały się takie przypadki, żeby dzieciak został zamordowany po tym, jak wsiadł na prom, i żeby zniknął jeden z rodziców. I czy już kiedyś odnaleziono ciało zawinięte w rybacką sieć.

HITS, Homicide Investigation Tracking System, jest w stanie Waszyngton odpowiednikiem VICAP, jednostki należącej do FBI, zajmującej się zbieraniem informacji na temat brutalnych zbrodni i przestępstw seksualnych. Umożliwia on kontakt z detektywami, którzy rozpracowywali podobne przypadki, gromadzi porzucone tropy, a także zebrane przez detektywów szczegóły, które nie zawsze pojawiały się w ich raportach.

- Rozwiązanie znajduje się tutaj, na promie - oświadczył Platt. - Trzeba znaleźć samochód, do którego wsiadła. Tamtego wieczoru na pokładzie było ponad sześćset osób. Dorosłych, uczniów w różnym wieku... Ktoś musiał coś widzieć.

CLCDJKDOIEĆ_ 'HJ'2^E

Zanim wpadłem do Charliego, by zabrać go do szkoły, przejechałem obok domu Naomi. Dzień prawie już wstał, ale niebo nad drzewami za osiedlem domów mobilnych, na którym Naomi mieszkała z matką, wciąż było ciemne.

Ich przyczepa stała na końcu dużej, kwadratowej działki - piaszczystej i porośniętej rzadką trawą, z rozłożystym wiązem pośrodku - na której jako dzieciaki często się bawiliśmy. Na dwóch innych bokach kwadratu stały jeszcze dwie przyczepy, a wolna krawędź była otwarta na główną drogę osiedla. Na większych konarach wiązu zbudowaliśmy szałas, do którego wchodziło się po sznurowej drabince. I szałas, i drabinka ciągle jeszcze tu były. Dziwnie było patrzeć na zamknięty dom z werandą opasaną policyjną taśmą, podczas gdy całe osiedle dookoła budziło się, przygotowując się do kolejnego dnia pracy albo bezrobocia: zapach kawy, naleśników i jajek, odgłosy zapalanych silników, blask włączanych reflektorów; uczniowie z młodszych klas szli pieszo na przystanek autobusu, szczebiocąc jak wróble.

Nie potrafiłem nie myśleć o matce Naomi, która latem i zimą wietrzyła przyczepę, wkładała do pralki swoje służbowe ubrania i suszyła bieliznę w suszarce lub rozwieszała ją na sznurku. Choć wcale nie była maniaczką prac domowych, często wręcz przeciwnie: Naomi wielokrotnie po powrocie ze szkoły musiała się zadowalać przygotowanym naprędce hamburgerem albo sama przyrządzać wieczorny posiłek. Jej matka, która pracowała jako krupierka w kasynie w rezerwacie Indian Lummi, więcej czasu spędzała w swoim pokoju niż w kuchni. Lub na werandzie, gdzie popijała piwo, wyciągnąwszy przed siebie zgrabne nogi, których długość podkreślały ciasne

szorty: albo skurczyły się w praniu, albo specjalnie kupiła je o dwa rozmiary za małe. Miała jednak obsesję na punkcie zapachu dymu tytoniowego, którym przesiąknięte były jej ubrania i skóra, całego tego smrodu przynoszonego z kasyna. Usiłowała się go pozbyć, ale na próżno - zapach unosił się w całej przyczepie. Ilekroć odwiedzaliśmy Naomi, potrzebowaliśmy chwili, by do niego przywyknąć, a ja gdy ją przytulałem albo całowałem, czułem, że jest nim tak przesiąknięta, jakby sama paliła.

Bardzo lubiliśmy jej matkę; kiedy robiła miny albo gdy wypiła o jedno piwo za dużo, potrafiła być naprawdę świetna. Wiem, że mimo wieku podobała się Charliemu i Johnnymu: kiedy Naomi nie było, często powtarzali słowa „kocica” albo „MILF”³. Nie mogli pojąć, że taka partia żyje bez faceta.

Jako dzieciaki nazywaliśmy to osiedle „Obozem”. Uwielbiałiśmy je. Ciągle tam przychodziliśmy pod pretekstem spotkań z Naomi. Pamiętam, jak na trzynaste urodziny mamy dały mi nowe trampki - superwygodne, na grubej podeszwie, które mocno trzymały i grzały moje małe stopy - i nowiutki rower marki Interceptor, na którym z dumą jeździłem z kumplami główną ulicą osiedla. Marzyłem o tym, by mieszkać w takim mobilnym domku: być może dlatego, że łatwiej było sobie wyobrazić, że jesteśmy na pokładzie statku kosmicznego albo okrętu podwodnego, gdy siedzieliśmy w maleńkim pokoju Naomi, niż kiedy byliśmy w naszych przestronnych domach. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy z niepewności ich położenia, dostrzegałem jedynie jego malowniczość.

Zaparkowałem przed kwadratem trawy i wysiadłem. Doszedłem do werandy i na chwilę przystanąłem. Żółte taśmy policyjne łopotwały w ostrym porannym wietrze, który mroził mi policzki. W nocy temperatura wyraźnie spadła.

Nagle przypomniał mi się widok osiedla w trakcie zamieci w 2010 roku. Sypiący bez przerwy śnieg, cisza jak makiem zasiał, dym wydobywający się z kominów, gruba warstwa puchu przykrywająca przyczepy i ulice - i my w naszym szałasie, uszczelnionym i wyściełanym starymi ciepłymi kołdrami i

3 *Mother I'd like to fuck* - Matka, którą chciałbym przelecieć.

poduszkami, z podnóżkiem udającym stół i zasłonami ze zużytego dywanu, które chroniły nas od wiatru. Czy jest na świecie szczęśliwsze stworzenie niż dziecko bawiące się na dworze w śnieżny dzień?

Zauważyłem, że ktoś obserwuje mnie z okna domku po prawej stronie i wróciłem do samochodu.

- Gdzieś ty się szlajał? - zapytał Charlie, upychając za ucho kosmyk czarnych włosów. - Spóźnimy się na prom.

- Nie, okay. Podjechałem rzucić okiem na przyczepę Naomi.

- Po co?

- Policja założyła taśmy, wiedziałeś o tym?

Pokręcił głową.

- Jak myślisz, gdzie jest jej matka? - spytał. - Nie żyje?

- Nie mam pojęcia.

Charlie spojrział na mnie przenikliwie.

- Henry... Nick, mój brat, mówił mi, że obrazy z kamer na promie potwierdzają naszą wersję. Podobno Naomi wsiadła do czyjegoś samochodu, ale na podstawie nagrania nie są w stanie go zidentyfikować.

- No to musimy go znaleźć.

- Ale jak?

- Może na początek przepytamy wszystkich uczniów, którzy byli na pokładzie?

Wpadliśmy na parking. Na prom wjeżdżały ostatnie samochody. Wśliznęliśmy się za nimi.

- Pozwól, że my, Kayla, Johnny i ja, się tym zajmiemy - powiedział Charlie. - Ciebie ostatnio nie otacza aura świętości.

- Uwielbiam te twoje gadki, bracie.

Noah Reynolds zatrzymał samochód w Everett, czterdzieści siedem kilometrów na północ od Seattle, na parkingu przy Dwudziestej Dziewiątej Alei pod numerem 9509. Mieścił się tu dom z cegły i szkła, który w porównaniu ze swoim sąsiedztwem miał śmieszne rozmiary, był bowiem niejako wciśnięty między pasy startowe, gigantyczne hangary i monumentalną infrastrukturę fabryk Boeinga. Jej część

stanowił największy budynek na świecie: czterysta tysięcy metrów kwadratowych powierzchni, trzynaście milionów metrów sześciennych, armia wózków podnośnikowych i główna brama o rozmiarach sto na dwadzieścia pięć metrów - ale także bank, sklepy, stołówka dla strażaków, kilka kafejek Tully's, własna policja i własna rozdzielnia.

Noah nie był więc zdziwiony, gdy na parkingu, w drodze do Zakładu Medycyny Sądowej na powitanie usłyszał ryk startującego boeinga 787 dreamlinera. Spojrzał na maszynę. Ciężko wznosiła się w niebo i wyglądała jak olbrzymia latająca orka. Noah pomyślał, że jeśli ktoś jest w stanie znieść taki ryk, to chyba tylko zmarli. Przeszedł przez szklane drzwi i po trzech minutach stanął przed nim wysoki, krzepki mężczyzna w kitlu narzuconym na czarny sweter, o dziwnym spojrzeniu, któremu winna była opadająca powieka - przypominała ona zablokowaną w połowie drogi sklepową roletę. Z powodu tej przypadłości doktor Fraser Shatz zawsze sprawiał wrażenie, jakby przysypiał. Wrażenie to jednak było błędne i zmyliło już niejednego początkującego adwokata. Noah nie znał większego profesjonalisty. Doktor Fraser Shatz był naczelnym lekarzem sądowym i dyrektorem Zakładu Medycyny Sądowej hrabstwa Snohomish.

- Cześć, Noah - powiedział Fraser, witając Reynoldsa uściskiem wiotkiej, zimnej dłoni, zawsze przyprowadzał nim o dreszcz nowicjuszy, którzy mieli po raz pierwszy asystować przy sekcji zwłok. - Kopę lat.

- Dzień dobry, doktorze, zmarli czują się dobrze?

- Są w doskonałej formie - odparł Shatz z dziwnym, krzywym uśmiechem. - Jeśli tak dalej pójdzie, w końcu dobią mi się do skóry.

- Kto, zmarli?

- Nie, góra.

Inaczej mówiąc, nowe władze hrabstwa Snohomish. Noah wiedział, że Shatz rozpoczął szeroko zakrojoną restrukturyzację Zakładu Medycyny Sądowej. Reynolds zauważył, że lekarz ma podkrążone oczy i wygląda na wyczerpanego. Słyszał, że kompletnie się nie dogaduje z nowym szefem. Noah nie wie-

dział, po czyjej stronie leży wina. Wiedział jedynie, że Shatz zawsze był cholerykiem i lepiej czuł się wśród trupów niż wśród żywych ludzi.

- Szukają haków w związku z moim zarządzaniem - dodał lekarz, gdy szli korytarzami.

Noah zawsze uważał, że zakładów medycyny sądowej, podobnie jak wszystkich sił policyjnych, jest w tym stanie za dużo. Policje poszczególnych hrabstw, biura szeryfów, departamenty policji w Seattle i Bellevue, policja hrabstwa King (pilnująca metra), policja University of Washington z kompetencjami obejmującymi cały stan i Washington State Patrol, który zajmował się wszystkim: morderstwami, kradzieżami, gangami, jednostki SWAT - wszyscy deptali sobie po piętach. Podobnie było ze służbami medycyny sądowej. Na przykład hrabstwo King miało doświadczonych patologów, ale to był wyjątek. Najczęściej ich pracę wykonywali koronerzy. Poza tym małe hrabstwa dysponowały ograniczonymi finansami, tak że od lipca, jeżeli to było tylko możliwe, unikano przeprowadzania sekcji zwłok, które zbyt obciążały budżet. Prawdziwy bajzel...

Shatz obejrzał się za siebie i popatrzył na Noaha.

- Co się dzieje? Policja z powrotem zatrudnia emerytów?

- Teraz pracuję na swoim, doktorze.

- Jestem poinformowany.

Shatz wpuścił Reynoldsa do gabinetu. Miał w nim swoją ścianę chwały - mozaikę zdjęć i kilka artykułów. Na fotografiach widać było tylko lokalne osobistości, ale Shatz i tak był najlepiej opłacanym funkcjonariuszem w hrabstwie Snohomish. Jego roczny budżet sięgał dwóch milionów dolarów. W poprzednim roku jego zakład przeprowadził trzysta dziewięćdziesiąt jeden sekcji.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - zapytał, rozsiadając się w fotelu.

- Przychodzę w sprawie tej dziewczyny, którą znaleziono martwą na plaży.

Lekarz złączył pod brodą palce obu dłoni.

- I?

- Ona była w ciąży
- Zgadza się.
- Będziecie robili analizę porównawczą DNA dla prokuratora z wysp San Juan?
- Znowu się zgadza.
- A zatem przechowujecie DNA płodu.

Opadająca powieka Shatza lekko drgnęła, co było oznaką zainteresowania.

- Do czego zmierzasz, Noah?
- Do tego.

Reynolds wyjął z kieszeni niewielką białą kopertę z folii, która dotarła do niego specjalnym lotem tego ranka. Odebrał ją przed godziną.

- Co to jest? - zapytał lekarz.
- Próbką DNA.
- Słucham?

- Chcę tylko porównania markerów genetycznych tego DNA i DNA płodu.

Zapadła cisza, którą zakłócał jedynie warkot startującego lub lądującego samolotu. Markerów genetycznych używanych w medycynie sądowej było od piętnastu do dwudziestu, trochę podobnie jak z cechami wspólnymi linii papilarnych.

- Cholera, Noah, czy ty rozumiesz, o co mnie prosisz?
- Nikt się o niczym nie dowie, masz moje słowo.

- Poza właścicielem tego DNA. Kto to jest? Ojciec płodu? Zdajesz sobie sprawę, że ta informacja mogłaby być istotna dla śledztwa?

- Tak. Jeśli wynik będzie pozytywny, w odpowiedniej chwili osobiście podzielę się nią z Kruegerem. Nie chodzi o ojca, ale o dziadka...

- Nie rozumiem.

- Wszystko, co powinieneś wiedzieć, to to, że ten mężczyzna sądzi, iż może być ojcem chłopaka ofiary, ale jeszcze nie jest tego pewien.

Shatz wpatrywał się w Noaha, tym razem z błyskiem w oku.

- A zatem jeśli płód to rzeczywiście jego wnuk - dokończył, kręcąc młynka palcami - to będzie oznaczało, że chłopak jest

jego synem. Oczywiście przy założeniu, że ofiara była w ciąży ze swoim chłopakiem. W tej sprawie wysłałem już do laboratorium prośbę o porównanie DNA. Krueger mnie prosił. Ale, rzecz jasna, nawet jeśli ten wynik będzie pozytywny, nie da nam odpowiedzi na twoje pytanie - ciągnął Shtatz, kiwając głową. - W przeciwieństwie do tego - dodał, wskazując na biały pakunek. - Kto to jest, Noah? Muszę wiedzieć. Inaczej nie ma mowy, żeby to zrobił.

- Grant Augustine.

- To nazwisko nic mi nie mówi.

- Biznesmen, który startuje w wyborach na gubernatora Wirginii. Rozumiesz problem?

- Co go łączy z tym dzieciakiem?

- Chłopaka wychowują dwie matki, które jakoby go adoptowały. Istnieją jednak podejrzenia, że raczej porwały go po urodzeniu. To długa historia... Powiedzmy, że śledztwo doprowadziło nas do tego chłopaka. Grant Augustine, ten gość, szuka go od szesnastu lat, wyobrażasz to sobie, Fraser? Być może masz w ręku coś, co położy kres rozpacz, która trawi ojca od szesnastu długich lat. Ojca, któremu porwano dziecko, który nie widział, jak ono dorastało, który do niedawna nie wiedział jeszcze, czy ono żyje...

Shtatz podniósł dłoń, jakby chciał powiedzieć: „Mimo wszystko, nie przesadzaj”.

- Chce go odnaleźć czy obawia się skandalu przed wyborami?

- Chce odnaleźć syna. Na niczym bardziej mu nie zależy. Pomyśl o tym. Musisz tylko zrobić jedną małą analizę. W pierwszej kolejności. Jesteś mi to winien.

- Niczego nie jestem ci winien.

- Wykonaliśmy razem dobrą robotę...

- To prawda.

Shtatz wyciągnął rękę nad biurkiem, a Noah włożył pakunek w jego dłoń.

- Tylko tak albo nie - powiedział lekarz. - Nic więcej. A potem opowiesz mi całą historię.

Spotkaliśmy się na przerwie.

- Na razie nikt sobie nie przypomina, co robiła Naomi na promie - powiedział Charlie. - Ale nie przepytaliśmy jeszcze wszystkich. Rozpuściliśmy hasło: jeżeli ktoś coś widział, niech najpierw przyjdzie nam powiedzieć.

Wrzeszczące mewy wyglądały jak białe opilki pośród szarugi. Ostry wiatr usiłował się wedrzeć pod nasze ubrania. Nadeszła zima.

- Cóż, i tak wszyscy myślą, że to ja. Zdziwiłbym się, gdyby wam pomogli.

Znowu pomyślałem o wiadomości, którą znalazłem na Facebooku: *Nie ufaj im. One klamią*. I o facecie, z którym rozmawiała Liv. O tym detektywie. Czy mówiła prawdę? W klasie przypomniałem sobie słowa Hardinga: „To ktoś, kogo nikt nie podejrzewa... Ani trochę. Według mnie to osoba, która raczej nie rzuca się w oczy. Dyskretna, skromna. A jednocześnie musi mieć dostęp do pewnych informacji”. I znowu pojawiło się pytanie, czy szantażysta i morderca to jedna osoba.

W bufecie grzebałem w swoim talerzu. Charlie, Johnny, Kayla i dwie inne dziewczyny z klasy pograżyli się w rozmowie, ale nie było już tak jak dawniej: śmiechy stały się rzadsze, unikano niektórych tematów. Wokół nas panował zwykły gwar, ale od czasu do czasu przyłapywałem podejrzliwe spojrzenia i wymiana zdań przy którymś z sąsiednich stolików stawała się nagle o kilka decybeli cichsza - znak, że rozmawiano na mój temat. Coraz gorzej to wszystko znosiłem.

Dziobiąc wołowinę po tajsku i ryż z curry, nagle pomyślałem o matce Charliego. O tej porze na pewno siedziała przy kasie Ken's Store & Grill, z mężem, który w kuchni przygotowywał posiłek i Wendy serwującą piwo i kawę przy ladzie na drugim końcu sklepu. Poczulem dziwne świerzbienie. Bardzo często widziałem, że stojąc w oknie swojego pokoju, patrzyła, jak odjeżdżam, i niemal niezauważalnie machała mi na pożegnanie. Któregoś dnia

Charlie powiedział mi, że jego matka spędza w tym oknie większość czasu. Kiedy o tym pomyślałem, stwierdziłem, że faktycznie odkąd pamiętam, kojarzę to okno z jej sylwetką. „To osoba, która raczej nie rzuca się w oczy. Dyskretna, skromna”. Matka Charliego przy kasie, ojciec w kuchni, Nick w biurze szeryfa...

Świerzbienie stało się silniejsze. Charlie mówił mi o alarmie w sklepie uruchamianym tylko w czasie wakacji. W wyobraźni ujrzałem duże podwórko ogrodzone wysokim płotem z desek i lasem na końcu - bawiłem się tam setki razy, później było już zbyt małe jako teren zabaw dla nastolatków, zwłaszcza latem, gdy przyzywało nas morze, zatoczki i inne wysepki leżące w zasięgu wioseł. Głupi, głupi, głupi, skarciłem się. Nawet o tym nie myśl. Ale oczywiście myślałem. Delikatny, efemeryczny uśmiech jego matki, jej dyskretna sylwetka, kasztanowe włosy, wśród których zaczynały się pojawiać siwe nitki... „Według mnie to osoba, która raczej nie rzuca się w oczy. Dyskretna, skromna. A jednocześnie musi mieć dostęp do pewnych informacji”. W sklepie, jak gdyby nigdy nic, jej łagodne spojrzenie było w ciągłym ruchu, dyskretnie podążając za klientami, skuteczniejsze od kamery monitoringu. Ilu zwierzeń musiała się nasłuchać przy kasie? Ludzie spontanicznie obdarzali ją zaufaniem. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że może się w niej kryć choćby krztyna złośliwości, niegodziwości, złej woli. To było nie do pomyślenia. Odbija ci, usłyszałem w głowie ostrzegawczy głosik.

Wstałem. Wyszedłem z bufetu i ruszyłem w stronę budynku administracji. Skierowałem się wprost do biura Loviska.

- Nie jest dobrze - powiedziałem od progu. - Kiepsko się czuję, bardzo kiepsko.

- Chcesz iść do lekarza?

- Chcę wrócić do domu.

Skinał głową, sięgnął po kartkę.

- W porządku, z kim masz zajęcia po południu?

Powiedziałem mu.

- Zmykaj. Przekażę jej.

Dobrą godzinę czekałem na prom. Palce trzęsły mi się na kie-

rownicy. Kiedy znalazłem się na pokładzie, wyłączyłem telefon. Sala była prawie pusta, bar zamknięty. W końcu zszedłem z powrotem do samochodu i włączyłem muzykę.

Po powrocie na Glass Island skręciłem w prawo, potem w lewo i ruszyłem w górę Main Street. Zaparkowałem jakieś sto metrów od Kens Store & Grill i resztę drogi pokonałem pieszo. Minąłem sklep, idąc drugą stroną ulicy, wcisnąwszy zakapturzoną głowę w ramiona, potem błyskawicznie skręciłem, szybko przeciąłem jezdnię i ruszyłem w stronę płotu; częściowo zasłaniały go samochody klientów zaparkowane obok sklepu, co ułatwiało mi sprawę. Przemknąłem za nimi, zostawiając za sobą boczne wejście do baru, które znajdowało się obok zamkniętego na kłódkę pojemnika z lodem.

Podchodząc do drewnianego płotu, obejrzałem się za siebie. Skupiłem się na ulicy, potem złapałem za deski ogrodzenia i przeskoczyłem na drugą stronę. Spadłem na nasiąkniętą trawę i przez chwilę nie podnosiłem się z kucek. Moje serce zaczęło bić nieco szybciej. Gdyby ktoś mnie przyłapał, trudno byłoby mi wyjaśnić, co robię w tym miejscu.

Jak wszystkie wewnętrzne podwórka, to również pełne było wszelkiego rodzaju rupieci, stał tu jednak także stół i ogrodowe meble, a na wszystkich pniach wisiały budki łęgowe. Dom miał podniesioną werandę. Kiedy mieliśmy po dwanaście lat, wczółgiwaliśmy się pod nią i bawiliśmy się w speleologów uwięzionych w marsjańskich jaskiniach, w których żyły mięsożerne stwory. Charlie pękał ze śmiechu, wydając z siebie okrzyki: „Argggghhhh!”, „Ratunku!”, „Na pomoc!”, „Pożerają mi nogi, ochhhhhh!”, i wymachując kończynami na wszystkie strony. Pewnej nocy, kiedy u nich spałem - zajmowałem górę łóżka piętrowego, a on był na dole - walił w ścianę, usiłując mnie przekonać, że w podziemiach domu mieszka jakiś zły duch i gdyby któryś z nas pechowo zapuścił się wieczorem pod werandę, nigdy więcej byśmy go nie ujrzeli. Oczywiście ani przez chwilę w to nie wierzyłem, powtarzałem niestrudzenie: „Charlie, wiem, że to ty walisz”, a on równie niezmordowanie odpowiadał: „Henry, przysięgam na głowę mojej matki, to nie

ja!”. Nie zmienia to faktu, że tymi historiami i odgłosami napędział mi cholernego stracha i dobrze o tym wiedział.

Podszedłem do werandy i do tylnych drzwi z daszkiem krytym łupkiem bitumicznym. Byłem prawie pewien, że są otwarte. Poza sezonem, gdy turyści wyjadą, nikt na Glass Island nie zamyka tylnych drzwi w biały dzień. Długo wycierałem podeszwy. Wreszcie wszedłem.

Zgodnie z moimi przewidywaniami w środku było cicho.

Wszyscy byli w sklepie. Nagle pomyślałem o Nicku i na chwilę żołądek ścisnął mi się ze strachu. W związku z toczącą się sprawą Nick powinien być w biurze szeryfa. Gdyby jednak tu był i mnie znalazł, z pewnością otrzymałbym burę życia.

W korytarzyku na parterze piętrzyły się w kątach skrzynki oranżady rabarbarowej, waniliowej i lawendowej. Drzwi po lewej prowadziły do salonu, inne do kuchni. Za drzwiami naprzeciwko mnie, z prawej strony schodów, był korytarz prowadzący do sklepu. Na nogach z waty, wczepiony w woskowaną poręcz ruszyłem na piętro, gdzie znajdowały się pokoje. Schody pod wyleniałym dywanem lekko skrzybiały. Gdy byłem na górze, zawahałem się. Sypialnia rodziców znajdowała się na końcu. Za pierwszymi drzwiami był pokój Charliego, za drugimi - Nicka. Nagle zdałem sobie sprawę z niedorzeczności mojego przedsięwzięcia. Co spodziewam się tutaj znaleźć? Jakiś ślad wskazujący, że to pani domu jest szantażystką? Szczegół, który nagle rzuci światło na całą sprawę, jak w jakimś serialu? Bez sensu. Pomyślałem o Naomi. Jej śmierć usprawiedliwiała wszelkie ryzykowne kroki. Wnikając w życie mieszkańców wyspy - podobnie jak robi to szantażysta - prędzej czy później odkryję prawdę. Byłem jednak przekonany, że tutaj niczego nie wskóram, poza zniweczeniem najpiękniejszej przyjaźni mojej młodości, i byłem o mały włos od zakończenia całej operacji i odwrotu, kiedy spojrzałem na drzwi do pokoju Charliego... Otwarte.

Instynktownie podszedłem bliżej. Wstrzymując oddech, zajrzałem do środka. Wszystko pogrążone było w niesamowitym spokoju. Za oknem padał deszcz. Gitara Charliego stała oparta o ścianę obok podświetlanego

globusa, przed którym wiele razy marzyliśmy o wyprawach pirogą w górę Orinoko i Zambezi. Jego kolekcja gier wideo leżała na dywaniku przy łóżku, a konsola Playstation na nocnej szafce. Ubrania porozrzucane były po całym pokoju. W otwartej na oścież szafie wisiały koszule w kratkę, które Charlie zawsze zapinał pod samą szyję. Wyrko - z którego najtrudniej było mu się wygrzebać w zimowe poranki - było niepościelone: zauważyłem w nim odcisnięty ślad jego ciała. Na ścianie wielki plakat z legendarnego koncertu Nirvany w Reading, a także oprawione w ramki hasła w stylu: Tutaj odbywają się mistrzostwa świata luzerów, Superbohaterowie to geje: noszą rajstopy, Zakaz palenia, ale nie masturbacji (to ostatnie zasłonięte proporczykiem Seahawks), Dyplom z zombilogii, na biurku zaś wielobarwna lampka w kształcie rakiety, podręczniki szkolne i otwarty Mac... Nadstawiłem uszu, ale z parteru nie dochodził żaden dźwięk, nie było słyhać nawet głosów klientów. Tylko głuchy warkot samochodu przejeżdżającego Main Street.

Pchnąłem drzwi. Wszedłem do środka. Podłoga znowu lekko skrzypnęła pod moimi stopami. W powietrzu unosił się ostry zapach: znajomy i trudny do określenia, kojarzący się z podejrzanymi nocnymi zabawami. Podeszedłem do biurka i spojrzałem na komputer. Przesunąłem palcem po touchpadzie. Zaświecił się ekran. W tle morze i wyspy, a na pierwszym planie orka wykonująca piruet nad wodą. Kliknąłem w nią i pojawiło się żądanie hasła dostępu. Mniej więcej rok wcześniej widziałem początek hasła, które Charlie wprowadzał na tablicie. Nie zrobiłem tego umyślnie, ale nie potrafiłem odwrócić wzroku. Nie wiedziałem, czy od tamtego czasu go nie zmienił... Wstukałem ZOMBILAND - i skrzynka się otworzyła! Nie wiem, czego szukałem. Ale to wtargnięcie w cyfrową prywatność Charliego sprawiło, że podskoczył mi puls.

Po chwili jednak zrzędała mi mina: jego skrzynka była pusta. Kiedy ten fakt dotarł do mojej świadomości, poczułem gęsią skórkę. Dlaczego wyczyścił pocztę? Ta z pozoru nic nieznacząca sytuacja wzbudziła mój niepokój. Czyżby się bał, że policja będzie grzebać w jego korespondencji? Nie zdążył jednak

usunąć konta. Działal w pośpiechu, musiał to zrobić przed wyjściem do szkoły. Po ciele przeszły mi ciarki, a mój niepokój wzrósł. Co chciał ukryć - i przed kim?

Potem zobaczyłem coś, od czego krew zastygła mi w żyłach, jak od muśnięcia wiatru w nocy na cmentarzu. Nagle zachciało mi się wymiotować. Nazwa wyświetlająca się w prawym górnym rogu ekranu nie była nazwą konta, z którego korzystał zazwyczaj, tego, które sprawdzał na tablecie. To była jakaś inna skrzynka. Zresztą nawet nie była to nazwa, ale przypadkowy ciąg liter:

clcdjkdoieç_`hj”2e

REZERWAT

Wracając pieszo Main Street, trząsałem się z gniewu. Bolała mnie głowa i zamierzałem wejść do apteki. Światła witryn właśnie się zapalały. Całe miasto spowijała gęsta mgła, w której blask lamp, reflektorów samochodowych i portowych latarni ulegał rozproszeniu: przypominało to układ planet i księżyców poruszających się w wypełnionym gazem kosmosie. Tak właśnie wygląda zima na Glass Island.

Charlie...

O nie, Charlie, tylko nie ty. Żadna zdrada nie mogła mnie zboleć bardziej niż ta. Zdradziła mnie dziewczyna, którą kochałem, a teraz przyszła kolej na najlepszego przyjaciela, na mojego brata, na Charliego. Myśl o tym była straszna. Potworna.

Wszedłem do jasno oświetlonej apteki i ruszyłem prosto do lady. Gdy szedłem po wyłożonej płytkami podłodze, chlupało mi w butach. Z moich włosów kapiała woda. Przywitała mnie aptekarzowa i nie potrafiłem nie pomyśleć o tym wszystkim, co teraz o niej wiedziałem. Miała na sobie kaszmirowy sweter i obcisłe dżinsy. Usta pomalowała błyszczkiem. Jej spojrzenie przypominało pieszczotę i przez chwilę wyobraziłem sobie, jak ją policzkuję i biję, ciągnę za włosy i rzucam na podłogę, każąc jej wyśpiewać wszystko, co wie. Poprosiłem o paracetamol, a ona mi go przyniosła. Gdy wyszedłem, schowałem się w zaułku między apteką a następnym budynkiem. Przejście wyłożone było płytkami chodnikowymi, spomiędzy których wyrastała trawa. Czekałem w cieniu, moje serce po brzegi wypełniał czarny jak ropa naftowa gniew i równie czarny smutek. Zobaczyłem go we mgle, jak idzie ulicą ze spuszczoną głową, torbą zarzuconą na plecy i deskorolką pod pachą. Wściekłość

zapłonęła we mnie jak rozżarzone węgle. Kiwnąłem na niego. Charlie podniósł głowę, zauważył mnie.

- Henry? Co ty tu robisz?

Gestem zachęciłem go, by podszedł bliżej, a sam wycofałem się w głąb wąskiego, ciemnego przejścia. Zrobił krok, potem drugi, wchodząc w uliczkę. Wtedy złapałem go za kołnierz i uderzyłem.

Noah wysiadł z samochodu. Wszedł do kasyna, przechodząc pod monumentalną drewnianą konstrukcją frontową. Kiedy znalazł się za drzwiami, zatrzymał się, jakby trafił na ścianę - natychmiast uderzyła w niego fala hałasu i zapachów.

Ustawione pod żyrandolami automaty na bilon dzwoniły, stuknęły, ćwierkały i wydawały z siebie najrozmaitsze elektroniczne odgłosy, podczas gdy na ekranach przesuwały się owoce, zwierzęta, gladiatorzy i greccy bogowie. Noah rozejrzał się oszołomiony. Na pierwszy rzut oka maszyn były setki. Większość graczy stanowiły białe kobiety między czterdziestką a sześćdziesiątką. I wcale nie przyszły tu dla zabawy: wstukiwały kombinacje symboli na ekranach dotykowych lub za pomocą wielkich guzików, grzebały w koszykach z monetami, które w szalonym tempie wrzucały do automatów, jakby karmiły jakiś szczególnie żarłoczny gatunek bydła. Kiedy wygrywały, rozlegały się ostre dzingle. Panujący tu papierosowy zaduch z pewnością nie przedłużał klienteli życia. Noah zatkał nos: piekło dla niepalących musi mieć właśnie taką woń. Najwyraźniej indiańskie prawo zezwala na kopcenie jak lokomotywa w miejscach publicznych.

Do tej pory Noah tylko raz był w indiańskim kasynie - było to Tulalip Casino przy autostradzie międzystanowej numer 5. Bardziej przyzwyczajony do czytania przy dźwiękach muzyki poważnej niż do takiej kakofonii, pośpiesznie ruszył główną alejką. Na środku znajdowały się stoły do black jacka i do pokera. A więc to tutaj pracowała matka Naomi... Przyjrzał się graczom, ale o tej porze było ich niewielu. Żaden z nich nie zwrócił jego uwagi. Wrócił do baru i powiedział, że jest umówiony z dy-

rektorem. Barman zatelefonował, a następnie wskazał mu długi korytarz po prawej stronie, za barem.

Noah szedł po grubej różnokolorowej wykładzinie. W przeciwieństwie do otaczającego je rezerwatu Indian kasyno wyglądało na dobrze prosperujące. Dawniej źródłem dobrobytu Lummicich był połów łososia. Przez wieki, w czasie wędrówki na tarło, wody zatoki Bellingham i okolicznych wysp obfitowały w ryby. Ale ta gospodarka upadła w starciu z konkurencją hodowli i katastrofalnymi konsekwencjami nadmiernych połowów oraz zniknięciem naturalnego środowiska łososi. Obecnie dochody z handlu narkotykami na terenie rezerwatu przewyższały zyski z rybołówstwa. Rada plemienna zmodyfikowała nawet prawo przodków, wprowadzając karę banicji za ten proceder. Zostały więc kasyna, pomyślał Noah. Od lat osiemdziesiątych były one dodatkowym źródłem dochodów dla rezerwatów Indian wokół Seattle, jednak pieniądze zawsze przyciągają sępy - a indiańskie kasyna na tych terenach zarabiały więcej niż Las Vegas i Atlantic City razem wzięte.

Noah zastukał do drzwi z tabliczką DYREKCJA.

- Proszę - odpowiedział mu niski głos.

Dyrektor, Indianin Lummi, wstał, zapiał guzik marynarki i wyszedł zza biurka. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i musiał ważyć ze sto kilogramów, ale Noah nie dostrzegł żadnych oznak otyłości na wysokości jego pasa. Miał gęste, siwiejące włosy, ale jego brwi nadal były czarne. Ostre rysy twarzy i wysokie kości policzkowe, typowe dla amerykańskich Indian.

- Dzień dobry, to ja do pana dzwoniłem - odezwał się Noah.

- Tak... prywatnie... - Dało się wyczuć, że wypowiada to słowo bez żadnych negatywnych skojarzeń. - Chodzi o Sheilę Sanders, tak? Paskudna historia, jej córkę zamordowano, ona zniknęła. Niech pan siada.

Dyrektor wrócił na miejsce. Przez okno za jego plecami Noah zauważył równinę, a dalej zaśnieżone szczyty Gór Kaskadowych odcinające się na tle ciemnego wieczornego nieba.

- Przesłuchiwała pana policja?

Dyrektor twierdząco skinął głową.

- Maglowali mnie przez pięć godzin. Dwa razy. Wszyscy tu byli, prawdziwy najazd: szeryf z Glass Island, policja hrabstwa Whatcom, nasza policja z rezerwatu, patrol stanowy, dosłownie wszyscy. W ich głowach słowa „Indianin” i „kryminalista” to na pewno synonimy. Ale przecież Naomi, córka Sheili, nie zginęła tutaj, prawda? Wie pan, w jaki sposób ta dziewczyna została zabita?

- Tak, słyszałem o tym.

- Była ciągnięta trałem... jak jakiś łoś. Dziewczyna, która od strony ojca wywodzi się z Lummich. Przypominam panu, że Lummi to nie Indianie z Wielkich Równin, ale rybacy z dziada pradziada, od tysięcy lat. Dopiero dzisiaj zmuszono ich, żeby stali się krupierami w kasynach, przedsiębiorcami albo handlarzami narkotyków. Córka Indianina Lummi utopiona w cholernej sieci rybackiej, ciągnięta za łodzią, rozumie pan, do czego zmierzam? - Podniósł głowę. - Sądzi pan, że morderca jest rasistą, panie Reynolds?

Do tej chwili Noah nie brał pod uwagę takiej hipotezy. Zresztą i teraz w nią nie wierzył. Ojciec Naomi zmarł dawno temu, a ona sama żyła z dala od rezerwatu. Nie utrzymywała z nim już żadnych kontaktów.

- Albo rybakiem - rzucił.

- Insynuuje pan, że mógłby to być ktoś z naszych?

- Między Seattle, Vancouver i Victorią pływa ponad trzysta tysięcy zarejestrowanych łodzi - zaoponował Noah. - Jak pan myśli, ile z nich to jednostki rybackie?

Dyrektor wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie wie. - Sugerowałem im, żeby sprawdzili ten trop - zaznaczył - ale popatrzyli na mnie tak, jakbym pokazał im kupę na wykładzinie.

- Proszę mi opowiedzieć o matce Naomi.

Szef kasyna odchylił się w fotelu. Pogrążył się we wspomnieniach.

- Piękna kobieta, bardzo piękna. I nie była gadatliwa.

Według dyrektora matka Naomi była znakomitą profesjonalistką, a jej uroda przyciągała do stolików i automatów coraz

liczniejszych graczy płci męskiej. Poza tym nie była skłonna do spoufalania się z ludźmi. Nie przyjaźniła się z żadnym z członków personelu kasyna. Dyrektor próbował raz czy drugi dowiedzieć się więcej o jej życiu - Noah zrozumiał, że gość mniej lub bardziej ją podrywał - ale ona grzecznie go odprawiła.

- Opowiadała o swojej córce?

- Tak, to był właściwie jedyny temat, jaki ją interesował. Była bardzo dumna z jej wyników w szkole. Mówiła, że Naomi daleko zajdzie, nie to co ona... - Noah zauważył, że mężczyzna się zasępił.

- A o Henrym? - zapytał.

- A kto to jest?

- Chłopak ofiary. Mówiła panu o nim?

Dyrektor pokręcił głową.

- Nie, nigdy. Ale od pewnego czasu było widać, że się martwi.

- Czym?

Indianin spojrzał na niego.

- Myślę, że martwiła się o córkę. Przestała o niej opowiadać. Kiedy ją zagadywałem, starannie unikała tematu. Jeśli chce pan znać moje zdanie, uważam, że coś się wydarzyło. I ona była tym bardzo zmartwiona.

- Miała kogoś?

- Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Jestem przekonany, że nie miała. To była straszna samotniczka. - Oczy dyrektora posmutniały. - A przy tym czasami ubierała się trochę wyzywająco, przynajmniej w opinii niektórych. Trzeba przyznać, że nie znosiła bigotów, sztywniaków, hipokrytów i moralistów. Może mi pan wierzyć, to była niesamowita kobieta.

Noah zrozumiał, że idealna pracownica nie była dyrektorowi obojętna. Czyżby coś między nimi było? Obiecał sobie, że to sprawdzi.

- Nie przychodzi panu do głowy, gdzie ona może być? Nie opowiadała panu o jakimś domku, łodzi, o miejscu, w którym mogłaby się zaszyć?

- Jak się pan domyśla, wszyscy zadawali mi już to pytanie.

Odpowiem panu tak samo, jak odpowiedziałem im: według mnie znajdzie ją pan sześć stóp pod ziemią albo na dnie morza.

Charlie dotknął rozciętej wargi i spojrzał na palce umazane krwią.

- Kompletnie ci odbiło! - W jego głosie było więcej gniewu niż lęku.

Schyliłem się nad nim. Siedział jeszcze na ziemi, w zacienionej uliczce. Neon na rogu apteki rzucał na jego twarz różnokolorowe odbłyски.

- Kurwa, co z tobą?!

- Widziałem twoją pocztę, Charlie.

- O czym ty mówisz?

- O twoim drugim koncie mailowym, tym, z którego wysyłasz anonimy.

Podniósł na mnie pełen niedowierzania wzrok.

- Byłeś w moim pokoju? Kiedy? Po co to zrobiłeś?

- Nieważne.

- Nieważne? O nie, nie zgadzam się! Wyobraź sobie, że dla mnie to cholernie istotne.

- Charlie, wysyłasz do mnie anonimy? Myślałem, że jesteś moim najlepszym przyjacielem.

- Nie anonimy - poprawił mnie. - To była jedna wiadomość. Najlepszym przyjacielem, powiadasz? To dlaczego, do kurwy nędzy, włamujesz się do mnie, kiedy jestem w szkole? Co to ma znaczyć?

- Nie odpowiesz? To ty jesteś tym szantażystą?

- Co?! Wal się! - zawołał.

- Zawsze byłeś zazdrosny o innych - ciągnąłem, nie panując nad tym, co mówię. - Zawsze marzyłeś, żeby być na naszym miejscu, moim i Johnny'ego, poderwać sobie Naomi i Kaylę. Myślisz, że nie wiem, że bujałeś się w Nao? - Widziałem, że jego oczy robią się coraz większe ze zdumienia. - W budzie to samo. Chciałbyś być kapitanem drużyn, gościem podziwianym przez wszystkie laski. A tymczasem żadna nie

zwraca na ciebie uwagi. Co ty robisz wieczorami w łóżku, Charlie?

W jego spojrzeniu zauważyłem niedowierzanie, wściekłość i ból. Straszliwy ból. W przeszłości wielokrotnie się kłóciliśmy, ale nie pamiętam, bym kiedykolwiek mówił do niego w ten sposób.

- Odpowiedz, Charlie, dlaczego wysyłasz do mnie anonimowe wiadomości!

- Kurwa, chciałem cię ostrzec! - wybełkotał prawie przez łzy. - To wszystko!

- Ostrzec mnie? Ale przed czym?

- Przed Liv i France!

Puściłem jego kołnierz i odsunąłem się. Charlie skorzystał z okazji i wstał. Oparł się plecami o drewnianą elewację apteki, dotknął szczęki. Zauważyłem plamki krwi na jego kołnierzu.

- Henry, ty mnie uderzyłeś! Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? Zaczyna ci odbijać!

- Przed czym chciałeś mnie ostrzec?

Charlie oddychał prawie tak głośno jak astmatyk w trakcie ataku.

- Coś mi przyszło do głowy, ale nie chciałem ci o tym mówić. Bałem się, że mnie znienawidzisz.

- Gadaj, o co chodzi.

Zawahał się.

- Chodzi o France.

Wyprostowałem się.

- O coś, co moja matka zauważyła w związku z France.

- Kurwa, wyduś to z siebie wreszcie!

Spojrzał na mnie smutno.

- Wiesz, że moja matka lubi siedzieć z nosem przy oknie i gapić się na ulicę, kiedy nie może spać. Z góry widać całą Main Street, aż do portu.

Nic nie powiedziałem, ale pomyślałem, że to właśnie dlatego wszedłem do jego domu. Sztywny z napięcia czekałem na dalszy ciąg.

- Któraś dnia usłyszałem, jak rozmawia z ojcem na zapleczu sklepu. Nie wiedzieli, że tam jestem. Padło imię twojej

matki, więc podszedłem bliżej. - Pociągnął nosem i wytarł go. - Usłyszałem, jak mówi: „Jestem pewna, że to była France”. Mój ojciec powiedział coś w stylu: „O pierwszej w nocy?”. A matka na to, że tak, że to był samochód France. Jechała od strony waszego domu. Zaparkowała przed sklepem wędkarskim i wysiadła. Lał deszcz. Miała na sobie wiatrówkę, ale mama widziała jej blond włosy wystające spod kaptura i rozpoznała sylwetkę. To była ona. Matka mówi, że potem France otworzyła jeden z kontenerów na śmieci stojących na zewnątrz, na rogu Main Street i Argyle Avenue, i że kiedy wyjęła rękę z kosza, miała coś w dłoni. Jakiś pakunek albo kopertę, matka nie była pewna, stała za daleko, żeby zobaczyć. Potem twoja mama wsiadła do samochodu i wróciła do was, Henry.

Znowu złapałem go za kołnierz i pchnąłem na ścianę apteki.

- Kłamiesz! Wymyśliłeś to!

- Ach tak, proszę bardzo! Uderz mnie! Nie krępuj się, dupku, skoro tak bardzo tego chcesz. Ale nie będziemy już przyjaciółmi, słyszysz? Już nigdy! - Absolutna wściekłość malująca się na jego twarzy musiała być odpowiedzią na moją minę. Ścisnąłem jego szyję i przez chwilę miałem ochotę zrobić mu wielką krzywdę. Pokręcił głową. - Kurwa, przestań! Udusisz mnie.

Puściłem go. Krzywiąc się, potarł czerwony ślad na szyi. Zakasłał.

- To najprawdziwsza prawda. Pamiętam, że ta rozmowa bardzo mnie zaintrygowała. Nie wiedziałem jeszcze wtedy o tej historii z szantażystą i zastanawiałem się, dlaczego twoja matka wychodzi w nocy z domu i grzebie w śmietnikach East Harbor. Wiesz, o twoich mamach wciąż krążą różne plotki. Nikt tak naprawdę nie wie, skąd przyjechały. Pomyślałem, że... może jest rosyjską agentką, rozumiesz? I że w ten sposób dostaje instrukcje. Wiem, to idiotyczne. Cholera...

- To było przed tym czy po tym, jak byliśmy u Oatesów?

- Dużo wcześniej. W ubiegłym roku. Chciałem ci wtedy o tym powiedzieć, ale następnego dnia coś się pewnie wydarzyło i ta sprawa wyleciała mi z głowy. Przypomniałem

sobie o niej, kiedy opowiedziałeś nam o tym, co Darrell mówił ci w samochodzie, a potem kiedy Harding wspomniał o tym szantażyście... - mówił niechętnie, a z jego twarzy nie zniknął wyraz zimnej wściekłości.

Czułem, jakby mieszanka adrenaliny, gniewu i smutku rozsądzała mnie od środka. Piorunowałem go wzrokiem i widziałem w jego oczach tę samą wrogość. Poczulem, że coś między nami definitywnie pękło. Że nasza przyjaźń nie przetrwa tego, co zdarzyło się w tej uliczce. Jedyna w swoim rodzaju więź, która łączyła nas przez wszystkie te lata jak braci, tego wieczoru umarła. Zrobiło mi się smutno. Nieskończenie smutno.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

Udawał, że bacznie przygląda się czubkom własnych butów.

- Wysłałeś do mnie jeszcze jakieś wiadomości?

- Co? Nie! Tylko tamtą!

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wprost? Kurwa, Charlie, dlaczego wysłałeś mi anonim? - prawie wyjęczałem.

Zobaczyłem, że mimo kolorowego blasku neonu na policzkach jego twarz zrobiła się blada.

- Miałem wątpliwości...

- Wątpliwości? W związku z czym?

- W związku z tobą. Chciałem zobaczyć, jak zareagujesz.

- Dlaczego?

- Bo cię podejrzewałem, do cholery! - prawie krzyknął.

Wpatrywałem się w niego oszołomiony. Jego oczy chyba nigdy

nie były smutniejsze. Nigdy wcześniej nie widziałem, by patrzył w ten sposób. Tak. Nasza przyjaźń umarła. Po czymś takim nic nie mogło jej ocalić. Odwróciłem się na pięcie i poszedłem do samochodu. Czułem, że oblepia mnie coś, co przypomina zimną, wilgotną kołdrę, izolując mnie od reszty świata:

...to była bezbrzeżna rozpacz...

Byłem nieskończenie nieszczęśliwy.

ODLOT

Lot do hrabstwa Lee znajdującego się na południowo-zachodnim krańcu Wirginii, ale posiadającego własne lotnisko, właśnie się zaczynał. Stewardesa przed kabiną pilota pokazywała, co należy zrobić w przypadku poważnych komplikacji: maska, kamizelka, ewakuacja... Grant Augustine, nadaremnie usiłując ją ignorować, zastanawiał się, jaki odsetek pasażerów miał kiedykolwiek okazję zastosować te procedury z dobrym skutkiem. Nienawidził samolotów, ale miał własny. Kwestia statusu.

Jay w końcu przekonał go, by skorzystał z tej drogi, zamiast osiem godzin tłuc się w tę i z powrotem przez Pasma Błękitne. A cały ten cyrk, pomyślał, tylko po to, żeby zbajerować wieśniaków na granicy z Kentucky, gdzie mieszkańcy odizolowanych górskich osad masowo uciekali do miast, gdzie najstarsi mówili jeszcze z akcentem skrzypiącym jak stary wóz, choć u młodszych kobiet zastępował go już akcent tych dziwek z tv reality, i gdzie największe miasto liczyło mniej niż sześć tysięcy mieszkańców.

Po drugiej stronie głównego przejścia siedział Jay, który obserwował oddalające się światła lotniska Charlottesville-Albemarle. Augustine czasem nienawidził swojego wiernego psa za tę jego flegmę, jaką przejawiał bez względu na okoliczności. Jay najwyraźniej wyczuł jego myśli, ponieważ odwrócił się w stronę Granta i uśmiechnął. Jego bladoszare oczy wciąż płonęły tym wewnętrznym ogniem, który przyprawiał Augustine'a o dreszcze od czasu, gdy byli nastolatkami. Albowiem Grant, który dzięki nowoczesnej technologii badał serce i duszę każdego Amerykanina, nigdy nie zdołał wnikać w umysł człowieka, który przecież był mu najbliższy: po trzydziestu

pięciu latach wspólnego życia Jay pozostawał dla niego tajemnicą. Bywały takie noce, gdy Augustine budził się zły potem i stwierdzał, że śnił mu się Jay, który z nieznanego mu powodów przyszedł, by go zabić we śnie. Nigdy nie zamierzał z niego zrezygnować, podziękować mu za lojalną służbę, ale czasami zastanawiał się, jak Jay by zareagował, gdyby to zrobił, a wtedy jego żołądek zaciskał się w supeł.

Raz zdarzyło mu się widzieć Jaya w akcji. W tamtych czasach Grant jeszcze studiował; jego dziewczyna oświadczyła mu, że zostawia go dla jednego z zawodników uniwersyteckiej drużyny futbolowej. Jay właśnie został wyrzucony z Marines za nie-subordynację i przemoc wobec przełożonego. Przyjaźnili się od dzieciństwa, ale w tamtym okresie ich więzy były wyjątkowo rozluźnione. Jednak to właśnie Jayowi Grant zwierzył się ze swojego nieszczęścia; kochał się w tej dziewczynie na zabój. „Zajmę się tym”, powiedział Jay. Zaczaili się na gościa w nocy, kiedy wracał z jakiejś imprezy. Jay rzucił się na niego z tamponem nasączonym jakąś usypiającą substancją. Kiedy tamten się ocknął, leżał związany w vanie Szymańskiego.

Przez las niedaleko kampusu przepływał strumień, po którego obu stronach rosły gęste zarośla. Nad strumieniem przerzucona była gruba rura odprowadzająca ścieki. Jay, uzbrojony i ubrany w kominiarke, przywiązał chłopaka do rury. Nago. Był środek zimy. Grant obserwował tę scenę ukryty w krzakach. Jego serce waliło jak szalone. Jay zabronił mu się pokazywać. Spędzili tak sporą część nocy. On i Jay byli ciepło ubrani. Od czasu do czasu Jay spokojnym głosem powtarzał: „Odczepisz się od tej dziewczyny, rozumiesz? Jeśli nie, połamię ci ręce i nogi i twoja kariera sportowa się skończy, rozumiesz? Jeśli tak, kiwnij głową”. Jay kazał mu też wypić pół butelki burbona i połknąć jakieś tabletki. Pięć godzin później zostawili go pod szpitalem - w stanie hipotermii i upojenia alkoholowego.

Grant wiedział, że od tamtego czasu Jay robił znacznie gorsze rzeczy - dla niego, tylko dla niego. Dla niego i dla WatchCorp.

Odwzajemnił jego uśmiech. Zauważył, że Jay wyjmuje komór-

kę - przed chwilą poczuł w kieszeni jej wibracje.

- Proszę pana - zwróciła się stewardesa do Jaya, ale Grant skinął na nią i zamilkła, patrząc z przyganą. Poza nimi była jedyną użytkowniczką tej kabiny i z pewnością traktowała ją jak własne terytorium. Silniki zaczęły pracować głośniej. Augustine poczuł, że nad jego górną wargą pojawiają się krople potu.

- Tak - odpowiedział Jay i słuchał z uwagą. - Jesteś tego pewien? Jakie prawdopodobieństwo? Ponad dziewięćdziesiąt pięć procent?

Tętno Granta przyspieszyło.

- To znaczy, że jest dziadkiem, tak?

Augustine nie wytrzymał: uniósł się na fotelu, zapominając o tym, że jest w samolocie, i mimo że podłoga zrobiła się stroma jak trasa narciarska, co zazwyczaj wciskało go w siedzenie, przechylił się na drugą stronę alejki, obojętny na gwałtowny zryw silników.

- Dzięki - powiedział Jay. - Oddzwonimy do ciebie. - Zakończył rozmowę i odwrócił się w stronę Augustine'a.

Ten, podekscytowany na widok wyrazu twarzy Jaya, nagle poczuł się wolny od lęków, gdy tymczasem samolot piął się coraz wyżej. Lampka nad jego głową przypominała o konieczności zapięcia pasów, ale Grant odpiął klamrę, by jeszcze bardziej przechylić się w stronę Jaya.

- Bingo - rzucił mu podwładny, przekrzykując świst silników. - Tym razem to pewne. Jesteś dziadkiem tego dziecka!

Augustine z całych sił ścisnął podłokietnik.

- Jezu! A więc to on! Henry, mój syn. Wreszcie go znalazłem, po tylu latach!

Nagle oczami pamięci zobaczył wszystkie te sytuacje, kiedy przyjeżdżając do którejś z amerykańskich metropolii w interesach, na jakieś seminarium czy konferencję marzył o tym, by wśród publiczności zebranej na sali wypatrzeć sylwetkę Meredith, by zobaczyć, jak przechodzi przez drzwi hotelu, podczas wysiadania z taksówki zauważyć ją, jak idzie po drugiej stronie ulicy, trzymając za rękę ich syna. Przypomniał sobie, jak nieskończenie wiele razy przeczesywał wzrokiem tłum ludzi na

lotnisku, przyglądał się klientom restauracji, pasażerom pociągów i samolotów, wpatrywał się w jadące autostradą samochody Szesnaście lat tortur... Szesnaście lat, w trakcie których za wielkie pieniądze zatrudniał detektywów i policjantów do pracy we wszystkich metropoliach i mniejszych miastach Ameryki, a nawet w zapadłych hrabstwach, jeśli jakiś trop prowadził ich w tym kierunku. Czy był szczęśliwy? Nie, było za wcześnie i czuł zbyt wielki niepokój, za bardzo się obawiał, że ten spóźniony cud ulotni się jak fatamorgana. Poczł się przytłoczony i zniecierpliwiony. W jednej chwili wydało mu się, że całe to tournee po Wirginii odbywa się kompletnie nie w porę, i ogarnęło go ogromne zwątpienie.

- A więc rzeczywiście była z nim w ciąży. Jay, myślisz, że to on... ją zabił?

Jay wykrzywił usta.

- Przejrzałem całą korespondencję i rozmowy przeprowadzane w biurze szeryfa. A Reynolds zdał mi raport. Wygląda na to, że to ich główny podejrzany.

Augustine miał wrażenie, jakby ziemia usuwała mu się spod nóg. Podniósł głos:

- Jay, to jest mój syn! Po tylu latach wreszcie go znalazłem. Drugi raz mi go nie ukradną! Nie pozwolę, żeby mi go odebrali, rozumiesz? Trzeba znaleźć winnego, Jay. A jeżeli to on, trzeba skombinować innego. Jak najszybciej!

Szymański jak zwykle skinął głową.

- Masz jakiś pomysł, kto by to mógł być?

Jay się zastanowił.

- Ten Charlie - zaproponował. - Jego najlepszy przyjaciel. Grzebałem trochę w jego tablecie i smartfonie. Na pewno wie więcej, niż mówi. Często kontaktował się z ofiarą, wygląda na to, że bez wiedzy twojego syna. Założę się, że był w niej zakochany. I jest lekko stuknięty. Na punkcie seksu. W jego wieku to nie jest coś nienormalnego, ale może by wystarczyło. Gdybyśmy dodali do tego parę wątków własnej produkcji...

Augustine skinął głową z aprobatą.

- Dobry pomysł. Ale najpierw trzeba znaleźć winnego. Jay,

to nie może być on.

Maszyna ustabilizowała lot i wróciła do poziomu. Sygnalizacja zapięcia pasów zgasła. Weszła stewardesa.

- Coś do picia, panowie?

Grant Augustine spojrział na jej dekolt, ładną twarz i pełne kształty wciśnięte w elegancki uniform.

- Ma pani szampana? - zapytał, a kiedy odpowiedziała twierdząco, powiedział: - To niech pani wypije z nami. Mamy coś do uczczenia.

- Co takiego? - spytała z ujmującym uśmiechem.

- Niestety nie mogę ci powiedzieć, ślicznotko.

Noah popatrzył na dom. Typowy budynek dla północno-zachodniego wybrzeża Pacyfiku, z którego z pewnością rozciągał się zapierający dech w piersi widok na cieśninę i góry, jeżeli tylko nad oceanem nie leżała mgła - a tak było właśnie tego wieczoru. W dole między drzewami zauważył pomost pontonowy, który wyglądał, jakby wchodził w morze mgieł, a także widmowy kształt hangaru na łodzi.

W kilku oknach paliły się światła, rozpraszające się gwiazdzistą poświatą w wilgotnym powietrzu. Wiszący nad czubkami świerków księżyc w pełni otaczał mleczny pierścień. W lusterku wstecznym Noah widział światła domu najbliższych sąsiadów, stojącego jakieś dwieście metrów dalej.

Rzucił okiem na urządzenie leżące na fotelu pasażera. Płaskie pudełeczko wielkości paczki papierosów z czarną pięćdziesięcio-centymetrową anteną. Wystukał coś na klawiaturze notebooka, który spoczywał na jego kolanach. Na monitorze wyświetliły się wszystkie sieci Wi-Fi widoczne w promieniu dwustu metrów. Noah naliczył czternaście podłączonych urządzeń: dwa komputery, cztery smartfony, jeden tablet, trzy telewizory, ale także cztery bezprzewodowe kamery monitoringu. Na chybił trafił włączył podsłuch jednego ze smartfonów. Rozległ się męski głos: „Nie mam ochoty o tym teraz rozmawiać. Cindy, nie mamy pieniędzy, słyszysz? Jesteśmy splukani!” „Nie moja wina, że wysłałam

za tłustego pijaka i nieudacznika” - odpowiedziała Cindy. Noah się uśmiechnął. W dzisiejszych czasach nie trzeba już nawet instalować pluskiew. Smartfony, tablety i komputery są znacznie skuteczniejsze od miniaturowych mikrofonów z filmów szpiegowskich. Epoka cyfryzacji to wymarzone czasy dla wszystkich szpiegów świata. Ale nie tego szukał. Noah połączył się z jednym z komputerów. Ktoś oglądał pornola: gang bang z facetami przebranymi za motocyklistów i napompowaną silikonem blondyną pośrodku. Henry’ego nie było jeszcze w domu, a było raczej mało prawdopodobne, by jego mamy gustowały w mieszanych scenach seksu grupowego. Zamknął połączenie.

Kamery monitoringu... Przez chwilę majstrował przy połączeniu. Pojawił się obraz z jednej z nich: salon, kominiek z dużym lustrem powyżej, a po bokach regały z książkami i płytami DVD. Spojrzał na prawy bok ekranu. Wielkie przeszklone drzwi. Bingo. Obraz nie był zbyt wyraźny, ale Noah zdołał rozpoznać duży cedrowy taras, a dalej, w dole, zarysy pograżonego we mgle pomostu i hangaru na łódzie - tych samych, które widział z samochodu.

Był w środku. Zauważył smartfon leżący na ławie. Poszukał go na liście. Wprowadził nowe instrukcje. Wyświetliły się słowa: *capture: microphone*. Włączył dzwonek telefonu, który widział w kamerze. W słuchawce, którą miał na lewym uchu, rozległ się odgłos kroków. W polu widzenia kamery pojawiła się jakaś kobieta. Niewysoka brunetka.

Noah uśmiechnął się do siebie: A więc tak wyglądasz.

Nadeszła druga kobieta - wyższa, szczuplejsza blondynka, o odrobinę niedzisiejszej urodzie. Szybko gestykulowała dłońmi. Język migowy. To była druga matka Henry’ego, głuchoniema, o imieniu France.

Noah włączył nagrywanie.

- Martwię się o Henry’ego - powiedziała brunetka. - Dzwonił Lovisek, pytał, czy Henry czuje się już lepiej, nie wiedziałam, co odpowiedzieć... - Brunetka, Liv Myers, sięgnęła po butelkę stojącą na barku (Noah zmrużył oczy: Jack Daniel’s) i naląła sobie obficie do kanciastej szklanki. -

Z tego, co zrozumiałam, Henry urwał się z popołudniowych lekcji. - Pociągnęła nosem. - Tutaj go nie było. Dokąd poszedł? Masz jakiś pomysł?

Blondynka uniosła brwi i otworzyła dłonie na znak, że nie ma pojęcia.

- Nie jest z nim dobrze, France - stwierdziła brunetka. - Ani trochę. Bardzo się martwię.

Blondynka zaczęła długą przemowę na migi i brunetka musiała się skupić, żeby za nią nadążyć.

- Co? Kiedy?

Blondynka odpowiedziała, ale Reynolds nie rozumiał jej języka.

- Jesteś pewna?

Blondynka energicznie skinęła głową.

- Po co Henry miałyby grzebać w naszych starych papierach? — (Blondynka znowu nie wiedziała). — Naprawdę jesteś tego pewna? - (Intensywne kiwanie głową). - Może niechcący coś poprzekładałaś. - (Zirytowana mina i ruchy głową z prawa na lewo). - Dobra, dobra... Ale czego on mógł tam szukać? - (Gest uniesionych ramion i brwi).

Noah siedział w samochodzie i patrzył dalej, zafascynowany tym, co widzi.

Zwyczajna scena. Ale co zostaje z tej zwyczajności, kiedy nasze gadanie, wybuchy złości, rozmowy prywatne, w rodzinie i wśród przyjaciół są masowo przechwytywane? Co zostaje ze zwyczajności, gdy życie każdego obywatela zostaje obnażone i prześwietlone przez jakichś ludzi kryjących się w cieniu? Sprzęt, którego używał Noah, nie był jakiś wyjątkowy. Hasło sieci Wi-Fi bez trudu odgadnie nawet najbardziej leniwy haker na tej planecie. A kiedy człowiek już wejdzie do sieci, to tak, jakby wszystkie drzwi i okna otworzyły się przed nim na oścież, jakby ściany były ze szkła, jakby ubrany w czapkę niewidkę znalazł się tam razem z nimi - małżeństwami, rodzinami, singlami. Edward Snowden, który był tamtej jesieni na pierwszych stronach gazet, stwierdził, że dzieci przychodzące na świat w naszych czasach nigdy nie poznają znaczenia słów „życie prywatne”.

Noah włączył inną kamerę: korytarz prowadzący do pokoi na parterze. Drzwi na końcu były otwarte. Za nimi zauważył metalową komodę z szufladami do wieszania teczek. Wzmógł czujność. Nie miał żadnego gadżetu, który pozwoliłby mu zajrzeć do tych szuflad. Nawet gdyby któraś z kobiet otworzyła jedną z nich, kamera była zbyt daleko. Będzie musiał wejść do środka. Wyłączył komputer i wrócił do hotelu.

MGŁA

Mgła przez całą noc kleiła się do mojego okna. Nigdy nie lubiłem tych nocy, gdy pachnąca jodem mgła przychodzi od morza, wciska się w ulice, otula wyspę i odcina ją od reszty świata, sprawia, że w jej bieli znika blask gwiazd i wszystkie kształty poza jasnymi księżycami latarń oraz czerwonym i zielonym światłem sygnalizacji na drogach. Zawsze mam wrażenie, że coś może się z niej wyłonić. Coś albo ktoś.

Mama France szantażystką. Czy to możliwe? Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie jej zachowania. Być może to właśnie szantażysta zostawił w tym kontenerze jakiś dowód świadczący o kontroli, jaką nad nimi sprawował.

„Nie ufaj im. One kłamią”. A więc to Charlie wysłał mi tę wiadomość. Charlie, który stale u nas bywał. Moje matki zawsze traktowały go jak kogoś w rodzaju drugiego syna, jak mojego brata - którym rzeczywiście dla mnie był, aż do tego wieczoru.

Moje serce drażył smutek. Utrudniał mi oddychanie i przyginał klatkę piersiową ciężarem, o którym myślałem, że nigdy nie stanie się lżejszy. Nie potrafiłem zasnąć. Obawiałem się też przyszłości, która mogła być tylko katastrofalna. Wydawało mi się, że schronienie, azyl, jakim była wyspa przez wszystkie te lata, już nie istnieje. Że wkrótce będę musiał ją opuścić. Żeby iść do więzienia? Co ze śledztwem? Czy mają jakieś inne tropy? Nie miałem już żadnych wieści od Kruegera.

Nasłuchiwałem. Cały dom pogrążony był w ciszy. Spojrzałem na czerwone cyfry budzika: było dwie po drugiej. Moje mamy dawno już zasnęły. Zapaliłem lampkę przy łóżku i sięgnąłem do szafki nocnej po małą latarkę. Zrzuciłem kołdrę i włożyłem szlafrok na piżamę.

Boso ruszyłem do drzwi. Na zewnątrz panowała cisza. I ciemności. Wszystkie światła, oprócz lampki w moim pokoju, były pogaszone. Mama France i mama Liv spały dwa pokoje dalej. Podszedłem tam. Przyłożyłem ucho do drzwi. Poza lekkim pochrapywaniem z sypialni nie dochodziły żadne dźwięki. Zahałem się, ale wiedziałem, że ich drzwi nie skrzypią, więc je otworzyłem. Przyjrzałem się dwóm pogrążonym we śnie twarzom w słabej poświacie wpadającej przez okno. Jedna z nich była spokojna i niczego nie wyrażała (Liv), na drugiej (France) malował się wyraz zdenerwowania; miała zmarszczone brwi i sprawiała wrażenie, jakby nawet przez sen walczyła z jakimś wewnętrznym wrogiem. Przez chwilę wsłuchiwałem się w ich oddechy, a następnie zamknąłem drzwi.

Kiedy wróciłem do domu po tym, jak zasadziłem się na Charliego w tamtej uliczce, Liv zapytała mnie, gdzie byłem. W jej głosie dało się wyczuć nutę nieufności. Patrzyła na mnie z nieskrywaną podejrzliwością.

Schody... Stałem na dywanie. Moja sylwetka odbiła się w lustrze nad kominkiem, gdy schodziłem po stopniach. Duży salon spowijał mleczny półmrok - to efekt mgły, która przywarła do okien. Strumień światła latarki przesunął się po ścianach, sprawiając, że w kątach pomieszczenia zaległy wielkie cienie.

Cicho przeszedłem przez salon i dotarłem do korytarzyka prowadzącego do ich gabinetów. Po raz drugi w ciągu tych kilku dni wszedłem do gabinetu Liv, gdzie znajduje się metalowa komoda, w której mamy przechowywać wszystkie dokumenty. Tym razem zamierzałem podejść do przeszukania bardziej metodycznie. Wchodząc do środka, nie zapaliłem lampy sufitowej ani małej, różnokolorowej lampki stojącej na antyku używanym jako biurko. Między listwami żaluzji zauważyłem ciemny kształt jarzębiny i unoszące się języki mgły.

Szuflada lekko skrzypnęła, gdy ją otworzyłem. Oświetliłem jej wnętrze latarką jak dentysta badający popsute zęby, i zacząłem od przeglądania wiszących teczek. Nie wiedziałem, czego właściwie szukam. W przeciwieństwie do bohaterów filmowych nie miałem nieomylnego instynktu ani niespodziewanego farta.

Spędziłem kolejną godzinę na wyjmowaniu teczek i przeglądaniu ich zawartości. Na darmo. Rachunki za telefon, za prąd, za drewno, za ubezpieczenie, rezerwacje dla klientów na przyszły rok, księgowość usług noclegowych, wyciągi z banku. Poruszałem się jak we mgle, sam nie wiedząc, czego szukam, sądziłem jednak, że kiedy zobaczę ten przedmiot, zrozumie jego znaczenie. Ale w tych szufladach niczego nie było. Poza dużą zaklejoną i niepodpisaną kopertą - nie miałem jednak dość czasu, by ją otworzyć i ponownie zalepić. Zamknąłem szuflady i podszedłem do starego biurka.

Jeśli w ogóle istnieje jakiś tajemniczy przedmiot, musi się on znajdować w tym pokoju, pomyślałem. Wsunąłem palce pod skórzaną podkładkę. Nic. Otworzyłem trzy szufladki z boku. Nic. Wysunąłem główną szufladę. Długopisy, koperty, spinacze, nożyczki, zszywacz.

Zupełnie przypadkiem przesunąłem dłonią po spodzie blatu, nad szufladą, tak jak to się robi w filmach. Najwyraźniej oglądaliśmy te same - pod palcami wyczułem jakiś przedmiot przyklejony taśmą. Prawie się uśmiechnąłem. Proszę, jak film wpływa na nasze zachowania. Klucz przyklejony do blatu to trik żywcem wzięty z kina.

Odkleiłem go bardzo delikatnie, w nadziei, że taśma zechce się z powrotem przyklepić, i obejrzałem w świetle latarki. Byłem pewien, że nie pasuje do żadnego z zamków w tym domu. To był klucz do kłódki. Duży klucz do dużej kłódki. Ale co było na nią zamknięte? Bez zamka klucz był ślepą uliczką. Nie było na nim żadnego oznaczenia ani niczego, co mogłoby być dla mnie jakąś wskazówką.

Rachunki, pomyślałem. Być może coś przeoczyłem, ale teraz wiedziałem, czego szukam. Jakiegoś boksu albo kontenera na meble. Nagle przypomniało mi się logo, które zauważyłem na kartce dopiętej zszywaczem do ostatniej strony faktur z firmy ubezpieczeniowej. Była na nim latarnia. Już ją gdzieś widziałem: na tablicach reklamowych przy drogach na kontynencie. To był znaczek sieci magazynów, której składy i boksy znajdowały się zazwyczaj wzdłuż głównych dróg, zwłaszcza przy autostradzie numer 5. Wróciłem do metalowej

komody. Nagle usłyszałem skrzypnięcie podłogi na piętrze. Dziesięć minut wcześniej zapaliłem światło, bo w latarce wyczerpały się baterie. W pośpiechu przekręciłem wyłącznik i z bijącym mocno sercem nasłuchiwałem w ciemności kroków na piętrze. Snop światła latarni regularnie smagał okno. Przez listwy żaluzji na ściany i meble padały białe pasy, potem wszystko pogrążało się w ciemności, a po chwili blask znowu powracał. Wyglądało to jak efekt stroboskopowy w zwolnionym tempie. Ta stara latarnia zawsze przywodziła mi na myśl bijące serce. Jasne serce wyspy... W końcu ktoś spuścił wodę i wrócił do łóżka.

Najdelikatniej jak mogłem otworzyłem górną szufladę, by nie zaskrzypiała, i odszukałem teczkę z fakturami. Karteczka była, przypięta na samym końcu. Zobaczyłem tamto logo: firma magazynowa nosiła nazwę Pacific Storage. Przesunąłem palcem po linijkach: umowa na nazwisko Liv Myers dotyczyła boks o wymiarach pięć na dziesięć stóp, czyli mniej więcej metr pięćdziesiąt na trzy metry. Magazyn znajdował się przy Evergreen Way w Everett. W lewym górnym rogu strony znajdowała się mała mapka. Miejsce położone było w odległości niespełna dwóch kilometrów od wylotu z autostrady numer 5, którą France jeździła do pracy w Redmond.

Nagle przeszedł mnie potężny dreszcz i poczułem, jak włosy na moim ciele - pod cienką piżamą i nieco grubszym szlafrokiem - stają dęba. Ten schowany klucz i boks nic mi nie mówiły. Gdyby jednak chodziło o przechowanie rzeczy, które przywieźliśmy z sobą z Teksasu, po co ukrywać klucz w taki sposób?

W nocy matka Charliego zauważyła France wyciągającą kopertę z kontenera na śmieci w East Harbor (nawiasem mówiąc, przypominało to opowieść Darrella), ale umowa na boks opiewała na nazwisko Liv. Przyszło mi do głowy, że obie moje mamy są szantażystkami, ale ta hipoteza natychmiast wydała mi się tak groteskowa i absurdalna, że ją odrzuciłem.

Z pewnością istniało inne wyjaśnienie. I musiało się ono

znajdować w boksie numer 181 firmy magazynowej Pacific Storage, znajdującym się przy Evergreen Way w Everett w stanie Waszyngton. Schowałem wszystko na miejsce, zgasilem światło i wszedłem na górę. Mijając na palcach pokój mam, ścisnąłem mocno klucz w dłoni i myślałem o tym boksie. Nie miałem wyboru, nie mogłem sobie pozwolić na zwłokę, skoro miałem policję na karku. Musiałem się tam wybrać i zyskać jasność. Kto wie, jaką prawdę odkryję w tym kontenerze?

Byłem pod prysznicem, a za matową szybą w oknie łazienki było jeszcze ciemno, kiedy zadzwonił mój telefon. Zakręciłem wodę, owinąłem się w ręcznik i wszedłem do pokoju.

- Halo?

- Henry? - głos Charliego, najwyraźniej chłopak był spakowany.

Przypomniałem sobie o naszej wczorajszej konfrontacji w załuku i poczułem irytację. Czy on sobie wyobraża, że między nami nic się nie zmieniło, że wszystko będzie jak dawniej?

- Co jest, Charlie?

Przez chwilę sądziłem, że dzwoni, żeby mnie przeprosić, zamierzając mi powiedzieć, że zawsze będzie moim przyjacielem i nie potrafi znieść obecnej sytuacji.

- Wczoraj policja zrobiła nalot na Oatesów.

Milczałem, zastanawiając się nad konsekwencjami.

- Brat ci powiedział?

- Słyszałem, jak rozmawiał o tym przez telefon. Wygląda na to, że znaleźli miejsce, w którym przechowują koks i ich laboratorium.

- Oatesowie mieli laboratorium?

- A jak myślisz? I na tym polega problem, Henry... - Mówił takim tonem, że zjeżyły mi się włosy na przedramionach. - Darrell zdołał im zwać. Jest na wolności. I moim zdaniem musi być wkurzony.

Nie miałem najmniejszych trudności z wyobrażeniem sobie, do czego zdolny jest Darrell, gdy się wścieknie, i

bynajmniej nie była to radosna wizja. Przypomniałem sobie jego słowa: „Jeśli dorwę skurwysyna, pożałuje, że jego dziwka matka wydała go na ten świat. Dam mu wycisk i to porządny. Wydlubię draniowi oczy łyżką, a z jego jelit zrobię przewody chłodnicy”. Znowu dostałem gęziej skórki.

- Wiesz, co Darrell sobie pewnie teraz myśli? - zasugerował Charlie. - Że to my go wsypaliśmy, że to nie może być zbieg okoliczności.

I być może ma rację, pomyślałem. Przypomniałem sobie ponurą twarz Shanea i jego drżące wargi, kiedy wracaliśmy promem.

- Shane - powiedziałem. - To musi być sprawka Shanea. Nie wiem, co Stary mu zrobił, ale myślę, że Shane się zemścił. Robił z Darrellem jakieś interesy, być może wiedział, gdzie jest laboratorium.

- I naprawdę sądzisz, że Darrellowi nie będzie wszystko jedno, czy chodzi o Shane'a czy o nas? - jęknął Charlie. - Kurwa, on nas wszystkich wsadzi do jednego wora! - mówił drżącym głosem, jakby powstrzymywał się od płaczu albo krzyku. - Henry, siedzimy w gównie po uszy!

Ach tak? - pomyślałem. Też mi nowina.

PACIFIC STORAGE

Kiedy Noah zobaczył, że kobieta o imieniu Liv zamyka drzwi domu na klucz, odłożył książkę. Obserwował przez przednią szybę, jak wsiada do volva i tyłem wyjeżdża spod garażu. Samochód minął go i Noah spokojnie uruchomił silnik - była niewielka szansa, by zgubił ją na tej wyspie, a priorytetem było dla niego nie dać się zauważyć.

Jechali bez pośpiechu. Reynolds zachowywał odległość, z której we wstecznym lusterku volva jego samochód był tylko plamką. Zauważył, że kobieta przed nim skręca w Main Street i jedzie w stronę portu. Zaczekał, aż znajdzie się na pokładzie promu, i zawrócił. Godzinę wcześniej druga matka Henry'ego wyruszyła do pracy na kontynencie, a chłopak wsiadł na prom, by dostać się do szkoły na Pencey Island. Noah miał przed sobą kilka godzin spokoju.

Wrócił i zaparkował w pewnej odległości od domu. To był ten moment. Szczerze mówiąc, był trochę zdenerwowany. To, co zamierzał zrobić, było nielegalne, nawet dla niego. Mogło go kosztować utratę licencji. Ale oczekiwania Jaya były jednoznaczne. A od czasu, gdy trafił na trop tego dzieciaka, jego wynagrodzenie wzrosło trzykrotnie. Zagrożenie stanowili sąsiedzi. Gdyby ktoś z nich poinformował biuro szeryfa i gdyby Krueger albo któryś z jego zastępców go przyłapał...

Noah przegnał tę myśl i wysiadł z samochodu. Wiał bardzo silny wiatr. Powietrze było wilgotne i pachniało oceanem, ale deszcz nie padał.

Zadzwoił dwukrotnie i odczekał minutę, obserwując pustą ulicę, a następnie bez trudu dostał się do środka za pomocą wytrycha. Piknięcie systemu alarmowego było sygnałem, że ma kilka sekund, by na skrzynce przy drzwiach wybrać odpowiedni

kod. Wystukał szybko kod, który podejrzwał u obu kobiet przez kamerę monitoringu. Nie był całkiem pewien ostatniej cyfry - widoczność nie była dobra - ale nawet gdyby się pomylił, podałyby pracownikowi firmy ochroniarskiej, który natychmiast by do niego zadzwonił, odpowiednie hasło. Otrzymał je od ludzi Jaya, którzy z bezczelną łatwością wydobyli je z komputerów rzeczonyj firmy. Kod był prawidłowy i pikanie ustało. Zgodnie z jego przewidywaniami dom pogrążony był w ciszy. W powietrzu unosił się lekki zapach kwiatów stojących w wazonach, woń perfum i pasty do podłóg. Jakiś samochód minął budynek i pojechał dalej.

Noah nie tracił czasu. Obszedł pomieszczenia na parterze, potem wszedł na piętro i przejrzał pokoje - najpierw gościnne, potem sypialnię matek. Spodziewał się, że w szufladach komody trafi na jakieś seksgadżety, ale obszedł się smakiem. Nie było tu też żadnych błyskotek ani właściwie niczego szczególnie podniecającego - zwykle ubrania i parę sztuk seksownej bielizny, to wszystko. Następnie znalazł pokój Henry'ego i metodycznie, a zarazem ostrożnie zabrał się do przeszukania szuflad i szaf. Zanim zaczął grzebać w rzeczach, za każdym razem robił zdjęcie ich położenia, by potem starannie ułożyć je na miejscu. Działał szybko, ale na tyle spokojnie, by niczego nie zostawić przypadkowi. Wiedział, że w dzisiejszych czasach, gdy ludzie przechowują większość pamiątek i archiwów w pamięci komputera, szuflady kryją znacznie mniej sekretów niż dawniej, dlatego specjalnie się z nimi nie bawił. Spojrzał na laptop Henryego leżący na biurku. Będzie miał mnóstwo czasu, by do niego zajrzeć, gdy wróci do samochodu, dzięki połączeniu z domową siecią Wi-Fi. Nie było sensu tracić na to czasu. Odwrócił się, by spojrzeć na ściany i doznał szoku. Rany boskie! Każdy ich centymetr kwadratowy, od podłogi aż po sufit pokrywały mroczne i niepokojące obrazy w krzykliwych kolorach - żółtym, pomarańczowym, czarnym, czerwonym - ukazujące przerażone twarze, zakrwawione ciała, straszliwe stwory. Halloween na okrągło przez dwadzieścia cztery godziny na dobę! Noah zadrzał. Usiadł na krawędzi łóżka i pomyślał o nastolatku mieszkającym w tym pokoju. O tym

dzieciaku, który dorastał w ukryciu, gdy tymczasem jego ojciec - jeden z najbardziej wpływowych Amerykanów - szukał go po całym kraju. Co o nim wie?

Noah uświadomił sobie, że poza plakatami filmów grozy w pokoju jest niewiele śladów chłopaka. Jakby to miejsce było tymczasowe. Kim jesteś, Henry? - zapytał sam siebie. Czego szukasz poza granicami twojego rezerwatu? Sfotografował biurko, łóżko i ściany, a następnie wyszedł.

Zszedł na parter i skierował się ku metalowej komodzie na dokumenty, którą zobaczył dzięki podglądowi z kamery. Otworzył pierwszą szufladę i zobaczył wiszące teczki. Spojrzał na zegarek. Co prawda wszyscy wsiedli na promy. Ale nie chciał kusić losu. Nie zgłębiał zwyczajów dwóch lesbijek na tyle długo, by mieć pewność, że ktoś się znienacka nie pojawi: sprzątaczką, jakiś klient poza sezonem... Przyjrzał się rzędom teczek ściśniętych na szynach. Otwierał je kolejno, przeglądał faktury, kwity i wyciągi poukładane w teczkach, niektóre z nich wyciągał na biurko i fotografował ultrapłaskim aparatem wyposażonym w łączność Bluetooth, a następnie chował z powrotem.

W głębi serca czuł, że rozwiązanie znajduje się w tym miejscu - albo niedaleko stąd. Popytał tu i ówdzie na temat matek Henry'ego i wyglądało na to, że nikt na Glass Island nie zna ich przeszłości z czasów, zanim przybyły na wyspę. Musiał się jednak zachowywać dyskretnie, by o jego działaniach nie dowiedzieli się ludzie z CIA.

Wcale nie oczekiwał cudu - tylko jakiegoś drobnego tropu, który naprowadzi go na kolejny trop i tak dalej... Zawsze były jakieś ślady. Wystarczyło wiedzieć, na co patrzeć. Rachunki jednak nie objawiły mu niczego szczególnego poza informacją o jakimś boksie wynajmowanym na kontynencie od firmy Pacific Storage. Być może to w tym kierunku należało szukać. Noah był cierpliwy, a cierpliwość zawsze w końcu się opłaca. Pośpiech sprzyja popełnianiu błędów.

Zamknął komodę i rozejrzał się dookoła. Do tej pory polowanie nie było zbyt udane. Zamierzał już wyjść, ale postanowił jeszcze raz przejrzeć górną szufladę. Jego uwagę

zwrócił jakiś szczegół, ale w pośpiechu go pominął. Znalazł: duża, zaklejona koperta z papieru ekologicznego, bez żadnego napisu. Noah wyjął ją z podwieszanej teczki i przyjrzał jej się. Po sekundzie wahania oderwał skrzydełko, włożył dłoń do koperty i wyjął z niej plik papierów. W pierwszej chwili zastanawiał się, co ma przed oczami. Kartki formatu A4, zadrukowane i podpisane. Przybliżył jedną z nich do światła. Wyglądało to jak jakaś umowa. Przeczytał kawałek dalej: „Nie mam żadnego zamiaru ani pragnienia zostać uznanym za prawowitego rodzica...”. W prawym górnym rogu widniała też nazwa jakiejś spółki z adresem w Los Angeles. Nagle Noah poczuł, że jego oddech przyśpiesza. Czy to możliwe, że ma w ręku najważniejszy element puzzli?

Pogrążony w myślach, dopiero po pewnym czasie zwrócił uwagę na dochodzący z zewnątrz odgłos silnika. Cholera! Czym prędzej odwiesił teczkę na miejsce, wsunął kopertę pod kurtkę i wypadł na korytarz. Kiedy wchodził do salonu i zamierzał ewakuować się tylnymi drzwiami, usłyszał stukanie obcasów i zobaczył jakąś postać za witrażem na lewo od wejścia. Za późno. W zamku głośno zazgrzytał klucz. Odgłos umilkł, gdy osoba po drugiej stronie zrozumiała, że dom nie jest zamknięty i chwilę później drzwi otworzyły się na oścież. Pojawiła się blondynka, która na widok Noaha ze strachu wytrzeszczyła oczy. Mężczyzna szybko wyjął plakietkę prywatnego detektywa.

- Drzwi były otwarte - powiedział. - Myślałem, że ktoś jest w środku, więc wszedłem i zawołałem. Przykro mi, że panią przestraszyłem.

Uświadomił sobie jednak, że jego wyjaśnienia nie mają sensu: matka Henryego była głucha. Najwyraźniej jednak odczytała przekaz z ruchów jego warg, ponieważ z lady dla klientów znajdującej się przy wejściu wzięła notes i długopis i Noah usłyszał skrobanie wkładu po papierze. Kobieta podsunęła mu notes pod oczy:

Nie wierzę panu.

Usiłował uśmiechnąć się najniewinniej, jak potrafił, ale wie-

dział, że jest w tym kiepski.

- Ależ tak, zapewniam panią, było otwarte.

Mierzyła go pełnym sceptycyzmu wzrokiem. Długopis znowu gorączkowo zazgrzytał po papierze.

Czego pan chce?

- Zbieram informacje na temat śmierci Naomi Sanders - powiedział, dokładnie wymawiając każde słowo. - Jestem dziennikarzem.

Przepełniona furią odpowiedź rozdarła kartkę notesu:

Spieprzaj pan.

Uniósł ręce.

- W porządku. Już sobie idę.

Wyminął ją. Miała zmarszczone brwi, zaniepokojoną minę i ciało ptaka brodzącego. Noah wyobraził sobie jej lekkie kości i odrobinę niedbałe, powolne ruchy.

- Jeszcze raz przepraszam. Dobrego dnia.

Na jego lewym ramieniu wisiał telefon komórkowy przedstawiony na tryb fotografowania. Kiedy się odwrócił, by uścisnąć jej dłoń - kobieta odmówiła mu podania ręki - uruchomił spust. W cichym pomieszczeniu tylko on usłyszał odgłos zwalnianej migawki.

Za jego plecami rozległ się chrzęst zamka.

Duża czerwona tablica lśniła na tle ciemnego, pochmurnego nieba: „PACIFIC STORAGE. 800.44.STORE. 1\$ za pierwszy miesiąc”. Po szkole odczekałem, aż Charlie, Johnny i Kayla odpłyną na Glass Island, a sam wsiadłem na prom w kierunku kontynentu. Następnie ruszyłem autostradą numer 5 na południe, do wyjazdu „Mukilteo/Whidbey Island Ferry” na wysokości Everett. Dalej kilometr drogą numer 526, z której skręciłem na światłach w lewo, w Evergreen Way. Dwa kilometry dalej po

prawej stronie wreszcie pojawił się symbol filii Pacific Storage. Była to atrapa latarni, której blask omiatał pochmurne niebo. Kiedy zaparkowałem przed recepcją, wiał silny wiatr. Łopotał chorągiewkami i targał rzędem karłowatych krzewów. W powietrzu czuć było wilgoć, ale nie padało.

Młody gość za ladą - niewiele starszy ode mnie - sprawiał wrażenie, jakby się nudził jak mops. Podniósł znad smartfona senne, zaczerwienione oczy.

- Cześć - powiedziałem tylko, kładąc na ladzie klucz i fakturę.

Odwrócił się w stronę monitora, wystukał coś na klawiaturze i spojrzął na mnie.

- Boks nie jest na pana nazwisko, osoba na zdjęciu uwierzytelniającym to też nie pan - zauważył podejrzliwie.

- Jest na nazwisko Liv Myers - powiedziałem. - To moja matka. Przysłała mnie tutaj. Tu jest klucz do boksu i faktura. Jeśli pan chce, proszę do niej zadzwonić, ma pan numer.

Zawahał się, ziewnął i nagle opadło go bezmierne lenistwo.

- Nie. W porządku.

Wcisnął guzik za ladą i usłyszałem, jak za moimi plecami otwiera się bramka.

- Może mi pan pokazać, gdzie to jest?

Posłał mi krzywy uśmiezek. Z pewnością wolałby dalej wysłać esemesy.

- Jasne, kolego. Boks pięć na dziesięć stóp, tak?

Potwierdziłem. Wyszliśmy na zewnątrz. Po przekroczeniu bramki pokazał mi niski budynek z metalowymi drzwiami stojący tuż obok.

- Pójdiesz korytarzem. Tam są małe boksy. Twój powinien być bliżej końca - poinstruował mnie i pośpiesznie wrócił do esemesów.

Przeszedłem przez drzwi. Wąski korytarz oświetlała jarzeńówka. Co dość osobliwe, ściany miały kolor czarny, a drzwi ciemnoszary, tak że pochłaniały prawie całe, i tak już mizerne światło i na całej długości baraku panował nieprzyjemny półmrok. Na każdych drzwiach znajdował się duży metalowy

skobel zamykany kłódką. Boks numer 181 był przedostatni w rzędzie po lewej i znajdował się za skrzyżowaniem, od którego pod kątem prostym odchodził inny korytarz.

Byłem sam. Słyszałem bicie własnego serca i zduszone szczekanie psa gdzieś na zewnątrz. Na wyświetlaczu mojego telefonu była siedemnasta trzydzieści dziewięć. Wysłałem do mam eseme- sa z informacją, że zostałem u Charliego, by odrobić lekcje. Gdy szedłem do drzwi, odgłos moich kroków rozchodził się echem po pomieszczeniu. Zatrzymałem się przed boksem. Wilgotną od potu dłonią włożyłem spory klucz do kłódki. Nie zwróciłem na to wcześniej uwagi, ale teraz poczułem, że jestem mokry także pod pachami.

Zrobiłem głęboki wdech. Pociągnąłem skobel, złapałem za klamkę i uniosłem drzwi, których mechanizm zapiszczał, gdy podjeżdżały do góry. Po omacku znalazłem włącznik i w komórce rozbłysło światło jarzeniówki. Istna rupieciarnia! Jakby upchnięto tu całe życie. Zobaczyłem:

- piramidę wiklinowych krzesel poukładanych jedno na drugim;
- poduszki w dziwne wzory;
- lampy z abażurem owinięte w folię bąbelkową;
- zabawki;
- drukarkę;
- zamrażarkę;
- terrarium, w którym zostały resztki podłoża i kilka sztucznych paprotek;
- porysowany futerał na wiolonczelę pooklejany nalepkami, piłkę do futbolu, czerwony kask motocyklowy, a nawet manekin, który wyglądał, jakby zmarł uwięziony pośród tego bałaganu.

Część pomieszczenia zajmowały kartony ustawione z lewej strony pod ścianą.

Gdzieś na zewnątrz zatrafił samochód.

Odsunąłem lepkie pajęczyny wypełniające wolną przestrzeń, a one owinięły mi się wokół dłoni jak welon panny młodej - a może wdowy. Zdjąłem karton, który znajdował się na samej górze stosu, i położyłem na cementowej podłodze poza boksem.

Nie wiem, dlaczego moją twarz pokrywała warstwa potu, zimna od przeciągu, który panował w środku. Starłem ją rękawem.

Kiedy przykucnięty w głównej alejce otwierałem karton, usłyszałem zardzewiałe skrzypnięcie metalowych drzwi. Do środka wszedł jakiś facet. Krótkowidz. W ubraniu ochronnym. Ruszył w moim kierunku, ale pięć metrów przede mną zatrzymał się i włożył swój klucz do innej kłódki.

Zanurzyłem dłoń w kartonie. Zdjęcia - jedno w ramkach, inne bez. Fotografie France i Liv, gdy były młodsze, moje...

Drzwi tamtego głośno się otworzyły. Facet zaczął robić w swoim boksie wielki kipisz; usłyszałem serię silnych uderzeń i nieco bardziej wygłuszonych ciosów, a nawet odgłos jakiegoś rozbijającego się przedmiotu.

- Kurwa mać! Co za pierprzony syf!

Ze ściśniętym sercem wróciłem do przeglądania zdjęć. Nie pamiętałem prawie żadnego z tych szczęśliwych momentów, które uwieczniły - bo w tych spojrzeniach i uśmiechach zdecydowanie widać było szczęście. Proste szczęście. Przede wszystkim moje. Mam sześć lat i pozuję przy w Universal Studios, siedząc w wagoniku obok France. Mam siedem albo osiem lat i kąpię się w basenie - naszym? - a mama France opala się w okularach słonecznych na nosie i z książką Clive'a Barkera w ręku. Jestem mniej więcej w tym samym wieku i jest Boże Narodzenie, moje obie mamy w piżamach klęczą przy mnie (zupełnie sobie nie przypominam, kto mógł zrobić to zdjęcie). Długa, prosta droga w pełnym słońcu, zdjęcie zrobione przez zakurzoną przednią szybę samochodu, mama Liv siedzi za kierownicą; siedzę obok niej i patrzę w obiektyw, pajacując - mam na nosie za duże okulary, a na głowie damski kapelusz, wciśnięty aż po brwi. (Pamiętam tę wycieczkę; wyjechaliśmy z Los Angeles na wschód, przez pustynię). Inna Gwiazdka. Śnieg. Gdzie to było? W Vermoncie? W Oregonie? Tyle tych miejsc... I bałwan z bandoneonem zamiast miotły przed werandą niewielkiego, bezpretensjonalnego domku.

W pewnym momencie poczułem, że oczy robią mi się wil-

gotne. Nagle pożałowałem, że mam w tym korytarzu towarzystwo. Chciałem być sam z moimi wspomnieniami, które jedno po drugim wylaniały się z tego kartonu jak dżin z lampy Aladyna. Ale tamten gość miotał się w jakimś ataku hysterii niczym Iow w klatce. Jakby w jego boksie obudził się Hulk.

Dalej przeglądałem fotografie - świadków mojego szczęśliwego dzieciństwa. Czy ono rzeczywiście było szczęśliwe? Czy istnieje bardziej kłamliwe świadectwo niż zdjęcia? Im dłużej się w nie wpatrywałem, tym silniejsze było moje wrażenie, że widzę w nich co innego: chłopczyka, który się bawił, wygłupiał, ale zawsze wyglądał smutno. Bo w głębi duszy wiedział, że nie jest tak, jak być powinno. Ten mały chłopiec zawsze wiedział - teraz zdałem sobie z tego sprawę - że jego mama nie była jedną z tych dwóch kobiet, które zajęły jej miejsce, odgrywały jej rolę, ale nigdy nie mogły jej zastąpić. Po moich policzkach popłynęły Izy. W głębinach swojego jestestwa ten chłopiec doskonale wiedział, że jest sierotą, adoptowanym dzieckiem, małym uchodźcą. Wiedział o tym instynktownie, jak dzikie zwierzę, które udaje oswojone, ale nigdy nie zapomina o dawnej wolności.

Odłożyłem zdjęcia i zająłem się następnym kartonem. Nie było tam żadnych rewelacji, tylko papiery podobne do tych, które znajdowały się w metalowej komodzie, z tą różnicą, że te były starsze. Podobnie w następnym pudle.

To stało się przy czwartym. Kiedy je otworzyłem, od razu wiedziałem, z czym mam do czynienia. Koperty. Solidnie wypchane. Kiedy otworzyłem pierwszą, moje palce zaczęły drżeć. Miałem przed oczami to, czego bałem się najbardziej: banknoty.

O cholera. Zaczęło mi się kręcić w głowie i poczułem, że robi mi się niedobrze. O nie, nie, nie, Jezus, tylko nie one... Jednocześnie poczułem coś jeszcze. Zapach. Pochyliłem się, by powąchać banknoty. Zapach dochodził z koperty. Pieniądze śmierdziały papierosami.

Nagle uświadomiłem sobie, że hałas obok ustał i w korytarzu panuje cisza. Ta świadomość mnie zmroziła. Klęcząc na betonowej podłodze, odwróciłem się w kierunku

tamtego faceta. Serce podskoczyło mi do gardła. Mężczyzny nie było w boksie. Stał za mną. Nade mną. Podniosłem wzrok. Jego wysoka sylwetka zasłaniała oślepiający blask rzędu neonówek. Schylił głowę i wpatrywał się we mnie.

- Nie masz śrubokrętu?

Pokręciłem głową. Zmył się bez słowa.

Czy widział te banknoty? Zresztą jakie to ma znaczenie? Tak czy owak, nie należą do mnie. To śmierdząca forsa, nie chcę jej. Może ją nawet ukraść, jeśli ma ochotę. Ale co jeżeli zawiadomi policję? Chwyciłem karton i zamknąłem boks. Ruszyłem korytarzem w stronę wyjścia. Facet spojrzał na mnie zza okularów, kiedy go mijałem. Gdy znalazłem się na powietrzu, spadły pierwsze krople deszczu, wielkie i zimne, jak roztopione kostki lodu. Mieszając się ze łzami, potoczyły się po moich policzkach.

LATARNIA

Augustine czerwony na twarzy schylał się nad młodą kobietą. Dyszała, podciągając kolana i opierając przezroczyste obcasy na poduszkach kanapy. Grant trzymał palce w jej waginie, która lśniła od wydzieliny. Czuł ciepło jej wnętrza. Nagle do drzwi apartamentu w hotelu Thomas Jefferson ktoś zapukał. Cholera! Grant włożył palce głębiej. Dziewczyna na sofie uniosła się i wygięła w pałąk. Poły bluzki opadały jej na uda. Jęknęła chrapliwie. Gwałtownym ruchem złapała go i przytrzymała.

Ktoś znowu zaczął walić pięścią w drzwi.

Augustine wyjął palce. Chwycił biały ręcznik leżący na wia-derku z szampanem, zanurzył palce w lodzie i wytarł rękę.

- Idę!

Przeszedł przez salon i przedpokój. Otworzył drzwi. Na korytarzu stał Jay. Patrzyli na siebie w milczeniu.

- Wejdz - powiedział Grant.

Dziewczyna uciekła do sypialni. Jay znieruchomiał. Poruszył nozdrzami.

- Mia tutaj jest?

Grant skinął głową.

- Powiedz jej, żeby spadała.

Augustine wyminął fortepian, przeszedł przez niewielki gabinet i zniknął w sypialni. Minutę później obok Jaya przeszła młoda czarnoskóra kobieta, piękna i ponętna, w butach od Ferragamo na przezroczystym dwudziestocentymetrowym obcasie.

- Dobry wieczór, Jay - przywitała się.

- Cześć, Mia.

Augustine zamknął za nią drzwi apartamentu.

- Kurwa - zaczął Jay.

Grant przepaszająco uniósł ręce.

- Wiem...

- Cholera, na sześć dni przed wyborami!

- W porządku, Jay. - Z tonu jego głosu należało wnioskować, że temat jest zamknięty. Jay zamilkł. - Co cię sprowadza?

Podwładny sięgnął po telefon komórkowy i podał go Grantowi. Ten przyjrzał się obrazowi na wyświetlaczu. Zobaczył ładną blondynkę około czterdziestki, o smukłej sylwetce i zmarszczonych brwiach. Jej twarz wyrażała niepokój.

- Kto to jest?

Jay mu powiedział.

- W każdym razie to nie Meredith - uciął Grant.

- Mogła się poddać operacji plastycznej. W naszych czasach chirurgia estetyczna może wszystko. A wzrost się zgadza.

Grant pokręcił głową.

- To nie ona, Jay Nawet chirurgia nie może zmienić wszystkiego do tego stopnia. Przyjrzyj się jej dobrze. Ogólny wygląd, kształt twarzy... Nic nie pasuje. Nic. To nie może być ona. To niemożliwe.

Jay przytaknął.

- Też tak czułem - przyznał.

- A ta druga?

- Liv Myers? Brunetka, szeroka jak hummer, metr pięćdziesiąt cztery wzrostu. Meredith musiałaby dać sobie obciąć nogi tuż poniżej kolan.

Grantowi nie spodobał się ten żart. Wyjął szampana z wiaderka i podszedł do jednego z balkonów. Podświetlony obelisk pomnika Waszyngtona, dachy Białego Domu, morze światła miasta pod rozgwieżdżonym niebem - ta panorama nigdy go nie nużyła. Przez otwarte mimo chłodu drzwi balkonowe wpadał szum Szesnastej Ulicy.

- Jay, jeśli to nie ona, to gdzie się schowała?

- Znajdziemy ją. Cała ludność wyspy jest pod obserwacją. Śledzimy każdy ruch jego mamusiek. Znajdziemy ją.

- A Henry?

- Zamontowaliśmy nadajnik w jego wozie. Dziwne. Wygląda na to, że wybrał się dzisiaj do magazynów w Everett, na północ od Seattle.

- Po co?

- Jeszcze tego nie wiemy. Ale Reynolds podsłuchuje wszystkie jego rozmowy i ma dostęp do ich kamer monitoringu. Sprawdzamy też wszelkie metadane, jest jeden program, który wszystko przesiewa przez sito, prowadzi rekonstrukcję. Jesteśmy w trakcie kończenia tych puzzli, to kwestia paru dni.

- Dobra robota, Jay. A teraz wracaj do siebie. Idź odpocząć.

- Nie ma mowy, żeby Mia spędziła tutaj tę noc, okay?

Grant skinął twierdząco. Jay wyszedł. Augustine sięgnął na biurko po książkę *Rewolucja*. Jak twierdzą historycy, Thomas Jefferson lubił wino, muzykę, książki, nauki ścisłe i sztukę. Korespondował z naukowcami z całego świata, pasjonował się architekturą (z pomocą pewnego francuskiego architekta zaprojektował Kapitol w Richmond), enologią, ogrodnictwem, geografią, matematyką, wymyślił albo ulepszył całe mnóstwo urządzeń - w tym maszynę szyfrującą! - był orędownikiem rozdziału państwa i Kościoła, ale wobec przeciwników był prawdziwym Machiavellim... Kurwa, co za gość! Podnosząc kieliszek do ust, Grant zastanawiał się, co Jefferson pomyślałby o dzisiejszych politykach - tych obślizgłych, dwulicowych, głupich, sprzedajnych małpach. Prawdopodobnie by zapłakał. Ale najbardziej fascynował go fakt, że Jefferson miał czarnoskórą kochankę. Nigdy jej nie wyzwolił, ale wyzwolił dwóch swoich synów, a badania DNA przeprowadzone na próbkach pobranych od potomków kobiety wykazały, że niejaki Eston Hemings był synem byłego prezydenta i czarnej niewolnicy. Dziecko...

- Cholerny Thomas - zamruczał Grant, wznosząc toast w kierunku płócien na ścianach. Wyjął telefon i wystukał numer, którego nie miał na liście kontaktów. - W porządku - powiedział. - Możesz wejść. Ale nie zostaniesz na noc.

Piętnaście minut później (uśmiechnął się: dziewczyna się nie

śpieszyła) usłyszał stukanie do drzwi.

- Otwarte!

- Gdzie jesteś?

- W sypialni! - Stała na progu. Majestatyczna, piękna niczym grzech. - Smakował ci Hill Bee?

Był to ulubiony drink Mii, kiedy tutaj przychodziła. Zbliżyła się do niego i pochyliła.

- Skosztuj.

Wsunęła mu język do ust. Słodko-kwaskowaty smak z nutą dżinu w tle.

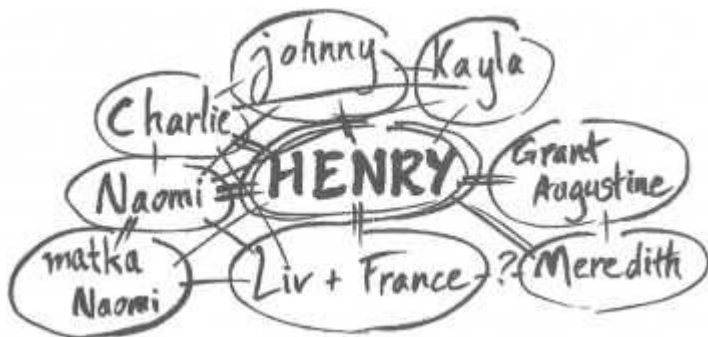
- Mów mi Thomas - powiedział.

Wymierzyła mu siarczysty policzek.

- Dupek. Myślisz, że nie wiem, o co chodzi?

Uśmiechnęła się. Mia studiowała nauki polityczne na Harvardzie. Była prymuską na roku.

Noah wrócił do hotelu. Prawie cały pokój oklejony był karteluzkami, karteczkami samoprzylepnymi, artykułami z gazet i zdjęciami. Zaopatrzył się też w białą tablicę, na której markerem naszkicował schematyczny rysunek. Pokój wyglądał jak pomieszczenie redakcyjne.



Spojrzał na tablicę, sięgnął do barku po sok pomarańczowy i wyszedł na balkon. W marinie brzęczały wanty, a lampki umieszczone wzdłuż pomostów wyglądały we mgle jak wysepki.

Pewien szczegół, może dwa, nie dawały mu spokoju. Jak

strefa cienia, skaza na tkaninie. Rozmyślał o zapieczętowanej kopercie znalezionej w domu Henry'ego. O umowie, która się w niej znajdowała... Kim był człowiek ukrywający się za symbolem 5025 EX? Wiedział, że nie będzie łatwo znaleźć go w metropolii, jaką jest Los Angeles, ale przynajmniej miał namiary, od których mógł zacząć: adres firmy, której nazwa widniała na umowie. Mimo że dokument sporządzono dziesięć lat temu.

I to uczucie, jakiego doświadczył, gdy był w pokoju Henry'ego. Wrażenie, jakby chłopaka tam nie było, jakby pokój właściwie do niego nie należał, trochę jak w hotelu, gdzie człowiek prowizorycznie rozkłada kilka przedmiotów osobistych.

Popatrzył na zatokę. Jeszcze chwila, a mgła się podniesie. Zaczynał coś dostrzegać, powoli, kawałek po kawałku, rysunek nabierał kształtów.

Deszcz chlustał w okienka promu, a górny pokład był prawie pusty. Ósma wieczór. Barman miał minę, jakby piekielnie się nudził. Położyłem karton pod stolikiem, tuż obok nóg. Kurwa, ale moi sąsiedzi zrobiliby miny, gdyby wiedzieli, co jest w środku! Przeliczyłem wszystko w samochodzie. Ponad dwadzieścia tysięcy w dziesięcio- i dwudziestodolarowych banknotach. A może był to tylko ostatni łup. Nie mogły przecież co miesiąc pojawiać się w banku z plikami banknotów; musiały znaleźć jakiś sposób na upłynnienie tych pieniędzy.

Moje matki jako szantażystki. Niemożliwe. Jednak musiałem ustąpić wobec oczywistej prawdy: wszystkie dowody miałem przed oczami. Od jak dawna? Ile jest ofiar ich działań? Czy ukryły przede mną coś jeszcze? Ależ oczywiście, że tak, wiedziałem co najmniej o jednej rzeczy - tożsamości mojego ojca. Kim one są?

To znaczy, kim są naprawdę? Zaczynałem wątpić we wszystko, co wiedziałem do tej pory. Nawet we własne wspomnienia. Bardzo łatwo wyprodukować komuś wspomnienia, powtarzając mu codziennie przez całe dzieciństwo te same historie, aż uwierzy, że faktycznie przeżył to, co mu się opowiada. Wyda-

wało mi się, że w wieku dziewięciu lat nosiłem inne nazwisko.

Miles albo Myles... Czyżby to było urojenie? Kto nie wątpił we własne wspomnienia, w ich autentyczność? Kto się nigdy nie zastanawiał, jak wiele z nich przeredagował, upiększył? Wszyscy jesteśmy kłamcami. Przeinaczamy, podrabiamy, modyfikujemy, wypełniamy puste przestrzenie. Wszyscy jesteśmy mitomaniami, różne są tylko rozmiary naszej mitomanii. Czyżby całe moje życie, w takim kształcie, w jakim do tej pory je przedstawiłem, było jednym wielkim kłamstwem? Czy istniała jakaś prawda, której mógłbym się trzymać? Charlie... Miałem mu za złe, że wysłał mi tamtą wiadomość - „one kłamią” - ale to tak, jakby mieć pretensje do lekarza o postawioną diagnozę. Charlie chciał mnie przestrzec, dać do zrozumienia, bym miał się na baczności. Cokolwiek by mówić, Charlie był moim najlepszym przyjacielem. Choć nie mogłem już ufać moim mamom, ciągle jeszcze mogłem ufać przyjaciółom - moim bliźnim, moim braciom.

Jakbym go ściągnął myślami. Dokładnie w tamtej chwili w mojej kieszeni zabręczał telefon. Wyjąłem go. To był on, Charlie. Przesunąłem zielony guzik w prawo.

- Charlie?

- Henry... Henry, o kurwa, Henry. - Charlie po drugiej stronie dosłownie chlpał. - Henry, przyjacielu, jestem w dupie! Musisz przyjechać. Tak powiedział... O cholera, cholera, Henry...

- Charlie, co się dzieje? Kto co powiedział? Nic nie rozumiem! O kim ty mówisz?

- Darrell... Henry, wybacz mi, bracie, wy...

Ktoś wyrwał mu z ręki telefon.

- Siema, Henry, przyjacielu.

Moja krew zamieniła się w lód: to był głos Darrella.

- Darrell?

- Tylko nie Darrell, mały skurwysynu! Panie Oates.

- Eee... Tak...

- Nie słyszałem.

- Panie... Oates...

- Próbowaliście nas zrobić, twoi kolesie i ty, Henry, dziubasku.

Zastanawiałem się nad odpowiedzią, ale jaka ona mogłaby być? „To nie my, to Shane?”

- Nieżle to sobie wymyśliliście.

- To nie my, Da... panie Oates.

- Nie bajeru] mnie tu, dupku! Nie próbu] mi tu ściemniać! - wrzasnął jak historyk. Przez chwilę nikt nic nie mówił. Potem Darrell jakby odzyskał spokój. Mówił teraz ciszej, jego głos był lodowaty: - A teraz zamknij japę i słuchaj, zrozumiano?

- Tak.

- Jeśli nie, twój kumpel zdechnie. Kumaszą?

Usłyszałem jęki Charliego, który był tuż obok. Oraz szum fal.

- Tak, zrozumiałem.

- Okay. Gdzie jesteś, dupku?

- Na promie, wracam.

- Kiedy?

- Przybijamy za kwadrans... Mniej więcej.

- Świetnie. Istnieje szansa na uratowanie twojego kolegi.

Jedna jedyna. Czaisz?

- Tak.

- No to posłuchaj, co zrobisz. - Po krótkiej, ale dramatycznej przerwie, jak w teatrze, zaczął mówić dalej: - Podjedziesz pod latarnię, zaparkujesz samochód i wejdiesz na górę, zrozumiano?

- Tak. Zrozumiałem.

- Powtórz.

Powtórzyłem.

- I ani się waż zawiadamiać psy. Bo jeżeli usłyszę choćby jedną syrenę, zrzucę twojego kumpla do wody, rozumiesz? Wypchnę go. Bo nie mam już nic do stracenia... Nic, kurwa, do stracenia. Dzięki wam.

Przeszedł mnie długi dreszcz. Jego głos brzmiał grobowo, ostatecznie, nieubłaganie.

- Jadę - powiedziałem zmrożony. — Niech mu pan nic nie robi... proszę.

Rozłączył się bez słowa.

Morze było wzburzone. Kiedy przybiliśmy, fale zalewały port. Wiatr wiał coraz silniej, deszcz zmieniał ulice w strumienie. Zdecydowanie za szybko dojechałem Main Street do skrzyżowania. Na szczęście w pobliżu nie kręcił się żaden radiowóz szeryfa. Przez strugi deszczu zauważyłem szyld Ken's Store & Grill, skręciłem w Eureka Street jakbym wracał do siebie, ale zamiast tego ruszyłem prosto na północ. Ruchy wycieraczek wtórowały przyspieszonemu biciu mojego serca.

Ze snu wyrwał Jaya dzwonek telefonu. Przez ściany słyhać było pulsowanie basów z sąsiedniego pubu. Przekręcił się w śpiworze i wyciągnął rękę, by sięgnąć po leżący na podłodze telefon.

- Tak?

- Pan Szymański?

Jay rozpoznał głos jednego z młodych chłopaków, którzy pracowali w nowej komórce. Zerknął na budzik. Dwudziesta trzecia trzydzieści. Natychmiast wzmógł czujność.

- Co jest?

- Jest pewien problem, chyba powinien pan przyjechać i zobaczyć.

- Jakiego rodzaju?

- Wygląda na to, że Henry ma kłopoty.

Jay się wyprostował. W oknach nie było zasłon i do pokoju wpadał blask neonów znajdującej się niżej restauracji wietnamskiej, malując ściany na krzykliwe kolory. Z dołu dochodziły głosy gromady podchmielonych studentów bawiących się na Osiemnastej Ulicy.

- Jakie kłopoty?

- Niecałe pół godziny temu odebrał dziwne połączenie.

- Pół godziny? - podjął Jay.

Przeliczył. Według czasu pacyficznego na Glass Island była teraz dwudziesta trzydzieści.

- Eee... tak. Wyszedłem po colę. Kiedy wróciłem, sprawdziłem, czy pod moją nieobecność było jakieś połączenie. Mam kontynuować?

- Dawaj.

Jay zmarszczył czoło. Jego twarz zastygła.

- Cholera! - zawołał, zanim nagranie się skończyło. - Jadę!

Natychmiast powiadomcie pana Augustine'a! Gdyby nie odbierał, nie odpuszczajcie!

Jay wyskoczył ze śpiwora z telefonem w ręku. Znalazł numer Reynoldsa. Odezwała się poczta głosowa.

- Cholera! — powtórzył.

Rzucił się do łazienki, odkręcił na cały regulator kurek nad umywalką i włożył głowę pod strumień zimnej wody. Ubrał się w pośpiechu i w locie chwycił bluzę. Kiedy zbiegł po niskich schodach i zapinając koszulę, popychał drzwi wychodzące na korytarz, jego telefon zadzwonił. Noc była chłodna, ale Osiemnasta Ulica roiła się od studentów i turystów wchodzących i wychodzących z Madam's Organ, klubów Heaven & Hell i Smoke & Barrell.

- Jay? Dzwoniłeś do mnie?

- Noah? Musisz jechać do latarni! Tak, latarnia na wyspie, na Limestone Point! Natychmiast! Wytłumaczę ci w samochodzie! Leć! I zadzwoń do mnie, kiedy będziesz w drodze.

- Co? Okay, okay! Jadę, oddzwonię do ciebie!

Jay obejrzał się za siebie. Głosy, śmiechy, krzyki, przejeżdżające i trąbiące samochody. Kurewska dzielnica. Dziesięć lat temu mu się tu podobało. Ale teraz już nie. Wpadł na niego jakiś pijany student. Jay odepchnął go gwałtownie i chłopak upadł na ziemię.

- Hej! - zawołała towarzysząca mu dziewczyna.

Nie zwrócił najmniejszej uwagi na pełne oburzenia wyrzekania, wszedł do restauracji wietnamskiej i ruszył przez salę.

- Phong, podaj mi tę kawę, którą tylko ty umiesz przyrządzać! Ruchy! Sprawa jest pilna!

Jechałem przez pogrążoną w mroku wyspę. Zwieszające się nisko gałęzie świerków przesuwaly się w blasku reflektorów jak zwarta, mokra ściana. Wpadłem na północne wybrzeże. Chaos morza i skał w dole, szum przyboju, poszarpana linia brzegowa

pełna przyłądków i zatoczek. Między drzewami przebijał się blask latarni, ale jeszcze jej nie widziałem.

Ostatni zakręt, objechałem drzewa i pojawiła się. Typowa budowla, jedna z tych, jakie spotyka się na całej długości wybrzeży Kalifornii, Oregonu i stanu Waszyngton - smukła, strzelista, z metalową platformą na szczycie, nad którą wznosi się pomalowana na czerwono budka latarni. Jechałem o wiele za szybko. Z powodu paskudnej pogody wszystko było nieostre, mgliste, pełne błysków i kolorów, które rozplywały się jedne w drugich.

Wcisnąłem gaz i zahamowałem, wpadłem w poślizg przy parkowaniu na poboczu drogi, aż spod kół trysnęła fontanna żwiru. Wyskoczyłem z samochodu i biegiem ruszyłem przed siebie. W sekundzie czystego szaleństwa mój wzrok objął wszystkie detale: olbrzymią bryłę latarni, a na jej szczycie strumień światła przebijający się jasnym tunelem przez ciężkie od deszczu chmury, rozszalały ocean, wpadający na skały jak otumaniony od ciosów bokser, gejzery wodnego pyłu, historyczne krzyki morskich ptaków, a przede wszystkim Charliego przywiązanego do barierki na samej górze, na zewnątrz. Z miejsca, w którym się znajdowałem, widziałem czubki jego butów wystające poza platformę.

- Henryyyyy! - wrzasnął.

Nigdzie nie widziałem potężnej terenówki Darrella. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób zdołał dostać się na wyspę incognito - może, mimo sztormu, od strony morza. Wbiegłem na obrzeżony wielkimi skałami nasyp z piasku i żwiru, który prowadzi do latarni otoczonej niskim murkiem. Pokonałem go przygięty do ziemi. Drzwi latarni były otwarte. Przeszła mi przez głowę myśl, że Darrell zastawił na mnie zasadzkę. Ale czy miałem wybór? Nie miałem wątpliwości, że jest zdolny zepchnąć Charliego w otchłań.

Wszedłem. Zobaczyłem spiralne schody z chroniącą przed śmiertelnym upadkiem metalową barierką, która wydała mi się cholernie delikatna. Na samej górze dostrzegłem światło. Moje serce waliło jak szalone. Zacząłem wspinać się. Miałem wrażenie, że te pieprzone schody są kurewsko niestabilne.

Trzymałem się poręczy, ale wydawało mi się, że wystarczy nią potrząsnąć, żeby ją wyrwać. Wiatr świstał mi w uszach, jakby Bóg grał sobie na tej latarni jak na fujarce.

- Właż - odezwał się jakiś głos, od którego serce podskoczyło mi do gardła.

Wykonałem polecenie. Na górę dotarłem zdyszany, z czoła ciekł mi pot. Ostatnie stopnie... W głowie tak mi się kręciło, że nogi zrobiły mi się jak z waty i prawie przywarłem do ściany. Nie miałem odwagi patrzeć w dół. Wreszcie moja głowa znalazła się na wysokości platformy.

Z miejsca, w którym stałem, przez otwarte drzwi kabiny widziałem plecy i kark Charliego, jego ręce przerzucone przez barierkę i nadgarstki przywiązane do zardzewiałych prętów trzema kawałkami marnego sznurka. Strach, zawroty głowy i cała ta sytuacja sprawiały, że w moim gardle tkwiła twarda gula i nie mogłem przełknąć śliny. Ryk oceanu i deszcz bijący o metalowy dach przypominały mi o oblęd.

- Chodź no tu - nakazał Darrell.

Charlie już się nie odzywał. Odwrócił się tylko lekko w moją stronę i zobaczyłem ściągnięte rysy jego twarzy. Na pewno tak jak ja zastanawiał się, co zrobić. Wiedział, że jestem dla niego jedyną deską ratunku; na jego miejscu nie postawiłbym złamanego grosza na moje szanse wyciągnięcia nas z tej sytuacji.

Pokonałem dwa ostatnie stopnie. Platforma lekko drżała pod moim ciężarem i naporem wiatru. Serce we mnie zamarło, gdy zobaczyłem twarz Darrella przyklejoną z zewnątrz do brudnej, wypukłej szyby. Utkwił we mnie migdałowe, jasne, szalone oczy. Uśmiechał się.

- Chodź - powiedział. - Chodź, przespaceruj się dookoła.

Postawiłem stopy na okrągłym balkonie. W uszy uderzył mnie świst wiatru. Za przywiązany do balustrady Charliem rozciągało się białe od piany, spiętrzone morze; jego powierzchnia wznosiła się i opadała, tak iż miało się wrażenie, że cała planeta kurczy się i rozkurcza. Opadł mnie śmiertelny strach. Byliśmy tak wysoko, zawieszeni nad otchłanią.

- Wyłaż, wyłaż! - zawołał Darrell. - No już, chodź!

Taras zachwiał się pod moimi nogami. Wydawało mi się, że wszystko się rusza: latarnia, podłoga, ściany. Nie zdziwiłbym się, gdyby nagle balkon się oderwał, rzucając nas w rozszalałą otchłań, którą widziałem między prętami podłogi. Poczułem, że cała krew odpływa mi do nóg. Wibracje, które czułem przez podeszwy butów, bynajmniej nie dodawały mi odwagi.

Ze ściśniętym żołądkiem odwróciłem się w stronę Darrella.

W tej samej chwili on rzucił się na mnie, złapał mnie za kołnierz i przycisnął do poręczy.

- Ty pieprzony mały skurwysynu!

Pchnął mnie na balustradę, tak że gwałtownie uderzyłem w nią lędźwiami. Mój tułów, przechylony nad poręczą, niebezpiecznie wygiął się w łuk, głowa opadła mi do tyłu i poczułem silny ból w kręgosłupie. Z przerażenia wybałuszałem oczy, które smagał lodowaty deszcz; woda spływała mi po czole i włosach.

- Kurwa, nie! Nie rób tego! - wrzasnąłem.

Od upadku powstrzymywały mnie jedynie pięści Darella zacisnięte na moim kołnierzu. Nachylił się nade mną i poczułem jego oddech, który, poza oparami alkoholu cuchnął mdlącymi wyziewami ze ścieków albo źle utrzymanej piwnicy

- Ty cholerny intrygancie! Pieprzony gówniany wyskrobku!

- Ale ja nic nie zrobiłem! Przysięgam! Nic nie zrobiłem!

Fale z hukiem rozbijały się o skalisty brzeg.

Zawrzała we mnie krew. Mózg pulsował mi w czaszce jak gigantyczne serce, myśli uderzały o jago ściany niczym schwymane w pułapkę nietoperze.

- Litości! Nic nie zrobiliśmy! Przysięgam!

Tuż nad naszymi głowami fruwała rozwrzeszczana mewa. Jakby go zachęcała, żeby mnie zepchnął. Widziałem jej otwierający się i zamykający dziób i śnieżnobiały brzuch. I przeszywający niebo snop światła latarni.

- Chcesz, żebym uwierzył, że to zbieg okoliczności? Wpadasz do nas ze swoimi kumplami, a po paru dniach mamy nalot glin. Masz mnie za kretyna, tak?

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, zacisnął żelazną dłoń na moim lewym barku i szukał palcami czułego punktu na wy-

sokości głowy kości ramiennej między obojczykiem a łopatką. Kiedy go znalazł, ucisnął jak rzeźbiarz pracujący w glinie. Ból dosłownie eksplodował. Krzyknąłem, kuląc się w sobie, by uciec przed tym imadłem, przed tym nieludzkim ogniem.

- To nie my! Przysięgam! Aaaaaaaaaa! Błagaaaaaam, niech pan przestanie!

Ale jego palce coraz głębiej wpijały się w moje ciało; ucisk na nerwy i mięśnie stawał się nie do wytrzymania. Kurwa, nigdy nie czułem czegoś takiego! Jego migdałowe oczka płonęły obłąkańczym blaskiem. Obserwował moją reakcję.

- Kłamiesz!

- Niiieeee!

Ból był tak straszliwy, że nie mogłem nawet ruszyć głową. Ucisk paraliżował mi całą górną część klatki piersiowej. Oczy wyszły mi z orbit i wypełniły się łzami. Nie czułem już nawet strachu przed otchłanią. Istniał jedynie ten palący ból. Chciałem tylko jednego: żeby przestał.

- A mówiłem ci, żebyś nie próbował mnie wrobić.

Wykrzywiłem twarz; ból zadomowił się w moim ramieniu i przepływał wzdłuż moich nerwów jak prąd.

- Uprzedzałem cię, gówniarzu, że mnie się nie wkręca.

- Wal się! - wydyszałem nagle niemal bezgłośnie.

- Co?!

- Wal...

Jego pięść uderzyła w moją wątrobę jak młot i myślałem, że wyrzycam z siebie całą żołąć, ale ta zatrzymała się w połowie, jak winda, która obsługuje tylko trzydzieści pierwszych pięter. Mój żołądek przypominał wielką bolesną kłodę.

Darrell zmienił się na twarzy, pokręcił głową.

- Kurwa - wysapał, patrząc na mnie wściekle. - Naprawdę uważasz, że tego chcę? Że mnie to kręci?

- Twoja matka... - wyjąkałem drżącym głosem między dwoma charczącymi oddechami - podobno robi lody w Newhalem...

W jego oczach malowało się niezrozumienie.

- Co?

Miałem usta blisko jego ucha, ale nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Nie mogłem wypowiedzieć takich słów. Nie do

Darrella Oatesa. Coś takiego było niemożliwe.

- To prawda, że ona uwielbia węgorze?

- Hę?

- Że wpycha je sobie do cipy?

Jego oczy zapłonęły, zobaczyłem w nich wyraz czystego szaleństwa.

- Coś ty powiedział?!

- Podobno daje się pieprzyć waszym psom... Jak im tam?

Ach tak, Saddam i Kim Dzong... Nie, Bashar i Kim Dzong...

Ale beznadziejne imiona. Aaaaaaaa! - (Ścisnął jeszcze mocniej; wydawało się, że za chwilę jego palce przebiją moje ciało i złączą się; będzie mógł mnie wtedy podnieść za obojczyk, jakby to był wieszak). - Podobno staje na czworaka... a one ją...

- Coś ty powiedział?!

- Bardzo dobrze słyszałeś... Darrell Skurwysyn Oates... Ajjj... Possij mi lachę, dupku.

Spojrzał na mnie. Wyglądał na wytrąconego z równowagi.

- Nieźle udajesz - rzucił i zmierzył mnie wzrokiem. - Jesteśmy do siebie podobni, ty i ja, co, Henry? - Pokręcił głową. - Ale to nic. I tak zdechniesz. Obaj zdechniecie.

Puścił mnie. Był błądy. Łapałem powietrze wielkimi haustami, moje płuca świstały jak miech. Oparłem dłonie na kolanach. Chyba był skołowany. Wszystko nie toczyło się tak, jak to sobie zaplanował.

- Kogo zrzucisz pierwszego, Darrell? - zapytałem.

Zdezorientowany, zmarszczył brwi. Przez chwilę patrzył otumanionym wzrokiem na Charliego.

- On zdechnie jako pierwszy. A ty będziesz patrzył, jak spada.

Oddychałem z trudem. Stałem pochylony, z twarzą zwróconą ku podłodze. Podniosłem głowę.

- A potem będzie...

Dużym kamieniem, który trzymałem w dłoni, z impetem uderzyłem go w skroń. Podniosłem go na dole, u stóp latarni, i włożyłem do kieszeni, wykorzystując dwie sekundy, w ciągu których ja i czekający na platformie Darrell straciliśmy się nawzajem z oczu. Aby się zamachnąć, zebrałem wszystkie siły,

jakie mi jeszcze pozostały, cały mój ciężar i całą desperacką energię. Oates zachwiał się, oszołomiony gwałtownością ciosu. Kiedy znowu uderzyłem, tym razem prosto w nos, w migdałowych, jasnych, szalonych oczach zobaczyłem rosnące zdumienie. Nos Darrella, mówiąc wprost, eksplodował.

Rzuciłem się na niego jak baran, głową do przodu. Chwyciłem go niczym futbolista i wykorzystując siłę rozpędu, pchnąłem na balustradę. Był ciężki i silny. Ale ponieważ jego skroń i nos krwawiły, przez co chwilowo był zamroczony, uległ pod moim naporem. Próbował szukać dłońmi jakiegoś punktu zaczepienia, złapać mnie, i gdyby miał odrobinę czasu i jaśniejszy umysł, na pewno zyskałby nade mną przewagę. Ale nie miał czasu i jego dłonie napotkały pustkę.

Przez ułamek sekundy słyhać było tylko odgłosy deszczu, wiatru i oceanu, a potem nawet one umilkły. Cisza, która nastąpiła, przyniosła mi uczucie niesłychanego spokoju i mocy. Ujrzałem strach przeciwnika i to on dodał mi animuszu, pokrzepił mnie, przywrócił siły. Następnie Darrell przechylił się przez krawędź - głowa, tułów, miednica, nogi... - i zobaczyłem, jak

le
e
e
e
e
e
e
e
ci w dół...

DRON

- Kurwa, Henry, coś ty zrobił?

Wolałbyś być na jego miejscu? - pomyślałem, ale nic nie powiedziałem. Zgięty wpół próbowałem odzyskać oddech. Straszliwie bolały bark i żołądek.

- Zabierz mnie stąd - wyjęczał błagalnie.

Trząśnięty na całym ciele, jego nogi tłukły się o siebie jak kastaniety; bałem się, żeby nie stracił równowagi, gdy będę go od- wiązywał.

- Trzymaj się mocno, okay?

Skinął głową. Miałem trudności z rozplątaniem napęczniałych od deszczu węzłów, musiałem użyć paznokci.

- Jest. Uważaj. Odwiązuję cię.

Charlie uczeplił się prętów, aż zbielały mu stawy palców. Powoli odwrócił się w moją stronę, plecami do ryczącego morza, skał i trupa Darrella na dole. Mocno trzymałem go za ramiona. Następnie jeszcze wolniej przeszedł przez poręcz. Gdy znalazł się po drugiej stronie, oparł się o mnie.

- Dziękuję - wydyszał.

Potem osunął się na metalową platformę i usiadł wsparty plecami o latarnię. Jego oczy były szeroko otwarte, przerażone i pełne łez. Westchnął gwałtownie i wybuchnął donośnym płaczem. Położyłem dłoń na jego ramieniu.

- Charlie, musimy stąd spadać, i to szybko.

Skinął głową, ale nie przestawał szlochać.

- O kurwa, Henry - mówił, drżąc na całym ciele. - O jasna kurwa jego mać, Henry! Co za porąbany, zasrany, kurewski horror, nie? - I zaczął wrzeszczeć: - Co my teraz zrobiiiiimy?! Cholera, on nie żyje! Jest cholernie maaartwy!

Muszę przyznać, że byłem tego wystarczająco cholernie świa-

domy. Ale w sumie histeria Charliego dobrze mi robiła. Jego występ był antidotum na panikę, która w każdej chwili mogła dopaść i mnie. Nie pozwalała mi się jej poddać, zmuszała do zachowania zimnej krwi. Lekko chwyciłem go pod pachą.

- No już, chodź.

Ustał, podniósł się i wpadł w moje ramiona.

- Au! - zaprotestowałem, czując ból w obojczyku; zastanawiałem się, czy nie jest złamany albo zwichnięty.

- Henry, nadal jesteście przyjaciółmi, prawda?

- To równie pewne jak fakt, że lubisz babki z dużymi cyckami, stary - powiedziałem.

Noah prowadził szybko, ponaglany pilnością sytuacji. Zadzwoił jeszcze raz do Jaya, a ten zdał mu raport z rozmowy, jaką odbył Henry. I wyjaśnił, kim są Oatesowie. Cholera, spotkanie na szczycie latarni! Kto by chciał się pakować w tak ewidentną pułapkę?

Za zasłoną ulewy zobaczył latarnię. Zaparkował u stóp białego cylindrycznego budynku i wypadł z samochodu. Natychmiast uderzyła w niego fala deszczu. Podniósł wzrok, ale na górze nie było nikogo. Platforma była pusta. Potem kawałek dalej na skałach u stóp latarni zauważył zwłoki. Psiakrew! Spóźnił się! Rzucił się w stronę ciała. Gdy znalazł się w odległości około pięciu metrów od niego, poczuł ogromną ulgę: to nie był Henry... Nie był to też jego kolega Charlie.

Choć ciało było zmiażdżone i zniekształcone - jedna noga ułożona pod dziwnym kątem, łydka prostopadła do uda, ale w odwrotnym kierunku, potylica roztrzaskana jak łupina orzecha, a na skałach dookoła krew ciemna jak osad po czarnym przypiływie - niewątpliwie należało ono do dorosłego mężczyzny i Noah wydedukował, że ma przed sobą to, co pozostało z Darrella Oatesa. W sumie całkiem logiczny koniec człowieka, którego całe życie przypominało długi upadek w odmęty perwersji i zbrodni.

W pobliżu nie było żadnego samochodu. Oznaczało to, że Henry i jego kumpel odjechali. Noah z pistoletem w dłoni

ruszył w stronę otwartych drzwi i wszedł do latarni. Na metalowych schodach od razu dostrzegł wilgotne, piaszczyste ślady. Dwa różne rozmiary obuwia. Służby szeryfa zidentyfikują je bez trudu. Doszedł do platformy. Tak jak się spodziewał, nikogo na niej nie było. Z tarasu biegnącego wokół przeszklonej budki deszcz zmył już wszystkie ślady poza kawałkami sznurka przywiązanymi do barierki. Noah odczepił je i schował do kieszeni. Wytarł pręty kurtką. Krótco spojrział na wzburzony ocean i wrócił do budki. Ruszył w dół, stopień po stopniu ścierając czubkiem buta ślady pozostawione przez dwóch nastolatków. Nie zabrało mu to zbyt wiele czasu, a wiedział, że jego ślady będą o wiele trudniejsze do zidentyfikowania. Następnie dwukrotnie pokonał odcinek między latarnią a skrajem drogi, chodząc po śladach chłopców, mimo że tutaj także deszcz robił już swoje. Wreszcie rozjechał kołami koleiny pozostawione przez samochód Henrygo i ruszył w drogę powrotną.

Henry i Charlie zdołali wypchnąć tamtego typa przez barierkę. Niezły wyczyn. Z tego, co wiedział od Jaya, ci Oatesowie byli prawdziwym postrachem. Nawet członkowie latynoskich gangów starali się nie wchodzić im w paradę. Ale Darrell Oates wykazał mniejszą ostrożność w obliczu dwóch przerażonych małych z dobrych rodzin, niż uczyniłby to wobec uzbrojonego po zęby drania pierwszej klasy. Poważny błąd. A nawet śmiertelny. Opuścił gardę i ci młodzieńcy to wykorzystali. A niech to szlag, te dzieciaki nie dają się wkręcić! Który go popchnął? Henry? Charlie? A może obaj?

Noah stawiał na Henrygo. Coraz bardziej miał wrażenie, że ten maminsynek ma w sobie potencjał, o jaki nikt go nie podejrzewa. A co do tych jego mamusiek, było jasne, że wloką z sobą więcej tajemnic niż magik w swojej walizce.

W drodze powrotnej do East Harbor, ocierając twarz wolną ręką, Noah zastanawiał się, jak zareagują Krueger i jego zastępcy na wiadomość o trupie u stóp latarni. Wiedział, że telefon Henry'ego nie jest jeszcze na podsłuchu. Dlatego zatarł ślady. W przeciwnym razie by tego nie zrobił. A posiadał tę informację dzięki temu, że Jay

i Augustine podsłuchiwali wszystkie rozmowy na wyspie, rzecz jasna z policją i biurem prokuratora włącznie. Krążyli nad nią jak dwa kurewskie sępy.

Noah coraz mniej czuł tę historię. Jego crown victoria pruć ciemności. Z góry, na krętej szosie, która czasem biegła wzdłuż wybrzeża, czasem przez las, światło padające z jej reflektorów wyglądało jak dwa świetliste trójkąty. Kilka metrów dalej olbrzymie fale z grzebieniami z piany rozbijały się na skałach. Noah nie wiedział, jak bardzo jego opinia na temat sępów pokrywa się z prawdą. Gdy tak jechał, dron MQ-9 Reaper, wyposażony w kamery na promieniowanie widzialne i podczerwień oraz radar obrazowy o wysokiej rozdzielczości - taki sam, jakiego używa Biuro Służby Celnej i Straży Granicznej - obserwował go z góry niczym delikatny, miotany przez burzę stalowy ptak o ciele złożonym z kompozytów i elektroniki.

UCIECZKA

- Jak to było?

- Co?

- Darrell... jak cię dopadł? Jak to się stało, że przywiązał cię tam, na górze?

Wróciliśmy do East Harbor objazdem przez zachodnią część wyspy, by uniknąć mijania się z samochodami jadącymi w stronę latarni. Zaparkowałem naprzeciwko kościoła Świętego Franciszka, przy boisku do bejsbolu. O tej porze zawsze było tu pusto. Przynajmniej zimą. Latem na boisku rozgrywano nocne mecze i młodzież z East Harbor lubiła się włóczyć po tej okolicy. W zagajniku za boiskiem pracownicy służb oczyszczania miasta każdego dnia znajdowali pety, puszki, puste butelki i prezerwatywy.

- Czekał na mnie tam gdzie ty: w przejściu przy aptece. Kiedy je mijalem, złapał mnie za kołnierz. Jego wóz stał po drugiej stronie. Myślę, że w przyszłości będę omijał to miejsce.

Jego kołnierz i cały przód koszuli pod rozpiętą kurtką były przemoczone, kruczoczarne włosy przykleiły mu się do policzków, a z nosa leciały smarki, ale Charlie jakby tego nie zauważał. Z drugiej strony skrzyżowania przez zacinający deszcz przebijały się migocące światła stacji benzynowej Chevron.

- Nie widziałem wozu koło latarni.

- Stoi w krzakach, resztę drogi pokonaliśmy na piechotę. Henry, żałuję tego, co powiedziałem. Ty... kurwa, uratowałaś mi życie. Nigdy ci tego nie zapomnę.

W dzwonnicy kościoła zwięzającą się ku górze i zakończoną piorunochronem w kształcie krzyża na tle czarnego, nabrzmia-

łego od chmur nieba uderzały gwałtowne podmuchy wiatru. Ładna metafora: piorunochron wiary usiłujący odwrócić bieg całego zła spadającego na ten świat. Ale zła było już zbyt wiele. Rozejrzałem się dookoła przez ociekające wodą szyby. Boisko tonęło w strugach deszczu. Wysiadłem, poszedłem do bagażnika i wróciłem za kierownicę. Rzuciłem mu na kolana jedną z kopert.

- Rzuć na to okiem.

Otworzył ją. - Matko Boska! - wrzasnął, jakbym położył mu na udach węża. - Co to za forsa? Skąd to masz?

Zastanawiałem się, czy mogę mu zaufać. A potem wszystko mu opowiedziałem: o kluczu znalezionym w biurku Liv i mojej wyprawie do magazynów. Charlie milczał przez dłuższą chwilę.

- Że to niby one są tymi szantażystkami? - Ton jego głosu jasno wskazywał, że ta hipoteza wydaje mu się niemal równie wiarygodna jak wiadomość o zmartwychwstaniu Michaela Jacksona i jego potajemnych przygotowaniach do wielkiego powrotu. - Jeśli twoje matki są szantażystkami, to w jaki sposób uzyskały wszystkie te informacje?

- France pracuje w Redmond, w branży informatycznej. - (To niemal pleonazm). - Nie wiem, czym się dokładnie zajmuje. Ale jest w wydziale rozwoju. Na pewno ma bardzo duże umiejętności... Mogła się włamać do komputerów na wyspie.

- Po co miałyby to robić? Dla kasy? To wszystko? Tylko dla hajsu?

Charlie bardzo chciał to zrozumieć. Ja też. Na jego pytanie odpowiedziałem kolejnymi pytaniami.

- Jak uważasz, dlaczego wybrały wyspę? Dlaczego nie wolno mi umieszczać zdjęć w Internecie? Dlaczego przemierzaliśmy cały kraj, żeby tutaj przyjechać? Przed czym uciekaliśmy? - Poszperałem między siedzeniami, znalazłem chusteczkę higieniczną i wydmuchałem nos. - Podstawowe pytanie - ciągnąłem - brzmi, kogo szantażowały wcześniej.

Meredith, pomyślałem. Czy Meredith także nie żyje? Czy zabiły ją tak jak Naomi? Czyżby to było wyjaśnienie zagadki?

Potem pomyślałem o opisie Meredith, jaki mi przedstawiły, o wzruszeniu Liv, kiedy opowiadała mi, jak to pewnego ranka zadzwoniły do niej i oznajmiły: „Zrobimy to”. („Henry, gdybyś widział, jaka była szczęśliwa. Myślę, że w tamtej chwili nic na świecie nie było w stanie jej tak ucieszyć”). Wspominając o dniu rozstania, była bliska płaczu. („Dzień wyjazdu był naprawdę straszny... Gorszy niż wszystko, cokolwiek można sobie wyobrazić”). Nie, tamtego wieczoru mówiły prawdę. Były szczerze i poruszone. Nie szantażowały mojej matki - pomogły jej, wspierały ją, wyrwały mnie ze szponów opieki społecznej i rodzin zastępczych. Dotrzymały obietnicy, a ja podejrzewam je o najgorsze podłości. Moja matka... Te słowa przyszły mi na myśl spontanicznie. W ciągu kilku godzin, kilku dni, odnalazłem ojca i matkę.

Spojrzelismy na siebie z Charliem. Miałem łzy w oczach.

- Przykro mi, Henry - westchnął, kładąc dłoń na moim ramieniu, tak jak ja to zrobiłem przed kilkunastoma minutami na balkonie latarni. - Cholernie mi przykro. Ale jest jeszcze jedno pytanie... Cholera, nie wiem, jak ci to powiedzieć.

- Co? Że jeśli to one są szantażystkami, to może...

Rzucił mi wymowne spojrzenie.

- Pomyślałeś o tym?

- Charlie - wyszeptalem. - Nie mogę... Po prostu nie mogę w to uwierzyć! To nie mogą być one, słyszysz? Znam je. Nie są morderczyniami. One nigdy nikogo nie zabiły!

- Rozumiem, co czujesz. Ale trzeba zawiadomić policję.

- Jeszcze nie. Jeśli cokolwiek zrobiły, odkrycie tego należy do mnie.

- A jak zamierzasz się do tego zabrać?

- Być może jest pewien sposób.

- Noah, gdzie on jest?

Jay przez telefon wysłuchał odpowiedzi, patrząc na Granta. Mina szefa świadczyła o tym, że zżera go strach.

- Znajdź go, Noah. Znajdź go, choćby miało ci to zająć całą noc. A potem nie odstępuj go na krok. Jutro rano ma się odbyć pierwsza rozprawa Oatesów. Wiesz, co to znaczy?

Oznaczało to, że po uregulowaniu kaucji znowu znajdą się na wolności w oczekiwaniu na proces. A Darrell dzwonił do swoich braci na krótko przed śmiercią i w zawołany sposób mówił o spotkaniu na latarni. Blayne i Hunter muszą szaleć z wściekłości, przy czym wściekłość to w tym wypadku łagodne słowo. Stary z pewnością obmyśla zemstę. Jay nawet z tej odległości czuł zapach krwi - spędził ostatnie godziny na studiowaniu kartotek tych kanalii. Wiedział już wystarczająco dużo, by zdać sobie sprawę z rozmiaru niebezpieczeństwa, na jakie narażony był Henry i jego przyjaciele. Ale tamtych miał gdzieś. Martwił się o Henry'ego. Jeśli Grant straci go teraz, tak blisko celu, nigdy się nie pozbiera.

- Liczę na ciebie, Noah - powiedział.

Rozłączył się. Augustine był bardzo błądy.

- Musimy zawiadomić tego szeryfa i policję stanową o niebezpieczeństwie, w jakim znalazł się mój syn.

- Nie możemy tego zrobić bez przyznania, że to on zepchnął tego gościa z latarni - zaproponował Jay.

- Cholera! - krzyknął Grant. - On rzeczywiście to zrobił! - Jay zastanawiał się, czy w głosie szefa nie pobrzmiwa nutka dumy. - Jay, on jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Szymański spochmurniał.

- Trzeba zaangażować dodatkowych ludzi na miejscu. Reynolds zaczyna się starzeć. Nie poradzi sobie z tymi świrami. Być może są niedorozwinięci i postrzeleni, ale z tego, co czytałem, są też cholernie sprytni.

Znajdowali się w centrum Waszyngtonu w jednym z biur ich bunkra, gdzie jarzeniówki paliły się dzień i noc.

- Właśnie mielimy wszystkie metadane, jakie mamy do dyspozycji. Za parę godzin będziemy mogli przewidzieć posunięcia jednych i drugich, z niewielkim marginesem błędu.

Jay mówił o programie stworzonym przez WatchCorp,

ulepszonej wersji programu PredPol - *predictive policing* - używanego od 2011 roku przez policje wielu amerykańskich miast. PredPol, dzieło antropologa, matematyka, gliny i kryminologa, przywodzące na myśl film *Raport mniejszości* wraz z wątkiem policjantów-jasnowidzów - wykorzystywany był nie tylko w gorących dzielnicach, ale także na spokojniejszych peryferiach takich miast, jak Los Angeles, Memphis czy Nowy Jork. Dzięki niemu policjanci byli na miejscu na wiele godzin przed tym, zanim przestępstwo przewidziane przez program zostało faktycznie popełnione. Jaka była jego tajemnica? Poufny wzór matematyczny, złożony algorytm, który łączył ze sobą i interpretował setki danych: statystyki, prawdopodobieństwo, poziom przestępczości, miejsce pobytu przestępców, trasy ich przemieszczania się, struktury sieci dróg głównych i podrzędnych, dostępność miejsc i łatwość odwrotu, historię wykroczeń. W czasach rozwoju nowej religii - wiary we wszechmoc komputerów - tego typu programów przewidujących przyszłość było coraz więcej. Jay jednak, podobnie jak wielu innych weteranów pracy w terenie, był sceptyczny co do rzeczywistych możliwości PredPola. Za przyczynę jego sukcesu uznawał potężną strategię marketingową i solidny lobbing w kręgach zainteresowanych władz. Poza tym wiedział, że ludzie pokroju tych wieśniaków z Gór Kaskadowych, ale także wojujący ekologowie, neoludycy, surwiwalowcy, członkowie milicji antyrządowych uchodzą za mistrzów w sztuce ukrywania się i fałszowania swoich danych - a bez danych król jest nagi... Odwieczna walka między siłami oporu a maszynami.

- Przewidywanie ich ruchów nic nie da, jeśli nie jest się na miejscu, Jay.

Na jednym z ekranów widzieli crown victoria Reynoldsa krążącą po pogrążonych w mroku ulicach East Harbor. W tej chwili jechała Warbass Way, drogą biegnącą brzegiem morza. Nagle w odległości około kilometra na południowy wschód od jego pozycji zaczął migać czerwony trójkącik. Jay natychmiast zadzwonił do Noaha.

- Znaleźliśmy go. Jest niedaleko skrzyżowania Marguerite i Spring, obok boiska do bejsbolu. Uważaj, żeby cię nie zauważył.

Zobaczyli, jak filmowana przez drona crown victoria zjeżdża z Warbass Way i skręca w Harrison Street w kierunku centrum miasta. Czerwony trójkąt migał, ale się nie przemieszczał. Nie pierwszy raz nadajnik Henry'ego przestawał emitować sygnał: może był jakiś problem techniczny, a może była to wina warunków atmosferycznych. Technika nigdy nie jest tak efektywna, jak się ją przedstawia w audycjach specjalistycznych dla szerokiej publiczności, zawsze są w niej jakieś luki. Intrygowało ich co innego: esemesy i e-maile, jakie wymieniała między sobą grupka, były dziwnie lakoniczne i nieciekawe. Stanowczo zbyt lakoniczne, zważywszy na to, co się działo. Jakby ci młodzi ludzie obawiali się, że są śledzeni. W sumie to logiczne. W oczach policji Henry był podejrzanym numer jeden i dzieciaki z pewnością bały się, że są na podsłuchu.

Tak, ale Henry szukał informacji o Grancie w Internecie. Co właściwie wiedział? Co powiedziały mu matki? Jay żałował, że Noah nie miał wcześniej dostępu do ich domów. Zyskaliby cenny czas i na pewno zaoszczędziliby sobie wielu poszukiwań. Teraz wszyscy mieli się na baczności.

Z zamyślenia wyrwał go nagle głos Granta:

- Jedziemy tam.

Jay odwrócił się.

- Co? - Podniósł rękę. - Grant, jutro Halloween! Masz odwiedzić klinikę dla chorych dzieci i świętować razem z nimi, oto co masz robić, a potem spotkać się ze s w o j ą żoną i swoimi córkami, i wybrać się na spacer ulicami twojego miasta. Zapomniałeś? Rodzina jest ważna... Psiakrew, za kilka dni wybory!

Według ostatnich sondaży Grant i jego przeciwnik szli łeb w łeb, zwycięzca miał wygrać o włos. Najgorszy z możliwych momentów, by jechać na drugi koniec kraju. Nazajutrz lokalny dziennikarz miał upublicznić skrajnie kompromitującą informację, którą Jay osobiście mu dostarczył. Wszystkie media rzu-

cą się na nią jak psy na kość i będą chciały, by Grant Augustine skomentował te rewelacje.

- Mój syn jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a ty byś chciał, żebym spędzał Halloween w towarzystwie innych dzieciaków tysiące kilometrów od niego? - odparował ze złością Grant. Jego oczy wyglądały teraz jak dwie szparki. - Halloween! A co ja jestem, jakiś pieprzony klaun? Jakiś cholerny zombi? Nie wiem, co za półmózg wpadł na ten debilny pomysł!

Jay zobaczył, że siedzący w sali młodzi ludzie chowają głowy w ramiona jak żółwie w skorupy. W przeciwieństwie do nich był przyzwyczajony do wybuchów Granta i jego obrazowego języka.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał spokojnie.

- Lecimy do Seattle, a potem hydroplanem na Glass Island. Zabieramy cały sprzęt, jaki da się zabrać, i techników do jego obsługi. Znajdź mi też dwóch albo trzech zaufanych ludzi w naszych służbach. I miejsce, gdzie można wszystkich ulokować. Gdyby było trzeba, zajmij cały hotel. Najlepiej na sąsiedniej wyspie: po co mamy rzucać się w oczy. Na pytania dziennikarzy będziemy odpowiadać przez telefon; wrócimy dwa dni przed wyborami. Tak czy owak, dałeś im taką bombę, że nasz kontrkandydat jest kaput *finito*.

Zerknął na zegarek, podszedł do jedyne go niezamaskowanego okna i spojrzał na pustą, mokrą ulicę oświetloną blaskiem latarni. Nagle przed oczami stanęło mu jego pierwsze spotkanie z Meredith. To było w 1995, w czasie przyjęcia charytatywnego w hotelu Hay-Adams w Waszyngtonie, na które zaproszonych było wielu kongresmenów z Grand Old Party i inne osobistości. Meredith towarzyszyła jednej z nich - staremu nadzianemu draniowi, który miał wejścia w Kongresie. Siedziała przy stoliku Granta, na lewo od niego. W tamtych czasach dopiero co założył swoją firmę, miał już jednak wielkie ambicje. Był żonaty i miał dwie córeczki, ale zachwycił się tą młodą kobietą, która zdawała się czuć całkiem swobodnie pośród pałacowego złota. Miała na sobie prostą sukienkę wieczorową bez pleców, seksownie eksponującą łopatki i kark. Jej włosy były upięte w

elegancki kok. Wysoka, długonoga, o wysportowanej sylwetce. Przede wszystkim zaś była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie zdarzyło mu się spotkać, a w Waszyngtonie spotykało się ich wiele. Zapytał ją, czym się zajmuje, a ona odparła, że studiuje filozofię, teologię i nauki humanistyczne na uniwersytecie jezuickim w George- town. Później zorientował się, że to była prawda i że w ten sposób finansowała swoje studia. Mimo że od pierwszej chwili wiedział, z kim ma do czynienia.

Zauważył w niej jednak coś zadziwiająco spontanicznego i naturalnego. Żadnej przesady ani sztuczności. Krzywizna jej szyi przywodziła mu na myśl łodygę kwiatu uginającą się pod ciężarem własnego piękna. Podczas jednego z nudnych wystąpień, które jedno po drugim płynęły z mównicy przerywane grzecznymi oklaskami, zagaił rozmowę. Przypomniał sobie dziwne pytanie, jakie zadał w pewnym momencie: „A miłość?”

Wtedy ona odwróciła głowę w jego stronę i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego swoimi brązowymi oczami. W blasku żyrandoli zobaczył tańczące w nich iskierki i pomyślał o kasztanach piekących się na ogniu.

„Miłość? W tej sali nie ma miłości, jest tu tylko próżność, ambicja, zazdrość i nienawiść”. „Więc co pani tutaj robi?” „Uczę się, czym ona nie jest, by rozpoznać ją, gdy ją spotkam”. - Po tych słowach przeniosła wzrok na mównicę.

I właśnie w tej chwili, pamiętał to dokładnie, wpadł. Na koniec przyjęcia ku własnemu zaskoczeniu wręczył jej wizytówkę z numerem telefonu. Chwyciła ją palcem wskazującym i kciukiem prawej dłoni, a następnie podkreśliła ten ruch, przelotnie muskając paznokciem policzek Granta (skończyła prawie między jego wargami), a on uznał to za najbardziej erotyczny dotyk, jakiego w życiu doświadczył. Zadzwoiła do niego po dwóch tygodniach. Był już wówczas przekonany, że tego nie zrobi, i postanowił wydusić ze starego kutwy nazwisko kobiety, która tamtego wieczoru była u jego boku. Do tej pory pamiętał jedyne słowa, jakie wtedy wypowiedziała. „Willard InterContinental. Dziś wieczorem.

O dwudziestej trzeciej. To będzie kosztowało pięć tysięcy dolarów”. „A numer pokoju?” - zapytał.

Odwrócił wzrok od okna i rzekł do Jaya:

- Jest pierwsza w nocy, tam dwudziesta druga. Chcę, żeby za dwie godziny wszyscy byli gotowi. Startujemy przed świtem.

Szeryf Bernd Krueger Junior był w trakcie karmienia bielików, kiedy otrzymał wezwanie - jak zaznaczył później w raporcie, była dokładnie dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt trzy. Jego stary gmc stał na trawiastym poboczu Miller Road z otwartym bagażnikiem, w którym znajdowały się zapakowane próżniowo kawałki kurczaka. Bernd Krueger przerzucał je przez ogrodzenie na mokrą łąkę, a siedzące na okolicznych wysokich drzewach ptaki pikowały ku nim w świetle reflektorów - wiuuu - w locie ślizgowym ze szponami wysuniętymi do przodu, jakby naciskały na pedał hamulca, chwytaly kawałki kurczaka i hop! - błyskawicznie wznosiły się ku najwyższym gałęziom. Majestatyczne. Dostojne. Wspaniałe. Mimo deszczu. Bielik amerykański i bielik zwyczajny. Populacja bielików osiadłych na Glass Island była najliczniejsza na całym archipelagu, a co za tym idzie - w całym stanie.

Bieliki żyją w parach. Łączą się na całe życie. To w sumie tak jak jeszcze do niedawna wielu ludzi, pomyślał Krueger, dopóki rozwód nie stał się tak samo rutynową procedurą jak zwykła przeprowadzka czy kupno nowego wozu. Sam był rozwiedziony. Jego żona śmiertelnie się nudziła na wyspie; wróciła do Sacramento, gdzie się wychowała. Krueger pokręcił głową. Z daszka jego czapki ściekała woda. Ptaki nic sobie nie robiły z deszczu.

W przeciwieństwie do jego żony. To z powodu deszczu wróciła do Kalifornii. Spośród wszystkich czynników, które spowodowały - wręcz uknuły - jej wyjazd, na losie ich małżeństwa zaważyła właśnie ta wiecznie lejąca się z nieba woda; te chmury przyczepione do górskich szczytów, przeszyte zimnym światłem w kolorze ołowiu, ta woda, która ich otaczała,

osaczała, kapala z omszałych dachów, z drzew, smagała drogi, warczała w rynnach i podnosiła poziom płynących wśród drzew strumieni. Ile razy mówiła mu z wyrzutem, jakby to była jego wina, że ma wrażenie „jakby ten deszcz lał jej się prosto do mózgu”: miała wtedy podkrążone oczy i brudne włosy, a jej oddech pachniał mieszanką burbona i porannej kawy.

Szeryf rozrzucił dopiero połowę ładunku, gdy zaskrzeczało radio. Niechętnie wrócił na przedni fotel. Zastępca Angel Flores - czyli „Anioł Kwiatki” - miał głos człowieka, który właśnie połknął zbyt pikantne chili.

- Zastępczyni prokuratora chce cię zobaczyć, Bernd.

- Jest tutaj? O tej porze?

- No.

- Okay. Jadę.

Skończył rozrzucać ochłapy, zamknął bagażnik i wrócił za kierownicę. Wykonał ciasną zawrotkę na Miller Road. Jego puls przyśpieszył. Będą musieli zatrzymać Henry ego. Nie mają innych śladów, a prokurator nie chce dłużej czekać. Co za przykra sprawa, pomyślał. Pierwsze morderstwo na wyspach od 2009 roku i musiało paść na tego dzieciaka.

Przywykł do aktów nienawiści, wandalizmu czy zwykłego łajdactwa: z biegiem lat zdarzało się ich na archipelagu coraz więcej. W samym tylko poprzednim roku na czterech różnych wyspach zanotowano ich ze dwadzieścia. W tych czasach okradano nawet szkoły, kluby sportowe i banki żywności. Zdarzała się też przemoc domowa, nieporozumienia międzysąsiedzkie i bójki w barach, nękanie przez telefon, palenie ognisk na plażach i pijani nastolatki - te same tumany, które co roku dawały się we znaki... Roboty nie brakowało.

Osobiście odpowiadał za stosunki z miejscową ludnością, które wymagały autorytetu i taktu. Mniej doświadczeni oddelegowani byli do drogowki. Jednak latem, między zachodem słońca a drugą w nocy, gdy na wyspie przebywał już tłum turystów, było inaczej. Wtedy właśnie wywiązywały się bójki, młodzi siadali za kółkiem pijani lub pod wpływem narkotyków, a na imprezach pojawiały się amfetamina i koka. Zimą zaś wieczory były zasadniczo spokojniejsze. Dysponował dwoma

samochodami i trzema łodziami: jego jednostka miała pod swoją opieką więcej słonej wody niż łądu.

Dziesięć minut później Krueger wjeżdżał do East Harbor od północy. Biura szeryfa przy Mapie Street mieściły się w nowym, solidnym i pięknym budynku z cegły, przylegającym do - także nowego - gmachu sądu. Przy wejściu znajdowała się bramka, za okienkiem po lewej stronie widać było ciemne pomieszczenie, w którym lśniły ekrany monitorów Motoroli - sala 911. Naprzeciwko pancerne drzwi, a z nimi *open space* z pięcioma biurkami, przy których na zmianę pracowali jego zastępcy, dalej kuchenka, rozmównica, a w głębi cele, biura dwóch śledczych, sierżantów i szeryfa Kruegera po lewej. Wprowadzili się tu w 2010, ponieważ stare pomieszczenia były zbyt zużyte i za małe, ale tutaj także brakowało już miejsca. Budynek miał mieć jeszcze jedną kondygnację, która jednak z przyczyn budżetowych nigdy nie powstała.

Liza Wasserman, pierwsza zastępczyni prokuratora do spraw kryminalnych, czekała w jego biurze. Była ładną kobietą, lekko korpulentną, o silnym charakterze. Mniej niż jej szef zajmowała się polityką. Krueger ją lubił. Ale nie tego wieczoru.

- Cześć, Lizo.

- Cześć, Bernd.

Stała oparta o stół, w opiętych džinsach i zakiecie.

- Macie coś nowego?

- Nowego? W jakim sensie? - zapytał.

- Nie pogrywaj sobie ze mną, Bernd. Czy macie inne tropy oprócz Henry'ego?

- Jeszcze nie, ale...

- Floyd nie chce dłużej czekać. Mamy wystarczająco dużo elementów obciążających tego chłopaka.

- Cholera, Liza, to jest dzieciak! Wyobrazasz sobie, jak on to przeżyje?

- Bernd, on ma szesnaście lat!

- Jest chłopcem z tej społeczności. Znam go i jego matki od czasu, gdy miał dziewięć lat. Nigdy nie nabroił.

Liza Wasserman westchnęła.

- Bernd, spójrz prawdzie w oczy: wszystko świadczy przeciwko niemu. - Zaczęła wyliczać na palcach: - Był chłopakiem ofiary, ona była w ciąży. Tamtego wieczoru ostro się pokłócili. Psiakrew, prawie ją zepchnął do wody i być może zrobiłby to, gdyby nie przyszedł tamten pracownik!

To dlatego ludzie z prokuratury byli gotowi pójść na całość - nie mieli wystarczająco dużo dowodów i nigdy nie zaryzykowaliby przegrania tak medialnego procesu, gdyby nie dysponowali nagraniem z promu. Doskonale wiedzieli, jak piorunujące wrażenie wywrze ono na ławnikach.

- Henry nie ma alibi na noc, w którą dokonano morderstwa. Dziewczyna poinformowała kilka osób, że zamierza od niego odejść. Czego ci więcej trzeba?

- A matka? Co zrobisz z matką? Ją też miałyby zabić? Z jakiego powodu?

- A skąd ja mam wiedzieć? Może coś widziała? Wasza w tym głowa, żeby coś wymyślić! - Wyliczała dalej: - Poprzedniego lata pracował na kutrze rybackim...

Kuter, pomyślał Krueger. Tak! Ciągłe podejrzewają, że została wyrzucona z kutra rybackiego. Ale równie dobrze mogła to być o wiele mniejsza łódź. Być może ta sieć miała tylko zmylić trop.

Głos Wasserman wyrwał go z zadumy:

- Kończymy, Bernd. Wystarczająco długo to trwało. Słyszysz?

Skinął głową.

Charlie poczuł w kieszeni wibracje telefonu. Wyjął go i zerknął na wyświetlacz.

- O cholera, Nick! - Charlie przyłożył aparat do ucha. - Halo... Co? - Słuchał przez kilka sekund. - Nie, nie wiem, gdzie jest. Cholera, przecież bym ci powiedział! Mam cię gdzieś, dupku, nie nudź mnie. Mówiłem ci, że nie wiem, gdzie jest. Tak, właśnie tak. Bujaj się. - Rozłączył się i spojrzął na mnie. - To mój brat. Szukają cię.

- Kto?

- Biuro szeryfa.
- Myślisz, że znaleźli Darrella?
- Słyszelibyśmy syreny.
- To dlaczego mnie szukają?

Wyczytałem odpowiedź w jego oczach i mój wewnętrzny miernik strachu się wyzerował. W tej chwili odezwała się moja komórka.

- Henry? - odezwała się mama Liv, kiedy odebrałem. - Gdzie jesteś?

- W samochodzie, mamó. A co?
- Szeryf cię szuka. Chce z tobą rozmawiać... Henry?
- Tak, mamó?

- Proszę, nie zrób jakiegoś głupstwa.

Wzięłem głęboki oddech.

- Ale jakie głupstwo miałbym zrobić, mamó? - zapytałem, jakbym nie wiedział, o co chodzi.

- Schować się, uciec... Coś w tym stylu. Jestem pewna, że to nic takiego, okay? Wszystko się ułoży. Idź do tego szeryfa. Teraz, okay?

- Okay, mamó.

Kiedy się rozłączyłem, Charlie wyglądał na cholernie przestraszonego.

- Zatrzymają cię - powiedział.

Jakbym usłyszał: „Masz raka”. Albo: „Właśnie weszliśmy na minę”. Albo: „Czy to normalne, że samolot nie ma ogona?” Ogarnęło mnie przerażenie, panika, poczucie, jakbym stał na skraju przepaści. Okropne uczucie, jakiego musi doświadczać ostatni żywy marynarz na pokładzie statku szybko idącego pod wodę.

- Co zrobisz? - zapytał Charlie tym samym wisielczym głosem.

Nagle pośród mroku rozległ się dźwięk policyjnej syreny. Stanowczo za blisko. Sięgnąłem na tylny fotel po plecak i otworzyłem drzwi.

- Wracaj do domu, Charlie.

I wyszedłem w noc.

Cholera! Noah odłożył telefon akurat w chwili, gdy drzwi starego forda otworzyły się od strony kierowcy. Zobaczył, jak Henry wymyka się z samochodu. Przez przednią szybę obserwował, jak biegnie wzdłuż ogrodzenia boiska do bejsbolu, przechodzi na drugą stronę ulicy naprzeciw stacji benzynowej i na skrzyżowaniu skręca w prawo. Wtedy z samochodu wysiadł Charlie. Oparł się o ociekający wodą dach i wcisnął głowę w ramiona. Syreny były coraz bliżej.

Psiakrew, pomyślał Noah. Wygląda na to, że Henry daje nogę! Wyskoczył z crown victorii. Chłopak przeciął skrzyżowanie i zniknął w przejściu między dwoma ceglаныmi hangarami. Noah rzucił się za nim, biegnąc wzdłuż murów. Przejście zagradzały góry opon i palet. Przez sekundę widział sylwetkę Henry'ego po drugiej stronie w pasiastej poświacie latarni, po czym chłopak zniknął po lewej. Noah pokonał przejście najprędzej jak mógł i zdyszany wypadł na Malcolm Street. W pierwszej chwili go nie widział. Rozejrzawszy się, zauważył w końcu, że Henry ze zwinnością królika ucieka przez skwer, pod osłoną ciemności panującej pod drzewami. Minął kiosk muzyczny i wyskoczył na Blair Avenue, po drugiej stronie, następnie ruszył pustym, szerokim chodnikiem obok wygaszonej witryny Woods Coffee i pod markizą kina, a potem znowu zniknął w ciemnej uliczce między Palace Theatre i Lighthouse Vintage & Costume, sklepem z ciuchami i dodatkami w zawrotnych cenach. Noah biegł za nim, ale jego tempo znacznie spadło i poczuł klucie w prawym boku. Wyrósł już z wieku, w którym człowiek robi takie głupstwa. Henry wkrótce go zgubi. Pokonał jednak uliczkę w dość krótkim czasie i wypadł na bitą drogę biegnącą wśród sosen, która schodziła stromym zboczem w kierunku zatoki. Poszedł tamtędy i sto metrów niżej w świetle błyskawicy zobaczył szczupłą sylwetkę Henry'ego.

Noah obawiał się, by nie skrócić kostki na nierównym i śliskim od mokrych liści podłożu. Niewiele widział pośród ciemności, wzmagającego się deszczu, wśród krzaków miotanych

porywami wiatru. Liście fruwały w powietrzu i muskały go niczym przelatujące nietoperze. W twarz siekły go twarde, zimne krople deszczu i Noah zmrużył powieki. Po lewej stronie między drzewami widział stojące w marinie łodzie: kołysały się na fali. Na pełnym morzu było znacznie gorzej. Spienione fale rozbijały się na skałach, a szkwał przyginał drzewa do brzegu, jakby chciał je wyrwać z korzeniami.

Co Henry zamierza? Wyprawa w morze przy takiej pogodzie wydawała mu się samobójstwem. Noah cierpiał na chorobę morską. Dobiegł do zakrętu znajdującego się około stu metrów nad zatoką. Widok, który ujrzał, sparaliżował go. Chłopak właśnie wyciągał kajak na czarną wodę. Wyjął go z jakiegoś ciemnego zakamarka pod nasypem, gdzie leżało wiele kajaków ściśniętych jak sardynki w puszcze. Noah otarł mokrą twarz i zawołał Henry'ego, ułożywszy dłonie w trąbkę. Jego głos zagłuszyło jednak wycie wiatru. Odetchnął, nabrał powietrza i zawołał jeszcze raz. Tym razem wyglądało na to, że chłopak go usłyszał, bo odwrócił głowę w jego stronę. Przez chwilę stał nieruchomo na wąskim żwirowym wybrzeżu i wpatrywał się w Reynoldsa.

A potem znowu ruszył w stronę zatoki, pochylony do przodu, ciągnąc za sobą kajak. Noah zobaczył, jak wrzuca plecak do środka i wchodzi do wody, nie zdjawszy nawet butów. Choć ta część zatoki była osłonięta, martwa fala i tak niebezpiecznie kołysała kajakiem.

Stój, zabijesz się! Noah zrobił krok do przodu i błotnisty grunt usunął mu się spod nóg. Zaklął, padając jak długi, i poczuł ostry ból w prawej kostce. Podparł się prawą dłonią, trafiając na skałę wystającą nad poboczem ścieżki i od nadgarstka po łokieć znowu przeszył go ból, ale niech go diabli, jeśli zamierza tu zostać i nic nie robić! Podniósł się i dalej schodził zboczem, kulejąc, podskakując i machając ręką jak semafor.

- Henry! Nie rób tego! Wracaj!

Ale kajak, kołysząc się na martwej fali, oddalał się już ku ziejącej paszczy wygłodzonego morza.

SZTORM

Wiatr nagle się wzmógł. Zrozumiałem, że zbliżając się do wylotu zatoki, pakuję się w kanał. Przez ostatnie kilka godzin wiało coraz mocniej. Tutaj znacznie lepiej zdawałem sobie z tego sprawę niż na lądzie. Wichura z rykiem napierała na mnie od strony cieśniny, a silny rozkołys zatoki zmienił się w spienione fale, które zaczęły miotać kajakiem, gdy tylko minąłem ostatnie skały. Czułem się, jakby ktoś wrzucił mnie do bębna pralki. Miotało mną na wszystkie strony. Ze wszystkich sił ścisnąłem wiosło. Fale przelewały się nad pokładem, mocząc mnie obficie, a ponieważ nie było fartucha, kajak stopniowo się napełniał. Z czarnego nieba lały się potoki lodowatej wody, która tłukła o kadłub i moją głowę. Wiosłowałem ze zmrużonymi oczami, chwytając powietrze otwartymi ustami.

Spojrzałem w dal i zadrżałem: morze było jednym wielkim bezkresem, biało-zielonym, pofalowanym i spienionym, a chmury przesuwaly się szybko w moim kierunku, nieustannie zmieniając kształt. Na nocnym niebie wyglądały to jak narowiste konie, to jak pędzące z maksymalną prędkością pociągi, to znów jak katedry, grzyby atomowe albo dym. Jeszcze mocniej machałem wiosłami. Wpatrywałem się w niewyraźne zarysy wysp leżących naprzeciwko, w odległości, którą zazwyczaj pokonuje się dość szybko. Ale tej nocy wydawało mi się, że wiosłuję w miejscu.

Masz niewielkie szanse, gościu, wiesz o tym? - Głosik w mojej głowie próbował mnie onieśmielić, ale postanowiłem go nie słuchać. Kurwa, kiwa jak cholera... Nie masz wrażenia, że ten prąd spycha cię w niewłaściwą stronę, stary? Wrzasnąłem na niego pośród bezkresu wód, daleko od brzegu. Ale głos ciągnął dalej: Czujesz ten zapach? Czujesz? To zapach Pacyfiku... Wal

się, pomyślałem, wiosłując ile sił. Drżałem, obmywany zacinającym deszczem i miotany falami.

Potem wiatr trochę osłabł, a deszcz jakby ustał. Odetchnąłem głęboko, zamknąłem oczy. I właśnie wtedy olbrzymia rozpedzona fala uniosła kajak i zakołysała nim. Poczulem, że kadłub niebezpiecznie się przechyla, i zanim zdążyłem zrozumieć, co się dzieje, wywróciłem się. Próbowałem odepchnąć się wiosłem, by wyprostować kajak, ale nad moją głową przewaliła się druga fala. Psiakrew! W normalnych warunkach sprostałbym zadaniu, ale pośród tej piekielnej, rozszalałej nocy straciłem wszystkie punkty odniesienia i spanikowałem.

Zachłysnąłem się wodą, odkaszlnąłem, wyplułem. Wyszarpnąłem się. Uwolniłem się z tym większą łatwością, że nie musiałem ciągnąć za taśmę, by zdjąć fartuch: po prostu wypchnąłem pośladki poza otwór i chwilę później płynąłem, niesiony przez fale.

Zauważyłem mój kajak, który odwrócony bladym brzuchem do góry szybko odpływał ku pełnemu morzu, dokładnie w przeciwnym kierunku, i postanowiłem uciec z tego pierdzielnika wpław. Wokół mnie ryczał wiatr, chmury się piętrzyły, chłostały mnie bryzgi piany, a ja tymczasem

płynąłem...
płynąłem

płynąłem...
płynąłem...

przez ten ponury i opustoszały pejzaż...

Stopniowo, bez mojej wiedzy, mój mózg odłączył się od tej zbyt obłąkanej rzeczywistości, a ja zacząłem płynąć z uczuciem jakiegoś...

dobroczyнного wyobcowania..

Coś pchało mnie do przodu. Znowu czułem ostry ból w barku zmasakrowanym przez Darrella, ale nawet gdyby moje ciało było przecięte na dwoje, i tak nie przestałbym płynąć. Utkwiłem wzrok w wyspach na horyzoncie, jakbym trzymał je

na muszce. I nagle, w środku tej długiej i wietrznej nocy poczułem, że nie jestem sam. Odwróciłem głowę i zobaczyłem ją - tuż obok. W odległości niespełna dziesięciu metrów.

Pruła wodę dużą płetwą grzbietową. Płynęła w moim kierunku. O ja pierdole, kurwa jego mać... Natychmiast przestałem płynąć. Na ile tylko mogłem, trwałem w bezruchu, a kiedy orka przepłynęła tuż obok mnie, poczułem falę uderzeniową. Jej czarno-białe cielsko minęło mnie jak kadłub statku. Z przodu białej plamki zobaczyłem maleńkie oko. Oddaliła się, a ja długo śledziłem wzrokiem jej płetwę; nie ośmielałem się płynąć z obawy, by moje ruchy nie przyciągnęły jej uwagi.

Upłynęło wiele minut, zanim zacząłem znowu posuwać się naprzód. Ciągłe byłem spanikowany. Płynąłem frenetycznie, chaotycznie. Unosząc się na falach, opadając w trzymetrowe doliny pośród spienionych grzebieni, kaszłając, krztusząc się i drżąc z zimna, na wpół topielec, płynąłem, płynąłem...

W pewnej chwili doznałem halucynacji: z otchłani wyłoniła się upiorna ręka - blada, wyciągnięta do nieba, z rozczapierzonymi palcami. Wiedziałem, że to ręka Naomi... I że to niemożliwe. Wpadłem w panikę. A potem kończyła ostatecznie pogrążyć się w odmętach.

Nie było prądu powierzchniowego, który by mnie spychał, ale i tak miałem coraz mniej sił. Aż w końcu zobaczyłem przed sobą linię przyboju. Ten widok dodał mi cholerne energii. Ostatnie kilkadziesiąt metrów przepłynąłem w stanie obłądu. Moje stopy dotknęły podwodnych skał. Pozdzierałem sobie dłonie i kolana, usiłując stanąć na tym kurewskim i zdradliwym skalistym brzegu, pełnym ostrych krawędzi, śliskich pochyłości i podstępnych półek, między którymi piętrzyło się morze.

Kiedy w końcu znalazłem się na ciemnej, piaszczystej plaży, szcząkałem zębami i drżałem z zimna. Otoczenie bynajmniej nie było suche: deszcz znowu chłostał plażę, a wiatr uderzał w brzeg, ale byłem pełen nadziei, że znajdę schronienie. Znałem tę wyspę jak własną kieszeń.

Cedar Island... Niewielka połącz lądu porośnięta lasem i prawie zupełnie płaska, o długości półtora kilometra, a na

jej obwodzie jakieś dwadzieścia rezydencji letniskowych - zamkniętych o tej porze roku - i tylko dwóch stałych mieszkańców na drugim skraju.

Kłęcząc na piasku, powoli doszedłem do siebie. Oparłem dłonie na udach, pochyliłem się i zwymiotowałem mieszankę wody morskiej i żółci. Wstałem dopiero po kilku minutach. Wszystkie mięśnie miałem napięte i obolałe. Przeszedłem przez plażę w kierunku ścieżki, która biegnie wzdłuż brzegu, wijąc się w lesie i łącząc ze sobą poszczególne rezydencje. W tym miejscu drzewa częściowo chroniły od deszczu, ale byłem przemarznięty, obejmowałem się rękami i tak dygotałem, że aż szczękałem zębami. W moich trampkach chlupała woda wymieszana z piaskiem, a dzinsy lepiły mi się do ud.

Oparłem się w pokusie schronienia się w pierwszym ujrzanym domu (gdyby policja przeszukiwała wyspę, zaczęłyby od niego), minąłem dobry tuzin rezydencji, zanim zdecydowałem się na nowoczesną willę na palach, drewnianą, z aluminiowym dachem - około kilometra od miejsca, w którym wyszedłem na brzeg. Po trzech stopniach wchodziło się na duży taras biegnący dookoła nad ciągle ryczącym morzem, jednak na tyle daleko, że można było obserwować, jak spienione grzebienie fal unosiły się i rozбивały o pomost znajdujący się w bezpiecznej odległości od bryły budynku.

Obejrzałem wszystkie okna i wreszcie znalazłem jedno ze źle zamkniętą okiennicą. Pięścią owiniętą rękawem stłukłem szybę. Dwie minuty później byłem w środku. Po omacku doszedłem do drzwi i wcisnąłem włącznik. Na szczęście prąd nie był wyłączony. Mały, prosty pokój z jednoosobowym łóżkiem. Przeszedłszy korytarzem, natrafiłem na ciemne pomieszczenie, które po włączeniu światła okazało się dużym salonem połączonym z kuchnią. Nie zwlekając dłużej, zabrałem się do poszukiwania łazienki. Kiedy ją znalazłem, rozebrałem się i wszedłem pod prysznic. Nie przestawałem drżeć - z zimna i ulgi - i miałem gęsią skórę, gdy nade mną unosił się obłok ciepłej pary. Ale pod wpływem miękkiej pieśczoży gorącej wody moje mięśnie i umysł pełen czarnych myśli stopniowo się

rozluźniły.

Nie sądziłem, by przed upływem kilkunastu godzin, a może nawet kilku dni, gliny zaczęły przeszukiwać wyspę. Zaczekają, aż morze się uspokoi. Pomyślałem o mężczyźnie w czerni, tam, na drodze, który krzyczał, żebym wracał. Kto to był? Chodził za mną, szpiegował mnie od tyłu dni, a tu nagle się okazuje, że się o mnie troszczy. Skąd on się wziął? Kto go przysłał? Augustine? Pomyślałem o Charliem, o moich mamach, o Darrellu leżącym u stóp latarni...

Wyszedłszy spod prysznica, osuszyłem ciało, rozcierając je tak mocno, że stało się czerwone jak u raka. Potem przetrząsałem apteczkę w poszukiwaniu środka dezynfekującego: był między plastrami a tampaksami. Przemyłem otarcia na dłoniach i kolanach - jedno z nich, pokryte małymi czarnymi kraterami i brunatnymi ranami, przypominało te poszarpane skały na brzegu - a następnie pooklejałem plastrami.

Pomyślałem, że powinienem się przespać. Uciszyć ten ból, który wracał, w miarę jak moje mięśnie stygły. Chciałem zapomnieć o orce, która wynurzyła się z wody, o niekończącym się upadku Darrella, o ciele Naomi na Agatę Beach, o przygaszonych oczach Charliego w samochodzie, o ręce wystającej z oceanu...

...o pieniądzech moich mam w bagażniku...

Napełniłem szklanke do mycia zębów wodą i poszukałem w apteczce jakiegoś leku przeciwbólowego. Był ich zadziwiająco szeroki wybór, jakby mieszkańcy tego domu cierpieli na wszelkiego rodzaju zapalenia i neuralgie. Ostatecznie postanowiłem wziąć demerol, do którego dla równego rachunku dorzuciłem oksykodon, nie bawiąc się w sprawdzanie, czy obie substancje można stosować jednocześnie - bolało mnie wszystko.

Za drzwiami czekał na mnie miękki szlafrok, przewiązany paskiem jak w hotelu. Owinąłem się nim. Po powrocie do głównego pokoju poczułem, jak opadają mnie pierwsze fale błogosławionego zmęczenia, a może był to początek działania leków przeciwbólowych. Przejrzałem książki ustawione na belce stanowiącej gzyms kominka: Chuck Palahniuk, Jim

Lynch, Sherman Alexie, J.A. Jance... Sami tutejsi autorzy. Przez chwilę się zastanawiałem, czy rozpalić ogień, ale dym mógłby przyciągnąć czyjąś uwagę. Rozkręciłem kaloryfery na pełną moc, otworzyłem przesuwne drzwi balkonowe i okiennice na spektakl rozszalałego morza - w pokoju zawył wiatr - a następnie szybko zamknąłem drzwi i pogasiłem wszystkie światła. Było bardzo ciemno, znalazłem więc w jednej z kuchennych szuflad świeczkę i pudełko zapalek. Postawiłem zapaloną świeczkę na ławie.

I wreszcie opadłem na sofę. Nie wiem, czy był to skutek wyczerpania czy działania tabletek, ale była to najgłębsza, najwygodniejsza i najbardziej miękka kanapa, na jakiej kiedykolwiek siedziałem. Przez szarawy prostokąt balkonowych drzwi popatrzyłem na ciemne, najeżone białymi grzywami morze i czarne, zachmurzone niebo, kłęby piany rozbijające się na skałach niewielkiej zatoczki i niewidoczny horyzont. Słyszałem szalejącą wokół domu nawałnicę, wicher świszczący w koronach sosen, szcęk łańcucha uderzającego o pomost. Słyszałem trzaski i jęki domu. Paradoksalnie to wszystko wpływało na mnie niezwykle kojąco. Sądzę, że działanie leków musiało mieć z tym coś wspólnego.

Kiedy zasypiałem, mój odrętwiały umysł jak igła przeszyla pewna myśl:

Agatę Beach

Zamrugąłem powiekami. Coś, co miało związek z Agatą Beach. I nagle, w tej jednej chwili, która jak błyskawica przeszyla moją świadomość, objawiła mi się prawda.

Za późno. Sen starł tę myśl, podobnie jak deszcz dawno już zatarł moje ślady na plaży. Zasnąłem.

BLONDYNKA W WIATRÓWCE W ŚRODKU NOCY

- Gdzie jest Henry?

Charlie, siedzący w przy stole zebrani w samym oku cyklonu, pokręcił głową. Był na skraju płaczu. Ktoś przyniósł dwa parujące kubki.

- Charlie - powiedział Krueger, upijając łyk kawy. - Chcesz iść do więzienia?

Jakby wymierzono mu cios. Jego żołądek skurczył się z bólu. Gość podobny do Philipa Seymoura Hoffmana przyglądał mu się w milczeniu, żując wykałaczkę.

Całe zamieszanie zaczęło się w chwili, gdy jeden z wozów patrolowych, który szukał Henry'ego natknął się na zwłoki Darrella u stóp latarni. Nie minęła godzina, a na miejscu była cała chmara typów z Washington State Patrol oraz innych pajaców z kontynentu, tak że biura szeryfa zmieniły się w istny cyrk. Ciągłe ktoś wchodził i wychodził, drzwi trzaskały, samochody przyjeżdżały i odjeżdżały z piskiem opon. Panował ruch i jazgot jak w psiarni. Czasem nawet żartowano - mimo wszystko nikt przecież nie zamierzał płakać po Darrellu Oatesie.

Teraz na tapecie był Charlie. Jego brat Nick przyszedł po niego do domu w towarzystwie innego funkcjonariusza.

- W twoim interesie jest współpracować - szepnął mu do ucha, wykręcając złośliwie ramię z typową policyjną (a może braterską) brutalnością, by wepchnąć go na okratowane tylne siedzenie radiowozu, tam, gdzie sadza się przestępców.

- Charlie - odezwał się łagodnie Krueger - znaleźliśmy jego samochód obok boiska do bejsbolu. Gdzie byłeś w nocy? Nie widział cię żaden z kolegów. Twoi rodzice mówią, że

wyszedłeś. Matki Henry ego nie widziały go od rana. Zdajesz sobie sprawę, w co się wpakowałeś?

Tak, zdawał sobie sprawę, ale milczenie wydawało mu się najlepszą opcją.

- Już panu powiedziałem, nie wiem, gdzie on jest - powtórzył po raz enty.

I po raz enty kilka par oczu popatrzyło na niego wymownie: ależ oczywiście, że wiesz.

Enta milcząca wymiana spojrzeń.

Ktoś wszedł. Pochylił się i szepnął coś na ucho Kruegerowi, którego twarz natychmiast spochmurniała. Rzucił okiem na Charliego, który tym razem wyczytał w minie szeryfa coś jeszcze - autentyczny niepokój. Który oczywiście mu się udzielił. Coś się wydarzyło... Gość z wykałaczką przestał żuć; on także czekał.

- Charlie - zaczął Krueger bardzo łagodnym głosem - na mieliźnie u wejścia do zatoki znaleziono kajak. Pusty.

Chłopak usłyszał pulsowanie własnej krwi.

- Ratownicy przeszukują cały wschodni brzeg wyspy. - Głos szeryfa docierał do niego jakby z oddali, wygłuszony. - Jesteś pewien, że nie chcesz nam niczego powiedzieć? - Krueger walnął pięścią w stół, tak że chłopak aż podskoczył. - CHARLIE, DO CHOLERY!

- To my - rzucił.

Philip Seymour Hoffman Drugi przechylił się nad blatem.

- Co: wy?

- Darrell Oates... To my...

- O ja pierdołę! - zawołał Hoffman.

- Wy go zrzuciliście? - zapytał Krueger z niedowierzaniem w głosie.

Charlie przytaknął. I opowiedział. Wszystko. Od początku.

O tym, jak przeszukali chatę Jacka Taggarta, jak trafili na filmik, jak szpiegowali Taggarta i Darrella, gdy ci puszczała dymem i zakopywali komputer - („O kurwa mać! - zakrzyknął tym razem Philip Seymour Hoffman Drugi) - jak pojechali przesłuchać Oatesów („Co zrobiliście?!” - to Krueger), jak przepytali Natea Hardinga i odkryli, że na

wyspie jest szantażysta („Bernd, ten dzieciak sobie z nas kpi!”), jak Henry znalazł pieniądze w boksie zarejestrowanym na jego matkę, jak po policyjnym nalocie Darrell czekał na niego w East Harbor i zawłókł go na latarnię, a potem kazał mu zadzwonić do Henry’ego.

Do pomieszczenia weszła korpulentna kobieta w żakiecie i również się przysłuchiwała. Charlie ją poznał, często przychodziła do sklepu.

- Kto go zepchnął? - zapytała.

Krueger się odwrócił. Nie słyszał, jak wchodziła.

- Henry, ale to była obrona własna. Gdyby tego nie zrobił, to on leżałby martwy na tych skałach... - Opowiedział im o ostrej bójce między Henrym i Darrellem tam, na górze, i o tym, jak Oates wypadł za barierkę. - Widziałem, że Henry próbował go złapać - skłamał.

- To się działo za twoimi plecami. Więc za wiele nie widziałeś.

- Z początku nie, to prawda. Ale widziałem, jak Darrell pchnął Henry’ego na balustradę i próbował go zrzucić. Henry mu się wyrwał.

- Darrell jest niezwykle silny - zaważyła kobieta, której oczy były lśniące i twarde jak kamyki - i nawykły do bójek... Jak to się stało, że Henry zdobył przewagę?

- Tego nie wiem, ale kiedy Darrell przeleciał przez poręcz, widziałem, że Henry chciał go złapać.

Tak naprawdę widział coś wręcz przeciwnego. Miał nadzieję, że Henry potwierdzi jego wersję, gdy będą go przesłuchiwali. Jeżeli taki dzień nastąpi, jeżeli Henry jeszcze żyje... Charlie pomyślał o pustym kajaku. Strach i rozpacz dosłownie wywróciły mu żołądek na drugą stronę.

Gdy skończył, zapadła cisza.

- Kurwa, co za historia - odezwał się w końcu szeryf.

- Pod warunkiem, że to, co on mówi, jest prawdą - ostudziła go kobieta, patrząc na Charliego podejrzliwie.

- Odwiedziny u Oatesów, Nate Harding, wizyta w magazynach, istnienie szantażysty, to wszystko powinno dać się dość łatwo sprawdzić - zauważył Seymour Hoffman.

- Przesłuchamy jego kolegów. Lizo, on nie mógł tego wszystkiego wymyślić. Po takich rzeczach zawsze zostają ślady. Zresztą znaleźliśmy już jeden dowód na to, że ten mały nie kłamie.

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz zaskoczenia. Charlie zmarszczył brwi i podniósł głowę.

- Jaki?

- Forsa, o której mówi. Znaleźliśmy ją w samochodzie Henry'ego. Pliki banknotów w kopertach. W bagażniku. I jeden plik na fotelu pasażera. To ta forsa, o której mówiłeś, tak, Charlie?

Chłopak potwierdził skinieniem głowy.

- To go jeszcze nie usprawiedliwia - zaprotestowała kobieta, ale w jej głosie było coraz mniej przekonania. - Morderca, który pomaga policji i udaje, że sam szuka winnego. Bywały już takie przypadki.

- Tak czy inaczej musimy sobie zadać pytanie, czy morderca Naomi i szantażysta to nie jest ta sama osoba. I gdzie, na Boga, podziła się matka tej małej?

- Wróćmy do sprawy szantażysty - powiedział Krueger. - Mówisz, że Henry podejrzewał swoje mamy?

- Tak. Z powodu tych pieniędzy i tego, co widziała moja matka.

Poczuł, że nagle wszystkie spojrzenia skupiły się na nim.

- Jak to?

- Moja matka... Którejś nocy widziała, jak mama Henry'ego wyjmuje coś z kontenera na śmieci, jakąś paczkę, a może kopertę. W środku nocy! W tamtej chwili nie rozumiała, co jest grane, ale kiedy Henry znalazł tę kasę i gdy o tym porozmawialiśmy...

- Która, Charlie?

- Co?

- Która matka Henry'ego to była?

- France.

Zobaczył, że Krueger patrzy na kobietę, unosząc pytająco brwi. Ta skinęła głową. Szeryf wstał i otworzył drzwi, w których stanęła matka Charliego. Charlie był w szoku.

Kobieta miała bardzo zmęczoną i zmartwioną twarz. Po raz pierwszy zauważył liczne siwe włosy, które w ostatnim czasie pojawiły się na jej głowie, głębokie brązowe cienie pod smutnymi oczami. Zalała go fala synowskich uczuć.

- Możesz już iść, Charlie - powiedział Krueger. - Dzięki za pomoc. Brat cię odwiezie.

- Nie trzeba, mogę wrócić sam.

Mijając matkę, spontanicznie wziął ją w ramiona. Przytulili się. Obojgu dobrze to zrobiło. Złożyła pocałunek na jego policzku. Ładnie pachniała i Charlie uświadomił sobie, że ją kocha.

O tak, kochał ją bardziej niż kogokolwiek na tym świecie. A potem wyszedł. Zanim zamknęły się drzwi, usłyszał głos Kruegera: - Proszę usiąść, pani Scolnick.

Czuła się malutka w ogniu ich spojrzeń.

- Tak - potwierdziła - widziałam, że wysiadła z samochodu i przeszła przez ulicę w kierunku kontenerów na śmieci.

- Co pani robiła o tej porze w oknie?

Zaczerwieniła się, jakby właśnie przyznała się do czegoś zakazanego, czego nie można wyjawiać.

- Cierpię na bezsenność. Nie chcę tak późno włączać telewizora albo komputera. Nie mam też odwagi czytać, dlatego wyglądam przez okno. Mieszkamy na samej górze Main Street. Z piętra widać dużą część miasta i portu. Ja... je nie szpieguję, po prostu lubię ten widok, uspokaja mnie. Wszystkie te światelka w ciemności... Łodzie w marinie, cisza... Puste ulice... Mam wrażenie, że kiedy wszyscy śpią, cała wyspa należy do mnie. W Seattle zawsze był szum. Cisza nigdy nie była tak absolutna. - Tłumacząc się w ten sposób, poczuła się jeszcze bardziej winna. Drobnym zmarszczki wokół jej pięknych oczu pogłębiły się.

- I jest pani pewna, że to była ona?

Pełnymi zdziwienia oczami spojrzała na niewysokiego grubaska o jasnych włosach.

- A któż by inny? To był jej samochód, przyjechała Eureka Street.

- Ale nie widziała pani jej twarzy?

- Tak, częściowo... widziałam jasne włosy wystające spod kaptura. Łał deszcz. To na pewno była ona.

Blondynek pokiwał głową, żując wykałaczkę. Włożył okulary z powrotem na nos.

- Pani Scolnick, czy rozmawiała pani o tym incydencie z matkami Henry'ego?

Poruszyła głową, tak że trudno było określić, czy potwierdza, czy zaprzecza.

- Któregoś dnia, gdy Liv przyszła po Henry'ego, mówiłam jej o tym.

- I?

- Wyglądała na naprawdę zaskoczoną. Przez chwilę jakby zamierzała mnie oskarżyć, że to wszystko wymyśliłam, i pożałowałam mojej szczerości. Powiedziała, że na pewno mi się przywidziało. Że to musi być pomyłka. Ale wyglądała na kompletnie wstrząśniętą. Nie kryła tego...

Krueger spojrział na Platta, którego oczy za szklami okularów wciąż były nieprzeniknione jak u sfinksa; tylko wykałaczką wędrowała z jednej strony ust na drugą.

- Pani Scolnick - odezwał się szeryf z całą łagodnością, pochylając się w jej stronę. - Czy panią ktoś szantażuje?

- Słucham?

- Czy ktoś panią szantażuje? Czy jest pani ofiarą szantażysty, jak wielu mieszkańców tej wyspy?

W jej oczach wyczytali głębokie zaskoczenie.

- Mówi pan poważnie? Nie, oczywiście, że nie! Zresztą i tak nie mam nic do ukrycia.

Krueger dyskretnie zerknął na Lizę Wasserman. Każdy ma coś do ukrycia, pomyślał.

- Przez pani sklep przewijają się wiele osób, nie ma pani pomysłu, kto by to mógł być?

Linia jej ust wyglądała teraz jak cienka kreska.

- Ma pan rację, widuję ludzi wszelkiego pokroju. Nie tylko przykładowych obywateli, niech mi pan wierzy. Ale jeśli mielibyśmy zacząć o tym mówić, nie starczyłoby nocy...

- Proszę się zastanowić.

- Przykro mi, ale takie bezpodstawne spekulacje nie są w moim stylu - powiedziała stanowczo.

Krueger westchnął. Liza Wasserman odchyliła się na krześle. Platt sprawdził, czy kamera nadal nagrywa.

Noah przyglądał się migającym przy brzegu światłom latarek, słabym i bezsilnym w obliczu burzy. Ocean wciąż straszył swoim groźnym obliczem. Było zbyt ciemno, by z miejsca, w którym stał, mógł dostrzec sylwetki ratowników. Wyjął telefon.

- Noah? - odezwał się Jay po drugiej stronie. - Co to za hałas? Wiatr? Co się dzieje?

Reynolds powiedział mu o ucieczce Henryego podczas sztormu.

- Jestem na bieżąco - powiedział Jay. - Obserwowaliśmy to z drona. Ale zgubiliśmy go w tej burzy. Masz jakieś świeże wieści?

- Znaleźli jego kajak na skałach - odparł Noah. - Pusty. Sądzą, że się utopił.

Nastała długa cisza.

- Być może zrobił to specjalnie, żeby tak pomyśleli - zasugerował Jay. - To zaradny chłopak.

- Tak - przyznał Noah, świadom jednak, że pierwsza hipoteza jest znacznie bardziej prawdopodobna.

- Za parę godzin tam będziemy - zapowiedział Jay ostrożnie. - Kiedy sztorm trochę się uspokoi, wyślemy lżejsze drony, żeby sprawdziły wszystkie wyspy. Musimy go znaleźć, Noah. Za wszelką cenę. Wiesz, o kogo chodzi.

Tak, wiedział, chodziło o ojca poszukującego syna. O ojca, który miał nad wszystkimi innymi ojcami poważną przewagę - był jednym z najbardziej wpływowych ludzi w państwie. A przede wszystkim należał do tej grupki osób, które trzymały w garści miliardy innych ludzi i mogły w każdej chwili dowiedzieć się o każdym z nich więcej, niż wie sam Bóg. Ale nawet taki ojciec nie jest na tyle potężny, by powstrzymać śmierć. Śmierć syna... - pomyślał Noah i uznał, że to w pewnym sensie pocieszające.

*

Bernd Krueger odprowadził matkę Charliego do drzwi i patrzył, jak oddala się pośród zawieruchy.

- Wierzysz jej? - odezwał się Platt za jego plecami.

Szeryf spojrział na zegarek. Było prawie wpół do trzeciej w nocy.

- Co? W to, że nie ma tajemnic? Oczywiście, że nie! Każdy ma przynajmniej jedną.

- A co jest według ciebie jej tajemnicą? Jakiś romans? Oszustwo podatkowe? Wstydliva przeszłość? Choroba? Zboczenie?

- Skąd mam wiedzieć. Ty nie masz tajemnic? Czegoś, o czym wolałbyś, żebym nie wiedział?

Zobaczył, że Platt się uśmiecha, tak jakby miał na myśli jakąś naprawdę zabawną tajemnicę, coś, co powaliłoby Kruegera na łopatki, i wykałaczką przesunęła się jeszcze wyżej w kierunku jego lewego ucha.

Szeryf jednak już tego nie widział. Zbyt wiele białych plam, pomyślał. Ale byli coraz bliżej rozwiązania. Niezaprzeczalnie. Pomyślał o śledztwie prowadzonym przez Henry'ego i jego kolegów. Te dzieciaki odwały nieprawdopodobną robotę! Trzeba będzie ich przesłuchać. Pomyślał też o Taggarcie i Hardingu. A potem o pustym kajaku... Rano przesłucha France i Liv. Modlił się, żeby przy okazji nie musiał ich informować o śmierci syna. Zza zasłony deszczu wyłoniła się powoli jakaś postać.

- I jak - zapytał Noah Reynolds. - Czy Charlie wie, gdzie jest Henry?

Krueger rzucił byłemu glinie ostrożne spojrzenie.

- Nie - odpowiedział. - Za to wie, kto zrzucił Oatesa z latarni.

Noah drgnął.

- Kto?

- Według niego to oni byli wieczorem na górze. Wywiązała się bójka. Darrell wypadł za barierkę. A Henry ze wszystkich sił starał się go przytrzymać... Tak twierdzi.

- Wierzysz mi?

Bernd Krueger przygryzł dolną wargę.

- Nie.

LOTY I PRZELOTY

Tej nocy śniłem o Naomi. Pomieszany, zagadkowy sen, pełen niezrozumiałych obrazów. Kochaliśmy się na podłodze kaplicy-atelier Nate'a Hardinga. Dookoła byli ludzie. Pełno ludzi. Cała społeczność Glass Island. Twarze wszystkich zakrywały maski i wszyscy - niscy, wysocy, grubi czy chudzi - mieli na sobie koszulki z krótkim rękawem, czarne spodnie i byli boso. Leżałem między udami Naomi, ona jęczała, a ja w nią wchodziłem, obserwując jej twarz. Atmosfera była gorąca, wilgotna i ciężka, jak podczas pełnej niepokoju, ciepłej letniej nocy. Był to najbardziej erotyczny i podniecający, a zarazem najbardziej niezdrowy sen, jaki miałem w życiu. Chwilę później za sprawą typowego dla snów kaprysu czasoprzestrzeni byliśmy na Agate Beach. Na jednej ze skał na skraju plaży, gdzie znaleziono jej ciało, przygotowano prowizoryczny ołtarz z kolorowymi świecami, bukietami kwiatów i paproci, karteczkami przyciśniętymi ciężkimi kamieniami. Dziesiątki, setki świec, których płomyki chwiały się na wietrze i których bładny wosk spływający po skale przypominał wodorosty. Powiedziałem coś w stylu: „Czy będziesz mnie zawsze kochać?”, a ona odpowiedziała: „Tak, Henry!” Ale nie wiedziałem, czy owo „tak” miało mnie zachęcić do intensywniejszych ruchów posuwisto-zwrotnych, czy też było odpowiedzią na moje pytanie i miałem je zadać jeszcze raz, kiedy zobaczyłem schylającego się nad nami Charliego. „Charlie, co ty wyprawiasz?” „Chryste, Henry, to jest manekin! Nie ma cipki!” „Ależ skąd. To Naomi. Patrz, przecież to ona!” „Bzdury gadasz, stary. Naomi nie żyje”.

Spojrzałem na nią, ale była jak najbardziej żywa i niewiarygodnie seksowna. Jej duże oczy w kolorze ametystu odbijały

pulsujący blask świec, jej brzuch był okrągły, skóra naciągnięta jak na bębnie. Jej usta otwierały się i zamykały jak u ryby i całowała mnie z jęczyzkiem, ale jej pocałunek miał mineralny posmak alg i morskiej wody. Całując ją, starałem się przywrócić jej życie, wdmuchując powietrze do płuc, które odpowiadały głębokim dźwiękiem.

Ona jest martwa, pomyślałem. Posuwam trupa. „Nie, ja żyję”, rozległ się głos Naomi. Chwilę później robiliśmy to w morzu o letniej, gęstej i lepkiej wodzie. Pieprzyłem ją zapamiętałe, a ona jęczała. Podniosłem głowę i zobaczyłem unoszącego się tuż nad nami satelitę, który wyglądał jak wielki owad o metalowym pancerzu najeżonym antenami. Umieszczona od spodu kamera filmowała nas i nagle rozległ się donośny głos: „Henry, co ty robisz? Ona jest martwa!”. Domyśliłem się, że to Grant Augustine. Ale kontynuowałem. „Już dobrze”, powiedziała Naomi. I nagle wszystkie moje mięśnie stały się wrażliwe jak struny harfy, wszystkie ciała Krauzego się rozbudziły, a nerwy rozgrzały się do czerwoności... i w przebłysku oślepiającej rozkoszy eksplodowałem - nasienie wytrysnęło jak atrament ośmiornicy, zanim rozlało się w białawą plamę i rozpląnęło...

w tym morzu czerwonej krwi...

W tej chwili zrozumiałem, że to nie woda, ale krew, że pieprzę ją w morzu pełnym krwi, krwi o barwie tak jaskrawej, tak pąsowej jak kwiat maku, w cieplej, lepkiej, zawieszistej krwi. Szczytowałem bez końca.

I wtedy się obudziłem.

Zajrzałem pod szlafrok i kiedy zobaczyłem mokry, klejący brzuch, zrobiło mi się wstyd. Przypomniały mi się niespójne obrazy ze snu, cały ten łańcuch absurdalnych skojarzeń. Treść snu - przemożna zmysłowa ekscytacja, jego silny ładunek erotyczny - wydała mi się teraz obrzydliwym, chorym urojeniem. Być może za sprawą surowego wychowania Liv, która chciała zrobić ze mnie mężczyznę prawego i bez skazy, zawsze czułem, że moje sny ciągną mnie w dół, ku upodleniu, i

nie lubiłem tej tchórzliwej i podlej strony osobowości, jaką przede mną objawiały. Wbrew opinii Freuda mądrość medycyny przypisuje ten rodzaj snów wpływowi przepełnionego pęcherza albo innego bodźca fizycznego - i być może tak właśnie było w tym wypadku, bo musiałem wstać i pilnie skorzystać z toalety.

Kiedy wróciłem do salonu, z obrzydzeniem spojrzałem na plamę na sofie. Nie pierwszy raz przeżyłem coś takiego. Ale po raz pierwszy przy tej okazji pojawiła się postać zmarłej osoby i po raz pierwszy zdarzyło się to w obcym domu. O, Naomi, wybacz mi. Zalała mnie fala smutku. Chciało mi się płakać, ale miałem już dość uzalania się nad własnym losem. Wszedłem pod prysznic. Wiatr świstał w gontach i napierał na szyby, ale wydawało mi się, że jest już słabszy.

Ból powracał. Jak niekończące się ukłucia igieł w ramionach i nogach i głębokie, bardziej rozległe pieczenie w torsie i barku. Jeszcze raz zażyłem środek przeciwbólowy, ale tym razem ograniczyłem się do jednej tabletki. Wciąż czułem się wykończony i otumaniony i trudno mi było stwierdzić, czy to efekt nocnych przygód, czy skutki uboczne leków. Miałem ochotę na kawę (na kuchennym blacie stał ekspres), byłem głodny (burczało mi w brzuchu), a poza tym chciałem czym prędzej znowu wskoczyć pod koldrę i patrzeć na morze. Nie byłem jednak na wczasach i nie mogłem za długo siedzieć w tym miejscu.

Pierwszą rzeczą, jaką należało zrobić, było znalezienie jakiejś łodzi albo przynajmniej szalupy. Sięgnąłem po swoje ubrania. Wciąż były wilgotne i uwalane piachem. Pralnia. Może w tym domu jest pralnia. I rzeczywiście, przeszedłszy kolejno przez dwoje drzwi na tyłach kuchni, znalazłem pomieszczenie - dzięki niech będą dobremu Bogu za amerykański konsumpcjonizm i zamiłowanie do komfortu - w którym stała pralka i suszarka bębnowa. A także pudełko z proszkiem do prania i butelka płynu do płukania. Wybrałem krótki program, wrzuciłem moje ciuchy do pralki i wróciłem do kuchni, by się posilić. Niestety,

nie było półproduktów na naleśniki albo gofry (I co jeszcze? Chłopie, nie jesteś na wakacjach w Best Western), ostało się tylko trochę ciastek i słoik miodu, ale byłem wygłodzony i pożarłem wszystko, co znalazłem. Kiedy pranie się skończyło, wrzuciłem ubrania do suszarki. Czterdzieści pięć minut później zanurzyłem się w bladej poświacie poranka, który ładnie pachniał sosnowymi igłami i oceanem.

To było coś więcej niż chwilowe ucieszenie sztormu: deszcz ustał, a wiatr zmienił się w delikatną bryzę, od której drżały liście. Wszędzie widać było straty spowodowane przez burzę; ziemia usłana była połamanymi gałęziami i listowiem oraz dużymi kłębami wodorostów wyrzuconych na brzeg daleko poza linię niskiej wody. Jakieś dwadzieścia metrów od domu leżał przewrócony kontener na śmieci o pojemności trzystu sześćdziesięciu litrów, w lesie zobaczyłem też potężne drzewo, które upadając, skosiło kilka innych.

Z przyjemnie wypełnionym żołądkiem - i posmakiem kawy w ustach - oraz pod wpływem środka przeciwbólowego, który właśnie zaczynał działać (ogarnął mnie tak podejrzany optymizm i uniesienie, że zastanawiałem się, czy ten lek nie jest przy okazji antydepresantem albo psychotropem), poczułem się lekki, silny i pełen energii. Ruszyłem na rozpoznanie terenu. Mój dobry humor szybko jednak wyparował, gdy zorientowałem się, że na wyspie nie ma żadnej łodzi.

Nic. *Nada*.

Z pewnością z obawy przed kradzieżą ludzie nie zostawiali łodzi w garażach. Większość letników musiała zimą przechowywać swoje żaglówki w marinie w East Harbor albo po skończonych wakacjach zabierać je na przyczepach terenówek do Anacortes albo Bellingham.

Szedłem ścieżką w stronę kolejnego domu, gdy usłyszałem jakiś dźwięk dobiegający od zachodu. Niewyraźne brzęczenie, które wkrótce przybrało na sile i przerodziło się w przerywany warkot. Zrozumiałem... Ledwie zdążyłem wskoczyć w jakieś krzaki, gdy ponad drzewami pojawił się helikopter; podmuch wzniesany przez wirnik kołysał gałęziami nad moją głową. Sły-

szalem tap-tap-tap jego łopat i warkot turbiny. Obawiałem się tylko jednego: że ci goście wypatrzą z góry jasną plamę moich ubrań wśród zarośli. Zobaczyłem, jak przelatuje, oddala się w kierunku środka wyspy, a potem usłyszałem, że zawraca w moją stronę.

Cholera! Zostawiłem otwarte okiennice w salonie! Jeśli wiedzą, że wszystkie wille są niezamieszkałe, wezwą kawalerię... Maszyna wróciła na wysokość mojej kryjówki i stanęła w zawisie, tak że czułem jej podmuch nawet na stopach; drobne prądy powietrza biegnęły przy samej ziemi między krzewami, z których spadały miliony kropel wody. Następnie skrzyła na północ i odleciała ku innej wyspie.

Boże! Złapałem oddech. Moje serce waliło jak szalone, ale pomyślałem, że teraz, gdy już oblecieli wyspę, przez chwilę będę miał spokój. Zamierzałem jednak zamknąć okiennice i starać się nie zostawiać za sobą żadnych śladów. Los najwyraźniej zaczynał mi sprzyjać, bo w hangarze ostatniego domu, który został mi jeszcze do sprawdzenia, znalazłem niewielką dmuchaną łódź marki Zodiak z silnikiem Yamahy. Jestem pewien, że archeolog, który właśnie odkrył sarkofag kolejnego faraona, nie byłby tak szczęśliwy jak ja w tamtej chwili. I właśnie wtedy, gdy kontemplowałem moje znalezisko, wróciła do mnie myśl z poprzedniego wieczoru.

Agatę Beach.

W czwartek 31 października o wpół do ósmej rano Bernd Krueger wcisnął guzik dzwonka domu przy Ecclestone Road pod numerem 1600. Usłyszał jego dźwięk, a chwilę później czyjś głos:

- Chwileczkę!

Krueger czekał z dłońmi spoczywającymi na pasie, w postawie człowieka uosabiającego władzę, ale kiedy drzwi się otworzyły i ujrzał na progu Liv Myers, drobną, ale zażartą jak pitbull kobietkę, jego tupet momentalnie się ulotnił.

- Dzień dobry, Liv.

- Bernd... Gdzie jest mój syn? Gdzie Henry? Znaleźliście

go?

Patrzyła na nich oczami rozszerzonymi z niepokoju, ale bynajmniej nie traciła przy tym typowego dla siebie władczego sposobu bycia.

- Jeszcze nie, Liv. Znaleźliśmy jego kajak.

- Co? Gdzie?

- Na skałach, u wejścia do zatoki. Mogę wejść?

Zobaczył, że wyraz twarzy kobiety się zmienił. Stała na progu oszołomiona, chwiejąc się jak bokser, który za chwilę osunie się na ziemię. Ale nie trwało to długo. Po chwili otrząsnęła się i usunęła, by wpuścić go do środka. Krueger wszedł do salonu, który wyglądał jak żywcem wzięty z jakiegoś czasopisma albo katalogu - komfort i finezja plus zachęta do podróży w postaci kufro-szaf i albumów z czarno-białymi zdjęciami.

- Chcesz kawy?

- Tak, poproszę.

Usłyszał odgłos pantofli szurających po podłodze i odwrócił głowę. France patrzyła na niego, ubrana w koszulę nocną i miękki szlafrok. Bernd widział, że kobietę dosłownie zżera strach. Już wieczorem zadzwoniły do niego, by zapytać, czy znaleźli Henrygo, i zawiadomić go, że chłopak nie wrócił do domu. A przed świtem telefonowały jeszcze raz. Prawdopodobnie nie spały przez całą noc. Bernd wiedział, że France czyta z ruchów warg.

- Dzień dobry, France - powiedział. - Nie, nie znaleźliśmy go. Ale nie tracimy nadziei. Pewnie gdzieś się schował.

Kiedy skończył, France nadal się w niego wpatrywała, jakby oczekiwała z jego strony czegoś więcej, i poczuł się nieswojo. Na szczęście właśnie wtedy przyszła Liv z filiżanką kawy.

- Na jakiej podstawie sądzicie, że to Henry płynął tym kajakiem? - rzuciła. - Jego kajak jest na swoim miejscu, sprawdziłam.

- Zeznania Charliego. Wczoraj wieczorem był z Henrym. Twierdzi, że kiedy Henry dowiedział się, że go szukamy, dał nogę. Mamy też zeznania innego człowieka, który szedł za nim i widział, jak odpływa kajakiem w kierunku cieśniny.

- Innego człowieka? Który szedł za Henrym? A to co za hi-

storia?

- Prywaciarz.

- Dlaczego jakiś prywaciarz miałby śledzić Henry'ego? - zapytała Liv tonem na poły podejrzliwym, a na poły oskarży- cielskim.

Wtedy France zamachała rękami i Liv opowiedziała jej o wyrzuconym na brzeg kajaku. Zobaczył, że blondynka zbladła. Spojrzała na Kruegera ze straszliwym niepokojem w oczach.

- Henry to dobry pływak - powiedział, żeby ją pocieszyć. - Na pewno dotarł na inną wyspę, oblatujemy wszystkie helikopterem, teraz, gdy sztorm ucichł, wysłałem też moich ludzi, żeby je przeczesał. Pomaga im patrol stanowy i straż przybrzeżna. Zwrócił się do brunetki: - Liv, w bagażniku samochodu Henry'ego znaleźliśmy gotówkę. Dużo gotówki.

Kobiety wpatrywały się w niego. Krueger czułby się swobodniej, gdyby miał przed sobą dwóch mężczyzn, nawet twardzieli, niż te kobiety.

- Jak twierdzi jego przyjaciel Charlie, Henry znalazł te pieniądze w magazynie w Everett, w boksie na twoje nazwisko, Liv. Poza tym zeznał, że Henry, on i reszta paczki odkryli, że na wyspie działa szantażysta. - Pokręcił głową i uniósł dłoń. - Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale... To nie wszystko. Nate Harding potwierdził, że faktycznie padł ofiarą szantażu. - Podniósł wzrok na Liv. Wyglądała na zaszokowaną. Rzucił okiem na France i znów utkwiał oczy w brunetce. - A matka Charliego twierdzi, że widziała, jak France przyjechała w środku nocy do East Harbor i wyciągnęła coś z kontenera na śmieci: jakąś kopertę lub pakunek, w którym mogły się znajdować pieniądze.

France wyglądała, jakby otrzymała cios pięścią prosto w twarz. Krueger znowu skupił uwagę na Liv. Ta odwróciła się ku France i obie kobiety popatrzyły na siebie bez słowa.

- Moje pytanie jest zatem następujące: czy jedna z was jest tą osobą, która szantażuje innych?

Cisza.

- Chyba nie mówisz poważnie, Bernd - zareagowała ostro

Liv. Jej oczy płonęły od tłumionego gniewu.

- Liv, jeśli o czymś wiecie, właśnie nadszedł moment, by o tym powiedzieć. Jak to się stało, że Henry znalazł te pliki banknotów, w sumie dwadzieścia tysięcy dolarów, w boksie wynajętym na twoje nazwisko?

- Do cholery, nie mam pojęcia!

- I jak to się stało - (zerknął na France, która wyglądała, jakby czekała na dalszy ciąg) - że matka Charliego widziała France wyjmującą kopertę ze śmietnika w East Harbor o drugiej w nocy?

France energicznie pokręciła głową na znak sprzeciwu, a na brzegach jej powiek pojawiły się łzy. Odwróciła się do partnerki i jej ręce wykonały sekwencję frenetycznych ruchów składających się na wyrazy i zdania.

- France mówi, że nic nie rozumie i nie wie, o czym mówisz. Mówi, że nigdy nie była w East Harbor o drugiej w nocy, że nigdy nie wyciągała niczego ze śmietnika i że matka Charliego pomyliła ją z kimś innym.

- Jest pewna - odparował Krueger. - Rozpoznała samochód i France.

Dłonie kontynuowały milczący taniec.

- To niemożliwe, France zaklina się, że nie ma nic wspólnego z tą historią, nic z tego wszystkiego nie rozumie, ale... bardzo się boi.

Policzki France były teraz lśniące od łez. Błagalnie wpatrywała się w szeryfa. Twarz Liv wciąż była nieprzenikniona. France wróciła do swojego migowego monologu.

- Mówi: znajdź mojego syna, błagam cię, znajdź go. Tak mówi, Bernd, słyszysz? Znajdź Henry ego! Tę sprawę załatwimy później. Czekam, aż matka Charliego przyjdzie do mnie i powie mi to w twarz - mówiła teraz ostrzejszym tonem. - Nie wiem, co to za historia, ale, psia krew, mam nadzieję, że się dowiem. A tymczasem, Zajmij się swoją kurewską robotą szeryfa i znajdź mojego syna!

Krueger drgnął. Liv podniosła głos, a jej krzyk rozległ się echem w akustycznym salonie.

- Właśnie to robimy, Liv - powiedział. Wstał. - Zaanga-

zowaliśmy kogo się da. Nawet ochotnicy włączyli się w przeczesywanie brzegu. Znajdziemy go. Mam głęboką nadzieję, że znajdziemy go żywego. - (Ruszył ku drzwiom, lecz jeszcze się odwrócił). - Naprawdę bardzo mi przykro. I nawet jeśli nie rozumiem, o co w tym chodzi, mam nadzieję, że to nie przez was jesteśmy dziś w takiej sytuacji. Gdyby jednak tak było, wierz mi, dojdę do tego. - Pożegnał je i wyszedł.

Gdy pracownik West Sound Marina na Orcas Island usłyszał znajomy dźwięk, zatrzymał traktor i nadstawił uszu. Nie była to zwykła pora dla maszyn Kenmore Air. Wyciągnął szyję i na niebie nad wierzchołkami świerków zobaczył zbliżający się biały punkt.

Nie padało, ale po betonowym placu i drewnianych kejach hulał lodowaty wiatr. Usiane chmurami stalowoszare niebo nad pełnym morzem zmieniało barwę na łososiowy róż. Było już dawno po sezonie, goście zjawiali się rzadko, a w dokach piętrzyła się gmatwanina belek, desek i podnośników.

Mężczyzna nasunął z powrotem na czoło daszek starej czapki z godłem Sonics i zobaczył, jak hydroplan zniża lot nad zatoką, a potem delikatnie dotyka powierzchni wody. Maszyna leciała jeszcze jakieś dwieście metrów, a następnie zatoczyła łuk i ruszyła w kierunku pomostu. Pilot w ostatniej chwili wyłączył silnik i hydroplan dalej poruszał się swoim kursem, podczas gdy jego pływaki zanurzały się jak narciarz wodny w ostatniej fazie ślizgu. Był to górnopłat De Havilland DHC-3 „Otter”, który może zabrać na pokład do dziesięciu pasażerów i dziewięćset kilogramów ładunku.

Dziesięć minut później zobaczył, jak z maszyny wynurza się około dziesięciu mężczyzn. Zmarszczył brwi. Nie wyglądali na turystów. Choć byli w cywilu, ich zachowanie obudziło w nim wspomnienia: zanim został tutaj człowiekiem od wszystkiego, przez dwadzieścia lat służył w wojsku. Było z nimi dwóch długowłosych chłopaków i potężny gość o nieprzeniknionej twarzy.

Nie ma żartów, pomyślał, widząc, jak szybkim krokiem po-

konują trap. Cała ta banda pachniała problemami. W tej samej chwili drogą prowadzącą do niewielkiej mariny stanowczo zbyt szybko nadjechały dwa vany, które zaparkowały na placu. Pracownik mariny zobaczył, jak faceci bez słowa wyładowują z hydroplanu wielkie, czarne skrzynie i pakują je do samochodów.

Zauważył napisy na drzwiach samochodów: DEER BEACH RESORT. Ultranowoczesny luksusowy hotel otwarty minionego lata na wyspie, dokładnie na wprost Glass Island.

Nie spuszczać ich z oczu, mężczyzna zastanawiał się, co takie towarzystwo robi tutaj o tej porze roku. Czy ma to jakiś związek z tym, co się dzieje na Glass Island? Informacja o tamtym typie zrzuconym z latarni była we wszystkich lokalnych gazetach, podobnie jak o zwłokach dziewczyny znalezionej na plaży. Mężczyzna nie posiadał się z radości. Wieczorem w pubie będzie o czym pogadać, będzie można wysuwać wszelkiego rodzaju hipotezy. Trochę tak jak w przypadku katastrof naturalnych, trzęsień ziemi, lawin błotnych, zamachów terrorystycznych, wojen - wszyscy uważają je za nieprzyjemne, a jednocześnie czują niezdrową ciekawość i skryte podniecenie, gdy się przydarzają, najlepiej innym. Zwłaszcza wojny, ponieważ trwają dłużej i kanały informacyjne ciągle o nich trąbią.

Ci spryciarze nie wyglądali na świętoszków i pracownika mariny aż świerzyło, by sięgnąć do kieszeni po telefon komórkowy. Jeden z typów o ruchach żołnierza Marines zauważył go i przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Potem wycelował w niego palec i udawał, że strzela:

Bang, bang...

O cholera! - pomyślał robotnik. Nasunął czapkę na oczy, chwycił za kierownicę i odwrócił się, by dokończyć rozpoczęty manewr i podjechać przyczepą pod łódź wyciągniętą z wody, zawieszoną na mobilnym dźwigu.

Deer Beach Resort stał na skałach. Szkło i aluminium, proste linie, płaskie powierzchnie, przejrzystość. Poniżej morze raz po

raz podchodziło do plaży i cofało się, podchodziło i cofało się, mewy piszczały, a wiatr zawodził.

Stojąc na dużym tarasie apartamentu, Grant Augustine wpatrywał się w małe domki East Harbor leżące dwa kilometry dalej, po drugiej stronie cieśniny. Za jego plecami, za otwartymi szklanymi drzwiami pracownicy hotelowi w towarzystwie młodych geeków uwijali się przy instalacji komputerów, rozwijaniu kabli i przedłużaczy, ustawianiu anten i podłączaniu sprzętu. Na dole obok zamkniętego na zimę basenu na swoją kolej czekała lłotylla złożona z trzech modeli, długich i lekkich jak małe szybowce, z zamontowanymi od spodu kamerami HD. Lekkie drony: ulepszona wersja monoplanu RQ-7B Shadow, wyposażona w kamerę optyczną i na podczerwień, GPS i rybie oko do obserwacji pola widzenia o zasięgu stu osiemdziesięciu stopni, której akumulatory pozwalały na dziewięć godzin pracy oraz pokonanie odległości stu pięćdziesięciu kilometrów i przekazywały obraz bezpośrednio do urządzeń monitoringu zamontowanych w apartamencie.

Dzięki przejrzystości powietrza widoczność była dobra i Grant wycelował lornetkę w północną część East Harbor i przesuwając ją wzdłuż wschodniego wybrzeża wyspy, aż trafił na typowy dla obszarów północno-zachodniego Pacyfiku dom stojący w otoczeniu drzew, z drewnianymi stopniami schodzącymi ku morzu, pomostem i hangarem na łodzi. A więc to tutaj mieszkał jego syn przez ostatnie siedem lat. Z emocji ścisnęło go w gardle. I o prostu nie był w stanie uwierzyć, żeby Henry mógł zginąć na dzień przed tym, gdy mieli się wreszcie spotkać. Czuł się sfrustrowany, zdenerwowany, przerażony. Henry... Nawet imię mu się podobało. Sam z pewnością by takiego nie wybrał, ale podobało mu się jego brzmienie: Henry-Henry-Henry... Henry Grant Augustine. Bo da mu swoje imię i nazwisko.

Henry, ty żyjesz, ja to wiem. Nie może być inaczej. Razem dokonamy wielkich rzeczy. Teraz już nie pozwolę, by ktokolwiek stanął między nami. Odnalazłem cię i zbudujemy razem życie, w którym będziemy się dzielić wszystkim. Wszystkim. Nauczę cię wszystkiego, co potrafię, a w zamian za to ty nauczysz mnie

tego, co umiesz ty, a czego nie umiem ja, albo jeszcze więcej, tego, co kiedyś z pewnością potrafiłem, ale zapomniałem. Bo te zdarzenia mnie zmieniły, Henry. Słyszysz, nic już nie będzie takie jak dawniej. Masz moje słowo.

- Grant - odezwał się Jay za jego plecami - przyszedł Reynolds.

Odwrócił się. Na taras wszedł ubrany na czarno facet o kamiennej twarzy, masywny jak pomnik. Wiatr natychmiast zwichrzył mu włosy.

- Gdzie mój syn?

Pytanie uderzyło jak grom, a odpowiedź Noaha była równie bezpośrednia.

- Nie wiem.

- To w takim razie co pan wie?

- Istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że utonął. To była wyjątkowo sztormowa noc.

Grant spojrział mu prosto w oczy.

- On żyje - uciał. - Wiem to, czuję. Żyje, a pan mi go odnajdzie.

- Tutaj do niczego się już panu nie przydam. Ma pan cały potrzebny sprzęt i ludzi. Wolałbym pójść innym tropem.

Grant zmarszczył brwi.

- Co to za trop?

Noah spędził poprzedni wieczór przy komputerze. W końcu udało mu się powiązać firmę z Los Angeles, której dane figurowały na znalezionej umowie z niejakim doktorem Jeremym M. Hollyfieldem. Dzięki wyszukiwarce internetowej dowiedział się o owym „doktorze” Hollyfieldzie całkiem sporo. Gość miał dyplom z medycyny, ale z biegiem lat nieco odszedł od swojego pierwotnego wykształcenia, by spróbować sił w rozmaitych dziedzinach, takich jak joga i medycyna niekonwencjonalna (otworzył ośrodek medytacji i medycyny ajurwedyjskiej), medycyna sportowa, a nawet trening mentalny (jego strona nosiła nazwę „Akademia zwycięzców”). Był człowiekiem twórczym, ale najwyraźniej nie miał głowy do interesów, ponieważ wszystko, co zaczynał, kończyło się porażką. Facet

o wątpliwej reputacji. Ale przede wszystkim Noahowi udało się znaleźć prywatny adres owego jegomościa w LA.

- Co to za trop?

- Trop, który prowadzi do Los Angeles z czasów, gdy mieszkały tam matki Henrygo.

Grant zaczął słuchać z uwagą.

- Żeby uzyskać pewne informacje, będę potrzebował pieniędzy. Do osoby, z którą zamierzam się spotkać, trafia tylko jeden rodzaj argumentów.

- Co to za osoba? Jakie informacje?

- Powiem panu, kiedy będę je miał.

Grant odwrócił się do Jaya, a ten skinął głową.

- Ile?

- Powiedzmy trzydzieści tysięcy dolarów.

- Wiadomo, że mój syn jest gdzieś tutaj. Niedaleko. A zatem po co?

Eksglina z Seattle wzruszył ramionami.

- Może będzie próbował uciec, schronić się gdzie indziej, wrócić tam. Poza tym Meredith... Jak sądzę, chciałby pan wiedzieć, co się z nią dzieje i gdzie się ukrywa.

Meredith. Grant spojrział na rozmówcę. Kto wie, jak ona teraz wygląda? Ale tak, to prawda, Reynolds ma rację, chce wiedzieć.

- Naprawdę sądzi pan, że te papiery pana do niej doprowadzą?

- Może tak, może nie. Tak czy inaczej, powtarzam: tutaj jestem dla pana bezużyteczny. - Wskazał na stojącą w dole flotyllę. - Pilotowanie dronów to nie moja bajka. Rozróbym tym bardziej - dodał, wskazując brodą w kierunku mięśniaków w środku.

- Świetnie, proszę tam jechać i informować mnie na bieżąco. Jeśli pan chce, mogę dać panu do dyspozycji odrzutowiec.

- Nie trzeba - odparł Noah. - Jest lot linii Alaska, który startuje z Sea-Tac o czternastej dwadzieścia. Mam już bilet. Będę na LAX przed siedemnastą.

Zarezerwował bilet już poprzedniego wieczoru; były jeszcze

tylko dwa miejsca. Grant spojrzął na niego zaskoczony. Znał niewiele osób, które nie skorzystałyby z możliwości podróżowania prywatnym odrzutowcem. Porywisty wiatr szarpał ich ubrania. Grant postawił kołnierz ocieplanej kurtki. Potrząsnął dłonią Noaha.

- Jay powiedział, że jest pan właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Miał rację. Wykonał pan dobrą robotę, panie Reynolds. Dziękuję.

Noah zachował kamienną twarz.

O dziesiątej rano Blayne i Hunter Oatesowie pojawili się u stóp wielobarwnego indiańskiego totemu, który wznosi się na rogu Lottie Street i Grand Street w Bellingham, przed wejściem do sądu. Rotunda wyglądała jak żywcem wyjęta z filmów peplum. Za nią stał wysoki budynek z cegły i szkła. Przez chwilę się zastanawiali, jaką strategię przyjąć, odetchnęli powietrzem wolnych ludzi, a następnie zapalili papierosa, osłaniając się nawzajem przed wiatrem i wypatrując Starego. Ten ostatni ustalał szczegóły kaucji z ich pieprzonym adwokatem.

Spomiędzy dwóch chmur wychynął cienki promień słońca i oświetlił ich wynędzniałe, nieufne twarze. Odziani w myśliwskie ciuchy bracia o manierach dzikusów pasowali do tego miejskiego wystroju jak rzymski żołnierz w spódniczce do westernu - ale trzeba przyznać, że w tym miejscu prawie nikt nie wyglądał stosownie. Kompetencje Sądu Najwyższego hrabstwa Whatcom sięgały jeziora Diabło na wschodzie, Lummi Island na zachodzie i kanadyjskiej granicy na północy. Ten ostatni rejon przysparzał niemało problemów: ponad tysiąc członków Bandidos, Nuestra Familia i Los Amigos, którzy poruszali się swobodnie po całym hrabstwie, walczyło z gangami powiązanymi z kanadyjskimi Helis Angels o kontrolę nad handlem narkotykami. W odległych dolinach North Cascades dochodził do tego jeszcze przemyt narkotyków między Kolumbią Brytyjską a stanem Waszyngton, ale także

kłusownictwo, przemoc domowa, rozróby pod wpływem alkoholu, kradzieże i spory międzysąsiedzkie: z tych grup rekrutowała się większość tępaków, którzy co jakiś czas stawali przed Sądem Najwyższym hrabstwa Whatcom.

Blayne i Hunter mogliby zostać zatrudnieni w charakterze przewodników - znali ten budynek prawie tak samo dobrze jak własny dom. Blayne zaciągnął się papierosem i utkwiał wzrok w przyciemnianych szklach okularów brata. Na którejś z ulic zawyła policyjna syrena. Oczy Blayne'a lśniły w śniadej twarzy jak dwa kawałki miki.

- Co zamierzasz zrobić w sprawie Darrella?

Hunter popatrzył na niego dziwnie pustym spojrzeniem znad luksusowych okularów od Prądy.

- Zabić skurwysyna, który go zepchnął.

Blayne znowu się zaciągnął i skinął głową na znak uznania. Polizał opuszki palców i wygładził czarną bródkę.

- To ten gnojek Shane nas wydał. On za tym wszystkim stoi.

- Nie przejmuj się tym skurwielem. Dopadniemy go. Zapłaci nam. Ale to nie z nim Darrell spotkał się na latarni. Nie, spotkał się z tym drugim sprytnym gnojkiem. - Z naciskiem wypowiadał świszczące głoski, jego słowa zderzały się ze sobą i złość wylewała się z jego ust jak zatruta jadem ślina. Twarz miał zwróconą w stronę wody. Patrzył na ocean, na wyspy.

Blayne zazgrzytał zębami.

- Cholera, wiesz co, stary, kiedy myślę o tym, co on zrobił Darrellowi, czuję nienawiść, przysięgam ci. Ten smarkacz dostanie cholerny wpierdol.

- Jak mogliśmy tak łatwo puścić tych gnojów, co? - zastanawiał się wkurzony Hunter. - Jak to się stało, że Darrell dał się tak wyruchać? Wiesz, co ci powiem? Ramolejemy, braciszku. Stajemy się do niczego, nie nadążamy. A chcesz wiedzieć dlaczego? To przez Starego. Cholera, on już nie jest taki jak dawniej. Flaczeje na całej linii...

Ale sześćdziesięciolatek, który właśnie w tej chwili wyszedł z

sądu, można by podejrzewać o wszystko, tylko nie o to, że flacje. Mężczyzna dosłownie promieniował wściekłością, szaleństwem, nienawiścią. Jego małe, błyszczące oczka obserwowały ulicę, wędrując z prawa na lewo, a wargi zaciskały się na grubo ciosanej twarzy w bladą kreskę.

- Na co czekacie? - rzucił. - Nie stójcie tak, znajdźcie jakąś brykę! Kurwa, kto mnie pokarał takimi synami. Blayne, rusz dupę, do cholery!

W spojrzeniu Blayne'a zapłonął gniew, ale jak zawsze bez dodatkowych pytań wcisnął głowę w ramiona i ruszył na parking. Mięśnie na szyi Starego nabrzmiały jak u trębacza jazzowego, jakby w każdej chwili mogły eksplodować. Hunter domyślił się, że ojciec jest bliski wybuchu furii, a w takich sytuacjach lepiej było go nie drażnić.

- Masz fajkę?

Hunter wyjął paczkę z kieszeni grubego bezrękawnika, wtknął papierosa między wargi Starego i zapalił.

- Dzięki. I zdejmij te patrzaki. Wyglądasz w nich jak debil.

Najstarszy syn drgnął, ale posłusznie zdjął okulary, z których był taki dumny, i za które zapłacił w butik w Bellevue ponad trzy stowy. Stary zanurzył w jego oczach spojrzenie rażonego prądem grzechotnika.

- Chcę tego Henry'ego... To ten zasrany szcurek zabił mojego syna. Rozmawiałem z naszym człowiekiem w biurze szeryfa. Nie ma wątpliwości. To on zepchnął go z tej pieprzonej latarni. Musi za to zapłacić, słyszysz? Obiecałem mamie. Jezu Chryste, przysięgam na wszystko, co mam najświętszego, że zabójca twojego brata nie pozostanie bezkarny, synu.

Noah wyjął pasek, zdjął płaszcz, umieścił portfel, telefon komórkowy i płyn do soczewek w plastikowym koszyku i zamierzał na znak ochroniarza przejść przez bramkę na lotnisku Seattle-Tacoma, kiedy przez jego głowę, niczym ulotne muśnięcie ptasiego skrzydła, przeleciało jakieś wspomnienie. Zastygł w bezruchu, przetrząsając pamięć. Ale wspomnienie już

umknęło.

- Proszę pana, niech pan przechodzi.

On jednak miał wrażenie, że to, o czym przed chwilą prawie pomyślał, było ważne. Miało to związek z pierwszym telefonem Jaya w sprawie tego śledztwa, z tym, co Jay mu wówczas powiedział.

- Niech pan przechodzi! - Zniecierpliwiony ochroniarz zrezygnował już z „proszę pana”.

Noah zmarszczył brwi. Cholera, co to było? Co to było?

- Ej, panie, głuchyś pan czy co? Do przodu!

Ocknął się i przeszedł przez bramkę.

- Przepraszam - powiedział.

- Proszę stanąć tutaj i podnieść rękę.

Noah uniósł brew.

- Dlaczego? Przecież bramka nie dzwoniła?

- Odmawia pan podporządkowania się?

- Nie odmawiam, pytam, dlaczego mam przejść rewizję, skoro bramka nie dzwoniła.

Mężczyzna się nachmurzył.

- Panie, chce pan lecieć tym samolotem czy nie?

- Oczywiście że chcę. Nie tylko chcę, ale polecę. Nie ma pan prawa robić mi rewizji wedle własnego widzimisię, tylko dlatego, że pana zdenerwowałem.

- Proszę pana...

- Przez pana obydwaj tracimy czas. Lepiej by pan zrobił, gdyby się pan zainteresował tym facetem, nie wygląda na świętego.

Zobaczył, że oczy tamtego zapłonęły złością.

- Proszę pana, odradzam panu...

- Co mi odradzasz? Rzuć okiem na moje dokumenty: dziesięć lat w DC Police, pięć w policji hrabstwa King w SPD. Chcesz mnie uczyć zawodu, chłopcze? Ile ty masz lat? Igraj ze mną dalej, a będziesz opróżniał luki bagażowe.

- Niech pan spada - rzucił mężczyzna.

- Dziękuję.

Podszedł do taśmy, by pozbierać swoje rzeczy. Kobieta przy skanerze spojrzała na niego z ukosa. Wsuwając pasek

w szlufki spodni, Noah sobie przypomniał: pocztówka, którą dostała tamta kobieta, Martha Allen... To po tym zdarzeniu Jay i Grant zainteresowali się archipelagiem - a potem nastąpiło to zabójstwo...

W hali odlotów poszukał wolnego miejsca, położył torbę na podłodze i wyjął z marynarki zdjęcia, które zrobił w pokoju Henry'ego. Przyjrzał się uważnie jednemu z nich. Obok niego mała dziewczynka szczebiotała coś do swojej lalki. Jej matka, w hidżabie, gładziła ją po włosach, a kilkoro pasażerów nerwowo popatrywało w ich stronę. Sięgnął po telefon i zadzwonił do Jaya.

- Zbadaliście tusz na pocztówce? - zapytał.

Kiedy Jay się odezwał, wyjaśnił mu, czego potrzebuje.

- Okay - powiedział Szymański - zobaczę, co da się zrobić. Zadzwonię do ciebie, jak będę miał nowe wieści. A po co ci to, Jay?

- Nie teraz. Najpierw wyniki.

- Jasne, jak chcesz.

Noah się rozłączył. Opadły go wątpliwości. Wszyscy coś przeoczyli. To coś tam było, ale oni tego nie widzieli. Tak jak w tych testach dla daltonistów - wśród kolorowych kropek krył się jakiś kształt. A oni wszyscy byli daltonistami.

SAMOTNY

Zbliżam się już do końca tej historii. I z całą pewnością jest to jej najsmutniejszy i najbardziej dramatyczny odcinek.

Agate Beach. Te dwa słowa migotały w moim umyśle jak neon podrzędnego motelu w północnej części Aurora Avenue w Seattle. Przyglądałem się zodiakowi spoczywającemu w anonimowym garażu na przyczepie, kiedy to do mnie przyszło: to był szczegół, ale szczegół tak potworny, że poczułem śmiertelne przygnębienie. Nie, to niemożliwe! Nie chciałem przyjąć tego do wiadomości, musiało istnieć jakieś wytłumaczenie.

Czym prędzej wróciłem do mojej kryjówki. W jednym z pomieszczeń, zaadaptowanym na rodzaj małego gabinetu, był komputer. Włączyłem go. Czekając, aż zacznie działać, uruchomiłem ekspres do kawy. Właściciel posiadłości nie uznał za stosowne zabezpieczyć peceta hasłem. Ludzie są naiwni... Większość porusza się po cyberprzestrzeni jak amerykańscy turyści, którzy w meksykańskim barze wykładają na stolik portfele, kluczyki do samochodu i karty płatnicze.

Kiedy urządzenie było gotowe, wstukałem w wyszukiwarkę nazwę „Agatę Beach”. Wyskoczyło sporo linków - wszystkie świeże, związane z zabójstwem Naomi i znalezieniem jej zwłok na plaży. Przejrzałem je. Wszystkie artykuły powstały po dwudziestym trzecim października, najstarszy pochodził z tamtego dnia, ale zamieszczono go w wieczornym wydaniu gazety. Wstukałem słowa „morderstwo, Glass Island, plaża” i w małym pomieszczeniu, którego okiennice zostawiłem zamknięte, wypatrywałem oczy, czytając na monitorze kolejne artykuły.

Żaden z tekstów, które ukazały się rano dwudziestego

trzeciego października - wydania internetowe opatrzone były datą i godziną - nie zawierał słów „Agatę Beach”. Wszystkie mówiły o „plaży na Glass Island”, bliżej nie uściślając. Znalazłem ten, który czytaliśmy w szkole na tablicie Charliego.

Dziś rano funkcjonariusze biura szeryfa Glass Island. znaleźli na jednej z plaż wyspy ludzkie zwłoki. Według pewnych źródeł chodzi o ciało siedemnastoletniej dziewczyny, której tożsamości jednak nie ujawniono.

Ten artykuł także nie wspominał o Agatę Beach. Najwyraźniej policja zostawiła tę informację dla siebie, by zbyt szybko nie mieć na karku prasy. Jednak kiedy tam przyjechałem, na parkingu było już dużo ludzi. Prawdopodobnie po wyspie rozeszła się już informacja, że służby szeryfa znalazły ciało na Agatę Beach i wystarczyło, że pierwsi dziennikarze po przybyciu do portu zapytali kilku osób albo poszli z tłumem ciekawskich, by trafić na plażę.

Tak, to brzmiało logicznie. Mniej logicznie wyglądał natomiast fakt, że ja sam bez najmniejszego wahania i bez pytania kogokolwiek ruszyłem prosto na Agatę Beach. Czyżbym pojechał za innymi samochodami? W żadnym razie. Lało jak z cebra i na Miller Road nie spotkaliśmy żywej duszy. Skąd zatem wiedziałem?

Odpowiedź na to pytanie nosiłem w sobie od samego początku - utknęła w moim mózgu jak kawałek mięsa między zębami - odkąd tylko zabrzmiały słowa „Agatę Beach”. Moje serce zaczęło wybijać rytm tam-tamu, najpierw cicho, a potem coraz głośniej i głośniej. Nie chciałem tej odpowiedzi, ale znałem ją: z promu zadzwoniłem do mamy Liv, żeby ją poprosić, by zatelefonowała do matki Naomi, i opowiedziałem jej o tym, co przeczytaliśmy na tablicie Charliego. Że na jednej z plaż na wyspie znaleziono ciało dziewczyny. Była ogromnie zaskoczona, próbowała mnie pocieszyć: „Daj spokój, Henry, to zwykły zbieg okoliczności”. A potem powiedziała to: „Zwłoki na Agatę Beach, naprawdę? To straszne”. Tak. To

było to. To dzięki niej bez wahania pojechałem w kierunku Agatę Beach...

Skąd miała tę informację, skoro nie powinna była o niczym wiedzieć? Jedno jest pewne: nie znalazła jej w gazetach. Przelknąłem ślinę. Załóżmy, że któryś z sąsiadów lub mieszkańców wyspy poinformował ją o tym, co się wydarzyło. Dlaczego w takim razie w rozmowie przez telefon udawała, że o niczym nie wie? Wróciłem do ciemnego salonu, w którym paliła się tylko mała lampka. Chodziłem tam i z powrotem. Mój mózg pracował na pełnych obrotach, a moje trzewia zżerał kwas zwapnienia.

Oczywiście to niczego nie dowodziło. Ale były pieniądze. Pieniądze pochodzące z szantażu... Klocki puzzli stopniowo zaczynały do siebie pasować. Nagle coś jeszcze przyszło mi do głowy i zmroziło mnie.

Odkładając słuchawkę, Krueger wyglądał na zatroskanego.

- Właśnie wypuścili Oatesów.

Platt odstawił kubek z kawą i zmarszczył czoło.

- Taaa... - powiedział ponuro.

Krueger spojrział na niego z ukosa.

- Myślisz, że będą chcieli pomścić śmierć Darrella?

- Jeśli wiedzą, że to Henry go zepchnął, na pewno zechcą dać mu wycisk.

Szeryf zacisnął usta.

- Tyle że nie wiadomo, czy Henry żyje, czy jest martwy.

- Żyje - powiedział Platt. - Wszyscy, których przesłuchiwałem, mówią to samo: Henry to doskonały pływak. Na pewno gdzieś się schował.

- W takim razie za wszelką cenę musimy go znaleźć przed Oatesami. Rozmawiałem przed chwilą z szeryfem hrabstwa Whatcom. Śledzili ich po wyjściu z sądu. Oatesowie nie wrócili do siebie. Pojechali piątką na południe. Policja Whatcom zostawiła ich, kiedy opuścili granice hrabstwa i wjechali na teren Skagit.

- Wsiądną na prom w Anacortes.

- Na to wygląda.

Umilkli. To stanowczo nie była dobra wiadomość.

- Psiakrew. Henry na wolności, Oatesowie, którzy jadą tu z nożem w zębach i jeszcze Seth przed chwilą dał mi cynk, że jacyś dziwni goście wysiedli dziś rano z hydroplanu na Orcas Island i wprowadzili się do Deer Beach Resort. Według niego to mafia albo wywiad. Możesz mi powiedzieć, co się dzieje? A na dodatek dziś wieczorem jest Halloween. Na ulicach będzie kupa dzieciaków. Nie chciałbym, żeby któryś z nich dostał jakąś zabłąkaną kulkę, jeśli zrobi się niebezpiecznie.

- Będzie też kupa dorosłych w maskach - zauważył Platt. - Praktyczne, jeśli chce się być incognito.

Znowu na chwilę zamilkli. To nie wyglądało dobrze. Ani trochę. Krueger spojrzął na przypięte do ściany rozkłady jazdy.

- Wyszli o dziesiątej rano. Mogą wsiąść na prom o dwunastej trzydzieści pięć i być tutaj o czternastej. Albo ten o czternastej czterdzieści i być o piętnastej czterdzieści pięć. Następne przyplływają o siedemnastej dziesięć, siedemnastej pięćdziesiąt, dziewiętnastej dwadzieścia, dwudziestej czterdzieści pięć i dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć.

- Obstawiałbym siedemnastą pięćdziesiąt albo dziewiętnastą dwadzieścia. Poczekają, aż na ulicach zrobi się ciemno, żeby skorzystać z zamieszania.

- Powiem Nickowi, żeby obserwował dom Henryego, a Angel zajmie się promami.

- A ci goście na Orcas Island, sądzisz, że są tam dziś przez przypadek?

- Nie wierzę w przypadki, Chris, wierzę natomiast w kłopoty. I widzę ich na horyzoncie całą masę.

- Nie czuję tej sprawy - zawtórował mu ponuro Platt. - Może powinniśmy poprosić o posiłki?

- Bo mamy trzech drani, którzy przyjeżdżają w wieczór Halloween? Patrol stanowy i straż przybrzeżna są już zajęte poszukiwaniem Henry'ego. Będziemy musieli poradzić sobie sami.

- Oatesowie są niebezpieczni, Bernd. Kto z naszych ludzi jest w stanie stawić im czoło, jeśli sprawy wymkną się spod kontroli?

- To proste. Ty i ja.

Banknoty... To myśl o nich mnie zmroziła. Śmierdziały papierosami. Poczulem to natychmiast, gdy otworzyłem te koperty. Buchnął z nich zapach dymu tytoniowego, którym przesiąknięte były banknoty. Ta sama woń nieustannie unosiła się w mobilnym domu Naomi, przyniesiona z kasyna przez jej matkę, która robiła wszystko, by się jej pozbyć.

I nagle zrozumiałem. Wszystko... Byłem wstrząśnięty. To nie w magazynie nabrały tego zapachu. Były u Naomi, w jej przyczepie. Leżały tam wystarczająco długo, by przesiąknąć tym smrodem, który włókł się za Naomi do szkoły i wszędzie, jakby to ona paliła, a nie klienci kasyna, w którym pracowała jej matka. W tej chwili przypomniałem sobie, gdzie tuż po śmierci Naomi poczułem ten zapach. W samochodzie Liv. Po przesłuchaniu w biurze szeryfa. Kiedy odwoziła mnie na parking Agatę Beach, żebym zabrał swój wóz. Tak, pomyślałem, czując w ustach posmak żółci.

Ponieważ Liv nie paliła, zapach papierosów z niczym mi się nie skojarzył - w każdym razie świadomie - i nie zwróciłem na niego uwagi. Byłem zbyt otumaniony, zbyt ogłupiały, by w tamtej chwili myśleć o czymkolwiek innym niż śmierć Naomi. Niejako przy okazji zapamiętałem ten gryzący smrodek, który unosił się w samochodzie.

Istniało tylko jedno wytłumaczenie. Banknoty, które wcześniej były u Naomi, trafiły do wozu Liv. Niedługo przed tym, jak do niego wsiadłem. W przeciwnym razie zapach by wywietrzał. Pomyślałem o France wyjmującej nocą kopertę albo pakunek z kosza na śmieci w East Harbor... A jeśli wyciągnęła stamtąd nie hajs, ale dowód dostarczony przez szantażystę?

Głowa bolała mnie tak bardzo, że miałem wrażenie, iż mój mózg eksploduje. Zanurzyłem palce we włosach, zgiąłem się w pół i zgrzytałem zębami. Zapach papierosów w samochodzie

Liv tuż po zabójstwie. Zapach na banknotach. Zapach domu Naomi...

Prawda objawiła mi się w całej swej rozpaczliwej brzydocie. Szantażystą była matka Naomi - i być może także sama Naomi.

Liv chciała odzyskać pieniądze i z jakiegoś powodu sprawy źle się potoczyły.

Sieć rybacka, plaża, nagie ciało Naomi - wszystko to prawdopodobnie było inscenizacją, która miała za zadanie skierować policję na fałszywy trop.

Czy mama France wiedziała? W końcu to ona wyjęła dowód z kontenera. Ale boks w magazynie wynajęty był na nazwisko Liv, nie France, choć to ona przejeżdżała mniej niż dwa kilometry od niego za każdym razem, gdy udawała się do pracy w Redmond, a zatem byłoby praktyczniej i logiczniej wynająć boks na jej nazwisko. Skoro tak się nie stało, musiał istnieć jakiś powód - France nie wiedziała. W każdym razie o pieniądzech. A o morderstwie? Czy coś podejrzewała? Co jeszcze ukrywa Liv? Czyżby mama France, nie wiedząc o tym, była w niebezpieczeństwie? Z jej niepełnosprawnością nie byłaby w stanie usłyszeć zbliżającego się napastnika. Gdy o tym pomyślałem, oblał mnie zimny pot.

Przewróciłem lampkę, książki na kominku i kubek z kawą, który roztrzaskał się w cichym i ciemnym salonie. Poszedłem do łazienki, by włożyć głowę pod wodę, rozpaczliwie szukając wyjścia z sytuacji. Spojrzałem na spłoszonego, rozczochranego chłopca, który patrzył na mnie z lustra, i wydarłem się na niego, ile sił w płucach. Z walącym ciężko sercem zacząłem odzyskiwać oddech. I wtedy usłyszałem jakieś odgłosy.

Blayne dmuchnął na łyżkę z zupą z mięczaków i podniósł ją do ust. Przełknął, wytarł wargi rękawem, po czym wlał w siebie kolejną łyżkę. Niestrudzenie wodził ciekawskimi oczkami po zamkniętym pokładzie promu. Rozglądał się za ewentualnym przedstawicielem sił porządkowych, ale o tej porze prom był prawie pusty i żaden z pasażerów nie wyglądał jak pieprzony glina w cywilu. W teście na

inteligencję, który musiał przejść przy okazji pierwszego pobytu w więzieniu, Blayne osiągnął IQ 63, nie zmienia to jednak faktu, że był obdarzony prawdziwym radarem do wykrywania psów. Znowu włożył do ust łyżkę zupy i donośnie siorbnął. Siedząca na ławce przed nim starsza kobieta odwróciła się, by spiorunować go wzrokiem. Blayne popatrzył na nią, otworzył usta i poruszał językiem, wydając przy tym odgłos, który jego zdaniem naśladował robienie minetki. Przerażona kobieta odwróciła głowę.

Zadowolony wrócił do obserwowania sali. Wciąż był wściekły. Ilekroć wspomniał Darrella, nachodziły go mordercze myśli - i bynajmniej nie miała to być szybka śmierć. Zerknął na zegarek. Piętnasta trzy. Za niespełna godzinę dotrze do East Harbor. Prawie żałował, że w sali nie ma ani jednego gliny. Ostatecznie jego zadanie miało polegać na zmyleniu sił porządkowych, a nie na przemknięciu niezauważonym ani unikaniu ich. Jeszcze bardziej żałował, że nie bierze udziału w akcji, że po raz kolejny brat i ojciec odsunęli go na bok. Zawsze był dla nich jak piąte koło u wozu. Ale czasy się zmieniły. Teraz, gdy Darrell nie żyje, Blayne pokaże im, z jakiej gliny jest ulepiony.

Niewielka łódź - Mako 238 z 1989 roku, wyposażona w dwa bliźniacze silniki Mercury, pruća morze z dużą, lecz nieprzesadną prędkością, by nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania straży przybrzeżnej. Poza tym mocno chlupało.

Jak często w zimie, wody cieśniny Rosario były niebezpiecznie rozkołysane, a szarą powierzchnię morza jak okiem sięgnąć pokrywały spienione bałwany, ale Stary wiedział, że wszystko się uspokoi, gdy miną Spindle Rock i wpłyną do cieśniny Peavine. Jednym okiem zerkał na kompas, a drugim wpatrywał się w zachmurzone niebo. Bał się, że pojawi się na nim jakiś helikopter. Jednak nieprzemakalna plandeka przykrywająca kokpit chroniła ich przed niedyskretnymi spojrzeciami.

Po wyjściu z sądu w Bellingham ostentacyjnie pojechali autostradą numer 5 na południe. Jak się tego spodziewali, głupie gliny eskortowały ich do granic hrabstwa. Następnie, już bez widocznego ogona, dojechali do końcowej stacji promu. Blayne wjechał na pokład. Na parkingu czekał na nich drugi samochód. Stary i Hunter dotarli do swojej łodzi zwodowanej w marinie w Anacortes, uruchomili silnik i kanałem Guemes dopłynęli do cieśniny, po czym skręcili na północ.

Stary mógłby iść o zakład, że szeryf Glass Island czeka na nich na stacji promu w East Harbor. Stojąc za sterem, z dłonią na manetce gazu, twardym spojrzeniem małych oczu wpatrywał się w horyzont. Pogoda uspokoiła się na krótko. Znowu mocno wiało, niebo i morze zlewały się w jedno z deszczem, falami i chmurami. Wichura świstała mu w uszach, zagrzewając go do walki. Obok niego siedział zielony Hunter. Jego durnowaci synowie cierpieli na chorobę morską. Stary westchnął. Darrell był z nich najlepszy i właśnie Darrell musiał zginąć. Pierś Starego wypełniło potężne pragnienie zemsty. Zaczerpnął ciężkiego od piany morskiej powietrza szeroko rozdętymi nozdrzami, jak drapieźnik, który wywęszył ofiarę.

Zza ogromnych przeciwsztormowych okien hotelu Grant Augustine z niepokojem obserwował psującą się pogodę. Porywisty wiatr hulał po dużym, opustoszałym tarasie z taką siłą, że aluminiowa poręcz prawie drżała. Drony stojące na dole przy basenie przykryto plandeką i przywiązano żeglarskimi cumami. Poprzedniej nocy podczas ucieczki jego syna stracili już jedną maszynę za kilka milionów dolarów. Przy takiej pogodzie technicy odmawiali wysłania dronów i nawet on nie mógł ich do tego zmusić. Augustine westchnął z nosem przyklejonym do szyby. Choć była dopiero czwarta po południu, niebo robiło się czarne, a nad Glass Island zbierały się chmury.

Skaner za jego plecami śledził częstotliwości radiowe policji, a dwóch geeków siedziało przed mozaiką obrazów na ekranach:

kamery monitoringu w biurach szeryfa, na ulicach East Harbor, na promie i w domu Henry'ego.

- Coś tu nie gra - odezwał się jeden z geeków.

Grant się odwrócił. Jay podszedł do chłopaka.

- Proszę zobaczyć: to jest obraz z kamer promu, który przybije do East Harbor dokładnie za... piętnaście minut.

Jay pochylił się nad ramieniem młodego technika.

- No i?

- Tutaj. Poznaje pan? To ten gość. - Wskazał na jedno ze zdjęć przyczepionych do ściany. Obraz nie był zbyt wyraźny, a mężczyzna siedział po przeciwnej stronie sali w stosunku do kamery, ale nie mogło być wątpliwości. To był Blayne Oates.

- Jest sam - zauważył Jay.

- Właśnie. Na pokładzie nie ma dwóch pozostałych, chyba żeby zostali w samochodzie.

- Cholera.

Ten dźwięk... Nadstawiłem uszu. Ale znowu wszystko ucichło. Stojąc na środku salonu, słyszałem buzowanie własnej krwi i bezmiar ciszy, jaka opanowała dom. Miałem nieprzepartą chęć, by otworzyć wszystkie okiennice i wpuścić światło.

I znowu go usłyszałem. Nieznacznym, odległym dźwiękiem. A jednak coraz bliższym. Coś jakby bzzzz-bzzzz... Jak brzęczenie wielkiego trzmiela. Silnik łodzi. Płynęła prosto w moim kierunku.

Pogasiłem wszystkie światła i pobiegłem do drzwi prowadzących na taras. Odsunąłem je i otworzyłem okiennicę. Wyjrzałem na zewnątrz. Rzeczywiście, na powierzchni morza zobaczyłem biały punkt. Płynął, przecinając fale i faktycznie zmierzał w stronę budynku. Cholera! Zamknąłem okiennicę, zapaliłem światło i rozejrzałem się wokół. W pośpiechu pozbierałem książki i skorupy rozbitego kubka walające się po podłodze. Jakiś ostrzejszy odłamek przeciął mi palec wskazujący: krew zaczęła kapać, brudząc wszystko dookoła. Zakląłem.

Brzęczenie silnika na zewnątrz stało się głośniejsze, następnie sternik zmienił bieg i zrozumiałem, że łódź zwalnia, wpływając do zatoczki.

Oszołomiony, rzuciłem się w stronę okna, które sforsowałem, wchodząc. Otworzyłem je i do pokoju wpadło powietrze. Przeskoczyłem przez parapet i znalazłem się na tarasie. Przymknąłem za sobą okiennicę. Popędziłem w stronę drzew. Wśród gałęzi znowu wył silny wiatr. Co tchu biegłem przez las, aż poczułem kolkę. Zatrzymałem się, oparłem dłonie na kolanach i szeroko otwartymi ustami łowiłem powietrze, a gdy odzyskałem oddech, już trochę wolniej ruszyłem do miejsca, w którym stał zodiak.

HALLOWEEN

Na widok opuszczającego prom ponadczasowego chevroleta el camino *deputy* Angel Flores wstawił puszkę jabłkowego briska w uchwyt deski rozdzielczej. To cudo - o ogromnej masce, małej dwuosobowej kabinie i olbrzymim nadwoziu pick-upa z tyłu - przypominało statek na kołach. Niestety już ich nie produkują, westchnął Flores.

Wyprostował się. Za kierownicą zobaczył Blayne'a Oatesa. Od razu go rozpoznał. Był sam. Gdzie, u diabła, podzieli się tamci dwaj? W gasnącym świetle dnia z promu wyjechało tylko dwadzieścia samochodów, prosto w deszcz, który ściekał po ich przednich szybach. Flores nigdzie nie zauważył Huntera i Starego. Cholera. Gdzie oni wsiąkli? Była dopiero czwarta po południu, ale w East Harbor już zaczęto zapalać światła. Niebo nad zatoką było czarne i wiatr szarpał flagami, wprawiając w drżenie nawet ich maszty. Ależ paskudna pogoda na Halloween, pomyślał Flores. Sięgnął po radio i połączył się bezpośrednio z Kruegerem.

- Blayne Oates przed chwilą wyjechał z promu. Sam.

- Możesz powtórzyć?

- Blayne jest sam. Jego ojca i brata nie było na pokładzie. Co mam robić?

- Do diabła, jedź za nim!

Zastępca szeryfa ruszył i wjechał w Main Street, w którą skręcił Chevrolet. Zauważył go bez trudu: wóz stał zaparkowany kilkanaście metrów dalej, przed Waterfront Tavern. Blayne właśnie go zamykał. Flores zobaczył, jak mężczyzna, nie rozglądając się, szybkim krokiem przecina chodnik i wchodzi do baru. Flores złapał krótkofalówkę.

- Wszedł do Waterfront. - Zawahał się. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, jest trochę za spokojny. Wygląda mi to na dywersję.

- Dzięki, Angel. - Krueger się rozłączył. - Hunter i Stary znaleźli inny sposób, żeby niepostrzeżenie dostać się na wyspę - oświadczył ponuro.

Platt już chwycił za telefon.

- Dzwonię do hrabstwa Whatcom. Muszą wiedzieć, czy Oatesowie nie mają gdzieś łodzi.

- W stanie Waszyngton jest ponad dwieście tysięcy zarejestrowanych jednostek, Chris, a oni równie dobrze mogli zarejestrować łódź na fałszywe nazwisko.

- Nigdy nic nie wiadomo.

- Tak czy owak jest za późno. Jeśli Blayne jest tutaj, to znaczy, że oni już przybili.

Deputy Ron Winslette wyskoczył na mokry od deszczu pomost na Cedar Island, gdy tymczasem jego współzałogant ostrożnie manewrował łodzią. Fale rozwścieczonego oceanu rozbijały się o skalisty brzeg i obmywały małą plażę, tak że jedna z trzech motorówek, jakimi dysponowała policja na Glass Island, była bliska wywrotki. Winslette skoczył ku schodom prowadzącym na taras, który biegł wokół domu i szybko go obszedł, sprawdzając możliwe wejścia, podobnie jak to zrobił tego ranka z tuzinem innych rezydencji. Gdy znalazł się po stronie lądu, nagle się zatrzymał. Jedna z okiennic była niedomknięta. Wyjął broń i powoli otworzył okiennicę. Szyba była wybita, a okno otwarte na oścież. Wrócił do pontonu.

- Rzuć cumy! Musimy przeszukać tę chałupę.

Położona na zachodzie Glass Island zatoka Seymour, nad którą wznosi się porośnięty lasem i zamglony masyw Mount Gardner, z niewielką plażą wciśniętą między dwa skaliste przylądki, nieustannie smaganą wiatrami albo tonącą we

mgle, chłopcom z wyspy kojarzy się z tajemnicą i przygodą. Bo w przeciwieństwie do wschodniego wybrzeża zachodnie pozostało niemal nietknięte, jeśli nie liczyć niewielkiej maryny Crescent Harbor całkiem na północy. Kiedy więc chłopcy (dziewczęta też, ale rzadziej) są w wieku, gdy nie pochłonęły ich jeszcze całkowicie komputery i konsole do gier, lubią się tu zapuszczać z głowami pełnymi historii o piratach, katastrofach, potworach morskich i wyspach skarbów. Gdyby jednak szukać ludzi mniej wrażliwych na te uroki wieku dojrzewania, byłiby nimi z pewnością Stary Oates i jego syn.

Stary znał te wody jak własną kieszeń i wiedział, że na prawo, tuż za pomostem, znajduje się bezpieczny pierścień, do którego może zacumować mako, nawet jeśli w tych czasach nikt już z niego nie korzystał. Jack Taggart czekał na nich na deszczu. Mokra jasna grzywka przykleiła mu się do okularów.

- Cześć, Jack - przywitał go Stary, stając na lądzie. - Ależ dzisiaj kiwa.

- Dzień dobry panu - powiedział Taggart, który do nikogo innego nie zwracał się per pan, ściskając potężną grabę mężczyzny. Była zimna i mokra od długiego trzymania steru, a mimo to uchwyt Starego był silniejszy. - Cześć, Hunter.

- Cześć.

Taggart był kumplem Darrella, nie jego. Hunter go nie lubił. Dla niego Jack z tymi blond włosami, różowymi policzkami i w okularach wyglądał nienormalnie, jak opóźniony nastolatek.

- Masz bryczkę? - zapytał Stary.

- Tak, czeka na was na parkingu. Odstawcie ją w to samo miejsce i włóżcie kluczyki do rury wydechowej.

- Wracaj do siebie. Nie widziałeś nas.

- Jasne.

Taggart pożegnał ich skinieniem głowy i zanurzył się w zapadający zmrok.

- Co za dupek - rzucił Hunter. - Nigdy nie rozumiałem, co Darrell w nim widzi.

Stary nie skomentował.

- Chłopak może się ukrywać na Cedar Island - odezwał *depu-* ty Ron Winslette w głośniku. - W każdym razie ktoś niedawno przebywał w jednym z domów na wyspie. W salonie znaleźliśmy też ślady krwi i zakrwawioną watę w koszu na śmieci w łazience. Krew była jeszcze świeża. Być może się skaleczył.

- Sprawdzajcie dalej domy na wyspie - rozkazał Krueger. - I bądźcie ostrożni. Nie sądzę, żeby miał broń, ale nigdy nic nie wiadomo. Na razie nie mogę wam wysłać posiłków, tyle się tutaj dzieje... Wszyscy są na stanowiskach, nie mam nikogo, Ron. Ale powiadomię Washington State Patrol.

- Zrozumiałem. Bez odbioru.

Krueger rozłączył się i spojrzał na Platta, który lekko mrugnął do niego à la Seymour Hoffman.

- Żyje.

Przeciągnąłem łódź przez wodę aż do miejsca, w którym fale głośno rozlewały się na piasku. Morze pokrywały białe grzebienie. Wiedziałem, że będzie kiwać. Zanim wyprowadziłem przyczepę z hangaru, sprawdziłem, czy w baku jest wystarczająco dużo paliwa. Teraz, przemoczony do suchej nitki, szczękałem zębami.

Wróciłem do domu i sięgnąłem po telefon stacjonarny w przedpokoju. Myślę, że trząsałem się nie tylko z zimna, ale też ze strachu. Bałem się tego, co usłyszę. Bałem się prawdy. Mój mózg wysyłał sygnały paniki do całego ciała, a dłoń na słuchawce nie przestawała drżeć.

Przypomniałem sobie, że Liv i France zawsze twierdziły, iż zerwały kontakt ze swoimi rodzinami ze względu na swój „niekonwencjonalny” styl życia, ale zaczynałem się zastanawiać, czy to też nie była ścierna. Po raz pierwszy patrzyłem na nie w inny sposób. Za każdym ich gestem i spojrzeniem doszukiwałem się ukrytych intencji, kłamstw, sekretów... Czyżby nasza komórka rodzinna także miała się

rozpaść? Czy na koniec nie zostanie już nic? Ale czy ona w ogóle istniała? A może to od początku była bujda? Iluzja? Fikcja, w którą każde z nas wносиło swój wkład, nigdy nie dając się całkowicie ponieść naiwności?

Kiedy wystukałem numer i usłyszałem sygnał, prawie chciało mi się wymiotować. Przybity i pusty w środku, wziąłem głęboki oddech, żeby nie zemdleć. Byłem taki zmęczony. Wreszcie sygnał się urwał.

- Halo? - odezwała się mama Liv.

Okolo piątej po południu na ulicach zaczęły się pojawiać dzieciaki. *Deputy* Angel Flores, siedząc za kierownicą, zauważył idące Main Street dwie grupki w towarzystwie wesołych rodziców. Stroje rodziców były dość konwencjonalne: jeden Jack Sparrow, jeden Lord Vader i dwie czarownice. W przeciwieństwie do nich przebrania dzieci nastęrczały Floresowi, który miał prawie czterdzieści lat, ale jeszcze nie został ojcem, większych trudności. Błyskawica na czole i okulary bez szkieł: to z pewnością Harry Potter, ale reszta?

Drzwi Waterfront Tavern otworzyły się i Flores spojrział w ich kierunku. Na schodach stała podświetlona dynia z powycinanymi otworami: na pewno była plastikowa, a światło sztuczne, bo przy tym wietrze świeczka by już zgasła. W drzwiach pojawił się jakiś dorosły w czarnej zimowej kurtce i zakrywającej całą głowę masce Chewbacki. Policjant usłyszał, że Chewbacca mówi coś do Vadera, kiedy ten go mijał, ale nie był w stanie rozróżnić słów. Rodzice wybuchnęli śmiechem, a fałszywy Chewbacca pożegnał ich i poszedł w swoją stronę.

Flores spojrział na zegarek: siedemnasta dwadzieścia. Blay- ne Oates siedział w środku już ponad godzinę. Chyba nadszedł czas, by się tam rozejrzeć. Wysiadł i w strugach deszczu pobiegł do pubu. Kiedy przekroczył próg, uderzyło go przytulne ciepło wnętrza i gwar rozmów. Flores omiół wzrokiem salę i jego puls przyśpieszył. Oatesa nie było ani tam, ani przy barze.

- Cześć, Angel - przywitał go barman.

Nie odpowiedział. Pędem wbiegł po schodach na małą antresolę, także wypełnioną po brzegi. Ale tutaj też nie było Oatesa. Flores poczuł, że ogarnia go panika. Zszedł na parter i skierował się ku toalecie. Przy umywalkach było pusto, ale jedna z kabin była zamknięta. Uderzył w drzwi.

- Blayne!

- Nie jestem Blayne! - obwieścił głos, który nie mógł należeć do tak młodego człowieka. - Jestem hrabia Drakula! - I za drzwiami rozległ się śmiech przypominający coś między atakiem astmy a burzeniem w brzuchu, zwieńczony odgłosem spuszczonej wody.

Angel Flores pomyślał o mężczyźnie w masce Chewbacki i czarnej kurtce. Kurtka, w której Blayne wszedł do pubu, była zielona. Ale miała ten sam rozmiar i krój... Była dwustronna! Ależ z niego idiota! Wyszedł, przebiegł przez salę i stanął na schodkach. Na ulicy zobaczył oddalających się rodziców z dziećmi. Ale Blayne Oates zniknął.

Na lotnisku w Los Angeles Noah podał taksówkarzowi adres: Nichols Canyon, kanion na północ od LA, który zaczyna się u wylotu Hollywood Boulevard i wije się wśród wzgórz poniżej Mulholland Drive. To średnia odległość jak na rozgałęzioną metropolię, której najdłuższa arteria ma ponad czternaście kilometrów długości, jednak szofer-Meksykanin, aby uniknąć wieczornych korków na północnym odcinku autostrady numer 405, pojechał przez La Cienega. Nie wyszło mu to na dobre, ponieważ utknęli w Baldwin Hills z powodu wypadku. Palmy, asfalt, korki, neony i smog: Witajcie w Los Angeles, pomyślał Noah, gdy tymczasem taksówkarz wściekał się i przeklinał na czym świat stoi.

- Wyjdź do ogrodu - powiedziałem zdecydowanym głosem - dom może być na podsłuchu. Oddzwoń do mnie na numer,

który się wyświetla.

- Henry? - zawołała mama Liv. - O Boże, ty żyjesz! Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej? Umierałyśmy ze zmartwienia!

Usłyszałem w jej głosie ogromną ulgę, ale czułem się zimny i obojętny, jakby oderwany.

- Mamo, wyjdź do ogrodu i oddzwoń z bezpiecznego telefonu na numer, który się wyświetla – powtórzyłem.

- O czym ty mówisz? Z jakiego telefonu? Nic nie rozumiem!

- Zrób to. Wiem, że go masz. Słyszałem kiedyś, sama to powiedziałaś, gdy z niego dzwoniłaś. Telefon na kartę. Czekam.

- Rozłączyłem się.

- Zgubiłem go! - oświadczył Flores.

- Co?

- Zgubiłem Blayne'a! Wyszedł z pubu w masce i rozmawiał na ulicy z jakimiś rodzicami, nie byłem dość czujny!

- No nie! - wkurzył się Krueger i rzucił słuchawką.

Zadzwonił do Nicka Scolnicka, którego wysłał z priorytetową misją obserwacji domu Henry'ego.

- Nick? Jak tam u ciebie? Wszystko dobrze?

- Nic do ogłoszenia - odparł brat Charliego.

Nick wysłuchał instrukcji i rozłączył się. Krueger był dziwnie zdenerwowany. Machinalnie rzucił okiem na dom, którego światła przebijały się przez ulewę, i włączył 92.9 KISM, rockowe radio z Bellingham, pasmo nadające dobrego klasycznego rocka w sosie z reklam i pogaduszek.

Wolałby dołączyć do Trish, która w tym czasie powinna być w pubie z przyjaciółkami, ubrana w superseksowny halloweenowy strój. Nie zdążył go jeszcze zobaczyć, ale wyobraził ją sobie w obcisłych szortach, gorsecie odsłaniającym połowę cycków i makijażu wampirzycy albo w barwach ochronnych; na samą myśl o tym jego penis w spodniach z niebieskiej serży stał się trochę twardszy, Niestety w to pieprzone Halloween Krueger zagonił wszystkich do roboty. Nie chodziło bynajmniej o ulice

pełne zombi i czarownic na wolności, o nie. Tego ranka zwolniono Oatesów, którzy byli wściekli na Henry'ego. Nick poczuł niepokój. Nie żeby nie maczał palców w sprawie przyjazdu Oatesów na wyspę. Stary jednak nie dał mu wyboru. Gdzie jest Henry? Nigdy za nim nie przepadał, ale, do cholery, ten dupek może być w śmiertelnym niebezpieczeństwie. A jego zaszary brat razem z nim. Mimo że Nick w rozmowie telefonicznej podkreślał: to nie Charlie zepchnął Darrella.

- Boże jedyny! - zawołał Augustine, słysząc płynący z głośników głos swojego syna.

„Zrób to. Wiem, że go masz...”

- Jay, to on! Żyje!

Jay milczał oparty o okno. Miał zmarszczone czoło i podkrążone oczy. Nie spał od dwudziestu czterech godzin i zaczynał się poddawać zmęczeniu. Próbował postawić się na miejscu szefa, zrozumieć, co on czuje w chwili, gdy po raz pierwszy słyszy głos syna. Jednak Jay, który nie miał dzieci i nigdy nie zamierzał zostać ojcem, miał z tym pewien problem.

„Słyszałem kiedyś, sama to powiedziałaś, gdy z niego dzwoniłaś. Telefon na kartę...”

Głos był smutny, ale zdecydowany. Dało się w nim wyczuć ogromne zmęczenie, ale też stanowczość. I chłód - zauważył Jay.

A potem połączenie się urwało.

W apartamencie przekształconym na stanowisko dowodzenia Grant podniósł na Jaya niepewny wzrok; wyglądał na głęboko poruszonego.

- Gdzie on jest? - zapytał. - Psiakrew, gdzie on jest?

Jay popatrzył na niego. Zaczynało go nosić, ciążył mu brak działania. Odbył całą tę długą podróż, żeby ratować jego syna, a teraz nie jest w stanie go chronić. Jeśli ci wieśniacy dopadną go

przed nimi, Henry'ego czeka śmierć, a oni pojedą na jego pogrzeb. Sytuacja stawała się niebezpieczna. Zaczynali tracić kontrolę.

- Jay — powiedział Grant. - Nie możemy stać z założonymi rękami. Musimy działać.

Szymański zmarszczył brwi i się zamyślił; był tak samo zmartwiony i niepewny jak jego szef. Z cichych głośników co jakiś czas dobiegały tylko wywołane zakłóceniami zgrzyty. Na obrazie z kamery w salonie zobaczyli, jak Liv wychodzi z domu.

- Cholera - wkurzył się młody geek. - Na zewnątrz nie ma mikrofonu. A przez tę burzę nie mamy tam drona, żeby filmować.

Jay zwrócił się do osiłków ubranych w czarne swetry, kamizelki z kevlaru i ciemne spodnie. Równie czarne magazynki i broń także były w pogotowiu, grzecznie ułożone obok siebie na ławie.

- Helikopter jest gotowy? - zapytał.

Jeden z mężczyzn twierdząco skinął głową.

- Lecimy! Na wyspie rozdzielimy się na dwie grupy: jedna pójdzie patrolować ulice East Harbor, druga obserwować dom Henry'ego i okolice. Ruchy! A jeśli spotkamy tych popaprańców, rozwalimy ich w drobny mak.

- *iCoño, que mariconada!* - zawołał meksykański kierowca na widok unieruchomionej rzeki żelastwa na La Cienega, gdy tymczasem na przeciwnym pasie samochody jadące z zapalonymi światłami od strony West Hollywood spokojnie zmierzały na południe. Odwrócił się do Noaha. - *Lo siento*, bez szans, *señor*. Śpieszy się pan? Bo nie wydostaniemy się szybko z tego pierdziel- nika.

- Niespecjalnie - odparł Noah, przyglądając się plakietce z Matką Boską z Gwadelupy na desce rozdzielczej. Ta sprawa czekała szesnaście lat, może więc zaczekać jeszcze dwie godziny.

Wyjął z torby kopertę, którą zwinął w domu Henry'ego. Jeszcze raz przeczytał warunki umowy, która była w środku:

Nie mam żadnego zamiaru ani pragnienia zostać uznanym za prawowitego rodzica któregokolwiek z dzieci poczętych dzięki mojemu nasieniu i zrzekam się wszelkich roszczeń, jakie mógłbym wnieść na podstawie mojego ojcostwa w odniesieniu do wszystkich dzieci poczętych dzięki mojemu nasieniu. Moje zrzeczenie pozostaje w mocy niezależnie od tego, czy próbki mojej spermy zostaną użyte przez kobietę zamężną czy nie, czy też zostaną wykorzystane do celów prowadzonych zgodnie z etyką badań, jak również niezależnie od kraju, w którym zostaną one wykorzystane.

Nieco dalej umowa zastrzegła:

Dawca spermy podpisujący umowę z posiadającym licencję lekarzem lub z licencjonowanym bankiem spermy w celu wykorzystania jego nasienia w ramach medycznie wspomaganego rozrodu przez kobietę niebędącą małżonką dawcy zostanie uznany przez prawo za osobę niebędącą naturalnym rodzicem poczętego w ten sposób dziecka.

Noah wyjął inną kartkę, która między innymi zawierała zapis, że dawca jest rasy białej, nie cierpi na drepanocytozę, chorobę Taya-Sachsa ani mukowiscydozę, że jest inteligentny, wysportowany i lubi wszelkiego rodzaju muzykę poza country i heavy metalem. Przyporządkowano mu numer 5025 EX.

Noah oddawał się rozmyśleniom, gdy w jego kieszeni zadzwonił telefon.

- Dobrze że zadałeś to pytanie - powiedział Jay.
- To znaczy?
- Długopis w kubku, wysłałeś mi jego zdjęcie.
- Ach tak?
- Miałeś rację. Skontaktowałem się z ATF...

ATF - komórka do spraw alkoholu, tytoniu, broni palnej i ładunków wybuchowych; Noah wiedział, że dysponuje ona bazą danych dotyczących ponad trzech tysięcy tuszów długopisowych: taki tusz wykonuje się z syntetycznego barwnika rozproszanego w rozpuszczalnikach i dodatkach, a jego składniki mogą zostać wyizolowane w drodze spektrometrii lub chromatografii.

- Według nich model długopisu i tusz do siebie pasują. Ale uwaga: ten tusz jest dość popularny, używa się go też w innych długopisach.

- Co dokładnie powiedział ten twój gość?

- Że zważywszy na okoliczności, jest osiemdziesiąt procent szans, że tusz pochodzi z tego długopisu.

- Sąd nie weźmie tego pod uwagę.

- A my, czy my weźmiemy, Noah? - odparował Jay. - Dobra robota.

- Powiesz o tym szefowi?

- Na razie nie... Poczekam, żeby zobaczyć, co znajdziesz w LA.

Kiedy Noah wsuwał telefon do kieszeni, ogarnęło go dziwne uczucie. Poczłówka. Już wie, kto ją napisał.

France wychodziła z siebie. Zastanawiała się, gdzie zniknęła Liv. Nagle uderzyła ją inna myśl: Henry żyje! Henry jest cały i zdrów! Powinno ją to pocieszyć, ale nie rozumiała, dlaczego po telefonie syna Liv wybiegła na zewnątrz. Na Boga, co się dzieje? A przede wszystkim dlaczego Liv nie wraca? France umierała ze strachu.

Za oknem deszcz wylewał się z rynien. Musiało przeraźliwie wiać. Nagle po raz pierwszy z tak wielką jasnością uświadomiła sobie, że ten dom stał się dla niej... wrogi. Od jak dawna miała to uczucie? Uczucie, że ziemia znowu usuwa im się spod nóg. Że ich mały świat wkrótce rozleci się na kawałki. To uczucie towarzyszyło jej już w przeszłości. W Los Angeles... Zrozumiała, że w ostatnim czasie, wraz z potworną śmiercią Naomi, oskarżeniami wysuwanymi przeciw Henry'emu, podejrzliwymi spojrzeniami mieszkańców East Harbor, kiedy robiła zakupy i niezyczliwymi pytaniami policji to miejsce, które było jej tak drogie, które tak lubiła, stopniowo stało się nie do zniesienia. Chciała już tylko jednego: wyjechać, tak jak już kiedyś zrobiły.

Uciec, jak uciekły z Los Angeles, dopóki nie jest za późno. Sądziły, że tutaj, w miejscu, gdzie nikt nie będzie ich szukał, wreszcie zazną spokoju. A jednak po raz kolejny znalazły się

na skraju przepaści.

Nagle w przedpokoju zamigotało jakieś światło i France za-
drżała. Z sercem tłukącym się jak u spłoszonego ptaka
rzuciła się do drzwi. Spodziewała się, że zobaczy Liv, ale
zamiast tego ujrzała przebrane dzieciaki domagające się
łupów. Halloween. Widziała ich otwierające się buzie, które
wydawały z siebie niesłyszalne dla niej okrzyki i na chwilę
zakreśliło jej się w głowie. Kilka metrów dalej, w alejce,
zauważyła uśmiechniętych rodziców w ubraniach
przeciwdeszczowych, którzy dyskretnie się jej uklonili, oraz
zaparkowany w ciemności radiowóz. Samochód s,tał tam od
wczesnego popołudnia. Strumienie deszczu lejące się z nieba
odbijały się od jego karoserii i od asfaltu. Obecność policji
sprawiła, że France poczuła się pewniej.

Cała ulica była zalana wodą. Wstążki z bibuły i chińskie lam-
piony porwane przez wichurę tańczyły na rozkołysanych gałę-
ziach, wszędzie fruwały martwe liście, wiatr wiał tak mocno, że
unosił jej blond włosy i smagał jej twarz. Wróciła do kredensu
po słodycze i wręczyła każdemu z dzieci po garści. Dzieciaki
podziękowały i pobiegły do stojącego sto metrów dalej sąsied-
niego domu. Zakapturzeni rodzice ostatni raz kiwnęli głowami
i ruszyli za nimi. France rzuciła jeszcze okiem na radiowóz i za-
mknęła drzwi.

Gdzie jest Liv? Przy najmniejszym podmuchu wiatru
gałęzie ocierały się o okna, odgrywając swój teatr cieni.

Jadąc La Cienega, ominęli przeszkodę z samochodów i
karetek pogotowia zaparkowanych na wysokości miejsca
wypadku. Zjechali na Rodeo Drive i pomknęli w kierunku
Beverly Hills i West Hollywood. Pomknąć to dużo
powiedziane, pomyślał Noah. Wskaźnik zatrzymał się na
prędkości piętnastu mil na godzinę.

Nagle Nick, który siedział za kierownicą radiowozu, zobaczył,
jak wszystkie światła domu po drugiej stronie ulicy

jednocześnie zgasły. Co to ma być? Włączył wycieraczki, by pozbyć się strużek wody ściekających po przedniej szybie. Budynek stojący nie więcej niż dziesięć metrów od niego po zgaszeniu świateł zmienił się w jednolitą ciemną bryłę. Psiakrew, co się dzieje? Awaria prądu spowodowana burzą? Często się zdarzało, że wichura zrywała przewody elektryczne. Kiedy jednak zerknął we wsteczne lusterko, przeszedł go nieprzyjemny dreszcz: wszystkie wille za nim były oświetlone. Niedobrze...

Zamierzał otworzyć drzwi, kiedy w lusterku zobaczył dwa ruchome cienie, które wynurzyły się z krzaków. Skrajem ulicy podbiegły do samochodu. Zanim podjął decyzję, jak się zachować, zobaczył masywną twarz pochylającą się ku niemu po drugiej stronie szyby. Twarz o wąskich, zaciśniętych wargach i oczach grzechotnika. Postać delikatnie zastukała palcem w szybę i Nick poczuł, że żołądek podchodzi mu do góry. Otworzył drzwi od swojej strony.

- Co tu robicie? - rzucił przez zaciśnięte gardło.

- Dobry wieczór, Nick, jak leci? - przywitał go Stary.

Kiedy zgasły światła, France przez ułamek sekundy wydawało się, że oślepla. Potem, gdy za balkonowymi drzwiami zobaczyła szarą poświatę, zrozumiała: nie ma prądu. Nie pierwszy raz. To oczywiście przez tę wichurę. Wiatr musiał złamać jakieś drzewo, które spadło na przewody, albo przewrócić słup. Poczula, że ogarnia ją irracjonalny lęk. Liv nie ma, a do tego ta awaria! Co za chaos! Poprzedniej nocy nie spała i ze zmęczenia trzęsły jej się ręce. Niepewnie podeszła do lady recepcji znajdującej się na prawo od drzwi. Sięgnęła za nią i po omacku wśród papierów, długopisów, ołówków i pieczętek szukała latarki i świeczek, które powinny tam być, ale ich nie znalazła. Zadrżała. Przecież była pewna, że tam są. No, prawie pewna - France należała do osób, u których łatwo było wzbudzić wątpliwości.

Wyszła na ganek i spojrzała przed siebie przez zasłone wody spływającej z daszku nad drzwiami. Woda spadała pionowo tuż przed nią i France poczuła się, jakby stała za wodospadem.

Rynna musiała się zapchać liśćmi. Popatrzyła w kierunku radiowozu. Ciągle tam stał. Zauważyła, że mężczyzna za kierownicą ją obserwuje. Zmrużywszy oczy, rozpoznała Nicka, brata Charliego.

Znowu chciała wyjść na poszukiwania Liv, ale jej pantofle natchmiast ugrzęzły w błotnistym strumyku spływającym żwirową alejką. Rozmyśliła się i schroniła się w środku. Pograżony w ciemnościach dom robił na niej teraz nieprzyjemne wrażenie, nic konkretnego, miała jednak to samo niewyraźne poczucie zagrożenia, którego doświadczyła przed chwilą. Przeszedł ją dreszcz. Zauważyła, że jest spocona pod pachami i zaschło jej w gardle. Gdzie jest Liv? Kiedy obracała się za siebie, strumień białego, oślepiającego światła latarni musnął jej kark, rzucając jej cień na ścianę, którą miała przed sobą, i na chwilę wydobył z ciemności resztę pokoju, po czym zniknął. France gwałtownie zadygotała. Na ułamek sekundy na ścianie obok jej cienia ukazał się drugi cień. Serce podskoczyło jej tak wysoko, że wydawało jej się, iż mogłaby je wypluć na dłoń. Zastygła w bezruchu. Jej ciało przebiegały zimne dreszcze. Miała gęsią skórkę.

Kiedy się odwróciła, za drzwiami balkonowymi nikogo nie dostrzegła. Ale nie wydawało jej się - tam ktoś stał. Bardzo by chciała, żeby to była Liv, ale wiedziała, że to nieprawda. Ten ktoś był znacznie wyższy.

Policjant? Ale policjant użyłby latarki i zapukał, żeby poinformować o swojej obecności.

Henry? Henry też wszedłby od frontu...

Chciałaby móc wsłuchać się w odgłosy domu, ale dla niej wszędzie panowała totalna cisza, świat był beznadziejnie milczący. Chciałaby krzyżeć, ale potrafiła wydawać z siebie tylko śmieszne piski. A teraz, pośród tych gęstych ciemności, pełnych mrocznych zakamarków, na domiar wszystkiego jeszcze nie widziała - albo widziała tak niewiele. Pozbawiona zmysłów, poczuła się jeszcze bardziej wystawiona na atak.

Rzuciła się ku drzwiom wejściowym, by pobiec do samochodu Nicka. Chwyciła za klamkę. Obróciła ją... Nic! Drzwi były zamknięte! Ekspłodował w niej strach, nieporównanie potęż-

niejszy niż ten, który czuła wcześniej. Po omacku szukała klucza w zamku, ale klucza też nie było! Zaczęła wściekle walić w witraże okalające drzwi, otworzyła usta i wydała z nich niemy krzyk, ale w hałasie, który musiał panować na zewnątrz, nikt by jej nie usłyszał. Poczowała na karku muśnięcie wilgotnego powietrza. Odwróciła się.

Drzwi balkonowe były otwarte na oścież! Uderzały o ścianę, miotane wiatrem, który wpadał do pokoju i targał firankami, a one tańczyły jak dwa duchy. Spanikowana i oszołomiona France wbiegła na korytarz prowadzący do gabinetu Liv. Liv trzymała w szufladzie pistolet. Miała zezwolenie na broń i w przeciwieństwie do niej raz w tygodniu trenowała strzelanie do celów, które musiały przypominać ten złowrogi cień, który zauważyła na ścianie. Korytarz przypominał ciemny tunel. Ruszyła nim roztrzęsiona, obawiając się, że w każdej chwili cień może się na nią rzucić. Wpadła do pokoju, ale cofnęła się gwałtownie, jakby się zderzyła z niewidzialną ścianą.

Liv tam była - nie siedziała jednak w fotelu za biurkiem, ale stała na zewnątrz z twarzą przyklejoną do szyby. Stała - to może nie jest najwłaściwsze słowo. Miała ręce uniesione do góry na kształt mocno rozwartej litery V, ciało zaklinowane w dolnych gałęziach jarzębiny. Kiedy gałęzie się kołysały, ona poruszała się wraz z nimi. France poczuła mdłości. Jej mózg walczył z tym, co widziała. Liv. Z głową odrzuconą do tyłu, jakby chciała zobaczyć księżyc albo czubek drzewa. Deszcz kapiący z gałęzi spływał do jej szeroko otwartych oczu i czarnego otworu ust, z którego wystawał koniuszek języka. Jej przerażający cień zlewał się z cieniem krzewu i oba, przez pokój, padały na fotel i biurko. Jej szyja była jedną wielką otwartą raną, półokrągłą jak szalony uśmiech gigantycznego emotikona.

Miała poderżnięte gardło. France omal nie zwymiotowała. Chwiejnym krokiem wycofała się na korytarz. Wydawało jej się, że spada do głębokiej, ciemnej studni. Jednocześnie jej jelita zaczęły się buntować i poczuła zupełnie niestosowną potrzebę pójścia do toalety. Potknęła się po drodze i zgubiła pantofel.

Rzucając się ku schodom, natrafiła na jakąś przeszkodę, poleciała do przodu i z całej siły uderzyła głową w dębową kulę na końcu poręczy. Ogłuszona usiadła zgięta wpół na pierwszych stopniach schodów, podniosła rękę do twarzy i poczuła we włosach coś mokrego. Potwornie bolały ją palce prawej nogi, tej bez pantofla, która zderzyła się z przeszkodą. Snop światła latarni znowu wpadł do salonu i między szczelami poręczy zobaczyła, na co wpadła w ciemności: pośrodku korytarza stał taboret. Nie było go tu wcześniej...

Łkając, z oczami pełnymi łez, opierając dłonie na kolanach, gorączkowo ruszyła na górę. Bolał ją prawy nadgarstek. Zwichnięła go, upadając. Czuła też ból w klatce piersiowej, jakby jej serce miało się zatrzymać. Dotarła na piętro. Dalszą drogę przebyła na czworakach, nie ośmielając się wstać: idąc w ten sposób, czuła się bezpieczniej. To kompletnie idiotyczne, ale jakaś niewidzialna siła kazała jej się czołgać, rozpląszyć przy samej ziemi, sprawiała, że miała ochotę zniknąć. Strumień światła latarni wpadł przez okienka przy schodach i France zobaczyła gzymsy sufitu, rząd drzwi, stare fotografie zdobiące ściany. Pośród natłoku chaotycznych myśli kłębiących się w jej głowie uświadomiła sobie, że czuje się jak zwierzątko osaczone przez drapieznika.

Jej celem była mała oddzielna łazienka na końcu apartamentu Belvédère. Drzwi apartamentu były otwarte. Wewnątrz panował szary półmrok. Prawie na chybił trafił przeczołgała się przez salon, a potem przez sypialnię, przesuwając się wzdłuż dużego łóżka, na którym piętrzyły się poduszki, między kominkiem a stolikiem telewizyjnym prześliznęła się w stronę łazienki i wreszcie wstała. Zamknęła drzwi na klucz.

Rozdygotana, drżąc od stóp do głów, powoli odzyskała dech w piersi. Czuła się w tym domu obca i zagrożona jak Tezeusz w labiryncie Minotaura, ale teraz, zamknięta w maleńkiej łazience, miała wrażenie, że jest trochę bardziej bezpieczna. Gdyby człowiek, który jest w domu, chciał ją dopaść (o tak, chce tego!), będzie musiał sforsować drzwi, a wtedy policja, która jest tutaj, by ją chronić (i która nie uczyniła nic, by

zapobiec straszliwej śmierci Liv - dodał przewrotnie głosik w jej głowie) z pewnością usłyszy hałas i przybiegnie.

Chwyła telefon komórkowy, zastanawiając się, czy ten koszmar - bo to był koszmar - nie ma swojego źródła w zdarzeniach z Los Angeles, czy nie płacą teraz za to, że wtedy uciekły, zamiast stawić czoło policji i opiece społecznej. Jej strach się nie zmniejszył. Schowana za tymi drzwiami utrzymywała go tylko na dystans jak treser uzbrojony w bat. I wtedy zrozumiała swój błąd. Czknęła z przerażenia, gdy uświadomiła sobie, że za jej plecami ktoś stoi... Oczywiście niczego nie usłyszała, jednak postać lekko się poruszyła i wśród tańczących na drzwiach cieni France ujrzała jakiś inny cień. Otworzyła usta i struchlała odwróciła się za siebie w chwili, gdy snop światła latarni wpadł do środka przez matową szybę i twarz napastnika wyłoniła się z ciemności. Tuż obok. Zbyt blisko. Jej rysy były widoczne jak w biały dzień. Szok sprawił, że France się zachwiała. Wydała z siebie niemy krzyk. Czują, jakby jej mózg rozpadał się na kawałki.

Odrzuciło ją do tyłu i uderzyła głową w zamknięte drzwi, ale w tej chwili ból był zaledwie błyskawicą pośród wszechogarniającej burzy i kobieta wytrzeszczyła szeroko otwarte oczy. W ułamku sekundy spłynęło na nią absolutne, całkowite zrozumienie. I zgodziła się na to, co miało nastąpić, tak jak przyjmowała wszystkie zdarzenia w swoim życiu, dobre i złe.

Stary przekręcił klamkę.

- Zamknięte. Idźcie naokoło.

Hunter i Blayne zniknęli za rogiem. Stary próbował zajrzeć przez grube witraże okalające drzwi, ale w środku panowały ciemności. A przecież okna pozostałych domów były jasne. Dziwne...

Chwilę później wrócił Hunter.

- Coś się stało, drzwi balkonowe są otwarte na oścież i nikt nie odpowiada.

Ruszyli przez ogród. Obeszli wystające części i wzmocnienia budynku, minęli omszałą dobudówkę i przemknęli pod altaną,

usłaną szeleszczącymi suchymi liśćmi, zanurzyli się w złowieszczym cieniu domu i wspięli na cedrowy taras, który wznosił się nad zboczem, sięgając pomostu. Weszli do cichego, ciemnego salonu, gdzie czekał już na nich Blayne.

Panująca w środku cisza nic szczególnego staremu Oatesowi nie mówiła. Położył rękę na ramieniu syna.

- Czujesz to?

- Benzyna - szepnął Hunter.

Rzeczywiście, benzyna. Jej opary unosiły się w powietrzu i szczypały w nozdrzach, mimo wiatru, który wpadał do pokoju. I nagle dostrzegli tańczący blask, który oświetlał ściany korytarza - żółty z pomarańczowymi nutami - oraz grubą warstwę dymu snującą się pod sufitem.

- O cholera!

- A to co za syf? - pisnął Blayne.

- Spadamy - postanowił Stary.

Wyszli tą samą drogą, zbiegli po schodach. Okrążali dom, gdy rozległy się dwie eksplozje, a po nich wycie, które Stary rozpoznałby wśród tysiąca innych odgłosów. Na widok lufy pistoletu automatycznego, który wypluwał języki ognia na odległość dziesięciu metrów, bez zastanowienia dał nura w trawę.

- Aaaa - zaklął Blayne, złapał się za nogę i zwałił na ziemię.

Stary przeturlał się za omszałą skałę i odpowiedział ogniem.

Natychmiast rozległy się krótkie serie z kilku karabinków i szczyt skały eksplodował, a na głowę Starego posypał się deszcz odłamków granitu. Usłyszał kolejne strzały z odpowiednio ustawionej broni automatycznej i niezliczone uderzenia pocisków lądujących w grząskiej ziemi wokół niego, a także trzask pni i gałązek, które grad ołowiu ciął na drzazgi. Kurwa, co to ma być? W każdym razie na pewno nie służby szeryfa. Ci goście mieli siłę rażenia oddziału komandosów. Niech go diabli, jeśli wie, skąd się tu wzięli.

- Blayne, wszystko okay?

- Dostałem w nogę.

Stary pokręcił głową. Blayne skamlał jak chore szczenię. Co on zrobił, że los pokarał go takim potomstwem? W powietrzu

dały się słyszeć liczne trzaski szyb wypadających z okien pod wpływem ciepła i płomień strzeliły w deszczową noc, a za nimi z domu zaczął się wydobywać czarny, oleisty dym i unoszące się na wietrze snopy żaru. Korzystając z zamieszania wywołanego tym pokazem pirotechniki, Stary zamierzał przyjrzeć się napastnikom, kiedy nagle usłyszał jakieś brzęczenie. Podniósł oczy i zobaczył coś, co przypominało olbrzymią wiszącą nieruchomo ważkę. Ledwie sobie uświadomił, że ten wielki robił to w rzeczywistości mała maszyna latająca, kiedy rozległa się kolejna seria strzałów, koszmarna lawina pocisków, kanonada świstów i następujących po nich odgłosów uderzeń, przeplatana metalicznym brzękiem łusek. Trwało to całą wieczność.

- Kurwa, przestańcie strzelać! - zawołał. Mimo że cholerny grad ustał, jeszcze świstało mu w uszach. - Okay! Poddajemy się!

- Rzućcie broń i wyjdźcie z rękami do góry, na widoku! Żadnych numerów!

- Okay, zrozumieliśmy, wychodzimy! Ale opuśćcie flinty, cholera, to nie jest jakiś pieprzony Irak!

A oni nie są członkami jakiegoś latynoskiego gangu, pomyślał Stary, wychodząc z kryjówek i pokazując, jak tylko mógł najwyraźniej, że ma puste ręce. Ci dranie to zaprawieni w boju zawodowcy. Nic więcej nie mówili. Nie ubliżali Oatesom. Nie zgrywali waśniaków. Byli zimni i pozbawieni sentymentów, jak ich broń. Patrząc na zbliżających się facetów w czerni, Stary zmarszczył brwi. Oatesowie znaleźli się w prawdziwych tarapatkach.

LOS ANGELES

Wpatrywałem się w światła East Harbor na horyzoncie. Ocean - na którego powierzchni piętrzyły się półtorametrowe fale - sprzysięgł się przeciwko mnie. Potoki wody lejące się z nieba sprzysięgły się przeciwko mnie. Burzliwa noc sprzysięgła się przeciwko mnie. Moja złość, mój żal, mój bezgraniczny smutek sprzysięgły się przeciwko mnie. Gdy z sercem w kompletnej rozsypce płynąłem na pokładzie zodiaka do East Harbor, przeciwko mnie był cały wszechświat.

Liv o wszystkim mi opowiedziała. Bezbarwnym, grobowym, niemal nieobecnym głosem, jakiego nigdy u niej nie słyszałem. Głędziła jak stara baba, która ma przymus powtarzania: „Przebac mi, przebac mi, przebac mi, przebac mi...” - i tak w nieskończoność. A potem zrzuciła ciężar, który leżał jej na sercu. To ona - nikt inny - zabiła Naomi. Okoliczności, w jakich to się wydarzyło, pozostawały dość mroczne, mimo jej wyjaśnień przerywanych płaczem i błaganiami o wybaczenie (pierwszy raz w życiu słyszałem, by Liv kogoś błagała). Tamtego wieczoru, gdy pokłóciłem się z Naomi na promie, umówiła się z jej matką na wyspie, za Apodaca Mountain, w części wybrzeża, która zimą jest zupełnie opustoszała. Odkryła, że to matka Naomi je szantażuje. I sprawy przybrały pechowy obrót...

- W jaki sposób do tego doszłaś? - zapytałem, targany gwałtownymi, sprzecznymi uczuciami: gniewu, zaskoczenia, nienawiści, niedowierzania, zdruzgotania, buntu i przerażenia.

- Ten człowiek, którego widziałeś ze mną w barze...

- Detektyw?

- Tak. Przeprowadził śledztwo. Miał kontakty w kasynie, w którym pracowała matka Naomi. Zauważył, że duża część

ofiar to byli zadłużeni klienci kasyna.

- Ty też?

- Tak.

Wyczułem z jej głosu, że nie chce o tym mówić. Pozwoliłem, by wyrzuciła z siebie resztę.

- Pozostali należeli do tego hmm... do tego klubu Natea Hardinga, wiesz, co mam na myśli. Odległość od ich domu do starego kościoła, jeśli iść przez las, to mniej niż kilometr, Henry. Musiała o tym słyszeć. Potem wystarczyło tylko, żeby spisała numery samochodów w te wieczory, gdy odbywały się spotkania. A może nakryła ich, zaglądając przez okno. Frank - (przypomniałem sobie, że tak miał na imię detektyw) - wiele razy ją śledził.

Pomyślałem o filmiku, który był w posiadaniu Darrella. Zawałałem się, nim zadałem kolejne pytanie:

- A Naomi?

Odpowiedź była bardzo długa:

- Henry, bardzo mi przykro, ale niektóre informacje na twój temat matka Naomi musiała uzyskać od niej samej. Nie widzę innego wytłumaczenia. Nie wiem, może Naomi nie wiedziała, co matka z nimi robi. Nie mam pojęcia, jak jej się to udało, w każdym razie w końcu trafiła na ślad twojego ojca. I zaczęła nas szantażować.

Pomyślałem o France grzebiącej w środku nocy w śmietniku w East Harbor. Czuję się tak bardzo przybity, taki biedny, że o mało się nie rozłączyłem.

- Co się wydarzyło tamtego wieczoru?

Między kobietami doszło do ostrej wymiany argumentów. Najpierw słownych. Potem napięcie wzrosło i zaczęły się bić.

I w pewnej chwili (nigdy jej nie zapomnę, Henry) matka Naomi upadła do tyłu między skały. Zdaniem Liv to był wypadek. Wpadła w panikę na widok nieruchomego ciała i krwi i pobiegła do samochodu. I wtedy - dokładnie w momencie, gdy Liv ruszała - z ich wozu wyskoczyła Naomi. (Kiedy mi o tym powiedziała, pomyślałem, że matka na pewno odebrała Naomi po zejściu z promu: wyszło na to, że wszystkie nasze domysły na temat tego, co zdarzyło się na

pokładzie, były nietrafione). - Rzuciła się w poprzek jej drogi. Liv spanikowała i jechała prosto na nią (o ja pierdole, pomyślałem), przekonana - tak przynajmniej powiedziała - że Naomi się odsunie. Uderzenie było bardzo silne. Czy to była prawda? O tym niech zdecyduje sąd, pomyślałem zimno. Jakkolwiek było, musiała ukryć zwłoki wśród skał. Zabrała klucze od ich domu i samochodu. Zaparkowała ich auto wśród drzew za mobilnym domem i weszła do środka, gdzie znalazła pieniądze: wiedziała, że idąc ich tropem, policja mogłaby dotrzeć do niej i France. Wróciła pieszo i schowała pieniądze w bagażniku. Nie była jeszcze zdecydowana, co z nimi zrobić - spalić czy wydać.

Pojechała do domu i zaczęła, aż mama France zaśnie; mama France co wieczór zażywa tabletkę nasenną. Postanowiła dotrzeć do ciał łódką i wtedy przyszło jej do głowy, żeby zostawić zwłoki Naomi na Agatę Beach zawinięte w sieć rybacką, która od niepamiętnych czasów wałała się w naszym hangarze, a wcześniej przeciągnąć je po skałach, by zatrzeć ślady zderzenia z samochodem. („Pomysł wydał mi się wtedy dobry, ale kiedy sieć utknęła wśród skał, o mało nie spalił na panewce”). Zwłoki matki Naomi zamierzała po prostu wrzucić do morza. Ale ku jej wielkiemu zdziwieniu woda już je zabrała. Przez wiele dni z niepokojem czekała, czy nie wypłyną, ale morze jakby je połknęło. Na pewno w końcu gdzieś je wyrzuci.

A może nie. Tutejsze morze ma swoje tajemnice. Między cieśniną Desolation na północy a Olympią na południu istnieją tysiące wysp, odnóg, cieśnin, zatok, kanałów zachodzących na siebie i tworzących niesłychanie złożony system. A na otwartym Pacyfiku... Jeśli chcecie się pozbyć jakichś zwłok, radzę przyjechać do nas.

Na tę myśl parsknąłem szalonym, slczekliwym śmiechem, a w oczach stanęły mi łzy. Prawą ręką trzymałem wibrującą manetkę silnika. Zamierzałem wssystko opowiedzieć szeryfowi. Poinformowałem o tym mamę Liv.

- Gdyby postanowili, że wsadzą cię do więzienia, sama bym to zrobiła - odpowiedziała przygaszonym głosem.

Nie wiem, czyjej wierzyłem. Wcześniej pomyślałbym, że robiła

to wszystko, by nas chronić. France i mnie. Jak wilczyca chroni swoje młode. Teraz zacząłem sobie uświadamiać, jak bardzo kochając ją, zarazem jej nienawidzę. Odnosiło się to także do France, której pobłażliwość mogła się równać tylko jej słabości i uległości wobec tyranii Liv. Dlaczego musiałem wpaść w ich ręce? Spośród wszystkich rodzin, które mogły mnie przyjąć, musiały mi przyspaść w udziale akurat te dwie neurotyczki.

- Nienawidzę was! - krzyknąłem.

Odpowiedział mi tylko wiatr. Byłem już blisko Glass Island, gdy pośród nocy, przy brzegu na północ od East Harbor zobaczyłem wielki blask.

Była to pulsująca pomarańczowa luna, a nad nią unosił się gęsty słup dymu - za dnia na pewno byłby czarny, ale na tle nocnego nieba wyglądał na nieco jaśniejszy. Blask odbijał się od chmur, wśród których dym się rozpraszał.

Myślałem, że wpadam w obłąd. To płonął mój dom!

Natychmiast zmieniłem kurs. Skierowałem dziób zodiaka na nasz pomost. Pomknąłem po falach. Kiedy rozpaczliwie powoli, skokami, zbliżałem się do brzegu, obok blasku pożaru pojawiły się inne światła, czerwone i niebieskie.

Coraz wyraźniej widziałem dom i długie płomienie sięgające dachu. Z okien wydobywały się kłęby dymu i iskry żaru. Strażacy byli już na miejscu. Z pokładu łodzi mogłem dostrzec jasne strumienie tryskające z węży. Część wody od razu zmieniała się w parę. Dom był z drewna. Do rana zostanie z niego kupka zgłiszczy.

Nie przejmując się losami zodiaka, wyskoczyłem na pomost. Na śliskich schodach upadłem jak długi, wstałem i ruszyłem dalej, pokonując po dwa stopnie i wiele razy się potykając. Wołałem coś w stylu: „Mamo, mamo!” - prawdę mówiąc, nie bardzo już pamiętam. To była dziwna noc i wszyscy byli trochę odklejeni, trochę obok, jak drużyna futbolowa, która dostaje wciry. Gliny, strażacy, gapie - wszyscy się krzątali, ale patrząc na całość, miało się wrażenie, że porażka jest przesądzona.

Okrążyłem dom, a raczej to, co z niego zostało, wbiegając pomiędzy strażaków w kaskach, którzy nie zwracając na mnie uwagi, ganiali tam i z powrotem. W blasku potężnego pożaru wszyscy staliśmy się ruchomymi cieniami; przechodziłem przez grube węże wijące się w trawie niczym pytony, brodziłem w błocie, które śmierdziało mokrym popiołem.

Na deszczu syczały jeszcze gorące belki. W innych miejscach ogień się wzmagał, huczał, strzelał, oddychał. Wyglądał jak żywy, szukał sobie ujścia. Sprawiał wrażenie, jakby prowadził metodyczną walkę przeciw wysiłkom strażaków i kolumnom wody wycelowanym w niego z sikawek. Starcie dwóch armii...

Kolejnym doznaniem był zgiełk - albo raczej otaczająca mnie gęsta dźwiękowa tkanka, złożona z wysokich i niskich tonów: krzyków, nawoływań, odgłosu zwijaków na kółkach skrzypiących w błocie, przeszywającego wycia syren, skwierczenia płomieni, świstu pary, szumu wodospadów lejących się z węży. Pośród całej tej wrzawy czułem się dziwnie samotny, jakbym wszedł do filmu, przebiwszy się przez kinowy ekran. Rozglądałem się za moimi mamami. Biegałem wte i wewte w poszukiwaniu jakiejś karetki pogotowia, noszy, złotego blasku folii życia.

Rzuciłem się przed siebie i w twarz uderzył mnie do bólu rażący niebiesko-czerwony pożar kogutów. Otworzyłem usta i zamrugąłem oczami jak sowa. Czyjeś ręce chwyciły mnie i odciągnęły do tyłu, wykręcając mi ramiona.

- Na kolana - ryknął głos za moimi plecami. - Na kolana!

Zmuszono mnie do ukłęknięcia w mokrej trawie, usłyszałem odczytywane na głos prawa Mirandy, a wokół moich nadgarstków zatrzasnęły się metalowe kajdanki. I wtedy rozległ się głos szeryfa Kruegera:

- Co wy, do cholery, robicie? Zwariowaliście czy co? Zdejmijcie mu te pieprzone kajdanki! - Chwycił mnie pod ramię i delikatnie podniósł. - Henry! Skąd ty się tu, na Boga, wzięłeś?

- Z... z morza - odpowiedziałem głupkowato, jakbym był jakąś cholerną syreną.

- Co?

- Schowałem się na Cedar Island, szefie... Ukradłem zodiaka i... zobaczyłem pożar.

Spojrzał na mnie oszołomiony. Próbował zrozumieć albo zastanawiał się, co mi odpowiedzieć. Uprzedziłem go.

- Moje mamy... gdzie one są?

Jego wzrok wszystko mi powiedział.

- Henry... Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro.

- Co się stało?! - krzyknąłem.

Stojąc dobre dziesięć metrów od domu, czułem bijące od niego ciepło. Wkrótce nic po nim nie pozostanie. Krueger wskazał na ogień. Wszędzie unosił się popiół i skry żaru. W powietrzu czuć było jakąś cierpką woń.

I wtedy z własnej woli padłem na kolana. Wzniosłem oczy ku niebu - ku sklepieniu z chmur, pod którym niczym tysiące świetlików tańczyły niesione wiatrem iskry.

Pragnąłem odpoczynku,

snu,

śmierci.

Moje myśli były jak bezimienny chaos.

Mój mózg płonął.

Zawołałem:

**- NIE MAM JUŻ NIC! NIKOGO! STRACIŁEM WSZYSTKO!
ONE WSZYSTKIE NIE ŻYJĄ, ROZUMIE PAN?**

I chyba w tej chwili cały świat wywrócił się do góry nogami. A potem zemdlałem.

Kiedy taksówkarz wreszcie go wysadził w Los Angeles, Noah spojrzął na biały dom z czerwonym dachem, który stał na ciasnym zakręcie Nichols Canyon Road. Na skraju szosy zobaczył okrągłe lustro dla samochodów, które zjeżdżały z Mulholland Drive. Dom wznosił się przy drodze, schowany za drzewami, na końcu podjazdu dla samochodów, w otoczeniu stromych pagórków, dolin i zarośli, w których z pewnością pojawiały się kojoty, jaszczurki i węże.

Brama była otwarta. Jako że nie było dzwonka, Noah doszedł po stromym podejździe do trzech stopni prowadzących na ga-

nek, na prawo od garażu.

Facet, który mu otworzył, miał na sobie niebieskie dżinsy i długą koszulę wyłożoną na spodnie. Noah rozpoznał mężczyznę, którego widział na zdjęciach w Internecie ze szpakowatą bródką i gęstymi czarnymi brwiami.

- Jeremy Hollyfield?

- A kto pyta? - odparł mężczyzna, ostrożnie spoglądając na jego torbę.

Noah pokazał mu legitymację prywatnego detektywa.

- Nazywam się Noah Reynolds. Nagrałem się na sekretarkę. Chciałbym panu zadać kilka pytań w związku z Ośrodkiem Wspomagania Rozrodu w Santa Monica, panie Hollyfield.

Mężczyzna zmrużył oczy.

- Nieistniejącym ośrodkiem - poprawił go. - Splajtował w dwa tysiące trzecim. Dlaczego miałbym odpowiadać na pańskie pytania?

- Dlatego, że przyjechałem z Seattle, żeby je panu zadać.

- Tutaj jest Los Angeles, ziomal. Tutaj nie otwiera się drzwi byle komu - odparował Hollyfield.

- W takim razie dlatego, że mój klient jest bogaty, pan tonie w długach, a jeżeli informacje nas zainteresują, czeka na pana sowita nagroda.

Jeremy M. Hollyfield obejrzał kartkę, którą podał mu Noah. Siedział w czerwonym fotelu na połączonych nogach, który mógłby należeć do Barbry Streisand albo do jakiegoś rapera. Noah zauważył, że w salonie dominuje złoto, lamparcie skóry, barok i męskie akty.

- Ośrodek Wspomagania Rozrodu w Santa Monica - powiedział Hollyfield rozmarzony. - Mój najpiękniejszy projekt.

Huśtał pantoflem na gołej stopie. Według informacji, jakie Noah znalazł w Internecie, przed piętnastu laty Hollyfield stworzył bank nasienia w oczywistym celu wzbogacenia się, bynajmniej nie pomocy społeczeństwu, zważywszy na kolejne próby - niezmiennie bezowocne - jakie podejmował, by zbić fortunę.

- Co poszło nie tak? - zapytał Noah.

Odpowiedź niewiele go obchodziła, ale chciał skłonić mężczyznę do zwierzeń. Zobaczył, jak jego twarz się zachmurzyła.

- Przyczepili się do nas z powodu, eee... problemu medycznego u jednego z noworodków. Powiedzmy, że eee... przyczyną tego problemu był nasz dawca, rozumie pan? Mimo że przeszedł wszystkie możliwe testy. - Bawił się dużym sygnetem, a potem obrączką na prawym kciuku. - Ale problem pojawił się, hm hm, później. A dawca o nim nie powiedział.

- Jak to?

- Cóż, złapał tę chorobę w okresie między zapisaniem się do nas a oddaniem nasienia, które pozwoliło na poczęcie dziecka.

- Chce pan powiedzieć, że nie przechodził badań przed każdym oddaniem? - zapytał zszokowany Noah.

Zobaczył, że Hollyfield zmarszczył twarz.

- Przegraliśmy proces. To był początek końca. Klinika nigdy się nie podniosła. Czyli interesuje pana tożsamość dawcy 5025 EX, tak?

Noah popatrzył na wystrzępioną wykładzinę, na mokre plamy na suficie. Potwierdzały to, co znalazł, surfując po Internecie: Jeremy M. Hollyfield był bankrutem.

- Tak. Zachował pan archiwa?

Hollyfield skinął głową. Z oczami, które zwęziły się nagle jak dwie szparki, przypominał wielką ropuchę. Noah zrozumiał, że mężczyzna kalkuluje, co może wyciągnąć od swojego gościa.

- Nie wierzę własnym uszom - powiedział nagle. - Siedzę tu z panem, ale nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałem. Prosi mnie pan, żebym ujawnił tożsamość dawcy 5025 EX, tak? Wie pan, że to, o co mnie pan prosi, jest nielegalne?

Ajajaj, pomyślał Noah. A to ci dopiero! Uśmiechnął się najprzyjaźniej jak tylko potrafił, zważywszy na niechęć, jaką budził w nim ten osobnik.

- Doskonale o tym wiem.

- A zatem nie mogę spełnić pańskiej prośby, rozumie pan?

- Poza mną i moim klientem nikt się o niczym nie dowie.

- Nawet w takiej sytuacji. Co by było, gdyby wszyscy przy-

chodzili z takimi prośbami... - Jeremy M. wyglądał na głęboko oburzonego.

- Dziesięć tysięcy dolarów.

Hollyfield spochmurniał.

- Pięćdziesiąt.

- Dwadzieścia.

- Czterdzieści.

- Trzydzieści i jesteśmy kwita. - Noah wiedział, że tyle wynosi dług Hollyfielda w banku. - Gdzie pan trzyma te archiwa?

- Tutaj - odpowiedział mężczyzna z westchnieniem i wstał. - Nie mogę uwierzyć, że to robię. Po prostu nie mogę uwierzyć. Wie pan, podaję panu tę tożsamość tylko dlatego, że wyobrażam sobie, że za tym wszystkim stoi jakieś nieszczęśliwe dziecko, które rozpaczliwie pragnie się dowiedzieć, kto jest jego ojcem.

Noah nie wierzył ani jednemu jego słowu. Żaloszny zabieg, który miał zamaskować jego nieetyczne działania. Być może mężczyzna sam wierzył w to, co mówi. Noah rzucił mu surowe spojrzenie. Hollyfield ruszył przed nim korytarzem.

- Przez miesiąc będę miał wyrzuty sumienia. Czy mógłbym się przynajmniej dowiedzieć, co zamierza pan zrobić z tą informacją? - zapytał Hollyfield marudnym tonem.

- Jeremy, niech pan nie przesadza - złąkał go Noah.

Korytarz prowadził do obszernego garażu. Na środku stał stary ford mustang, obok honda goldwing na podporach. Na posadzce widać było plamy oleju, na ścianie wisiały narzędzia Craftsmana, w kącie stała metalowa komoda. Jeremy Hollyfield podszedł do niej i otworzył. No nie, pomyślał Noah. Mebel nie był nawet zamknięty!

Hollyfield przez chwilę szperał wśród dokumentów oznaczonych literami D-E-F i tryumfalnie wyjął wiszącą w szufladzie teczkę.

- O, jest! Doug Clancey... W tamtym czasie mieszkał na North La Jolla. Ale nie mogę ręczyć, że adres i numer telefonu są aktualne.

*

Kiedy drzwi się otworzyły, podniosłem głowę. Usłyszałem lamenty Huntera Oatesa dobiegające z drugiej strony korytarza:

- Chcę rozmawiać z adwokatem, dupki! Słyszycie?

Siedziałem w gabinecie sierżantów, naprzeciwko cel, w których zamknięto Starego z synami.

- Chodź ze mną - poprosił grzecznie Platt, przytrzymując otwarte drzwi.

Pomyślałem o France i Liv i przez chwilę miałem ochotę wyciągnąć jego pistolet i sprzątnąć Starego.

Poszedłem za Plattem. Minęliśmy przestrzeń biurową zastawioną biurkami i Platt pchnął jakieś drzwi po prawej. Sala spotkań w biurze szeryfa... To tutaj przeżyłem pierwsze przesłuchanie. Oczami wyobraźni zobaczyłem Naomi na plaży i przypomniałem sobie pytania śledczych. Wszystko wokół mnie zaczęło wirować i musiałem się oprzeć o futrynę. Krueger wstał z fotela.

- Henry, coś nie tak?

- Nie, nie, w porządku.

Podszedłem do krzesła, które mi wskazał.

- Jesteś pewien? Chcesz, żebyśmy jeszcze wezwali lekarza?

Po tym jak zemdląłem, odzyskałem przytomność w karetce i jakaś nieznana mi lekarka długo mnie badała, zanim oddała mnie w ręce władz. Nie wiem, na ile czasu urwał mi się film. Przecząco pokręciłem głową. Dostałem jakiś zastrzyk i od tamtej chwili czułem, że mam mgłę w głowie i jak na mój gust trochę zbyt miękkie nogi.

- Jeżeli chcesz, możemy to odłożyć na później - nalegał szeryf.

Rzuciłem okiem na zegar ścienny. Była prawie dwudziesta.

- Nie, nie, okay.

Skinął głową.

- Hunter, Blayne i Gaylord Oatesowie zostaną oskarżeni o zamordowanie twoich mam - powiedział - podpalenie twojego domu i napaść na Nicka Scolnicka.

Spojrzałem na niego. Czułem mgłę w głowie, ale jego słowa w końcu do mnie dotarły.

- Co?

- Nick został dźgnięty nożem: wygląda na to, że chciał interweniować, kiedy pojawili się Oatesowie. Jego życiu nic nie zagraża. Ale... chcemy mu zadać kilka pytań odnośnie do jego stosunków z Oatesami. - Głos Kruegera był prawie niedosłyszalny, szeryf wyglądał na wyczerpanego.

Gaylord, powtórzyłem w duchu. Kurwa, Stary ma na imię Gaylord! Pomyślałem o jego rodzicach - prawdopodobnie takich samych rasistach i homofobach jak on - którzy uszczęśliwili syna takim imieniem, nie podejrzewając, jakie konsekwencje będzie miał ten fakt po siedemdziesięciu latach!

- Henry, co się wydarzyło? - zapytał cicho Krueger. - Po tym jak uciekłeś kajakiem.

Streściłem mu pokrótce mój pobyt na wyspie, a przede wszystkim rozmowę z Liv i jej wyznania przez telefon. Zobaczyłem, że Krueger i Platt wymienili spojrzenia, po czym energicznie pokiwali głowami w moją stronę, jakby byli komisją egzaminacyjną, a ja kandydatem, który udziela właściwych odpowiedzi.

- W jaki sposób one zginęły? - spytałem zdystansowanym, zimnym głosem i Krueger spojrzał na mnie zdziwiony.

- Hmm - odchrząknął. - Liv... podejrzięto gardło. - Kiedy wypowiadał te słowa, jego głos przeszedł niemal w szept, ale ja ani drgnąłem. - Jeśli chodzi o France, to trudno powiedzieć, poza tym, że na pewno zginęła w pożarze. Wiesz, człowiek umiera wskutek uduszenia, jeszcze zanim spłonie, nic nie czuje... - Spuścił wzrok, a następnie znowu spojrzał na mnie. - Znaleźliśmy coś, co potwierdza twoje zeznania na temat tego, co zaszło między twoją matką i matką Naomi... i między twoją matką a samą Naomi.

Wpatrywałem się w niego bez słowa.

- W hangarze na łodzi znaleźliśmy sieć identyczną jak ta, w którą owinięte było ciało Naomi. No cóż, faktem jest, że to zwyczajna sieć i nie ma w niej nic szczególnego. W każdym razie to się pokrywa z twoimi zeznaniami... Ale całkiem cię nie oczyszcza, bo hangar należał też do ciebie. - Przerwał na chwilę, by zebrać myśli. - Mamy jednak dowód, że

rzeczywiście dzwoniłeś dzisiaj do matki. Długość rozmowy się zgadza. A gość z magazynu potwierdził, że ten boks był wynajęty przez nią. Jest też świadek, który widział, jak grzebałeś w boksie, mówi, że wyglądałeś na zszokowanego, i wydaje mu się, że zauważył banknoty. Charlie i twoi koledzy opowiedzieli nam o waszych wyprawach do Taggarta i Oatesów. Nate Harding potwierdził informację o waszych odwiedzinach i istnieniu szantażysty. No i znaleźliśmy drobne ślady krwi w waszej łodzi. Sterówka była wyczyszczona, ale nie całkiem. Krew wsiąkła w tapicerkę. Wiemy już, że grupa krwi jest taka sama jak u Naomi, laboratorium potwierdzi, czy to rzeczywiście jej krew. Wziąwszy pod uwagę wszystkie te elementy, cóż... w tym momencie możemy stwierdzić, że mówiłeś prawdę. - Uśmiechnął się do mnie i widziałem, że mu ulżyło. - Ktoś czeka na ciebie na zewnątrz - dodał.

Podniosłem wzrok.

- Nazywa się Grant Augustine, twierdzi, że go znasz. To prawda?

Mgła się rozstąpiła. Błyskawica świadomości przeszła mnie od stóp do głów.

- Tak.

Krueger spojrział mi głęboko w oczy. Wzrokiem ostrym jak nóż.

- Nie wiem, skąd się wziął ten gość, ale ma z sobą prawdziwą armię. Zadzwoniłem do FBI. Powiedzieli mi, że mam mu ułatwić zadanie. Boże, afera jakby przyjechał sam prokurator generalny. Henry, kto to jest?

- Mój ojciec - odparłem chłodno.

- Co?

Znienacka wstałem z krzesła i rozejrzałem się dookoła.

- Mógłbym dostać kawę? Dużą... z dużą zawartością kofeiny.

Szeryf popatrzył na zegarek.

- Jesteś pewien? Nie wolałbyś raczej czegoś na sen?

- Kawę. I batonika czekoladowego, jeśli macie. - Nagle zacząłem mówić mocnym, stanowczym głosem.

Wstał, nie kryjąc zaskoczenia.

- Jasne. Już ci przynoszę.

Kiedy druga taksówka wysadziła go pod wskazanym numerem, był wieczór - znacznie cieplejszy niż w Seattle. Noah przez chwilę zwlekał, obserwując oświetlone domy stojące przy ulicy w otoczeniu drzew. Wszystkie wyglądały jak żywcem wyjęte z filmu Billyego Wildera.

North La Jolla Avenue w West Hollywood. Większość zabudowań stanowiły maleńkie budynki z okresu międzywojennego, kryte czerwoną dachówką, zbudowane w najczystszy kalifornijskim stylu. Właściciele odnowili je i rozbudowali z tyłu do gigantycznych rozmiarów, powiększając ich powierzchnię mieszkalną trzy-, a nawet czterokrotnie.

Noah minął zaparkowanego na skraju chodnika terenowego mercedesa ml350 i wcisnął przycisk dzwonka na filarze, obok którego stał kontener na śmieci. Dwójka dzieci jeździła na hulajnogach. Noah przez chwilę podążał na nimi wzrokiem. Ta prosta ulica bardzo się różniła od wąskiego kanionu wijącego się u stóp wzgórz Hollywood. Tutejsza noc miała zapach dziegiu i benzyny.

Kiedy znowu spojrzął na dom, drzwi wejściowe były uchylone. W progu stał facet około czterdziestki.

- Doug? - zapytał.

- Tak.

Noah poczuł, że jego puls odrobinę przyśpiesza. Może wreszcie mu się poszczęściło. Wolnym krokiem ruszył wąską alejką między podświetlonymi karłowatymi palmami. Podobnie jak większość ludzi Doug był od niego niższy. Miał kręcone włosy opadające na uszy, opaloną skórę, sześciodniowy zarost - i koszulę w mały. Jesteśmy w LA, pomyślał Noah.

Mężczyzna zmarszczył oczy w kolorze ciepłego brązu i zza kwadratowych okularów w czarnej oprawie przyglądał się gościowi z torbą podróżną stojącemu obok glinianej donicy, w której pływały lilie wodne.

- Nazywam się Noah Reynolds, jestem prywatnym detektywem - odezwał się Noah tym swoim rozsądnym głosem, jakiego zawsze używał do uspokajania ludzi, którym składał wizytę. - Chciałbym panu zadać kilka pytań.

- W jakiej sprawie?

- Henry. Mówi to panu coś?

W spojrzeniu zza okularów wyczytał odpowiedź.

- Być może...

- Ma dziś szesnaście lat. Jego matki nazywają się Liv i France.

- Kto pana przysłał, panie Reynolds?

- Ktoś, kto sądzi, że Henry nie jest winien tego, co mu się zarzuca.

- A co mu się zarzuca?

- Morderstwo.

Zobaczył, że oczy Douga się zaświeciły.

- Co jeszcze pan wie na temat jego matek i mnie?

Noah wytrzymał jego uważne, rozluźnione spojrzenie.

- Że jest pan dawcą nasienia, którego użyły, kiedy chciały począć dziecko drogą sztucznego zapłodnienia.

Doug Clancey skinął głową i ruszył przed nim przez drzwi. Wystrój był nowoczesny, minimalistyczny. Poza zewnętrznymi murami nic nie pozostało z międzywojennego stylu.

- Szkocką, burbona?

- Nic, dziękuję.

Noah zaczekał, aż Doug naleje sobie pełną szklanekę. Wystarczył mu rzut oka, by się zorientować, że jegomość mieszka sam. W zlewie leżały naczynia, na kuchennym blacie nad jedynym taborettem stał włączony laptop: Noah zauważył na monitorze forum dyskusyjne Online.

Doug odwrócił się w jego stronę.

- A zatem, panie Reynolds, co chce pan wiedzieć?

Noah podał mu kartę dawcy 5025 EX wyciągniętą z archiwów Jeremy'ego Hollyfielda. Doug wziął ją do ręki.

- To pan, prawda?

- Sądziłem, że ta informacja jest poufna. Jak pan ją zdobył?
- Oddał pan nasienie mamom Henry'ego i najwyraźniej pan o tym wie. Przed chwilą zareagował pan na jego imię. A przecież jako anonimowy dawca nie powinien był pan znać przeznaczenia swojej spermy, myślę się?
- To trochę bardziej skomplikowane.
- Jest pan jego ojcem?
- To trochę bardziej skomplikowane...

Pochłoniłem kawę i batona Kit Kat, a następnie zwróciłem się do Kruegera:

- Czy ktoś mógłby mu powiedzieć, że zaraz przyjdę?
- Dobrze się zastanowiłeś? - zapytał Platt. - Henry, przechodzisz najpotworniejsze doświadczenie w życiu. Jesteś niezwykle wrażliwy. Kruchy. I nic nie wiesz o tym człowieku, nie wiesz, czego on od ciebie chce. Dlaczego pojawia się akurat teraz, po tych wszystkich latach? Masz jakiś pomysł? Dlaczego nie ujawnił się wcześniej? Może powinieneś poczekać...

- Na co? - odparowałem. - Nie mam już rodziny, dachu nad głową, nic. Tylko on mi został.

- Możesz zamieszkać z nami, jeśli chcesz - powiedział Platt, który był żonaty i miał dwie córki. - Do czasu aż się pozbierasz i zastanowisz nad przyszłością. Tak długo jak będziesz potrzebował.

Zaskoczył mnie tą propozycją i przez chwilę byłem tak wzruszony, że z trudem zachowywałem zimną krew. Pokręciłem jednak głową.

- Dziękuję. To bardzo miłe z pana strony. Ale myślę, że powinienem to zrobić teraz albo nigdy, powinienem wyjść na spotkanie mojego... ojca. Dajcie mi parę minut.

- Oczywiście.

Schroniłem się w toalecie. Usiadłem na muszli. Oparłem łokcie na kolanach, zaplotłem dłonie na karku i rozryczałem się, wstrząsany histerycznym szlochem. Zalała mnie fala niezmiernego smutku. Wylewałem łzy dziecka, które tęskni za

swoimi mamami, oplakiwałem Naomi i wszystko, co miałem zostawić za sobą: Charliego, Johnnyego, Kaylę, wyspę... Życie, którym żyłem przez siedem lat. Zanosilem się szlochom tak gwałtownie, że prawie się dusilem. Łzy kapwały mi na T-shirt.

Chciałem sobie ulżyć teraz, żeby nie rozkleić się przy nim. Chciałem, żeby zobaczył, jakiego ma silnego syna. Kiedy łzy w końcu przestały płynąć, osuszyłem policzki papierem toaletowym i spuściłem wodę. Wychodząc, opłukałem twarz zimną wodą i wytarłem koszulą. Przejrzałem się w lustrze, zaczekałem, aż moje zapuchnięte oczy wyschną, zrobiłem głęboki wdech i wróciłem do nich.

- Mogę zapytać, czym się pan zajmuje, Doug?

Siedzący w skórzanym fotelu Noah zobaczył, że mężczyzna się uśmiechnął.

- Wiem, że nie wyglądam, ale jestem naukowcem. Kieruję CNSI, California NanoSystems Institute, jednostką badawczą zajmującą się nanotechnologiami, w której współpracują ze sobą chemicy, biochemicy, fizycy, matematycy, biolodzy... Ale nie chciałbym pana zanudzać.

- A więc był pan ich sąsiadem i przyjacielem?

- Tak. - Przez chwilę Doug wyglądał, jakby był nieobecny. - Wie pan, byliśmy sobie naprawdę bardzo bliscy... Bardzo zżyci... One były kimś więcej niż przyjaciółkami, były dla mnie jak siostry, jak rodzina. Codziennie bywaliśmy u siebie, prawie mieszkaliśmy razem. Jedyną rzeczą, której ze sobą nie dzieliliśmy, było łóżko. Zrobiłbym dla nich wszystko i *vice versa*, przepadaliśmy za sobą. Rozumie pan, jak w *Przyjaciółkach*. Albo w tym drugim serialu, *Słowo na L*.

Noah nie rozumiał. Nigdy nie oglądał seriali.

- Postanowiły mieć dziecko?

- Tak. Nie chciały korzystać z banku spermy, firmy, która robi to tylko dla kasy, ani nawet z żadnej organizacji pożytku publicznego. Nie, chciały dobrze znać dawcę. Zrobiły więc przegląd mężczyzn ze swojego otoczenia i według nich to ja... cóż, byłem najlepszy - co powiedziawszy, uśmiechnął się

speszony. Noah dostrzegł jednak, że nie chodzi o fałszywą skromność, ale raczej o zakłopotanie wynikające ze znalezienia się na eksponowanej pozycji. - Ale oczywiście w tamtych czasach byłem młodym naukowcem bez grosza. Pamiętam, że traktowały sprawę bardzo poważnie: skrupulatnie zapisywały dni płodne, w salonie powiesiły dużą tablicę, na której w kolumnie z plusem wynotowały cechy, jakie chciałyby widzieć u dawcy. W kolumnie „minus” dyskwalifikujące wady: słaby, podrywacz, hipokryta, niezdecydowany, ograniczony, sknera, snob, arogancki, głupi, łysy, wsteczniak i tak dalej. Któregoś dnia podszedłem do tej tablicy, przejrzałem obie kolumny i stwierdziłem: „To cały ja”. Wtedy one spojrzały po sobie i powiedziały: „Kurczę, to prawda! Nie chciałbyś zostać naszym dawcą?”. I wtedy przyznałem im się, że już oddaję nasienie; opowiedziałem im o Ośrodku Wspomagania Rozrodu w Santa Monica.

- Jeremy Hollyfield...

- Tak. Niezły spryciarz, jeśli chce pan znać moje zdanie. Udawał matkę Teresę dla lesbijskich par, ale myślał tylko o kasie.

Noah zaczął rozumieć wybór matek Henry'ego: Doug, oprócz tego, że był dobrze wykształconym, zdolnym fizykiem, był też sympatycznym facetem, wykazującym pewność siebie we wszelkich okolicznościach, ale bez odrobiny arogancji.

- I dlatego zna pan imię Henry'ego. To pański syn.

Doug zmarszczył czoło i pokręcił głową.

- Nie nie, chwileczkę, nie zgadł pan. To nie koniec tej historii. Cóż, wszystko zostało przygotowane. Dziecko miała urodzić France. Po wielu nieudanych próbach w końcu zaszła w ciążę. - Doug znowu się zamyślił. - Pamiętam, jak szykowała dom na narodziny dziecka. Kupowała ubranka, zabawki... Ale poroniła. Przez jakiś czas brały pod uwagę, że to Liv urodzi, ale ostatecznie zdecydowały się na adopcję.

- Adopcję... - powtórzył cicho Noah.

Ta zmiana tonu nie umknęła Dougowi.

- Rozumiem, że dochodzimy do kluczowego momentu?

Noah przytaknął.

- Ta historia też jest długa i skomplikowana. Już podaję szczegóły. To było dawno, ale nigdy nie zapomnę tego okresu. Doskonale go pamiętam, prawdę mówiąc znacznie lepiej niż lata, które nastąpiły po ich wyjeździe. No więc pewnego dnia wróciłem z roboty, a one były na miejscu. Z Henrym.

- W porządku - oznajmiłem Kruegerowi. - Jestem gotów.

Szeryf rzucił mi niemal ojcowskie spojrzenie. On i Platt stanęli przy mnie jak dwaj ochroniarze - stanowiliśmy dziwne trio, jeden był wyższy ode mnie, drugi niższy - i przeprowadzili mnie przez pancerne drzwi i bramkę. Przeszliśmy przez ostatnie drzwi i poczułem na twarzy krople deszczu. Błysnęły flesze i podszedł do mnie jakiś gość z kamerą na ramieniu. Wycelowano w nas mikrofony, ale szeryf je odepchnął.

- Później złożymy oświadczenie. Proszę zrobić przejście!

Jakoś przecisnęliśmy się przez tłumek. I wtedy go zobaczyłem.

RAZEM

- Tak - powiedział Grant Augustine.

Przypomniawszy sobie tę chwilę, kiedy Henry wyszedł z biura szeryfa i pojawił się na schodach. Ten... cud. Grant stał po drugiej stronie ulicy, Jay obok niego.

Po raz pierwszy zobaczył go na własne oczy. Swojego syna. Henry'ego. Widział, jak przeciska się do niego przez tłumek. Wyglądał na potwornie zmęczonego, miał napiętą twarz, a pod jego oczami malowały się głębokie cienie, Grant jednak wyczuł tę wewnętrzną siłę, która ich łączyła, tę zaciętą wolę, by stawić czoło wszystkiemu, bez względu na koszty, by powstawać po każdym upadku, i poczuł jakąś irracjonalną dumę.

Jego syn zatrzymał się mniej niż metr od niego. Przyglądał się Grantowi, wypatrując jego reakcji. Przez dłuższą chwilę trwali w ciszy.

- Wiesz, kim jestem? - odezwał się w końcu Grant.

Henry skinął głową. Wtedy Grant zrobił krok do przodu i wziął go w ramiona. Ojciec i syn uścisnęli się, jakby się nie widzieli najwyżej przez tydzień. Stali oparci o siebie, w deszczu, bez słowa. A potem Grant się odsunął, by zetrzeć krew, która popłynęła mu z nosa.

- Smutno mi, że spotykamy się w takich okolicznościach. Naprawdę bardzo mi przykro. Najszczerze kondolencje, Henry.

Chłopak nie odpowiedział - żadnym słowem, żadnym gestem. Wpatrywał się w Granta.

- Mam miejsce, w którym możesz odpocząć, z dala prasy i tłumów, jeśli chcesz. To niedaleko.

Kolejne skinienie głową.

Grant dał znak Jayowi, który rozłożył duży parasol i pod ocie-

kającą deszczem kopułą doszli do boiska bejsbolowego, które na tę okazję przekształcono w lądowisko dla helikopterów. Grant położył dłoń na ramieniu syna. Byli dla siebie tylko dwójką nieznanym. Jeszcze nie byli rodziną. Ale właśnie pojawiła się taka możliwość: okoliczności - mimo swojego tragizmu - utorowały im drogę. Grant nie przypominał sobie, by kiedykolwiek czuł się tak wzruszony. Nowy horyzont, zwrot w egzystencji, nowe życie - każdy mężczyzna w jego wieku o tym marzy.

- Wtedy, kiedy mnie pan przytulił - powiedział Henry siedzący naprzeciwko niego - to, co poczułem, było... nie do opisan.

- Wiesz, że możesz mi mówić na ty - odparł Augustine ze ściśniętym gardłem.

Siedzieli w ultranowoczesnym apartamencie w Deer Beach Resort i choć na zewnątrz szalała zawierucha, tutaj panowała zadziwiająca cisza. Małe lampki rozsiewały wokół siebie łagodną, kojącą poświatę, która nie docierała do zacienionych kątów. Panowała intymna, spokojna atmosfera sprzyjająca zwierzeniom.

- A potem wsiedliśmy do helikoptera i opuściliśmy Glass Island - ciągnął Henry. - Nie wiem... ale kiedy lecieliśmy nad East Harbor, miałem wrażenie, jakbyśmy byli jedynymi ocalałymi z jakiejś wojny, zagłady nuklearnej, że za nami zostały tylko ruiny. I wie pan, jak to bywa w filmach tego gatunku, na koniec znowu wszystko staje się możliwe, wszystkie drzwi do przyszłości stoją otworem. Choć byłem przepełniony bólem, czułem się też dziwnie uroczyście. Pamiętam, jak patrzyłem na pana, na ciebie, a ty wpatrywałeś się w jakiś punkt przed sobą z tym delikatnym uśmiechem na ustach. Pytałem sam siebie: Kim jest ten człowiek? To on jest moim ojcem? To wszystko jest dla mnie takie nowe, takie... zagmatwane.

- Tak - powiedział Grant, uśmiechając się. - Rozumiem. Kiedy pomyślę, że to było zaledwie kilka godzin

temu...Henry, musisz być wyczerpany. Ale jestem szczęśliwy, że opowiedziałeś mi tę historię. Mimo że jest straszna, teraz lepiej rozumiem, co się wydarzyło. Bardzo mi przykro z tego powodu, synu.

Grant opróżnił szklankę i przeniósł wzrok z Henry'ego na Jaya. Ten ostatni przyglądał się chłopcu bez słowa, ale przez maskę obojętności na jego twarzy przebijała ciekawość. Grant spojrzął na zegarek - dwudziesta trzecia piętnaście. Minęły prawie trzy godziny od chwili, gdy Henry zaczął im opowiadać swoją historię. Przez trzy godziny wisieli u jego warg. Spijali słowa z jego ust.

Zabrzącał telefon Jaya leżący w poświacie lampki na szklanej konsolce. Mężczyzna schylił się, by spojrzeć na wyświetlacz. Noah. Dzwonił tego wieczoru już dwa razy.

- Zaraz wracam - powiedział, wstając.

- Nie śpiesz się - uspokoił go Grant. - My sobie tu z Henrym pogawędzimy, a potem pójdziemy spać. To był dla wszystkich ciężki dzień. - Uśmiechał się czule, rozpromieniony wewnętrznym blaskiem.

Tego samego wieczoru w Los Angeles, godzina dwudziesta druga.

- Ile miał lat?

Doug nie spuszczał Noaha z oczu. Jednocześnie oglądał stronicę swojego życia, która, choć została przewrócona przed wielu laty, miała na zawsze zawierać jeden z jego najważniejszych rozdziałów. Noah to czuł.

- Siedem, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy.

- Siedem? Jest pan pewien?

- Tak.

- Niech mi pan o nim opowie.

- To było genialne dziecko... Inteligentne, czarujące, pomysłowe, bardzo ujmujące. Ten chłopiec miał wszelkie możliwe uzdolnienia, to było niewiarygodne! W wieku dziewięciu lat potrafił obsługiwać komputer lepiej niż wielu dorosłych.

- Naprawdę?

- Tak. - (Doug znowu wyczuł u swojego rozmówcy wzrost zainteresowania). - A to ważne?

- Być może...

Wymienili spojrzenia. Doug miał trochę zbyt swobodną minę i Noah uznał, że paradoksalnie przyjaciel Liv i France jest bardziej spięty niż przed chwilą.

- Czy jego matki zabraniały mu surfowania po Internecie? - zapytał detektyw najniewinniejszym tonem, na jaki było go stać. - Zamieszczania zdjęć na Facebooku? Te sprawy...

Doug lekko zmarszczył brwi.

- A tak robią? Naprawdę? To by oznaczało, że bardzo się zmieniły. To było zupełnie nie w ich stylu. Na wszystko mu pozwalały, mówiłem im, że nie wyjdzie mu to na dobre. Zresztą były pewne problemy...

- Jakie?

- Jak panu mówiłem, to był bardzo ujmujący dzieciak, który uwielbiał się bawić. I bardzo inteligentny. Ale nie tylko...

Ulicą przejechał samochód; w blasku jego świateł na ścianie ukazały się cienie, które przesunęły się z jednego krańca pokoju na drugi. Szyby musiały być grube, bo Noah nie usłyszał żadnego dźwięku. Doug wstał, by opuścić rolety.

- Czy zastanawiał się pan już nad swoim życiem? Co pan z nim robi? Jaki ślad zostawi pan po sobie? Pewnego ranka człowiek się budzi i uświadamia sobie, że wszystkie jego marzenia zostały pogrzebane i nic po sobie nie zostawi na tej planecie, która zmierza ku zagładzie. Ale ten chłopak to co innego. To człowiek, który na pewno coś po sobie pozostawi. Nie znalazł się na tym świecie po nic, to się wyczuwało. Rozumie pan, co mam na myśli?

Noah zastanawiał się, do czego Doug zmierza. Naukowiec rzucił mu niepewne spojrzenie.

- Bardzo rzadko miałem okazję widzieć dzieciaka, który tak szybko łapałby to, co mówiłem. Uwielbiałem wyjaśniać mu różne teorie: powstania wszechświata, galaktyk, ewolucji, trzęsień ziemi, dziedziczności, pojawienia się życia, warstwy

ozonowej... Wszystko go interesowało! Pamiętam, że kiedyś w swej podłości ucieszyłem się, że nie jest moim synem, bo gdyby tak było, byłbym zazdrosny, że nie mogę go przy sobie zatrzymać, rozumie pan?

Noah wciąż wpatrywał się w Douga. Pierwszy raz w ciągu tego wieczoru w jego głosie pojawiła się nuta smutku.

- Był jak te dzieci, o których czyta się w gazetach: jak piętnastolatek Jack Andraka, który wynalazł szybką i taną metodę wykrywania raka trzustki, choć zanim dokonał tego odkrycia, nie wiedział nawet, co to jest trzustka! W tym roku piętnastoletni Nick dAloisio sprzedał firmie Yahoo! aplikację za trzydzieści milionów dolarów. Jest najmłodszą osobą, jaka kiedykolwiek weszła na rynek inwestycyjny. Mark Zuckerberg twierdzi, że dziś młodzi ludzie są bardziej inteligentni. Czy rzeczywiście? Blaise Pascal wynalazł maszynkę do liczenia pieniędzy jako dziewiętnastolatek, a było to w roku 1642! Mozart skomponował swoje pierwsze utwory, gdy miał sześć lat. Rozumie pan, co chcę powiedzieć: zawsze, w każdej epoce były takie dzieci. Z tym że te dzisiejsze są inne. Inne, rozumie pan? Henry mógłby być jednym z nich, ale miał też swoją ciemną stronę... - Doug mówił ożywionym głosem, pewnie takim, jakiego używał w rozmowach z przyjaciółmi, którzy dorównywali mu rzutkością umysłu, ale nagle jego energia osłabła. - Henry potrafił być agresywny wobec kolegów. Kiedy się złościł, przestawał się kontrolować. Pewnego razu Liv i France zostały wezwane do szkoły, ponieważ zranił innego ucznia cyrklem. O mało nie wbił mu go w środek czoła! Psiakrew, miał wtedy osiem lat! - Jego oczy zaszyły mgłą. Upił kolejny łyk. Końcem krawata zaczął przecierać okulary. Gdy je zdjął, wyglądał na obnażonego i kruchego. - Zdarzały się inne rzeczy w tym stylu. Był też niesamowitym zabijaką, prawie samobójcą... Tak jakby kochał niebezpieczeństwo. Któregoś dnia potrącił go samochód. Chciał przejechać na rowerze przez środek skrzyżowania! Miał krwotok, stracił sporo krwi. Gdy go zabrali do szpitala, wybuchła prawdziwa panika. Potrzebna była transfuzja, ale Henry ma grupę krwi

zero Rh minus. A wie pan, że zero Rh minus może przyjąć krew tylko od dawcy z taką samą grupą. Tak się składa, że ja też mam zero Rh minus. Ta historia jeszcze bardziej nas do siebie zbliżyła. Na swój sposób traktowałem go trochę jak syna. - Doug potarł jedną dłońią o drugą. W jego okularach Noah widział własne odbicie. - A potem sytuacja stała się poważniejsza. France znalazła pieniądze w jego pokoju. Henry w końcu się przyznał, że pieniądze pochodzą ze szkoły. Ściągał haracz od niektórych uczniów w klasie. W wieku ośmiu i pół lat!

Noah pomyślał o tym uczuciu, którego doznał na lotnisku, o tym wrażeniu, że wszyscy coś przeoczyli i tylko on dostrzega ten szczegół na obrazku.

- A to jeszcze nie wszystko. Inni uczniowie zaczęli się skarżyć... - (Noah zauważył, że mimo upływu lat Dougowi wciąż trudno w to uwierzyć). - Henry znęcał się nad nimi, w toalecie albo za szkołą. Kazał im... - Upił jeszcze jeden łyk. - Chryste, kazał im podnosić koszulki i robił im coś w rodzaju skaryfikacji, choć z pewnością nie znał wtedy tego słowa. Cyrklem albo zaostrzonym ołówkiem... Boże! Te dzieciaki były całe w bliznach i rodzice czym prędzej skontaktowali się ze szkołą.

Ja pierdołę, pomyślał Noah.

- France i Liv były załamane, zdruzgotane. Próbowałem z nim rozmawiać. W sumie mnie słuchał i na jakiś czas te sytuacje się skończyły. Ale ta historia nie dawała mi spokoju. Zacząłem na niego patrzeć inaczej, obserwować go tak, jak się obserwuje zwierzę. I zacząłem dostrzegać pewne rzeczy. A może to moja nadinterpretacja... Ale wydał mi się dziwnie zimny i zdystansowany w stosunku do swoich matek. Do mnie też. Miał taką wyrachowaną, chciwą, interesowną stronę. Wiem, że to wygląda na sprzeczność! Potrafił być czarujący, zabawny i wesoły, zapewniam pana, ale zawsze miało się wrażenie, że to maska. Że tylko odgrywa rolę ujmującego dziecka, już w tym wieku. - Doug klasnął w dłonie. - Wiem, co pan sobie myśli, że to pewnie wytwór mojej bujnej wyobraźni. Zgoda. Tylko że... To się powtó-

rzyło. France i Liv były z nim u psychiatry dziecięcego, ale było co.az gorzej. Codziennie się bały, że dowiedzą się o czymś gorszym niż poprzedniego dnia. Ten dzieciak to był istny doktor Jekyll i pan Hyde. Z jednej strony cudowny, z drugiej naprawdę chory, jeśli chce pan znać moje zdanie. - W kieszeni Douga zadzwonił telefon. Wyjął go i odpowiadał monosylabami: - Od- dzwonię do ciebie.

Noah zmarszczył brwi. Doug wyłączył komórkę i znowu zwrócił się do niego.

- Kiedy jeden z dzieciaków wylądował w szpitalu, zrozumiałem, że zmierzamy ku katastrofie. Opieka społeczna zaczęła się przyglądać wychowaniu Henry'ego, policja niektórym zdarzeniom, do których dochodziło w sąsiedztwie, w szkole podniosły się głosy podważające kompetencje rodzicielskie Liv i France. Były zrozpaczone... Zaczęły się odcinać od wszystkich. France odeszła z pracy, by na pełen etat zająć się Henrym. Zaczął coraz częściej opuszczać szkołę...

Nagle Noahowi przyszła do głowy pewna myśl. Musiał jak najszybciej zadzwonić do Jaya. Spojrzał na Douga, który wciąż mówił, i poczuł mrowienie w karku.

- A potem, pewnego pięknego dnia zniknęły. - Doug pstryknął palcami. - Ot tak! Wyparowały! W skrzynce na listy znalazłem wiadomość. Wyjaśniały, że wyjeżdżają, bo nie chcą, żeby odebrano im Henry'ego, nie zniosłyby tego. Były przekonane, że z czasem się ułoży. - Spojrzał na Noaha, a jego oczy lśniły dziwnym blaskiem. - Ale skoro pan się tu zjawił, to znaczy, że się nie ułożyło. Znowu zaczął, tak? Wie pan, gdzie one są?

- Grant Augustine, czy to nazwisko coś panu mówi? - zapytał Noah.

Doug zmarszczył brwi, a potem pokręcił głową.

- Jest pan pewien?

- Tak. Kto to jest?

- Nigdy pan nie słyszał, by matki Henry'ego o nim wspominały? - nalegał Noah.

Doug znowu zaprzeczył.

- A Meredith?

- A to kto?

Noah pochylił się do przodu.

- Niejaka Meredith, bardzo piękna kobieta. Kojarzy pan?

Doug spojrział na niego bezradnie.

- Piękna, mówi pan? Meredith?

- Tak. Mogła zmienić imię. - Noah wyjął z kieszeni zdjęcie i podał je Dougowi. - Kobieta w ich wieku.

Doug przyjrzał się fotografii. Jeszcze raz energicznie pokręcił głową.

- Niemożliwe. Znałem wszystkich ich przyjaciół. Mówiłem panu, byliśmy prawie jak rodzina. Ta kobieta nigdy nie należała do ich towarzystwa.

- Jest pan tego pewien?

- Oczywiście! A ten Grant Augustine? Kto to jest?

- Jego ojciec.

Doug odepchnął szklanę, nie dopiwszy do końca.

- Co? Czyj ojciec?

- Henry'ego.

- Nie sądzę - powiedział.

W pokoju paliła się tylko jedna lampa i większa jego część po-
grążona była w ciemnościach. Doug wstał, by zapalić drugą.
Być może chciał przegnać mrok, który zaczął ich osaczać.

- France i Liv nigdy nie chciały mi powiedzieć, kim są
rodzice Henry'ego. Sądzę, że to jedyna rzecz, jaką
kiedykolwiek przede mną zataiły. Muszę przyznać, że mnie
to intrygowało. Przeprowadziłem więc małe śledztwo bez ich
wiedzy. Przekopałem się przez artykuły w gazetach, przez
archiwa wydań internetowych, przekonany, że ci rodzice
zginęli w jakichś dramatycznych okolicznościach. Rozumie
pan, takie romantyczne skrzywienie. Czterdzieści lat
karmienia się serialami i kinem nie pozostaje bez śladu. A
jednak miałem rację. Znalazłem coś w kronice wypadków
sprzed kilkunastu miesięcy. To też była dziwna historia.
Wręcz przerażająca. Rozumiem, że nie miały ochoty o tym
mówić. Pozwoli pan, że opowiem... Według mnie, kiedy
France i Liv adoptowały Henry'ego, chłopiec był sierotą, a

jego rodzice nazywali się Georgianna i Tim Mercerowie. Wie pan, jak zginęli? Utonęli obok własnej łódki, na morzu w okolicach San Pedro. Jedyłą osobą, jaką znaleziono na pokładzie, był ich syn. Miał wtedy siedem lat, czyje pan? Wygląda na to, że przez nieuwagę wciągnął drabinkę, a potem nie potrafił jej z powrotem opuścić. Nie było innej możliwości, żeby wejść na pokład. To była supernowoczesna łódź z bardzo gładkim kadłubem i tak dalej. Znaleźli nawet na nim ślady paznokci. - Otarł twarz dłonią. Noah zauważył na jego czole kropelki potu. - Pojawiła się hipoteza, że jego ojciec próbował się podciągnąć na łańcuchu kotwicy, ale musiał być już zbyt wyczerpany długim pływaniem. Kto wie, może wpadł z powrotem do wody? Może spróbował jeszcze raz? Ale rozumie pan, miał już zakwaszone mięśnie, musiał dostać skurczu. Utonął jako pierwszy. Jak wykazała sekcja, matka wytrzymała kilka godzin dłużej. Wyobraża pan to sobie? Rodzice utonęli na jego oczach! Ten dzieciak przez cały czas tam był: siedział na pokładzie i patrzył, jak umierają. Kiedy ratownicy go znaleźli, był bardzo spokojny. Nie płakał. Był tylko... apatyczny. Spisali to na karb traumy, jaką przeżył. Tyle godzin spędzonych na morzu, z wołającymi o pomoc i dogorywającymi rodzicami. Ani jedno zdjęcie dziecka nie wyciekło do prasy. Ale jestem prawie pewien, że to był Henry. „Los Angeles Times” w jednym z artykułów zamieścił starszą fotkę małego. Chłopiec był naprawdę bardzo podobny do Henry’ego. - Oczy Douga lśniły. - Boże drogi, co za piekło! - zakończył i głos uwiązał mu w gardle. - Niektórzy rodzą się pod złą gwiazdą, tak jak inni pod szczęśliwą.

- Pozwoli pan, że przedzwonię? - zapytał Noah.

Doug skinął głową. Noah wstał. Wyjął telefon, wyszedł przed dom i zadzwonił do Jaya.

- Jaką grupę krwi ma twój szef? - zapytał.

Jay wahał się przez chwilę.

- AB Rh plus. A dlaczego pytasz?

Noah powiedział mu i czekał na instrukcje. Nad jego głową smukłe palmy strzelały w nocne niebo. Gdy spojrział niżej, w

oknach domów zobaczył blask telewizorów.

- Nie, nie trzeba. Jay, ten gość nie stanowi żadnego zagrożenia. Wystarczy, jeśli dasz mu nadzór. - Rozłączył się i wrócił do domu.

- Dziękuję, Doug. Był pan bardzo uprzejmy. Napra...

Pokój był pusty. Panowała w nim cisza. Noah poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Odwrócił się. Z cienia wyłonił się Doug.

- Cholera! - zawołał Noah. - Ale mi pan napędził stracha!

Mężczyzna tylko się uśmiechnął. Noah schylił się po torbę.

- Doug, ostatnia sprawa. Proszę nikomu nie wspominać o tej historii, rozumie pan? Ludzie, którzy mnie zatrudniają, nie byliby zadowoleni...

Doug skinął głową.

- O jakiej historii? - odpowiedział.

Noah się uśmiechnął.

- Dzięki, Doug. Nie będę panu dłużej zawracał głowy.

Centrum Los Angeles. Noah wśliznął się do szklanej windy hotelu Westin Bonaventure w towarzystwie dwóch kongresmenów z odznakami w klapach. Ruszyli w górę. Sádzawki i fontanny w holu zniknęły i znaleźli się pod sklepieniem nieba - na zewnątrz.

- Kurwa - odezwał się młodszy. - To tutaj nakręcili tę słynną scenę z *Prawdziwych kłamstw*. Wiesz, tę, w której Schwarze- negger wjeżdża na koniu do windy.

Rzeczywiście, w kabinie znajdowała się tabliczka z informacją, że kręcono tu scenę filmu, ale Noah miał to głęboko gdzieś. Podobnie jak całe to widowisko oświetlonych drapaczy chmur wznoszących się do ciemnego nieba i migocące skupisko miast rozpościerające się u ich stóp na powierzchni setek kilometrów kwadratowych - dywan światła, lśniące arterie, rozgałęzione galaktyki, zaślubiny neonów z pustynią... Aż po horyzont.

- To miasto jest stworzone do seksu - powiedział drugi, starszy. - Chcę się pieprzyć. Mam ochotę na cipkę.

Pijackie głosy. Obaj mieli obrączki. Jeszcze jeden z tych gości,

którzy wpięprzają testosteron, żeby się odmłodzić. Drzwi windy się otworzyły i mężczyźni, nie przestając trąkotać, wysiedli na dwudziestym siódmym piętrze. Młodszy z trudem utrzymywał pion. Noah patrzył na nich przez zamykające się drzwi. Winda ruszyła dalej. Na trzydzieste drugie piętro.

Zapalił wszystkie światła w apartamencie, rzucił torbę na łóżko, rozpiął kołnierzyk koszuli i nie zważając na widok z okien, otworzył barek i wyjął sok pomarańczowy. Spojrzał na zegarek. Dwudziesta trzecia piętnaście. Musi sprawdzić jeszcze tylko jedną rzecz.

Minutę później siedział na skraju łóżka, rozmawiając z Indianinem, dyrektorem kasyna.

Wreszcie wyjrzał za okno. Wyglądało na to, że świat nadal kręci się wokół własnej osi, samochody i taksówki mkną przez gigantyczne wielopoziomowe skrzyżowania LA, a rodzaj ludzki konsekwentnie mknie ku własnej zagładzie. Ale tutaj, w tym pokoju, czas się zatrzymał.

POBUDKA

Jay zbudził Henryego o trzeciej nad ranem.

- Wstawaj.

- Co?

- Wstawaj i ubieraj się.

Rzucił ubrania chłopaka na łóżko.

- Co się dzieje? - zapytał tamten.

- Pośpiesz się — ponaglił go Jay. - Czekam w pokoju obok.

I staraj się zachowywać cicho.

WSIADAJ

Minutę później Henry dołączył do Jaya w salonie. Oprócz dwóch lampek przy fotelach wszystkie światła były pogaszone.

- Co jest?

Jay złapał go za ramię i pociągnął do drzwi apartamentu.

- Chwila! - zaproponował Henry. - Dokąd idziemy?

- Zobaczysz.

Chłopak usiłował się wyswobodzić.

- Dlaczego nie ma tu mojego ojca? On o tym wie?

Jay odwrócił się twarzą do niego. Zbliżył usta do ucha chłopaka.

- Wiem o wszystkim. Więc jeśli chcesz pozostać synem swojego ojca, w twoim interesie jest iść ze mną.

- Nic nie rozumiem.

- Chodź, a zrozumiesz.

Tym razem Henry posłuchał. Jay uznał to za dowód, że obaj z Noahem się nie pomylili.

Wsiedli do windy Henry ukradkiem spojrzął na Jaya. Mężczyzna, pogrążony we własnych myślach, nie odzywał się. Kiedy wyszli z hotelu, nieprzyjazna, wilgotna noc powitała ich deszczem. Po drugiej stronie drogi w świetle lamp widać było wzburzone morze. Fale głośno rozbijały się o skalisty brzeg. Dotarli do niewielkiej mariny i po kamiennych stopniach zeszli na oświetlony, lśniący od deszczu pomost.

- Dokąd mnie pan zabiera? - zawołał Henry, by przekrzyć ryk burzy.

- Czego się boisz? Że cię wrzucę do wody? Przecież jesteś synem Granta Augustinea - zakpił Szymański.

Wszedł na rufę niewielkiej, sześciometrowej motorówki z częściowo przeszklonym kokpitem i małą kabiną. Łódź

tańczyła i kręciła się we wszystkich kierunkach.

- Wsiadaj - powiedział.

- Nie.

W dłoni Jaya pojawił się pistolet.

- Oddaj cumy i wsiadaj.

NA PEŁNYM MORZU

Henry był przemoczony Trząśł się z zimna. Wiatr wiał mu prosto w twarz. Za sterem stał Jay, który zdawał się nie czuć chłodu. Morze kołysało i Henry musiał się przytrzymać. W końcu Jay wyłączył gaz i dziób łódki opadł na wodę. Od razu zaczęło nią huścić. Ze wszystkich stron otaczała ją woda. Nie było widać nawet Glass Island. Jedyłą rzeczą, jaką chłopak przez ścianę deszczu dostrzegł w pobliżu łódki - poza powierzchnią morza - był blask latarni, jak strzała oślepiająco białego światła na impresjonistycznym obrazie złożonym z punktów i kropek.

Henry spojrzał na Jaya, na jego szczupłą twarz i niespokojne spojrzenie i wydało mu się, że ma obok siebie zwierzę - wilka, kojota - nie człowieka.

- Coś nie tak, Henry? - zapytał mężczyzna z groźnym błyskiem w oku. - Jesteś strasznie błądy.

Henry nie odpowiedział, tylko znowu na niego popatrzył. Dygotał z zimna i ze strachu.

- Bardzo mi się podobała historia, którą nam opowiedziałeś wieczorem - powiedział Jay.

Sięgnął do bakisty po termos, napełnił kubek i podniósł go do ust. Do nozdrzy Henryego dotarła woń kawy zmieszana z zapachem deszczu. Za jego plecami snop światła latarni przebijający się przez burzę przesunął się w ich stronę i na chwilę oświetlił twarz Jaya, który, oślepiony, zamrugał. A potem znowu wszystko pogrążyło się w mroku.

- Przed nami długa noc. Chcesz?

Byli na pokładzie sami, ale Jay był silniejszy i zaprawiony w boju. I zachowywał czujność.

Henry odmówił ruchem głowy.

- Co za talent do opowiadania! Powinieneś się zastanowić nad karierą pisarza.

Jay upił jeszcze łyk, patrząc na niego. Henry słyszał plusk fal uderzających o kadłub. Wiatr targał jego mokre włosy. Zobaczył, że w wolnej ręce mężczyzny znowu pojawiła się broń. Zmusił się, by wytrzymać żar tych lśniących, podkrążonych oczu i nagle doznał olśnienia, które napęliło go trwogą. Umrze - tej nocy.

- Co za opowieść! Porywająca, budująca, wzruszająca...

O tak, wyjątkowo paskudna historia... Ale nie mogłeś się powstrzymać od pozostawienia tu i tam kilku wskazówek: na przykład ta twoja fascynacja orkami, drapieżnikami na samym szczycie łańcucha pokarmowego. I te wszystkie horrory w twoim pokoju. Twoje ulubione? Sam powiedziałeś: *Kłątwa*, *Egzorcysta*, *The Ring*... Same opowieści o demonicznych dzieciach! Zostawiłeś nam tyle wskazówek! Dobrze się bawiłeś dziś wieczorem, Henry? Myślisz, że jesteś sprytniejszy od wszystkich, co?

Henry patrzył na niego z rozdziawionymi ustami i pytającym wyrazem twarzy. Jego górna warga drżała. Pomyślał o tamtym wieczorze na promie, kiedy wszystko się zaczęło. Był podobny do tej nocy.

- Nie rozumiem...

- Grant, który po tylu latach odnajduje syna, syna oczyszczonego z podejrzeń o popełnienie morderstwa. Jaka śliczna bajeczka...

Blask latarni znowu oświetlił łódź: strumień światła po raz drugi oślepił Jaya. Mężczyzna zasłonił oczy dłonią, w której trzymał pistolet. Henry wciąż miał latarnię za plecami.

- Tyle że Grant i Meredith nigdy nie mieli syna. Mieli córkę, prawda, Henry? - powiedział Jay bardzo bardzo cicho, gdy światło zniknęło.

- Co?

Z powodu szumu fal Henry zastanawiał się, czy dobrze usłyszał.

- Twoja grupa krwi to zero Rh minus. Grant Augustine ma grupę AB Rh plus. W żadnym wypadku ojciec o grupie AB

Rh plus nie może mieć syna z grupą zero Rh minus. Za to Naomi miała AB Rh plus.

- Bzdury! - odparował Henry. - Istnieją takie przypadki. Bardzo rzadkie, ale istnieją.

- Ach tak? Jedna szansa na ile milionów? Dajmy na to. Tylko że stary poczciwy Doug, pamiętasz Douga?, wasz sąsiad i najlepszy przyjaciel twoich mam, nigdy nie słyszał o Meredith. I według niego nie miałeś dwóch albo trzech lat, kiedy twoje matki cię adoptowały, lecz siedem. O ile się zakładasz, że gdyby zrobić bezpośrednie porównanie DNA twojego i Granta, wynik będzie negatywny? Twoi rodzice nazywali się Georgianna i Tim Mercerowie. Zginęli, kiedy miałeś siedem lat. A jako że nie jesteś synem Granta, a dziecko, którego ty jesteś ojcem i które nosiła Naomi, jest jego wnukiem, wnoszę z tego, że fragment DNA wspólny dla płodu i Granta nie pochodzi od ciebie, ale od niej. Naomi ci się zwierzyła, tak? Powiedziała ci, że jest córką Granta Augustinea i opowiedziała ci całą historię swojej matki Meredith, prawda? Ale jeśli przyjmiemy tę hipotezę, dlaczego Meredith poinformowała Granta, że ma syna, a nie córkę?

Henry milczał jak zakłęty. Szczękał zębami.

- Być może z tego samego powodu, dla którego wciąż uciekała, ukrywała się i zmieniała nazwisko - ciągnął Jay. - Aby chronić dziecko, uniemożliwić Grantowi odnalezienie go... jej, gdyby któregoś dnia postanowił to zrobić. Meredith wiedziała, jakimi on dysponuje środkami. Oczywiście to wiele zmieniało, jeśli od samego początku Grant szukał chłopca, a nie dziewczynki. W języku wojskowym nazywa się to neutralizowaniem działań przeciwnika. Poza tym wiedziała, że Augustine ma już trzy córki i marzy o męskim spadkobiercy: może więc pewnego pięknego ranka kupiła ciuszkę dla trzymiesięcznego chłopca i wysłała zdjęcie Naomi z tym głupim komentarzem na odwrocie, w tym wieku trudno rozróżnić dziewczynkę i chłopca, prawda?, tylko po to, by się w jakiś sposób zemścić.

W tej chwili Henry postanowił działać - kiedy Jay najmniej się

tego spodziewał, właśnie dlatego, że nie spuszczał chłopaka z oczu; snop światła zza jego pleców na chwilę zaświecił prosto w twarz Jaya, który musiał podnieść rękę z bronią, by zasłonić oczy.

Henry wiedział, że ma minimalną przewagę - przez ułamek sekundy Jay nie będzie wiedział, czy chłopak rzeczywiście się poruszył, czy to złudzenie optyczne wywołane przez przemieszczający się snop światła i ulewny deszcz. Uderzył Jaya. Prosto w twarz. Rzucił się na jego broń. Jay jednak przejrzał już jego podstęp i mimo bólu, który wyrwał z jego piersi okrzyk wściekłości, dobrze się trzymał. Dorosły i nastolatek zwarli się, każdy ciągnął pistolet w swoją stronę, zaciskając na nim śliskie, skostniałe palce. Wolna ręka Jaya szukała oczu Henry'ego, orząc paznokciami jego ociekającą wodą twarz jak łapa drapieżnika, podczas gdy ten pięściami okładał rywala po żebrach i kolanami kopał go po nogach. Potem pośliznęli się i odbiwszy się od kosza rufowego, upadli na dno łódki. Henry poczuł, że z całej siły uderza karkiem o pokład. Leżąc w wodzie, zbierał teraz tyle samo ciosów, ile sam wymierzył. Uderzenia Jaya były precyzyjniejsze i bardziej niszczycielskie, ale na szczęście dla Henry'ego brakowało miejsca i byli zbyt ciasno ze sobą spleceni. Wreszcie chłopak z całej siły ugryzł Jaya w nadgarstek, celując w żyły. Mężczyzna zawył z bólu. Wypuścił z dłoni pistolet, który potoczył się po pokładzie. Henry rzucił się na broń. Odwrócił się z nienacka, i wymierzył ją w Jaya dokładnie w chwili, gdy ten chciał na niego skoczyć.

- Pieprzony gnojku! Przegryzłeś mi żyły! - zawołał Jay.

- Zamknij się! - krzyknął Henry. - Do tyłu! Do tyłu!

Jay wykonał polecenie, cofając się na pośladkach w stronę miejsca sternika. Trzymał się za kostkę.

- Cholera! Skręciłem nogę!

- Nie ruszaj się!

Oczy Henry'ego lśniły nowym blaskiem. Dostrzegął jakieś światełko nadziei. Nadziei, że wyjdzie żywy z tej nocnej przygody, że ocali to, co da się ocalić. Kręciło mu się w głowie, jego

tętno było zbyt szybkie, palił go tułów tam, gdzie dosięgły go ciosy. Jay uparcie wpatrywał się w lufę pistoletu. Krew ciekąca z nosa kapłała na sweter.

- Naomi opowiedziała ci tę historię, co? - Jay kontynuował, jakby nic się nie stało, tylko odrobinę zmachany.- Myślę, że usłyszała ją od matki. Przed przeprowadzką na Glass Island Naomi mieszkała z matką w rezerwacie Indian Lummi. Dwie zamknięte wspólnoty, dwa środowiska, do których trudno przeniknąć, gdzie intruz nie wejdzie niezauważony. Wiemy, że kiedy jej ojciec wrócił z matką do rezerwatu po trzech latach spędzonych w Duca- tur, Naomi miała dwa lata. Przedstawił ją jako swoją córkę. To wtedy, gdy opowiedziała ci swoją historię, to ziarenko zaczęło kiełkować w twojej głowie? A może trochę później? Ziarno chciwości i zbrodni... Stać się męskim potomkiem, który nigdy nie istniał. Ale aby to się mogło ziścić, prawdziwa spadkobierczyni i wszyscy, którzy znali prawdę, musieli opuścić scenę. Naomi, jej mama, twoje przybrane matki. Oto twój motyw...

Henry nic nie odpowiedział. Zastanawiał się. Rozważał każdą możliwość. Nie miał już prawa do błędów. Trzeba będzie iść po bandzie, ale jest nadzieja. Prawdziwa nadzieja. Jay wciąż mówił.

- Musiałeś jednak dobrze wiedzieć, że prędzej czy później Grant poprosi o badanie DNA, które oczywiście wypadłoby negatywnie. Musiałeś się długo zastanawiać, co zrobić z tą przeszkodą na drodze do realizacji twojego planu. A potem Naomi oznajmiła ci, że jest w ciąży. Bingo! - Jay, krzywiąc się, pomasaował sobie kostkę. - Muszę przyznać, że jesteś zadziwiająco zdolnym chłopcem; od razu zrozumiałeś implikacje tej ciąży. Zrozumiałeś, że taka okazja więcej się nie nadarzy, i natychmiast wymyśliłeś rozwiązanie. Gdybyś mógł sprawić, że testowi zostaniesz poddany nie ty, ale... wasze dziecko! To ty wysłałeś pocztówkę do Marthy Allen, prawda? Naomi opowiedziała ci też historię Marthy, dzielnej Marthy, asystentki Granta, która pomogła jej matce zniknąć, historię przyjaźni, jaka łączyła Marthę i Meredith. Wiedziałeś już wtedy, kim jest twój rzekomy ojciec i jakimi

środkami dysponuje: środkami najpotężniejszej i najgroźniejszej agencji rządowej na świecie. Pomyślałeś, że Martha na pewno jest obserwowana. Więc najpierw zwróciłeś naszą uwagę na wyspę za pośrednictwem tej pocztówki, a potem, kiedy byłeś prawie pewien, że wszystko, co się tu dzieje, jest pod obserwacją, zabiłeś Naomi. Morderstwo na wyspie, i to w takim momencie. Wiedziałeś, że całe zainteresowanie od razu skupi się na tobie, głównym podejrzanym, chłopaku ofiary. Byłeś pewien, że bardziej nawet niż samo morderstwo naszą uwagę przyciągnie twój profil: ostatecznie jesteś adoptowanym dzieckiem, a mamy rzekomo zabraniały ci zamieszczania zdjęć na Facebooku, jesteś w jak najbardziej odpowiednim wieku i nikt na wyspie nie wie, skąd się tak naprawdę wzięliście. Twój profil idealnie pasował do syna Granta Augustine'a. Wiedziałeś, że lekarz sądowy odkryje ciążę Naomi i że ta informacja dotrze do mojego szefa. Zgodnie z twoimi przewidywaniami, gdy to nastąpiło, Grant nie mógł się oprzeć pokusie wykonania testu na zgodność swojego DNA i DNA płodu. I tutaj, muszę przyznać, wykazałeś się naprawdę diabelskim sprytem. Bo Grant nie zamierzał prosić o porównanie między sobą a matką. Nie! Bo i po co? Szukał syna, nie córki. Aby potwierdzić swoje podejrzenia, musiał tylko wiedzieć, czy jest dziadkiem płodu. Naprawdę świetna sztuczka!

- Dziękuję - odparł spokojnie Henry, nieznacznie się uśmiechając.

Blask latarni oświetlał ich w regularnych odstępach czasu. Siedzieli naprzeciw siebie na dnie rozkołysanej łodzi, przemoczeni do suchej nitki. Jay masował to kostkę, to krwawiący nadgarstek, na którym widniały ślady zębów Henry'ego. Co jakiś czas ocierał też zmieszana z deszczem krew, która spływała mu po twarzy.

- Prawie się udało. Porównanie DNA, jak każde, polegało na wykonaniu standardowego testu na pewnej liczbie markerów genetycznych. Jak wiesz, markery używane w biologii sądowej nie mówią absolutnie nic o cechach osobniczych, tak jak linie papilarne nie mówią, czy człowiek

jest blondynem czy brunetem, czy ma niebieskie czy brązowe oczy. Krótko mówiąc, wspomniały Grant Augustine z całym swoim arsenałem podsłuchów i systemów bezpieczeństwa dał się złapać w sieć, którą zastawił na niego szesnastoletni dzieciak! Szacun. - Jay skłonił głowę, wpatrując się w lufę pistoletu i Henry od razu podniósł broń o kilka centymetrów. - Nawet o tym nie myśl - powiedział. - Wykazałeś się wielkim sprytem. Wszystkie zdarzenia, które mogły zostać potwierdzone przez innych świadków, oddałeś z absolutną dokładnością, a te, których świadkowie są martwi albo w których brałeś udział sam, przerobiłeś według własnego uznania. Jak na przykład ta niezwykle wzruszająca scena, kiedy twoje matki jakoby opowiedziały ci o Meredith i Grancie. Jak twoja wczorajsza rozmowa telefoniczna z matką, kiedy to Liv miała ci wyznać całą prawdę. Policja potwierdziła to połączenie. Tylko że jakby przez przypadek poprosiłeś ją, żeby zadzwoniła z telefonu na kartę, tak by nikt nie mógł podsłuchać rozmowy. Co sobie powiedzieliście? Czy to wtedy się na nią rzuciłeś, z dala od spojrzeń świadków? Założę też, że to nie Shane anonimowo zatelefonował na policję, by wydać Oatesów, ale ty, Henry... Zamierzałeś zwalić na nich winę za śmierć twoich matek, w ten czy inny sposób, i udało ci się. Ale tam na latarni niewiele brakowało. Zadzierając z tymi degeneratami mimo wszystko cholernie ryzykowałeś. Kiedy pojawił się Stary z drugim synem, udałeś, że właśnie przyplynałeś morzem po stocznej bitwie, choć już od jakiegoś czasu byłeś na miejscu. To ty podpaliłeś dom, tyje zabiłeś...

- Trzeba by być potworem... - zaczął Henry, uśmiechając się. W jego głosie nagle pojawiły się rubaszne nuty i Jay zadrżał. - Uważały się za moje mamy. Za kogo one się miały? - (Jay zobaczył, że twarz chłopaka robi się zacięta). - Nigdy nie były moimi rodzicami! - zawołał z niespodziewaną agresją. - Nigdy! Nienawidziłem ich. Trzymały mnie w klatce na tej pieprzonej wyspie, jakbym był dziką bestią. Sądziły, że mnie kochają, ale po ich oczach bardzo dobrze poznawałem, że się mnie boją. Już w Los Angeles się mnie wstydziły. Liv

powiedziała nawet, że żałuje, że mnie adoptowała. Nie wiedziała, że to słyszę.

- One dla ciebie wszystko poświęciły, wszystko opuściły.

- Co? Próbuje pan wzbudzić we mnie poczucie winy?

- A ten pomysł, żeby schować pieniądze, które wyciągnąłeś od tych wszystkich ludzi, w boksie matki, a potem udać, że je tam znalazłeś! Nasz człowiek odświeżył pamięć gościa pilnującego magazynów. Twierdzi, że byłeś tam dwa razy. Albo ten, by rzucić podejrzenie na Taggarta, a potem na Oatesa dzięki elementowi puzzli, który sam podrzuciłeś na tę plażę! Oczywiście wiedziałeś, co znajdziecie z Charliem w komputerze Taggarta. Powęszyliśmy tu i tam. Henry, chociaż potrafisz zacierać ślady, nie jesteś aż tak dobry, jak ci się wydaje. Mimo wszystko jednak cholernie zdolny z ciebie haker. Wygląda na to, że od lat zabawiasz się włamaniami do komputerów sąsiadów, a nawet do wszystkich mieszkańców tej przeklętej wyspy. Jako pierwszy wiedziałeś wszystko o ludziach żyjących na Glass Island. To ty byłeś szantażystą. Musiałeś się nieźle bawić.

- Kto jak kto, ale akurat pan nie powinien mnie oskarżać - odparował Henry. Jego oczy lśniły nowym blaskiem. Ani trochę nie wyglądał już na przestraszonego. Wyraz jego twarzy się zmienił i teraz to on przypominał drapieznika.

- Punkt dla ciebie - przyznał Szymański. - A Naomi? To ty ją nacinałeś, prawda?

Zobaczył, że chłopak zagryzł wargi.

- Naomi... Ona do wszystkiego podchodziła tak strasznie serio. I tak bardzo się mnie bała. Ciągłe jestem zaskoczony, że tamtego wieczoru na promie miała odwagę ze mną zerwać! I wie pan, wtedy się zdecydowałem. Tak jak pan powiedział, wszystko miałem zaplanowane, ale to był całkiem wirtualny scenariusz, rozumie pan? Istniał tylko w mojej głowie. Nawet gdy wysłałem tę pocztówkę, nie byłem pewien, czy posunę się dalej, chciałem tylko sprawdzić, co będzie, do czego to doprowadzi. Ale kiedy powiedziała mi, że chce zerwać, uznałem, że sama zdecydowała o dalszym biegu wypadków.

Jay zauważył arogancję malującą się na twarzy nastolatka i wyczuł w jego głosie nutę tryumfu.

- Nie wiem dokładnie, w którym momencie uświadomiła sobie zagrożenie. Może wtedy, gdy okazałem trochę za duże zainteresowanie jej historią. Albo kiedy ona i matka dostały e-mail od szantażysty. Dowiadywała się na mój temat... Węszyła wszędzie. Wzięła nawet udział w spotkaniu u tego dupka Hardinga, żeby zobaczyć, czy należę do klubu! Wtedy, żeby ją ukarać, zacząłem ją nacinać. Z początku mały sznyt tu czy tam, a potem coraz więcej i więcej... Później ją pocieszałem, przysięgałem, że zawsze będę przy niej, że tylko my dwoje, i w tamtym momencie rzeczywiście tak myślałem. Jednocześnie ta sprawa z twoim szefem nie dawała mi spokoju. Wiedziałem, że to jest jakaś możliwość. A potem ona zaszła w ciążę i sprawy stopniowo zaczęły się układać.

- Co jej powiedziałeś tamtego wieczoru na promie?

Szyderczy uśmiech nie zniknął z jego ust. Stał się nawet bardziej wyrazisty.

- Ze wyrzucę ją za burtę, że ją zabiję.

- To dlatego potem schowała się w toalecie - skomentował obojętnym głosem Jay.

- A więc dziś w nocy zamierzał mnie pan zabić? - zakpił Henry. - No wie pan, Jay, naprawdę niebezpieczny z pana gość!

- Nie zabrałem cię tu, żeby cię zabić, Henry.

- Ojej, nie? No to po co?

- Gdzie ona jest?

- Kto taki?

- Meredith, matka Naomi. Gdzie ukryłeś ciało? Nie miałeś tamtej nocy za wiele czasu, musiałeś jeszcze zająć się Naomi. Więc nie mogłeś odpłynąć za daleko.

- Nie ma pan żadnego dowodu - powtórzył Henry. - A poza tym zginie pan.

- Ach tak? A co pomyśli twój... ojciec, jeśli mnie jutro nie zobaczy? Jest jeszcze jeden człowiek, który wie o wszystkim, Henry. Nie wywiniesz się tak łatwo.

Nadzieja jest jak morze - ma swoje przyływy i odpływy.

- Chcesz być tym synem czy nie? - zapytał nagle Jay.

W jego prawej dłoni pojawił się jakiś przedmiot: niewielki i zwarty, przypominający rewolwer małego kalibru, wystarczająco jednak dużego, by z tej odległości podziurawić Henry'emu mózg. Jay celował w chłopaka. Pistolet od początku był przytroczony do jego kostki.

- Twoja broń jest pusta.

Fale uderzały o kadłub, z góry lał się na nich deszcz.

- Kłamie pan!

- Naciśnij spust, to się przekonasz.

Dwie lufy naprzeciw siebie. Jay zobaczył, że Henry pociąga za cyngiel. Rozległ się trzask. Nic się nie wydarzyło.

- Widzisz? No to jak? Chcesz być tym synem czy nie?

- Co?

- Synem Granta Augustine'a. Jesteś tak blisko celu...

Mimo braku oświetlenia Jay dostrzegł zaskoczenie w oczach chłopaka.

- Dlaczego miałby mi pan pomóc?

- A myślisz, że o to mi chodzi? - Szymański ciągle siedział na dnie motorówki i oparty o smaganą strugami ulewy ławkę sternika celował w Henry'ego z niewielkiego rewolweru. W jego wzroku pojawił się blask przywodzący na myśl żarliwość, oddanie, miłość... - Lojalność, braterstwo, te pojęcia są ci obce, co, Henry? - W głosie Jaya pojawiła się dziwna czułość i wzruszenie. - Dorastałem z tym człowiekiem, tak jak ty dorastałeś z Charliem. Jako dziesięciolatek byliśmy już najlepszymi przyjaciółmi na świecie. Rozdzieliliśmy się, dopiero kiedy ja wstąpiłem do Marines, a twój ojciec na uniwersytet. Mam więc powody, by uważać, że tak jak jest moim szefem, jest też moim najlepszym przyjacielem. Twój ojciec to taki typ człowieka, którego nie można nie podziwiać albo któremu nie można nie zazdrościć, zależnie od temperamentu. Ja go nie podziwiam - uściślił Jay - ale jestem wobec niego lojalny. Wiem, że twój ojciec nigdy mnie nie zostawi, a ja nigdy go nie zdradzę. Bo życie postawiło nas nawzajem na swojej

drodze, rozumiesz?

Wszystko wskazywało na to, że Henry nie rozumie. Z pewnością zastanawiał się, dlaczego ten facet bez przerwy powtarza słowo „ojciec” i czy nie jest to kolejna pułapka, tak jak ten numer z oddaniem broni po to, by łatwiej doprowadzić do obnażenia jego gry.

- Spędziłem życie na służbie dla tego człowieka - wyjaśnił Jay. - Byłem przy nim zawsze, kiedy mnie potrzebował. Komuś takiemu jak ty na pewno wydaje się to bez sensu, ale pomyśl, który z nas dwóch jest tak naprawdę panem drugiego. Wszystko dla niego poświęciłem, robiłem dla niego najgorsze rzeczy. Jeśli wyjawię mu prawdę, będzie załamany, nie pozbiera się. Dopóki miał jakieś podejrzenia, nadzieję, choćby minimalną, mógł z tym żyć. Ale odkryć coś takiego: że nigdy nie miał syna, że od samego początku sobie z niego zadrwiono, a jego córka została zamordowana... Za parę dni odbędą się bardzo ważne dla nas wybory. Do tej chwili nie ma takiej opcji, żeby kojarzono nas z tym, co się tutaj wydarzyło. Więc pojedziesz z nami, a po wyborach zostaniesz oficjalnie przedstawiony jako odnaleziony syn Granta Augustine'a. Nie martw się, pomogę ci. Jesteś taki zdolny...

- W ten sposób to pan będzie pociągał za sznurki.

Jay się uśmiechnął.

- A czy zawsze tego nie robiłem? - Zatopił wzrok we mgle. - Jest jednak pewien warunek.

Na twarzy Henry'ego pojawił się wyraz podejrzliwości.

- Powiesz mi, gdzie ona jest. Muszę się osobiście upewnić, że zwłoki Meredith nie wypłyną.

Henry się zastanawiał.

- Pośpiesz się. Nie mamy czasu do rana.

- Jest niedaleko stąd, pokażę panu.

Jay dał Henryemu znak, by przejął stery. Chłopak przełączył silnik na maksymalne obroty i przód łodzi wyskoczył z wody. Motorówka skręciła. Dziób pruć fale, kadłub drżał od wibracji motoru. Nie musieli długo płynąć.

- Tam. - Henry wskazał na skały jakieś dziesięć metrów

dalej.

Był to niewielki przylądek zakończony masywem potężnych, lśniących skał schodzących do morza, prawie niedostępny od strony lądu. Zatrzymali się w pobliżu tego miejsca. Ponad skalnym blokiem z deszczu wylały się pokryte solą, powyginane drzewa, kępa świerków i sosen.

- Jest tam, na dnie. Obciążylem jej kieszenie.

Lufą broni Jay wskazał mu kabinę.

- Tam jest kombinezon do nurkowania. Przygotuj się. Wyciągniesz ją.

Henry stracił cały tupet. Bał się. Zanurzał się w noc z wodoszczelną latarką w dłoni. Słyszał tylko własny oddech, gdy wciągał powietrze, i bulgotanie, kiedy robił wydech.

Powoli poruszając płetwami, schodził coraz głębiej; zmuszał się, by regularnie przełykać ślinę, jak poradził mu Jay. W wodzie oświetlonej blaskiem reflektora o średnicy co najmniej trzydziestu centymetrów, wycelowanego z góry w głąb oceanu, Henry początkowo widział plankton i małe rybki. Jay jednak w końcu go wyłączył - pewnie dlatego, że byli zbyt widoczni - i dalej chłopak płynął w strumieniu światła latarki. Zaczął czuć w uszach ciśnienie wody. Był świetnym pływakiem, ale z butlą nurkował nie więcej niż trzy razy w życiu - ostatnio wtedy, gdy towarzyszył Meredith w jej ostatniej drodze. Zwłoki kobiety znajdowały się na głębokości dwudziestu metrów. Będzie musiał schodzić ostrożnie i nie ulegać panice.

Nie dopuszczał do siebie myśli o stworzeniach, które na pewno obserwowały go przyczajone w ciemności, poza zasięgiem jego pola widzenia. Nagle co innego przyszło mu do głowy: czy Jay zamierza go zabić, gdy już odzyska ciało? A jeśli jego obietnica to był tylko bluff? Przez chwilę zastanawiał się, czy nie uciec. Nie oddać się w ręce policji. Czyżby Jay nie brał jednak tego pod uwagę? Z pewnością na lądzie jest jakiś gość z flintą albo okolicy pilnuje dron - a może jedno i drugie.

W świetle latarki unosiły się niezliczone drobiny planktonu, wirując wokół własnej osi, poruszając się to w jedną, to w drugą stronę, wydane na pastwę prądów jak wędrujące chromosomy. Wreszcie ukazało się dno. Bładowa przestrzeń, gwałtownie wy-

rwana ze snu białym światłem, którą ze wszystkich stron otaczały ciemności. Wszystko było wyprane z koloru jak na prześwietlonym zdjęciu, kiedy zaś latarka się przesunęła, oświetlony odcinek z powrotem zapadał w najbardziej nieprzenikniony mrok. Henry zauważył rybę, która wyglądała jak zwykły patyk z oczami po obu stronach, a potem, pośród skał i wodorostów, jakieś stworzenie przypominające stonogę. I wreszcie zobaczył ją.

Upiorny widok sprawił, że jego puls przyśpieszył. Leżała tak, jak ją zostawił: ukryta pod deskami. Kołysząc się, podплыł bliżej. Jedną po drugiej zdjął deski. Wyjął z jej kieszeni małe hantle. W trakcie całej operacji unikał patrzenia na jej puste oczodoły, widmową twarz i falujące włosy. Musiał jednak wziąć ją na ręce. Zetknięcie z martwym ciężarem sprawiło, że Henry poczuł, jak po jego kręgosłupie przebiega przenikliwy dreszcz. Kiedy ruszył w stronę powierzchni, poczuł się odrobinę podduszony, zdołał jednak dostosować szybkość wynurzania się do prędkości wypuszczanych pęcherzyków powietrza. Ze wszystkich sił starał się nie zwracać uwagi na matkę Naomi. Świecił latarką w przeciwnym kierunku. Była jednak zaledwie kilka centymetrów od niego - jej obrzmiała, zdeformowana twarz, woskowobiała skóra, nienaturalnie rozdęty brzuch i klatka piersiowa. Jej włosy tańczyły w wodzie jak wodorosty, muskając jego maskę. Procesja roztrzepotanych padlinozżernych rybek odprowadzała ją niczym stado nienasyconych fanów. Jej kostki i nadgarstki wciąż były związane sznurkiem. W trakcie tego powolnego wynurzania się w przymusowej bliskości ze zmarłą Henry przeszedł przez kilka stadiów: przerażenia, rozpacz, odraza, rezygnacji, niecierpliwości...

Kiedy wreszcie przebił się na smaganą deszczem powierzchnię, Jay zapalił reflektor. Po krótkim pobycie w ciemnościach Henry przez chwilę nic nie widział. Oślepiony, mrugając, wypchnął ciało ku górze. Jay przyciągnął je do siebie, uwalniając go od ciężaru. I dokładnie w tej chwili Henry zobaczył oczami wyobraźni, czym będzie odtąd jego życie, całkowicie zależne od dobrej woli Jaya - który teraz chwyta go za rękę i wciąga na łódź, pomaga mu uwolnić się od maski, reduktora i butli. Hen-

ry miał dziwne wrażenie, że Jay puścił do niego oko. Następnie mężczyzna przyniósł duży nylonowy pokrowiec zamykany na suwak, wystarczająco obszerny, by pomieścić ludzkie ciało i razem włożyli zwłoki Meredith do środka, a potem przetransportowali pakunek do kabiny.

Kiedy Henry znowu znalazł się na powietrzu, rzucił się w stronę burty i przechyliwszy się na zewnątrz, wymiotował do oceanu. Usłyszał rozwlekłe, wilgotne pluśnięcie treści żołądka o powierzchnię wody i zadrżał. Płukał usta morską wodą i kiedy udało mu się odzyskać dech w piersi, stanął przed nim Jay.

- Od tej chwili jesteś synem Granta Augustine'a. I będziesz nim aż do śmierci. To, co wydarzyło się dzisiejszej nocy, nigdy nie wyjdzie na jaw. Gdyby któregoś dnia przyszło ci do głowy zlikwidować mnie, tak by nie było nikogo oprócz ciebie, kto zna prawdę, wiedz że jestem już ubezpieczony na tę okoliczność.

Ciałem Henry ego wstrząsały dreszcze. Jay nie patrzył na niego, ale na mgłę ponad jego głową.

- W ciągu jednej nocy stałeś się bogaty, zostałeś synem potężnego człowieka i otworzyła się przed tobą promienna przyszłość. Skąd więc ta grobowa mina?

- Nigdy nie da mi pan spokoju, prawda? - zapytał, podnosząc na Jaya wzrok.

- Chyba nie sądzisz, że tak łatwo się z tego wywiniesz?

Po zakończeniu

DWA LATA PÓŹNIEJ

Hałas. Klekot, szcęk, uderzenia ostrego wiatru. Niesiony echem zatoki świst, odgłos przypominający tarcie o powierzchnię nadmuchanego balonu. Skrzypienie w wysokich rejestrach. Do tego chłopot wody, plusk fal.

Siedzę w kajaku i wpatruję się w mgłę. Cisza. Wstrzymuję oddech. Pojawia się czarna płetwa, za nią druga, trzecia, czwarta... Jest ich siedem. Moje serce zaczyna bić szybciej. Wielkie czarno- -białe drapieżniki wynurzają się powoli, w szeregu, jak w szyku bojowym. Ich ostre płetwy tną powierzchnię morza.

Jest ranek 29 grudnia. Śnieg sypał i sypie nadal. Jego płatki wirują wokół kajaka, zanim połknie je morze.

Spojrzałem w górę, w kierunku drona unoszącego się na białym niebie. Choć go nie widzę, wiem, że tam jest. Na wszelki wypadek macham do niego. Wyobrażam sobie, jak Jay przed monitorem się uśmiecha. A może nie. Może nawet go tam nie ma. Wystarczy samo prawdopodobieństwo, że mnie obserwuje.

W pewnej chwili przychodzi mi do głowy, żeby podpłynąć do orek i sprowokować je, by się na mnie rzuciły. Potem pokusa mija... Przecież mam wymarzone życie, prawda? Dostałem to, czego chciałem, i nie zamierzam tego wszystkiego stracić, prawda, Jay?

Dziwne. Tak bardzo pragnąłem tego życia. Ale ono ani trochę nie pokrywa się z moimi wyobrażeniami. Jasne, zdarzają się dobre chwile: wyjścia z ojcem, limuzyna, kieszonkowe, pokój, koń, którego dostałem na Gwiazdkę. Ale są też wszystkie pozostałe momenty. I jest Jay. Ilekroć próbuję zorganizować sobie jakąś drobną przestrzeń wolności, coś zbudować, Jay i jego zbiry unicestwiają to jak złośliwe dzieciaki rozdeptujące

czyjś zamek z piasku.

Jak wtedy, gdy spotkałem tamtą dziewczynę na wydziale. Nie była najpiękniejsza ani najbardziej inteligentna - ot, normalna, sympatyczna, fajna dziewczyna. Pomyślcie: jesteście najbardziej samotnym studentem w kampusie, bo ktoś z ukrycia rozpuscita na wasz temat kompromitujące plotki. I nagle spotykacie dziewczynę, która jakimś cudem ich nie słyszała. Uświadamiacie sobie, że rozpaczliwie potrzebujecie towarzystwa, że strasznie cierpicie z powodu samotności.

Ta dziewczyna była jak promień słońca... tak, wiem, oklepane porównanie. A jednak tak było. Przez kilka dni miałem wrażenie, że odżywam - dzięki dziewczynie, na którą kiedyś nawet bym nie spojrział! Było mi z nią dobrze - odkrywałem, że życie może być proste.

Aż do tego wieczoru, kiedy chciała się dowiedzieć więcej. Kochaliśmy się. Wiedziałem, że Jay albo ktoś inny na pewno nas podsłuchuje, ale już od dłuższego czasu ani mnie to grzało, ani ziębiło. Myślę, że byłem nawet rozbawiony, doprowadzając ją do krzyku i zmuszając ich, by tego słuchali. Zapaliłem jointa i podałem jej. Wtedy ona powiedziała:

- Henry, chcę o tobie wiedzieć wszystko...

Cholera, pomyślałem. Nawet nie miałem ochoty serwować jej mojej tradycyjnej ścierny. Miałem już tego po kokardę.

- Lepiej nie - odparłem.

Nie zniechęciło jej to, wręcz przeciwnie. Usiadła na mnie okrakiem. Jej białoróżowe, stożkowate piersi i cyrkoniowy kolczyk w pępku sterczały tuż nad moim nosem.

- Nie wyjdę stąd, dopóki mi wszystkiego nie opowiesz.

Zacząłem ją pieścić.

- Chcę wiedzieć... wszystko... kurwa... o tak, jeszcze...

Niecałe pięć minut później zadzwonił telefon.

- Odpraw ją - powiedział Jay. - Wywal ją stamtąd i powiedz, żeby nie wracała. Uderz ją w twarz, zadaj jej ból, jeśli masz ochotę, ale ją odpraw.

- A jak nie, to co?

- A jak nie, to będzie miała wypadek.

- Tak? No to już, przyjeżdżajcie! Rozjedźcie ją, zrzucicie z

mostu, kropnijcie. Co mnie to obchodzi?! - ryknąłem i rozłączyłem się.

- Henry, co to było? - dopytywała Amber niemal histerycznym głosem.

Następnego dnia zadzwonił telefon. To była ona:

- Ty jebany skurwysynu - powiedziała. - Nie chcę cię więcej widzieć.

Nie odważyłem się nawet zapytać dlaczego. Wiedziałem. Wiedziałem od razu, że byłoby to podłe. I nawet nie zdołałbym zaprzeczyć. Chodzi o to, że WatchCorps ma do dyspozycji programy, które potrafią samlpować wypowiedziane przez kogoś sylaby i zrekonstruować jego głos. Umieją też nagrywać podrabiane filmiki. Pisać fałszywe e-maile. Robić fikcyjne zdjęcia. Są w stanie przekonać każdego. Do wszystkiego.

Moje życie dzisiaj

Mój „ojciec” to wspaniały człowiek. Wszystko w nim budzi moją dumę: jego autorytet, jego charyzma, jego inteligencja. Czasem jednak zachowuje się jak ojciec bardzo zajęty i odległy. Teraz, gdy ma mnie tylko dla siebie, już się tak nie stara - chyba że z okazji świąt, moich urodzin albo kiedy najdzie go ochota. Za to Jay... Jest jak nadopiekuńcza, paranoiczna matka, która spędza cały czas na kontrolowaniu każdego waszego ruchu, uprzedzaniu wszystkich waszych grzeszków. Wiem, że moje studenckie mieszkanie, a także wóz, telefon, komputer - są naszpikowane mikrofonami. Być może dotyczy to także sprzętu moich wykładowców; wiem, że mam pluskwy w ubraniach i rzeczach, z którymi chodzę na zajęcia. Skąd mam wiedzieć, czy kiedyś mnie nie uśpił i nie wstrzyknął mi pluskwy pod skórę: sprawdzam ciało w łazience, ale nic nie widzę. Nie mam przyjaciół. Jay nad tym czuwa. Rozpuszcza plotki na mój temat...

Poszedłem na nauki polityczne. To wybór Jaya, nie mój, ale oczywiście musiałem przekonać ojca, że sam tego chciałem. Jestem dobrym studentem, przykładam się, ale nie wiem,

dlaczego profesor od prawa konstytucyjnego się na mnie uwziął. Nie znosi mnie, to widać. Robi wszystko, żeby upokorzyć mnie przed innymi. Mam ochotę zacząć się na niego po zajęciach i wyperswadować mu to jego ważniactwo.

Koledzy z grupy też mnie nie lubią. Dostrzegam to w sposobie, jaki na mnie patrzą, kiedy ich mijam, w ich drwinach, w ich szeptach, w moim osamotnieniu w uniwersyteckiej stołówce.

Nie wiem, jakie plotki rozpuszczono na mój temat, ale wiem, że jakieś krążyły i że to także robota Jaya. Dzięki temu - kiedy jestem wyizolowany, samotny - ma mniej trudności w kontrolowaniu mnie. Im bardziej ludzie mnie nie cierpią, odsuwają się ode mnie, tym jego praca staje się łatwiejsza. Oczywiście nie mogę próbować się dowiadywać, co mówią. Nie mogę włamać się do ich komputerów. Wolno mi szukać tylko wiadomości niezbędnych na studia. Nie mogę wchodzić na fora internetowe, żeby się wygadać przed innymi samotnymi duszami: kiedy ostatni raz to zrobiłem, mój telefon zadzwonił po dwóch minutach. Od czasu incydentu z Amber nie wolno mi też rozmawiać z dziewczynami.

Jay się nie pokazuje. W każdym razie pojawia się rzadko. Czasem jednak, być może gdy wyczuwa, że nie wytrzymam, że doszedłem do granicy, potrafi mnie obudzić w środku nocy:

- Zejdź, jestem na dole.

- Jay, czego chcesz? Jest trzecia nad ranem.

- Och, nie mogłem zasnąć i pomyślałem, że wpadnę zobaczyć mojego starego kumpla Henrygo. - Kładzie dłoń na moim ramieniu. - Chodź, zabieram cię na drinka do fajnego lokalu.

W takich chwilach mam ochotę go zabić, ale Jay ma mnie w garści i wie o tym. Pokazuje mi w ten sposób, że kontroluje sytuację. Ale chce też przeszkodzić mi w zrobieniu jakiegoś głupstwa. Przez parę godzin zachowuje się tak, jakby był moim najlepszym przyjacielem. I może rzeczywiście nim jest...

W końcu zacząłem go lubić, to dziwne. Jay niczego nie robi za darmo, to nie w jego stylu. Nigdy nie kieruje się też okrucieństwem, jedynie koniecznością. Wiem, że staję się od niego coraz bardziej zależny - materialnie i psychicznie. Syndrom sztokholmski? Może i tak... Ale Jay potrafi też zachowywać się jak prawdziwy Knecht Ruprecht. Tak jak wtedy, kiedy się wybrałem do tamtego sklepu, gdzie wymieniłem wszystkie ciuchy na nowe, a stare wrzuciłem do kosza, a potem poszedłem na piechotę nawalić się i skorzystać z usług prostytutki. W środku nocy jacyś goście włamali mi się do mieszkania i pobili mnie. Po nich zjawił się Jay.

- Daj mi twoją kartę kredytową, Henry - powiedział. - Od dzisiaj będziesz dostawał kieszonkowe za moim pośrednictwem.

Albo wtedy, gdy zadzwonił do mnie Charlie. Byłem zszokowany, gdy usłyszałem jego głos.

- Cześć, Henry - odezwał się mój najstarszy przyjaciel. - Jak się masz?

Przez chwilę nie odpowiadałem. A on wypalił prosto z mostu:

- Jestem w Waszyngtonie!

Zatkało mnie.

- Z rodzicami... Przyjechaliśmy na trzy dni. Pomyślałem, że moglibyśmy skorzystać z okazji i spotkać się, co ty na to?

- Ja na to, że to doskonały pomysł! - odpowiedziałem, a moje serce nagle stało się lekkie jak bańka mydlana i uświadomiłem sobie, jak bardzo tęskniłem za Charliem.

Roześmiał się.

- Kurwa, ale dobrze słyszeć twój głos, stary!

Nie widział moich oczu, do których ni stąd, ni zowąd napływały łzy.

- Tak... tak. Pewnie, masz rację, stary. Jak zdobyłeś mój numer?

- W „Seattle Timesie” był o tobie artykuł, pisali, że studujesz nauki polityczne na George Washington University, panie Augustine...

Kilkadziesiąt razy wydzwaniał na wydział, aż któraś z pracownic w końcu zgodziła się podać mu mój numer.

- Dobra, dziś o szóstej w barze hotelu Churchill. Mieszkamy tam. Przyjdiesz?

- Jasne.

Położyłem się na łóżku i przez długie minuty oddawałem się wspomnianiu naszych najlepszych chwil: przypominałem sobie, jak pływaliśmy kajakami po morzu, jak promienie słońca opalały nasze nagie torsy, a nasz śmiech roznosił się echem po wodzie, oczami wyobraźni widziałem nasze spotkania w Ken's Store & Grill, chrzest w rzece tamtego lata, gdy miałem trzynaście lat, zobaczyłem Charliego i siebie - związanych z każdym metrem tej przekłetej wyspy - jak jeździmy na rowerach, biegamy, potykamy się, czołgamy, nurkujemy, pływamy, niczym dwie bliźniacze dusze, jak bracia. Przynajmniej on tak sądził.

- To nie jest dobry pomysł - skomentował Jay, gdy mu o tym powiedziałem.

- Co mi zrobisz? Przywiążesz mnie? Pójdę, czy ci się to podoba czy nie.

Nie wiem, czego mi dosypali do jedzenia, ale na dwie godziny przed spotkaniem zaczęło się ze mnie lać wszystkimi otworami, dostałem gorączki i dreszczy. Mimo wszystko powlokłem się tam, choć włosy kleiły mi się do czoła, żołądek miałem jak z betonu i cały drżałem. Musiałem jednak zrezygnować, kiedy zwymiotowałem na peronie metra i jakiś glina, który akurat się pojawił, odstawił mnie do domu.

Po tej historii wymienili mi telefon i kiedy próbowałem dozwonić się do Charliego na numer, który mi podał, automat odpowiedział, że numer nie istnieje. Gdy dzwoniłem do Ken's Store & Grill - to samo. Czyżby spalili ich sklep? Wykorzystali kontakty u operatorów telefonicznych? Nie mam zielonego pojęcia.

W zeszłym miesiącu zdiagnozowano u mnie łuszczycę owłosionej skóry głowy, dłoni i stóp.

- Stres - powiedział lekarz.

Kilka miesięcy wcześniej chorowałem na inną przypadłość.

- Osłabienie układu odpornościowego - orzekł doktor. - Pani Augustine, czy pan się stresuje?

Najczęściej Jay zachowuje dyskrecję. Ale wiem, że ma mnie na oku. Domyślam się, że czuwa. Nawet kiedy śpię - jakby on sam nigdy nie sypiał. Jestem jego więźniem, inaczej nie można tego nazwać. Wolność. Do dziś nie znałem tego słowa. Tylko ci, których pozbawiono wolności, mogą zrozumieć, czym ona jest. Wiem, że już nigdy nie będę miał normalnego życia. Nigdy nie będę mógł kochać, oddychać, żyć tak jak przedtem. Moje życie będzie jedynie długą parodią wymarzonej egzystencji. Już Jay się o to postara.

- Chcesz wrócić do poprzedniego życia, Henry? Chciałbyś znowu stać się tym chłopaczkiem mieszkającym na swojej wyspie? Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej. Przypominam ci, że twoje mamy nie żyją. Och, a propos, pozwól że ci przekazę, co słychać u Charliego, Johnny'ego i Kayli. Mają się dobrze. Powoli odzyskują równowagę. Czasem o tobie rozmawiają; ale w sumie niezbyt często.

Sądzi, że ma kontrolę. Ale pewnego dnia opuści gardę. A wtedy nadejdzie moja kolej. Nie zdając sobie z tego sprawy, Jay uczy mnie najważniejszego: cierpliwości.

Chyba że to także przewidział. Może za jakiś czas zginę w wypadku. Augustine oczywiście pograży się w żałobie, ale przynajmniej przez kilka lat nacieszy się synem. Tak, to musi być to. Jestem ryzykiem, na które Jay nie może się narażać zbyt długo.

Dzisiaj jest strach. Strach przed kolejnym dniem. Strach przed Jayem. Przez cały czas muszę mieć się na baczności. Czuję, jak powoli, dzień po dniu, zżera mnie paranoja. Mój umysł nigdy nie odpoczywa. Na każdym kroku mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. A jednocześnie muszę udawać przed ojcem. To moja część umowy: udawać przed nim, że jestem szczęśliwy, że mi się chce, że wszystko jest w porządku. To gorsze niż piekło.

W końcu wróciłem na wyspę. Ostatni raz. Jennifer Lawrence nie musiała mnie przekonywać. Nie wiem, dlaczego tu przyjechałem. Kiedy rozmawiałem o tym z ojcem, powiedział

mi: - Jesteś pewien, że to nie będzie zbyt bolesne?

Ciągle jestem zaskoczony, że nie zabronił mi tego wyjazdu.

Aczkolwiek odradzał. Ostatecznie jednak miał rację - to jest bolesne.

Ostatni raz pociągam wiosłem, wyszarpuję fartuch z kajaka i uwalniam się z niego. Staję na niewielkiej plaży u stóp pomostu, z którego zwisają lodowe stalaktyty. Zdejmuję mokry kombinezon. Niebo jest białe, tak dziewicze, że czuję się oczyszczony ze wszystkich grzechów.

Osmalone ruiny domu w górze - nad pomostem i schodami - zniknęły. Buldożery zrównały je z ziemią. Przy drodze stoi tablica z napisem „Na sprzedaż”. Umieszczono ją tutaj rok temu. Dziś rano śnieg osiadł na opustoszałym placu jak opatrunek przykrywający brzydką ranę. O świcie cała wyspa - sparaliżowana i senna - przypominała wielki lodolamacz. Świerki ugięły się pod ciężarem śniegu, dach Ken's Store & Grill, gdy go mijalem, był biały, podobnie jak skrzyżowanie w górze Main Street i Eureka Street, na którym widać było ślady pierwszych samochodów.

Wchodzę po stopniach z kajakiem ramieniu, drugą ręką trzymając się zimnej drewnianej poręczy. Ostatni raz oglądam się za siebie, na cieśninę, na morze, na inne wyspy, których zarysy widać przez zacinający śnieg i muszę powstrzymać szczere łzy. Obchodzę pusty plac, na którym stał dom, i widzę w nim metaforę mojego obecnego życia. Prawie ogarniają mnie mdłości. Mocuję kajak, wsiadam do wypożyczonego samochodu i wracam do East Harbor.

Odzywa się mój telefon. Ktoś zmienił dzwonek i z głośnika płynie *Goodbye Yellow Brick Road* Eltona Johna.

Kiedy wreszcie z tym skończysz?

Kiedy staniesz na ziemi?

Powinienem być zostać na wsi

Powinienem być posłuchać starego.

Jay, ty skurwysynu, myślę. Oczywiście po drugiej stronie nikt się nie odzywa. Ale komunikat jest jasny.

Kiedy wjeżdżam do East Harbor, sypie jeszcze gęściej. Skręcam przy Keñs Store & Grill, by zjechać w stronę portu. Znowu czuję w żołądku tę wielką gulę. Zwalniam na białej jezdni. Zapuściłem brodę, mam na głowie czapkę i siedzę za kierownicą wypożyczonego samochodu o przyciemnianych szybach, wokół którego wirują płatki śniegu - niewielkie szanse, by ktoś mnie rozpoznał, ale nigdy nic nie wiadomo.

Kiedy tak jadę wolniutko po ośnieżonej szosie, każdy szczegół, każda bożonarodzeniowa witryna wydobywa na powierzchnię jakąś historię, jakieś wspomnienie. Wjeżdżam na parking.

I tam go zauważam.

Charlie. Mało brakowało, a nie poznałbym go. Zabawne: on też zapuścił brodę. I schudł. Wychodzi z Blue Water Ice Cream Fish Bar (Zadzwoń i odbierz zamówienie, Blue Water 425-347- 9823), w jednej dłoni trzymając kubek z kawą, a w drugiej rękę dziewczyny. A raczej młodej kobiety. Bardzo ładnej. Jestem przekonany, że jej nie znam. Wsiadają do nowiutkiej terenówki, Charlie na miejscu kierowcy. Odwraca głowę w lewo i mówi coś do pasażerki sąsiedniego auta. Z mojej kryjówki za rzędem samochodów dostrzegam rude loki i poruszające się usta. Kayla... Przesuwam wzrok i widzę obok niej kark Johnny'ego. Wszyscy trochę się zmienili. Nawet stąd da się to zauważyć. Wyglądają doroślej, stateczniej.

Zatryumfowali nad życiem, nad nieszczęściem.

Przyglądam się, jak rozmawiają przez okna samochodów i śmieją się. Tak jak my kiedyś... Mój telefon dzwoni, nie odbieram, ale nie daję za wygraną. W końcu biorę go do ręki.

- Halo?

- Piękna scena, co? - odzywa się Jay. - Nie wsiadaj na ten prom, Henry, zrozumiano? Płyn następnym.

Rozłącza się. Wal się, odpowiadam w duchu. Nie jestem twoją własnością.

Jak prosił Jay, czekałem, aż samochody wjadą na pokład. Zostałem sam na parkingu i czekam na następny prom, który ma być za trochę ponad pół godziny... Nie chciałem ryzykować, że na nich wpadnę i będę musiał im opowiadać o moim dzisiejszym życiu.

Wiatr hula po opustoszałym parkingu, na którego środku stoi mój samochód z wypożyczalni, sylwetka promu oddala się w kierunku wejścia do zatoki. Unoszący się w górze dron z pewnością obejmuje cały obraz. Wyobrażam sobie, jak siedzą przy naszym stoliku. O czym rozprawiają teraz, gdy są już prawie dorośli?

Od tak dawna nie rozmawiałem z ludźmi w moim wieku..

Podziękowania

Pamiętam słowa, jakie bohater powieści *Indian Killer*, której autorem jest Sherman Alexie, prawdziwy Indianin rodem z plemion Coeur d'Alene i Spokane, wypowiada do bardzo nieautentycznego białego wykładowcy literatury indiańskiej na uniwersytecie w Seattle: „Jak Wilson mógłby ukazywać autentyczny i tradycyjny obraz świata Indian, skoro sam nie jest ani tradycyjny, ani autentyczny? Mamy tu prawdziwych Indian, którzy piszą prawdziwie indiańskie książki: to między innymi Simon Ortiz, Roberta Whiteman i Luci Tapahonso”. Wspominam o tym po to, by powiedzieć, że moja książka nie jest autentyczną powieścią amerykańską: jest autentycznym hołdem złożonym amerykańskiej powieści (a także kinu), napisaną przez francuskiego autora. Przede wszystkim jest to opowieść o dorastaniu i lęku przed dorosłością, które mają pewne wspólne cechy niezależnie od miejsca, w jakim przebiegają. W tym sensie jest autentyczna. I tylko w tym sensie - mimo starań, by było inaczej.

Tworząc moją fikcyjną wyspę, zainspirowałem się czterema autentycznymi wyspami. Trzy z nich należą do stanu Waszyngton: Orcas Island, San Juan Island i Whidbey Island. Czwarta, kanadyjska, leży jakieś osiemdziesiąt kilometrów na północ i wchodzi w skład Kolumbii Brytyjskiej: jej nazwa to Bowen Island. To jej rzeźba - w tym dwa niewysokie szczyty - najbardziej przypomina ukształtowanie Glass Island, jakkolwiek Orcas także ma swoją górę, Mount Constitution, znajdującą się w Moran State Park.

Pragnę podziękować wszystkim, którzy na miejscu - a także w Seattle, Bellevue, Bellingham i Vancouver - pomogli mi trochę zrozumieć te tereny i podsuwali swoje pomysły, a

zwłaszcza wszystkim członkom sił porządku publicznego, zarówno czynnym, jak i w stanie spoczynku, którzy zechcieli się ze mną podzielić swoim doświadczeniem. Mają oni rozmaite opinie na temat swojego kraju, profesji, roli i działalności rządu, dlatego nie można ich uznać za odpowiedzialnych za opinie i zdania wypowiedziane przez moich bohaterów. W żadnym wypadku. Dziękuję zatem Marvinowi E. Skeenowi, pracującemu jako *chief criminal investigator* na czele jednostki HITS (Homicide Investigation Tracking System) przy prokuratorze generalnym Stanu Waszyngton, Mike'owi Cate'owi, byłemu śledczemu Bellevue Police Department i przewodniczącemu kapituły Blue Knights, Verlinowi L. Juddowi, byłemu członkowi Seattle Police Department i jego małżonce Donnie Lee; dziękuję im za wędrówki po Szmaragdowym Mieście i okolicach. Dziękuję Berndowi Kuersch-nerowi, czynnemu członkowi SPD, za jego ciekawe opowieści i Jimowi Ritterowi za to, że pozwolił mi wsiąść do swojego wozu patrolowego. Mam wielki dług wdzięczności dla Allison Kahl, naszej przewodniczki po Bellingham, ponieważ to ona pomogła mi zrozumieć nastolatków i wiele spraw, które były bardzo ważne przy pisaniu tej książki. Muszę też podziękować jej partnerowi, Constantine'owi Papadakisowi, który pracował jako wolontariusz dla policji hrabstwa Whatcom. Dziękuję tym dwojgu za wieczory w Dirty Dan Harris i Dos Padres: halibut był wyśmienity, a tequilę wypilem z przyjemnością. W Bellingham dziękuję też szeryfowi Jeffowi Parkowskiemu oraz Spencerowi Kope'owi pracującemu jako *criminal analyst* w Whatcom County Sheriff's Office za jego szczegółowe wyjaśnienia na temat gangów. Słowa wdzięczności kieruję też do Roba Nou, szeryfa hrabstwa wysp San Juan, który oprowadził mnie po swoich biurach. O ile biura szeryfa Glass Island mają z nimi coś wspólnego, o tyle postać Bernda Kruegera nie przypomina go w żadnym calu. W Vancouver dziękuję Mike'owi Servaisowi, ze służby ochrony Żandarmerii Królewskiej w Kanadzie (pamiętam jego cudowną opowieść

o wyścigach wanien motorowych - niestety nie znalazłem dla nich miejsca w książce) oraz, *last but not least*, Karen Frost, byłej członkini brygady antynarkotykowej i finansowej, byłej funkcjonariuszce mundurowej w rezerwach indiańskich i rolniczych miasteczkach Alberta, bez której nic by się nie udało. „IPA”, Karen! Dziękuję Michaelowi i Johnowi za gościnę w przepięknym Wildwood Manor na wyspach San Juan - rajy dla saren, bielików amerykańskich i rudych lisów - który stał się po części inspiracją domu Liv i France. Muszę też podziękować Johnowi Gallagherowi za książkę *Perfect Enemies* napisaną we współpracy z Chrisem Bullem w okresie, gdy był on krajowym korespondentem „The Advocate” i „The Time”; książka opisuje „wojnę”, jaką toczą ze sobą niektóre ruchy religijne i ruchy gejowskie w USA. Dziękuję wreszcie Danowi, uprzejmemu gospodarzowi Lodge and the Old Dorn na Bowen Island - kolejnego miejsca, które było pożywką dla mojej wyobraźni, gdy budowałem dom Liv i France.

Dziękuję też moim pomocnikom tutaj, we Francji i Europie: Yves’owi Le Hirowi, szefowi wydziału technicznego policji kryminalnej w Tuluzie i Claude’owi Yvinecowi z laboratorium policji kryminalnej za kwestie związane z DNA. Dziękuję Dominique Venturze, która nadała kształt i spójność moim nieporadnym szkicom wyspy; Christophe’owi Guillaumotowi - kierowcy, mojemu kontaktowi w Międzynarodowym Stowarzyszeniu Policji i przyjacielowi w jednym; a także Christelle, jego małżonce, za setki zdjęć wszystkiego i niczego, które kazałem jej robić na miejscu, ale także za jej zawsze przenikliwe spojrzenie na moje teksty. Dziękuję też oczywiście - zawsze - mojej żonie, która towarzyszyła nam w tej cudownej podróży...

Składam wreszcie podziękowania moim wydawcom, Edith Leblond oraz Bernardowi Fixotowi, którzy umieją rozmawiać o moich bohaterach tak, jakby istnieli oni naprawdę, oraz wszystkim pracownikom XO i Pocket za ich niezłomne wsparcie i płodny entuzjizm - zwłaszcza zaś Caroline Ripoll, która pomogła tej łodzi uniknąć wielu

podwodnych skał, a czasem ratowała ją przed zatonięciem.

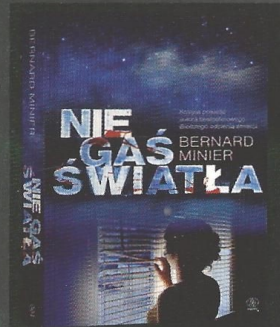
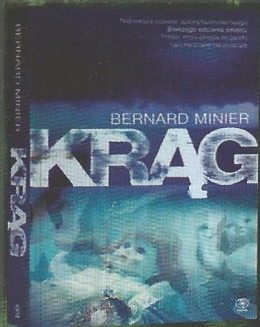
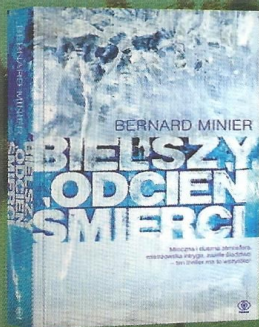
Za wszystkie błędy i defekty, jakie mogą się jeszcze znaleźć w tej książce, ponoszę osobistą odpowiedzialność.

Jeśli chodzi o jeden z tematów książki - śmierć życia prywatnego, zagrożenia, jakie stanowi dla naszej wolności politycznej i osobistej wielokierunkowy rozwój Internetu i fakt, iż z narzędzia światowej emancypacji staje się on narzędziem światowej kontroli i indoktrynacji, o które walczą rządy, fanatycy i zwyczajni obywatele - dotyczy on nie tylko bohaterów tej książki: dotyczy nas wszystkich.

**Na początku jest STRACH.
STRACH przed zatonięciem.
STRACH przed innymi – tymi, którzy mnie
nienawidzą, którzy chcą mi się dobrać do skóry.
I jeszcze – STRACH przed prawdą.
Upredzam: TO NIE JEST JAKAŚ
BANALNA HISTORIA.
O nie. To PASKUDNA HISTORIA.
Tak, wyjątkowo PASKUDNA...**

Na jednej z wysp archipelagu San Juan, gdzie przez większą część roku pada deszcz i gdzie trudno coś ukryć, bo wszyscy się znają, dochodzi do makabrycznego morderstwa. W pewien ponury, sztormowy wieczór na ustronnej plaży znalezione zostają zwłoki szesnastolatki, zamordowanej w bestialski sposób. Kto i dlaczego zgotował tej dziewczynie taki los? Rusza policyjne śledztwo. Jednak nie tylko policja szuka mordercy...

Bernard Minier, w szczytowej formie, wraca z kolejnym niezrównanym thrillerem, który trzyma w napięciu od pierwszej do ostatniej strony i skłania do myślenia nie tylko o tym, do czego zdolny jest człowiek jako jednostka, ale także o tym, co z duszą ludzką robi współczesny świat i jego zdobycze.



Cena det. 37,90 zł

ISBN 978-83-7818-772-1



9 788378 187721



www.rebis.com.pl